

Zbigniew Safjan

# Potem nastąpi cisza

WYDAWNICTWO

MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ 1983



Część I

**Zanim przemówią**

# BOBOWICA PO RAZ PIERWSZY

## 1

Samochód podskoczył na wybojach, major Kluk westchnął i spojrzął na generała. Weklar tkwił nieruchomo, oczy miał przymknięte, spał chyba albo coś tam w sobie przetrawiał, obojętny na miasteczko, w które właśnie wjeżdżali.

Może nie wie, że już jesteśmy, pomyślał Kluk spoglądając na koślawe kamieniczki i parterowe drewniaki. Od dawna nie mógł pojąć, dlaczego generał tak zwlekał z tą podróżą. Minęły dwa miesiące, a to przecież niespełna dwie godziny jazdy z Lublina. Wczoraj go dopiero zawołał: „Pojedziesz ze mną do Borowicy”. Samotnie jechać nie chciał, jakby potrzebował świadka tych swoich starych sentymentów. Tymczasem Weklar otworzył oczy i poruszył się.

– Stań. Za daleko zajechaliśmy! – wylazł z auta i rzucił nie odwracając głowy: – Poczekajcie w maszynie, to nie potrwa długo.

Ruszył przed siebie. Kluk widział jego masywną postać oddalającą się powoli chodnikiem. Potem generał skręcił w boczną uliczkę.

Właściwie należało pójść za nim, pomyślał Kluk i zapalił papierosa.

Miasteczko przestawało tu być miasteczkiem, generał wiedział, co zobaczy, gdy minie rozrośnięte drzewa i wejdzie na piaszczystą drogę pnącą się nieco « w górą wśród półwiejskich zabudowań. Wrześniowe słońce uderzało prosto w oczy, przysłonił więc twarz dłonią, przystanął, aby raz jeszcze stwierdzić sprawność własnej pamięci. Teraz nie chciał się spieszyć, czas, który pozwolił mu tu wrócić po dziesięciu latach, był jego czasem, mógł więc spokojnie odmierzyć odległość od krańca płyt chodnikowych do domu matki, popatrzeć w okna, zerknąć na pola i na las czerniejący w głębi.

Wciągnął powietrze, było łagodne i kojące. Ruszył licząc kroki, chciał skonfrontować ostatnią pozycję w rachunku, który należało już podsumować. W lipcu trzydziestego czwartego roku opuszczał miasteczko. Spieszył się, czas nie należał wówczas do niego, nie przystanął wchodząc na chodnik i nie spojrzął za siebie, w okno, w którym tkwiła niechybnie staruszka. Zatarł się tamten dzień, pozostała tylko niewyraźna klisza przytłoczona przez inne. Potem były mieszkania towarzyszy, granice i pociągi, dywizja i armia, dobrze uczynił nie

spiesząc się tutaj, nie przychodząc pierwszego dnia jak do Mekki, do której pielgrzymować trzeba z modlitwą.

Drogą szło dwóch milicjantów w niemieckich pasach, z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Obserwowali go z rosnącym zdziwieniem niby nadnaturalne zjawisko; zwolnili kroku, przyczaili się, czekali. Weklar, patrząc na nich, poczuł nagle potrzebę wiedzy o miasteczku, spokojnego powspominania, odnajdywania szczegółów dawno usuniętych z pamięci. Salutowali nie ukrywając zmieszania. Generał zatrzymał ich ruchem ręki; wyższy, chłopiec-roztropek z zadartym nosem i okrągłą twarzą, wytrzeszczył oczy, a potem ryknął na całą ulicę, jakby rozpoczynając meldunek:

- Towariszcz gienierał!
- A ty po polsku nie umiesz?
- Tak jest! No bo...

Drugi zbaraniał i sterczał z otwartą gębą, z trudem chwytając powietrze.

Weklar wyjął z kieszeni papierośnicę, zapalił, pomyślał i dał im po papierosie. Wzięli z szacunkiem, ciągle zdumieni niepomnie i podejrzliwi. Generał stracił już właściwie ochotę na zadawanie pytań tym przedstawicielom władzy ludowej; wyobrażał sobie, że jeszcze długo będą relacjonować swoją przygodę, dorzucając własne domysły i komentarze. Jego przyjazd do Borowicy pozostanie miejscową legendą, odpowiednio dosmażoną.

- Szkoła stoi?
- Stoi, obywatelu generale – odpowiedzi gorliwie – tylko ta przybudówka, co to ją przed samą wojną dokleпали, spłonęła za okupacji.
- A tartak?
- Jest, jest. Może nawet ruszy.

Weklar zapytał jeszcze o to i owo, odpowiedzi przestały go interesować, nie chciał pamiętać. Pojął nagle, że uległ konwencjonalnemu złudzeniu: Borowica nic a nic go nie obchodzi, nigdy go nie obchodziła. Ważny jest tylko rachunek wymagający podsumowania.

– No to idźcie. Macie jeszcze po papierosie. – Wyciągnął sam z pudełka i wepchnął im w dłonie. Poszli niechętnie, gotowi byli przecież dostarczyć generałowi wielu jeszcze informacji. A Weklar ruszył w swoim kierunku; ten sam Roman, który biegał tędy ze strachem w sercu, że z za rogu wynurzy się granatowy policjant i że pod drzewem tkwi szpicel. „Banał. Jesteś, jak zwykle, niemożliwie banalny”. Tak mówiła Marta. Ona jedna chwyciła go na gorącym uczynku „chłopięcości”. Warszawska dziewczyna, żona-towarzysz, z którą spotykało się nieledwie po kryjomu, bo na „dom trzeba poczekać”, odłożyć na bliżej nieokreślone potem, które nigdy nie nastąpiło. „Nigdy” – tego słowa nie wolno było też

wymawiać, wycięte z ich dialogów, zapomniane, jawiło się między nimi jak znak ostrzegawczy w chwilach rozstania. Sprawozdanie z procesu: w trzydziestym czwartym dostała dziesięć lat. To wszystko, co wiedział Weklar.

Z domu obserwowały go czyjeś oczy; pchnął furtkę, czysto wymiecioną dróżką dotarł do ganku. Wyglądało tu tak jak za życia matki. O jej śmierci zawiadomiono go pierwszego dnia pobytu w Lublinie. Napatoczył się jakiś cywil, obszarpany dziadyga, który warował przed gmachem na Spokojnej, łąził drobnym kroczeniem po chodniku zalanym lipcowym słońcem. Bełkotał niewyraźnie, generał stanął i czekał, nieco z tyłu szofer, łebski chłopak, który na wszystko miał oko.

– Pan generał mnie nie poznaje?

– Nie.

– Bo ja z Borowicy, a teraz w Lublinie.

– Słucham. – Dopiero po chwili pojął treść tych słów i poczuł jakby wstyd. – Znasz moją matkę?

– Tak, właśnie znałem matkę pana generała. – Umilkł, wyjął z kieszeni chustkę i wytarł czoło. Weklar zrozumiał.

– Moja matka nie żyje?

– Zimą czterdziestego czwartego, a chałupę mnie właśnie chciała zostawić, tylko...

– Dobrze, dziękuję, przyjdźcie do mnie jutro. – Potrząsnął głową, chciał być sam, siadł do wozu, przymknął oczy i oczekiwał miękkiego kołysania. Szofer nie ruszał.

– No?

– Dokąd obywatelu generale? – zapytał chłopak. Do Borowicy pojechał dopiero po dwóch miesiącach. Dziadygę należało właściwie odnaleźć, może miał naprawdę jakieś polecenie od matki, może wyrządzono mu krzywdę. Następnego dnia nie przyszedł, ale twarz pozostała w pamięci, generał mimo woli szukał jej na korytarzach idąc do swego gabinetu, na schodach do mieszkania, nawet na ulicy w tłumie przechodniów.

Drzwi do matczynego domu były otwarte, w wąskim przedpokoju (zwykle stała tu balia) czekała już kobieta.

– Jestem Roman Weklar – przedstawił się i wyjaśnił krótko, po co przyszedł. ! – Tu chyba coś zostało – rzekł – chcę zobaczyć.

Kobieta cofnęła się w głąb mieszkania. Generał ujrzał ptasią twarz, ostry nos, wargi wyschnięte i cienkie.

Pokój zmienił się niewiele. Szafa, reszta polityry już odpadła, powyłaziły nagie deski, żelazne staroświeckie łóżko ozdobione wytartym landszaftem, komoda...

Weklar spojrział na ścianę i zobaczył na właściwym miejscu portret Marty; nic mu nie było darowane w Borowicy! Na płótnie malowanym niegdyś przez przyjaciela pozostała twarz kobiety. Oczy nieco skośne, które zawsze dziwiły („Twoja matka puszczała się z Tatarem”), duże usta, zmarszczki na czole.

Stał z zadartą głową, patrzył. Kobieta, ciągle milcząca, podeszła do komody, wyszarpnęła szufladę i wyrzuciła na wierzch tekturowy album.

– Tu są jeszcze fotografie.

Weklar otworzył na chybił trafił. Niewiele tego było, w tamtych czasach nie uprawiali rodzinnego obrazkowania; ojciec sztywny, w czarnym garniturze, matka – w jasnej sukni, jedno uliczne zdjęcie Marty i wreszcie Stefan, pięcioletni, na warszawskim podwórzu u Kłosowskich. Zapatrzył się w fotografię syna, taką samą, jaką nie wiadomo czemu odebrał mu żandarm przy przechodzeniu francuskiej granicy. Głośno zaklął. Szukajcie się, ludzie, szukajcie w tym kraju, w którym spłonęły wszystkie ślady niby w piecu hutniczym.

– Pan generał usiądzie.

Dopiero teraz dostrzegł, że oprócz kobiety w pokoju jest jeszcze chłopak, może dwudziestoletni, w zielonej koszuli i lśniących oficerkach. Podał mu rękę, usiadł, milczał. Wołałby nie gadać, wiedział, że wszystko, co powiedzą, zostanie w nim na zawsze, będzie ćmić jak nie zabliźniona rana, dręczyć po nocach. Po cóż w końcu ta wiedza, żadna, nieistotna, przepuszczona przez filtr konwencjonalnego współczucia?

Tych dwoje bało się zresztą; strach wylaźił na twarz kobiety, rozrastał się w jej oczach, odsłaniał w drzeniu rąk. Z chłopcem było' inaczej. Zaciskał dłonie jak przed bitwą, wargi miał sine. Odważył się wreszcie.

– Pan generał z Rosji?

– Tak – powiedział zimno Weklar.

Wróciło panowanie nad sobą, wszystko już wiedział. Jak podczas przesłuchania, nie częstując, zapalił papierosa i pytał. To był jego powrót do domu, powrót rzeczywisty! Uśmiechnął się do banału, który uwił sobie gniazdeczko w mózgu, raz po raz dając znać o sobie. „Jesteś, jak zwykle, niemożliwie banalny”. Nieprawda, Marto.

– Jak umarła moja matka?

Wiedzieli więcej, niż można było z nich wycisnąć. Ostatnie dwa lata już nie szyła, żyła w nędzy. Sprzedawała coś niecoś z ogródka, nie starczało. Długo chorowała, lekarz był raz, raz tylko przyszedł, wypisał receptę i machnął ręką. Stary już doktor, jedyny w Borowicy, reszta to Żydzi, a hitlerowcy, sam pan wie!

– Ja go zawołałam – wykrzyknęła kobieta – poleciałam po niego i zapłaciłam. Zawsze

taka byłam; mówili „bolszewiczka”; bo to ludzie, jak coś wymyślą, to strzeż panie Boże. O matce też. Nigdy nic nie wiadomo: do kościoła nie chodziła, kto by się tam o nią troszczył.

– Mamo!

– Ja się już nie boję; nic pewnego na tym świecie...

– Jak umarła moja matka?

– W nocy, późną nocą, przyleciałam rano, to leżała już, biedaczka, nieruchoma, twarz niby żywa i ręce...

– Co: ręce?

– Mamo!

– Cienkie bardzo, dwie gałązki, takie wiotkie...

– Więc sama umierała?

Kobieta milczała.

– Pytam: czy umierała samotnie?

– Nie – odpowiedział chłopak – nie umierała samotnie. Był przy niej taki jeden dziadygą, stary znajomy...

– Jakiś typ! Przed wojną w kryminale siedział.

– Nazwisko?

Milczenie.

– Proszę podać nazwisko.

– Owczarski Klemens. On jest w Lublinie.

Weklar zanotował. Spojrzał na zegarek; był przekonany, że teraz kobieta zacznie gadać sama.

– Tę chałupę – krzyknęła – my prawnie zajęli. Byliśmy u notariusza i u burmistrza... Jeszcze za Niemców, Tak powiedzieli: spadkobierców nie ma, zresztą... niech się zjawia...

– To znaczy – powiedział generał – wyście prawnie objęli chałupę po moim ojcu?

Milczała, potem zagadała znowu.

– Pan generał się nie gniewa, pan generał przebaczy, to przecież stary drewniak, dwie izby. Pańska matka wynajęła mi jedną, miałam sklepik, nie przed wojną, a za okupacji... mój mąż – podniosła chustkę do oczu – zginął we wrześniu. Dawałam na kredyt, matka pana była mi winna, dużo winna.

– A tamten?

Nie było odpowiedzi.

– Wystarczy – powiedział generał. Patrzył na chłopaka, dwudziestolatek twarz miał czerwoną, wargi zagryzł, ręce wsadził głęboko w kieszenie spodni.

– Wystarczy – powtórzył. – Nic więcej nie chcę wiedzieć. Tymczasem.

Pamiętki, nieistotne drobiazgi, zagarnął w płachtę gazety leżącą na stole. Włazł na krzesło, zdjął portret Marty ze ściany i ruszył ku drzwiom nie patrząc już na nich.

– Panie generale – zaskamlała kobieta – panie generale...

Był już w korytarzyku, przeszedł tędy ostrożnie, żeby nie zawadzić o przeklętą balię, i znalazł się na słońcu, uderzyło go prosto w oczy. Minął podwórze, chciał jak najszybciej znaleźć się znów w aucie, ale ponieważ rzadko ulegał złudzeniom, wiedział, że będzie powracać, powracać nieustannie do matczynej samotnej śmierci, śmierci na pustkowiu, które było jego krajem. Przypomniawszy sobie naraz jedną z pierwszych lubelskich rozmów.

– Myśmy musieli zamykać okna – powiedziała pani – taki smród szedł z tego Majdanka, generale.

– No, dobrze, ale jak mogliście tu żyć, jak mogliście tu żyć przez pięć lat!

Kluk czekał na rogu. Wziął od niego portret i pakunek, wrócili do samochodu, wokół którego zgromadziła się już kupa bachorów. Dwaj milicjanci stali nieco dalej. Generał zawahał się, popatrzył na nich, ale machnął ręką i wszedł do wozu.

Przed Parczewem mijali wieś. Szosą, prosto na samochód, waliła w niezbyt wyrównanych czwórkach kolumna cywilów; szofer zwolnił, mogli więc przypatrzeć się dobrze temu wojsku odzianemu w łachy przyniesione z domu. Tylko paski zapięte po partyzancku na wierzchu, na starych marynarczynach, spodniach, grubych koszulach, świadczyły o „powołaniu do służby”.

Młody oficer w zawiadliwiej przekrzywionej furażerce zerknął do wnętrza wozu. – Kompania śpiewa! – ryczał przekrzykując warkot motoru.

*... Za górami, za lasami Tańcowała Małgorzatka z huzarami...*

Szofer nacisnął pedał, wylecieli ze wsi na przejrzystą równinę, kolorową we wrześnieowym słońcu.

– Jak w Sielcach – roześmiał się major Kluk. I dodał: – Rejon nakazanej koncentracji. 2 armia... Generał milczał, patrzył przed siebie w jakiś tam punkt za szybą. Może kazałby szoferowi stanąć i poszedł samotnie polną drogą w kierunku lasu, który sterczał na horyzoncie, dziwacznie znajomy i pamiętany, jak zresztą wszystko na tej ziemi. Może... Gdyby, oczywiście, nie wiedział, że dość czasu stracił już w Borowicy, i gdyby kiedykolwiek pozwalał sobie na uleganie nastrojom czy zachciankom pozbawionym rozsądnych motywów. Chociaż... Gdy 21 lipca przejechali Bug, a samochód wdrapał się na wzgórze, z którego widać już było Chełm, miasteczko oszczędnie pokrapiane złotem, Weklar polecił szoferowi stanąć i właśnie poszedł przed siebie dróżką ginącą w wysokim zbożu. Ale tamten spacer był



zrozumiały dla wszystkich, dla kierowcy, który usiadł przy szosie i ostrożnie gładził wątlutką trawkę, dla majora Kluka, który podreptał w innym niż generał kierunku, dla niego samego wreszcie, bo przecież jakoś musiało się odbyć powitanie ojczyzny, jeszcze zanim zobaczą ludzi, kwiaty, sztandary...

Szedł więc tą ścieżynką, prowadzącą jakby prosto w niebo, bo nic prócz błękitu przed sobą nie dostrzegał, i myślał o nieznanym a gwałtownej potrzebie czułości. Wówczas nie wiedział o śmierci matki, myślał więc także o niej, bardziej nawet niż o Marcie, albowiem wydawała się jedyną istotą, której można powierzyć sprawy tak osobiste, że aż samemu sobie rzadko wyznawane. Powierzyć nie oczekując odpowiedzi, pokwitowania czy też próby oceny. Nigdy nie dziwiły dotąd Weklara własne losy; wszystko, co go spotykało, traktował jako logiczne i konieczne. Tułaczka, zielone granice, żołnierska robota, w której tak zasmakował, jakby nigdy w życiu nic innego nie robił. Dopiero gdy minęli Bug, to, co było dotąd, co się z nimi działo w Hiszpanii czy Związku Radzieckim, nabrało nagle pełnego sensu. „Jestem tutaj” – powiedział i rozejrzał się wokoło, jakby chciał sprawdzić realność chwili, którą przeżywał. A jednocześnie przyszło mu na myśl, że przecież powinien otrzymać także zadośćuczynienie osobiste, że ma chyba prawo o nim pamiętać, gdy najważniejsze już się dokonało. Ale o jakimż to zadośćuczynieniu może marzyć generał Weklar? I czy w ogóle o to chodzi? Ścieżka wyskoczyła nagle ze zboża, generał stanął na łące podchodzącej już pod las. Obok kopca granicznego siedział dziesięcioletni może chłopak, bosy, w koszuli nieokreślonego koloru i czapce zbyt dużej, zawadiacko zsuniętej na tył głowy. Twarzyczkę miał niezwykle poważną, niemal dorosłą, patrzył na Weklara szeroko otwartymi niebieskimi oczyma. Wstał, gdy generał podszedł. Oglądali się tak nawzajem czas pewien, uwagę chłopca przyciągała szczególnie generalska furażerka z białym orzełkiem. Obejrzał też buty, koalicijkę, wężyki na rękawach munduru.

– No cóż – powiedział Weklar – dzień dobry, jak się masz?

– Dzień dobry.

– Widziałeś już polskich żołnierzy? Nie wiesz, że przyszli polscy żołnierze?

– Nie wiem – zamrugał oczyma – to pan będzie polski żołnierz?

– Jak widzisz.

– Polski żołnierz! – powtórzył. Spojrzał znowu uważnie na Weklara, który zdjął furażerkę i wycierał czoło chusteczką. – A ruskie też przyszli?

– Też. I Niemcy już nigdy tu nie wrócą.

Chłopak milczał. Poruszył parokrotnie ustami, a potem podszedł do generała.

– Niech pan da potrzymać?

– Co?

– Przecież czapkę...

Wziął ostrożnie furazerkę, pogładził orzełka i oglądał wężyki. – Co to jest?

– Naszywki generalskie.

– To pan będzie generałem?

– Aha.

Chłopak zwrócił furazerkę, właściwie podał ją Weklarowi na wyciągniętej dłoni, i puścił się pędem przed siebie. Bose pięty mocno uderzały o ziemię. Generał poczekał chwilę i ruszył powoli tą samą ścieżynką w kierunku szosy. Nie myślał już o zadośćuczynieniu. Gdy opuszczał Polskę przed dziesięcioma laty, jego syn był w wieku tego chłopca. Ale wówczas Weklar nie wiedział nic o przyszłości i Stefanowi mógł ofiarować mniej niż dziecku spotkanemu na łące...

Minęli Lubartów, dojeżdżali do Lublina. Weklar zapatrzył się, nie widząc, w nakreślone już na niebie wieże miasta.

## 2

Zadzwoił telefon. Generał zapalił nowego papierosa i podniósł słuchawkę. Meldował się pułkownik Pstroński.

– Słucham. – Domyślał się zresztą, co usłyszy: Pstroński nie należał do gatunku ustępliwych, będzie mu wbijał w głowę swoje racje jeszcze przez czas dłuższy. Dla nieustępliwych Weklar miał szacunek, ale własne zdanie zmieniał rzadko, a jeszcze rzadziej podjętą decyzję.

– Wy w sprawie Świętowca, pułkownika?

Pstroński mówił krótkimi zdaniami. Absolutnie się nie zgadza, aby Świętowca przenieść z oddziału sztabu, którym kieruje generał, do dyspozycji dowódcy

2 armii. Argumenty: zasłużony oficer, alowiec, znakomity organizator; potrzebny tu, w Lublinie, nie w linii. Zła gospodarka kadrami, których tyle, co kot napłakał...

– Wyraziłem zgodę na jego raport – odpowiedział Weklar. – Decyzji cofnąć nie można.

– Można – trzeszczał głos Pstrońskiego. – Sami rozumiecie, że wasza decyzja ma znaczenie szersze niż sprawa Świętowca.

– Nie ma – uciął generał. Wiedział jednak, że nie mówi całej prawdy. Przy rozstrzygnięciu raportu Świątowca zastosował także swoją niezmienną zasadę: najlepszych do jednostek frontowych.

– Jestem innego zdania – oświadczył Pstroński. – Pozwolicie do siebie jeszcze przyjechać?

– Przyjeżdżajcie. – Generał zrozumiał, że owo „jeszcze” oznacza przestrożę. Później Pstroński będzie interweniował w dowództwie.

Pochylił się nad biurkiem, wpatrzył w jakieś zestawienie, które miał właśnie podpisać. Wczoraj Pstroński siedział naprzeciwko niego: suchy, nienaturalnie chudy, wystające kości policzkowe na wąskiej twarzy. „On ma cholernie gorące oczy” – mówił o pułkowniku major Kluk. Istotnie. Gdy Pstroński zaczynał gadać, pasja wybuchała na zewnątrz, słowo nie było nigdy czymś wypowiedzianym ot tak sobie, ale celnie wystrzelonym nabojem.

– Wy, generale, na wszystko macie gotową odpowiedź: front! Wyście przyszli z armią, a ja walczyłem w kraju i ja wiem, że główne problemy rozstrzygać będziemy tu, na zapleczu. I te, które zadecydują o wartości naszego wojska, również.

– Dobrze, dobrze. Już słyszałem i będę myślał o froncie. To, pułkowniku Pstroński, na jedno zresztą wychodzi. Zagadnienia najtrudniejsze na zapleczu rozwiążą się w drużynie i kompanii. Czy chcesz walczyć z Niemcami? Czy rozumiesz, kto ci dał broń do ręki? Oto papierek lakmusowy...

– Wybaczcie, obywatelu generale, zbyt proste. Trzeba rozumieć sytuację w kraju.

Weklar nie odpowiedział. Trzeba rozumieć! Czy Pstroński uważa, że dziesięcioletnia tułaczka na obczyźnie pozbawiła go umiejętności oceniania sytuacji? Że on, Weklar, jest oderwany od kraju! Pułkownik nie sformułował zarzutu, zapewne w ogóle nie miał tego na myśli, ale bolało generała, że taki sens można by nadać jego słowom, że do takiego argumentu można by się uciec podczas dyskusji z nim, Weklarem, który przecież i w Hiszpanii, i w Związku Radzieckim żył w samym centrum polskich spraw, trudnych, bolesnych i poplątanych. Czy odczytuje teraz właściwie to, co widzi we własnym kraju? Zadawał sobie to pytanie od pierwszej chwili, gdy Polska zaczęła walić się nań krajobrazem, wspomnieniem, tłumami ludzi, tłokiem spraw, których nie można było tak uporządkować, aby tkwiły posegregowane w szufladach, spokojnie czekając na rozstrzygnięcie.

Ludzie mówili: „Myślałem, że będzie inaczej”. Na próżno chciałby kto otrzymać dokładniejsze określenie tego „inaczej”, słówka, w którym zawarta została dziwaczna polska mieszanka radości, rozczarowania i goryczy.

Wkraczali do miast witani przez tłumy ludzi. Czego brakowało im w twarzach

uśmiechających się na ich widok, w domach przybranych sztandarami, w kwiatkach podawanych przez dzieci?

Czy ci, którzy stali wzdłuż dróg i ulic, patrząc na ich mundury, na ich broń, mogli myśleć: „Byliście oderwani od kraju, kraj żył własnym życiem”.

Nie, nie byliśmy oderwani od kraju. I nikt tak zapewne nie myślał, bo należy już do polskiej tradycji, że żołnierze wracają z obczyzny...

Na lubelskiej ulicy panował tłok, Weklar przedzierał się w kierunku Spokojnej. Z okien samochodu ulica wyglądała inaczej, była żywą, drgającą taśmą, zmienną i niesłychanie kolorową. Kobiety w pookupacyjnych stroikach, mundury i biało-czerwone opaski, oficerki i kierzowe buty, półwojskowe koszule młodych chłopców, łachmany tych, którzy przybyli tu wczoraj, partyzanckie automaty, napisy, hasła i wszystko to nagle okryte melodią walącą z głośnika.

Gdy wysiadał z samochodu, Lublin zastygał. Grupy młodych ludzi gromadziły się na rogach, biało-czerwone i rdzawe, niesłychanie rozmaite, ale już w szczegółach, które można było dostrzegać. Rozróżnić mógł wyraz twarzy, słowo powiedziane zbyt głośno.

– Patrz... generał!

– Ale generał!

Weklar nie spoglądał w tamtym kierunku; sprawdzał swoją nieczułość, gruboskórność, witał się z Lublinem nad głowami ludzi, nad uśmiechem poufałym i ironicznym; badał lubelski kocioł, który powstał poza nimi i w którym dopiero zaczynali mieszkać. „Mobilizacja na terenach wyzwolonych przyniesie nam 400 tysięcy ludzi”.

„DLACZEGO TY NIE JESTEŚ W WOJSKU?” – Przed żołnierzem na plakacie – młodzi chłopcy w oficerkach. Co myślą? To zupełnie nieważne, co myślą teraz. Ich losy nie rozstrzygną się w Lublinie. Po to, aby mógł się sprawdzić rachunek, trzeba wygarnąć ich z ulic, ażeby zupełnie jednakowi, tacy sami, ustawili się czwórkami w rejonie koncentracji. Będzie wtedy kłopot: o mundury, broń, dowódców. Rzeczywista znana troska, z którą człowiek jest za pan brat, i której się nie boi mimo wszystko. WARSZAWA PŁONIE. W WARSZAWIE TRWAJĄ WALKI!

A wy, towarzyszu Pstroński, rozumiecie ten kraj? WEŹMIEMY NA SIEBIE ODPOWIEDZIALNOŚĆ. 1 ARMIA WKROCY DO POLSKI NIOSĄC WYZWOLENIE I BĘDZIE PIERWSZĄ REGULARNĄ SIŁĄ WOJSKA LUDOWEGO, DUMĄ SWEGO NARODU.

Drugiego czy trzeciego dnia pobytu generała w mieście przybył Pstroński. W kusej marynarczynie, zarośnięty, prosto z tamtej strony. Wartownik nie chciał go puścić, porucznik

w adiutanturze przyglądał mu się z nieufnością.

Przed wojną nie znali się; Pstroński był młodym chłopcem w ruchu młodzieżowym, Weklar poważnym działaczem partyjnym. Siedzieli naprzeciwko siebie badając się nawzajem, sprawdzając gesty i słowa, jak przyjaciele po długim niewidzeniu.

– My i wy – powiedział Pstroński. Potem dopiero zespolił te dwa zaimki i dodał: – My i oni.

Mundur i samochód – to były pierwsze rzeczy, które mógł generał ofiarować Pstrońskiemu. – Nie traktujcie nas – rzekł wówczas pułkownik – jak młodszych braci. Tu nie ma młodszych braci.

– Jestem jednak nieco starszy od was – roześmiał się generał. Był w lipcowym nastroju, nie miał czasu na subtelności. Ulicami waliły czołgi 1 armii, z przedmieść wkraczały do Lublina oddziały partyzanckie, ludzie brali się w ramiona i patrzyli sobie w oczy.

Na murach – Manifest.

Pstroński otrzymał w sztabie stanowisko kierownicze, Świętowca dowództwo przydzieliło Weklarowi. Generał cenił majora; jakoś łatwiej gadało się z nim niż z pułkownikiem. Świętowiec był też dla Weklara głównym źródłem wiedzy o walce toczonej w kraju podczas okupacji; nie o sprawach zasadniczych, oczywiście, ale o atmosferze, ludziach, przeżyciach.

– Nie, generale, nie zrozumcie mnie źle – opowiadał któregoś dnia Świętowiec – daleki jestem od twierdzenia, że odwaga osobista stanowi o wartości człowieka. Ale w warunkach, w jakich myśmy się znajdowali, na przywódcach spoczywały obowiązki szczególne. Myśmy musieli zdobywać ludzi wbrew szablonom myślowym, które wydawały się oczywiste. Nie byliście w kraju, trudno wam sobie wyobrazić... Nad nami to ciągle wisiało: nie uwierzą, wmieszają do ogólnego kotła. Tamci mieli kadre, broń, pieniądze... Reprezentowali. Ale myśmy ciągle wylazili na wierzch swoim upartym działaniem. Na nas patrzyli, zmuszaliśmy ich nie tylko do liczenia się z nami... my przejęliśmy inicjatywę, oni musieli odpowiadać, ustawiali się w stosunku do nas. Nie, chodzi nie tylko o to, że po naszej stronie była racja. Oni prowadzili politykę samobójczą na ogromną skalę; mądrzy zdawali sobie z tego sprawę, pociągali za sobą tysiące, których nie umieliśmy im > wyrwać. Na tym polegała nasza tragedia; nie stać nas było na jakąkolwiek ; rozrzutność. Graliśmy wygraną partię, w której nie można uruchomić nawet ćwierci sił.

Dlaczego o tym mówię? Dla was, ludzi od początku w mundurach, wszystko jest prostsze, prowadzicie wojnę znając wielkość własnych sił. Na mapie są pułki i dywizje, wiadomo, że nimi trzeba rozporządzać i zwyciężyć. Myśmy organizowali swe rezerwy w toku

boju, stwarzaliśmy nowe sytuacje śmiałością, a niekiedy wręcz nierozważą. Dokonywaliśmy akcji bezcelowych z wojskowego punktu widzenia... ginęli dobrzy bojowcy, a myśmy widzieli, jak rosną nasze szeregi.

Pracowaliśmy wówczas z Pstrońskim w Kieleckiem. Oddział liczył trzydziestu ludzi, dziesięć karabinów, dwa pistolety. Otrzymaliśmy rozkaz likwidacji szefa żandarmerii w Brzezinach; był wyjątkowo niebezpieczny, miał dobrą siatkę, kontakty, drań złapał paru naszych towarzyszy. Mówił po polsku, mazurzył; chudy, wysoki, gęba oszpecona szramą na policzku. Dokonał wywiadu. Okazało się, że rzecz jest całkowicie banalna. Miał babę na przedmieściu, w domku z niewielkim ogródkiem; dalej – pola, szosa, las. Nie będę gadał ze szczegółami. Pstroński wyznaczył do akcji dwunastu; dziewięciu – obstawa, trzech – wykonuje. Zastawialiśmy sidła dwukrotnie, trzeciego dnia przylazł. Trzeba wam wiedzieć, że to była pierwsza poważniejsza akcja tej grupy, rok czterdziesty drugi. Chłopcy zajęli stanowiska w kartofliskach przy drodze. Był późny wieczór, wrzesień tak jak dziś, widno.

Wykonywać poszliśmy we trójkę: Pstroński, ja i młody chłopak, takie właściwie dziecko, Kazik. Baba otworzyła nam drzwi, nie zdążyła nawet krzyknąć. Wpadliśmy do pokoju; facet siedział bez pasa i pistoletu, rozwalony w fotelu. Myśleliśmy, że Pstroński natychmiast strzeli. Hitlerowiec stał przed nami z rękoma podniesionymi do góry i drżał jak osika. Każda minuta była droga. Nie wiedzieliśmy zresztą o obecności tego trzeciego i o telefonie. Wywiad, jak się potem okazało, przeprowadzony był do luftu. Ten trzeci zaś, brat baby, z telefonu stojącego w drugim pokoju zawiadomił żandarmerię i uciekł do piwnicy. Pułkownik rozpoczął tymczasem indagację. Chciał znać nazwiska, wyciskał je z Niemca, wyduszał strachem i obietnicą; facet skręcał się, pot spływał mu z twarzy, był w tej męce i lęku jakiś bardziej ludzki czy może zwyczajnie bezbronny. Światło z okna, a on sterczał jak pod reflektorem, rąk nie opuszczał, tylko je wyginał w stawach, cierpiał, charczał, ślina spływała po podbródku.

– „Na kolana!” – ryknął Pstroński, gdy żandarm wymienił pierwsze konfidenckie nazwisko. Niemiec zwałił się na podłogę i wtedy właśnie Kazik dostrzegł tyralierę; zbliżali się od szosy, szli bardzo cicho i szybko, a nasi milczeli. Pułkownik strzelił i ruszyliśmy do drzwi; przed gankiem przystanęliśmy na sekundę, jakby szukając kierunku, zanim dobiegliśmy do furtki, zagrał erkaem. Nasi odpowiedzieli nareszcie z kartofliska, bieglśmy przez pole grzęznąc w mokrej glinie. Kierunek odwrotu przewidziany w planie: las. Mieliśmy jeszcze wszystkie szanse.

I dopiero wtedy spostrzeżliśmy, że nie ma Kazika. Pstroński zatrzymał oddział w kartoflisku i wrócił. Kazik leżał przy furtce, dostał w głowę, krew zalała oczy, chyba nawet

nie cierpiał.

– I co? – zapytał generał.

– Z oddziału zostało nas czterech – powiedział Świętowiec. – Do lasu musieliśmy się już przebijać. Świętowiec chodził nieco zgarbiony; był to siwy starszy jegomość, który znakomicie nadawałby się na nauczyciela. Można go sobie było wyobrazić na katedrze; podnosił w górę dwa palce i poruszał nimi, zręcznie skupiając uwagę słuchających. Trudniej natomiast było umiejscowić Świętowca w akcji bojowej; nie pasował chyba do okopu, a czy będzie umiał pchnąć ludzi, przemóc strach, który obala na ziemię i nie daje podnieść głowy?

A jednak generał podpisał raport majora, a podpisując dodał nawet, że wyrośnie z niego znakomity oficer bojowy. Chociaż właśnie Weklarowi będzie brakowało Świętowca...

Tak, to na pewno. Ale jednocześnie generał nie ukrywał przed sobą, że w Świętowcu coś go niepokoi. Pstrońskiego szanował, choć nie zawsze się z nim zgadzał i, co tu ukrywać, nie lubił, ale majora nie rozumiał. Choćby to partyzanckie wspomnienie... Czegóż właściwie Świętowiec pragnął dowieść? Osobistej odwagi Pstrońskiego? Nieuchronności strat? Wyjątkowej sytuacji podziemia? To przecież rzeczy oczywiste. Albo jego raport? Czy chciał naprawdę iść na front? No cóż: facet niegłupi, odważny, da sobie radę. Bo najważniejsze: robić wojsko...

### 3

Gość, którego wprowadzono do Weklara, był tłusty i niziutki. Usiadł po drugiej stronie biurka, zapalił fajeczkę i wpatrywał się w generała małymi mrugającymi oczkami.

– Pan generał mnie nie poznaje?

Nie, nie poznawał.

– Brzecki jestem, z Borowicy.

Znowu Borowica! Weklar poszukał tego nazwiska w pamięci. Oczywiście, tak! Błaznana tablica na rynku. Stefan Brzecki, kancelaria adwokacka. Gruby głos: „Ja was, młody człowieku, wyciągnę”. Mecenas Brzecki bronił Weklara w 1929 roku.

– Co was do mnie sprowadza?

Gość odpowiadał nie wypuszczając z ust fajki; zgłosił się do generała, zna go bowiem jeszcze sprzed wojny i czuł się, hm, uprawniony. Rząd – poprawił się – Delegatura Rządu wyznaczyła go jeszcze podczas okupacji na eksponowane stanowisko w Lublinie. W

województwie. Miał objąć urządowanie przed wkroczeniem wojsk rosyjskich. Koledzy zdążyli zająć gmach, wyprosili ich zresztą stamtąd natychmiast. Ale on nie poszedł, zgłosił się do nowej władzy oświadczając, że rezygnuje. Oświadczenie przyjęto ze zdziwieniem.

– Nie mogli zrozumieć, o co mi chodzi, z czego właściwie rezygnuję, rozumie pan, generale?

– Tak, rozumiem. Więc?

Grubas rozłożył ręce. – Nie mam z kim gadać, nie wiem, do kogo pójść!

– Przyszliście do mnie. O czym chcecie rozmawiać?

– Jak to: o czym? – Twarz Brzeckiego stwardniała, wydawała się teraz ostrzejsza i bardziej kanciasta.

– Minęła okupacja, powstaje czy też ma powstać, jak pan generał woli, państwo polskie. Czuję się uprawniony, aby w tym, hm, uczestniczyć.

– Słusznie. To obowiązek każdego Polaka: uczestniczyć na miarę swych sił.

Brzecki machnął ręką. – Nie chodzi o obowiązek. Postanowiłem rozmawiać z panem szczerze. Jestem człowiekiem starym i niestrachliwym, przez pięć lat byłem w robocie podziemnej, nabrałem doświadczenia... nie przeraża mnie ryzyko, cały jestem utkany z ryzyka. Pojmuje pan? Przed wojną spokojny adwokat, ojciec rodziny, obojętny politycznie, chociaż od czasu do czasu broniłem komunistów. Zdawało się wówczas, że tamta Borowica przetrwa do końca moich dni. Ale cóż, wszystko minęło bezpowrotnie, żona zginęła w Dachau.

– Przykro mi...

– Dziękuję. Znowu nie o to chodzi. Nie wrócę już do adwokatury, a nie umiem być beczynny. Cóż mi pozostaje? Nie będę konspirował, ponieważ liczę się z rzeczywistością, a rzeczywistość jest taka, że weszliście tutaj i prawdopodobnie nie wyjdziecie. – Zgasła mu fajka, generał pochylił się nad biurkiem i podał Brzeckiemu zapalniczkę. – Nie wyjdziecie. Nie mam powodu, by udawać zachwyconego, to chyba rozumiały. Ale tak jest. Polacy to przedziwny naród, daje się oszukiwać niezmiernie łatwo; przez pięć lat wierzyliśmy Anglii, trzeba nareszcie pozbyć się tej wiary. Naród nie może prowadzić bezsensownej ani samobójczej polityki, naród musi istnieć. Krótko więc: chcę ustalić, czy można z wami współpracować. Mówię, oczywiście, tylko we własnym imieniu, chodzi mi tylko o mnie.

– Czy z nami można współpracować – powtórzył generał. Roześmiał się. – Nie rozumiem waszego pytania. W waszych oczach na skrawku naszej ziemi powstaje nowa Polska, ludzie idą do wojska, chłopci biorą obszarnicze grunta, przepędzono okupanta, a wy zadajecie pytania!



Brzecki pochylił się jeszcze niżej. Podbródkiem dotykał grubego szkła leżącego na biurku. – Mówimy różnymi językami – powiedział. – Mnie może nie podobać się wasza reforma rolna, wasze propozycje gospodarcze, ale to przecież szczegóły. – Umilkł, a potem dodał nagle: – Omyliłem się, pan tego nie zrozumie.

– Cóż to za brednie!

– Żadne brednie, panie generale. Jestem starszy od pana, przeżyłem inny los. Mogę pojąć bardzo wiele i zgodzić się na bardzo wiele, ale muszę wiedzieć jedno: czy mam do czynienia z ludźmi, którzy prowadzą polską politykę?

– Cóż to waszym zdaniem znaczy: „polska polityka”?

– Polskie polityki mogą być rozmaite: skuteczne i nieskuteczne, złe i dobre. Można się kłócić o sojusze i o granice, o charakter konstytucji i o potrzebę reform gospodarczych. Można sobie nawzajem skakać do oczu i zamykać się do mamra. Zaplutego karła nie wyście wymyślili; jeszcze ś. p. marszałek Piłsudski mówił o zaplutym karle endecji. Ale Piłsudski prowadził polską politykę, chociaż popełniał grube błędy, Sikorski też...

– I może Beck też? „Polską” politykę wrześniową?

– Tak, mam odwagę potwierdzić. Złą, głupią, nieskuteczną, ale polską...

– Ja powiem...

– Pan generał powie: burżuazyjną. Mnie nie straszą przymiotniki.

– Jednym słowem: gadanie o' siedemnastej republice...

– Pan upraszcza, panie generale. Chodzi mianowicie o to, co dla was jest kryterium zasadniczym: Polska czy koncepcje ustrojowe?

– Nie istnieje taka rozbieżność ani konieczność wyboru. Polska, jedynie możliwa, jedynie niepodległa, jest Polską ludu...

– A gwarancje niepodległości?

– Jakie znowu gwarancje?

Grubas pokiwał głową. – Nie istnieje żadna gwarancja. Jedyna to dobra wola Rosji.

Generał machnął ręką. – Trafaret waszej propagandy! Wierzcie sobie zresztą w dobrą wolę Anglii, jeśli bardzo chcecie. Nigdy nie miałem ochoty przekonywać mecenasa Brzeckiego z Borowicy. Nigdy – powtórzył. – A zresztą, zastanówcie się, z jakiego to tytułu, w czym to imieniu . zadajecie pytania? Chcecie współpracować? Pracujcie, roboty dosyć. Pamiętajcie tylko, to wam zadadzą pytanie: czy jesteście godni zaufania?

– Jak to: ja?

– Wy, panie Brzecki. Co robiliście podczas okupacji? Co robicie teraz, gdy natężamy siły, aby wysłać na front polskie dywizje? Nie chcecie naszej Polski, chcecie Polski innej, to

zrozumiałe. Czy można wam wierzyć, że dokonacie zwrotu i pójdziecie z nami?

– Można, nie można. Pan generał zna sytuację. Ludzie nie ufają, ludzie się boją, wychodzą z lasu i chowają broń albo wracają do lasu, albo jada...

– Wystarczy.

– Dlatego sądziłem, że zechcecie ze mną gadać.

– O czym? Mówicie: „ludzie”. Mówicie: „boją się, chowają broń”. Wolne żarty, panie Brzecki. Zachowajmy proporcje. Konkretnie fakty są takie, że za pół roku będziemy mieli na froncie armię, o jakiej marzyć by nawet nie mogli panowie Sikorski, Bór czy Anders. Więc o czym chcecie gadać? Co reprezentujecie?

– Nic i nikogo. Niechże tak będzie. Przyszedłem do starego znajomego, człowieka, którego bronilem przed piętnastoma laty.

– To zmienia postać rzeczy. Starych znajomych przyjmuję chętnie. Napijcie się?

– Z przyjemnością.

Mecenas podniósł kubek do ust i wlewał w siebie płyn bez skrzywienia. Milczeli.

– Szukam – rzekł wreszcie Brzecki – gruntu, na którym moglibyśmy się porozumieć.

– Znowu! Ale w jakiej sprawie, o co właściwie chodzi? Wy, Brzecki, i ja, Weklar, mamy się porozumieć. Będzie to chyba trudne, od początku bowiem świata o najważniejszych sprawach myśleliśmy inaczej. Ale jeśli jesteście uczciwym człowiekiem, to w końcu się dogadamy.

Grubas, nie proszony, nalał sobie znowu wódki i wypił jednym haustem pół kubka. Alkoholik, pomyślał Weklar.

– Ja – rzekł Brzecki odsuwając kubek – jestem teraz bez miejsca. Czy pan rozumie, generale? Dlatego właśnie tu przyszedłem i pojmuję teraz, że niepotrzebnie zawracałem panu głowę niezbyt strawną problematyką polityczną. W ogóle o nią nie chodzi. Pał to wreszcie diabli, że z wami nie można się dogadać. Łazicie w polskich mundurach, chcecie bić Niemców, wystarczy. Więc chciałem prosić pana o pomoc: pragnę wstąpić do wojska!

Wstał z krzesła, lekko chwiejąc się na krótkich nóżkach.

– Kapitan rezerwy Stanisław Brzecki!

– Ile macie lat?

– Sześćdziesiąt jeden.

– Cóż wy, człowieku...

– Do widzenia, majorze – powiedział generał. – Szczęścia życzę. – Uśmiechnął się. –

A róbcie z nich dobre wojsko.

– Tak jest, obywatelu generale.

Zostali sami w gabinecie. Plama słoneczna spelzała powoli ze ścian na podłogę, usianą niedopałkami papierosów.

– No cóż – rzekł Pstroński – no cóż – powtórzył – chłop gryzł się niepotrzebnie. Zawsze był taki: zbytnio wrażliwy. Szkoda jednak, generale, że nie zmieniliście decyzji.

Wyczekał chwilę, a ponieważ Weklar milczał, ciągnął dalej:

– Nie powinien tak mocno przywiązywać się do własnych ocen: niebezpieczne to i szkodliwe. W tych warunkach każdy z nas ma obowiązek zostawiać pokaźny margines na możliwość błędu. Margines nieufności. Nikt nie przeczy, że pertraktacje z Więckowskim należało prowadzić...

– Ja pozwoliłem.

– Wiem, towarzyszu Weklar. Więckowski przyprowadził ludzi, Świętowiec był gotów ręczyć za tego... majora własną głową. A on przygotowywał dezercję.

– Świętowiec poczuł się winny, a wy go w tym umocniliście.

– Niesłusznie. Nie miałem obowiązku informowania go o krokach, które byliśmy zmuszeni przedsięwziąć.

– Nie mieliście. A on złożył raport i ja go podpisałem.

Spojrzeli na siebie uważnie. Pstroński przez szkła okularów, ostatnio zaczął je nosić.

– Wszędzie potrzebni są nasi oficerowie – powiedział generał – a tam przede wszystkim.

Drzwi otworzyły się cicho; major Kluk wszedł do gabinetu i czekał na progu, aż Weklar skończy mówić.

– Jakaś kobieta do was, generale. Nazywa się Marta Olewicz.

Weklar oparł się mocno o biurko. Zatańczyły przed oczyma czerwone kręgi, poczuł, że twarz ma zanurzoną w wilgotnej mgle, zapomniał o obecności Pstrońskiego, nie wyciągnął chusteczki, żeby zetrzeć łzy, które spływały po policzkach.

Marta! Stała na progu w chustce zawiązanej na głowie i szerokiej wiejskiej spódnicy.

– Marta!

Rzucił się ku drzwiom, a potem usłyszał, że Pstroński także powtórzył jej imię.

# LAS

## 1

– Przywieźli – powiedział Maczuga. – Przywieźli – powtórzył głośniejszym głosem, aż stary Antoni Grał spojrział na niego uważnie.

Siedzieli na ziemi, a właściwie na deskach zwalonego płotu, który otaczał niegdyś opuszczoną chatę. Łagodne słońce wrześniowe oświetlało wioszczynę, przykucniętą u podnóża lasu pnącego się nieco w górę nierówną ciemnozieloną Unią. Chat było niewiele, oddalone od siebie wydawały się wszystkie martwe i zabite na głucho.

– Ludzie tu nie żyją czy jak? – odezwał się znowu Maczuga. Nikt mu nie odpowiedział. Stary Grał rozsiadł się wygodnie, ściągnął buty i brudne nogi wystawił na słońce. Z kieszeni wytaszczył cienki woreczek z tytoniem.

– Jeszcze własny?

Pokiwał głową. Nie chciało mu się widocznie gadać, oczy przymknął, twarz mu stężała, jak gdyby spał. Maczuga popatrzył na swoje nogi. Podeszwa od prawego trzewika odklapała już na dobre; nie było powodu do zmartwienia, bo dadzą pewnie nowe, ale poczuł świeży przypływ żalu. Jeść mu się chciało, ale głównie spać, głowę by zanurzył w te chwasty pod płotem, jak w miękką poduszkę, żeby człowiekiem nic już nie trzęsło, żeby nie musiał turlać się w bydłonym wagonie i leżeć nieznaną drogą.

– Przywieźli! – znowu zagadał. Las był wszędzie, co prawda, taki sam, chałupy także, ale obcość wyłaziła zewsząd podobna lepkiej mgłę, nawet Grał, którego pamiętał od dziecka, był tutaj inny. Gęba mu pewno po prostu zarosła, tylko oczy łyskają spod szczeciny. Ze też i Antoniego wydłubali, przecież mu już dobrze pod pięćdziesiątkę poszło!

Śpiewali. Szli od łąki i śpiewali, a ktoś powtarzał co chwila: raz, dwa... dwa.

*Tańcowała... Małgorzatka z huzarami...*

– Tańcowała.

– Co tam miamlisz? – nareszcie odezwał się Grał. Głowy do niego nie odwrócił, tylko ciągle wystawiał na słońce. – Palić chcesz?

Maczuga skręcił papierosa, zaciągnął się mocno. Pomogło. Za mało zabrał tytoniu z domu, zostawił matce. Niech sprzeda, i tak staruszce niewiele z życia. Poszperał po

kieszeniach, nic nie było. Ostatni kawałek chleba zjadł w Kąkolewnicy; powiedzieli, że już, a tu wał, człowieku, na piechotę jeszcze piętnaście kilometrów.

Z chałupy wyszedł oficer. Był młody, niemal dzieciak; popatrzył na nich obojętnie, Maczega poczuł jego wzrok, sięgnął ręką do czapki, żeby ściągnąć z głowy. Ale oficer już zniknął, na progu stał sierżant, niski, czarny z wąsikami.

– „Kazak” – powiedział któryś z młodszych.

– Wstać! – ryknął sierżant. – Do zapisu.

Cisnęli się na progu chaty, każdy złapał do ręki tobolek i pchał naprzód, jakby mu brakowało czasu. Maczega pozostał nieco w tyle, drewniany kuferek postawił na ziemi i rozglądał się po ludziach. Ciekawy był zwykle nowych. Cuchnęło od nich potem i kiepskim tytoniem, każdy wlepił oczy w drzwi jak w ołtarz i torował sobie drogę łokciami. Obok Michała stał młody chłopak, cienki i wysoki jak tyka chmielowa. Na małej głowie sterczała zawadiacko furazerka. Też został nieco w tyle i obojętnie spoglądał na kotłujący się tłum.

– Coś się, stary, zagapił – warknął. Michał dopiero po chwili zrozumiał, że do niego mowa.

– Nie, ja tam nic.

Młody roześmiał się. – A skąd ty jesteś, dziadku?

– Ja? – zdumiał się Maczega – iz pod Słonima.

– Iz pod! – rechotała tyka chmielowa. – Żeś zawędrował iz pod aż do polskiego wojska.

Na niebie, dotąd błękitnym, ukazała się pierzasta chmura i utkwiała na wierzchołku sosen. Powiał lekki wiatr, Maczega poczuł go na policzkach, otworzył usta i łykał jak wodę. Nagle ugięły się pod nim kolana; zmęczenie wylazło i trzepnęło nim tak ostro, że usiadł na kufierku.

– Wstań, dziadku – mruknęła tyka. – A to oferta, tylko by na przyzbie leżał.

Wchodzili do izby po pięciu. Sierżant odliczał, a gdy wpuścił partię, wylatywał z pyskiem na resztę.

– Nie pchaj się, jeden z drugim, bydlaku niedokształcony, owce, a nie wojsko...

– Warszawa – mruknęła tyka.

Przy stole na krzyżakach tkwił czarnowłosy kapral z piórem w rękę. Po izbie, zwyczajnej – nawet obrazy na ścianach zostawili – łąził tam i z powrotem ten sam młody podporucznik. Maczega zdjął czapkę i podrapał się po włosach. Rozkudławione miał i wilgotne, ześlizgujące się na czoło, przejechał po nich rozwartą dłonią, niewiele pomogło.

– Przyszliście do polskiego wojska – powiedział podporucznik. – Idziemy bić

faszystów, czego najpierw trzeba się nauczyć. Rozumiecie? Przydzielono was do 2 batalionu, gdzie dowódcą jest major Świętowiec. Żeby jeden z drugim zapamiętał. A teraz trzeba podać wszystkie dane, bez zatajania, bo i tak na wierzch wypłynie.

Podchodzili do stołu po kolei. Chmielowa tyka była przed Maczęgą.

– Sęk Tadeusz – wybijał słowa. – Rocznik dwadzieścia dwa. Lublin.

– W wojsku byłeś? – pytał kapral nie podnosząc oczu.

– Partyzantka – rzekł Sęk już ciszej.

– AK?

– AK. 27 Dywizja.

– Stopień wojskowy?

– Kapral.

– Specjalność?

– Jaka tam specjalność! Partyzaniłem.

– Następny.

– Maczęga Michał, lat trzydzieści siedem, to znaczy – zaciął się – dziewięćset siódmy rok. Powiat słonimski, wieś Kowale.

– W wojsku służyłeś?

– Nie, nie służyłem. Nigdy jeszcze.

Wtrącił się podporucznik.

– Dlaczego nie wzięli?

– Nie wzięli... – Poszukał w pamięci, jakby mu kto ukradł tę wiedzę... – Dlaczego? – powtórzył.

– Nie strugajcie wariata, mówcie, jak było.

– Gruźlica. Uznali, że gruźlica – dokopał się wreszcie Maczęga. – I matka sama jedna.

– A teraz?

– Doktor powiedział, że minęło. Zaleczyli.

Oficer machnął ręką. – Odmaszerować.

Maczęga uklonił się niezdarnie i ruszył ku drzwiom. Na progu słyszał: Grał Antoni, jeszcze z carskiej armii.

... Wojsko maszerowało przez wieś. Nie wojsko, lecz cywile poustawiani w czwórki. Wieś jednak żyła, z chałup wychylali się tu i tam ludzie, baba niosła wiadra wody, przy drodze bawiło się dziecko. A oni tkwili wśród tego zwyczajnego dnia, sierżant biegał naokoło kolumny, niby pies strzegący stada. Na skraju wsi widniał budynek większy, murowany, okna pozabijane deskami.

– Kom-pa-nia stój! – ryczał sierżant. Maczuga stanął i zobaczył, że wylazł z czwórki.

– Oferma – mruknął Sęk, idący na prawym skrzydle.

Podchodzili do domku, z wnętrza buchało gorąco.

– Ściągać łachy!

Koszula była cała lepka, przywarła do ciała jak plaster. Maczuga ściągał ją z trudem, potem zwinął i położył na ziemię.

– Dadzą?

– Pewno, że dadzą; nie bądź taki strachliwy.

– Kalesony też?

– Aha.

Przed chwilą każdy z nich był inny, teraz utracili odrębność, nawet chmielowa tyka nie wyróżniała się tak mocno.

Oglądali się nawzajem, ale już jakby inaczej, bez kpiny i śmiechu.

– Gieroj to ty nie będziesz – powiedział Antoni, który się nagle znalazł obok Maczugi.

Michał nie zaprzeczył; nie każdy ma takie bary i mięśnie, przyjemnie było popatrzeć na starego, prezentował się jak siłacz z cyrku.

Przed łaźnią dziewczyna w mundurze rozdawała szarą maść. Maczuga spojrział na nią bezmyślnie, a potem zanurzył się w gorącym powietrzu jak w miękkiej pierzynie.

## 2

Las był najlepszy, Maczuga tęsknił do lasu, choć ten za wioską niewiele przypominał jego rodzinną puszcę. W tamtej można się było zanurzyć i wędrować aż do Różany sobie tylko znaną ścieżynką i żaden Niemiec człowieka nie wypatrzył, las mógł ofiarować bezpieczeństwo całkowite. Tutejszy zaś był pełen gwaru i stukotu siekier, nie dawał schronienia. Wojsko budowało ziemianki, na leśnych drogach wisiały tablice kierunkowe, patrole łążyły wzdłuż rzeki i linii kolejowej.

Wieczorem, przed apelem, Maczuga siadywał na progu chaty, papierosa skręcał i patrzył w las. Jakby wypatrywał własnej chałupy, która tam niedaleko polany powinna sterczeć, ledwie widoczna z drogi, bo wsiąkała już w ziemię, a w zimie śnieg zawałał okna, że tylko biały puszysty koc było widać.

„W Polskę trafisz” – mówiła matka. Trafisz, trafisz – powtarzał sobie. Przerazała go

dziś jeszcze rozległość drogi, którą przebył. Ludzie wymieniali nazwy nieznanymi miasteczek, ktoś wyrysował nawet kijkiem na piasku mapę Lubelszczyzny. Maczuga patrzył, ale niełatwo mu było zorientować się dokładniej. Jak własną kieszeń znał powiat słonimski, dalej nie wychylał nosa, właściwie nie było po co. Droga od czasu do czasu przechodził oficer. Michał znał już zgarbioną postać majora Świętowca. Wstawał na jego widok i niezręcznie przykładał dwa palce do furazerki. Dowódca batalionu nosił na twarzy uśmiech, który dziwacznie wykrzywiało mu usta. Gdy rozmawiał z żołnierzem, podnosił dłoń do góry, palce rozcapierał i wskazywał nimi jakiś nie znany bliżej punkt na niebie. Maczuga, zamiast w twarz majora, patrzył na jego palce. Ale major był daleko, w wojsku odległości między ludźmi są rozmaite, nie tak łatwo je przebyć, lepiej skrócić nawet z drogi, żeby nie napatoczyć się na oczy. Najbliżej Michała był Sęk, tyka chmielowa, dwie belki na naramiennikach, szary płaszcz skrócony pierwszego dnia i pofastrygowany nierównym ścięciem.

– Wolałbym do was – powiedział Antoniemu, który także otrzymał kaprała. Ale dowódca plutonu, podporucznik Furan, nie należał do takich, co pytają. Przydzielał według własnego widzimisie. Może na wzrost, żeby mu drużyny ładnie wyglądały...

Pluton do czasu zbudowania ziemianek otrzymał chałupę, w której niegdyś była szkoła. W izdebkach zachowały się jeszcze tablice, pomazane kredą, a w przydzielonej im globus z obdrapanymi nieco zarysami lądów.

Maczuga uderzył kulakiem, puścił kulę w ruch, kołysała się nieco, niebieskie morze przewaliło się z jednej strony na drugą.

– A co właściwie Hitler zajmuje? – zapytał Bolka Kutryny, szeregowca, który był z Sękiem na ty. Kutryna wybuchnął śmiechem.

– Będziesz go z tej kuli wypieprzać, gdzie raki zimują.

Michał skinął poważnie głową i odszedł nieco na bok. Miejsce wyznaczył mu Sęk w kącie izby, niedaleko okna; spali jeden obok drugiego na ziemi, niektórzy skombinowali gdzieś gazety i rozesłali na podłodze. Zimno było w nocy, drelichowa kurtka zarzucona na głowę nie grzała, człowiek kulił się, nogi podciągał pod brodę, chłonał ciepło. Sęk go obudził w nocy.

– Spodnie zdejm, ofermo, w wojsku śpi się bez portek.

Maczuga rozpinął niezręcznie guziki, ktoś zarechotał w mroku, chłodny powiew z okna uderzał w twarz.

– Nie lubi mnie ten Sęk – powiedział młodemu Gralowi, który spał obok niego. – Będzie człowieka ganiać.

Będzie, to będzie. Michał wiedział, że swoje pieskie szczęście musi za sobą targać jak



ciężki wóz. Nie uciekniesz, człowieku, żeby cię na koniec świata posłali. Niepotrzebnie zresztą naraził się drużynowemu już drugiego dnia.

– Chłopaki – powiedział Sęk. – Zanim nam pałac w lesie zbudują, trzeba jakoś legowisko urządzić. Będziemy kombinować słomę. – Kutryna – wyznaczał – bo cwaniak i Maczega do noszenia. Idźcie na wieś, ale nikomu nie włączcie w oczy. No... już!

– A niby czemu ja? – zdziwił się niespodziewanie Maczega. Usłyszał swój głos, a potem już tylko wrzask kaprała.

– Poczekaj, gnojku – zakończył Sęk – ja cię jeszcze nauczę dyscypliny.

Maczega mył podłogę i drałował wieczorem po kawę dla drużyny. Maczega położył na stację do rozładowania wagonu, pracował przy zbijaniu baraku dla dowództwa, ale ani razu nie wyznaczono go do kuchni, gdzie . robota była lekka i przyjemna. Płaszcz nosił za długi, z nikim jakoś nie mógł go wymienić, aż dopiero pewnego dnia natknął się na szefa, który szedł wieczorem przez wieś w kierunku sztabu batalionu.

– Cóżes ty, ofermo – powiedział „Kazak” – nie mogłeś się oporządzić? – Obejrzał go od stóp do głów. – Zamelduj się na jutro w kancelarii. Maczega zameldował się i otrzymał płaszcz krótszy, tylko bardziej postrzępiony u dołu. Obejrzał go ze zdziwieniem.

Za wsią, na skraju lasu, wyrósł równy rząd ziemianek. Wyczyścili alejki, obłożyli je kamieniami, na drewnianych tabliczkach pojawiły się gazetki ściennie, a przed bramą stanął wartownik. Teraz nie wolno już było łązić po wiosce, okazało się zresztą, że nie ma czasu, dzień pęczniał od zajęć. Maczega ledwie wieczorem znajdował wolną chwilę na odpoczynek i na to, żeby popatrzeć na las.

Wojsku wręczono broń. Składali i rozkładali karabin. Michał uczył się trudnych słów, powtarzał je leżąc wieczorem na pryczy, nie chciały włązić do głowy, kręciły się wokół pamięci jak ćmy naokoło lampy. Najgorzej bał się jednak musztry. Stali na polance leśnej w jednym szeregu, z bronią „na prezentuj”, a Furan przechadzał się tam i z powrotem, przystawał, a najczęściej właśnie przy Michale.

– Sęk!

– Na rozkaz, panie poruczniku!

– Podszkol mi wreszcie tego Maczega, bo mnie cholera ciska.

Sęk szkolił Maczega. Brał go za ziemiankę i tam powtarzali owe nieszczęsne chwytty, aż Michałowi ręce martwiały i lufa karabinu skakała przed oczyma jak sprężyna.

Chłopcy śpiewali:

*Za dwa talary, za dwa talary... tańcowała Małgorzatka z huzarami.*

Maczega ćwiczył, a Sęk wzdychał, czasem nawet bez złości.

– Gdyby całe wojsko składało się z oferm, oj, toby dopiero było wojsko!

A Michał czuł, że żołądek podjeżdża mu pod serce i to nie ze zmęczenia, ale z żalu. Za późno, człowieku! W drużynie był najstarszy, tylko jeszcze Kalecie, chłopu spod samego Wilna, stuknęła trzydziestka. Ale był to facet bywały, służył w armii i karabinem robił jak kosą. Gdzie tam Maczędze do Kalety! Jeszcze okopać się to umiał, ale lecieć potem po polu, padać, czołgać się, wrzeszczeć „hura!” – nie te lata. Kiedyś wydłubał z ziemi marchew. Przed samym obiadem to było, głód doskwierał, więc dorwał się do niej, żarł leżąc na ziemi i nie spostrzegł, że drużyna dotarła już do rubieży nieprzyjaciela. Nawet nie wrzask go postawił na nogi, ale podporucznik Furan. Nadszedł od tyłu, jego cień pokazał się na skopanej ziemi przed samymi oczyma.

Potem była pierwsza stójka pod karabinem. Sterczał niedaleko bramy i mógł się do syta napatrzyć na szumiący spokojnie las, głęboki się nawet wydawał i bezpieczny z tego miejsca.

– Postalesz sobie, Maczęga? – zapytał Sęk wieczorem w ziemiance, – Co męczysz dziada – odezwał się nagle Kutryna.

– Co ci zależy!

– Zależy, nie zależy, ale ofermę trzeba z niego wystukać. I tak żyje jak u Pana Boga za piecem.

– A potem – odezwał się śpiewnie Kaleta – pójdziemy na front. Stójki człowiekowi nie urządzisz!

– Byłem już na froncie – mruknął Sęk – u baby pod spódnicą nie siedziałem.

– Zdążysz jeszcze raz. Nabohaterzysz się...

– A coś ty właściwie robił za Niemca? – zwrócił się nagle Sęk do Maczęgi.

– Siedziałem.

– U baby pod spódnicą!

– Nie mam baby – powiedział poważnie Maczęga.

– Nieżonaty.

– Nie ma baby – roześmiał się Kutryna. – A może i nie próbowałeś?

– Nie twoja rzecz!

– Baby odstawić. Zdążysz.

– Żeby też – ciągnął Sęk – takie „iz pod Słonima” do wojska. Mało to chłopców się pałęta... A może ty nie Polak! Białorusin zakatarzony?

Maczęga zerwał się. Twarz mu spurpurowiała, oczy błyszczały.

– Coś ty powiedział? Ja nie Polak, nie Polak!

– Nie „ty”, ale pan kapral, do cholery!

– Zostaw go – wtrącił się teraz poważnie Kutryna. – Polak. Przyszedł do wojska. Daj mu żyć. Tamtych ci szkoda?

– Tamci nie chcieli.

Sęk zamilkł. Siedział patrząc na Kutrynę, który nagle opuścił oczy i wyciągnął z kieszeni torebkę z tytoniem. Skręcił powoli, unikając wzroku kaprała.

– Myślałem inaczej – rzekł cicho Sęk. – Każdy myślał, że będzie inaczej.

– Nie gadaj. Jest, jak jest. Karabin dostałeś, co się martwisz. Pójdiesz na front.

– Taka już nasza dola...

Maczuga na własne oczy widział, jak ta kupa cywilów – łachmaniarzy, przeobrażała się w wojsko, w kolumny śpiewające, kolumny pełzające po mokrej trawie albo po błocie w nieskończonych natarciach na niewidzialnego wroga, który zalegał wzgórze w dobrze przygotowanych pozycjach strzeleckich, jak ziemiankom narzucono twardy ład, wyznaczający każdy żołnierski dzień. Przywykł już do siedlecko-łukowskiego krajobrazu, nawet dobrze się poczuł w tej nowej ojczyźnie, w której nie mówiono wprawdzie białorusko-słonimską gwarą, ale która przestawała już straszyć obcością. Oswoił się nawet z tym, że jest „żołnierzem gorszym”, kompanijną ofermą, do której każdy ma prawo mieć pretensje. Inni łatwiej wchodzili w te wojskowe tryby. Kutryna – tak jakby całe życie tu spędził, młody Gral – z chłopcym zapalem, który każe czystość karabinu traktować niby mecz sportowy, Benda – niedostrzegalnie; dowódcy przechodzili obok nie widząc go, taki był zwyczajny i zawsze w porządku. A Maczędze wydawało się, że od porannego apelu do wieczornej Roty przyglądają mu się nieustannie, machina wojskowa, wymyślona przez kogoś na górze, ma sto par oczu, tysiąc możliwości śledzenia, nie ma od niej ucieczki, nawet nocą pod własnym kocem.

Może Maczuga jest niepotrzebny, może nikomu się na nic nie zda z tą swoją słabowitością i strachem? Nawet matka mówiła: „Jakoś trochę nieudany”. Przed ziemianką wisiała kompanijna gazetka, na gazetce czerwonym tuszem wykaligrafowany był napis: „Za Warszawę”. Maczuga sylabizował z trudem; odczytywał komunikat z frontu, komunikat prowadził w świat, każda nazwa była nowa jak odkrycie.

Podczas okupacji mówiono: „Oni pobijają Niemców”. Zderzały się dwie siły, Maczuga patrzył na zmagania pojmując kruchość własnego losu. Teraz słowo „oni” zastąpiono przez „my”. Przerazały go więc odległości, które jutro może trzeba będzie przebyć, a jednocześnie dojrzywało w nim oczekiwanie. Porucznik Furan mówił: „Prędzej czy później na polu przed wami będzie prawdziwy nieprzyjaciel”. Michał powtarzał to jak modlitwę.

Na ostatniej kartce gazetki był także humor kompanijny. „Strzelec Maczuga zajada

marchew, a fryc wyskakuje z karabinem”. Michał spoglądał więc na własną podobiznę, połamańca z wielką gębą: obrazek nawet utrafiiony. Odchodził ze spuszczoną głową; ludzie patrzają i pokładają się ze śmiechu.

Myślał o matce. Starowinka pewno nie doczeka końca wojny i powrotu syna. Jakiego tam zresztą powrotu? Zembrze pod Słonimem, bo syn „trafił w Polskę” i gdzieś się potem chyba w niej zadomowi, żeby na swój chleb wyrobić. A może się zatroszczyć? W ziemiance miewał pogadanki chorąży, niski czarny młodzieniaszek, podobno z uniwersytetu. Gadał na ogół długo i bardzo szybko, ale coś niecoś można było zrozumieć: „Wojsko ludowe!” Kutryna krzywił się, Sęk uśmiechał się, a po Maczędze spływało to jak woda. „Wojsko ludowe – to wojsko polskie”.

Deszcz lał, rozmył orła, którego zmajstrowali z kamyków przed ziemianką, spływał kałużami po drodze, a chorąży Leksz „prowadził pogadankę” o granicach. „Tam nie będzie Polski, bo tam nie mieszkają Polacy. Polska kończy się na Bugu”. Marszczył się. „Trzeba ponieść ofiarę dla dobra ojczyzny. Dla niektórych ciężka to ofiara, ale przecie rozumieją”.

I jak zawsze wypływał Maczęga, żeby wystawiać się na pokaz kompanii. „Ot, na przykład strzelec Maczęga – prawil Leksz – pochodzi spod Słonima (iz pod – poprawiał Sęk) i niech nam powie, czy rozumie tę konieczność, czy się z nią zgadza znając tamten kraj”.

Po cóż komu potrzebna zgoda Maczęgi? Po co takie wystawianie własnego serca na lekki śmiech. „Trzymorgowy gospodarz” – mawiała córka sąsiadki, Lena, gdy Michał przychodził, żeby sobie na nią popatrzeć. Trafił kiedyś wieczorem, wracała sama do domu, rozpalona, z przytłumionym śpiewem. Dojrzała Michała. „Co chciałbyś? Chciałbyś? Za twoim pozwoleniem wychodzę za mąż” – dokończyła.

– Maczęga, wstańcie.

Podniósł się z pryczy.

– Odpowiadajcie, gdy was pytam. Żołnierz powinien aktywnie uczestniczyć w pogadance.

– A mnie tam co? – odpowiedział Maczęga. – Nie moja wola. Ja zostanę w Polsce.

# BOROWICA PO RAZ DROGI

Matka mówiła: „Całować będę tę ziemię”. Doczołgała się do okna, schwyciła cienkimi palcami za parapet, wbiła paznokcie w drzewo i oglądała po raz ostatni kraj, który w niczym nie przypominał ojczyzny. Taką ją właśnie znaleźli, już kostniejącą, ojciec z trudem rozwarł dłonie i zamknął oczy. Kolski borykał się z tym obrazem, wycinał go z pamięci, był zbyt patetyczny, przeszkadzał, uciszał radość, do której przecież zdobył sobie prawo.

Stał na rynku w Borowicy, dzień był całkiem zwyczajny, wrześnie popołudnie nieco już chłodne, ale jeszcze słoneczne. Nad dachami miasteczka, które zastał takim samym, jakby czas obszedł je bokiem, wisało niebo niemal przezroczyste. Wieża kościoła, wycinanka z rysunku dla dzieci, wystrzelała w górę z kępy rozłożystych drzew. Kolski stał długo, chciał się najpierw do syta napatrzeć, nasycić odzyskanym widokiem. Badał każdy szczegół rynku, sprawdzał, cieszył się znajdując właściwy obraz.

Przed dawnym gmachem magistratu sterczał cywilny milicjant z karabinem i białoczerwoną opaską na ramieniu; w kamienicze na prawo mieściła się jak dawniej knajpka. Wyszło z niej właśnie paru mężczyzn w oficerkach i półwojskowych koszulach. Kolski uważnie przyglądał się twarzom; wszystkie wydawały się znajome.

Baba na straganie sprzedawała jabłka; gromada bachorów z wrzaskiem przecięła chodnik i wpadła na skwer, bose nóżki zachlupotały w kałuży, która, jak pamiętał, nigdy nie wysychała.

Kolski ruszył powoli przed siebie. Mijali go ludzie, których jednak nie znał albo też nie pamiętał; ich wzrok ześlizgiwał się po nim obojętnie, niektórzy odwracali po prostu oczy. Stanął przed sklepem spożywczym i zerknął do środka przez brudną szybę wystawową; stary siwy Loczek urzędował jak zwykle za ladą, obok niego młoda dziewczyna w różowej sukience – pewno córka. Jak ona się nazywała? Chyba Basia, Basia Loczek latała wówczas do powszechniaka.

Pchnął oszklone drzwi, zaterkotał dzwonek. Stary i dziewczyna spojrzeli na niego bez uśmiechu i bez zdziwienia.

– Słucham, panie poruczniku – powiedziała Basia. Sterczał przed nią nie bardzo wiedząc, co uczynić z rękoma.

– Właściwie... No może napiłbym się czego, jakiejś lemoniady...

– Niestety...

– A może cukierki miętowe! – Przychodził tu właśnie po dropsy.

– Pan porucznik chyba kpi. Jest kawa zbożowa w paczkach.

– Ach tak! – Pani mnie... – Ale nie zdążył się przedstawić.

– Znakomicie pan mówi po polsku – rzekła Basia.

– Znakomicie!

– Co?!

Dziewczyna przestraszyła się. – Ależ nie, ja tylko... przecież można...

Wyszedł, mocno trzasnąwszy drzwiami.

Machinalnie skręcił w lewo, minął przecnicę, dotarł do wąskiej uliczki i znalazł się przed parterowym domkiem, solidnie już zapadającym się w ziemię. Ganek był nie zamknięty, mógł więc zobaczyć korytarzyk, z którego jedne drzwi prowadziły do sypialni rodziców, drugie zaś do niewielkiej izdebki, tak wąskiej, że ledwo mieściły się w niej stół i łóżko. Łóżko było żelazne, wisiał nad nim taki cholerny obrazek: ogromny las, puszcza, przez konary drzew widać kawałek błękitnego nieba.

Stał bezmyślnie zapatrzony w ciemne wnętrze, aż pokazała się na schodkach babina w chustce na głowie. Zlustrowała go uważnym spojrzeniem, powróciła do domu, potem wylazła znowu.

– Pan sobie czegoś życzy?

– Nie, nie. – Znowu uciekł szybko, nie spoglądając już za siebie.

Należało teraz minąć rynek, wejść na główną ulicę, a stamtąd już tylko dwa kroki do mieszkania Ewy. Do mieszkania Ewy! Ale nagle opadły go rozmaite „czy i jeśli”, zaczął się w nich obrzydliwie babrać osaczyły właśnie teraz, chociaż nigdy przedtem nie istniały.

Człowieku! Tu przecież była okupacja. Czegoś się do cholery spodziewał! Bramy triumfalnej! A Ewa? Co wiesz o Ewie? Czy żyje? Czy chce cię widzieć? Trzeba się było zapytać Loczka!

Loczka, Loczka, Loczka, wystukiwał butami po chodniku idąc coraz wolniej.

Poczuł, że dopadł go strach; przeraził się głupio tych spotkań, które go czekały, przywitań i opowiadań. „Pan porucznik znakomicie mówi po polsku...” Zaklął i ruszył nieco szybciej. Przed nim szedł chłopak w oficerkach i krótkiej kurtce zarzuconej na ramiona. W jego ruchach, pochyleniu głowy było coś niezmiernie znajomego. Minął go, spojrzeli sobie w oczy; chłopak zmarszczył się, odwrócił głowę. Nie poznał, ale Kolski też nie pamiętał.

Droga miała się ku końcowi. Kamieniczka, obdrapana nieco, na parterze obskurna piwiarnia, na pierwszym piętrze balkonik obstawiony doniczkami. Wyjątkowy był pożytek z tej piwiarni! Można w niej było tkwić nie zwracając na siebie uwagi, a przy oknie mieścił się znakomity wręcz punkt obserwacyjny; potem Ewa przyłapała go na gorącym uczynku, nawet

pusty kufel nie stanowił żadnego alibi. Nauczyła się więc tu przychodzić, stawała we drzwiach, ogarniała pokoiczek jednym spojrzeniem i wzywała do siebie.

Wieczorem po maturze przyszli tu nocą. Ewa siadła na schodkach, było zupełnie ciemno, nawet księżyc, nawet światełka w oknie. Nie widział jej twarzy, utonęła w mroku, odnajdywał ją ustami.

– „To nic – rzekła potem Ewa. – Jeszcze trzy miesiące” – Był czerwiec 1939 roku.

Kolski wszedł na schody, stanął przed drzwiami, zapukał.

Czekał długo, wreszcie usłyszał kroki. Matka Ewy niewiele chyba się zmieniła; włosy przyprószone już siwizną, na nosie ogromne okulary, w ręku papieros. We wzroku kobiety, gdy spłynął po mundurze oficera, dostrzegł lęk.

– Pan do kogo?

Niełatwo było wybełkotać parę zdań; każde zaczynało się banalnie, od początku zawierało puste dźwięki, jakieś: „Pani mnie nie poznaje”, „Jestem Edward Kolski”, „Czy jest Ewa?” – niby tekst wyuczonej, roli.

– To naprawdę Kolski – wyszeptwała wreszcie Kraczyńska. A po chwili rozpaplała się już na dobre, jakby jego nagły powrót był czymś najnormalniejszym w świecie, taką sobie wizytą złożoną sąsiadom.

– Ależ proszę, niech pan wejdzie, czemuż pan stoi w progu, o tu, na prawo, pan przecież pamięta, Ewa zajmuje ten mały pokoiczek, to jej królestwo, nie lubi, jak bez niej tam zaglądać. Takie okropne czasy żeśmy przeżyli, człowiek aż sam się dziwi, że wytrzymał... Wszystko wisiało na włosku... Proszę, niech pan się nie krępuje, zaraz dam herbaty, nawet dla siebie gotowałam, więc żadnego kłopotu.

Gadała bez przerwy, lustrując go jednocześnie szybkimi spojrzeniami; oglądała brudne kierzowe buty, zakurzony mundur, niezgrabną kaburę pistoletu obciążającego pas.

– To pan w tej armii...

– Tak – powiedział Kolski – jestem w tej armii... Siadł przy stole w pokoju, który znakomicie przetrwał wojnę; na szerokiej kanapie leżały te same poduszki, duży pajac tkwił wygodnie oparty o poręcz, a ze ściany spoglądał zmarły przed wojną pan Kraczyński w czarnym garniturze.

Tylko nad biurkiem nie znana mu fotografia Ewy, duże ostre zdjęcie, dziewczyna stoi oparta o pień drzewa, zapatrzona przed siebie, jakby czekając na kogoś.

– A Ewa? – odważył się wreszcie.

– Ewa? – zapytała Kraczyńska jakby nie rozumiejąc.

– Poszła z koleżanką – wybuchnęła. – Nigdy jej teraz nie ma w domu, przyleci jak po

ogień i znowu znika! Tkwi pewno u tej Zosi Brzeckiej, co to ma ojca wariata. Pan ją musi znać.

– Tak, znam.

– A my tu gadu, gadu – rozpaplała się znowu – a ja nie wiem nic. Zaraz będzie herbata i musi mi pan opowiedzieć wszystko o sobie. Strasznie jestem ciekawa. Skąd się pan wziął u tych berlingowców... Mówili, że pan już zginął w Rosji. Boże, mój Boże. Kolski podniósł do ust szklanekę i poczuł nagle, że jest bardzo głodny. Wyszedł z Czeremnik przed obiadem, a potem, a potem sześć kilometrów szybkiego marszu... To wystarczy.

– Skąd się wziąłem? – powtórzył. – To długa historia.

– A ojciec?

– Umarł w 43 roku.

– A matka?

– Umarła w 41.

– O Boże, jakie to straszne. Podczas tej wojny ludzie ginęli jak muchy. W Rosji rodzice pewno pomarli, tam na wygnaniu?

– Tak. W Związku Radzieckim.

– I pan jest w tej armii?

– Jestem w tej armii.

Umilkła, zapaliła nowego papierosa i przyglądała się uważnie Kolskiemu.

– Pan się zmienił?

– Oczywiście. Tyle lat.

– A my tutaj... Kto tego nie przeżył, nigdy nie zrozumie. Ciągle się bałam. Od świtu do nocy: a to łapanka, a to aresztowali, a to jadę sama na wieś po mięso i nie wiadomo, co będzie. Żydów wszystkich wymordowali; pędzili przez rynek, tłum taki szedł, gorąc był niemiłosierny, jak bydło na rzeź. Znał pan starą Genglową? Co miała sklepik na Folwarcznej? Wyśliznęła się im przy tartaku i w te pędy do mnie... „Moja pani Genglowa, mówię, co ja pomogę, sama się boję, że lada dzień zabiją”. Dałam jej chleba, jajek i poszła na ulicę. Tak było.

– A Ewa?

– Ewa... – Kraczyńska zamyśliła się, uspokoiła jakoś.

– Ewa w ojca poszła, nic o swoje życie nie dba. Niech pan jej powie...

Zegar ścienny wydzwonił godzinę. „Ty człowieku – wykladał rano major Świątowiec – nie łap ludzi na słówka, nie oceniaj zbyt pochopnie. Wróciłeś do Ojczyzny, ale po pięciu latach”.



– Zawsze mówiłam – ciągnęła kobieta – że pana ojciec źle robi przenosząc się z naszej Borowicy gdzieś na wschód. Siedziałyby tu, może by Niemcy nie ruszyli...

– Ja już chyba pójdę – podniósł się nagle Kolski.

– To Ewa jest u Brzeckiej, na Janowskiej.

– Tak, tak. Ale niech pan wstępuje, proszę bardzo. A gdyby nocowanie – zaniepokoiła się nagle – owszem, tylko jakiś papierek trzeba mieć, bo chodzą czasem i nigdy nie wiadomo...

– Dziękuję, nie będę nocował, moja jednostka stoi niedaleko stąd.

Nie będę nocował – powtarzał bezmyślnie, wracając na rynek.

– Proszę – rzekła Zosia Brzecka – niech pan wejdzie. Tam są wszyscy, nie będzie już kłopotu z odwiedzaniem.

Kolski poruszał się jak we śnie. Gdy stanął na progu, w pokoju zapanowała cisza tak zupełna, że słyszał tylko skrzypienie butów; trzech chłopców porwało się z krzesel, nie widział ich twarzy, na kanapie, oparta jak pajac o poręcz, siedziała Ewa.

– To przecież Kolski!

Podniosła się, podeszła do niego. Tkwił ciągle w drzwiach.

– Jak się masz, Edek, naprawdę, bardzo się cieszę... Ale przy ostatnim słowie głos dziewczyny załamał się; oparła mu rękę na ramionach i pocałowała w usta.

– A to ci zdarzenie...

Znał tutaj wszystkich; najstarszy, w ładnym szarym garniturze, to kolega szkolny Adaś, kompan od matury, mistrz nad mistrze w algebrze, drugi – w oficerkach – to przecież znany ponurak i kujon Stanisław, który marzył o karierze belfra, a trzeci – znakomity futbolista, szkolny poeta, duma wszystkich akademii i twórca okolicznościowych rymów – Andrzej. Opadły więc od razu Kolskiego wspomnienia, okazało się, że wszystko w nim przetrwało, wyłuskiwał z pamięci stare uczniowskie sprawy, a głównie zameczał wypytывaniem, chciał wiedzieć o ludziach, których twarze i nazwiska powróciły nagle niby sceny z dawno przeczytanej książki, znalezionej przypadkiem na półce.

– Zosia – powiedział Adam – wykombinuj tam jakiś płyn, trzeba kolegę przywitać. Forse masz?

– Po co? – machnęła ręką. – Wezmę od ojca.

– Nie. Od twojego ojca nie chcę. Skocz na dół i przynieś.

Gadali wszyscy naraz; tylko Ewa milczała, nie pytała o nic, nie mówiła nic o sobie.

Kolski opowiadał; sam nie wiedząc czemu zbył milczeniem los matki i ojca, a zaczął od obozu sieleckiego, powtarzał strofy piosenek i wierszy, nurzał się w obcej dla nich atmosferze. Mówił długo o Lenino, o Darnicy, gdzie został ranny.

– To ty prosto ze szpitala? – wtrącił Adam.

– Byłem jeden dzień w Lublinie i otrzymałem przydział niedaleko stąd.

– Masz szczęście...

– E, zaraz szczęście. Wolałbym wrócić do pułku...

– To nie obejrzałeś jeszcze wyzwolonego kraju?

– Nie obejrzałem.

Umilkli. Edward łyknął wódki, śmierdziała bimbrem; zapalił papierosa, ponieważ nie dali nic do przekąszenia.

– A Władek? – przypomniał sobie nagle. Dojrzał twarz przyjaciela, uśmiechała się złośliwie jak przed egzaminem z polskiego. „Napiszesz, bracie, coś przecież w głowie masz, to wystarczy”.

Nikt nie odpowiedział.

– Więc co z Władkiem? Zginął!

– Nie zginął – rzekła Ewa. – Skończył podchorążówkę, był dowódcą naszej kompanii. Siedzi.

– Siedzi? Dlaczego?

Andrzej roześmiał się sucho. Wódka już uderzyła mu do głowy, policzki pałały, mrużył oczy, jakby patrzył w słońce.

– Nie udawaj niemowlaka, wiesz, co się dzieje, nikt nie będzie ci tłumaczył.

– Zostaw, Andrzej! – Głos Adama był ostry.

– Dlaczego? Czy on Rosjanin? Taki sam jak my. Pod Lenino! Nie zabieram ci twojego Lenino. My walczymy cztery lata.

– Napij się!

– Dobrze, napiję się. On jest w mundurze, z pistoletem przy pasie. A my? Gdzie twój mundur, Adam? Gdzie twoje gwiazdki?

– Wszyscy pójdziecie do wojska – rzekł sucho Kolski – dostaniecie gwiazdki i pistolety.

– Do wojska! Prędzej tam, gdzie Władek.

Zosia Brzeoka podeszła do pianina.

*Nie szumcie wierzby nam...*

Śpiewali wszyscy, tylko Edward milczał; patrzył na Ewę, jej piersi poruszały się pod

cienką bluzką. Tuż obok dziewczyny siedział Adam. Kolski poczuł gorycz w gardle, zaciągnął się papierosem – nie pomogło! Wstrętny bimber.

– Wczoraj powiedziano mi w Lublinie – rzekł nagle – iż mój najlepszy przyjaciel Tadek zginął na przyczółku.

– Bardzo nam przykro. Czy chcesz, żebyśmy wymieniali poległych?

– Fajna licytacja – roześmiał się głośno Andrzej. Był coraz bardziej pijany. – Fajna licytacja! Takiej jeszcze nie było. Sędzia uderza młotkiem, każde uderzenie wystrzał, każde uderzenie kanonada i wybuch miny. Kto da więcej? Ilu daliście za Warszawę? Przelicytuj!

*Bo dla naszej kompanii szturmowej...* – wybijała Zosia Brzecka.

– Andrzej!

– „Dlaczego ty nie jesteś w wojsku”? – recytował hasło z plakatu. – Dlaczego nie idziesz w polskim mundurze, na polską wojenkę? Już wróciłeś?

– Ewa, nalej wódki!

– Więc – rzekł Adam – przyszedł z obczyzny nasz kolega. Pozdrawiamy kolegę! Nie miej do nas żalu, Edward. Byłeś tam, my jesteśmy tu. Tak się złożyło, nie nasza wina, pijmy.

Napełniając szklaneczkę, Ewa pochyliła się nad nim. Poczuł jej twarz blisko swojej; siedział sztywno, starając się nie poruszać.

– Wznies toast, Kolski, jak na rodzinnym pogrzebie.

– Żebyśmy, żebyśmy wszyscy razem, w wojsku. Tak trzeba...

– Trzeba?

– Andrzej!

– Nie uspokoję się. Zostawcie. Wytłumaczcie naszemu koledze, z którym żeśmy razem jako dzieci nieletnie po raz pierwszy wódkę chlali, że teraz jest inaczej. Przyszedł bohater rosyjskich stepów, ale buty to ci, człowieku, dali na drogę daleką, do rodzinnego miasta w charakterze zwycięzcy. Nie my, on.

– Andrzej, nie pij!

– Ewa, przestań grać rolę dobrej mamy; nie jestem ani Władkiem, ani Adamem, opieki nie potrzebuję, nikogo nie oszczędzam.

– Nalewajcie.

*Żołnierz drogą maszerował...* – wystukiwała Zosia Brzecka.

– Więc właśnie. Taka już parszywa polska dola, że wszystko się sprawdza, co jest w wierszu, albo w piosence. Żołnierz wraca do swojej dziewczyny, Ewa, obudź się, wychlej trochę wody, bo o tobie mowa. Wraca, no i cóż? Żołnierz nie ten i dziewczyna nie ta. Panienska z okienka, rumieniec i warkocz, ułan przy studni. Czy ty wiesz, człowieku, co twoja

Ewa robiła podczas okupacji?

Szklaneczka była do połowy napełniona wódką. Ewa chlusnęła nią w twarz Andrzeja. Pięciami wycierał oczy, płyn spływał mu po brodzie na kołnierz koszuli. Potem, nic już nie mówiąc, wstał, podszedł do okna, pchnął je mocno i wychylił się w mrok.

*Serce do plecaka schował...*

– Władek – rzekł nagle Adam – był w lesie do końca. Taki sobie wiersz ułożył, a zaczynało się: „Z lasu nie wyjdę, dopóki mój dom... „,

– Przestań o Władku – rzekła cicho Ewa napełniając znowu szklaneczki.

– Dlaczego? Niech wie...

Nie patrzyła na niego. – Po co? Edek nie może zrozumieć!

– Ja rozumiem. To wy...

– My jesteśmy w porządku. Władek automat dostał od radzieckich żołnierzy... i potem...

– Zosia, będziemy tańczyć – krzyknęła Ewa i podbiegła do fortepianu.

Pokój wirował pochylony nieco w stronę okna, Ewa spływała ku niemu jakby ze sceny, której nic nie oddziela od widowni, całkowicie pochłonięta tanecznymi figurami, oddana bez reszty szybkiemu rytmowi fokstrota.

*Bo gdy się panu, proszę pana, zdarza pech, Odstukaj pan, odstukaj pan...* – śpiewała Zosia.

*Tę piosenkę, tę jedyną...* – zawył nagle spod okna Andrzej.

– Przestań, do cholery!

Ewa wyrwała się Stanisławowi, zostawiając go na środku pokoju, i opadła zgrabnie na kolana Kolskiego.

– Zatańcz! No chodź, zatańcz.

– Nie.

– Fe, jakie zaciśnięte usta. Nie bądź mnich, czy berlingowcy są też mnichy? No...

– Są też.

Zeskoczyła, zawirowała sama i usiadła wreszcie na podłodze, obok pianina; Zosia unosiła nad nią ręce tłukąc coraz mocniej w klawisze.

*Bo to nie blaga, to pomaga, to nie śmiech...* – zaśpiewała wysokim, piskliwym głosem.

– Ewa, dosyć. – Adam wstał z krzesła. – Chodź, napijesz się jeszcze wódki i pójdziesz do domu.

– Nie chcę! Tu jest Edward.

Jakby sobie dopiero teraz przypomniała o jego obecności, podbiegła do Kolskiego.

– Przyjechałeś! Wróciłeś! Jesteś! Chodź tańczyć.

Zosia Brzecka urwała nagle w połowie taktu. Wstała szybko od pianina. – Ojciec!

Pan mecenas stał już w drzwiach; tłusty, na cienkich nóżkach, w białej koszuli rozpiętej na piersiach.

– No co, no co? Dobry wieczór!

Odpowiedział tylko Kolski.

– A to kto? W mundury już się przebieracie...

– Tata nie poznaje – zaterkotała Zosia. – Edek Kolski, wrócił razem z berlingowcami.

Mecenas ruszył ku niemu wyciągając z daleka owłosioną rękę. – A, bardzo mi przyjemnie. I ojca pamiętam... Jakże się też miewa? Miło powitać w Borowicy.

– Ojciec nie żyje – powiedział któryś tam raz Kolski.

– Przepadł na dalekiej północy, a synek odrabia zaległości – dodał Andrzej.

– Nie wtrącać się – huknął niespodziewanie Brzecki. Głos miał potężny, nieco już zachrypnięty.

– Sądzę – rzekł Adam – że pan nas we własnym domu obrażać nie zechce. My też...

– Robię, co mi się podoba, smarkaczy o zdanie nie pytając.

– Może ojciec usiądzie?

– A usiądę, usiądę i wódki się napiję. – Umieścił » potężne ciało na kanapie i zmiękł natychmiast, zerkając tylko łapczywie na butelkę. Szklanekę podniósł do nosa, skrzywił się, potrzymał pod światło.

– Za twój powrót, chłopcze! Rozmaicie z Polakami bywa, ale najważniejsze teraz, żeby się bili.

– Myśmy już wznosili toasty – odpowiedział Adam.

– Inne, nie ten. A nie chcecie... pies z wami... My wypijemy we dwójkę, pij, bracie, stary już jestem, będziemy kolegami.

– To pan mecenas może idzie do wojska?

Nachmurzył się, postawił szklaneczkę na stole, wyciągnął z kieszeni papierosa i skręcał go w dłoni.

– Nie radzimy, nie radzimy – mówił Adam. – Tak pan ładnie Lublin załatwił...

– Nie twoja rzecz!

– Dajcie spokój – mitygowała Zosia. – Ewa, powiedz im coś!

Ewa milczała; przysiadła teraz na podłodze, obok krzesła Kolskiego, wzięła jego rękę i położyła sobie na włosach. Uśmiechała się, oczy półprzymknięte, oddychała szybko, na

policzkach pojawiły się czerwone plamy.

Ciszę przerwał głośny śmiech Andrzeja. Skręcał się przy oknie w dziwnych tanecznych piruetach, podrygiwał, dłońmi uderzał o parapet.

– A to ci kawał! Tak nas pan mecenas do tego boju pięknie zachęcał, takeśmy przyłazili do tej kancelarii jak do Pana Boga, głupie, nieopierzone szczeniaki. I teraz co? Karzeł, autentyczny karzeł na cienkich nóżkach.

– Won z mojego domu!

– Już idziemy. Pan porucznik Kolski może sobie zostać!

Zosia Brzecka waliła w pianino. Wszystko jedno co, cokolwiek bądź, dziwaczną mieszaninę melodii, włączących pod palce, wytryskujących zmienną plątaniną dźwięków, rozsypanych po pokoju jak kartki z kolorowych zeszytów.

*Bo gdy się panu, proszę pana, zdarza pech, Odstukaj pan, odstukaj pan...*

*Szklankę zbić, odpukać trzeba wnet...*

# PODPORUCZNIK POWINIEN WIEDZIEĆ

## 1

Oficerowie kwaterowali w wiosce; pułkownik Krycki osobiście rozdzielał chałupy, żeby wykluczyć zgłaszanie pretensji. Batalionowi majora Świętowca przypadły w udziale cztery liche domostwa na skraju osady; do ziemianek były stąd dwa kroki, a do sztabu pułku, który mieścił się w leśniczówce, dobry kilometr. „To położenie mi odpowiada” – oświadczył major. Ulokował się w chałupie z gankiem; ganek był niewielki, obrośnięty dzikim winem, ale mieścił stół na krzyżakach wyniesiony z izby i niezbyt szeroką ławkę. Major przesiadywał tu wieczorem, spoglądając na drogę wiodącą od ziemianki do wioski. „Stary ma punkt obserwacyjny – złościł się Furan – człowiek nie przejdzie, żeby nie dojrzał...”

Oficerowie 1 kompanii, którą dowodził Kolski, otrzymali najdalej w stronę lasu wysunięte domostwo. Gospodarze, stary chłop z żoną, przyjęli lokatorów jako konieczny dopust boży. Wyprowadzili się do kuchni oddając gościom dwie izby, niziutkie pomieszczenia pełne świętych obrazków, fotografii i zakurzonych makatek. W mniejszej zamieszkał Kolski i Kotwa, większą zajmowali we trójkę Furan, Leksz i Olewicz.

Dwa wyrka stały przy ścianach, oddzielone wysokim stołem, na którym Kotwa rozkładał swoje książki o kartkach poplamionych tłuszczem i wysmarowanych grubym ołówkiem. Niechlujstwo podporucznika było przysłowiowe; nigdy nie mógł doczyścić się munduru, a buty nosił zabłocone nawet wówczas, gdy w promieniu kilku kilometrów nie można było znaleźć marnej kałuży. Ale nikt tak dobrze jak on nie znał Regulaminu Piechoty; Kotwa pamiętał wszystko, był żarłocznie ciekawy i niemożliwie dokładny. Z Kolskim znali się od samego początku, służyli w dywizji w jednym plutonie, zawarli więc przyjaźń na serio i błogosławili szczęśliwy los za to, że ich znowu zetknął w batalionie majora Świętowca. Było ich tu tylko dwóch z pierwszej – pośród ludzi nowych, którzy nie przyszli stamtąd, nie przeżyli wszystkiego od początku, nie zobaczyli na własne oczy i nie skowytali po szczeniacku ze szczęścia na widok polskiego munduru.

W drugiej izbie Olewicz i Furan trzymali się także razem, tylko Leksz chadzał osobno, zadziwiony jakby swoją funkcją zastępcy, nieufny, spodziewając się nieustannie zasadzek.

Wieczorem Kotwa zapalał lampę naftową, strugał ołówek potężnym kozikiem w drewnianej oprawie i zasiadał przy stole. Kolski leżał na łóżku w butach i mundurze, od czasu do czasu wstawał i skręcał sobie papierosa. Rozmawiali rzadko, najczęściej gadał zresztą Kotwa podnosząc znad książki okrągłą puciołowatą gębę i spoglądając na przyjaciela spoza grubych okularów misternie reperowanych drutem.

– Powiedziałbyś wreszcie, co było w tej Borowicy!

– Kolski milczał.

– Cały dzień łazisz jak struty. Możesz sobie przeżywać, twoja rzecz, ale, pomyśl, czy warto! Co się stało, dziewczyna wyszła za męża?

– Nie.

– Aha, nie. Ale znać cię nie chce, zapomniała?

– Cholera ją wie!

– Nareszcie ludzkie słowo. – Kotwa wstał, chodził po pokoju w rozbebeszonym mundurze, niski i śmieszny.

– Sam ci powiem, durniu. Wiedziałem zresztą, że tak będzie. Myślałeś: przyjmą jak bohatera, myślałeś: uznają za swojego i uczczą w charakterze wybawcy. Wybierałeś się tam jak na świąteczny obiad.

– Przestań...

– Nie mam ochoty. Chciałeś pożyczyć oficerki, ale okazało się, że Olewicz ma za małe, a Furan za duże. Mundur czyściłeś pół dnia i przyszywałeś guziki do kalesonów. Spieszyłeś się jak do pociągu. No i co? Stary cię zwolnił do rana, a wróciłeś wieczorem. Nie udał ci się ten bal.

Kolski nie słuchał. Odwrócony do ściany patrzył na chropowatą powierzchnię, po której pełzało migotliwe światło lampy.

– Dobrze, już dobrze. Zanurz się w swoim nieszczęściu, może ci będzie lepiej. Czego właściwie chciałeś? Żeby od razu poszła do łóżka! Żeby na ciebie czekała pięć lat! Niby z jakiej racji! Ani mąż, ani narzeczony: takie sobie polskie chłopię...

Kolski zerwał się gwałtownie, Kotwa odskoczył zręcznie pod ścianę manewrując krzesłem jak tarczą – Nic, już nic, milczę, jesteś jak nowo narodzona dziewica... – Małe oczka mrugały wesoło pod szklami okularów.

– Gównno – powiedział Kolski – nic nie rozumiesz. Witają – wykrzyknął nagle – żebyś wiedział, jak witają. Tkwią u matki pod pierzyną i wystawiają język. Przychodzisz do obcych ludzi, oni byli bohaterami, oni narażali życie, im chwała, a my jesteśmy przybłędy, okupanci, facety znikąd, przebierańce, cholera wie co. Fajna władza ludowa! Gwizdzą na nas, mają



gdzieś mobilizację, nakazy, wezwania. Oni już swoje zrobili, jeden z drugim frontu na oczy nie widział, chodzi w cywilnej marynarczynie, a szeptem ci na ucho, że jest porucznik i ma Virtuti. A my tutaj...

– Coś się tak rozeźlił, dowódco?

– Bo... Czy ty nie rozumiesz, że nawet Olewicz, nawet Furan patrzy na nas jak na innych!

– To już nieprawda.

– Nieprawda! Masz mnie za durnia; ja też umiem wszystko na pamięć i mogę gadać lepiej niż Leksz. Tak jak nam mówili: reakcja będzie walczyła do końca o swoje pozycje, reakcja ogłupia ludzi, trzeba ich przekonać do nas, my jesteśmy z nimi, z żołnierzami armii podziemnej. Ale my jesteśmy sami, wróciłeś do ojczyzny, a czujesz się jak w obcym kraju.

– Nieprawda!

– Łatwo gadać. Ja nikomu gwiazdek nie odebrałem, niech je nosi jeden z drugim, jeśli je zdobył. Ale żeby mnie obwąchiwali jak wściekłego psa, żeby nie wierzyli, że ja myślę to, co mówię...

– Frajer jesteś. Bohater na serio naszpikowany frazesami i to ty nic nie rozumiesz.

– Tylko nie praw mi morałów.

– I nie zamierzam. Zastanów się: oni też mają swoje racje. Nie było nas w kraju pięć lat, nie wiemy, co przeżywali...

– Gównu. Mój ojciec umarł na północy, moja matka umarła na północy. A ja rozumiem. Przychodzę do własnego miasta, wracam do dziewczyny, mniejsza zresztą o dziewczynę; mogła zapomnieć, znaleźć innego, nie liczyłem na to, że czeka, jeśli człowiek miał nawet nadzieję, to ją wepchnął gdzieś do środka, żeby nie było czuć cikliwego smrodziku. Ale ona czekała! Tylko, że teraz się wstydzi... rozumiesz? Przybiegła dopiero, jak odchodziłem, jak pożegnałem wszystkich.

Kotwa wrócił do stołu. Zdjął okulary, długo wycierał szkła chusteczką.

– Co ci powiedzieć, człowieku? Znajdź sobie inną. A jak nie możesz, to przyjmij za dobrą monetę; masz za cienką skórę jak na żołnierza. Zresztą, wcale jeszcze nie wróciłeś, wszystko to bzdura, w muzyce nazywa się intermezzo. Jutro pójdziesz na front, a jak wojna się skończy, inaczej z nią pogadasz... Albo nie pogadasz wcale... A tamci tu zostaną i będą mieli nad tobą przewagę. – Zamyślił się. – Właśnie: przewagę. Oni co prawda szli na lep i w ogóle, sam wiesz zresztą, ale dla nich wszystko jest proste jak heblowana deska. I Polska, i obowiązek, i to, że nam teraz podstawiają nogę. A jutro? Cholera wie, co będzie jutro? Jednych zapomną, innym zbudują nagrobek...

– Bredzisz!

– Właściwie trochę tak. – Zamyślił się znowu. – Przypomnij sobie, człowieku, przyjazd do Sielc. Dobrze sobie przypomnij. Co miałeś wtedy w głowie? Ze idziesz do Wojska Polskiego. Nic więcej. Byłeś ciemny jak tabaka w rogu, a na niejedno patrzyłeś podejrzliwie: że ten i ów mówi po rosyjsku, że Lwów i Wilno, że o tej przyjaźni i sojuszu zbyt dużo się gada... Zwyczajne polskie chłopię wychowane w tutejszym borowickim gimnazjum. Czyś pomyślał kiedy: jaka ma być po wojnie Polska? Polska i basta, niepotrzebne ci były żadne dodatki. Tak czy nie? Startowałeś z tych samych pozycji co oni, bo niby jakże mogło być inaczej? A po roku byłeś już inny... Wiesz – zawahał się i przeciągnął sylabę – ja też przecież nie jestem ślepy, gadam z ludźmi. Ludzie myślą rozmaicie i wcale nie tak jak twoi borowiccy kompani. W Lublinie rozmawiałem z inżynierem, facetem już niemłodym, właściwie z tego pokolenia, co mój ojciec. „Jeśli mam być szczery – powiedział – to wyzwolenie wyobrażam sobie inaczej. Wie pan: po makabrycznym filmie wychodzi się z kina na znaną ulicę. Teraz rozumiem: to była głupawa mrzonka”.

– Jesteś cholernie mądry!

– Nie wygłupiaj się. My wiemy więcej niż ten jegomość. My już wiemy, jak by ci to powiedzieć, że reprezentujemy rzeczywistość. A że rzeczywistość jest inna niż marzenia twoich kumpli... Tak ich los wykerował. Cholera wie, co byś Sam myślał, gdybyś został w Borowicy.

– Nic nie rozumiem. Przed chwilą gadałeś inaczej, a teraz tłumaczysz mi, że oni są niewinni jak nowo narodzone dziecko, tylko trochę oszukani.

– Ja też nie wszystko rozumiem, człowieku. Ale oni nie są ani niewinni, ani tylko oszukani. A poza tym chcę ci coś powiedzieć, coś chyba najistotniejszego: im się zdaje, że większość w Polsce myśli tak jak oni. A to właśnie nieprawda i dlatego są oszukani. Nie daj się, człowieku, nabrać na ten kawał.

– Ja tam nie daję się nabierać. Napiszę raport, żeby mnie odesłali do mojego pułku. Guzik mnie to wszystko obchodzi.

– Napisz, nic z tego nie wyjdzie.

– Zobaczymy.

– Zobaczymy. – Kolski obciągnął mundur, założył pas, poprawił kaburę pistoletu.

– Wychodzisz?

– Aha. Pójdę do kompanii.

– Dobrze ci to zrobi. Przypatrz się naszym chłopcom.

Siedzieli na trawie obok ziemianki.

– Wrzesień, a już cholernie zimno – powiedział kapral Sęk. Spojrzał na Maczęgę, który przykucnął obok niego. – A smród! Zawsze mi smrodzi w drużynie.

– Nie czepiaj się już starego – wtrącił Kutryna. – Daj człowiekowi odpocząć. Niech sobie odetchnie świeżym powietrzem między kolacją a apelem.

– Dobra, dobra. Maczęga!

– Tak jest.

– Skoczcie do ziemianki po woreczek z tytoniem. Leży u mnie pod kocem.

– Może mojego zapalicie?

– A bardzo śmierdzący?

– 'Chyba nie. Skosztujcie...

– Tytoń to sadził – mruknął Benda – a ziemi się wyrzekł.

– Ty za to jej bronisz! Bohatera znaleźli...

– Gówniany wasz tytoń, lećcie po mój...

Maczęga nie wstał. – A jakże to będzie – powiedział nagle – jakże? To ja w ogóle nie wrócę? Parsknęli śmiechem. – W ogóle nie wrócisz – rzekł Sęk – tylko ci ziemię przywiozą, rozumiesz. Pociąg taki specjalny w Słonimiu załadują, matkę posadzą na wierzch, żeby spulchniała po drodze...

– Dalibyście spokój – mruknął młody Grał, który rzadko się odzywał. – Po co z chłopą kpinki stroić...

– Racja!

– Mnie tam przecie wszystko jedno – rzekł Maczęga – nie wrócę, to nie wrócę.

– Leć po tytoń...

– Już idę. – Podniósł się ciężko z ziemi i podreptał do ziemianki.

– A prędzej, stary koniu, bo palić się chce... Patrzyli za nim w milczeniu.

– Taki to wreszcie wojak. – Sęk zdusił butem niedopałek. – W partyzantce podobnych nie było.

– W partyzantce! – roześmiał się Kutryna. – Zostaw go, Tadek, żołnierza męczyć nie trzeba, z żołnierzem pójdiesz na front.

– Prędzej się wojna skończy, nim na front pójdziemy.

– Zdążysz!

– Podobno nasi – rzucił ostrożnie Więcek – podeszli do Pragi. W dzisiejszym komunikacie Leksz czytał o walkach na przedpolu.

– Niespieszno im jakoś do Warszawy...

– Biją się w Warszawie. Cholera wie, co tam się dzieje. Nie mogli nasi poczekać?

– Zostaw! Nie na twój rozum.

– Ruina, cholerna męka, ile to naród wycierpiał i jeszcze wycierpi... Jak byłem w Lublinie, to poszedłem na Majdanek, smród do dziś dnia, a okoliczni chłopci podobno się z bogacili.

– Jedni umierają, inni się bogacą. Taki już los.

– Nasz los. Mojego tatę – rzekł Kaleta – spalili. Całkiem przypadkowo. Był u sąsiadów, a tam podobnie kogoś ukrywali. Przyjechali Niemcy, wpadli samochodem, tak nagle się zjawili, że nikt nie zdążył nawiać; otoczyli chałupę, podpalili, a kto próbował wyjść, to strzelali. Żywcem zgorzał; rano poszedłem szukać, nic już nie zostało, tylko pognieciona papierośnica i obrączka, którą nosił na palcu. Pochowali kupę popiołów, księdza nawet nie było, bo go właśnie też ukatrupili.

– Skurwysyny!

Wrócił Maczega.

– A gdzie tytoń?

– Nie znalazłem...

– A oferma, a pomiot dziadowski, a palec złamany! – wykrzykiwał Sęk.

– Idź sam, przynieś, nie ciskaj się. – Kutryna wyraźnie bagatelizował złość dowódcy drużyny.

– Sęk – rzekł młody Grał, gdy kapral odszedł – nie ma pomiarkowania. Uczyli go widać, że w wojsku trzeba krzyzczeć i tylko by pysk rozwierał. Ty, Michał, się nie przejmuj.

– A że Maczega oferma to oferma – wtrącił Więcek.

– Ale Sęk zbyt wrzaskliwy. Choć taki spokojny jak Furan, to jeszcze gorszy – milczący zwykle Grał rozgadał się na dobre. – Złość w sobie dusi, przechowuje ją niby w piwnicy, a później, gdy spadnie na ciebie, nie ma ratunku. Człowieka nie widzi, tylko żołnierza...

– W wojsku tak musi być – powiedział Więcek. – Za mało tu zresztą wojska, dziadowskie obyczaje.

– Głupstwo! Najwięksi szczęściarze to ci od Kotwy. Złego słowa do człowieka nie powie. Uczony facet.

– Durak jesteś – stwierdził Kutryna.

– Sam jesteś durak. Szefowi się podlizujesz, a dowódcy kompanii boisz. Podobno Leksz cię aktywistą mianował?

– A co to takiego aktywista? – zapytał Maczuga.

– Taki polityk od tłumaczenia, dlaczego nie wrócisz... Kutrynę potem do szkoły oficerskiej pošlą, będzie od gadania.

Wrócił Sęk. – O czym mówicie? – zapytał podsuwając Kutrynie tytoń.

– O babach.

– Ckni się człowiekowi – rzekł cicho Benda. – Na wieś nie puszczają, a na wsi zresztą... – Machnął ręką.

– To sam pod kocem...

– Myślisz, że ciebie na pomoc zawezwę...

Sęk umilkł nagle i nie odpowiedział.

Główną aleją zbliżał się dowódca kompanii. Kapral zdążył jeszcze zameldować, Kolski machnął ręką i usiadł obok niego na trawie. Wyciągnął z kieszeni woreczek z tytoniem.

– No, jak tam, chłopcy?

– Wszystko w porządku, obywatelu poruczniku! Ogarnął ich spojrzeniem; przyglądali mu się z szacunkiem, bez uśmiechu.

– Palcie!

– Dziękujemy.

Kutryna wziął szczyptę tytoniu i położył na bibułce; to samo uczynili Sęk, Benda i Kaleta.

– Bierzcie. – Kolski podał woreczek Maczędze.

– A gdzieżby, panie poruczniku, jest swój.

– On taki wstydlivy...

Twarz chłopca skurczyła się, wargi zadrgały. – Zawsze wyśmiewają...

– Nie trzeba – rzekł Kolski – nie trzeba wyśmiewać. W wojsku musi być koleżeństwo. Siła oddziału od tego zależy i gdy pójdziemy w bój, przekonacie się, jakie to ważne. Każdy z was musi wiedzieć, że na koledze można polegać jak na sobie samym... Pluton to rodzina, zespolona jeszcze mocniej niż węzłami krwi. Pamiętajcie.

Noc wpływała powoli na laśf Oddziały gromadziły się już na polanie, stawały drużyny i plutony, w porządku raz na zawsze ustalonym. Kolski oparty o pień drzewa czekał. Nie widział już twarzy, w mroku nie rozróżniał postaci; wyrastał przed nim drugi las, najpierw niespokojny i chybotliwy, potem twardy i nieruchomy.

*Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy...*

Odszedł, gdy przestali śpiewać. Minał wartownika i poszedł powoli ciemną drogą w kierunku Borowicy.

### 3

- Trzeci batalion nie zafasował jeszcze mundurów!
- Do cholery z takim porządkiem! Moim chłopakom już zelówki odpadają.
- Takiś mądry! Skąd tu brać? Spalona ziemia i błoto.
- Diabelnie dużo tego błota...
- A właściwie, szefie, gdzie zdobyliście samogon? Nikt tu przecież nie pędzi...

Olewicz uniósł głowę i spojrzał na Leksza. Chorąży złapał wódkę powoli, krztusił się i pluł, brakowało mu wyraźnie doświadczenia. – Nie zadawajcie pytań – powiedział – skąd Kazak ma, to ma. Siedzieli w izdebce Kolskiego: Edward i Kotwa na łożku, Olewicz, Leksz i szef na ławie. Kazak nalewał, cmokał, sprawdzał objętość kubków; jego czarne wąsy poruszały się wesoło, obcierał je co chwila dłonią, łyskając białymi zębami.

– Zaśpiewamy, panowie oficerowie.

– Taki tam z was chór. Lepiej już pomruczcie. Olewicz patrzył w okno. Deszcz spływał po szybie, droga tonęła we mgle, nawet lasu nie było widać, tylko obrzydliwie biała maź gęstniejąca w wieczorny mrok. Wylazł z niej samotny żołnierz, włókł się powoli w kierunku wsi tonąc po kostki w błocie.

– Pogoda...

– Czego chcecie, jesień!

– Cholerna pustka! Żeby już wyruszyć.

– Doczekasz się.

– A ja, tego skurwysyna – opowiadał szef – do siebie i magluję. Ze wstyd dla całej kompanii, że gówniarz i swołocz, a nie obrońca ojczyzny, że co będzie, jak się pan porucznik dowie. A on wciąż, że mu ten płaszcz ukradli, że sam nic nie wie i czysty jako nowo narodzona dziewczica. Nie mnie bujać: przepił na samogon.

– Niech siedzi i koniec.

– A może naprawdę mu ukradli? – Leksz patrzył na szefa wybałuszając oczy.

– Bzdura! A jeśli nawet... Jak popuścisz, to ci wojsko bez butów zostanie. Niech

szanują.

Zagadali wszyscy naraz; samogon uderzył już do głowy, nawet Leksz, zwykle spokojny, wymachiwał rękoma nad głową szefa. Tylko Olewicz milczał; zapatrzył się znowu w okno, kubek z nie dopitą wódką postawił na stole i poruszał wargami, jakby się modlił.

– Olewicz, wypij. – Kotwa przyglądał mu się uważnie od paru chwil.

– Aha, piję.

– Coś ty taki milczący? Żre cię co?

– Nic mnie nie żre. Ot, tak jakoś.

– Do baby tęskni.

Kolski poruszył się niespokojnie. – Zostaw go, każdy ma swoją drzazgę.

Gdy przydzielano Olewicza do kompanii, major powiedział Kolskiemu:

– To bojowy gość, podchorążak, z AK, tylko coś go gnębi. Zwróćcie na niego uwagę.

Zwróćcie na niego uwagę! Cóż, do diabła, ma pilnować akowców, jakby nic lepszego nie było do roboty. Niech się Leksz tym zajmie; chłopak zresztą dobrze sobie radzi z plutonem, może wywietrzeje z niego akowski smrodek.

– Nalewajcie, szefie.

Olewicz podniósł swój kubek; płyn był mętny, ale smakował, lał do gardła przyjemnie jak woda. Chciało mu się teraz gadać, sporo należało im wytłumaczyć: i Lekszowi, i Kolskiemu, i temu filozofowi – Kotwie, który przypominał nauczyciela z powszechniaka. Ale niełatwo ująć rzecz dosadnie i krótko, trafić w samo sedno jak w dziesiątkę; nawet kubek samogonu nie pomaga, rozpała tylko człowieka, rozżarza do bólu wnętrzości.

– Pokiełbaszone życie...

– Coś ci się znowu pokiełbało – roześmiał się Kotwa. Leksz wybałuszył na niego oczy; miał duże, wypukłe jak u ryby. – Wszystko jest proste – oświadczył. – Zawsze tak mówiłem i dobrze mi z tym. Jest, jak jest.

Olewicz pochylony nad stołem rysował palcem dziwaczne znaki na drzewie. Jak im wytłumaczyć? Przed miesiącem zgłosił się w RKU w Siedlcach; szedł pustą ulicą w skórzanej kurtce ściśniętej paskiem, pod spodem miał tylko koszulę. Z przecznicy wypadł Tadek, zderzyli się niemal na środku chodnika.

– Dokąd prujesz?

– Do RKU.

– Zwariowałeś?

– Nie. Nic lepszego nie mam do roboty.

- W sowieckim wojsku?
- Niech będzie sowieckie.
- I przyznasz się do stopnia?
- Przyznam.
- Dureń. Albo cię posadzą, albo...
- Co?

Machnął ręką. – Nie spodziewałem się tego po tobie.

Długo byli razem. Olewicz miał piętnaście lat, gdy zaczęła się wojna; we wrześniu umarła Kłosowska, która go wychowywała od 34 roku. Został sam w Warszawie, bez mieszkania, pieniędzy i znajomych; z dobytku Kłosowskiej nic nie ocalało, na Świętokrzyskiej przy samym chodniku sterczał tylko smutny kikut. Spłonęły jego książki i listy od matki. Niedużo było tych listów, parę kartek zapisanych nerwowym pismem, ale czcił je ogromnie, umiał na pamięć, powtarzał sobie codziennie wieczorem jak modlitwę.

„Wróci twoja matka, wróci – mówiła Kłosowska.

– Niedobrze to – dodawała – jak baby za politykę się biorą”.

Miał dziewięć lat, gdy matkę aresztowano. Nie rozumiał wówczas, co się stało, dopiero później Kłosowska powiedziała: „A niechże ich! Dostała dziesięć”. Na Bugu była granica, matka siedziała w lwowskim więzieniu. Wróci? Nie było czasu myśleć o jej powrocie; Stefana przygarnął Władek, mieszkali na Pradze, chodzili na kursy wieczorowe i harowali w zakładach kolejowych. Władek wciągnął go do organizacji, z Władkiem poszli razem do lasu i skończyli podchorążówkę.

Proste? Cholernie proste. W zupełnej ciszy rozlega się warkot motoru; zza zakrętu wypełzają światła, badają drogę, wygrzebują z ciemności wierzchołki drzew. Uwaga! Już!

Słup ognia, wesoły fajerwerk osuwający się powoli w mrok. Ale są po drugiej stronie szosy, ogień peemów narasta, wymacuje odszczekujących się z rowu. Znowu reflektory. Teraz już jest za późno, pochylone postacie biegną w kierunku lasu. Ciężarówka staje, widać wyskakujące figurki. Uwaga! Ogień! Potem ostry ból, noc się przeredza, jakby fajerwerki wybuchały naokoło. Twarz Władka ogromna, spłaszczona, zajmująca horyzont.

W Białej młoda dziewczyna przesiadywała godzinami przy łóżku Olewicza. Więc nie można obejść się bez niej, żyć bez niej, istnieć bez niej.

„Chcesz? Gdybym wcześniej wiedziała, że chcesz”.

Wszystko jest cholernie proste, wystarczy kubek samogonu, żeby wiedzieć na pewno, brać, co dostarczą, nie czekać, nie zamykać oczu, nie dusić w sobie słów, które i tak są niepotrzebne...



– Olewicz! Zasnął, upił się, do cholery?

– Dajcie mu spokój. Nie ma wprawy.

– Pan porucznik jeszcze młody – zdecydował szef.

– Młodych trzeba przyzwyczajać powoli.

– Dlaczego – zapytał Olewicz – nic właściwie nie wiadomo na pewno?

Szef roześmiał się hałaśliwie.

– A co chcesz wiedzieć? – rzekł poważnie Kotwa.

– On – mruknął Leksz z gębą napchaną Chlebem – nie jest pewny, czy dostał się w dobre towarzystwo. Furan na służbie, tylko Kazak z przedwojennej kawalerii.

– Przestań.

– Na pewno – ciągnął cierpliwie Kotwa – trzeba czyścić buty i pistolet. Resztę możesz spokojnie zostawić na potem, czyli zakonserwować.

– Ci twoi koledzy – powiedział nagle Kolski – też nie chcą wiedzieć na pewno. Wylegają się w domach albo jeszcze gorzej...

– Daj mu spokój!

– Dlaczego? Niech powie, co o nich myśli. Niech mi nie miamli przy wódce jak niemowlę.

– Nic nie myślę, panie poruczniku.

– O właśnie, masz. Ty, człowieku, nie chowaj się do skorupy, tylko wyleż czym prędzej, żebyśmy cię zobaczyli w całej okazałości.

– Nie chowam się.

– Brednie – przerwał Kotwa. – Brednie i koniec. Wszyscy jesteśmy tacy sami. A ty co? – zwrócił się nagle do Kolskiego – a ty co, gdybyś tu został? Zabazgrałbyś się też w tym swoim „na pewno”, zabazgrał na śmierć, szanowny wodzu.

Olewicz, kołysząc się lekko, wyszedł z izby. Stał na progu, wchłaniał łapczywie powietrze. Deszcz już nie padał, ale mrok był wilgotny i nieprzenikniony jak przedtem. Gdzieś daleko zawarczał samochód, stuknęły drzwi i znowu nastąpiła cisza. Odwrócił się gwałtownie, gdy poczuł, że ktoś obok niego stoi. Kazak przestępował z nogi na nogę. Oddech miał gorący i szybki.

– Palce do gardła, panie poruczniku – szeptał mu do ucha – palce do gardła...

Pluton tyralierą zbliżał się do szczytu wzgórza. Zbocze pokryte trawą i karłowatymi krzakami, pełne rozpadlin i dołów doskonale ułatwiało krycie. Ludzie, pojedynczo, krótkimi skokami przebiegali odkryty teren, przytulali się do ziemi i znowu wypryskiwali w górę, żeby po chwili zniknąć w upatrzonym zagłębieniu. Wzdłuż linii, tam i z powrotem, przechadzał się podporucznik Furan; jego wysoka sylwetka odcinała się wyraźnie na tle błękitnego nieba. Drużyna Sęka nacierała na prawym skrzydle. Kutryna, podnosząc się z ziemi, widział ich wszystkich przyklejonych do trawy, ze wzrokiem wlepionym w linię na szczycie, gdzie tkwił „nieprzyjaciel”. Skakali niezłe; nawet Maczuga podrywał się szybko, – biegł skulony do następnego punktu, podrygiwał tylko śmiesznie i głowę miał otwartą, jakby ze zdziwienia. Nieco dalej Benda, Więcek, Grał – ci młodzi chłopcy nacierali bez wysiłku, jeszcze ich to bawiło, za chwilę wyciągną zza pasów drewniane granaty i wywrzeszczą się do syta na ostatnich pięćdziesięciu metrach. Kutryna skoczył i znowu zapadł w ziemię; spojrzął na zegarek: do obiadu jeszcze półtorej godziny, a dopiero po obiedzie będzie miał możliwość wykręcenia się od normalnych zajęć kompanii, pójdzie zgodnie z poleceniem Leksza pitrasić gazetkę.

Po linii podawano rozkaz, ludzie przygotowywali się do szturm. Kutryna biegł patrząc w niebo, nie wrzeszczał, tylko usta miał otwarte, żeby z daleka było widać. Ale zabawa – do cholery! Po trzech latach partyzantki znowu maglują człowieka od początku; ćwicz chwyt, lataj z wywieszonym jęzorem, okopuj się i jeszcze podryguj przed byle chłystkiem. Obudził się w Kutrynie zastarzały żal do świata; natychmiast po maturze, zdobytej na kursach, poszedł do lasu, nie dostał się do podchorążówki, nie otrzymał stopnia, dowódca traktował go jak ofermę. Przez trzy lata. Kutryna marzył o odegraniu się, przez trzy lata czekał na sprzyjającą okoliczność. Nic się nie stało; po wyzwoleniu pierwszy z oddziału poszedł do wojska. Nie miał zresztą dokąd wracać, nie miał z czym wracać, trzeba było wojenkę rozpocząć na nowo.

Dobrnęli do szczytu, Furan spokojnym głosem omawiał ćwiczenia.

– Maczuga – rzekł – Maczuga nieco lepiej. Ale, do cholery, dlaczego on tak się trzęsie?

– Jak żyd nad Talmudem – zawołał Sęk.

Furan zmarszczył brwi. – Dosyć! – Zarządził przerwę na papierosa.

Kutryna odszedł na bok i położył się samotnie na trawie; nie miał w plutonie przyjaciół. Same chłopki roztropki, myślał, ofermi w rodzaju Maczugi albo cwaniacy jak Sęk. Może i niezły materiał, ale do kogo otworzyć głowę. Do kogo? Nie, Kutryna stanowczo nie miał zamiaru doczekać końca wojny w drużynie Sęka. Wieczorem wyłaził z obozu, stawał

na skraju lasu i widział oficerów idących do wsi; przeklinał swoją żołnierską dolę, to, że musi wracać na górne wyrko w ziemiance, wdychać kompanijny smrodek i słuchać westchnień Maczugi, który zwykle wyjękiwał z siebie jakowąś krzywdę. Przed kilkoma dniami Kutryna poszedł do wsi, naszył sobie na naramiennikach bluzy biało-czerwone otoki. Strzelec z cenzusem – jedyny w plutonie. Naszywki zobaczył Kolski i kazał odpruć. „W ludowym wojsku nie ma strzelców z cenzusem – oświadczył. – Jak zasłużycie, to dostaniecie paski”. Sęk, obecny przy rozmowie, uśmiechał się złośliwie.

Nie, Kutryna nie marzył o paskach. Już przed wcieleniem mówiono mu, że w tym wojsku stopnie oficerskie otrzymuje się lekko; teraz był tego pewien. „Oni przecież nie mają kadry, oni muszą na gwałt produkować dowódców”. Ale jutro lub pojutrze pułk wymaszeruje na front, a na froncie bywa rozmaicie; Kutryna nie obawiał się walki, lęk go ogarniał na myśl, że zostanie nie zauważony, zgnije gdzieś między Maczęgą i Kaletą, zapomną o nim, jak zapomnieli w partyzantce.

Zobaczył nad sobą Leksza i Zerwał się na równe nogi. Dawno już chciał pomówić z chorążym; kto jak kto, ale właśnie on powinien pomóc Kutrynie wypłynąć z żołnierskiej płychny. Patrzył prosto w wybałuszone oczy oficera; co taki facet właściwie sobie myśli? Dali mu chyba jakieś instrukcje, kazali szukać odpowiednich ludzi, powinien być rad, że ktoś mu sam lezie na patelnię.

– Obywatelu poruczniku, chciałem pomówić w sprawie osobistej.

– Gadajcie.

– Ja – rzekł Kutryna – mam maturę i doświadczenie partyzanckie; myślałem, że mógłbym iść do szkoły oficerskiej. Przecież – wybuchnął – będzie ze mnie pożytek, ludzie się tu marnują, a bardzo są potrzebni.

Leksz patrzył na niego uważnie. – Tak – rzekł. – Tak. Bardzo dobrze. A do jakiej właściwie szkoły chcielibyście iść?

Kutryna nie był przygotowany na pytanie. Uważał, że to wszystko jedno, chodziło o stopień, nie o rodzaj broni. Ale chciał wybrać taki, który Lekszowi przypadnie do gustu. – Na politycznego – wypalił szybko.

– Na politycznego? – zdziwił się Leksz i spojrzał gdzieś w dół na las i ziemianki... – Na politycznego? – powtórzył. Odwrócił się od Kutryny, jakby rozmowę uważał za skończoną. Dopiero gdy Furan ogłosił koniec przerwy, powiedział: – Zameldujcie się u mnie po skończeniu gazetki.

Kutryna napisał wstępniak pod tytułem: „Z każdym dniem lepiej przygotowani do boju”. „Byliśmy – kaligrafował – bandą cywili, przyszliśmy z rozmaitych stron ojczyzny, by

wziąć karabin do ręki i z ogniem w sercu uderzyć na wroga. Teraz jesteśmy już wojskiem, ogień nie wygasł, ale zdobyliśmy jeszcze wiedzę, rozumiemy już, że aby pobić nieprzyjaciela, trzeba nie tylko chcieć, lecz także umieć”. Spodobało mu się ostatnie zdanie, przeczytał je kilkakrotnie, a pod spodem narysował maksyma wypływającego serię pocisków. Złożył starannie karton i ruszył do Leksza.

Z zastępcą dowódcy batalionu podporucznikiem Różnickim Kutryna dotychczas nie rozmawiał. Kilkakrotnie usiłował napatoczyć mu się na oczy, ale bez rezultatu; Różnicki miał zeza, patrzył w przestrzeń, trudno było ustalić, czy słucha, czy też z przyzwyczajenia potrząsa głową.

– Co? – rzekł – chcielibyście do szkoły oficerskiej?

– Tak jest.

– Czujecie powołanie na politycznego? Dlaczego właściwie na politycznego?

Kutryna przygotował sobie na wszelki wypadek parę frazesów, ale teraz wywietrzały mu z głowy. – No bo... trzeba wychowywać żołnierza, to najtrudniejsze zadanie. Polska demokratyczna...

– Aha. Wyście byli w Armii Krajowej?

– Byłem. W lesie.

– W stopniu?

– Szeregowy z cenzusem.

– Dlaczego nie awansowaliście?

Odpowiedź Kutryna umiał już na pamięć; nie ufali mu, szykanowali, nie nadawał się na oficera tego wojska, inne przekonania...

Różnicki wysłuchał spokojnie. Następnie przystąpił do zadawania pytań, wymierzając Kutrynie cios po ciosie.

– Co to była Armia Ludowa?

– Kiedy powstała 1 armia?

– Czy wiedzieliście podczas okupacji o istnieniu AL?

Pocił się. Każda odpowiedź zła. Wiedział – niedobrze, nie wiedział – jeszcze gorzej, bo Różnicki mu nie uwierzy. Kutryna rozumiał już, że popełnił błąd pchając się do tej szkoły politycznej; należało wybrać artylerię – pewna broń, trzeba trochę ruszyć głową, a nie tylko nogami.

– Co wiecie o generale Żymierskim?

– Kto jest zastępcą naczelnego dowódcy?

Kutryna był już spocony, miał dosyć egzaminu. Po co mi zadaje pytania, myślał,

przecież jak pójdę do szkoły, to i tak wszystko wykuję.

– Więc – rzekł Różnicki – gdy dadzą rozkaz o naborze do szkoły, pomyślę o was. Nie wiem, czy do politycznej, chyba raczej liniowa. A tymczasem dawajcie przykład kolegom; u nas stopnie zdobywa się pracą.

Czekaj tatka latka, myślał Kutryna idąc do ziemianek. Dobrze ci tak gadać, ja też bym tak umiał, gdyby mi dali gwiazdki. Przeklęty los!

Słońce opadało już ku zachodowi, plutony wracały z zajęć. Kutryna siadł nie opodal ziemianki i czekał. Był głodny. Nie bardzo liczył na kolację, po kolacji apetyt gnębi człowieka jeszcze gorzej, należało kombinować na własną rękę. Można iść do wsi, ale to impreza niepewna, jeśli nie ma się nic do sprzedania, a Kutryna upłynnił już był wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Opylić co z umundurowania? Rzykowne posunięcie, Kazak i tak nie uwierzy, że skradli. Rozejrzał się wokoło; słońce spływało już w dół, mrok zapadał wcześniej, a do apelu było sporo czasu. Podniósł się, strzepnął mundur. Pozostawała tylko jedna, niezbyt pewna, szansa: wymusić coś od Maćka. Maciek, kucharz, stary znajomy Kutryny, dawał od czasu do czasu coś niecoś, ale ostatnio bardzo niechętnie, bo latało wokół niego sporo podskakiwaczy, gotowych do drobnych posług, by w nagrodę wyliżać kotły.

Poszedł ostrożnie, oglądając się, omijając alejki, żeby nie spotkać oficera z kompanii. Przeklęty los! Oficerowie mogą przynajmniej wyrwać się do Borowicy, tam jest knajpka, w knajpce zeżrą kawał kiełbasy na gorąco albo może nawet kotlet schabowy – i spokój. A ty, człowieku, słuchaj, jak kiszki marsza grają, dotykaj językiem podniebienia, smakuj wargami, patrz łakomie na kawałek razowca. Podobno na froncie karmią lepiej. Niechby już front!

Barak kuchenny mieścił się niedaleko drogi do wsi, na szerokiej polanie upstrzonej krzakami jałowca. Pułkownik Krycki kazał otoczyć plac niewysokim płotkiem, postawić stoły i ławy z nie heblowanych desek. „Niech jedzą kulturalnie” : – mawiał.

Rzeczywiście, jadło się tu wygodnie, żołnierz nie musiał stawiać menażki między kolanami, ale tkwił sobie przy stole jak w restauracji.

Bolek Kutryna posuwał się ostrożnie pomiędzy krzakami jałowca w kierunku baru. Miał zamiar sforsować płot i zaskoczyć Maćka niespodziewanym natarciem, żeby ten musiał coś wynieść. Przed wejściem, w migotliwym świetle padającym z kuchni widział parę postaci, kręcili się dyżurni; nie należało im włączyć w oczy, ale niebezpieczny mógł być tylko oficer inspekcyjny. Bolek stał za krzakiem i uważnie obserwował barak, gdy nagle usłyszał tuż obok siebie przyciszone głosy. Na ściętym pniu drzewa siedział porucznik Olewicz, a przed nim stali Więcek i Benda, nie w postawie zasadniczej, ale „na spoczniej” i z papierosami w gębach. Kutryna zaklął; płot należało sforsować w innym miejscu, a Maciek i tak się

wykręci ze względu na oficera inspekcyjnego. Chciał już odejść, gdy usłyszał głos Bendy, tego zawsze spokojnego Bendy – cichej wody, faceta, którego nie dostrzegał nikt w kompanii. Przyłgął do ziemi i podpełznął nieco bliżej, aby nie stracić ani słowa z tej rozmowy. Twarz Bendy widział dokładnie; była to teraz twarz niespokojna, ruchliwa i czujna. Benda mówił szybko, urywanymi zdaniami, przerywał i rozglądał się ostrożnie, wlepiając oczy w mrok. Olewicz słuchał w milczeniu, paląc papierosa.

– Dlatego właśnie do pana porucznika. Do kogo mamy iść? Ktoś musi wiedzieć! Ktoś powinien wiedzieć na pewno!

Więcek był w Zamościu, został na tej ostatniej zbiórce. Ludzie płakali, czy pan porucznik wie, że płakali? Sęp złamał automat na kolanie; ten sam automat, który przed tygodniem dostał od Sowietów. A teraz siedzi, zamknęli go po czterech latach służby. Ja byłem trzy, Więcek dwa i pół.

Myśmy inaczej myśleli... przyjdzie Polska i wojsko własne wojsko, nie udawane, ale prawdziwe. Ludzie w miastach wyjdą na ulice, żeby zobaczyć, jak wracamy; będzie szedł oddział za oddziałem, śpiewając, kwiaty pod nogi. A teraz co?

No dobrze. My jesteśmy prości chłopcy, nas nie uczyli i w podchorążówkach nie byliśmy! Nie – podniósł nieco głos, ale ściszył natychmiast, przechodząc niemal w szept – nie, nie żeśmy nie wygrali za to marnowanie i włóczęgę. Nikt nam dobrego słowa nie powiedział, a tylko zadają pytania: dlaczego poszliście do AK? Jak to: dlaczego? – zdziwił się nagle. – Jak to: dlaczego? – powtórzył.

– A czego chcielibyście – powiedział ostro Olewicz zdeptując papierosa. – Medale i podziękowania. Gówno. Tego w Polsce nie dają.

– Nie, nie medali. Chcemy wiedzieć. Dlatego przyszliśmy do pana porucznika.

– Więc o co wam właściwie chodzi. Służycie w wojsku i dobrze. Niedługo pójdziecie na front, tam jest nasze miejsce.

– Nie, panie poruczniku. Służymy w wojsku nie od dzisiaj i nie od wczoraj. Tak samo jak pan. Niby to nie wiadomo, jak jest – wybuchnął – niby nie wiadomo! – Kręcił głową, poszukiwał słów, które w nim tkwiły, które przeczuwał nie mogąc odnaleźć.

– Chodzi o przysięgę – rzekł wreszcie. – Ma być teraz, ale inna. Powiadają, że składać ją się będzie po polsku, a potem podpisywać jakieś papierki; kto to widział, żeby przysięgę podpisywać?

Ale niech tam, panie poruczniku! Nie w tym rzecz. Tylko, że myśmy już raz przysięgali jako żołnierze polscy i jesteśmy w polskim wojsku. Czy człowiek może dwa razy przysięgać? I po co? Czy teraz chodzi o co innego niż wtedy? Żeby była Polska niepodległa.

Z tamtej przysięgi nikt nas, po prawdzie, nie zwolnił; czy jak przyjdą i każą po raz trzeci podnieść palec, to też trzeba?

Odezwał się Więcek. Milczał dotychczas, Kutryna nie widział jego twarzy ukrytej w mroku. Głos Więcka przychodził jakby z daleka, przytłumiony i powolny.

– Połowy Polski już nie ma, właściwie w ogóle Polski nie ma. Ale przecież nic jeszcze nie wiadomo; major, gdy do nas ostatni raz przemawiał, powiedział: „Widzieliście kiedy brzozę, gdy stoi samotna w polu podczas huraganu? Wiatr ją przygiął do ziemi, ale nie złamał; gdy przeminie, brzoza znowu podniesie się, jak gdyby nigdy nic. Tak właśnie jest z nami i dlatego nie trzeba tracić nadziei”. Więc jakże tu przysięgać po raz drugi? Chłopcy z naszej kompanii umyślili, że trzeba wystąpić szczerze, wyjść przed front, a gdy rozkażą: „do przysięgi”, powiedzieć, co i jak. Służyć możemy, ale nie jesteśmy rekruty, tylko starzy żołnierze.

– Chłopcy z naszej kompanii? – powtórzył Olewicz.

– Tak, panie poruczniku. A przedtem chcemy się pana poradzić. Porucznik Furan też był w AK, tylko się nie przyznaje, a wszyscy inni są z Rosji. Umilkli. Olewicz palił papierosa, zapatrzony w migotliwy płomyk. Kutryna widział teraz jego twarz, nieruchomą i surową; miękkie, chłopięce rysy stwardniały, na czole pojawiły się głębokie zmarszczki.

– Nic – rzekł w końcu – nic nie należy robić. To głupota. Przysięgę składaną Polsce można powtórzyć nie dwa i nie trzy razy. Nie popełnisz ani wiarołomstwa, ani zdrady.

– Ale przysięgi nie złamaliśmy – powiedział Więcek. – Więc jeśli ta sama, po co powtarzać, a jeśli inna...

– Panie poruczniku – zaszeptał Benda – my mamy zaufanie, a jeśli...

– Co jeśli?

– Nic. Ja tak sobie.

Bezradny jest, pomyślał Kutryna, bezradny jak dzieciak. Dali mu gwiazdki za nic... Mnie też mogli dać.

– Każdy z nas – mówił Olewicz ulegając przymusowi – powinien być uczciwy. To zupełnie proste. Musimy zakończyć wojnę z Niemcami, nie istnieje nic ważniejszego. Niemcy stoją na Wiśle, Warszawa jest w rękach wroga, Poznań, Kraków, Łódź... A wy o przysiędze. Serce wam się kraje? Niech się kraje – wyszeptał – niech się kraje. Trzeba do tego przywyknąć...

– To wszystko – wybuchnął nagle Więcek – dobrze panu porucznikowi mówić! Przed rokiem, w partyzantce, to pan mówił co innego.

– Dosyć!

– Tak jest, panie poruczniku! – Benda rozciągał głowa.

– Tak jest. To znaczy, pan nam nie pomoże?

– Już wam powiedziałem. Co zamierzacie robić?

– Nie wiemy, co zamierzamy robić.

Olewicz wstał z pniaka. – Dosyć. Wojsko to nie wiec i nie zebranie polityczne. Tej rozmowy nie było. Żołnierze odeszli w kierunku kuchni, Olewicz rozpląnął się nagle w mroku, Kutryna nie zauważył, kiedy zniknął. Podnosił się powoli, otrzepując mundur. W kuchni rozpoczęto już wydawanie kolacji, nie było po co tam iść. Wydostał z kieszeni pudełko z tytoniem, skręcił papierosa. Gdy odwrócił się od wiatru, by zapalić, zobaczył przed sobą Olewicza. Porucznik oglądał go uważnie; na jego twarz padało światło z baraku. Kutryna rzucił papierosa i zameldował. Olewicz milczał. Stali naprzeciw siebie, jakby w oczekiwaniu na coś, co ma nastąpić poza ich wolą.

– Podsluchiwałeś? – zapytał wreszcie Olewicz. Kutryna nie odpowiedział. – Podsluchiwałeś? To łajdactwo – mówił cicho. – To łajdactwo. W partyzantce cię tego nie uczyli.

Kutryna mocno zacisnął zęby; chciał patrzeć porucznikowi prosto w oczy, nie mógł.

– W tył zwrot – krzyknął Olewicz – biegiem marsz!

– Padnij!

– Powstań!

– Padnij!

– Biegiem marsz!

– Padnij!

. Wykonywał jak automat; mięśnie działały sprawnie, gdy upadł na ziemię, wyrwał zębami kilka kłosów trawy.

– Dostyć. Odmaszerować do plutonu, w mordę nie dostaniesz.

Przez dwa dni nie podejmował żadnej decyzji. Przestał myśleć, czuł się tak, jak gdyby ktoś złośliwy wymontował mu z mózgu precyzyjny aparat. Ale wiedział, co nastąpi, rzadko bywało, żeby z taką precyzją przewidywał przyszłość i nie miał żadnych wahań. Jak zwykle starannie słał pryczę, wychodził na ćwiczenia, okopywał się szybciej niż kiedykolwiek, zjadał obiad, zebrał o papierosa, bo nie miał już tytoniu. Był czujny i ostrożny, milczał, nie brał udziału w gadaniach, ale słuchał, podpatrywał, podłaził niepostrzeżenie do rozmawiających i łowił słowa, które były mu potrzebne. Wiedział wszystko o ludziach, tak mu się przynajmniej zdawało, badał podskórny nurt kompanijnego życia, niedostępny oficerom. Nikt nie dostrzegłby w nim zmiany, miał na podorędziu zwyczajne gesty i słowa, ale uważał niekiedy,



że wykonuje je ktoś inny, nie on, on bowiem stał z boku, tylko patrzył i widział, gromadził wiedzę, którą zamierzał skutecznie zużytkować.

Oczekiwał, że Benda i Więcek sami do niego przyjdą. Chodzili zwykle razem, czasem odciągali kogoś na ubocze spoglądając trwożliwie dookoła. Kutryna uśmiechał się tylko; wiedział, o czym mówili, wystarczyło jedno słowo, żeby zrekonstruować resztę, tak, byli wyraźni, pozbawieni tajemnic, oczywiście. Mogli oszukać Leksza, ale nie jego, któremu nie chciano dać oficerskich gwiazdek. W gruncie rzeczy pogardzał nimi. Tak jak człowiek zdrowy i silny może pogardzać cherlakiem. Przysięga! Jakież rzeczywiste i znaczenie może mieć parę słów wypowiedzianych uroczystym tonem, słów, które się nazajutrz zapomina. To się w ogóle nie liczy, ludzie wymyślają sobie takie rzeczy, żeby mieć motywację śmierci.

Kutryna postanowił nie dać się nabrać; to było w nim najsilniejsze – lęk przed zasadzką, strach człowieka, który wie, że na każdym kroku czyha oszustwo. Dość! Nadszedł czas najwłaściwszy, żeby wziąć odwet; nie miał zamiaru z niego rezygnować, czekał pięć lat.

W październiku 39 roku w gimnazjum w Mielnicy, do którego uczęszczał Kutryna, rozpoczęły się normalne zajęcia. Trwały niedługo, po tygodniu Niemcy zamknęły szkołę, ale ten tydzień był dla Bolka początkiem okupacyjnej edukacji. Warto uśmiechnąć się do tego wspomnienia, do chłopca, który się jeszcze nie wypoczwarzył, a już wypelzał z ruin domu rodzinnego na świat, zupełnie odmienny niż ten oglądany przez szyby dziecinnego pokoju. W otwartym oknie – matka, czeka aż Bolek zniknie za rogiem, trzeba pomachać ręką, żegna go tak przecież co dzień, gdy idzie do szkoły. Dom miał swój rytuał, ustanowiony przez nią, nikt nie śmiał go łamać, ani on, ani ojczym, ani ciotka Teresa. Obiad był punktualnie o trzeciej, ojczym wracał wówczas z fabryki nie spóźniając się nigdy. Raczej przerywał konferencję i spławiał klientów.

Ojca Bolek już nie pamiętał; umarł rok po jego urodzeniu, a matka wyszła powtórnie za mąż, za współwłaściciela fabryki maszyn rolniczych inżyniera Silbersteina. Na fotografiach sprzed piętnastu lat Silberstein był smukłym brunetem z gładko zaczesanymi włosami. W pamięci Bolka pozostał konterfekt zażywnego łysego jegomościa, który co chwila przecierał czystym pluszem szkła okularów. W domu nie mówiło się nigdy o pochodzeniu ojczyma; to było także tabu. W niedzielę cała rodzina maszerowała do kościoła, a po mszy długo sterczeli przed bramą witając znajomych i dobierając partyjkę wieczornego preferansa. Dobrze urządzonego świat pozbawiony był jakiegokolwiek skazy.

W pierwszym dniu pierwszej okupacyjnej lekcji na katedrze stanął wychowawca klasy, stary wysoki jegomość, dla długiego nosa nazywany przez uczniów „krogulcem”. Podniósł laskę i wskazując portrety obu marszałków, wiszące jeszcze nad tablicą, powiedział:

„Oto marszałek, który Polskę zbawił, i ten drugi, który Polskę zgubił”. Po czym dodał: „Was, roczniku dwadzieścia jeden i dwadzieścia dwa, cała nadzieja ojczyzny”. Chłopcy słuchali w milczeniu, patrząc na portret roześmianego Rydza. Podczas pauzy dyżurny zdjął obrazek i postawił go w kącie.

Następnego dnia powstała w szkole organizacja konspiracyjna. Można by więc mówić o prawie pierwszeństwa, ale pożałuj Boże, co to była za konspiracja! Do tajnego kółka, w którym nauczyciel gimnastyki, podporucznik rezerwy z tych, co nie zostali powołani, wykładać miał sztukę bicia Niemców, należała cała najstarsza klasa. Nie, nie cała, z wyjątkiem dwóch uczniów: Kutryny i Weissa. ... Pusty, długi korytarz, na posterunku pod drzwiami: woźny.

Bolek stoi przy oknie patrząc, jak kropla wody spływa po szkle Unią przypominającą rzekę Wisłę. Na dziedzińcu ciemno, z daleka dolatuje warkot motorów, smugi światła wydobywają z ciemności plac do siatkówki. Czekanie trwa długo, Bolek pamięta, że matka oczekuje go także od godziny w domu, który już właściwie nie istnieje, jest tylko miejsce, gdzie gromadzi się walizki, chowa cenne drobiazgi i liczy godziny pozostające do odejścia pociągu, nie zanotowanego w żadnym rozkładzie jazdy.

Wreszcie ukazuje się nauczyciel gimnastyki – maszeruje sprężysto przez korytarz i staje obok Bolka w postawie niemal na baczność, z rękoma opuszczonymi wzdłuż dobrze wyprasowanych spodni.

– Bardzo mi przykro, Kutryna, wiesz, ja mam do ciebie zaufanie, ale decydują koledzy, koledzy zaś uważają, że na te zajęcia powinni uczęszczać wyłącznie ludzie wywodzący się ze środowiska całkowicie polskiego, a ty i Weiss... Nie, ja was nie stawiam na jednej płaszczyźnie, ale... Pewne sprawy trzeba zresztą wyjaśnić.

Bolek milczy, nie ma nic do powiedzenia, wszystko w nim nagle ucichło, jakby z gwarnej ulicy wszedł na puste pole. Nauczyciel czeka na odpowiedź, stoi długo, patrząc również na krople spływające po szybie. Wreszcie mówi:

„No tak, ale ponieważ ufam ci, dostaniesz zadanie, nierównie ważniejsze niż oni. Trzeba, widzisz, sprawdzić, czy chłopcy przestrzegają zasad konspiracji, ty jesteś poza organizacją, nikt nie będzie poinformowany o naszej współpracy... postaraj się od nich dowiedzieć, jaki jest program, porządek wewnętrzny, podział. Potem mi powiesz, od kogo otrzymałeś informacje... No, Weiss, przepraszam, Kutryna, nie chmurz się, dobra mina, chłopcze, pracuj dla Polski... „

Zabawa. Dziecinna zabawa. Pierwsze aresztowania nastąpią po miesiącu, przez trzydzieści dni jest jeszcze czas zabawy, na korytarzu siedzi stary woźny i pali ogarek

papierosa; zamykamy drzwi, panowie, dzwonek!

Nie chcieli przyjąć Bolka Kutryny; po trzech latach, już w partyzantce, ten sam nauczyciel gimnastyki, wówczas dowódca oddziału, powiedział: „Widzisz, Kutryna, zasłużyłeś sobie na zaufanie, nie będziemy już wspominać tamtych przeżyć”.

Właśnie: będziemy. Matka poszła z ojczymem do getta, poszła, choć ją chcieli zatrzymać siłą. Bolek nigdy nie przypuszczał, że jest aż tak brzydka: długa twarz, zapadłe policzki, nie uczesane siwe włosy. Nie całowała go na pożegnanie, nie starczyło sił na pocałunek, nawet łyzy. Tylko kiwała głową, jakby stwierdzając rzecz oczywistą, którą należy uznać bez żalu...

Na dużej tablicy, stojącej obok ziemianki, umieszczono nową gazetkę ścienną; wstępniak, który podyktował Kutrynie Leksz, rozpoczynała słowa: „Staniemy do przysięgi, gotowi oddać narodowi polskiemu wszystkie swe siły... „

Żołnierze gromadzili się przed gazetką, by zobaczyć karykatury, które Bolek rysował ze szczególną pasją. „Maczuga podczas natarcia... „ Ogromny tyłek sterczał dokładnie na linii strzału. „Michał nie wypinaj się” – dopisał ktoś koślawymi literami. Tylko Maczuga nie zaszczycił gazetki ani jednym spojrzeniem. Dopiero wieczorem, gdy nikogo nie było w pobliżu, Kutryna zauważył, jak Michał podkradł się ostrożnie i stał z otwartą gębą, długo oglądając ten swój konterfekt.

Natomiast Benda i Więcek, oni jedni – dokładnie przeczytali wstępniak. Bolek mógł tylko obserwować ich twarze, nie słyszał, co mówili, czekał zresztą jeszcze, może przyjdą sami, ale oni widocznie również nie uznali go za swojego. Przecież powiadano w plutonie: aktywista Kutryna.

Stracił w końcu cierpliwość, nie rozważał już, tylko serce mu mocno waliło, gdy zameldował Lekszowi.

- Chcę porozmawiać z panem porucznikiem w sprawie poufnej...
- Poufnej? – zdziwił się chorąży. – O co chodzi?
- O ludzi – powiedział Bolek – którzy są przeciw wojsku i przysiędze...

# KAPITAN W STARYM MUNDUNZE

Ewa jednak czekała; gdy minęły trzy dni, a Edward nie przychodził, poszła na daleki spacer w kierunku Czeremnik. Dotarła do skraju lasu, skąd było widać chałupy wioski i kręcące się po szosie figurki żołnierzy. Wypaliła parę papierosów pod rząd, myśląc o Zosi Brzeckiej, Adamie, kłopotach handlowych matki i sposobach zdobycia nowych butów.

Męczyła się tak dość długo, zanim wreszcie pomyślała o Kolskim; nie zresztą określonego. Twarz, oczy, pamiętała je dobrze, nawet „Się nie zmienił, zawsze był nieco toporny, niezgrabni chłopaczysko, które włązi tam, gdzie nie trzeba. Gdyby chociaż nieco schudł.. Narysowała twarz na piasku, była podobna duża płaska i śmieszna. Ale to nie pomagało; wiedziała już, że cokolwiek pomyśli, ból przetrwa, żaden bandażyk go nie zdławi, przesączy się, wydobędzie na wierzch – i dopiecze, nie dając o sobie zapomnieć. Nie można od tego uciec i nie należy próbować; trzeba spokojnie wracać do Borowicy, chodzić po ulicach, spotykać się z Adamem i czekać, głupio i niepotrzebnie, jak pierwsza lepsza zakochana smarkata. Zakochana! Ewa uśmiecha się, wstaje i nie patrząc już na Czeremniki rusza z powrotem. Głupi chłopak! Czego on się właściwie spodziewał, czego się spodziewa?

Adam stojący przed domem, ma minę wyraźnie niezadowoloną.

– Szukam cię od trzech godzin. Gdzie się pętasz?

– Tak sobie...

– Wszyscy: tak sobie, a ja mam pchać te taczki.

– Nie pchaj.

Milczy.

– Więc co się stało?

– Ten stary idiota – wybucha – zdecydował się dzisiaj.

Ewa wie, że chodzi o Brzeckiego. – Co chcecie robić? – pyta z niepokojem.

– Nic nie chcemy robić. My już w ogóle nic nie chcemy robić...

Otworzyła jej służąca, do przedpokoju wybiegła Zosia Brzecka rozczochrana, oczy podkrążone jak po nie przespanej nocy. Zanim przywitała się z Ewą, sprawdziła zasuwkę na drzwiach i przekręciła dwukrotnie klucz.

– Jesteś! Myślałam już, że nie przyjdiesz. A oni? Co oni mówią? – Nie czekała na odpowiedź. – Więc chodź, sama zobaczysz. Ja już nic nie mogę poradzić, niech robi, co chce.

W pokoju zajmowanym przez mecenasa rzucało się przede wszystkim w oczy ogromne lustro wiszące naprzeciwko drzwi. Ewą stanęła na progu i zobaczyła w nim

Brzeckiego; wrażenie było jednak szokujące, nie spodziewała się, że tak ją zaskoczy ta figurka wyciągnięta z lamusa, strój nawet nie na bal maskowy – raczej do podrzędnego teatrzyku, w którym główne role powierza się debiutantom. Przygryzła wargi; wydawało się wręcz niewiarygodne, że śmiech jest wzbroniony, a rzecz należy traktować śmiertelnie poważnie.

– W tym mundurze – powiedziała Zosia – ojciec występował po raz ostatni na ćwiczeniach w roku dwudziestym dziewiątym.

– Właśnie – potwierdził mecenas. – Ale leży wspaniale i nawet nie bardzo się zniszczył. – Zalatywało od niego wódką, wydawał się jednak zupełnie trzeźwy. Biedził się bezskutecznie nad zapięciem haftek przy kołnierzyku; od tamtych czasów utył znacznie, a kołnierz był wysoki, sztywny, szyja nabrzmiewała przy każdej próbie.

– Teraz – zwrócił się do Ewy – krój jest nieco inny, ale ten mundur przeleżał całą okupacją i czekał na dzisiejszą okoliczność. Słusznie mu się więc należy, żebym go wciągnął na grzbiet. – Mrugnął przy tym porozumiewawczo i uśmiechnął się chytrze.

– Tatu – prosiła Zosia. – Jest wygnieciony, brudny, oczyszczę go, wyprasuję, potem włożysz.

– Widzisz ją, jaka mądra. Przed chwilą rugała mnie od idiotów, a teraz prosi. – Przeszedł się po pokoju, ale krok nie był sprężysty, wysokie buty, których także dawno nie nosił, dopiekały boleśnie.

– Wytlumacz mu – błagała Zosia. – Postaraj się wytłumaczyć. To nie ma sensu; głupi gest, który może drogo kosztować. Nikt go nie potrzebuje, nikt go nie chce... no powiedz coś.

– Pan mecenas nie podlega przecież mobilizacji. Pan mecenas wie zresztą najlepiej, jaka to jest mobilizacja.

Zatrzymał się przed nią, mogła zobaczyć z bliska dziurki wygryzione przez mole.

– Odpadł mi guzik, Zosiu, skocz po igłę. No, idź po igłę, jak ci mówię.

– Więc zdejmij mundur, przyszyję.

– Nie, nie trzeba. Sam to zrobię.

– Może pan mecenas odłoży przynajmniej na kilka dni. Chłopcy są bardzo rozgoryczeni, chłopcy zawsze wierzyli każdemu słowu pana mecenasa, a teraz...

– To dobrze, że wierzyli. Czy w tym przeklętym domu nie ma szczotki? Dawniej córki wiedziały, jak wyprawiać ojców na wojnę...

– Pan mecenas uczył nas konsekwencji. Czy wolno tak zmieniać przekonania? Jutro całe miasto o niczym innym nie będzie mówić.

– Ale kołnierz! Żebym miał dobrą córkę, to by mi przyszyła te haftki w innym

miejscu. Do północy nie będę gotowy.

Zosia cisnęła szczotkę i usiadła na łóżku; płakała coraz głośniejsze, nie ocierając łez, nie pochylając głowy.

– Czego beczysz? – Nie spodziewał się odpowiedzi. Odwrócony do lustra badał uważnie rozmaite szczegóły munduru, sprawdzał zawartość kieszeni, ścisnął mocniej pas.

– Wystarczy. Idę.

Zosia zerwała się z łóżka, skoczyła do drzwi i zasłoniła je sobą.

– Nigdzie nie pójdziesz, mówię ci, że nigdzie nie pójdziesz!

Mecenas wcisnął na głowę oficerską czapę, na której jedna gwiazdka przyszyta była niezdarnie czarną nitką. Ruszył powoli ku drzwiom, stanął, niższy od córki, chwiejający się nieco na swoich krótkich nóżkach. Musiał podnieść głowę, aby spojrzeć jej w oczy.

– Szkoda czasu, pójdę. – Wydawał się jednak bardzo bezbronny i niepewny swego w tym oficerskim mundurze, sztytym niegdyś na szczupłego mężczyznę, w butach, które cisnęły go coraz mocniej, w zakurzonej czapie zawadiacko zsuniętej na tył głowy. Ewa usiadła na łóżku i zapaliła papierosa. To była właściwie dobra scena.

– Dość! Dość tej hysterii.

W tej chwili rozległ się dzwonek; raz, drugi, potem kroki służącej i głosy w korytarzu. Zosia odskoczyła od drzwi, gdy usłyszała pukanie. Do pokoju wchodziła sąsiadka, pani Leska, wysoka, chuda, stanęła na progu i patrzyła na mecenasa, szeroko otwierając usta.

– Boże, bądź nam miłościw, pan kapitan.

Brzecki znakomicie wykorzystał zamieszanie; zręcznym manewrem wyminął Leską i po chwili usłyszały już tylko trzaśnięcie drzwiami. Zosia skoczyła do przedpokoju...

– Zostaw – powiedziała Ewa. – Już za późno.

Wyszły we trójkę i skręciły w pustą ulicę biegnącą w kierunku RKU. Miały teraz sporo czasu.

Mecenas Brzecki szedł powoli wąskim chodnikiem, odpowiadając na ukłony unoszeniem dwóch palców mniej więcej na wysokość nosa. Ludzie przystawali oglądając go jak reklamę wędrownego cyrku.

– Zwariował stary!

– Upił się czy co?

– A może on wie, co robi; zawsze dotąd wiedział...

– Boże nam miłościw.

Brzecki szedł przed siebie nie zwracając na nic uwagi. Gdy znalazł się na rynku, z bocznej uliczki wypadł nagle aptekarz, łysy jegomość w okularach.

– Moje uszanowanie panu mecenasowi – wrzasnął, po czym stanął jak wrośnięty w ziemię, tarasując drogę. – Wszelki duch pana Boga chwali! A dokąd to się pan mecenas tak wybrał?

– Do wojska!

– Do jakiego wojska, w imię wszystkich świętych?

– Do takiego, jakie jest, panie magistrze.

Aptekarz obejrzał mundur, zerknął na czapkę i buty zatrzymując wreszcie wzrok na baretkach odznaczeń błyszczących na kapitańskiej piersi.

– Pan mecenas łaskawy dzisiaj, tego, po kieliszku!

– Kropli w ustach żem nie miał.

– Wszelki duch, wszelki duch – powtarzał aptekarz. – A orderów to pan mecenas, przepraszam, pan kapitan ma już jak generał.

– A zdobyło się – powiedział z zadowoleniem Brzecki. – Pod spódnicą nie siedziałem. To – dodał wskazując pierwszą wstążeczkę – za Kijów, panie magistrze.

– Wszelki duch pana Boga chwali. A niech pan mecenas idzie do domu i spać się położy.

– Do widzenia, panie magistrze...

Aptekarz stał jeszcze długo, patrząc jak Brzecki, kołysząc się nieustannie, mijał rynek. A mecenas szedł coraz wolniej, jakby się właśnie z Borowicą już żegnał. Nie, nic nie miał sobie do wyrzucenia i gdy patrzył na to miasto, uzyskiwał potwierdzenie słuszności swoich postanowień.

Wierność? zapytywał. Komu i w imię czego? Poczul w sobie niezwykłą łatwość formułowania myśli, jak podczas wygłaszania mowy obrończej, gdy odrzucał papiery i podnosząc w górę rękę, zaczynał: wysoki sędzie...

Wyrok został, wysoki sędzie, wydany, wyrok ostateczny, a on w każdym razie nie będzie tym, który zwróci się o apelację. Przynajmniej to wiedział na pewno. Ale tkwiła w nim ciągle pytanie inne: czy stać go na przekroczenie progu, czyli na zapłacenie ceny za udział, mimo wszystko, w kształtowaniu polskiej przyszłości?

Wiedział, jaka to cena, i przerażenie go ogarniało, gdy myślał o jej wysokości. Czy mógł kiedykolwiek sądzić, że najtrudniejsze nastąpi w chwili, która miała być tylko triumfalnym apogeum? A jednak powinien, albowiem ilekroć myślał „historycznie”, widział w dziejach swego narodu paradoksalną niemożność spełnienia jakichkolwiek nadziei lub pragnień. Ich wysiłki podczas okupacji były też w gruncie rzeczy od samego początku przepojone fałszem, którego umówiono się nie dostrzegać. Czy naprawdę kiedykolwiek

rzetelnie wierzył, że jest inaczej?

Ale teraz należało to wyznać, powiedzieć samemu sobie, z całą otwartością, bez wszelkich niedomówień. I oświadczyć w ostatnim słowie, że wyrzeka się tego, co miało być tytułem do sławy. Oto cena, którą należy uiścić. Pełnego rachunku nigdy zresztą nie wyrówna, bo zostają jeszcze ci chłopcy, których postawę też kształtował i którzy będą musieli zapłacić za wierność pozbawioną sensu. Wierność? Komu i w imię czego?

Mecenas Brzecki pomyślał wreszcie, że jego kapitańska maskarada, bo przecież jest w tym trochę z maskarady, stanowi rodzaj ucieczki od bezsensu i niespełnienia. I znowu dostrzegł Borowicę; dotknął dłonią twardego daszka garnizonówki i skręcił w prawo. Miasto kończyło się tu właściwie, do gmachu, który zajmowała RKU, iść trzeba było wzdłuż ogrodów, leją gęsto wysadzoną drzewami. Mecenas lubił tę ulicę; gdy przyjechał do Borowicy, by rozpocząć aplikację u starego Weintrauba, chodził tędy co dzień z żoną aż do pustego placu przed skrzyżowaniem; mieli wówczas swoje plany, chcieli w przyszłości – gdy on otworzy własną kancelarię – zbudować tu dom, tak trochę na odludziu, ale przecież blisko rynku, aby nie tracić klienteli. Miejsce wydawało się znakomite, świetne dla dziecka, a i żona mogłaby pracować w ogrodzie, co niezwykle lubiła. Brzecki przystanął na chwilę, by raz jeszcze obejrzeć sobie ten plac. Plac był nie zabudowany, porośnięty dziką zielenią, a ogrodnicy uczynili zeń śmietnisko. Dlaczego właściwie zrezygnowali? Zdjął czapkę, podrapał się po głowie, nie mógł sobie przypomnieć. Mogli przecież po paru latach zrealizować stare marzenie. Męczył się bardzo, nawet krople potu spływały mu po twarzy, ale nic nie pomagało. Jakby w mózgu pękło jakieś wiązanie. Spojrzał w górę, na wierzchołki drzew zanurzone, zdawało się, w niskich chmurach.

I gdy tak patrzył, poczuł uderzenie pierwsze, potem drugie, już słabsze, i osunął się na ziemię trzymając w zaciśniętej dłoni swoją oficerską czapkę.



# CENA ZAUFANIA

## 1

Choraży Leksz meldunek Kutryny przekazał bezpośrednio majorowi Świętowcowi, ponieważ zastępca dowódcy baonu wyjechał do Lublina. Kutryna donosił:

„Szeregowcy Więcek i Benda rozmawiając z podporucznikiem Olewiczem oświadczyli, że członkowie AK, służący w Wojsku Polskim, nie powinni składać przysięgi. Ich zdaniem należy przygotować manifestacyjne wystąpienie podczas uroczystości. Podporucznik Olewicz na to niedopuszczalne oświadczenie szeregowych nie zareagował”.

Major Świętowiec musiał podjąć decyzję; miał do wyboru: albo sprawę przekazać dowództwu i oficerowi informacji, albo też załatwić we własnym zakresie. Decyzja nie była łatwa, zwlekał już dwa dni, chociaż wiedział, że gra jest ryzykowna.

Rano na terenie obozu pojawiły się plakaty przywiezione z Lublina przez zastępcę dowódcy pułku. „Śmierć mordercom z AK”, „Reakcja Polskę zgubiła”. Była niedziela, żołnierze włączyli się po alejkach okrytych październikową mgłą i czytali napisy drukowane czerwonymi literami na szarych płachtach. Twarze nosili poważne, nic z nich nie można było wyczytać: ani zaskoczenia, ani obojętności, ani aprobaty. Major podnosił palec do furażerki, gdy stawali na baczność, zaglądał im w oczy, poruszał wargami, jakby chciał coś powiedzieć. Przeszedł tam i z powrotem główną aleją, wrócił do siebie; miał w szafie butelkę wódki, przywiezioną jeszcze z Lublina, odkorkował, nalał pół szklanki. Alkohol szkodził mu na wątrobę, ale działał dobrze, myśli biegły szybciej, wracała pewność siebie. Nie wierzył temu Kutrynie; pamiętał twarz, nie lubił takich twarzy – miękkich i układnych, pasujących znakomicie do subiektów albo urzędników. Facet był z AK, sypał swoich kolegów. Dlaczego to robił? Pobudki osobiste? Uczciwość? Podśluchiwał – to nie ulega wątpliwości, wolał nie wtrącać się do rozmowy, ale czy powtórzył wiernie?

Major zrzucił mundur, łąził po izbie w koszuli, nieco zgarbiony, gestykulując, jakby kogoś przekonywał.

Chciał myśleć o Olewiczu i o tamtych, ale nieustannie zanurzał się we wspomnieniach, nie mógł wyleźć ze spraw już przeżytych, ciągle odnajdywał coś, z czym należało się mocować, brać za bary, walczyć w nieskutecznej potyczce. Pstroński kiedyś

powiedział: „Człowieku, ty zbyt często mówisz: nie wierzę i wątpię”. Oburzył się wówczas, albowiem ocena była zdecydowanie krzywdząca. „Bo wy – odparł – nie bierzecie pod uwagę ludzkich losów. Splątanych, dziwacznych, rozmaitych, nie dających się zawrzeć w żadnym systemie pytań i podciągnąć pod żaden strychulec. Mentalność nauczyciela? Że komuniście tak nie wolno? A co wolno komuniście? Ferować wyroki znając tylko' jedną przesłankę, dając odpowiedź na jedno pytanie?”

Podczas wojny są dwie walczące strony, obowiązuje prosta zasada podziału: oni i my, żadnych niuansów, półśrodków, kompromisu. Więc po co szarpać się, gryźć, lepiej stosować schemacik jak każdy pierwszy lepszy szczeniak...

Może to istotnie obciążenie?

Wiktor, stary towarzysz, nosił pseudo „Ojciec”, a gdy wpadł, Świętowiec płakał jak bóbr, powiedział mu kiedyś w rzadkim przypływie szczerości, „na ciepło”: „Nic się nie martw, Bolek, cóż to byłby za komunista bez obciążeń”. Wiktor przyjechał do Warszawy ze Lwowa w 42 roku; miał za sobą kawał trudnego życia, walkę we wrześniu, ucieczkę przez Bug, a przedtem zmitrężył osiem lat w „sanacyjnym mamrze”, dwadzieścia pięć miesięcy był na wolności. Świętowiec nie znał człowieka tak konsekwentnie usuwającego z życia wszystko, co prywatne, nie związane ze sprawą. Nawet jego pokój na Targówku był tylko miejscem spotkań, organizacyjną meliną, w której oprócz łóżka nie istniało nic służącego osobistej wygodzie.

„Jak mogliście tak narazić towarzysza Wiktora, wyrządzić krzywdę partii?”

Nie, Świętowiec do dziś nie umiał odnaleźć w sobie żadnej winy.

W 42 roku zimą wysłano „Ojca” i „Bolka” – takie pseudo nosił wówczas major – do Krakowa, powierzając im ważne zadanie partyjne. Bolek znał Kraków, ludzi, miał parę – wydawało się – pewnych adresów.

Przyjechali wieczorem, mróz był solidny, wymarznięci i głodni poszli na Grodzką, do towarzysza, którego Bolek znał jeszcze sprzed wojny. Mieszkanie zastali zamknięte, gdy zastukali po raz drugi, z sąsiednich drzwi wylazła babina i obrzuciła ich wystraszonym spojrzeniem. „Jego nie ma, ludzie, czego stukacie?”

Wyszli na ulicę, zbliżała się godzina policyjna. I wówczas Świętowiec zdecydował się jechać do brata, nie mówiąc Ojcu, z jakim ta człowiekiem będą mieli do czynienia. Czy musiał tłumaczyć wszystko? On i brat żyli zawsze w przyjaźni; Franciszek, starszy od Bolka o dziesięć lat, był przed wojną człowiekiem już dojrzałym, o zupełnie wyraźnej postawie. Szybko awansujący oficer zawodowy, absolwent akademii wojskowej, robił karierę i urządzał się w życiu. We wrześniu nie uciekł do Rumunii i nie dostał się do niewoli; mieszkał w

Krakowie, pracował na kolei, a najprawdopodobniej działał w konspiracji.

Przed wojną spotykali się często; były to spotkania burzliwe i ostre, powtarzanie argumentów, bitwy, utarczki flankowe, zręczne ciosy zadawane zniemacka. Bolesław, bardziej zapalczywy, krzyczał i groził, stosując, jak twierdził spokojniejszy Franciszek, „chwyt poniżej pasa”. „Dla ciebie nie będzie miejsca w przyszłej Polsce”. „Czy ty w to naprawdę wierzysz, zastanów się, po co te bzdury?”

Ale przecież po każdym rozstaniu wracali do siebie znowu, Franciszek ubzdurał sobie jakieś obowiązki opiekuńcze, zastępowanie zmarłego ojca, który ze swej mizernej pensji pocztowca „wyprowadził obu synów na ludzi”. Gdy w czasach studenckich Bolek mieszkał na Tamce, gospodyni regularnie przekazywała mu koperty, które „pan kapitan tu zostawił, bo właśnie nie mógł pana zastać”. Tak zawsze było: Franciszek przynosił forszę podczas nieobecności Bolka. „Rób z nimi, co chcesz, a mnie daj święty spokój”. Franciszek nigdy zresztą nie kwestionował prawa brata do wyboru, jak to powiadał, „własnego azymutu”. Raz tylko, szli właśnie Marszałkowską, po dyskusji wyjątkowo zaciętej, stanął niespodziewanie na rogu Wilczej i odciągając Bolka nieco w głąb spokojnej ulicy powiedział: „Słuchaj, zastanów się kiedyś, czy , warto? Może się mylisz? Należy przecież uwzględniać możliwość pomyłki w każdym rachunku! Boję się właściwie o ciebie, cholernie się boję”. Ściągnął z głowy czapkę i wytarł czoło ruchem, kubek w kubek przypominającym ojca – staruszek tak właśnie wyglądał, gdy wracał zmęczony do domu. Bolesław nie odpowiedział.

„Ukryliście przed partią, że wasz brat, oficer zawodowy, jest członkiem akowskiej konspiracji i że utrzymujecie z nim stały kontakt. Naraziliście w sposób niedopuszczalny towarzysza, któremu kierownictwo powierzyło ważne zadanie. Nie dostrzegacie w tym winy? Zastanówcie się!”

Czy należało ufać Franciszkowi? W swej krakowskiej kwaterze przyjął ich przecież uprzejmie, a nawet serdecznie. O nic nie pytał, dał kolację z wódką, przygotował łóżka i zaproponował wszelką pomoc. Opowiadał o swych wrześnieowych przeżyciach, cicho, bez pasji, niby nauczyciel historii. Byłby to przyjemny wieczór, gdyby nie badawcze, niespokojne spojrzenia Ojca, jego oczy, które co chwila ginęły pod powiekami, uwaga, z jaką śledził każdy ruch gospodarza, wysłuchiwał rozmowy telefonicznej lub słów rzuconych na korytarzu komuś, kto właśnie zapukał.

Czy należało ufać Franciszkowi? „Nie wiedziałem – oświadczył Ojciec, gdy znaleźli się rano na ulicy – że tak ma się sprawa. Ho, ho, ale koligacje”. Należało ufać. Tylko taka odpowiedź jest możliwa. Należało ufać, choćby potępienie towarzyszy było jeszcze ostrzejsze. Świętowiec garbi się, traci już ochotę na wspomnienia, są zbyt bolesne. Franciszek

zginął w roku 43. Podobno był wysokim oficerem wywiadu AK.

„Widzicie, wasz stosunek do brata to poważne obciążenie. Musicie się z niego wyzwolić. Takie zaufanie jest, łagodnie mówiąc, błędem karygodnym”. Nieprawda! Ryzykujemy zaufanie. Gramy dużą grę, stawiamy wysokie stawki. Musimy ryzykować zaufanie!

Wieczorem major Świętowiec wezwał do siebie porucznika Różnickiego, Kolskiego i Leksza. Powtórzył im meldunek Kutryny.

– Wasze zdanie?

Obaj oficerowie polityczni milczeli, pierwszy zabrał głos Kolski.

– Więc ja powiem, jeśli koledzy nie zaczynają, bo to moja kompania. – Zawahał się. – Przyszedł do nas Olewicz, przyjęliśmy go przecież jak brata; nie, źle mówię, przyszedł tu wszyscy razem, on z kraju z AK, inni z kraju z AL albo z Rosji. Dlaczegoż to mielibyśmy sądzić, że on myśli inaczej... a jeśli nawet myślał trochę inaczej niż na przykład ja, to jednak w najważniejszym była między nami zgoda. – Mówił coraz szybciej, nie próbował ukryć wzburzenia. – Byłem niedawno w Borowicy, mało opowiadałem kolegom, bo nie spędziłem tam przyjemnych chwil. Spotkałem ludzi, których znałem sprzed wojny, a dzisiaj nie znalazłem z nimi wspólnego języka. Nie chcą iść do wojska, nie chcą bić się z Niemcami. Ale Olewicz poszedł; harował razem z nami, przyglądałem się, jak prowadził zajęcia, nieźle prowadził, a przecież nie mamy łatwej roboty. Pomyślałem sobie nawet: można do niego mieć zaufanie, uczciwy, porządny chłopak. Nie chciałem go o , nic podejrzewać. Ale widocznie należało go podejrzewać, bo przecież od początku nas oszukiwał...

– Nikt nie ma do was pretensji, poruczniku Kolski!

– Ja wiem, obywatelu majorze, nie tłumaczę się. Ja po prostu nie mogę pojąć, że był z nami, wiedział, jacy jesteśmy, i postąpił jak wróg.

– Tak to określacie?

– A jakże inaczej? Wróg nie chce, żeby żołnierze składali przysięgę, namawia do dezercji, a potem strzela.

– Tak – powiedział Świętowiec – że wróg strzela, to prawda. Wczoraj w Borowicy zamordowano w biały dzień oficera rezerwy, który szedł meldować się w RKU. Sprawcy, oczywiście, nieznani... Był to nawet starszy człowiek, nazwiskiem Brzecki.

– Jak?

– Brzecki.

– Znałem – wybuchnął Kolski. – Adwokat, porządny facet. I wiem, dlaczego go zastrzelili. Chciał iść do wojska, a oni uważali, że zdradza ich sprawę.

– Rozumiem, ale wróćmy do rzeczy. Z meldunku Kutryny – mówi major – wynika tylko, że Olewicz nieodpowiednio zareagował na wrogie czy może po prostu idiotyczne wystąpienie żołnierzy.

– Nieodpowiednio! – wybuchnął Kolski. – Co uczyniłby każdy z nas, gdyby mu dwaj szeregowi oświadczyli, że należy manifestacyjnie odmówić złożenia przysięgi? Byłoby, oczywiście, samo przez się zrozumiałe, chyba w każdym wojsku, że oficer ostro zareaguje, zawiadomi przełożonych i wyciągnie wszystkie konsekwencje służbowe. Ale widocznie Olewicz traktuje naszą armię niezupełnie na serio, widocznie poczuwa się do solidarności nie z nami, nie z wojskiem, ale z tamtą postawą, z którą wiąże go przeszłość. Benda i Więcek są mu bliżsi niż ja, bardziej polscy... bo z Bendą i Więckiem był w lesie. – Skurcz przebiegł po twarzy Kolskiego. – Żołnierz, który nie chce składać przysięgi, i to teraz, gdy powstaje nasza armia... A ostatecznie – zakończył cichym głosem – czyż Olewicz nie powinien ponosić takiej samej odpowiedzialności za kompanię jak Leksz czy Kotwa?

– Czy jesteście przekonani – zapytał zmęczonym głosem major – że Kutryna doniósł ściśle?

– Przecież rozmawiali z nim Leksz i Różnicki; niczego sobie nie wymyślił. Nie wiem, co kierowało Kutryną, Kutryna także jest z AK i chyba lepiej od nas rozumie, co oznaczała ta rozmowa.

– Wasze propozycje?

– Czy ja muszę proponować, obywatelu majorze? W pułku na odprawie mówiono nam o dezercjach z paru jednostek armii. Czy agitacja Bendy i Więcka, a także Olewicza, bo jako oficer wziął w niej udział, nie prowadzi do dezercji? Nie widzę powodów, dla których mielibyśmy traktować tych ludzi łagodnie. Sprawę, moim zdaniem, należy przekazać informacji. Od tego jest.

– To wszystko?

– Chyba nie. Trzeba wzmóc pracę polityczną, widocznie kiepsko wychowujemy żołnierzy.

– Dobrze. A wy, Różnicki?

– Kolski ma rację – oświadczył gruby porucznik.

– Chciałbym tylko dodać, że zbyt mało uwagi zwracaliśmy na pracę z aktywem. Nie wiedzieliśmy, co naprawdę myślą ludzie i co dzieje się w kompaniach.

– A wy, Leksz?

– Ja – przetaił okulary – ja nie mam nic do powiedzenia.

Świętowiec ogarnął uważnym spojrzeniem swoich oficerów. Siedzieli na ławie

trzymając furazerki na kolanach, trochę toporni i niezręczni jak uczniacy podczas egzaminu. Różnicki i Leksz unikali wzroku majora, tylko Kolski patrzył dowódcy prosto w oczy; Świętowiec mówiąc zwracał się właściwie do niego.

– Ja jestem innego zdania. – Podniósł rękę. – Nie wydaję jeszcze polecenia, przedstawiam własny pogląd. Kolski był niedawno w Borowicy, a z tego, co powiedział, wynika, że przeżył bolesne rozczarowanie. Jego dawni koledzy mówią innym językiem, myślą inaczej niż on. Wszyscy chętnie generalizujemy własne doświadczenia, szczególnie zaś te, które pozostawiają osad goryczy, ale to niebezpieczna droga. Przypatrzcie się naszemu batalionowi... W ogromnej większości mamy ludzi, którzy chcą walczyć z Niemcami, którzy przyszli do wojska przepojeni wolą walki. Nie tkwią wcale po uszy w przeszłości, a myślą o dniu jutrzejszym. Niech Różnicki i Leksz powiedzą, czego się słucha w kompaniach z większym zainteresowaniem: pogadanki o bojach w czasie okupacji czy pogadanki o reformie rolnej? Odpowiedź jest jasna. A my uczymy rzemiosła żołnierskiego i rozstrzygamy co dzień tysiąc trudnych spraw: szkoleniowych, zaopatrzeniowych, wychowawczych... Sprawa byłych żołnierzy AK jest tylko jednym z naszych problemów, problemów powstawania nowej armii, ale wcale nie zagadnieniem kluczowym. Możemy więc rozważać ją z całym spokojem, nie decydując ani nerwowo, ani pochopnie. Stać nas na to.

Czy wróg przeciwdziała? Oczywiście, że tak, musimy o tym pamiętać. Ale w sprawie, którą rozpatrujemy, mamy do czynienia nie z wrogiem, takie jest przynajmniej moje zdanie, ale z ludźmi przeżywającymi poważne wątpliwości. Przecież to wiemy z meldunku Kutryny. Sądzę więc, że powinniśmy myśleć nie o usunięciu tych ludzi z kolektywu kompanii, ale o ratowaniu ich, to znaczy o pracy wychowawczej.

– Wątpliwości? – powiedział z goryczą Kolski. – Jakie tu mogą być jeszcze wątpliwości? Obywatel major mówił, że je generalizuję, bo przeżyłem trudne doświadczenia. Nie umiem się z tym zgodzić. Tak, sam się przekonałem, że istnieje linia podziału. Ale tamci, których spotkałem w Borowicy, nigdy przynajmniej nie byli z nami; od razu zdeklarowali się jako wrogowie. A Olewicz! Jeśli dzisiaj toleruje ludzi, którzy nie chcą składać przysięgi, co zrobi jutro? Jak, obywatelu majorze, powierzyć mu mogę z czystym sumieniem zadania wychowawcze, a potem bojowe... ? Ja nie jestem jakoś uprzedzony do Olewicza, zawsze traktowałem go po koleżeńsku i chciałbym tak traktować nadal. Ale czy nie musimy wyciągnąć wszystkich konsekwencji z jego postępowania? Mnie to boli – powiedział nagle ciszej – i... – nie dokończył.

– Widzicie, Kolski – rzekł łagodniej Świętowiec – wszystko to nie jest takie proste. Ani procesy historyczne, ani przemiany w ludziach nie następują z dnia na dzień. Są tacy,

którzy zadeklarowali się po naszej stronie, są wrogowie i są ludzie znajdujący się, że tak powiem, na pozycjach wyjściowych. Na pewno łączy ich z nami wola walki z okupantem... Musimy im dać nieco czasu. My mamy słuszność, jesteśmy jej pewni i byłoby chyba błędem, gdybyśmy tak łatwo i beztrąsko spisywali ludzi na straty. Nie czynmy tego, koledzy.

– Dajemy im czas – powiedział Kolski nie patrząc już na majora – po to, by mogli występować przeciwko nam, a później strzelać.

– Takim nie pobłażamy. Ale Olewicz powinien sam przyjść do mnie i o wszystkim zameldować. Jest to egzamin, któremu musimy go poddać.

– Więc czy obywatel major chce zaryzykować pozostawienie Bendy i Więcka w batalionie? A Olewicz? Czy nie należy raczej pogrzebać w ich przeszłości? Diabli wiedzą, jakie mają kontakty? A ryzyko ich wpływu na ludzi? – wtrącił porucznik Różnicki.

– Nie twierdzę, że nie ma ryzyka. Pamiętajcie, że my także zdajemy egzamin. Ale nie rezygnujemy z nikogo i nikogo nie oddajemy za darmo. Nie będziemy decydować o człowieku, dopóki on sam się nie odsłoni.

– A kiedy się odsłoni, będzie już za późno i my poniesiemy straty, obywatelu majorze. Naprawdę – powiedział Kolski – naprawdę nie rozumiem. Może obywatel major ma rację, ale ja czuję, mnie się zdaje, że my nie mamy czasu na zaufanie.

– Nie wiadomo, jaką manifestację planują – rzekł Różnicki.

– Do niczego nie dopuścimy, to zależy tylko od nas. Kolski – polecił – zwróci szczególną uwagę na Olewicza, Leksz...

– Tak jest.

– Nie tylko pogadanki czy tam gawędy, ale gadaj człowieku, z żołnierzami, z każdym oddzielnie, tłumacz, wyjaśniaj, strzep sobie język, aby ci obrzydło...

– A ja bym jednak wyrwał – powiedział Różnicki.

– Nie ma się co cackać, to poważna sprawa.

## 2

– Nie pójdziesz do niej?

– Nie pójdę do niej.

Wracali z ziemianek, wieczór był ciepły, księżyc wisiał nad lasem oświetlając równą, granatową ścianę. Kotwa szedł powoli, ręce wpakował w kieszenie płaszcza, szeroko

otwartymi ustami wchłaniał powietrze. – Poczekaj, zapalimy.

Kolski czuł, że przyjaciel ma ochotę na pogawędkę. Kotwa lubił bowiem rozmowy w pustym polu, nachodziło nań wówczas natchnienie, któremu nie umiał się oprzeć.

- A dlaczego właściwie nie pójdziesz do niej? Edward milczał.
- No powiedz, dlaczego, bo ostatecznie nie wiem. Może na ciebie czeka.
- Może na mnie czeka.
- Nie powtarzaj jak papuga, to głupie. Przecież chcesz ją zobaczyć?
- Nie nudź. Pewno, że chcę ją zobaczyć.
- No to wal jak w dym.
- Nie mogę!
- Ale dlaczego?

Kolski zacisnął pięści. – Przestań, bo...

– Dureń. Nie chcesz odpowiedzieć, czy nie umiesz odpowiedzieć. To tak bywa: człowiek coś wie na pewno, ale nie może tego czegoś złapać za kark.

- Nie interesuje mnie twoja filozofia. Odczep się.
- Nie chcę.
- No to gadaj dla własnej przyjemności.

Kotwa zaciągnął się papierosem, spojrzał w niebo. – Miałem – powiedział – dziewczynę. – Kolski uśmiechnął się. – Miałem – ciągnął – w czterdziestym roku, ona była Rosjanką, pochodziła z Nowosybirsk.

– Rzeczywiście.

– Tak. Ale poznałem ją na Białorusi, przyjechała do Baranowicz z matką, którą wyznaczono na kierowniczkę miejscowej szkoły. Chodziłem wówczas do dziesiątej klasy.

- Gadaj, gadaj.
- Dobrze. Otóż ona też chodziła do dziesiątej klasy i w ten sposób poznaliśmy się.
- Niezwykle interesujące.

– Wysoka, bardzo jasne włosy i duże oczy, chyba nawet zbyt niebieskie. Przezywano ją Lenką, była w szkole sekretarzem Komsomołu, matka członek partii, w ogóle rodzina z tradycjami.

– Toś dobrze wybrał.

– Bardzo dobrze. Po paru tygodniach nie mogliśmy istnieć bez siebie, chyba coś więcej niż sztubacka miłość, bo ja już byłem właściwie dorosły. Kłóciliśmy się nieustannie: ona radziecka patriotka, a ja zacietrzewiony chłopak, właśnie po wrześniowych perypetiach, naładowany nienawiścią, że aż ze mnie parowała. W nocy chodziliśmy do szkoły, wyciągała



matce z torebki klucz od dyrektorskiego gabinetu i mieliśmy świetną przystań. Płakała: „Ja nie mogę słuchać tego, co mówisz, zrozum nie mogę, to wstrętne, obrzydliwe, odejdz ode mnie, daj mi spokój”. Od chodząc, a potem wracałem znowu.

– A potem...

– A potem przyszedł styczeń i taka niedziela, kiedy to przybiegła do mnie do domu z samego rana. Ojciec i matka poszli do kościoła, a ja leżałem jeszcze w łóżku. Usiadła obok mnie i rozpłakała się „Słuchaj – powiada – ja wiem, że mają was wywieźć, matka wczoraj była na zebraniu komitetu, sama mi powiedziała, żeby mnie przygotować”. Czas był taki, że nawet się nie zdziwiłem. „Trudno – powiadam – przyszła moja kolej, jakoś to będzie”.

„A co ja mam robić? Chyba pojedę z tobą, ja tu nie zostanę. Co robić, powiedz, co robić?”

Nie pamiętam już, co wówczas mówiła, ale tak się jakoś stało, że przestałem na nią zwracać uwagę. Wrócili rodzice, musieliśmy się przygotować, bo wiać nie było dokąd. Pakowaliśmy rzeczy, przewracaliśmy dom do góry nogami, a ona łąziła krok w krok za mną, nie opuszczała mnie ani na chwilę, choć przestałem z nią rozmawiać. Nawet nie pocałowałem Lenki na pożegnanie.

– Rzeczywiście, smutna historia.

– Widzisz, dowiedziałem się niedawno, że ona zginęła w bitwie partyzanckiej pod Baranowiczami, i nie mogę sobie teraz darować...

– Czego właściwie nie możesz sobie darować?

– Sam dobrze nie wiem. Chyba tego, że nie pożegnałem się z Leną, nie powiedziałem jej dobrego słowa, nie pocieszyłem, nie podziękowałem...

– Chcesz mi wytłumaczyć, że ja będę żałował. To zupełnie inna historia.

– Każda historia jest inna.

– Pewno.

– Więc nie pójdziesz do niej?

– Nie pójdę.

Diabli nadali zresztą tę Borowicę. Żeby już front, żeby skończyła się koszarowa nuda, żeby nie myśleć co noc o Ewie, nie wymacywać w ciemności jej twarzy, nie chodzić po południu drogą wiodącą do miasteczka i nie oczekiwać ciągle, wbrew samemu sobie, wbrew solennym przyrzeczeniom.

O tym nie można mówić z Kotwą, z nikim nie można mówić, bo to są sprawy zbyt własne. Nie należy ulegać słabościom, a Kotwa im ulega, nawet Świętowiec, każdy z nich lubi roztrząsać, gadać, filozofować, jakby mogło to coś pomóc. Pójść znowu do Ewy – to

słabość, wrócić do Borowicy, gadać z tamtymi, może przekonywać, głaskać, tłumaczyć, udawać, chować łeb w piasek, grać nie swoją rolę – słabość.

Widział przecież Ewę i Adama. Adam z pewnością zostanie w Borowicy, wówczas gdy oni pójdą na front, będzie miał Ewę i wygodne łóżko, będzie zażywał wypoczynku po swoich jakichś tam okupacyjnych wyczynach.

A kto zamordował Brzeckiego? Wiadomo, nie ma tajemnic, oni są gotowi strzelać, a na strzelanie istnieje tylko jedna odpowiedź. I znowu: Ewa. Dawniej, gdy myślał o Borowicy i o powrocie – myślał o niej, musiała przetrwać okupację, nie mogła zginąć, a przecież okazała się nieosiągalna, jakby ją ktoś oddzielił od Edwarda twardym murem. Zaklął.

– Co się znowu stało?

– Nic. Diabli mnie biorą. Czy tak musiało być?

– Rozumiem. Widocznie musiało. Potem się jakoś utrze, a jeśli wyżyjesz, będziesz budował demokratyczną Polskę. A swoją drogą ciekawa rzecz, jaka będzie ta Polska.

– Tymczasem niewielu nas do budowania – powiedział Kolski.

– Dureń. Zaśpiewaj sobie „Pierwszą Brygadę”, może ci właśnie leży. „Nie chcemy od was uznania”.

– Nie, nie leży mi „Pierwsza Brygada”.

W chałupie czekał na Kolskiego Olewicz z konspektem jutrzejszych zajęć do zatwierdzenia. Edward przeglądał kartki pokryte równym drobnym pismem.

– A więcej, nic mi nie macie do powiedzenia? – zapytał oddając Olewiczowi zeszyt.

– Chyba nic, panie poruczniku...

### 3

Na niebie pojawiły się gwiazdy, w oknach błyskały lampy naftowe, Olewicz szedł środkiem drogi w kierunku ziemianek. „Chyba nic, panie poruczniku, chyba nic” – powtórzył głośno i rozejrzał się z niepokojem. Było pusto, od lasu doszedł go żołnierski śpiew, ktoś wygrywał na harmonii rosyjską melodię. Więc tak już pozostanie, pomyślał, tak musi pozostać. Człowieka złowili w potrzask i – kreska. Ach, żeby na front!

Marzył o froncie, jak po długim pobycie w lesie marzyło się o kąpieli. Wojska stoją nad Wisłą, nie dziś, to jutro rozpoczną ofensywę, na pontonach i łodziach sforsują rzekę, pójdą na tamten brzeg, ci którzy zostaną, będą szli dalej, setki kilometrów, ogień i śmierć

odetną ich od przeszłości.

Dlaczego przeszłość, której nie trzeba się wstydzić, wisi nad człowiekiem jak zmora? Kto ostatecznie zawinił? Gdy przed dwiema godzinami zobaczył twarz Władka, twarz zaciętą, bez uśmiechu, zrozumiał, że jest w pułapce. Więc Kolski ma istotne prawo do nieufności? Nie, mimo wszystko nie ma prawa. Jak to: nie ma? Każdy ma całkowite prawo odmówić zaufania Olewiczowi, który od czterech lat chodzi z orzełkiem na czapce.

Wracał właśnie z ziemianek, by zameldować się dowódcy kompanii. Jakies dwieście metrów od głównej drogi wiodącej do wsi stoi mała chałupka otoczona pięknym owocowym sadem. A dalej stara murowana kapliczka, jak twierdził Furan, bardzo interesująca, którą Olewicz od dawna pragnął obejrzeć. Skręcił więc na polną dróżkę, brnął niemal po kostki w błocie, a gdy już podchodził do zagrody, zobaczył wychodzącego z chaty Bendę, tego samego Bendę, z którym niedawno rozmawiał o potrzebie drugiej przysięgi. Żołnierz otwierał właśnie furtkę, gdy na progu domostwa zjawiał się mężczyzna po cywilnemu, w wysokich butach i zielonych bryczesach. Czapkę mocno miał nasuniętą na czoło, ale przecież Olewicz poznał go natychmiast. Był to Tadek, stary kumpel i towarzysz; po raz ostatni widzieli się w Siedlcach, gdy Stefan szedł do RKU. Benda nie zasalutował. Minał Olewicza nie patrząc, jakby go nie dostrzegł, ale porucznik zdołał dojrzeć na jego twarzy coś w rodzaju uśmiechu czy skrzywienia ust. A Tadek stał ciągle na progu chaty, wreszcie oderwał dłoń od klamki i wolnym krokiem ruszył ku furtce. Pierwszy wyciągnął rękę. „No cóż – rzekł – tak bywa. Ludzie spotykają się niespodziewanie. Jak się żyje porucznikom ludowego wojska?”

Olewicz nie odpowiedział.

„Albo wejdź do chaty, albo zmiataj, na polu nie będziemy gadać”.

„Co ty tu robisz?” Stefan odzyskał zdolność mówienia.

„Co ja tu robię? Lepiej będzie dla ciebie jak ci nie powiem. Brata odwiedzałem. Wystarczy? Więc wejdiesz?”

„Nie wejdę”.

„Jak chcesz. Jesteśmy stare kumple – głos Tadeka jakby złagodniał – i szkoda, że jest, jak jest. Ale może będzie inaczej. W każdym razie nie muszę ci chyba mówić, że mnie nie widziałeś. I tamtego też. W ogóle cię tu nie było. No bywaj, bracie... „

Olewicz odwrócił się bez słowa i ruszył z powrotem. „Fajny chłop, jak zawsze” – usłyszał. I jednocześnie Tadek się roześmiał, ale Stefan nie widział już jego twarzy.

Fajny chłop! Może należało jednak zostać. Pytanie: „co należało?” nie ma żadnego sensu, jest bezprzedmiotowe. Ogarnęła go złość, jakiej dawno już nie doświadczał. Dlaczego to właśnie on ma rozstrzygać? Skąd zresztą wie, że Tadek i Benda... Nie oszukuj się

człowieku. Rzecz jest całkiem oczywista, nie zwracajmy sobie głowy. Ale przecież ten Benda to zwyczajny smarkacz i idiota, a Tadek przekonany jest, że tylko on ma rację.

Minął bramę. Wokół ziemianek siedzieli żołnierze oczekując kolacji. Gdy zbliżył się do swojej kompanii, zobaczył z daleka Bendę. Kutryna, ten dziwny chłopak, do którego nigdy nie miał zaufania, częstował go tytoniem.

## 4

Podczas obiadu zjawił się oficer informacji pułku, porucznik Leoniak, i kazał Kutrynie przyjść do siebie wieczorem. Kwaterował nieco poza wsią, w samotnej chałupie osłoniętej od drogi kępą wysokich drzew.

– Zameldujcie się u mnie wieczorem, jak będziecie mieli wolny czas. Tylko nie za późno. – Machnął ręką.

Okna były starannie zasłonięte, a gdy Bolek zastukał do drzwi, otworzył mu puciołowaty szeregowiec i o nic nie pytając wprowadził do kuchni. Na piecu w wielkim garnku gotował się makaron.

– Siadaj i czekaj.

Kutryna czekał. Na stole budzik wystukiwał minuty, ogień parskał wesoło, szeregowiec ściągnął z pieca garnek i łyżką przekładał makaron na talerz. Następnie usiadł, talerz umieścił sobie na kolanach i jadł rozważnie, nie zwracając uwagi na Kutrynę. Makaron musiał być smakowity, Bolek pamiętał smak tej potrawy z czasów, kiedy jadł ją w domu do pieczeni wołowej lub też z szynką, matka lubiła właśnie makaron zapiekany z szynką, choć ojczym krzywił się zawsze na taką kolację.

– Jak długo będę czekał?

– Tyle, ile potrzeba.

W ogóle wiktuałów w tej kuchni było sporo, a czasu na oglądanie także dosyć. W woreczku z szarego płótna z pewnością znajdował się cukier, a w blaszanej puszcze, której zawartości nie było widać z miejsca pod drzwiami – „swinaja tuszonka”, oficerska konserwa, którą również można by zajadać z makaronem. Chleb leżał na gazecie, solidny dwukilowy bochen, chyba przywieziony z miasteczka, bo wojskowa piekarnia dawała inny.

– Wejdz.

Kutryna znalazł się w wiejskiej izbie, przyjemnej i czystej, nad zasłanym łóżkiem

wisiały święte obrazki, a na stole przykrytym białym obrusem leżało parę kawałków papieru i zatemperowane ołówki.

– Zameldować się nie umiecie?

– Obywatelu poruczniku...

Niski, chudy Leoniak, o wąskiej twarzy zeszpeconej szramą ciągnącą się przez cały policzek, siedział na krześle ubrany jak do wyjścia, w koalicyjce, z pistoletem obciążającym pas.

– Siadajcie.

Kutryna usiadł i patrzył prosto w twarz oficera. Twarz Leoniaka była zmęczona, duża czerwona pręga znaczyła się wyraźnie na policzku.

– No cóż – rzekł wreszcie – opowiadajcie...

Co mam opowiadać?

– Co? – Leoniak jakby się zawahał. – U nas zwykle zaczynamy od życiorysu.

Kutryna relacjonował ściśle i krótko: nieco dokładniej przedstawił pobyt w oddziale partyzanckim, podkreślając, że mimo wielokrotnego udziału w potyczkach i akcjach nie został awansowany. Oświadczył szczerze i bez zbytniego patosu, że jest zwolennikiem obecnej władzy, którą uważa za najlepszą dla narodu, jeszcze niecałkowicie wyzwolonego spod straszliwej okupacji. Leoniak słuchał nie przerywając. Gdy Bolek skończył, podsunął mu kartkę papieru i ołówek.

– A teraz napiszcie wszystko, co żeście mi przed chwilą opowiedzieli.

Kutryna z trudem utrzymywał ołówek, wydawał się śliski, jakby był z polerowanego szkła. Zdania wychodziły koślawe, do niczego niepodobne, jakby Bolek nie parął się pisaniną i nie miewał piątek z polskiego. Zapomniał dokładnej daty wstąpienia do AK; wydłubywał ją z pamięci, nic nie pomagało, pochylony nisko nad stołem przestał zabazgrzywać papier.

– Piszcie szybciej. – W głosie Leoniaka nie było złości. Oparł się o stół, przymknął oczy; Kutryna pomyślał, że śpi, że zapomniał o przesłuchaniu. Pisał znowu, a gdy skończył, ujrzał, że oficer spogląda na niego uważnie.

– Podpiszcie. – Przeczytał szybko kartki rzucając je na stół. – Dlaczego kłamiecie?

– Ja kłamię? Ale przecież...

– Kłamiecie. Ojciec poszedł do getta, matka poszła do getta, a wy co? Żyliście na własnych papierach i Niemcy was nie tykali?

– Mój ojczym...

– Odpowiadajcie na pytania. Kiedy wzywało was gestapo i co od was zażądano w zamian za pozostawienie w spokoju? Mieszkaliście jeszcze w Mielnicy półtora roku...

Wszystkich Żydów przez ten czas wymordowano.

- Ja nie jestem Żydem.
- Dobrze, dobrze. Kto was wzywał?
- Byłem w starostwie, przedstawiałem metryki.
- Kutryna, to niemożliwe, ja znam te czasy.
- Ależ tak, jakiś urzędnik przeczytał i powiedział: „Ordnung, możesz iść do domu”.
- Chcecie, żebym w to uwierzył?
- Ja mówię prawdę.

Leoniak zapalił papierosa. Bolek wciągnął dym, nieco pomogło, ale palić chciało mu się straszliwie, nawet mocniej niż jeść, pomyślał znowu o makaronie, który widział w kuchni.

– Zwracam wam uwagę, rzekł oficer cicho, wydawał się już zmęczony – że' zatajenie przeszłości pociąga za sobą ciężkie kary. Natomiast szczerść może się naprawdę opłacić.

– Ale ja... – Kutryna nie bardzo wiedział, jak się zachować. Pytania Leoniaka, przecież absurdalne, nasuwały się same. – Ja nie będę o tym mówił – powiedział nagle – nie będę. Ja nie zrobiłem nic złego...

Zdawało się, że oficer nie dosłyszał. – Opowiedzcie jeszcze raz, jak było.

Kutryna opowiadał. Szło mu to coraz ciężiej, jakby zapomniał własnego życiorysu albo mówił o człowieku obcym. Co można dodać? Co on chce wiedzieć? Jakie dowody, jakie słowa są mu potrzebne, żeby nie budziły wątpliwości? Czy przeżycie okupacji jest zbrodnią? Czy Kutryna nie miał prawa przeżyć okupacji? Matka poszła do getta, ojczym poszedł do getta, a on pozostał po stronie aryjskiej, bo przecież miał do tego prawo, nie musiał ginąć natychmiast, nie wolno go za to potępiać.

Czy miał zginąć razem z matką? Nie chciano Kutryny od samego początku, nie chciano właściwie nigdzie, należało zginąć, a nie pałętać się pod nogami, prosić, udawać, że jest swój, a nie obcy. Można podpisać kapitulację, w ziemiance jest przynajmniej spokój, chłopcy są już po kolacji i mają wolny czas. Ale o jaką kapitulację chodzi?

Znowu od początku? Tego już nie można opowiadać. Słowa zmieniają kształt, stają się lepkie i miękkie jak długo przeżuwane w ustach kęsy chleba. Przylegają do warg, nie mogą wypłynąć na zewnątrz, przekształcają się w płaczliwy bełkot. Nie, już nic więcej powiedzieć nie można – wystarczy. Można chyba powtórzyć jeszcze to, co zdarzyło się w gimnazjum na samym początku, ale Kutryna milczy, nie umie, jakby mu ostatecznie odebrano zdolność mówienia.

– Więc przyznajecie – powiedział wreszcie Leoniak – że wzywano was do niemieckiego urzędu, według was do starostwa.

Gdy Bojek nic nie odpowiadał, odsunął nagle kartkę, na której coś notował, i oświadczył:

– Dobrze, to wystarczy. Już wiem wszystko. – Umilkł na chwilę. – 'A teraz o akowskim spisku. Kutryna opowiedział; podkreślił, że to, co usłyszał w tej rozmowie, przekazał Lekszowi. Nic więcej nie wie, a meldunek uważał za swój obowiązek.

– Kto kazał wam iść do Leksza?

– Ależ, ja sam...

– Au majora Świętowca byliście?

– Nie.

– I oświadczacie, że nikt nie spostrzegł waszego, no, udziału w tej rozmowie...

Kutryna wahał się krótko, tak krótko, że Leoniak mógł nie zauważyć. – Nikt.

– No, dobrze. Siądźcie tu obok mnie.

Kutryna wstał, zachwiał się i podszedł do krzesła, które stało po drugiej stronie stołu.

– Palicie?

– O tak! – Wciągnął łąpczywie dym; pokój zawirował, potem osiadł spokojnie, lampa naftowa zapłonęła jaśniej.

– Słuchajcie, Kutryna, wiemy o was dużo i wiemy poza tym, że nie jesteście zupełnie szczerzy... Kłamiecie... Cicho. Ale zdarza się, że... jesteśmy gotowi nie pamiętać, jeśli, jeśli ludzie, o których chodzi, gotowi są rzeczywiście nam pomagać. Rozumiecie?

– Rozumiem...

– Pomagać, to znaczy pracować przeciwko wrogom dla sprawy naszego wojska... Zapalcie drugiego papierosa...

Oficer ściągnął pas i rzucił na łóżko. – Teraz sobie pogadamy...

Gdy Kutryna opuszczał po godzinie pokój Leoniaka, na piecu w kuchni gotował się znowu makaron.

– Usiądź – powiedział puciołowaty szeregowiec – makaronu chcesz?

– Pewno, że chcę.

– No to siądź sobie tutaj pod piecem i jedz. – Napęłnił talerz po brzegi.

Jest makaron, pomyślał potem. To też zdobycz: makaron wieczorem.

– Nie bardzo rozumiem, majorze, o co wam chodzi – mówił Leoniak przyglądając się zgarbionej nad stołem postaci Świętowca. A jednocześnie poszukiwał odpowiedzi na pytanie, które zwykł już sobie stawiać w każdej sytuacji: czy temu człowiekowi można ufać?

On, Leoniak, powinien to rozstrzygać. Pojmował, że spoczywa na nim szczególna odpowiedzialność, wróg się maskuje, twarze wroga bywają rozmaite, trzeba go odkryć, chwycić za gardło, wyłuskać z masy ludzi ubranych w jednakowe mundury. To zadanie trudniejsze niż wyprawa spadochronowa na tyły nieprzyjaciela, gra, w której nie ma „swoich”, nie ma niepodejrzanych. Leoniak był przekonany, że swoje zadania wykona dobrze. Ale niekiedy ogarniał go lęk, nigdy dotąd nie odczuwany: ani w partyzantce, gdy znaleźli się w okrążeniu, ani w samolocie przed skokiem „w pustkę”, lęk przed możliwościami, które puchły w oczach niby gumowe materace nadymane powietrzem. Nie miał dotąd dowodów działalności wroga w pułku, nic poza doniesieniami o rozmowach, w których powtarzano obce argumenty znane aż do obrzydzenia. Każdy z tych, których nazwiska pojawiały się w raportach, mógł być agentem, organizatorem, członkiem siatki. Mógł być? Jak cholernie łatwo popełnić omyłkę i jak cholernie łatwo przeoczyć, lekkomyślnie zbagatelizować informację. Za jedno i za drugie można potem ciężko zapłacić na froncie...

– Nie rozumiem, o co wam chodzi, majorze – powtórzył.

Świętowiec machnął ręką. – Już wiem, że nie rozumiecie. – Przypominał teraz zniecierpliwionego belfra, który raz jeszcze stwierdza nieuctwo wychowanka. – Wybaczcie, ale jesteście młodszy ode mnie, zapalczywość zastępuje doświadczenie. Chodzi po prostu o to, żebyście mi nie przeszkadzali.

Leoniak uśmiechnął się; był właściwie bardzo zmęczony i nie reagował tak szybko jak zwykle. – Nie sądziłem, że informacja wam przeszkadza – powiedział.

– Gadajmy bez zalewania. Informacja mi nie przeszkadza. Powtórzyłem wam meldunek Kutryny i proponuję, żebyście tymczasem nie wyciągali konsekwencji; żadnych tam przesłuchań, aresztowań i tak dalej. Wiercie mi, ja mam też nosa w tych sprawach: mamy do czynienia nie z robotą wroga, ale, że tak rzeknę, z echem wrogiej roboty. Trzeba ludzi wyciągnąć za uszy z błota, ale tymczasem bez waszego udziału. Dogadam się ze swoim batalionem...

– Z kim się dogadacie? – przerwał Leoniak.

Świętowiec pomilczał chwilę. – Chcę was traktować – rzekł potem cicho – jak towarzysza... Nie stwarzajcie dodatkowych trudności. Z ludźmi trzeba się dogadać; to nie żaden spisek – podniósł głos – nie żadna siatka, siatki inaczej działają, ale zwykle durnie, zbakierowane chłopaki...

– Widzicie, majorze – powiedział spokojnie Leoniak – ja wcale nie chcę stwarzać dodatkowych trudności. Przepraszam was, może wyraziłem się zbyt ostro... Ale powiedzmy



sobie szczerze: wy nie macie do mnie zaufania, uważacie, że będę niby słoń w składzie porcelany i potłukę wam drogocenne figurki. Wlazła informacja i wszystko zepsuła! A skąd to jesteście tacy pewni – podniósł głos – że nie ochraniać wroga, że nie macie do czynienia z początkiem zorganizowanej akcji, że ci ludzie nie złapali już kontaktów? Na jakiej zasadzie gotowi jesteście wziąć wyłącznie na siebie taką odpowiedzialność? To, co mówicie, jest lekceważeniem przeciwnika... Świętowiec zgarbił się jeszcze bardziej; Leoniak widział pasma siwych włosów, opadających mu na czoło. – Ja nie lekceważę wroga – powiedział. – Śmieszny zarzut! Ja się po prostu nie boję, w oddziale miałem rozmaitych ludzi i takich też, którzy przyszli przypadkowo. Ludzie różnie myśleli, ale wszyscy poszli się bić.

– My mówimy zbyt teoretycznie, majorze. Czego wy właściwie ode mnie chcecie? Żeby nie przesłuchiwał Olewicza i tych pozostałych w związku z meldunkiem Kutryny? Żeby traktował ich jako będących pod ochroną? Nikt nie jest pod ochroną. Każdy z nas spełnia swoje zadania.

– Waszym zadaniem – Świętowiec wyprostował się nagle – jest znalezienie autentycznego wroga. Ludzie gadają diabli wiedzą co, a to nic nie znaczy. Rozumiecie? My musimy stworzyć wojsko z tego materiału, który mamy; żadnego lepszego nie wytrzaśniemy spod ziemi.

– Po cóż ten wykład, majorze. Bez powodów nikogo „nie zamkniemy. Wy macie swoje metody działania, a informacja swoje.

– Dobrze, dobrze, możecie nie odpowiadać wprost.

Ja jestem człowiek starszy i twardy, stać mnie na to, żeby o swoich ludzi nieco powalczyć.

– I o Olewicza też?

– O Olewicza przede wszystkim. To bojowy, uczciwy chłopak; sam do mnie przyjdzie.

– Macie zaufanie do ludzi!

– Ja, towarzyszu Leoniak, mam naprawdę zaufanie do ludzi.

Porucznik nisko pochylił głowę. Zaufanie? Ileż pustych słów powtarzają porządni składniad ludzie zapominając, że na świecie trwa wojna!

Ludzie czekają. Czy ostatni rozdział wielkiej wojny, który jest też ich rozdziałem, zawierać będzie tylko oczekiwanie?

Maczega i Kaleta, Gral i Sęk wiedzą, że pójdą na zachód; gdy wieczorem Leksz czyta gazetę, wyobrażają sobie miasta, których nazwy padają w komunikatach. Jutro czy pojutrze komunikaty powiedzą o nich. I za ich sprawą w odległych stolicach rozlegną się artyleryjskie salwy. Potem powróci pokój, ale choć zwycięstwo wydaje się bliskie, pokój nie jest pojęciem realnym. Jaki los ich czeka przedtem? Czy można, a nawet czy warto wyobrażać sobie drogi, którymi przejdą pola, na których się okopią, rzeki, które sforsują? Ogarnia ich zdziwienie, gdy myślą, że to właśnie oni wezmą udział w tym wszystkim, co się niedługo stanie. Ale wiedzą też, że oprócz najbliższych nikt nie wspomni ich nazwisk, a nawet pluton porucznika Furana czy batalion majora Świętowca stanowią wielkości zbyt drobne, by dostrzec je na linii frontu, który przecina mapę Europy.

Z ziemianek w Czeremnikach widać tylko pola i las, mgłę i drogę prowadzącą do Borowicy; świat jest nużąco jednostajny i spokojny, jakby nic się na nim godnego uwagi nie działo, jakby zastygł sobie w oczekiwaniu. Wojna jest więc głównie oczekiwaniem, a niektórzy nawet, jak choćby Kazak – oblatany i cwany szef kompanii, twierdzą, że „w wojsku, bracie, to w ogóle czekasz i czekasz, potem masz ciężką harówkę i znowu od początku”. Taki widać los, inaczej sobie wyobrażali początek wielkiego pochodu na wroga, ale czy to żołnierz wie, na co się ostatecznie przyda?

Ranki są ciemne i chłodne, ludzie drżą z zimna wyskakując z ziemianek, mycie trwa krótko, dopiero gimnastyka przywraca prężność mięśniom, naciągają bluzy, w biegu zapinają pasy, pluton staje do apelu.

I Michał Maczega wraz z dziesiątkami innych śpiewa: *Kiedy ranne wstają zorze...*

Dni są do siebie podobne, ale nigdy nie wiadomo, co nowego przyjdzie do głowy dowódcy plutonu. Maczega jedząc śniadanie myśli już o tym z rezygnacją; cokolwiek porucznik Furan poleci, i tak skrupi się to w jakiś sposób na nim, bo od tego jest, jakby nieco niepotrzebny w plutonie, w którym ludzie zżyli się już z wojskiem bardziej niż on.

Porucznik Furan jest świeży i ogolony. Przechodzi po ścieżce spoglądając na twarze ludzi; Maczega wypręża się przepisowo, czuje, jak wzrok dowódcy spływa po nim, ale wszystko jest w porządku, guziki zapięte, onuce dobrze założone, buty czyste. Furan rzuca komendę, pierwszy szereg występuje dwa kroki naprzód, porucznik podchodzi do

prawoskrzydłowego i oświadcza: – Żołnierz ma zawsze czyste paznokcie. Maczuga z przerażeniem spogląda na swoje dłonie. Nie, nigdy nie troszczył się o nie zbyt; ale widocznie przed wyruszeniem na front czystość paznokci również jest ważna. Ludzie wyciągają przed siebie ręce, Furan sprawdza uważnie, tak jak karabin.

– Cóż wy, Maczuga, obgryzacie paznokcie?

– Nie obgryzam, panie poruczniku!

Zawsze, do diabła, bywa z nim gorzej niż z innymi. Kutryna znajdzie nowy temat do gazetki ściennej; łatwo można sobie wyobrazić rysunek: wielkie, brudne ręce Maczugi rozpostarte niby martwe owady na białej kartce brystolu. Ale ludzie w szeregu uśmiechają się, jakoś nikt nie bierze zbyt do serca Furanowego sprawdzania. No cóż, oficerowie mają różne pomysły, nie wszystkie traktować można poważnie...

O godzinie ósmej pluton maszeruje z powrotem do ziemianki na zajęcia polityczne. Zbiera się tu cała kompania, jest ciepło, zacisznie, twarze ludzkie wyglądają w półmroku jak białe plamy. Żołnierze siedzą na pryzkach, na zbitych z drzewa stołkach, a pośrodku stoi chorąży Leksz z zeszytem, do którego co chwila zagląda. Wszystko ma tam wypisane i nie musi pewno, jak Maczuga, wysilać mózgu, aby zapamiętać tyle trudnych rzeczy. Michał nigdy nie przypuszczał, że w wojsku trzeba się tak dużo uczyć. Niby dokładnie wiadomo, dlaczego pójdą na front, ale okazuje się, że należy jeszcze wiedzieć o sprawach, których związek z wojną i Maczugą jest niezupełnie jasny. Oto Leksz mówi o różnicach pomiędzy dwiema konstytucjami: demokratyczną z 1921 roku i faszystowską z 1935 Maczuga nigdy nie słyszał o żadnej z nich. Konstytucja – uroczyste słowo, chorąży wymawia je z namaszczeniem. Pomyślcie sami: czy to mogła być dobra konstytucja? Prezydent odpowiedzialny przed Bogiem i historią, to znaczy nie odpowiadający w ogóle za swoje postępowanie. Faszyzm rozpościerający się nad Polską jak czarny ptak, a prawa ludu, nawet te nikłe, zdobyte dawniej – wyrzucone na śmietnik. Żołnierze słuchają i chyba rozumieją, o co chodzi, Benda nawet notuje, Michał zagląda mu przez ramię, ale nic nie może przeczytać. Leksz zaś gada, gada coraz szybciej, Maczuga natęży wzrok i wpatruje się w usta chorążego; w głowie pozostało mu tylko to jedno uroczyste zdanko: „Odpowiedzialny przed Bogiem i historią”. Historia! Cóż Maczuga ma do powiedzenia w tej sprawie, historia uczyni z nim, co zechce, wczoraj wtoczyła w żołnierski mundur, jutro pośle na front, a pojutrze... Historia jak huragan, jak zawieja, jak burza, przed którą nie ma obrony.

A przecież Leksz gada, że będzie inaczej. Naród, ziemia i wszystko dla nich, niby odwrócenie porządku świata.

– Michał, nie śpij. – To stary Grał pochyla się nad nim.

– A wcale nie śpię – oburza się Maczuga. I gdy patrzy na Grala, słyszy własne nazwisko. – Co żeście zapamiętali, strzelec, z tego co powiedziałem o konstytucji faszystowskiej.

Michałowi jak zwykle czerwienieją policzki, wstaje wyciągając ręce wzdłuż spodni. – Prezydent – powiada – odpowiedzialny przed Bogiem i historią. A historia to wcale nic nie znaczy.

Żołnierze czekają nie wiedząc jeszcze, czy należy śmiać się, czy zachować ciszę; Leksz nie patrzy jednak na Maczugę, na progu ziemianki pojawia się bowiem major Świętowiec. Za nim porucznik Różnicki.

– Wstać! – wrzeszczy. – Bacność! Obywatelu majorze...

Świętowiec podchodzi do Maczugi, siada na pryczy tuż obok niego. – Prowadźcie dalej, Leksz.

– Więc – mówi chorąży – Benda, powiedzcie o konstytucji z 1935.

– To była faszystowska konstytucja – krzyczy Benda – a prezydent miał być, odpowiedzialny tylko przed Bogiem i historią.

– Siadajcie. Strzelec Kutryna o reformie rolnej.

– Reforma rolna – zaczyna mentorskim tonem Bolek – uchwalona przez pierwszy sejm, nie została jednak w Polsce burżuazyjnej zrealizowana.

– Poczekajcie... – Major zdejmuje furazerkę i przeciąga dłonią po rzadkich włosach. – Siedzicie tu – powiada – i myślcie sobie, po co wam zwracają głowę takimi dawnymi sprawami. A tymczasem sprawy te, choć dawne, mają związek bezpośredni z żołnierskim życiem. O cóż to bowiem idziemy się bić... Maczuga słucha uważnie, majora rozumie lepiej niż Leksza, a to dlatego zapewne, że Świętowiec mówi wolniej.

– Wy – tłumaczy – jesteście odpowiedzialni przed narodem, na was patrzą, w was pokładają nadzieje nie spełniane przez tyle lat, o was będą pieśni śpiewać...

Pieśni śpiewać... Czy te same, które żołnierze powtarzają codziennie: „Białe Orły”, „Małgorzatkę”, „Serce w plecaku”? A może wymyślą inne, nie nadające się do marszu?

Pluton śpiewa:

*My ze spalonych wsi, my z głodujących miast...*

Tak, to prawda. I czy nie ściska się serce, gdy człowiek w mundurze pomyśli o własnej wiosce: zapomniana przez Boga i ludzi, diabli wiedzą, jak tam sobie teraz radzą...

Pluton, stój! Furan wyjaśnia treść zajęć. Mówi inaczej niż Leksz, zwięźle i prościej. Ćwiczą drużynami, temat: drużyna w obronie. Lepsze to jednak niż drużyna w natarciu, zawsze się człowiek mniej namęczy. Ale łopatką trzeba solidnie popracować, potem ułożyć

wygodnie karabin i natężyć wzrok... Z tamtego pola, osłoniętego nieco mgłą, nadejdzie piechota npla; zabawne figurki żołnierzy wyskakujące jak pajace na sprężynie i kryjące się natychmiast za krzakiem albo wzniesieniem. Trzeba schwytać na muszkę, trzeba tę człowieczą figurkę przycisnąć do ziemi, żeby już nie mogła powstać. Maczuga wyobraża sobie tamtych żołnierzy; widział ich setki razy, przejeżdżali przez wieś, łazili od chałupy do chałupy, palili domy i zabijali ludzi... A teraz chwyci ich na muszkę karabinu...

– Do diabła, Maczuga, to nie wypoczynek, a ćwiczenia. Powstań. Biegiem... marsz!

Furan jest w gruncie rzeczy fajnym chłopem i należy go cenić. Gdy ogłasza przerwę, wiadomo, że czasu starczy nie tylko na zapalenie papierosa. Siedzą więc spokojnie pod drzewem: Benda, Więcek, Maczuga, Kaleta, stary Grał. Benda częstuje tytoniem, zawiązuje ostrożnie woreczek, a potem spogląda na starego Grała.

– No cóż, stary – mówi – poganiają, poganiają, a potem pójdziemy na koniec świata.

– Nie strasz. – Kaleta patrzy na pola pokryte ciągle równymi pasemkami mgły. Jaki tam koniec świata. Poślą nad Wisłę.

– Zobaczysz Wisłę w sennych marzeniach. Tam i bez ciebie ludzi starczy.

– A dokąd niby? Wiadomo, że na zachód.

Benda uśmiecha się. – Na wschód, szanowni panowie, nie mają ochoty? – Pochylny ku nim szepce cichutko, jakby powierzając ważną tajemnicę. – Nie słyszałeś? Cała 2 armia pójdzie walczyć z Japończykami... Rozumiesz, Maczuga: z Japończykami!

Michał szeroko otwiera oczy. Nie, to nie mieści się przecież w głowie. Mają iść na Niemca, nikt nigdy inaczej nie myślał. Któż by ich wysyłał na drugi koniec świata. Cóż Polakom do Japończyków!

– Załadują do wagonów – wtrąca się Więcek – i pojedziesz przez całą Rosję do Mandżurii. Polacy tam już byli, nie udawaj durnego, przecież wiesz, że wszędzie ich wysyłano. Nawet miasto jedno tak się nazywa: Ułan Bator.

Milczący dotąd stary Grał skończył papierosa i wepchnął niedopałek w ziemię. Wstał, poprawił furazerkę.

– Bredni nie gadaj – oświadczył. – Ludzie mówią, co im ślina na język przyniesie. Cóż ty sobie myślisz Benda, że my naprawdę uwierzemy? Idź straszyć baby na rynku.

Benda zamierzał odpowiedzieć, ale właśnie dostrzegł Kutrynę, który podchodził od strony lasu. – Dobra, dobra, nie będziemy teraz o tym gadać.

Strzelanie z kb wypadło słabo, najgorsze wyniki uzyskała kompania Kolskiego. Jedynie w grupie podoficerów Kazak ratował sytuację; zdobył pierwsze miejsce w pułku i obnosił swą dumę po całym obozie. Kolski rozkładał ręce.

– Trudny element, obywatelu majorze. Zrobimy z nich ludzi, ale czy czasu starczy?

Świętowiec pojmował, że należało, gwoli wojskowej przyzwoitości, porucznika zrugać, ale nasrożył się tylko i nic nie powiedział. Czuł, że brakuje mu owej dobrej zawodowej szkoły, która dostarcza gotowego zapasu słów na każdą okazję. Źle, że lichy strzelają. Kolski musi solidniej pracować, można to jednak odrobić. Trudniejsze wydawały się majorowi inne sprawy. W partyzantce było łatwiej. Kolektyw powstawał w boju, ludzie nie mieli właściwie przed sobą tajemnic. Tu nawet Kolski obnosi się z własnym dramatem; Świętowiec dawno chciał zapytać, dlaczego porucznik zrezygnował w ogóle z odwiedzania Borowicy.

– Jak tam nastroje w kompanii?

– Nie zdarzyło się nic nowego, obywatelu majorze.

Pewno gadają po kątach; Leksz przeprowadził parę pogadanek, mówił o Warszawie. Żadnych ciekawszych głosów...

– A Olewicz?

– A Olewicz nic. – W głosie oficera słychać było wyrzut. – Tylko w plutonie Furana miało miejsce poważne naruszenie dyscypliny.

– Co się stało! Dlaczego nie meldowaliście?

– Strzelec Maczega nie wyszedł na ćwiczenia...

– Jak to: nie wyszedł?

– Po prostu: został w ziemiance i przeleżał do obiadu. Furan przedstawił go do raportu, wlepiłem stójkę pod karabinem, dla niego to zresztą nie pierwszozna, a potem gadałem z człowiekiem.

– No i co z tego gadania wyszło?

Kolski zmarszczył się. – Właśnie że nic, obywatelu majorze. Pytam: dlaczego zostaliście? A on, że czuł się słaby. To dlaczego nie poszliście do lekarza? Machnął ręką. „Co mi tam lekarz pomoże, powiada, widocznie już taki ze mnie żołnierz i jak tutaj mówią: oferma”.

– Ten Maczega to wypróbowany dowcip w waszej gazetce kompanijnej?

– Tak jest, obywatelu majorze.

Świętowiec pomilczał chwilę. Więc powiedzcie Lekszowi, żeby przestali o nim pisać.

Rozumiecie?

– Nie bardzo.

– Po prostu: żeby przestali. I porozmawiajcie z dowódcą drużyny.

– To jest właśnie ta drużyna.

Major nie rozumiał.

– Ta, o którą chodzi: Kutryna, Benda.

– Tym bardziej. Pojmujecie, Kolski? Macie ludzi, dla których karabin to nie pierwszozna. Dziwię się, że źle strzelają. A Maczega jest nowy, zupełnie nowy, trzeba się nim inaczej zająć.

– Rozumiem, obywatelu majorze. Ja wolę zresztą Maczęgę od tamtych.

– Nie ma znaczenia, kogo wy wolicie. Powinniście po prostu działać rozsądnie. To wszystko.

Powlókł się sam, kuśtykając lekko, w kierunku wioski. Nie spieszył się; do odprawy u dowódcy pozostało jeszcze sporo czasu, a odprawa też nie będzie przyjemna. Właściwie trzeba przyznać: brak fachowości. Dobrze przynajmniej, że z Kryckim można się dogadać! Radziecki pułkownik, który skończył Frunzego i zęby zjadł na wojsku, traktował Świętowca na równi z innymi, lepiej przygotowanymi dowódcami batalionów. A zdarzało się, że nawet go pocieszał.. „Wy się nie martwcie, major – mawiał – u nas bywało na początku gorzej. Jest doświadczenie, to i wiedza będzie”.

Trudno, trzeba się uczyć. Świętowiec siadał wieczorem i studiował BUP. Potem zaczął sam przekładać, ale trudności z terminologią były nie lada jakie, ostatecznie tworzeniem nowych słów nigdy się nie zajmował..

Po drodze do sztabu wstąpił do sekcji polityczno-wychowawczej i tu dowiedział się o brygadach rolnych. Lektor, chorąży Pagat, gruby krzykliwy chłopak, powtarzał polecenia otrzymane z dywizji. Chodziło o pomoc w dokonaniu reformy rolnej; brygady miały ochraniać, a jednocześnie spełniać istotną rolę propagandową.

Pogat opanował już całkowicie sposób wyrażania przyjęty w aparacie polityczno-wychowawczym. Z miejsca też zaczął przekonywać majora, że organizowanie tej akcji napotka w pułku poważne trudności. – No, kogo właściwie pošlemy – mówił – kogo, powiedzcie sami, majorze. Żołnierze w przededniu przysięgi, broń co prawda wydana, ale oficjalnego wręczenia jeszcze nie było, nastroje kiepskie, trzeba raczej rezygnować.

– Nie jestem tego zdania – oświadczył Świętowiec. Mam już w głowie gotowy plan:

ludzi sprawdza się w działaniu, szkolenie szkoleniem, a to takie wojsko, które trzeba zetknąć z rzeczywistością i obejrzeć rezultat. – Właściwie wciąż nie wiem, z kim mam do czynienia – powiedział głowo, wychodząc z izby zajmowanej przez sekcję. Pagat spojrział na niego zdziwiony; siedział pod plakatem, na którym król Krzywousty wskazywał żołnierzowi z piastowskim orzełkiem na czapce szlak odrzański.

Z zastępcą dowódcy pułku do spraw polityczno-wychowawczych, kapitanem Goldweldem, chciał już od dawna obgadać parę spraw. Schwycił go na gorącym uczynku poobiedniej drzemki. Kapitan bez munduru, w szarej koszuli, chudy, nieco speszony, przypominał sprzedawcę, którego już po zamknięciu sklepu zaskoczył nieoczekiwany klient.

Siedli przy dużym stole, na którym leżała otwarta puszka konserw; Goldweld odstawił ją na łóżko i przyglądał się majorowi mrużąc małe czerwone oczy.

– No, co się stało, czemu major taki zdenerwowany? Świętowiec roześmiał się, lubił kapitana, może właśnie za jego całkowitą niewojskowość, aż chorobliwy wręcz brak zrozumienia dla sposobu życia, bez którego nie istnieje dyscyplina. „Czemu się ten Krycki krzywi – powiedział kiedyś Goldweld – o co właściwie chodzi? O jedno baczność?”

To powiedzonko stało się już przysłowiowe w pułku. A przecież Goldweld przyszedł z 1 armią, walczył pod Lenino i Świętowiec podejrzewał niekiedy, słuchając jego wystąpień na odprawach, że kapitan świadomie wybrał sobie taki styl ułatwiający kontakt z ludźmi.

Zapalił papierosa i nie patrząc już na Goldwelda referował sprawę Olewicza, prosząc o poparcie swego stanowiska i wpłynięcie na Leoniaka.

– Wpłynąć na Leoniaka ja mogę – oświadczył Goldweld – choć trudno. – Zamyślił się i zupełnie nieoczekiwanie, tonem, którego Świętowiec u niego nie znał: – Ja wam coś powiem, majorze, wy macie rację i nie macie racji.

– Cóż to znaczy, do diabła?

– Nie, nic złego. Ja wam pomogę, zobaczymy, co będzie dalej. W Borowicy – ciągnął – zastrzelili takiego Brzeckiego, u Kotolewa dziesięciu ludzi uciekło, mieli broń. Złapali jednego, był namówiony, zasądzi na rozstrzał przed całym pułkiem. Widzicie, jak jest. A wy zapominacie o rzeczywistości. Za dziesięć lub piętnaście lat znajdą się na pewno mądrale, którzy powiedzą: popełnialiście błędy, tu i tu robiliście głupstwa, krzywdziliście ludzi. Tania to będzie racja, majorze Świętowiec. Gdy w kraju idzie walka, a przecie idzie walka, trudno gadać o zaufaniu i innych pięknych rzeczach. Przyjdzie na to czas, nie powiem, że nie, ale tymczasem Leoniak myśli: sadzać, bo wie, czym ryzykuje, a ja uważam, że musi tak myśleć. A wy też macie rację, bo z każdego człowieka może wreszcie coś dobrego wyrosnąć...

– Wiecie co, Goldweld, żeby oficer polityczno-wychowawczy zajmował podobne



stanowisko. Ni tak, ni siak...

Kapitan uśmiechnął się i ściągnął z łóżka puszkę konserw.

– Zjecie?

– Nie. Przecież jesteśmy po obiedzie.

– Ja zawsze lubię coś zjeść, choć wcale nie grubieję. Będziemy Leoniaka mitygować, jak się da. A tamci strzelają.

– Wiem. Ale pamiętajcie, że posadzić łatwo.

– Oj, jeszcze jak. Ja wam opowiem, jak było ze mną. Czy wiecie, że ja służyłem u Andersa?

– Nie.

– Właśnie. Poszedłem do Andersa i po trzech miesiącach mnie posadzili.

– Za co?

– To się nazywało: za komunistyczną działalność wywrotową. Dostałem wyrok, wszystko jak potrzeba, przed wojną lepiej nie było. A odsiadywałem w radzieckim więzieniu.

– Radzieckim?

– Aha. Taki był układ. Skazał polski sąd za komunizm i posłał do mamra. Trzymali mnie jeszcze cztery miesiące po odejściu od Andersa.

– Ale to heca!

Goldweld przełknął kawałek chleba cienko posmarowany konserwą i uśmiechnął się do Świętowca. Nadspodziewanie łatwo wyraził zgodę na wyznaczenie ekipy „wiejskiej” z batalionu majora. Wydawało się nawet, że nie bardzo zrozumiał, o co chodzi; łąził po pokoju, oglądał wszystkie kąty, jakby czegoś szukał i w ogóle nie zwracał uwagi na gościa. Dopiero gdy Świętowiec nałożył czapkę i ruszył ku drzwiom, Goldweld odzyskał przytomność.

– Ryzykant wy jesteście, majorze! Oj, ryzykant. To ładna rzecz... na inne czasy.

Nadszedł już wieczór, w wiosce zadymało z kominów, z sąsiedniej chaty rozległ się płacz dziecka, gwałtowny, piskliwy, urywający się nagle na najwyższym tonie, wreszcie stłumiony poduszką lub matczyną dłonią. Świętowiec przystanął i słuchał. Zdjął czapkę, wytarł czoło chusteczką i spoglądał w maleńką szybę odgradzoną szczelnie firanką od świata. Wreszcie machnął ręką i poszedł przed siebie.

# MARIA Z CZWORAKÓW

Wyznaczono dwa plutony: Furana i Olewicza. Dowództwo objął porucznik Kotwa, a już podczas marszu zobaczyli majora Świątowca; przyjechał na koniu, nieźle nawet trzymał się w siodle. Znaczący, a do takich należał niewątpliwie stary Grał, orzekli, że kłusuje nieco po chłopsku, widać uczyli go na wsi albo w partyzantce.

Leksz poszedł także; zastępca dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych wygłosił nawet na pierwszym postoju coś w rodzaju krótkiego przemówienia. Ludzie słuchali go nieuważnie, niektórzy palili siedząc przy drodze, inni przewijali onuce, odpoczynek był zresztą krótki, Kotwa już na początku oświadczył, że marsz jest ćwiczebny, a nie jakaś tam wycieczka krajoznawcza.

– Reforma rolna – gadał Leksz – stanowi ogromne zwycięstwo mas pracujących naszego kraju. Chłop otrzymuje ziemię, spełniają się jego odwieczne marzenia, kończy nędza i poniewierka. Wy, żołnierze, będziecie teraz uczestniczyć w dokonywaniu wielkiej przemiany...

Maczęga miał jak zwykle kłopoty z butem. Słuchał chorążego oglądając uważnie podeszwę: wytrzyma, nie wytrzyma? Właściwie powinna wytrzymać, przynajmniej ten ostatni raz, bo Sęk obiecał, że wstawi się u Kazaka, żeby coś dla ofermi wykombinować. Kotwa zdeptał niedopałek, żołnierze stawali na drodze, szli dalej. Buty grzęzły w błocie, krajobraz nużył jednostajnością, na horyzoncie – wstążka lasu, pola płaskie jak tablica w szkole, tylko gdzieś tam samotne chałupy odpryśnięte od wsi i rzadko chronione paroma drzewami. Na drodze wyrastał czasem przed plutonem wrak samochodu lub czołgu, obojętnie wbijali w błoto kawały pociętego żelastwa.

– Kompania śpiewa!

Sęk idący w pierwszej czwórce rozpoczął:

– *Za górami, za lasami...*

– *Tańcowała Małgorzatka z huzarami* – podchwyciły plutony.

– *Za dwa talary, za dwa talary, hej...*

Maczęga także śpiewał, lubił piosenkę, choć pojąć nie mógł, dlaczego właśnie talarami płacić mieli huzarzy Małgorzatce. I chyba nie za taniec... Słowa były wyraźnie bez sensu.

*Przyszedł ojciec, przyszła matka.*

*Chodź do domu, chodź do domu, Małgorzatka...*

Popatrzył na profil idącego obok Kutryny. Chłopak nie śpiewał, usta miał zaciśnięte i wzrok wbity w nogi maszerujących, jakby liczył kroki. Źle mu, pomyślał Maczuga, inteligent, powinien być oficerem.

*Ja nie pójdę, idźcie sami.*

*Będę tańczyć, będę tańczyć z huzarami...*

Od paru dni darzył Kutrynę szczególną sympatią. Oprócz starego Grala nie miał dotąd w plutonie bliskiego człowieka; ludzie nie stronili od Maczugi, ale któż by chciał przyjaźnić się właśnie z nim, kompanijną ofertą. A Kutryna stawał w jego obronie. Michał, siedząc w niedziele po południu pod drzewem rosnącym za ziemianką, słyszał wyraźnie, jak Bolek tłumaczył Sękowi: „Nie czepiaj się już tego Maczugi, daj mu żyć”. Właściwie to nie miał zbytnej pretensji do Sęka; młody jest, kaprał każdy na jego miejscu postępowałby tak samo, ale Kutryna – porządny człowiek. Należało mu podziękować, Maczuga nie wiedział jednak, jak to zrobić, w ogóle gadanie wychodziło mu nieskładnie, a szczególnie już trudno było mówić z takimi, którzy nigdy nie powąchaliby Białorusi. Zaraz od polskość odsądzają, myślał i milczał.

– Dość!

Dalej szli w milczeniu. Minęli pusty przejazd kolejowy. Maczuga spojrzął na szyny długimi kilometrami wijące się po ziemi i odetchnął głęboko, gdy wchłonął ich las. Szedł na lewym skrzydle, tuż obok drzew, które włożyły na drogę, bezlistnymi gałęziami pochylały się nad głową i gęstniały w głębi; gdzieniegdzie widać było spustoszenia, wycięte pasma, samotnie sterczące pnie.

– U nas – rzekł Maczuga zwracając się do Kutryny – las bywa potężniejszy. A i Niemcy też mniej niszczyli.

Kutryna wyglądał tak, jakby go obudzono ze snu. – Las? Zniszczony? Jak każdy. Co się tam przejmować lasem...

– Wojsko czy kondukt pogrzebowy!? – ryknął nagle Furan. – Pluton śpiewa.

– *Za górami...* – zaczął znowu Sęk.

– Dość. Wróć. Bacność! – Walili mocno w ziemię, droga była tu twardsza, porośnięta nieco trawą.

– Spocznij. Pluton śpiewa.

– *Białe orły wyszywać* – mrucał Maczuga, bo nie znał dobrze słów.

Gdy wyszli z lasu, zobaczyli z daleka majątek Gniazdów, pałac okolony kępą drzew, wąziutką rzeczkę i niewielką wioskę.

– To tu – powiedział niemal głośno Sęk – to tu będzie to wesele.

Do pałacu prowadziła szeroka aleja wysadzana lipami, ale oni skręcili w bok, na wyboistą drogę omijającą park. Dotarli na dziedziniec, wokół którego znajdowały się zabudowania gospodarcze; dwa rzędy niziutkich czworaków, pańskie stajnie i obory, na środku murowana studnia. Ludzie wyglądali z okien, tłoczyli się w drzwiach, a na powitanie wojska wypadła tylko chmara dzieciaków – obdarta, brudna i hałaśliwa. Plutony przybiły jak na defiladzie; stali potem długo w dwuszeregu, oficerowie skupieni wokół majora odbywali naradę.

Maczega przyglądał się czworakom; nic w tym widoku nie było nieznanego, ludzie też tacy sami jak w jego stronach. Nie dziwiło, że nie wychodzą z chałup, wiadomo przecież: chłop jest ostrożny, życie uczyło go nieufności i bojaźni. Rozpierała Michała jednak ciekawość; jak to właściwie będzie? Mają dawać ziemię i on, Michał Maczega, właśnie po to tu jest, żeby ją chłopom dostali. W wojskowym mundurze, kiepskich butach, ale z karabinem, i nawet pewno nieźle wygląda, jak na niego spojrzeć z daleka. Nieuważnie słuchał Leksza, który polecił zagiąć skrzydła i znowu wyjaśniał, po co tu przybyli. Myślał teraz o matce; pewno, że staruszce należałoby się kawał ziemi w Polsce, a nie samotna śmierć, bo przecież nigdy więcej już się nie zobaczą. Sterczą sobie chłopcy na progach, gadają, a ty, człowieku, stój z karabinem w dwuszeregu. Nic cię od nich nie wyróżnia, jesteś taki sam, nie chwaląc się, umiesz robić pewno nie gorzej niż oni, a przeżywasz los całkiem odmienny. Dlaczego to tak jest? Dlaczego właśnie na Maczęgę wypadło wojsko, a na nich – dzielenie ziemi?

Gorycz podpłynęła do gardła, splunął ostrożnie i przydeptał ślinę butem. Tymczasem Leksz ciągle gadał; mają mianowicie pomóc wsi w wyborze Gminnego Komitetu Reformy Rolnej, bo upływa już czas jesiennej orki, a ziemia ciągle nie podzielona, są tutaj ludzie, którzy grają na zwłokę i straszą chłopów. Dziedzic Gniazdowa, pan Lemański, wywiął co prawda z Niemcami, ale zostali jego totumfaccy, inni natomiast ukryli się w lesie, gotowi z karabinem w ręku bronić pańskiej własności. Trzeba więc chłopom pokazać, że władza ludowa jest silna, bać się nie ma czego, ziemia na nich czeka, zmiana losu, koniec nędzy i poniewierki.

Choraży mówił coraz głośniej, oczy mu po dziecięcemu błyszczały, a jego twarz wydała się Maczędze jeszcze bardziej okrągła i puciołowata niż zazwyczaj. Słowa: „nędza” i „poniewierka” wymawiał twardo, dobrze widocznie pojmując ich treść. Michał westchnął, usiłując zakonotować sobie w pamięci to zdanie: „Cierpieli nędzę i poniewierkę”. Gdy podczas pogadanki Leksz zada pytanie, będzie przynajmniej wiedział, jak odpowiadać, bo zbrzydło mu już wystawianie się na pośmiewisko kolegów.

– Co wyście cierpieli przed wojną, strzelec Maczega?

– Nędzę i poniewierkę, obywatelu chorąży!

Gdy Leksz zwraca się do Kutryny, Bendy albo Więcka, pytanie brzmi inaczej: – Co chłopci cierpieli przed wojną?

Tamci gadają lepiej, płynniej niż Maczuga, twierdząc, że mówią o NIM, DLA NIEGO, aby jemu żyło się DOBRZE.

„Oj, chłopie, chłopie – wyrzekała matka – takiś trochę nieudany, ani do dziewcząt, ani do wódki, prawda – pracowity, ale czy to człowiek po to się urodził, żeby całe życie robić?”

PO CO człowiek się urodził?

Z długiej mowy Leksza wynikało, że pluton Olewicza pomaszeruje do pałacu, wystawi posterunki i przygotowuje teren na zebranie, a pluton Furana – to znaczy oni – zajmie się zwoływaniem chłopów. Mają więc chodzić od chałupy do chałupy, namawiać i tłumaczyć, żeby każdy przyszedł, baby tak samo, mogą nawet z dziećmi. Powinni także odpowiadać na pytania pamiętając, czego ich Leksz w pogadankach nauczył.

– Sporo między wami chłopów – kończył chorąży – więc życie wsi znacie, będziecie umieli gadać ze swoimi.

Furan, wysmukły i giętki, w płaszczu, który mu batalionowy krawiec dopasował na medal, nie bawił się już w żadne przemówienia. Dwie drużyny wysłał na wieś, trzeciej zaś – Sęka – pozostawił czworaki Mieli chodzić po dwóch, każdy też dostał papier i ołówek, żeby zapisywać nazwiska zawiadomionych. Długi czworaczany budynek, malowany niegdyś na biało, przypominał baraki stawiane w niemieckich obozach, tylko niższy był i bardziej wciśnięty w ziemię. Do izby wchodziło się przez niewielką ciemną sień, zawałoną rozmaitymi rupieciami; Maczuga i Kutryna rozpoczęli od lewej strony.

– Ty gadaj – powiedział Bolek – ja będę spisywał. Ale tu ludzie żyją – dodał – niech ich diabli...

– Jak wiezdie – rzekł Maczuga. – Wszędzie tak żyją – poprawił się natychmiast.

Chłopi byli mrukliwi i milczący, pytań nie zadawali, uważając widocznie, że nie nadszedł jeszcze odpowiedni czas. Objawiała się im ludowa władza właściwie po raz pierwszy, nawet milicjantów jeszcze nie przysłano, a w pobliskich lasach grasował kapitan Sep.

– Ja tu – powiedział stary chłop zapinając pasek na spodniach – żyję od czterdziestu lat. Znałem starego pana Lemańskiego, kiedy jeszcze do Petersburga, do cara jeździł. Ziemię mają dawać? Nie wiadomo jeszcze, kto ma brać, ci, co mają dużo, czy folwarczni albo tacy, co na jednej krowie siedzą. A wy skąd będziecie?

– Iz pod Słonima – powiedział Maczuga – wieś Kowale.

- Na gospodarce?
- Aha. Matkę tam zostawił.

Chłop pokiwał głową. – Ja te strony znam, za młodu do Różany jeździłem pracować na tartaku.

- Który stoi na górze zamkowej – ucieszył się Maczuga.
- Chyba. Dobrze płacili, choć sezonowo. Ale tam już teraz Rosja.
- To pewno matkę ściągniecie tu po wojnie – zainteresowała się kobieta. – A babę też macie?

- Nie mam. Nieżonaty...
- Więc przyjdziecie na zebranie, gospodarzu? – przerwał Kutryna.
- Przyjdę, proszę pana. My na wszystkie zebrania ходzimy.

Szli od drzwi do drzwi, Bolek zapisywał nazwiska, chłopci spoglądali na niego nieufnie i gadali z Maczuga. A Michał pozbywał się nieśmiałości, wchodził do izby pierwszy, rzucał „niech będzie pochwalony” i gadał, jakby się tekstu o zebraniach wyuczył na pamięć. Szły za nimi dzieci, grzecznie czekając na progu każdego mieszkania.

W ostatniej izbie, spośród należących do ich „rejonu”, zastali samotną kobietę z maleńką córeczką. Dziecko bawiło się szmatami na podłodze, baba pichciła coś przy kuchni w dużym, przeraźliwie brudnym garnku.

- Waszego chłopca nie ma?
- Zabili – powiedziała wycierając dłonie fartuchem. – Zabili – powtórzyła przeciągle.
- Przyszli w nocy, wyciągnęli z łóżka, doprowadzili do studni i strzelili w głowę.
- Kto? – zapytał Kutryna.
- A czy ja wiem, panie. Powiadali, że polscy żołnierze z lasu, niby za to, że z czerwonymi się kuma. A czy się kumał? Mnie nigdy nie mówił. Młody był, dobry ojciec i mąż. Boże mój, Boże.

Kobieta twarz miała podłużną, wargi grube, czoło wysokie bez zmarszczek. Jeszcze nie zgarbiona, trzymała się prosto, poruszała lekko i zręcznie niby młoda dziewczyna. Gdy starła fartuchem ławę, Maczuga przysiadł chętnie, nie spuszczać z niej wzroku.

- Na zebranie pójdziecie?
- A trzeba? Co mnie teraz zebranie, jak żałoba?
- Przyjdźcie. Komitet będą wybierać do podziału ziemi.

Milczała.

- Gospodarka duża?
- Jaka tam gospodarka! Mąż się najmował, gdzie mógł.

– Dostaniecie przydział.

Machnęła ręką. – Wsiowi wezmą. Czyż ja nie wiem? Oni ino czyhają, żeby folwarcznych nie dopuścić. Powiadają: takim obdartusom nie można ziemi dawać, bo to zmarnowanie. Powinien wziąć gospodarz, który zna się na rzeczy. I dla niego będzie pożytek, i dla państwa... Mleka wam dam – dodała patrząc na Michała – albo zupy, właśnie nagotowałam. Michał przystał na zupę, Kutryna wymawiał się, ale ostatecznie i on wchłonął bez trudu solidną michę gęsto wyładowaną kartoflami. Ciepło było w tej izbie, przytulnie, na łóżku gruba pierzyna, zupełnie taka jak u Maczągów, a obrazek Matki Boskiej w czystej złoconej ramce ładnie wyglądał na białej ścianie.

– Nazywacie się Maria Kuwak – zapisywał Kutryna.

Kobieta wstała natychmiast z ławy chowając dłonie pod fartuch. – Tak jest, proszę pana.

– Więc przyjdziecie na zebranie?

– Jak trzeba...

Ludzie gromadzili się na dziedzińcu przed pałacem. Popołudnie było ciche i ciepłe, zupełnie niejesienne, tylko wyschnięte liście szeleściły pod nogami. Promienie słońca, chowającego się już za drzewami, zaglądały do pałacowych okien pozbawionych szyb i futryn. Duży piętrowy budynek wyglądał jak po przejściu huraganu; wyłamane drzwi, rozbite schody, przed głównym wejściem resztki zniszczonych gratów, sterty starych książek, ramy od obrazów. Major Świątowiec siedział na kamiennym stopniu pałac papierosa; w ręku trzymał książkę oprawną w płótno. Obok niego – porucznik Olewicz, nieco pochylony, w pozycji uważnie słuchającego.

– Nie, to nie tak, Olewicz, my nie mamy nic wspólnego z mitem o szklanych domach, nigdy nas nie prześladowała wizja starego Baryki. W dwudziestych latach byłem w waszym wieku i też nie rozumiałem „Przedwiośnia”. Teraz rozumiem. Legenda... szklanych domów miała ratować Nawłóć. Nie było szklanych domów, jedyna droga prowadziła na Belweder. Ale wtedy, kiedy szło się na Belweder, wizja starego Baryki była już pogrzebana...

Pewno, że w tym domu wszystko było przesycone polskością. Tu kultywowano tradycje ryngrafu, tu przechowywano w albumach fotografie oficerów z roku dwudziestego i podchorążych z trzydziestego dziewiątego, a w tej stercie książek odnajdziecie całą patriotyczną literaturę XIX wieku. No i co? Możecie sobie pozwolić na leżkę jedną czy drugą... – Urwał a potem spojrzał na Olewicza jak nauczyciel. – Więc co wam właściwie

przychodzi do głowy, gdy patrzycie na dwór pana Lemańskiego, który wywiął z Niemcami?

Olewicz poruszył się niecierpliwie. – Ależ nic, panie majorze, ja w ogóle na ten temat nie myślę. Chodzi mi o to, że pan major taką rozmowę prowadzi właśnie ze mną, a nie na przykład z porucznikiem Kotwą. Jakby ze względu na moją przeszłość.

– Mówcie wyraźniej...

– Chcę być szczery. Pan major mówił o dwoistości, ja to czuję nieco inaczej; człowiek chce walczyć o słuszną sprawę, nie lubi mieć wątpliwości. Gdy wstępowałem do partyzantki, nie było wielkich słów, nikt nie musiał ich powtarzać ani słuchać... aż do przesytu. Nikt nie sprawdzał, czy jestem dobrym Polakiem, ani mnie nie namawiał, żebym walczył z Niemcami. Wszystko rozumiało się samo przez się... Teraz okazało się... Zresztą pan major dobrze wie, co się okazało. Proszę mi pozwolić... Takich jak ja jest sporo w pułku, ale pan major nie ma do nas zaufania.

– Rozumiem. Mam do was zaufanie. Na froncie powierzyłbym wam taką samą funkcję, jak Kotwie. Ale sądziłem, że podczas tej akcji odpowiedniejszym dowódcą będzie on, a nie wy.

– Można i tak. Ale ja przecież nie jestem przeciw oddaniu ziemi pana Lemańskiego chłopom. Pojmuję, że potrzebne są reformy, myślałem o tym, gdy szedłem do wojska, ale...

– Więc nie umiecie określić swego „ale”? – zapytał Świętowiec, ponieważ Olewicz urwał rozpoczęte zdanie i zamilkł. – Mówicie o nieufności, dlaczego jednak nie wspominać o tych spośród waszych byłych kolegów, którzy zostali w lesie albo zdezerterowali z wojska?

– Nie pochwalam ich. Pan major – mówił gwałtowniej – chce wiedzieć, na czym polega moje „ale”. Ja rozumiem: Polska demokratyczna, reforma rolna, ziemie nadodrzańskie to prawdy równie oczywiste jak walka z Niemcami. Nie, nie tak... Gdyby mi podczas okupacji powiedział dowódca, że po wojnie będzie reforma rolna, uznałbym, że tak trzeba i nawet bym o tym nie myślał. Dlaczego to ja, Olewicz, miałbym się mieszać do takich rozstrzygnięć? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, nigdy nawet dłużej nie byłem na wsi! A teraz pan major żąda, żebym powiedział, co o tym myślę! Nic właściwie nie myślę... Ale... byłem oficerem AK, widziałem, jak ludzie ginęli, trzeba to przecież uznać, nie jesteśmy ani inni, ani obcy, można z nami rozmawiać tak jak z porucznikiem Kotwą.

Świętowiec milczał sporą chwilę. – Wy pochodzicie z Warszawy, Olewicz? – zapytał przerywając dyskusję.

– Z Warszawy. – Roześmiał się. – Ale o moim pochodzeniu nic, niestety, dokładnego nie mogę powiedzieć, choć podobno, jak na dzisiejsze czasy, jest dobre.

– Dlaczego?



– Wychowywałem się u obcych ludzi, matkę widywałem rzadko, ojca niemal nie znam, nawet z nazwiska. Gdy miałem dziewięć lat, matkę aresztowano, podczas wojny nie zdołaliśmy się już odnaleźć.

– Za co aresztowano?

– Dokładnie nie wiem. Za działalność lewicową, to wynikało z jej listów i opowiadań moich wychowawców.

– Więc pochodzicie z rodziny związanej z ruchem robotniczym. Powinniście...

– Rozumiem, co pan major chce powiedzieć. Ojciec i matka porzucili mnie na łaskę losu, nie mieli dla mnie czasu, wyrosłem sam i jestem sam na świecie. Nie wiem, co teraz myślałby mój ojciec, i w gruncie rzeczy czy to ma jakieś znaczenie?

– Chcę wam zadać jeszcze jedno pytanie, Olewicz, to jest ważne pytanie. Czy gdybyście wiedzieli, że w pułku przygotowuje się dezercja lub cokolwiek skierowanego przeciwko naszemu wojsku, spełnilibyście swój obowiązek?

Olewicz milczał...

– Więc o niczym podobnym nie wiecie?

Olewicz przełknął ślinę. Zdawało się przez chwilę, że wybuchnie, a potem odpowiedział bardzo spokojnie:

– O niczym poważnym nie wiem.

– Dziękuję wam.

Ze zbitej masy ludzkiej wypłynął porucznik Kotwa. Major dał mu znak ręką.

– I jeszcze. Jak wasza matka miała na imię?

– Marta, panie majorze.

– Uspokójcie się, ludzie, uciszta się, ludzie, będzie gadał pan porucznik. – Sołtys, starszy siwy mężczyzna, zeskoczył zręcznie z kamiennej balustrady otaczającej pałac.

Kotwa drapał się na nią powoli, gdy zaczął mówić, uciszyło się nieco.

Do miejsca, w którym stał Maczuga, głos porucznika dochodził słabo, właściwie tylko pojedyncze słowa... Reforma rolna... komitet... takich, do których zaufanie... ziemia czeka... nie wolno marnować... Michał nie starał się zresztą słuchać, nie myślał ani o Kotwie, ani zebraniu. W gromadzie bab, które przyszły tu bez swoich chłopów, stała Maria Kuwak. Patrzył na nią nieustannie, ale tak, aby tego nie spostrzegła, bo zwrócona do Maczugi profilem mogła w każdej chwili zerknąć w jego kierunku. Pozna? Chyba nie, bo żołnierz przecież od żołnierza niewiele się różni, szczególnie gdy naciśnie czapkę na oczy. Po cóż

zresztą miałyby poznawać? Siedzi tu na swoim, choć niewiele ma, jest młoda, krzepka, znajdzie sobie jakiego chłopca i pocieszy po stracie męża. Zupą jednak ugościła! Pewno, że nie Kutrynę, bo to zaraz widać, że człowiek nie ze wsi, a jego – Maczęgę. Michał splunął i zaklął. Żeby to kiedy w życiu mieć szczęście do kobiet! Nagle przypomniał sobie rosyjską piosenkę, którą śpiewali „bojcy” jeszcze w 41 roku „Nie powtarzaj – krzyczała na niego matka – Po lak przecie, a po polsku całkiem nie śpiewa. Twój ojciec to umiał: *O mój rozmarynie, rozwijaj się...*”

*Na pozycyju dziewczuszka prowałała bojca...*

Nie, nikt nie odprowadzał Maczęgi Michała na wojnę. Pojechał w zamkniętym wagonie, z tobołem, który mu przygotowała matka, leżał na drewnianych pryzkach, myślał sobie bardzo powoli, bo nigdy mu myślenie gładko nie szło, a czasem musiał nawet jedno zdanie dziesięć razy powtórzyć, aby zrozumieć dobrze. Jak to właściwie jest? Czyż już taki los został zapisany na człowieka?

Dlaczego jednemu się udaje, a mnie, na przykład, zupełnie nic? Niezdatny, czy taka jest sudźba?

Twarde były nary, do niczego nie przytulisz głowy, tylko stukot kół usypiał, wagon laził przed siebie do polskiego wojska...

Kotwa skończył mówić, tłum zakołysał się, jakby uderzony lekkim wiatrem; chłopcy gadali, najpierw cicho, potem głośniejsze i śmielej. Sołtys znowu wlaził na balustradę, stanął obok Kotwy.

– Będziemy wybierać delegatów, ludzie, ciszej, podawajcie nazwiska.

Tłum szumiał i falował, ale nazwiska nie padały. Stojący obok Maczęgi niski chłop z czworaków wy taszczył z kieszeni woreczek z tytoniem. – I tak już nagotowali – szepnął do sąsiada – co się będziemy pchać...

– Stary Klimczak – powiedział sołtys.

– Dobra, niech idzie – odkrzyknięto z tłumu.

– Sobczak.

– Chłop z głową i niepijący.

– Bo mało nie lubi. – Ktoś zaśmiał się głośno, baby chichotały osłaniając twarze chustkami.

– Kalesiak Bolek.

– A cóż to robi ta! – ryknął nagle ktoś pełnym głosem. – Przecie sami wsiowi!

– Z folwarcznych też trzeba, czy to folwarczni nie ludzie, ziemi mają nie dostać?

Do balustrady podchodził tęgi mężczyzna w czapce ściągniętej mocno na czoło. –

Chłopi! – ryknął. – Tu trzeba po gospodarsku, z rozumem... Ziemię będziemy dzielić, bogactwo nie byle jakie, a pana Lemańskiego, któren umiał, nie wstyd powiedzieć, rządzić mądrze i z pożytkiem. Trzeba, znaczy, ludzi z doświadczeniem, którzy robotę znają, siedzą od młodości na własnym. Niech się folwarczni nie boją, krzywdy im nie wyrządzimy...

– Zleż stamtąd... jeszcze ci mało... tylko byś żarł i żarł...

– Spokój, ludzie, dobrze gada, niech folwarczni nie przeszkadzają, kaźden jeden włóczęga będzie się tu pchał.

– Co to za sprawiedliwość – krzyczał ktoś cienkim piskliwym głosikiem – my tu od dziada pradziada siedzim, a do majątku przylazł jeden z drugim z końca świata i już mu się ziemi zachciewa...

Mrok coraz mocniej następował na dziedziniec, niebo blade najpierw, czerniało, migotały już pierwsze gwiazdy. Porucznik Kotwa, unosząc ręce nad głowę, jakby czynił nimi jakieś tajemnicze znaki, bezskutecznie usiłował przekrzyczeć rozszumiały tłum. – Państwo ludowe chce ziemię dzielić sprawiedliwie... ludzie, uspokójcie się, niech folwarczni podają swoich kandydatów.

Już paru z mężczyzn podchodziło do balustrady, chłop, stojący obok Maczęgi, zdeptał papierosa i także począł przepychać się w kierunku pałacu, solidnie pracując łokciami. Ktoś potrącił Michała, ktoś przebiegł obok niego zaglądając mu w twarz. Dostaną folwarczni, pomyślał Michał, sprawiedliwie powinni dostać. Kto nie chce ziemi. I znowu poszukał w tłumie Marii; gadała z babami, gestykulując i potrzęsając głowę, chustka opadła jej z włosów przyczesanych niezbyt porządnie, bo rozwiewał je wiatr.

– Kobułę od folwarcznych!

– Nie chcemy Kobuły, jeszcze roku nie ma, jak przyszedł...

– Ludzie, pogódźta się. Święto takie, ziemię dzielimy, a oni swoje. Niech folwarczni...

Nagle umilkł. Nastąpiła cisza tak dziwna, że Maczęga spojrział na tłum, na głowy, które niby pąki ogromnych roślin falowały od wiatru, a potem odwrócił się i zobaczył na ciemnym niebie ostrą, wybuchającą nad drzewami parkowymi, czerwień.

– Pali się!

– Czworaki się palą!

– Jezu Chryste, ludzie, ratujcie!

Wrzask bab zagłuszył od razu wszystko, tłum zastygł, a potem runął główną aleją, deptał trawniki i klomby, przedzierał się przez krzaki porzeczek i malin; nikt nie słuchał sołtysa nawołującego mężczyzn, by lecieli do wsi po sikawki, zginął w ogólnej wrzawie głos Kotwy wydającego rozkazy.

– Pierwszy pluton do mnie!

– Olewicz – ryczał Kotwa – gdzie wasze posterunki? Ściągnąć posterunki. Dwie drużyny zostawić przed pałacem, reszta za mną...

Zygzaki ognia lizały ciemności już w kilku punktach. Maczuga nic nie widział poza tą czerwienią, sylwetki ludzi i drzewa wyrastały przed nim nagle, znikwały od razu, jakby zapadały się w ziemię. Zgubił Marię, potem znowu ją odnalazł, biegła szybko i lekko, wymijając ludzi. Z trudem dotrzymywał jej kroku.

Aleja kończyła się nagle, skręcili w lewo na wyboistą folwarczną drogę i zobaczyli przed sobą czworaki. Płonęły jak stos wyschniętego drzewa; ogień obejmował je szerokimi ramionami, wytryskał z wnętrza mieszkań niby bezkształtna dłoń wskazująca niebo i oświetlał dziedziniec jaskrawą pożogą. Przeróżny wrzask dzieci i kobiet głużył trzask walących się ścian i pękających wiązań.

– Podpalili – ryczała baba miotając się pod drzwiami mieszkania, z którego chłop wyrzucał garnki, pierzyny i tłumoki, a potem wyskoczył sam niosąc rozkrzyczanego dzieciaka.

Maria biegła prosto w ogień. Jej izba była ostatnia w baraku, płomień lizał już dach, dopadł do ścian mieszkania, okno świeciło czerwono, jakby ktoś postawił na nim jaskrawą lampę. Była już dwa kroki od progu, gdy dogonił ją Maczuga; niewiele miał czasu, nie myślał, co należy robić. Ciężko sapiąc pchnął całą siłą Marię, że krzyknęła tylko i upadła, a sam napał na drzwi, strach ogarniał, że nie starczy sił, bo zawsze brakowało, ale drzwi puściły, wpadł do sieni, z trudem chwytając powietrze. Przed nim była ściana ognia, jakby wlał do płonącej beczki, słyszał trzask, może walącego się stropu, nie spojrzął za siebie, skoczył do izby. Owionął go gorący podmuch; dziecko spało, leżało' spokojnie na łóżku, starannie owinięte, i ciągnęło powietrze szeroko otwartymi usteczkami.

Maczuga przycisnął je do piersi, nie czuł krwi, która spływała mu z twarzy i szyi na mundur, nie bolały popalone dłonie. Lekko i zręcznie wyskoczył z płonącego baraku.

Maria siedziała na ziemi, nieruchoma, jakby straciła przytomność; ręce i twarz miała umazane błotem, patrzyła prosto w ogień, który pożerał dom, sycił się nędzną czworacką strawą, parskał i wybuchał wesołym płomieniem. Maczuga położył jej dziecko na kolanach i uciekł nie spoglądając już za siebie.

Na bryczce w środku jaskrawo oświetlonego dziedzińca stał major Świętowiec kierując walką z pożarem. Ratować można było właściwie tylko jeden budynek; nie czekając na sikawkę ludzie zgromadzili kubły, dwa szeregi ciągnęły się od studni do pożaru, wiadra przechodziły z rąk do rąk, syczące płomienie pełzały pod nogami stojących najbliżej.

Drużyna Sęka pracowała siekierami; rozwalali spojenia dwóch baraków, mieli mało czasu, ogień pożerał suche deski, doskakiwał do ludzi, dwa budynki czworaczne już się dopalały. Sęk pierwszy dostrzegł Michała; splunął, zgryzł w ustach przekleństwo, a potem spojrzał na twarz i mundur ofermi i nic nie powiedział. Maczuga podszedł do Kutryny, wydarł mu z rąk siekiere i zabrał się do roboty. Wtedy właśnie, wśród trzasku walących się desek, usłyszeli strzały: pojedyncze karabinowe, później serie z automatów.

Porucznik Kotwa z czterema ludźmi szedł od czworaków w kierunku pałacu; postanowił ściągnąć jedną drużynę Olewicza na miejsce pożaru, a drugiej polecić przygotowanie w siedzibie pana Lemańskiego prowizorycznych kwater dla folwarcznych. Nie pojmował, czemu obiecana przez sołtysa pomoc ze wsi nie nadchodziła; mieli podobno sikawkę, teraz już i tak było za późno, ale rzecz należało wyjaśnić i odpowiednio zareagować.

Nie miał już wątpliwości, że czworaki zostały podpalone; należało gęściej rozstawić posterunki, liczyć się z możliwością napadu... Tak, właśnie tak, ojczyzna – powtarzał bezmyślnie.

Noc uczyniła się jasna, na niebo wypłynął księżyc, z tyłu, za nimi, jaskrawa łuna rozpałała horyzont. Żołnierze szli gęsiego w zupełnym milczeniu. Kotwa słyszał ich kroki, czasem trzask gałązki, uderzenie buta o kamień. Z daleka dopływał krzyk ludzki, cichnący niekiedy albo wybuchający nagle jak tłumiony płomień, ze zdwojoną siłą.

W połowie drogi łączącej pałac z czworakami zobaczyli przed sobą sylwetkę ludzką; wyrosła nagle, jakby człowiek siedział dotąd w zaroślach lub wyskoczył na trakt z boku. Był już blisko, słyszeli jego kroki.

– Stój, kto idzie?!

– Olewicz.

Na piersi porucznika wisiał automat, był bez czapki, rękawem ocierał pot z czoła.

– Czekałem na sikawkę – meldowałem – sołtysa nie ma. Chcę posłać do wsi, żeby zbadać, co się dzieje...

– I dlatego – powiedział cicho Kotwa – chodzisz sam i ludzi zostawiasz bez dowódcy.

– Dowództwo powierzyłem plutonowemu Skierlichowi.

– Trzeba było posłać gońca.

– Co mam robić?

– Wracać ze mną.

Olewicz był ciekawy sytuacji w czworakach. Gdy Kotwa mówił, ocierał ciągle twarz,

jakby chciał zedrzeć pot razem ze skórą.

– Skurwysyny!

– Brak przewidywania. Poszliśmy jak na wycieczkę, na wiec, na zebranie. A tu jest wojna. Tu też jest wojna.

Zbliżali się już do parku. Księżyc wiszący nad drzewami świecił im prosto w twarz, park ciemnoniebieski, niemal granatowy, przecinał drogę jak mur, który trzeba obejść albo przebić.

Kotwa nagle przystanął; chciało mu się palić, wyciągnął z kieszeni pudełko i poprosił Olewicza o zapalki. Żołnierze rozmawiali ściszymi głosami.

– Czy wolno zakurzyć, panie poruczniku?

Zezwolił. Zaciągnął się głęboko dymem, uporczywie wpatrzony w ciemną ścianę. Nękała go natrętna pewność, że tam ktoś jest. Głupstwo! Przecież przed chwilą aleją parkową przechodził samotnie Olewicz. Z daleka dobiegały znowu stłumione krzyki; Kotwa wsłuchiwał się w gwar głosów, odróżniał już wysoki, niemal śpiewny wrzask kobiecy i zdawało mu się, że usłyszał jęk matki. Rzucił nie dopalonego papierosa, zaklął głośno i ruszył naprzód. Szedł szybkim krokiem, prosto w ciemną ścianę. Olewicz został nieco z tyłu, zbyt zmęczony, aby dopędzać dowódcę. Pojedyncze drzewa wyrastały już przed Kotwą, zobaczył aleję skracającą w kierunku pałacu, wyglądała jak wąski korytarz wybity w murze, gdzieś w głębi płonęły małe ruchliwe światełka. Wtedy usłyszał pierwszy strzał; ogień trysnął blisko, uderzenie było silne, zdawało się, że rozrywa na strzępy, łamie i niszczy, ale bezboleśnie, jak podczas działania narkozy. Gdy pogrążał się już w ciemność, dobiegł go jeszcze odległy jęk, zniekształcony czworaczny wrzask... Zaskoczenie było zupełne; dopiero po drugim strzale Olewicz ryknął:

– „Na ziemię!” i skoczył do Kotwy. Zasłonił go sobą, wywalił parę serii w krzaki, w których powinni ukrywać się napastnicy. Z drogi dwaj żołnierze otworzyli ogień bez rozkazu; Olewicz uprzednio nie przyjrzał im się dobrze, nie pamiętał, czy są z nim ludzie „świeży”, czy doświadczeni partyzanci, na których można liczyć. Ale z krzaków nikt nie odpowiadał, nastąpiła cisza, dobiegł ich znowu gwar głosów z folwarku. Olewicz wpakował jeszcze jedną serię i zajął się Kotwą. Porucznik leżał na wznak pośrodku alei... Kula trafiła w okolice serca, gdy Olewicz rozrywał mundur i koszulę, szybko krzepnąca krew osiadła mu na dłoniach. Pochylił się nad ciałem i przyłożył ucho do piersi; nie dosłyszał szmeru. Zwyczajnym krokiem powrócił na drogę.

– Porucznik Kotwa nie żyje – powiedział żołnierzom podnoszącym się z ziemi.

Plutonowy Skierlich, stary doświadczony partyzant, wysłał natychmiast patrol w

kierunku strzałów; przeszli przez park nie spotykając nikogo. Było zupełnie spokojnie, pożar już gasł, luna, która niedawno obejmowała pół nieba, bladła, odsłaniając gwiazdy.

Major Świątowiec, do którego Olewicz posłał natychmiast gońca, zarządził przetrząśnięcie parku. Bezskutecznie. Napastnicy mieli zresztą dość czasu na ucieczkę, a otwartej walki ryzykować widocznie nie chcieli... Nikogo także nie spotkano w wiosce; tylko przed wejściem do gminy leżał trup sołtysa.

Oba plutony wróciły na dziedziniec pałacowy.

Główną aleją parkową ciągnął ponury pochód folwarcznych; ludzie szli w milczeniu, jak w żałobnym kondukcie, mężczyźni taszczyli resztki ocalałego dobytku, kobiety niosły dzieci. Bez słowa mijali żołnierzy, przez wyłamane drzwi wchodzili do pałacu, rozkładali się w pokojach, sieniach, kuchniach. Miejsca było niewiele, każdy obejmował w posiadanie skrawek podłogi – tyle, żeby zwalić tłumoki na pańskie deski.

Olewicz sprawdził stany plutonów, nikogo nie brakowało, i złożył majorowi meldunek. Świątowiec podszedł do dwuszeregu, stał chwilę milcząc, jakby mimo ciemności oglądał twarze żołnierzy, a potem mówił wyraźnie i cicho:

– Zginął porucznik Kotwa, który przed dwoma miesiącami przyszedł do Polski z 1 armią. Był wartościowym człowiekiem, dobrym oficerem, potrzebnym do walki z Niemcami; ale front przebiega nie tylko na Wiśle, przebiega wszędzie. Sami żeście się o tym przekonali. Ci, którzy nienawidzą Polski Ludowej bardziej niż Niemców, napadli znienacka, pozbawili ludzi ich domostw, ich marnego dobytku, chcieli przeszkodzić podziałowi ziemi. Nie przeszkodzą. Zapłacimy za śmierć porucznika Kotwy, a ludzie folwarczni i ludzie ze wsi obejmą majątek Lemańskiego. Obejmą go sami, a my, żołnierze 2 batalionu, zanim pójdziemy na front, otoczemy ich opieką.

Pałac zappełniał się powoli, w oknach płonęły światła, ludzie szli do parku i wracali z naręczami suchych gałęzi, a na środku dziedzińca stał wóz drabiniasty, na którym złożono ciało porucznika Kotwy.

Widział to wszystko Maczega i nie myślał już o Marii, ale też nie myślał o niczym innym. Zaciskał tylko pięści i mruzczał sobie coś pod nosem, a gdy wreszcie opuszczali wioskę, idąc ponurym konduktem za drabiniastym wozem, powiedział zwracając się do maszerującego obok Bolka:

– Skurwysyny!

– Kto? Ach tak, oczywiście.

Gwiazdy wisiały na czarnym niebie, przed nimi i za nimi była ciemność, równina płaska jak tablica szkolna.

# EWA

Nie spodziewał się Kolski, że na skraju lasu, który dzielił Czeremniki od Borowicy, spotka Ewę, wędrującą samotnie szerokim polnym traktem, solidnie już rozmiękłym w rezultacie jesiennych deszczy. Przychodził tu niemal codziennie, jeśli tylko starczyło czasu, by popatrzeć sobie na miasteczko, znakomicie widoczne z niewielkiego wzniesienia. Ponad wierzchołki drzew wyskakiwała cieniutka, wypolerowana jak igła dzwonnica szkolnego kościółka, nieco dalej sterczał gmach gimnazjum, a kamieniczki głównej ulicy wyglądały stąd jak pudełka zapalek poustawiane na mapie plastycznej.

Kolski siadał na kopcu granicznym, zapalał papierosa i właściwie nie myślał, tylko patrzył, sprawdzał szczegóły, wydobywał z pamięci, stare wspomnienia: rowerowych wycieczek, szkolnych wagarów czy też zapamiętania w zakazanej lekturze, które go przed laty na to właśnie miejsce sprowadziło. Przeżuwał swoją gorycz, swój nieudany powrót, wreszcie tęsknotę, nie dającą się oszukać żadnym wymigiwaniem. Gdyby zszedł ze wzgórza, po piętnastu minutach stanąłby na rynku, ale przecież nie dochodził nigdy dalej niż do skraju lasu.

W dniu, gdy dwa plutony kompanii udały się na akcję wiejską, poszedł w kierunku Borowicy wcześniej niż zazwyczaj. W chacie, oddalonej paręset metrów od wsi, kwatrowali radzieccy łącznościowcy, którzy strzegli przebiegającej tędy linii telefonicznej. Żołnierze, którym zapewne solidnie się nudziło, śpiewali smętne piosenki.

*Ty uszła od mienia daleko – zawodził wysoki chłopięcy głos – między nami sniega da sniega.*

*Do ciebia mnie dojtł nielekko, a do smierti czteryrie szaga – kończyli inni w różnych tonacjach.*

Kolskiego nękały te słowa jeszcze wówczas, gdy wszedł do lasu, powtarzał je bezwiednie, stercząc na swoim „punkcie obserwacyjnym”, a wywietrzały mu na dobre z głowy dopiero wtedy, kiedy ujrzał Ewę. Była w granatowym płaszczu, przerobionym chyba z gimnazjalnego, głowę obwiązała kolorową chustką. Edward widział, jak szła pod górę patrząc ciągle przed siebie, na las, nie chciał wierzyć, a gdy wreszcie uwierzył, ogarnęła go trwoga, że dziewczyna nie dojdzie, że zawróci i zbiegnie z powrotem poza linię, której on nigdy nie przekraczał.

W przezroczystym powietrzu pogodnego popołudnia mógł przyjrzeć się dokładnie jej twarzy, leciutkim zmarszczkom w okolicach ust, wargom rozchylonym nieco, jak to bywa



podczas szybkiego marszu.

Jakże mógł przypuszczać, że o niej zapomni! Była niezbędnie potrzebna i oczekiwana mimo wszystko, jeśli istniało jakieś „mimo wszystko”. Ale nie wstawał ze swego pniaka tak długo, dopóki go nie zobaczyła. Podniósł się wówczas i schodził ze wzgórza bardzo wolno, by nie biec i nie krzyżeć, a przecież powinien biec i krzyżeć.

Zdawała sobie zapewne dokładnie sprawę ze stanu Kolskiego; poważna, niemal uroczysta, mówiła cicho, jakby powierzając mu ważne tajemnice. Usiedli na pniaku, ale Kolski nie widział już Borowicy, okazała się teraz mało potrzebna, nawet nieważna, śmieszne miasteczko, niedostrzegane na wielkiej nizinie. Wysłuchał bez sprzeciwu rejestru przewin, których się był dopuścił, sporządzonego przez Ewę skrupulatnie, a nawet z pedanterią. Od razu gotów prosić o rozgrzeszenie, zadziwiony był łatwością, z jaką rezygnował z obrony. Jakby to nie on przedstawiał Kotwie racje, dla których jego noga nie postanie więcej w

Borowicy! Oddech Ewy, dłonie Ewy, nogi Ewy w wysokich sznurowanych butach – czy mogło istnieć coś ważniejszego w lesie, pochylającym się nad nimi jak zbyt niskie niebo.

– Przecież czekałam na ciebie – powiedziała Ewa.

– Naprawdę czekałam na ciebie. A ty sam... zupełnie tak jak tłucze się brzydką zabawkę.

Maszerował więc za nią posłusznie w kierunku Borowicy; następował już wieczór, nie widzieli miasteczka, tylko białą drogę tonącą w szarzyźnie. Kolski wziął Ewę pod rękę i przeraziła go natychmiast łatwość tego gestu. Tyle dni męki, próżnych rozmyślań, a wystarczyło całkiem zwyczajnie zapukać do drzwi dziewczyny, zabrać dziewczynę na spacer i mieć ją po prostu przy sobie.

Dojdę z nią do miasteczka, myślał, pożegnam przy rogatce. Niech tak zostanie.

– Mnie jest bardzo źle – powiedziała nagle. – A ty nic nie rozumiesz.

. – Dlaczego: bardzo źle?

Przyspieszyła kroku, mrok gęstniał, z daleka dochodził warkot motorów.

– Ty jesteś jak z innego świata. Nie, nie przerywaj, ja nie myślę nic złego. O tym my przecież nie musimy mówić. To ty sądzisz, że ciągle musimy. To ty odszedłeś, nie ja. To ty zapomniałeś, o czym rozmawiają zakochani, kiedy są we dwoje, kiedy są nareszcie razem po długim niewidzeniu.

– Zapomniałem? Nie, nie o to ci przecież idzie. Ja nie jestem z innego świata i nikt mnie nie przerobił. To twoi przyjaciele, to całe towarzystwo, które...

– Przestań. Bardzo proszę, przestań. Naprawdę już nie wiesz, o czym mówią zakochani.

- Dobrze. Nie wiem.
  - Zakochani mówią na przykład o sobie...
  - Więc my też...
  - Nie, ale nie tak. Zakochani mówią o planach na przyszłość, że będą razem, o wspólnym mieszkaniu, jak go urządzić i co postawią przy oknie. Więc rozmawiajmy o tym.
  - Ale ja nie umiem, Ewo.
  - Właśnie. A może po prostu nie jesteś zakochany; żołnierz zobaczył dziewczynę i żołnierz sobie pójdzie.
  - Nie gadaj głupstw.
  - No więc powiedz: kochasz, czekałeś, tęskniłeś?
  - Oczywiście, ale ja o tym nie umiem mówić.
  - Nie umiesz. A wygłaszać i tłumaczyć to masami. Nie, nie chcę, nie chcę nauczycieli... Ożenisz się ze mną?
  - Ewo, ja idę na front!
  - A powiedz, czego będziesz wymagał od żony, jakie jej wyznaczysz obowiązki, jak umeblujesz mieszkanie? A może będziemy parą studencką? Przecież chciałeś studiować medycynę, ja też. Wynajmiemy mały pokoiczek, a potem...
  - Ewo, wchodzimy już do Borowicy.
  - W Borowicy nie będziemy mieszkać, w ogóle tu nie wrócimy. Nie cierpię zresztą tego miasteczka, może przestać istnieć.
  - Właśnie mijamy roгатki i ja...
  - Co ty? Może chcesz mnie zostawić? O nie, mój kochany, mnie się nie zostawia, ty już zapomniałeś, , mnie nie można zostawić.
  - Ewo, ja wracam do pułku. Nie chcę ani przychodzić do Borowicy, ani spotykać się z tymi ludźmi.
  - I nigdy już nie będę sama. Będziemy razem chodzili na wykłady albo do pracy, razem wracali do domu, gotowali sobie obiad i szli do kina. A ty opowiesz dokładnie, jak mnie kochasz.
  - Kocham cię...
  - Nie, nie tak. Oduczę cię powtarzania. Nauczysz się mówić inaczej, własnymi słowami.
  - To twój dom, Ewo, pożegnaj się ze mną.
  - Zwariowałeś? Teraz, kiedy nareszcie jesteś!
- Pani Kraczyńska powitała ich bez zdziwienia.

– Mamo – rzekła Ewa – mój narzeczony i ja, chyba nie trzeba ci go przedstawiać, jesteśmy bardzo głodni... Zdejm mundur, Edwardzie, i zostaw w moim pokoju.

I potem, nieustannie ruchliwa, jakby obawiała się choć na chwilę przestać mówić lub działać, nakryła stół, przynosiła z kuchni słoiki i salaterki, napełniała karafkę wódką. Kolskiemu nie starczyło sił, by protestować; powinien wracać do Czeremnik, zastępował przecież Świętowca, ale nie wracał, słuchał Ewy i coraz lepiej mu było w tym ciepłym pokoju, odgrodzonym od ulicy grubymi zasłonami.

– U ciebie był, Ewo...

– Nikogo ważnego u mnie nie było, nic nie chcę wiedzieć, jest mój narzeczony i będziemy jeść kolację.

Siedzieli przy stole, Ewa mówiła bez przerwy, opowiadała o lesie, jaki to bywa piękny jesienią, a potem ni stąd, ni zowąd o sukience, którą zamierzała sobie uszyć na zimę, a potem znów o nartach, bo to przecież piękny sport, uprawiali go niegdyś razem z Edwardem, pod Borowicą nie ma co prawda wzgórz, ale można znakomicie ślizgać się po nizinie.

– A pan Edward – wtrąciła Kraczyńska – coś o sobie...

– Nie, mamo. Edward już wszystko wyznał. Będziemy studiować medycynę.

– Medycynę!

– Właśnie. Zobaczysz nas co najwyżej podczas świąt. Na Wigilię, oczywiście, przyjedziemy, tak sobie posiedzieć jak teraz...

Zapukano do drzwi, matka podniosła się z krzesła.

– Nie otwieraj!

– Jak to?

Pukanie powtórzyło się jeszcze parokrotnie, potem usłyszeli kroki na schodach.

– Dzisiaj nie ma nas w domu – powiedziała Ewa. – Bywają przecież rodzinne święta, kiedy państwo nikogo nie przyjmują, a mama chyba chce się położyć...

Zostali sami. Ewa zgasiła światło w kuchni i wciągnęła Edwarda do swego pokoju; okno tu było czarne, bez firanki. Kapą zdjętą z łóżka przysłoniła je starannie, tak starannie, aby nic z tego pokoju nie odpłynęło w noc...

Odchodził nad ranem, świecący cyferblat ręcznego zegarka wskazywał godzinę 4. 30. Ewa, zwinięta w kłębek, płakała wciskając twarz w mokrą poduszkę. Już ubrany pochylił się nad nią.

– Dlaczego płaczesz? Nie usłyszał odpowiedzi, tylko szloch jeszcze głośniejszy. – Nie płacz – powtarzał bezradnie – no, nie płacz; wojna nie potrwa długo, będziemy razem, sama przecież mówiłaś...

– Przestań. – A po chwili: – Weź mnie ze sobą.

– Wiesz dobrze...

– Tak, wiem dobrze. Idź już, no idź już...

Odwrócił się i podszedł do drzwi.

– Edward!

– Tak, słucham.

– Zdejm z okna zasłonę.

Kolski ściągnął kapę, za oknem była noc, niczym jeszcze nie obiecująca świtania.

Gdy przechodził na palcach przez kuchnię, zobaczył w drzwiach panią Kraczyńską owiniętą kwiecistym szlafrokiem.

– Może zagotować na maszynie herbaty – zaszepiała – będzie dosłownie za pięć minut.

Bruk, wzgórze, punkt obserwacyjny, las, Kolski maszerował coraz szybciej, otwartymi ustami chłonał powietrze, ani śladu zmęczenia, mięśnie pracują znakomicie, sto metrów lekkiego sprintu, potem krok nieco wydłużony, odległość Borowica – Czeremniki zostanie przebyta bez odpoczynku w czasie niemal rekordowym. Wyśmienity spacer! I ta świadomość wyzwolenia, jakby z człowieka zerwano łańcuch.

Już z daleka dostrzegł, że w jego chałupie pali się lampa: czyżby Kotwa już wstał, a może dopiero wrócił? Zaklął. Nie chciało mu się teraz gadać z Olkiem, żadnych spowiedzi – do diabła, wszystko jest proste, tylko baby i filozofowie komplikują świat. Ale Ewa... Była zupełnie inna tej nocy, nie ta kobieta, którą znał dawniej. Dowiodła, że nic nie rozumiem, ale czy naprawdę muszę rozumieć? I płacz przy pożegnaniu...

Opuściło go nagle podniecenie, sflaczał, stwierdził, że jest jednak zmęczony. A cóż ja mogłem powiedzieć Ewie? Nie chciała słuchać, nic ją nie obchodziło, co we mnie tam w środku siedzi. Głupstwa! Kocha przecież... A cóż to właściwie znaczy, że dziewczyna kocha, że kocha po tylu latach rozstania, gdy nic się o niej nie wie, gdy jest zupełnie nowa, jakby poznana wczoraj.

Wlaźł do sieni, pchnął drzwi. Na jego łóżku siedział w rozpiętym mundurze major Świętowiec. Kolski stanął na baczność, major podniósł się z trudem, zgarbiony i niezdarly.

– Twój przyjaciel, porucznik Kotwa – powiedział – zginął w Gniazdowie.

Jedna kula trafiła w serce, druga w czoło, twarz przykryli białą chustką; Kolski uniósł ją na chwilę, gdy kładli Olka do trumny. Wypłynęło oko, zobaczył pustą jamę, ten trup w

czystym mundurze, bez twarzy, w niczym nie przypominał porucznika Kotwy. Ludzie ustawiali się na ulicy, dobiegały słowa komendy, nikt nie rozmawiał, milczenie, a potem wynieśli trumnę, we czwórkę – czterech oficerów kompanii, pochód ruszył, dobosz bił w bęben i tylko ten bęben im towarzyszył, bo orkiestra pułkowa nie umiała jeszcze grać marsza żałobnego.

Obok Kolskiego szedł Olewicz, Edward nie patrzył, ale nieustannie czuł jego obecność, która go drażniła niewymownie, gniewała niemal jak profanacja. Nie podał Olewiczowi ręki, gdy spotkali się rano, spojrzał mu w twarz, dostrzegł, że jest spokojny, tylko dłonie zaciska w kułak, jakby gotował się do napaści. Dzień był pochmurny, niebo zwisało nisko. Gdy dotarli pod las, gdzie otoczony drewnianym płotkiem mieścił się ubogi wiejski cmentarz, zaczął kropić deszcz. Dla wojska nie starczyło miejsca, kompanie stawały wzdłuż drogi, tylko kompania honorowa i oficerowie – nad świeżo wykopanym dołem sąsiadującym z wysokimi wiejskimi krzyżami, jakich pełno na Podlasiu.

Kolskiego drażnił każdy szczegół pogrzebu; bolały go rozmowy prowadzone ściszym szeptem, twarze obojętne i zwyczajne, do wściekłości wreszcie doprowadzał ksiądz, gruby dobroduszny kapelan, który – jako pierwszy – przemawiał nad grobem.

Potok słów osiadał na trumnie niby warstwa pokostu, łagodził, szeptał o bohaterstwie i poświęceniu – zawsze opłacalnym dla lubej ojczyzny.

– Przyszedłeś z dalekiej tułaczki do swojego kraju, jak syn stęskniony do matki, czystym sercem ofiarowałeś jej swą miłość najgorętszą i przywiązanie, gotów ponieść śmierć i cierpienie... Przyjęła cię matka...

Nie, to nie do zniesienia...

Kolski nie słuchał, starał się nie słuchać, patrząc na trumnę, którą zasypią ziemią, o której zapomną, jak trzeba zapominać w wojsku.

Nad grobem stanął major Świętowiec. Przemawiał zbyt krótko, głosem cichym, jakby do siebie i najbliższej stojących.

– Na froncie – zakończył – śmierć patrzy prosto w twarz. Na froncie żołnierze giną w walce ze śmiertelnym wrogiem ojczyzny. Porucznik Kotwa zginął w kraju, z polskiej ręki kierowanej tępą nienawiścią. Jest pierwszym żołnierzem naszego pułku, który padł w walce o nową Polskę. Pomścimy go. Głośniej, o wiele głośniej niż słowa Świętowca zabrzmiała salwa honorowa; potem uderzył bęben, Kolski schwycił łopatę i zwał ziemię na trumnę, pracując bez odpoczynku, aż gęsty pot osiadł mu na twarzy i szyi.

Olewicza aresztowano wieczorem, parę godzin po pogrzebie Kotwy. Następnego dnia rano Świętowiec wezwał Kolskiego i polecił mu wyznaczyć na p. o. dowódcy plutonu któregoś ze zdolniejszych podoficerów. Kolski wybrał starego Grała; nie dlatego wcale, by sądził, że on właśnie da sobie najlepiej radę na tym stanowisku, ale ponieważ wszyscy pozostali, oprócz Kazaka, pochodzili z partyzantki, Edward w ogóle nie brał ich w rachubę. Po śmierci Kotwy nieufność opanowała go jak ostra gorączka, wszędzie węszył obcość, poczuł się naraz osamotniony wśród ludzi, których do Czeremnik sprowadził inny los niż jego własny.

Batalion żył pod wrażeniem wypadków w Gniazdowie; ludzie chodzili milczący, w milczeniu odczytywali hasła, które powypisywał na kartonie Kutryna. Zdawało się, że czekają na coś, co musi teraz nieodwołalnie nastąpić. Rozmokłą od deszczu drogą plutony wychodziły na ćwiczenia, kompania Kolskiego bez śpiewu, jakby zwyczajna piosenka, którą codziennie zaczynały się zajęcia, utraciła sens.

– Dlaczego nie proponujecie Sęka? – zapytał Świętowiec.

– Nie ufam mu – odpowiedział spokojnie Kolski.

– Nie ufacie, nie ufacie! – wybuchnął major. – A komu będziecie łaskawie ufać, proszę was bardzo? Komu ufacie na froncie?

– To proste. Ludziom związanym z nową Polską, nie obcym, nie patrzącym na nas spode łba jak Olewicz.

– Wcale nie proste. Nam tak nie wolno, rozumiecie?! Ludzi trzeba poznawać, sprawdzać, ale wierzyć, a nie określać z góry, według mordy i kawałka przeszłości.

– Sęk jest wychowany w obcym duchu. Mam nawet sygnały, że wprowadza dryl w stylu sanacyjnym.

– Od kogo sygnały?

– Leksz. Wie od Kutryny.

Major zamilkł. Wydał się teraz Kolskiemu bezradny; starszy mężczyzna w rozpiętym mundurze i brudnych butach.

– Sprawdziłem – zmienił temat – tę historię z Maczęgą. Istotnie uratował z ognia dziecko. Zachował się mężnie.

– Dajcie do rozkazu, umieście w gazetce – powiedział bez zainteresowania Świętowiec. A potem dodał: – Widzicie, miałem rację, nie trzeba było robić z niego takiej oferty... – Podniosło to jednak majora nieco na duchu, zapalił papierosa i począł zapinać mundur. – Chciałbym – rzekł cicho – abyście zrozumieli, o co mi chodzi. Ja nie zmieniłem swego zdania, nawet w sprawie Olewicza. Mnie nie wytrąciła z równowagi śmierć Kotwy;

nasi ludzie będą ginąć, bo toczy się walka, tę walkę my wygramy i nie trzeba wpadać w histerię.

– Znam takich jak Olewicz – odpowiedział Kolski.

– Widziałem w Borowicy. Nie ma powodów, aby im ufać, a tym bardziej, aby – Kolski zawahał się – chodzić wokół nich jak panienka, która chce się przypodobać.

– Głupstwa gadacie!

– Czy obywatel major zatwierdzi Grała na p. o.?

– Nie, nie zatwierdzą. To stary facet, nam trzeba młodego i rzutkiego. Wyznaczcie Sęka, przyslijcie go do mnie na rozmowę.

– Rozkaz.

– Mnie jest potrzebny teraz właśnie Sęk, ludzie muszą pojąć, że my nie dyskryminujemy za organizacyjną przynależność.

– Tak jest.

– Nie zgadzacie się ze mną?

– Nie, obywatelu majorze.

– Możecie odejść.

– Tak jest.

Świętowiec zapiął mundur i wyszedł z chałupy. Znowu rozpoczął poszukiwania w pamięci: Marta... dlaczego skojarzył to imię z nazwiskiem Olewicz? Gdzie je spotykał? Na pewno podczas okupacji, ale absolutnie nie mógł sobie przypomnieć. A może opowiadał mu Pstroński?

Ustalenie, kim była matka Olewicza, wydawało się teraz majorowi, dla niezbyt zresztą zrozumiałych racji, niezmiernie istotne. A co to chłopakowi pomoże? Siedzi i koniec. A jeśli winien?

Nie, Świętowiec po prostu nie brał pod uwagę takiej możliwości, nie wierzył. Zawsze był uparty, walił łbem w ścianę, dopóki się solidnie nie pokrwawił. „Buldog. Profesor-buldog” – tak nazywano go niegdyś. Jak schwycił – nie puszcza.

W pułku zameldował się od razu u Kryckiego. Dowódca miał zły dzień. Rano kwatermistrz zawiadomił, że partia butów, którą obiecano z armii, nie nadejdzie. Natychmiast potem telefonował szef sztabu dywizji żądając raz jeszcze dokładnego meldunku o śmierci Kotwy i podjętych krokach. „Są sygnały – oświadczył – że u was w pułku źle się dzieje. Brak dyscypliny, plan szkolenia nie wykonany, a ludzi wysyłacie na akcję”.

Pułkownik niezbyt dobrze rozumiał słowo „sygnały”, ilekroć je usłyszał, wprowadzało go w stan zdenerwowania. Miał za sobą dwadzieścia lat służby w Armii Czerwonej, tu czuł

się ciągle niepewnie, a choć polubił Polaków, nie umiał połapać się do końca w „polskich specyfikach”. A jeszcze dokuczała mu wątroba, lekarz zabronił pić wódkę, lekarz był młody, sypał ciągle łaciną, przyszedł do pułku też z jakiejś partyzantki spod Wilna i – diabli wiedzą – czy naprawdę znał się na medycynie.

„Może nabiera taki syn – zwierzał się Goldweldowi – może kieliszek nie zawadzi”.

Gdy wszedł major, Krycki tym razem służbowo zeszywniał. Lubił Świątowca i ufał mu; wiedział, że nie posiada dostatecznej wiedzy wojskowej, ale cóż, nauczy się, nie święci garnki lepią – jak mówią Polacy – i w przyszłości zastąpi pewno jego, Kryckiego, na stanowisku dowódcy. Tymczasem w batalionie Świątowca było źle, a stare żołnierskie doświadczenie uczyło pułkownika, że w wojsku cackać się nie należy. Zresztą jego też nikt nie głaskał po głowie. Natychmiast więc wyłożył wszystkie pretensje do batalionu zaczynając jak szef sztabu dywizji sakramentalnym „Jest sygnał...” Dopuszczono do rozkładu dyscypliny, nastroje wrogie, czego dowodem sprawa Olewicza, nie przygotowany żołnierz poszedł na akcję, w ogóle, diabli wiedzą co, burdel nie wojsko... Świątowiec nie zareagował. Cichutkim głosem, brodą dotykając stołu, wykladał swoje, nie zważając na gniew dowódcy. Twierdził, że aresztowanie Olewicza było pochopne, że odpowiada za batalion, że wychowa ludzi, ale trzeba mu pozwolić wychowywać. Krycki spojrzał na niego uważnie. Oczywiście, że z tym Olewiczem mogła się zdarzyć pomyłka; ale nie należy ludzi przyzwyczajając do możliwości pomyłek. Uznał za stosowne wyrazić tymczasem zdziwienie. – Czego – powiedział – czego wy chcieli? Oficera wam bandyci zabili, a wy zajmujecie oportunistyczną postawę? A z tymym nie martwcie się. Jak pomyłka, to puszczą. Uważajcie lepiej, żeby dezercji nie było.

– Nie będzie.

– Głowę zdejmę – oświadczył groźnie pułkownik.

– Powiedzcie oficerom, że głowę zdejmę. – Potem odetchnął, twarz mu złagodniała i rzekł zwyczajnym już tonem. – Siadajcie, Świątowiec. Mnie lekarz pić zabronił. Jak myślicie, kłamie czy nie? A może kieliszek nie zawadzi?



# BOROWICA PO RAZ TRZECI

## 1

Tak się to odbyło, dokładnie po dziesięciu latach czekania, jakby ani Weklar, ani Marta nie dostrzegli niezwykłości faktu, że oto siedzą obok siebie w obszernym gabinecie, razem, wbrew wszystkiemu, co ich nieustannie dzieliło. Generał, wspominając te pierwsze godziny po powrocie żony, usiłował dopatrzeć się właśnie w ich przebiegu i atmosferze przyczyn późniejszych wydarzeń, które go tak boleśnie zraniły. W nim nic nie uległo zmianie, tego był absolutnie pewny, tęsknił za Martą – a choć rzadko pozwalał sobie na myślenie o niej, żadna inna kobieta nie zajęła jej miejsca w ciągu dziesięciu lat. Wydawało się, że jeśli kiedykolwiek zobaczy Martę, ich miłość musi powrócić jako rzecz oczywista. Nie zdziwił się też nawet, gdy stwierdził, że Marta niewiele się zmieniła; więzienie i przeżycia okupacyjne postarzały ją nieco, twarz wydawała się twardsza, uśmiech mniej łagodny, bruzdy wokół ust dodawały powagi, ale wystarczył skłon głowy, ruch ręki, zmrużenie nieco skośnych oczu, aby zapomnieć o tym, czego się w Marcie nie znało, i odnaleźć ją taką samą jak dawniej. Mógł z zadowoleniem przyznać, że kocha Martę, że pragnie jej równie silnie jak przed dziesięcioma laty. Ale niepokój pojawił się niemal natychmiast, równocześnie z radością, jeszcze zanim zdążyli zamienić parę słów oraz ustalić, że oboje nic nie wiedzą o losach Stefana. Marta lustrowała jego twarz, mundur, buty, jej spojrzenia ześlizgiwały się po nim obojętnie, właśnie obojętnie, pewność, że tak było, zdobył zresztą dopiero później, wspominając przebieg wieczoru. Wówczas oładnęła nim jedynie świadomość własnej kanciastości, jakby dopiero dostrzegł, że porusza się niezgrabnie, twarz ma kwadratową, a z dużymi owłosionymi dłońmi nie bardzo wie, co czynić. Nie ulega wątpliwości, że Marta patrzyła na niego inaczej, niż należało, niż powinna patrzeć żona po tylu latach rozłąki. Ale głównym winowajcą generał czynił Pstrońskiego, który okazał niedopuszczalny brak taktu i najprymitywniejszej delikatności. Powinien odejść, a nie tkwić w gabinecie nadając ich powitaniu sztywność, której później nie umieli już usunąć. Oczywiście, Marta nie była bez winy; nie zwracając uwagi na niecierpliwie pochrząkiwania Weklara postępowała tak, jakby obecność pułkownika była zupełnie naturalna. Witała ich obydwóch, nie czyniąc między nimi istotnej różnicy, gdy generał podkreślał, że jest zmęczona i powinna niezwłocznie udać się na spoczynek,

okazywała niezadowolenie. Weklar sądził, że rozmawiać zaczną dopiero później, starczy czasu, by wszystko sobie opowiedzieć; tymczasem Marta przystąpiła do relacjonowania okupacyjnych przeżyć natychmiast, w obecności Pstrońskiego, zaczynając jakoś od środka i nie przyjmując do wiadomości, że tylko pułkownik wie, co się działo z nią przedtem.

Weklar nie łudził się, opowieść Marty nie była przeznaczona dla niego, on nie mógł rozumieć skrótów, których używała, by charakteryzować ludzi i sytuacje, nie znał pseudonimów, nie pamiętał nawet nazw ulic. Chciał więc nieustannie zadawać pytania, ale ona przyjmowała je ze zniecierpliwieniem, zwracając się wprost do pułkownika. Pstroński zaś, pochylony nad dużym biurkiem, słuchał w milczeniu, od czasu do czasu kiwając głową na znak, że rozumie; jego chuda twarz nic nie wyrażała, surowa i napięta jak podczas raportu podkomendnego. Drażniło to niewymownie Weklara, który nie umiał ukryć wzruszenia, każde słowo Marty dotyczyło go osobiście, bołało, przepelniało tkliwością lub przerażeniem.

Znał, oczywiście, sporo relacji z przebiegu powstania, rozmawiał już z ludźmi, którzy wrócili z czerniakowskiego przyczółka, ale wszystko, co mówiła Marta, brzmiało inaczej, musiał to przeżyć, a nie wysłuchać. Widział ją więc nocą w płonącym mieście, gdy przedzierała się ulicami Próchnika i Krasieńskiego (jakże, do diabła, wyglądają te ulice, czy był tam kiedykolwiek?) na ostatnie zebranie żoliborskiego sztabu, przebywał wraz z nią drogę do Wisły, rozważając bez nadziei i na zimno szanse przedostania się na tamten brzeg. Wyczekiwał zrzutów na placu Wilsona, tkwił pod niemieckim ostrzałem, raz jeszcze, jakby o niczym nie wiedział, obliczał możliwości dywizji utrzymującej przyczółek. A Pstroński potakiwał zwyczajnie, nawet w którymś momencie wydobyl notes, by coś zapisać; Marta przerwała wówczas opowiadanie czekając, aż pułkownik skończy i skinie ręką na znak, że można mówić dalej.

Weklar stwierdził wówczas, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu, spojrzął na zegarek i dał sobie pięciominutowy termin na wyrzucenie Pstrońskiego za drzwi. Nic się jednak nie stało. Marta skończyła, a pułkownik, nie podnosząc wzroku znad biurka, skwitował jej opowieść zwyczajnym zdankiem:

– Bardzo się cieszę, że jesteś, czeka cię tu nie lada robota.

Weklar poczerwieniał z gniewu. Oto wszystko, pomyślał, co ma do powiedzenia ten sztywniak, pozer, fanfaron.

– Sądzę – dodał pułkownik – że do mnie wpadniesz.

– Oczywiście – przytaknęła gorliwie Marta.

Swoją kwaterę w Lublinie traktował generał, podobnie jak wszystkie dotychczasowe mieszkania, jako przejściowe locum, do którego wyglądu nie należy przywiązywać jakiegokolwiek wagi. Teraz, po raz pierwszy, żałował, że nie starał się o urządzenie mieszkania przynajmniej w tym stopniu, co niektórzy jego koledzy. Ordynans, znakomicie znający swojego szefa, sprzątał pokój raz na tydzień, dbając wyłącznie o czystość munduru i butów Weklara oraz o uzupełnienie zapasów żywnościowych, jak mawiał bowiem: „Mój generał nie lubi być głodny”. Toteż gdy weszli, kolacja czekała już na stole, łóżko było nie posłane, na podłodze stare gazety i niedopałki, na kanapie sterty broszur, które przeglądał poprzedniego wieczora.

– Będę twoim gościem, Romanie – oświadczyła rzucając chustkę na kanapę, a potem zaraz zaczęła mówić, jakby w obawie, że on powie coś niepotrzebnego. Byli sami, za oknem trwała cisza. Weklarowi ciągle się zdawało, że w pokoju jest ktoś trzeci, czuwający zazdrośnie, by on i Marta nie zdołali odnaleźć słów, od których należało rozpocząć. Przed dziesięcioma laty odnajdywali je zawsze, nie były nawet potrzebne, wiedzieli o sobie wszystko, tak się przynajmniej Weklarowi zdawało.

Jeszcze raz, szybkimi urywanymi zdaniem, opowiadała Marta o poszukiwaniach Stefana, które prowadziła przez cały niemal okres okupacji.

– Jakby w ziemię zapadł – tłumaczyła cicho – żadnego śladu, żadnej wskazówki. Sąsiadki twierdziły, że wyszedł z Warszawy na wschód.

– Będziemy szukać! – Weklar tego wieczoru nie umiał myśleć o synu. Należało się wstydzić, oczywiście, ale przecież miał przy sobie Martę i nic nie mogło zmniejszyć radości, którą dawała jej obecność.

– Będziemy szukać! – powtórzyła. – To wszystko, co jesteśmy w stanie powiedzieć. Czy pojmujesz? Cały czas we Lwowie i później, przez te lata, nie mogłam sobie darować...

– Czego? No, uspokój się. Teraz dopiero zaczynamy, właściwie jesteśmy na początku i wszystko jeszcze nastąpi.

– Nic nie rozumiesz. Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale ilekroć o tobie myślałam, zawsze powracało wspomnienie tego dnia, gdy dowiedziałeś się, że jestem w ciąży. Byłeś zdziwiony, zaskoczony, to nie leżało w twoich planach, nie mogłeś pojąć, że ja zdecydowałam sama. Czasami zdawało mi się, że w ogóle nie istnieję dla ciebie jako istota odrębna, lecz jako jeszcze jeden znak w kalendarzu, może konieczny, może drogi, ale...

– Jak możesz. Przecież nigdy nie miałaś do mnie żadnych pretensji. A w naszym życiu zbyt wiele nie mogło się zmieścić.

– Oczywiście. Wiem, że znakomicie to wytłumaczysz, że będziesz miał rację. Byłeś

dla mnie autorytetem, starszym towarzyszem, wyrocznią, teraz to minęło. Teraz po prostu nie mogę sobie darować...

– Czego? Jesteśmy u progu zwycięstwa...

– Tak. Ale zapłaciliśmy za nie odpowiednią cenę. Nie myślę o tych, którzy zginęli, myślę o znieczuleniu, o rozwaleniu na strzępy własnego, osobistego życia. Nie mogę sobie darować, że go urodziłam, by podrzucić jak szczeniaka obcym ludziom, by zrezygnować z odpowiedzialności i zapomnieć. Gdy ciebie zobaczyłam, natychmiast stanął mi w oczach. Wybacz, myślałam o nim, a nie o tobie. Był niesłychanie do ciebie podobny... I nagle przerażenie mnie ogarnęło, że mogłabym go teraz nie poznać. Jak wygląda? Czy ty nie jesteś ciekaw?

– Jestem ciekaw! To proste.

– Zawsze uważałeś wszystko za proste. Podejmowałeś tylko słuszne decyzje. Gdy mnie zamknęli, a ty jechałeś do Hiszpanii, nawet nie wstąpiłeś do niego do Warszawy.

– Wiesz, że nie mogłem, byłoby to zbyt ryzykowne, nie pozwolono mi.

– Tak, oczywiście. Przez pięć lat robiłam rzeczy ryzykowne i takie też, na które mi nie pozwalano. Ty o tym nic nie wiesz, bo nie byłeś w kraju. Należało przynajmniej odwiedzić go do twojej matki...

– W Borowicy nie mogliśmy go widywać w ogóle, bo tam trudno się było pokazać. Moja matka zresztą nie żyje.

– Przepraszam cię, nie wiedziałam.

– Ty też nie odwiedziłaś jej podczas okupacji.

– Nie mogłam.

– Ale ja to rozumiem.

Weklar opowiedział o swoim wyjeździe do Borowicy. Teraz dopiero Marta zauważyła: nad łóżkiem Romana wisiał jej portret.

– A co się stało z tym człowiekiem, który był przy śmierci matki?

– Ja nie wiem...

– Ty nie wiesz!

Ich rozmowę coraz częściej przerywało milczenie. Weklar chciał, by Marta opowiadała jeszcze o sobie, zachnęła się niecierpliwie.

– Ja już mówiłam, teraz kolej na ciebie. – Przymknęła oczy, oparta o poręcz kanapy.

Ale Weklar nie umiał opowiadać. Dziesięć minionych lat zamknął w paru banalnych zdaniach, które wielokrotnie umieszczał w ankietach. Zaczął natomiast z zapałem mówić o przebiegu mobilizacji na terenach wyzwolonych, o trudnościach w RCU oraz o wroziej

działalności... Urwał nagle, spojrzął na żonę i pochylił się bardzo niezgrabnie, by ją wreszcie pocałować. Wstała z kanapy, usiadła na krzeselku po drugiej stronie stołu.

– Słuchaj, Romku – rzekła cicho – dopiero teraz zrozumiałam w pełni... Minęło dziesięć lat, jesteśmy inni ludzie, rozmaite rzeczy przeżyliśmy, nie ma sobie co zawracać głowy. Nie chcę cię ranić, ale nie mogę inaczej. Ja nie wiem, co będzie w przyszłości, jeśli w ogóle cokolwiek można zaczynać od nowa. Pojmujesz chyba...

Kiwał głową. Miał zaledwie czterdzieści dwa lata, ale poczuł się bardzo stary, duży, ociężały człowiek, nawet pewno nieco śmieszny w tej sytuacji. Nie ma co pchać się z miłością, nie ma co oczekiwać powrotu miłości... Podeszedł do stołu, wypił setkę wódki, a gdy przyjemne ciepło obejmowało powoli ciało, ucałował rękę żony i oświadczył:

– Bardzo cię przepraszam, Marto, jestem, w istocie, naiwny jak świeżo narodzone dziecko.

Marta sypiała w nocy znakomicie. Roman, przewracając się na kanapie, słyszał jej oddech, sprawiało mu radość, że ona jest jednak tak blisko. Kiedyś Marta zaczęła popłakiwać przez sen, cicho i żałośnie niby skrzywdzony dzieciak. Weklar chciał wstać, usiadł nawet odrzucając kołdrę, ale zreflektował się szybko i zapalił tylko papierosa. Zapalka oświetliła pokój, dojrzał zamknięte oczy Marty, spała już spokojnie. Nie oczekiwała żadnych dowodów czułości, a w każdym razie nie oczekiwała ich od Weklara. W ciągu dnia nie widywali się niemal, jej już brakowało czasu, chociaż on znalazłby na pewno, gdyby był Marcie potrzebny. Skierowano ją do Komitetu Centralnego partii, do prac związanych z przeprowadzaniem reformy rolnej. Dowiedział się o tym Weklar przypadkowo, gdy zobaczył ją na konferencji, podczas której omawiano zadania wojskowych brygad rolnych. Siedziała obok towarzysza kierującego wydziałem, gdy Roman podeszedł, skinęła głową jak dalekiemu znajomemu. Po tygodniu oświadczyła, że wyjeżdża w teren. Była podniecona, pakowała szybko manatki, wczesnym rankiem zajechał przed dom otwarty gazik.

– Kiedy wrócisz? – zapytał generał.

– Nie wiem. Wtedy, kiedy odwalę robotę, ale wpadnę do ciebie na pewno.

– Jak to: wpadniesz?

– Myślałam, że nie zadasz tego pytania. Nie będziemy przecież prowadzić banalnych rozmów.

Tak to się odbyło, zupełnie zwyczajnie; Marta weszła w życie Weklara, aby natychmiast zniknąć, tym razem bez żadnych dostatecznych powodów. Roman nie umiał się z

tym pogodzić, czekał na Martę, nawet po dwóch dniach zadzwonił do komitetu, by ustalić, kiedy wróci.

– W ciągu dziesięciu dni, towarzyszu, jeśli nie wypadnie nic nadzwyczajnego. – Dziesięć dni to niewiele, postanowił przez ten czas nie myśleć o Marcie. Ale chyba po raz pierwszy nie udało mu się odkładanie spraw osobistych „na potem”; w życiu generała Weklara, zawsze wypełnionym po brzegi działaniem, znalazło się nagle zupełnie dosyć miejsca na myślenie o żonie i o bólu, który z jej powodu odczuwał.

## 2

Szedł październik, deszcz lał całymi dniami, wiatr zmiatał z ulic Lublina płachty gazet i ogłoszeń. Ludzie łązili skuleni, trudno było dostrzec twarz, wczesnym wieczorem ruch zamierał, przez miasto jechały ciężarówki na zachód, zmęczeni żołnierze sterczeli na punktach kontrolnych oczekując „poputnoj maszyny”. Front był ciągle blisko, ani chwili nie ustawał podmuch wojny, ale dla Lublina był to już podmuch oddalającej się burzy, ludzie patrzyli w przyszłość próbując dostosować się do rzeczywistości, której kształty były niespodziewane lub wręcz niepokojące. Lubelscy mieszczanie, drobni urzędnicy tkwiący w tym mieście od wielu lat, przystawali na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Spokojnej oglądając wartownika chodzącego przed szlabanem; w tym miejscu zaczynał się obszar wydzielony. Gdy się patrzyło z Krakowskiego Przedmieścia, nic niezwykłego nie było widać; po uliczce łązili ludzie w kusych marynarczynach i kurtkach, przybysze z całej Polski, z partyzantki, z Rosji i diabli wiedzą skąd. Wyglądali tymczasowo, nieco nawet nielegalnie, starsi panowie wydymając wargi szeptali po cichu, mówienie głośno wydawało się już niebezpieczne – to prawie polski rząd, prawie polskie wojsko. Ale ci „prawie” poczynali śmiało, wywracali ustalony porządek, spiesząc się przy tym bezlitośnie, jakby sami wiedzieli, że dni ich władzy są policzone. Albowiem nic jeszcze nie wiadomo, stateczny urzędniczy Lublin w różnych tonacjach powtarzał: jesz' cze nie wiadomo.

A w małych pokoikach nowych urzędów, w których umieszczano po kilku świeżo kreowanych dygnitarzy, skarżono się głównie na brak czasu. „Czas” – o nim mówili wszyscy, rozwiązując jednocześnie tysiące spraw, które docierały na Spokojną od razu do referentów i kierowników resortów, ponieważ w powijkach była jeszcze znakomita instytucja sekretarki, odgradzającej dygnitarza od zbytniego nawału zajęć. Reforma rolna, organizacja administracji

– skąd, do licha, brać ludzi – pieniądze, handel, pomieszczenie na teatr, ciężarówka albo gazik, żeby móc wyjechać w teren... koce, karton do legitymacji – sprawy nie szeregowane według rangi nie oczekiwały w kolejce, lecz waliły się wszystkie jednocześnie, wymagając natychmiastowej decyzji. Front stał nad Wisłą, ale wojna już przeszła, należało organizować kraj.

– Ci towarzysze – powiedział Weklar wchodząc do swego gabinetu po powrocie z konferencji na Spokojnej – chcieliby zapomnieć, że jeszcze i że przede wszystkim jest wojna. Pojmujecie, Kluk. Wywietrzało im z głowy, że najpierw należy robić wojsko. Wszystko inne niech czeka.

Kluk przytaknął, zwykle przytakiwał generałowi, ale pomyślał sobie, że Weklar znowu czegoś tam nie wydusił i będzie wściekły przez cały dzień. Zły humor generała był już znany w sztabie. Powszechnie sądzono, że powodem decydującym są wyniki mobilizacji. Brakowało ludzi, powołano zaledwie cztery roczniki i uzupełnienia były nieproporcjonalnie małe w stosunku do potrzeb. Wycisnąć więcej. Ale wycisnąć z kraju, który krwawi od pięciu lat?

– Wy nie umiecie przeprowadzić mobilizacji – powiedział Weklarowi stary przyjaciel, pułkownik z 2 dywizji, który, podobnie jak generał, uczył się rzemiosła wojskowego nad Ebro. Przyjechał prosto znad Wisły, rugnął solidnie majora Kluka usiłującego go przekonać, że u generała odbywa się właśnie ważna konferencja, wystraszył z gabinetu paru oficerów i utknął w wysokim krześle, które zajmował zwykle Weklar.

– No i co? Chlebek sztabowy ci służy? Oderwałeś się!

– Nie gadaj głupstw, mów, czego chcesz?

– Zapomniałeś, jak wygląda wojsko. A ja przyjechałem specjalnie po to, żeby ci przypomnieć.

– Zaczynaj. – Popatrzył na pułkownika. Kostarz miał twarz chudą, pooraną, jakby ktoś przejechał po niej pługiem.

– Widzisz – ciągnął nieco innym tonem – mam wrażenie, że wy wszyscy zbyt mocno tkwicie w przeszłości, w metodach działania, do których żeście przywykli w ciągu wielu lat. Nie rozumiecie...

– Czego, do diabła?

– Prostej rzeczy. Że nie robicie partyzantki ani też nie jesteście w Hiszpanii. Zaczynacie rządzić państwem, tworzycie nie armię ochotniczą, ale regularną, ogólnonarodową, taką, co stoi już na regularnym froncie.

– Przestań mnie pouczać, nie lubię komunałów.

– Ślicznie. A czy konkretnie, bez komunałów, wiesz, jak wyglądają stany mojej dywizji?

– Wiem. Czytałem raport.

– Ale nie pamiętasz bez przerwy. Nie stoi ci to w oczach, nie tkwi w sercu, nie gryzie sumienia. Czytasz sobie raporty i podkreślasz czerwonym ołówkiem. Oficerowie – wyliczał na palcach – 661 na 1245 potrzebnych, podoficerowie: 2000 na 3400, łączny stan: 6900 na 11 400 etatów. A jak ruszy ofensywa – wykrzyknął – to co? Wiesz, co będzie za miesiąc?

– Od tego jesteś, żeby żądać!

– A ty może od tego, żeby odmawiać. W pułkach zapasowych macie trzysta procent stanów...

– Przesada!

– Jaka tam przesada! Trzymacie tych ludzi w łapie niby drobny ciulacz. Formujecie trzecią armię...

– Musimy mieć silne wojsko!

– Musimy mieć ludzi do tych jednostek, które już są. A może wy nie chcecie? Może robicie potęgę na olaboga? Dawajcie uzupełnienia, otwórzcie te wasze worki w pułkach zapasowych. Czy nie możecie, do diabła, zmobilizować więcej niż cztery roczniki?

– Człowieku, mówisz jak dziecko! Pomyśl: sprzęt, zaopatrzenie, kraj wyciśnięty niby cytryna.

– Ja też nie lubię komunałów. Nie martwcie się tak o zaplecze. Nawet tych czterech roczników nie mobilizujecie jak należy. To wasza główna robota, do diabła! Pochodź parę dni po Lubelszczyźnie, to cię cholera weźmie. Kto chce, idzie na pobór, a kto nie chce, ma gdzieś. Co robi administracja, milicja, władze... Weklar wyjaśniał, ale przyznawał przecież Kostarzowi rację. – Diabelne braki – mówił – nie ma najprostszej rzeczy, nawet samochodów dla RKU.

– To odbierzcie władzom cywilnym. Jedno tylko umiecie doskonale: wyciskać z Armii – Czerwonej. Daj, daj, daj... Cholernie z nas kosztowny sojusznik? W ciągu miesiąca muszę mieć uzupełnienie, a nie, to zrobię taki raban, że się nie pozbieracie. Ty wiesz, co ludzie mówią?

– Nie wiem.

– Ze pchamy 1 armię na wykrwawienie: bolszewików, rosyjskich Polaków, Białorusinów. A dopiero na Lubelszczyźnie wystawimy prawdziwie polskie wojsko...

– Trzeba wyjaśniać.

– Roboty politycznej nas nie ucz. Ale dawajcie ludzi, takich z zakalcem też, my ich



już przerobimy. Iść na front, myślał Weklar, najlepiej iść na front i doskakiwać do sztabowych generałów. Niech to diabli wezmą!

Na biurku piętrzyły się raporty o wynikach mobilizacji, sporo było w nich rzeczy niewesołych, cyfry ciągle zbyt niskie, różnice między rubrykami „planowano” i „wykonano” nie dawały spać po nocach. Rejonowe Komitety Uzupelnień szczegółowo uzasadniały trudności: w Zamościu zamordowano komendanta RKU, w Siedlcach zabito sekretarza komisji rejestracyjnej, a w Kolbuszowskiem spośród podlegających mobilizacji nie zgłosił się ani jeden człowiek. W Przemyślu bandy grożą represjami za stawiennictwo, niszczą dokumenty i metryki niezbędne do kontroli...

Litania bez końca: brak samochodów, brak przeszkolonych ludzi, brak lekarzy...

Weklar odłożył papiery i postanowił ruszyć w teren, minęło trzy dni, a Marta powinna wrócić dopiero po tygodniu. Nic go nie zatrzymywało w Lublinie.

### 3

Jakoś przed wyjazdem zaproszono Weklara na bankiet, a raczej na zwyczajny obiad, który urządzał Borejsza z okazji przybycia do Lublina wielkiego artysty.

Generał spóźnił się na Radziwiłłowską, najchętniej zresztą nie poszedłby wcale, od czasu bowiem przybycia Marty unikał spotkań z ludźmi, przekonany, że przyjaciele patrzają nań z litością i usiłują pocieszać, że niby wytrzymaj, człowieku, nie przywiązuj zbytnej wagi, tak w życiu bywa... Weklar stawał się mrukiwy i milczący, a gdy ktoś zahaczył go o Martę, zwyczajnie nie odpowiadał.

Częściej też myślał o Stefanie, ogarniała go przy tym tkliwość najzupełniej mu obca, a nocami, gdy twarz syna jawiła się wyraźna i plastyczna, odnajdywał w niej zasadnicze podobieństwo do żony, stwierdzając ponad wszelką wątpliwość to samo ukształtowanie ust i nosa, a także osadzenie oczu nieco skośnych i zbyt wąskich. Zapominał chętnie, że Stefan powinien mieć już dzisiaj lat dwadzieścia, bo ogarniał go lęk przed starością i starczym roztkliwieniem, których nie cierpiał.

Alejki skwerku pokryte były zeschniętymi liśćmi. Weklar, idąc piechotą na Radziwiłłowską, zanurzał w nich buty niby w szeleszczącym dywanie, odkrył jakby rzecz nową i dotąd nie znaną: kolorowość jesieni, z przyjemnością, jakiej dawno nie doświadczał, oglądał łagodną czerwień drózek, by spojrzeć potem na szarawe ściany domów

Krakowskiego Przedmieścia i doskonale czysty błękit nieba rozpiętego nad Lublinem. Na ławeczce obsypanej liśćmi siedziała para zakochanych, on musiał mieć już dobrze po pięćdziesiątce, lewą ręką ścisnął gałkę laski, prawą zaś obejmował kobietę, która pochylała się ku niemu jakoś bardzo niezręcznie i wstydliwie. Może odnaleźli się niedawno...

Weklar spojrział na zegarek i przyspieszył kroku. Duża weranda domu przy Radziwiłłowskiej była już dokumentnie zapchana. Zjawił się chyba ostatni, bo na honorowych miejscach, obok wielkiego aktora, siedzieli już przedstawiciele władz, a wysoki literat w kapitańskim mundurze wstawał właśnie z krzesła ściskając w dłoni kieliszek dostatecznie okazałych rozmiarów. Winem toastów nie pito, litrowe butelki wódki rozstawione w regularnych odstępach świadczyły o przemyślności któregoś z pomocników Borejszy. Weklar poczuł na sobie wzrok Świerczewskiego, burknął coś niby na usprawiedliwienie i ciężko usiadł na krześle. Wódka była bez smaku, nawet nie śmierdziała samogonem, sączyło się ją jak wodę, która nie gasi pragnienia.

– Wznoszę toast – prawil wysoki kapitan – na cześć dwóch generałów: polskiej sztuki i generała armii polskiej: Waltera.

Świerczewski uśmiechnął się jednym z tych uśmiechów jak gdyby nieco zawstydzonych, które Weklar znał doskonale, a które niezmiennie jednały Walterowi ludzi.

Twarz wielkiego aktora pozostała nieruchoma. Była to zresztą twarz człowieka, z której cierpienia nic nie starły, tylko wyostrzyły rysy pogłębiając zmarszczki i bruzdy. Krępy, trochę kanciasty, pochylał się nisko nad stołem, potem zaczął mówić.

– Jest ciężko chory na płuca – szepnął ktoś obok Weklara. Generał wpatrywał się łakomie w wielkiego aktora. Właściwie, myślał, chciałem go kiedyś zobaczyć na scenie. Nie dałem rady, tak, chyba tylko w jakimś filmie. Jak, u diabła, nazywał się ten film? Sufler, który pozował na Napoleona? Coś w tym guście – pamięć człowieka zawodzi... Może by zapytać? Oczywiście – nie wypada.

Czuł jednak generał szczególną satysfakcję, pokręcił się na krześle, zajrzał w twarze swoich sąsiadów. Były to twarze doskonale znajome, ciągle się je widywało, na konferencjach, w stołówce, we własnych i cudzych gabinetach, ogarnęły go uczucia nieco cieplejsze, napęczniała ochota do rozmowy. Bardzo to rodzinna stolica ten Lublin! I bardzo to rodzinne powitanie! Ale dojrzał właśnie Pstrońskiego, który spokojnie odpowiadał gestykulującemu Borejszy. Gruby major huczał potężnie, że nawet rozmowy przy innych stołach ucichły.

– A ja ci mówię, że dasz! Co ważniejsze, to ja sam dobrze wiem, pouczać mnie nie musisz, bo jestem pouczony. Masz, napij się wódki!

Weklar wychylił kieliszek, jakby to jego zapraszał Borejsza, i opuścił głowę. Głosy ludzkie obieły go teraz, dochodziły strzępy rozmów, gadano już zwyczajnie o lubelskich sprawach. Ci, co jeszcze przed chwilą słuchali z napięciem wielkiego aktora, wyklócali się teraz zawzięcie o ciężarówkę, forszę, ludzi. Litrówki znikwały ze stołów, ktoś na odległym miejscu zanucił ochryplym basem: *Piękny jest Wisły brzeg*. Z daleka, niby z innego świata, dobiegł warkot samolotu, generał podniósł głowę i zobaczył skupioną twarz Waltera. Jest wojna, pomyślał, na wszystko będzie czas, niech mi nie zwracają głowy.

– A co wy myślicie – usłyszał – że ja mam gdzie pakować ludzi? Czyście wszyscy powariowali! Przyjechała z Otwocka, mówią mi: tak i tak, baba jest ważna, potrzebna, dawaj mieszkanie. Więc wsadziłem ją do pokoju, gdzie powinno być pięcioro, i sobie myślę: szóstka się zmieści. I co powiecie? Tam już dziesięć mieszka. Rozumiecie: dziesięć!

– A skąd mam wziąć ciężarówkę – denerwował się ktoś inny. – Ciągle: daj, daj, daj. Idźcie do Weklara, może mu coś wyrwiecie z gardła.

A spróbuj pomyślał generał.

– Ależ ja muszę do Białegostoku. Nie dla własnej przyjemności. Pieniądzy nie dostałem.

– No to jak pojedziesz?

– Drożdże mam na sprzedaż, człowieku. Będę państwowymi drożdżami handlował – Przy stołach przemieszało się już nieco, ludzie zmieniali miejsca, przysiadali się do znajomych. Wjechała czarna kawa, przysmak, z którego dom przy Radziwiłłowskiej szeroko sływał. Literaci i malarze w wojskowych mundurach chleptali gorący płyn w nieprawdopodobnym tempie, dojeżdżając co chwila z filizankami do potężnego dzbanka sterczącego na środku stołu.

– Cóż to wy, generale, nie pijecie kawy?

– Brak przyzwyczajenia – burknął Weklar. Zauważył niechętnie, że dosiadł się do niego wysoki chudy facet, jakiś tam świeżo upieczony dygnitarz w resorcie kultury. Podobno znali się przed wojną i z tego tytułu gość przy byle okazji gnębił go rozmową. Jego przydługie nieco wywody męczyły generała, nie cenił umiejętności grzebania się w sprawach, z którymi można poczekać do końca wojny.

– Ależ, generale – przekładał gość – jakież to wspaniałe czas, takiego czasu nie znajdziesz w historii naszego kraju. Za lat piętnaście każde wspomnienie będzie na wagę złota. Ja wam mówię – pochylał się nad Weklarem – któż by pomyślał, że Polacy mają takie piekielne zdolności sensownego improwizowania. Wręcz wspaniała przygoda, człowiek przeżywa drugą młodość.

– Niech – huczał po drugiej stronie stołu Borejsza – niech każdy z was zapamięta słowa wielkiego aktora. Będziemy je powtarzać...

– Więc – wyliczał na palcach – powstaje rząd, absolutnie z niczego, absolutnie demokratyczny, bo pozbawiony nawet wszelkich koniecznych akcesoriów.

I to tempo! Po dwóch miesiącach otwieramy pierwszy uniwersytet w wyzwolonym kraju, uruchamiamy teatr, ściągamy do tego miasteczka, które było zatęchłą prowincją, najcenniejszych ludzi. Porywamy naszą pasję czynienia nowego...

– Proces morderców z Majdanka – tłumaczył ktoś stojący za krzesłem Weklera, głos miał cichy i łagodny, ale raz po raz pobrzękiwały w nim mocniejsze nuty – musi być przygotowany znakomicie. Rozumiecie! To precedens w skali międzynarodowej. Schwyciliśmy paru szakali, ale kierujemy na nich armatni ogień nienawiści. Nienawiść jest nam teraz potrzebna jak powietrze, to nie koniec wojny i czynienie łaskawej sprawiedliwości. Wojna trwa...

– A płótno grunwaldzkie? – ciągnął facet z kultury. – Czy nie dostrzegacie, generale, symbolicznej wymowy tego faktu? Właśnie tu, w Lublinie, przetrwało lata okupacji i powrócone ludowej władzy... *Piękny jest Wisły brzeg* – zawył powtórnie ktoś w końcu stołu.

Weklar milczał. Nie słuchał już faceta, myślał o Marcie. Dlaczego, do diabła, tak się stało? Romantyczna przygoda? – Bzdura. Trzeba po prostu pchać się naprzód, ciężko płacąc za każdy krok.

– Bo, generale, weźcie choćby Borejszę. Skąd w tym człowieku taka fura energii, wręcz niewyczerpane pokłady. A wasza dziedzina: wojsko? Jeszcze przed dwoma miesiącami... Ale wy nie słuchacie, generale...

– Nie – powiedział Weklar. – Bo, wybaczenie, właściwie: po co? Cóż wy mi chcecie takiego przekazać? Macie jakieś potrzeby: ciężarówka, ludzie, walcie śmiało i tak nic nie dostaniecie... A romantyczna przygoda? Zostawcie do czytanek. Pomyślcie lepiej, ile kosztuje – zawahał się, bo nie bardzo wiedział, jak rzecz ująć, żeby wszystko w niej zawrzeć – ile kosztuje każdy skrawek...

Za Lublinem niebo było czyste, niemal niejesienne, generał popatrzył jeszcze na znikające miasto i westchnął z ulgą, że aż Kluk spojrzał na niego z niepokojem. Tu czuł się lepiej, na ruchliwej szosie, nawet żartował, popędzał szofera, bo czasu miał mało, a zobaczyć chciał jak najwięcej, wleźć – jak to mawiał – w teren, żeby nieco pobyc z rzeczywistością, a nie mistyfikującym ją papierkiem.

W brudnych pokojach, o powietrzu ciężkim od tytoniowego zaduchu, wyduszał z oficerów rejonowych komend cyfry, żeby potem przygwaźdzać rozmówców ciężkim

„dlaczego”, na które, ostatecznie, odpowiedź była zawsze ta sama, wysnuta ze spraw drobnych, osiagających na pokieroszowanej Lubelszczyźnie nie byle jaką rangę. Cóż, u licha, nie możecie dostać samochodów? Nie pomagają władze? Nie macie ludzi? Nic mnie to nie obchodzi, wyprujcie z siebie żyły, tym na froncie jest ciężiej, a wy tu gnijecie na stołku. Generalska limuzyna wyskakiwała na szosy, na których ruch był nie mniejszy niż na lubelskich ulicach. Ciężarówki wypchane wojskiem, zręczne gaziki, furmanki chłopskie terkoczące powoli po wybojach – ciekło to wszystko nieporządną, rozklekotaną gromadą. Punkty kontrolne na skrzyżowaniach, przy których dawniej nie było nawet drogowskazów, przypominały wielkie stacje przeładunkowe, energiczne „regulirowszczyce” wciskały do samochodów nowe partie pasażerów, ludzie, biwakujący w rowach niby na peronie, zrywali się z ziemi i wskakiwali na platformy nie pytając szoferów ani o pozwolenie, ani o kierunek jazdy.

Weklara nie interesował ów znany szosowy harmider, wlepił wzrok w pola, przez które przebijała się droga, ciche i puste, brudne jakieś w jesiennej szarudze, gdzieś sterczało jeszcze nie zebrane wojenne żelastwo, kikuty wypalonych domów, pogorzeliska, które zdążyły już zarosnąć chwastem. Zdawało się, że potok samochodów, ludzi, koni płynie przez martwy kraj, przecieka cmentarną aleją, której długo nic nie zdoła ożywić.

W miasteczkach natomiast rojno było i tłoczno, ludzie stali wzdłuż chodników, obojętne spojrzenia spływały po twarzy Weklara, przed sklepami długie kolejki kobiet, ciepłych ponad wszelkie pojęcie. Na rynku lubartowskim szofer zatrzymał na chwilę samochód. Weklar zobaczył przed parterową knajpką człowieka, który wydał mu się znajomy. Był to drobny staruszek w wytartej jesionczynie i kapeluszu nasadzonym mocno na czoło. Skrzypce, które wyciągnął właśnie z futerału, delikatnie pogłaskał, a potem, czując już na sobie spojrzenia ludzkie, brzęknął raz, drugi strunami i pociągnął smyczkiem.

*Nie płaczcie wierzby nam, z żalu, co serce rwie...* A kiedy skończył już piosenkę, nucąc słowa tak nieśmiało, że tylko najbliżej stojący słyszeć mogli, zaśpiewał nagle mocniej:

*Naprzód, Warszawo...*

Samochód ruszył, dopiero gdy minęli miasteczko, Weklarowi przyszło coś na myśl. Ale przypuszczenie wydało się zbyt nieprawdopodobne. Jechał znowu do Borowicy.

Dom odsunięty nieco w głąb placu, warta przy bramie. Dyżurny biegnie ścieżką poprawiając po drodze pas i wygładzając mundur. Weklarowi obrzydł już ten ceremoniał, tu w Borowicy, wydaje się zresztą wręcz groteskowy...

– Zostaw, dziecko, wystarczy. Gdzie szef?...

Szef czeka już na progu, a gdy wymienia przepisowo nazwisko, generał spogląda mu prosto w oczy i natychmiast poznaje. Takie spotkania nie należą do rzadkości, zdarzają się w ojczyźnie na każdym kroku, zresztą kapitan Wasiński nie ma powodu do zdziwienia, wykonywał mnóstwo zarządzeń podpisanych przez Weklara, właściwie oczekiwał go od dawna, choć nawet do głowy mu nie przyszło, aby zjawić się samemu w Lublinie.

Mały człowieczek o twarzy tak suchej i napiętej, że zmarszczki przypominają pęknięcia, niewiele zmienił się od tamtych czasów. Mundur ma starannie wyczyszczony i wyprasowany, szyję okala czysty, biały kołnierzyk, mówi powoli, ważąc każde słowo, jakby w obawie, że przemknie nie zauważone.

– No cóż, stary towarzyszu – powiada generał, a jest wyraźnie zadowolony z tego spotkania – nawet żeś nie dał znaku życia, nie napisał, zdziwaczałeś do reszty.

– Zdziwaczałem.

Wprowadził Weklara do małego pokoiku na pierwszym piętrze. Porządek panował tu doskonały, jak zwykle u Wasińskiego. Podłoga wymyta i wypastowana (skąd, u diabła, dostał pastę?), pusta popielniczka na biurku, biały lniany ręcznik na wieszaku. Generał usiadł i popatrzył w zakratowane okno, przez które widać było tylko wysokie drzewa wzdłuż ulicy. Milczeli. Wasiński czekał, aż Weklar zacznie mówić pierwszy, nie spieszyło mu się widać do gadania, podszedł do szafy, wyciągnął wykazy, układał je na biurku. Nie lubił zresztą opowiadać o sobie, zawsze był taki, niechętny do wspomnień i nieciekawych życia innych. A przecież znali się nieomal od dziecka, po raz ostatni spotkali się tu, w Borowicy, chyba w roku 1932. Do 1924 Wasiński służył w wojsku, młody porucznik, odznaczony za walki pod Lwowem, już w pułku sympatyzował z ruchem lewicowym. Potem, w PPS, współpracował z partią i był na Lubelszczyźnie jednym z organizatorów jednolitego frontu.

– No więc, co się działo z tobą, człowieku? – rzekł wreszcie generał. – Bardzo się cieszę, że hm... jesteś – dodał niezręcznie.

Wasiński przysunął krzesło do biurka. – Zwyczajnie działo. Zmobilizowali w trzydziestym dziewiątym, potem obóz jeniecki, dwukrotna próba ucieczki, na wiosnę tego

roku udało się, przez trzy miesiące tkwiłem w Siedlcach, złapałem zapalenie płuc, a gdy przyszła armia, włożyłem mundur.

– Krótko i jasno – roześmiał się Weklar.

– No tak. – Twarz Wasińskiego nawet nie drgnęła.

– Chcesz, towarzyszu generale, sprawy służbowe...

– Poczekaj! Nie jesteś ciekawy, jak było ze mną?

– Przecież widzę i wiem. Hiszpania, Związek Radziecki, przeżyłeś wszystko, zawsze byłeś mocny i miałeś szczęście.

– No, nie takie jak ty...

– Więc, jeśli nie służbowo, to może się napijesz, towarzyszu generale?

– Napiję się.

Siedzieli znowu w milczeniu, smuga światła z okna padała na twarz kapitana, wódkę pił szybko, bez skrzywienia, jakby spełniając powinność.

– Wiesz co o Marcie?

– Wiem. Jest w Lublinie. Bojowa i zdrowa.

– A o Stefanie?

– Nic. – Machnął ręką. – Cieszę się, że cię spotkałem. Powinieneś, co prawda, przyjechać do Lublina, ale skoro już jesteś w Borowicy, którą przecie znasz jak własną kieszeń, możesz tu zdziałać diabli wiedzą co!

– Podać ci cyfry, towarzyszu generale?

– Nie, to potem. Jak oceniasz wyniki poboru? – Pochylił głowę. – Był u mnie Kostarz. Pamiętasz Kostarza? Jest teraz w 2 dywizji, zresztą wszyscy z linii mówią to samo: ludzi!

Wasiński milczał chwilę. Z jego nieruchomej twarzy nic nie można było wyczytać.

– Ludzi – powtórzył. – Powiedz mi, towarzyszu generale, rozumiem, że dano ci poważną dziedzinę, ale czy to teraz główne: ludzie do dywizji frontowych?

– Jak to? – zdziwił się Weklar i spojrzał na kapitana, jakby zobaczył go po raz pierwszy. – Jak to? – powtórzył. – O co ci chodzi? Co kwestionujesz?

– Nie, nic nie kwestionuję. – Wasiński przerwał, a potem zaczął mówić szybko. – Znam tu każdy kamień, każdą twarz. Wiem, jak jest trudno. A ty powinieneś się domyślać. Nie mamy kadr, w ogóle nie mamy żadnych kadr, trzeba je tworzyć, bo ci, którzy byli, zginęli podczas okupacji albo poszli do wojska. Chłopcom bez doświadczenia powierzamy zadania, którym nie każdy z nas umiałby podołać; reforma rolna, walka z szalejącym terrorem, nowa administracja... Każdy człowiek jest na wagę złota. A ty mówisz o froncie! Przecież to tutaj, w Borowicy, decyduje się przyszłość władzy ludowej. Czy pojmujesz, jak bardzo

skomplikowana jest sytuacja w Polsce, tysiąc razy bardziej niż organizacja dywizji i prowadzenie boju. Wpływy akowskiego frazesu, nieufność do naszych sojuszników, tysiące uprzedzeń i kompleksów; wszystko to gra na naszą niekorzyść.

– Cóż ty wygadujesz! – wybuchnął wreszcie Weklar. – Czego chcesz? Żebyśmy zrezygnowali z mobilizacji... Nie, mój drogi. Nasz wkład w wojnę nie jest symboliczny, nie ma charakteru politycznej demonstracji jak powstanie warszawskie. Jest istotnie ważny i skuteczny. Za własny kraj trzeba płacić własną krwią i nikt na świecie nas od tego nie zwolni. Nie zorganizujesz władzy ludowej w kraju podarowanym. Organizujesz ją w kraju wyzwolonym także przez naszą armię. A problem „oni czy my” rozstrzyga się na naszą korzyść w każdej kampanii.

– Dobrze. – Głos Wasińskiego był teraz znowu spokojny. – I dla stworzenia jeszcze jednej polskiej dywizji chcesz ogołocić teren z najlepszego elementu.

– Mobilizujemy tylko cztery roczniki!

– Tylko cztery roczniki! A wiesz, w jakich warunkach i jakim wysiłkiem? Pomoc władz: fikcja. Ani milicji, ani samochodów. Pobór ma w gruncie rzeczy charakter głównie ochotniczy. I w końcu to chyba dobrze...

– Nie, to bardzo źle. Nie wolno lekceważyć zarządzeń młodego państwa. Uważam, że twoja postawa jest wręcz szkodliwa.

– Jak chcesz. – Wasiński nieco przygasł. – Sądziłem, że się z tobą dogadam. A pamiętaj też o ostrym przeciwdziałaniu reakcji. Ochotnik, kapitan Brzecki, idąc do RKU w starym mundurze, został zastrzelony o dwieście metrów od wartownika.

– Kto?

– Brzecki. Znałeś go?

Weklar nie odpowiedział. Wstał z krzesła i chodził dużymi krokami po pokoju.

– Śledztwo trwa – ciągnął Wasiński – ale nasza milicja to najmłodsza władza bezpieczeństwa na świecie. Będziemy mieli sporo kłopotów, gdy jednostki 2 armii pójdą na front.

– Omyliłem się – rzekł Weklar nie patrząc na Wasińskiego. – Brzeckiego potraktowałem niepoważnie. A ten mecenas rozumiał chyba to, czego ty nie rozumiesz. Że jego problem również rozstrzygnie się na froncie.

– Nie rozumiem, towarzyszu generale. Jesteś, wybacz, działaczem partyjnym, a nie zawodowym wojskowym. Potężne uderzenia Armii Czerwonej zlikwidują niedługo opór niemiecki... nasz udział nie ma rozstrzygającego znaczenia dla losów wojny. A przyszły kształt Polski zależy od tych, którzy zostaną w kraju.



– Tak mówisz! Nie, kapitanie Wasiński. Nasz udział ma decydujące znaczenie dla losów Polski i dla losów Polaków. A twoim obowiązkiem jest wykonywać rozkazy. I to wszystko.

Wasiński wstał. – No cóż, generale. Znasz mnie nie od dziś, zawsze byłem przekłętym realista. Muszę ci więc lojalnie zameldować, że liczba zwolnień, których udzieliłem, znacznie przekracza przeciętną i jest niezgodna z instrukcją. Muszę ci też zameldować...

– Wystarczy! Z twojego postępowania wyciągnę wszystkie konsekwencje.

## 5

Po przyjeździe do Lublina Weklar polecił odwołać Wasińskiego ze stanowiska komendanta RKU i odesłać do dyspozycji departamentu kadr z odpowiednio ostrą charakterystyką. Ale bolało go wciąż to borowickie spotkanie, w postawie Wasińskiego dostrzegając niebezpieczeństwa utajone a bardzo groźne.

Po kilku dniach dowiedział się zresztą, że kapitan pracuje już w którymś z oddziałów sztabu. Odnalazł starych znajomków, a charakterystyka wystawiona mu przez generała wzbudziła – jak referował major Kluk – powszechne zdziwienie. Również pułkownik Pstroński zupełnie odmiennie oceniał Wasińskiego.

Weklar przeszedł nad tym do porządku dziennego i prowadził frontalny bój o uzupełnienia, starając się jednocześnie nie myśleć o Marcie. Bezskutecznie! Wiedział, że jest w Lublinie, oczekiwał telefonu, ale sam nie próbował jej szukać. Któregoś dnia wychodząc ze sztabu zobaczył Martę w samochodzie obok Pstrońskiego, nie umiał zrozumieć jej postępowania, nie wierzył, że mogła wykreślić go z życia. Czy to możliwe, żeby ludzie tak się zmieniali: Marta, Wasiński. Inni niż ci, których znał wczoraj.

Ostre pragnienie przejścia do linii opanowywało Weklara coraz potężniej. Przez całe życie pracował tam, gdzie postawiła go partia, nigdy nie prosił o zmianę decyzji dotyczących jego osoby, ale przecie tęsknił za frontem, od wielu lat przywykł do prowadzenia wojny, właśnie: prowadzenia wojny, a nie wycierania się w sztabach, był dowódcą, który wyrósł z działacza partyjnego.

– Nie doceniacie – twierdził Pstroński – trudnej sytuacji na terenach wyzwolonych. Musimy je zdobywać raz jeszcze, do tego też potrzebni są ludzie, nie możemy wszystkiego pchać do walki. Wróg rozpoczyna kontratak. Czy wiecie, co się dzieje w terenie? Może nie

doceniam, pomyślał, ale w istocie był głęboko przekonany, że to on ma rację. Zdawało się Weklarowi, że w słowach pułkownika słyszy echo argumentów, które powtarzał Wasiński.

Każdą rozmowę z Pstrońskim przeżywał zresztą boleśnie. Oto człowiek, który mógł powiedzieć mu coś o Marcie.

Gdy pierwsza tura mobilizacji była w zasadzie ukończona, Weklar rozpoczął starania, o zmianę przydziału. Ciężko to szło, nie przywykł do załatwiania własnych spraw, brakowało mu sztabowej giętkości ułatwiającej kontakt z ludźmi.

– Nie umiem prosić – mówił – ale zastanówcie się dobrze, gdzie będę bardziej przydatny.

– Członek Naczelnego Dowództwa, pułkownik z AL, którego generał znał od niedawna, ale niezmiernie cenił, wysłuchiwał argumentów Weklara w milczeniu. Wąską, zmęczoną twarz pochylał nad stołem, oczy półprzymknięte, zdawało się, że odpoczywa.

– Czy różnica zdań między wami, generale, a Pstrońskim – zapytał – nie wpłynęła jakoś na wasze stanowisko?

Strzał celny, pomyślał Weklar. – Różnice zdań – powtórzył – chyba za mocne słowa. Istotnie – ciągnął niechętnie – spieramy się często o takie czy inne kwestie...

– Tak przerwał pułkownik – ja przecież nie twierdzę, że istnieją między wami różnice zasadnicze, polityczne, wymagałoby to odrębnej dyskusji – mówił powoli, długimi zdaniami – ale nieco inne punkty widzenia, was przecież długo nie było w kraju, a on tkwił w środku roboty okupacyjnej. A to właśnie bardzo cenne, możliwość konfrontacji, trudno z niej nie korzystać. Ja bym powiedział, że wy się znakomicie uzupełniacie nawzajem. Tak – westchnął – inaczej tego traktować nie można.

Weklarowi cisnęło się na usta jakieś uparte „ale”, milczał jednak.

– Więc jeśli – ciągnął pułkownik – o to chodzi, wyraźnie nie macie racji. Nie wolno zresztą rezygnować bez boju z obrony własnych poglądów, wiecie o tym równie dobrze jak ja.

– Nie – rzekł Weklar. – Chodzi wyłącznie o moją przydatność. Pewną rolę grają również sprawy prywatne.

– Rozumiem. Już mówiliście. Mamy tyle do odrobienia – westchnął. – Pomyślcie, jak nas opóźnia każdy dzień wojny.

Po paru dniach Weklar otrzymał nominację na dowódcę dywizji w 2 armii. W przeddzień wyjazdu zadzwonił do Marty.

– Wybacz – powiedziała. – Miałam tyle roboty. Czy zechcesz do mnie wpaść?

– Dzisiaj wieczorem, bardzo chętnie.

– Niezmiernie mi przykro. Dzisiaj nie mogę. Jestem już umówiona.

– No to innym razem – oświadczył spokojnie Weklar i odłożył słuchawkę. Następnego dnia rano wyjechał do Kąkolewnicy. Obejmował dywizję, w której wśród dziesięciu tysięcy innych, służył szeregowiec Michał Maczuga.

# PRZYSIĘGA

## 1

Benda i Więcek, szeregowcy z plutonu Furana, zdezerterowali trzeciego dnia po aresztowaniu Olewicza. Odeszli zapewne po apelu, ich prycze bowiem były nie naruszone, posłane jak zazwyczaj z godną pochwałą starannością. Na poduszce Więcka Sęk, obecnie plutonowy, znalazł notatnik w tekturowej okładce. Nic w nim nie było interesującego, tylko na pierwszej stronie początek listu do dziewczyny imieniem Wanda. „Donoszę Ci, że nieźle mi tu i żadne nieszczęście mi nie grozi, bo się jeszcze nie bijemy, a da Bóg wojna niedługo potrwa”.

Tak sobie Więcek zwyczajnie napisał, każdy przecież ma swoją dziewczynę. I cóż ta kartka może pomóc Sękowi, który zaraz pobiegł z nią do Furana, jakby znalazł Bóg wie jaki dokument. Pluton wychodził właśnie do mycia, z nieba kapalo, ludzie spoglądali na siebie nieufnie, jakby w każdym tkwiło coś obcego.

Maczega zanurzył twarz w zimnej wodzie, opryskał solidnie piersi i plecy, rzeźwiło to znakomicie, ciało mocno wytarte stawało się purpurowe i prężne. Od dwóch dni był w nastroju podniosłym, nigdy jeszcze podobnego nie przeżył. Leciutko poruszając wargami powtarzał słowa z rozkazu dziennego podpisanego przez dowódcę pułku: „Udzielam pochwały strzelcowi Michałowi Maczędze za to, że z narażeniem życia wyniósł z pożaru dziecko, mężnie walczył z ogniem ratując mienie ludzi pracy, jak przystoi żołnierzowi Ludowego Wojska”.

Pewno, że Maria nie przeczyta tego rozkazu. Ale przecie nie zapomni o Maczędze, może się kiedyś zobaczą, choć nie warto w to wierzyć, bo gdzie losy rzucą człowieka po wojnie...

Las szumiał, Maczega patrzył na drzewa pozbawione już liści, odarte ze złotych i żółtych kolorów jesieni, dobry był w gruncie rzeczy ten las, wcale chyba nie gorszy od różańskiego.

Myślał też o Więcku i Bendzie. Właśnie przed apelem wieczornym Więcek dał mu papierosa, zapalili przed ziemianką czekając na zbiórkę. Chłopiec był zawsze spokojny, nigdy Maczędze nie dokuczał, choć patrzył nań z wyższością starego żołnierza.

– No cóż, dziadziu – powiedział – w bohatera się awansowało, w całym pułku, gdzie tylko pójdziesz, nic innego nie słychać: Maczuga i Maczuga.

– Jakże tam bohater! Tak sobie wyszło, człowiek przecież nie kamień.

– Pewno, że nie kamień. – Zamyślił się. Papieros wydobyl z ciemności jego twarz, bardzo poważną. – A nietrudno ci w tym wojsku? – zapytał cicho. – Gdzież to dla starszego człowieka takie ciężkie życie. Ani odpocząć, ani zjeść, ganiają bez przerwy. Obiad na tempo, w wychodku na tempo, żal mi was Maczuga:..

Michał roześmiał się jakoś niespodzianie dla siebie samego.

– A ja i lepiej nie jadłem – powiedział śpiewnie. – Pewno, że matka ugotuje smaczniej. Jak ktoś z miasta – dodał poważnie – to mu trudno. Ale chłop do wszystkiego przywykł.

– Gadaj z nim – rozgniewał się Więcek. – Tak ci tu dobrze?

– Żeby prawdę powiedzieć: nie wiem. Ani dobrze, ani źle. Posłuchaj: ludzie śpiewają i harmonia.

Ale Więcek nie chciał słuchać, zdusił papierosa i odszedł do ziemianki.

– Nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi. Taki jeden z drugim – powiedział Kaleta przy śniadaniu, przerywając milczenie, które ciążyło od rana nad drużyną – dzisiaj spał obok ciebie, a jutro strzeli ci w łeb. Jemu teraz „wsiorawno”, kolega nie kolega, towarzysz nie towarzysz.

Ludzie pochyleni nad menażkami nie podnosili oczu.

– Głupie chłopaki – rzekł Sęk – co oni teraz robią. Złapią ich i rozstrzelają. Na pewno złapią.

Sęk objął już pluton po Olewiczu, zmienił się też znacznie, odsunął się od dawnych kolegów, a nawet z Kutryną mówił nowym tonem, zawsze poważnym i autorytatywnym. Kutrynę zaś mianowano dowódcą drużyny, nie dostał co prawda kaprała ani nawet starszego Strzelca, jedynie Kolski zgodził się milcząco na biało-czerwone naszywki.

Naszyte na naramiennikach wyróżniły zaraz drużynowego, właśnie Więcek pierwszy nazwał go „panem podchorążym”. Kutryna zeszytniał, węszył ironię, potem uśmiechnął się nieznacznie, widać było, że ten tytuł do niego przylgnie. Teraz siedział ponury i milczący, jakby bezpośrednio odpowiedzialny za dezercję, chociaż dowódcą drużyny był dopiero drugi dzień.

– Złapią, złapią – przedrzeźniał – przez całą noc można zająć diabli wiedzą dokąd. A ty ich jeszcze żałujesz. „Głupie chłopaki”. Wcale nie głupie, mówi się inaczej...

Pierwszy raz padło to słowo. Na ścianie kuchennego baraku wisiał plakat „Zdrajcy z

AK”); teraz przypomnieli sobie o nim, spojrzeli w tamtym kierunku. Wydawało się dotąd, że plakat dotyczy spraw odległych, a przecież wskazywał na ludzi, którzy niedawno byli między nimi. Sęk spochmurniał, zwiesił głowę, zupa w jego menażce była niemal nietknięta, Kutryna zapatrzył się tępo na drogę biegnącą w kierunku wsi, mgła rzadziejaca nieco, wisiała nad nią jak niska chmura. A Maczuga sumiennie wyjadł resztki gęstej ciecicy, nie wtrącał się do rozmowy, dopiero gdy wszyscy umilkli, obtarł dłonią usta i oświadczył:

– A ja wam powiem. Oni uciekli ze strachu.

Sęk spojrział na niego uważniej, jakby ze zdziwieniem. Kutryna odsunął menażkę i zerwał się z ławy.

– Nie radzę ci, człowieku, gadać głupstw – wycedził przez zęby.

Powoli stawali na zbiórkę. Kazak, bardziej niż zwykle krzykliwy, ucichł nagle, gdy zobaczył z daleka Kolskiego. Raport składał głosem matowym, szybko jakoś, że nawet formułki o dezercji nikt nie zdołał dosłyszeć. Potem dowódca kompanii przemawiał. Maczuga ciekaw był, co też Kolski powie o tych dwóch – czy wytłumaczy, dlaczego uciekli? Nie wolno mówić, że ze strachu, chociaż wiadomo, że ludzie uciekają najczęściej z tego powodu. Zresztą – czy można zwać od własnego losu? Maczuga lubił roztrząsać sobie powoli rozmaite sprawy, ale najczęściej, właśnie jak teraz, ogarniało go przemożne zdziwienie.

Matka krzyczała: „Co siedzisz, jakbyś osłupiał albo zbałwaniał! Skaranie boskie z tym chłopem”. A Maczuga umiał przecież siedzieć tak godzinami, szczególnie w zimie, gdy przez okno widać było tylko białą i pustą przestrzeń ośnieżonego pola.

Kolski mówił o hańbie, którą okryła się kompania. Hańbę tę można zmyć tylko w szkoleniu i walce, należy zachować czujność, to znaczy pilnować jeden drugiego, żeby zawczasu wykryć zdrajców. Każdy żołnierz odpowiedzialny jest nie tylko za siebie, ale i za kolegów, za całą drużynę. A dezertów złapią i poniosą oni zasłużoną karę. Maczuga podniósł wzrok, spojrział wzdłuż szeregu i zobaczył ponure twarze, z których absolutnie nic nie można było wyczytać.

Po obiedzie wzywano ich po kolei, wszystkich z drużyny, do oficera informacji. Najkrócej siedział u porucznika Kutryna, wyszedł jeszcze bardziej ponury, ale spokojny i cichy, najdłużej – Maczuga. Michał po raz pierwszy odbywał rozmowę sam na sam z oficerem. Leksz zamienił z nim parę słów, nawet dość łaskawych, po pożarze w Gniazdowie, ale było to przecież na oczach całej kompanii. Maczuga stał wówczas na baczność i nie wiedział, co ma odpowiadać. Tym razem porucznik Leoniak kazał mu usiąść, dał papierosa i wypytywał o przeszłość, nawet o to, jaką mieli ziemię, ile krów i czy było rodzeństwo. Maczuga oświadczył, że ziemię matka ma kiepską, choć naprawdę nawet pszenica nieźle

rodziła, po czym przypomniał sobie, co Leksz powiedział o nędzy chłopstwa i jak umiał – powtórzył. Leoniak słuchał spokojnie, aż nagle uderzył pięścią w stół i wykrzyknął:

– Co wam wczoraj wieczorem Więcek opowiadał o swoich zamiarach? Gadajcie!

– Zamiarach? – zdziwił się raczej, niż przestraszył Michał. – Mnie? Więcek?

– Nie udawajcie głupiego! Mówiliście z nim ?

– Wczoraj wieczorem? – Wywietrzała mu nagle z głowy ta rozmowa i nie umiał jej powtórzyć.

– Wy, Maczuga – powiedział cicho Leoniak – jesteście porządny chłop, dziecko uratowaliście z pożaru. Ale uważajcie... Sami żeście przy śniadaniu powiedzieli: „Oni uciekli ze strachu”. Skąd wicie, że tak było?

– Sam ze siebie. Bo ludzie zwykle uciekają ze strachu...

– A z Więckiem gadaliście?

– Pewno, że gadałem. Przecie kolega.

– Co mówił?

Maczuga sobie wreszcie przypomniał.

– A niby pytał, czy mnie dobrze w wojsku, bo jestem już człowiek starszy.

– No i co powiedzieliście?

– Że nie wiem, ale chyba dobrze. – Spojrzał na porucznika ze zdziwieniem, zupełnie nie mogąc pojąć, czego właściwie od niego oczekuje i skąd wie o tym, co Maczuga powiedział rano. – Tak sobie pytał, zapaliliśmy, właśnie nadchodził apel.

– No, wystarczy już. Posłuchajcie, Maczuga: jesteście chłop, w chłopskim wojsku, to wasze wojsko. Trzeba mieć oczy otwarte, gdybyście po rozmowie z Więckiem przyszli do mnie i powiedzieli, ja już bym wiedział, co robić. Do mnie zawsze można przyjść. Rozumiecie?

– Tak jest, obywatelu poruczniku.

– Miejcie oczy otwarte, Maczuga. Nie jesteście głupi chłop, chociaż takiego udajecie.

Miejcie oczy otwarte.

– Tak jest.

## 2

Chmury stały nisko nad lasem, Maczuga nie widział ołtarza, tylko rozpostarte ręce

ksiedza, wznoszone niekiedy nad żołnierskimi głowami. Przerażała go nieco podniosłość chwili, osobista odpowiedzialność wynikająca z uczestnictwa w uroczystości przysięgi. Niedaleko ołtarza, na ławie skleconej z desek, siedział generał, nowy dowódca dywizji. Maczuga po raz pierwszy oglądał człowieka obdarzonego tak wysoką godnością. Był to mężczyzna niewiele chyba od niego starszy, postawny i krzepki, chłopcy mówili, że generał należy do dowódców, którzy wszędzie nos wetkną, więc trzeba się pilnować. Michała ogarniał lęk, podczas zbiórki porucznik Kolski dokładnie lustrując kompanię zatrzymał się przed Maczugą, obejrzał go ze wszystkich stron i powiedział: „Tylko żebyście nie skrewili na defiladzie i... gęby tak nie rozdziawiajcie”.

Dobrze mu mówić! Chyba z piętnaście lat młodszy od Michała i w wojsku nie od wczoraj. A co może być gorszego od defilady! Człowiek nawet nie spostrzeże, jak krok pomyli albo równanie diabli wezmą. Maczuga, nie wyłaź! Maczuga, dokąd leziesz! Ostatnio mniej już krzyczą, to prawda, ale nigdy nie wiadomo, co człowiekowi może się przytrafić, gdy na skleconej wczoraj trybunie stoi generał.

Leksz mówił niedawno: „Zawsze pamiętajcie że czas szkolenia jest krótki, niedługo na front”. Na froncie nie ma defilad, nie pilnują równania, ale frontu Maczuga nie umiał sobie wyobrazić. Kiedyś, niedaleko Kowal, partyzanci atakowali posterunek policji, na śniegu zostały trupy, które chłopcy omijali z daleka, w nocy Niemcy strzelali rakiety, luna niespokojna, gasnąca i wybuchająca nagle strumieniami czerwonego światła wisiała nad wsią. Chyba podobnie wygląda front, ale przecież nie wszyscy zostają na śniegu, niektórzy wracają, jeśli, oczywiście, mają dokąd wracać.

„Tylko nie skrewcie na defiladzie”. Prawoskrzydłowym będzie Kaleta, trzeba dobrze uważać i nie zgubić kroku. Ładnie to zresztą musi wyglądać z trybuny, idą kompanie jedna za drugą, za nimi cekaemy, rusznice ppanc, moździerze, działa pułkowe, potężna siła – jeśli dokładnie policzyć.

Ksiądz błogosławił. Zza chmur ukazało się na chwilę słońce, skośny nieśmiały promień padł na ołtarz. Wszyscy słuchają mszy, myślał Maczuga, a gadali, że w wojsku polskim nie można. Tymczasem kto chce, to się modli...

Uroczysty rozkaz „Do przysięgi” wykonuje każdy żołnierz tylko raz! Obok Michała stał Kutryna, dowódca drużyny słowa przysięgi powtarzał wyraźnie i głośno, wyraźniej niż Michał, bo on własnego głosu nie słyszał, może po prostu mówił za cicho. „Przysięgam uroczyście skrwawionej Ziemi Polskiej i Narodowi Polskiemu walczyć z niemieckim najeźdźcą o wyzwolenie Ojczyzny oraz utrwalenie wolności, niepodległości i potęgi Rzeczypospolitej. Przysięgam rzetelnie i sumiennie wykonywać obowiązki żołnierza



polskiego...

Przysięgam nieugięcie stać na straży Praw Narodu Polskiego... „

Pierwsze słowa każdej strofy powtarzane są mocno i wyraźnie. Potem szum narasta, potężnieje i urywa się nagle, na polanie nastaje cisza i znowu słychać następne zdanie, na które czeka w napięciu Maczega, aby je uczynić własnym, poważnie i uroczysto potwierdzić.

„Tak mi dopomóż Bóg!”

A żal jednak, że nie ma tu matki, nie ma w ogóle nikogo, kto zechciałby spojrzeć właśnie na Michała, wybrać jego jedyne spośród tysięcy zebranych na polanie żołnierzy, aby nie zaginął na zawsze udział Maczegi w powstaniu Wojska Polskiego, które niedługo pójdzie na front.

Uroczystość rozdania broni po przysiędze była już symboliczna, broń mieli przecież od dawna, szef sztabu pułku, niski, czarnutki major, formował kolumnę defiladową. „Maczega, patrz na mnie” – szeptał mu do ucha Kaleta, gdy stali już w czwórce. Uderzył bęben, szli po drodze, nieco twardszej na tym odcinku. Niedaleko trybuny Kolski wykrzyknął komendę. Głowy poderwały się w prawo, przybili. „Uważaj, Maczega”. Zobaczył twarz generała, generał był zadowolony, uśmiechnięty, dłoń niedbale przykładał do furazerki, leciutko zginając palce.

– Durak – syknął ktoś z boku. Nie, Maczega nie zdążył już zmienić nogi, pluton walił z całej siły butami w piasek, a Maczega poczuł nagle, że świat wywraca się na niego niby murszejaca ściana, przycisnął mocniej karabin, aby tylko nie zgubić broni, aby tylko, do cholery, nie zgubić broni...

Czy generał zauważył?

Furan twierdził, że zauważył. Stał przed Maczegą wysmukły, zręczny, doskonały w każdym szczególe i zdawało się Michałowi, że uderzy. Już wolałby ostatecznie dostać – niech będzie co chce, byle tylko nie wypominali, nie wyśmiewali potem, nie rysowali w gazetce ściennej. Nie patrzył w oczy oficera, czuł, że po czole, po policzkach spływają wielkie chłodne krople, doznawał też dziwnego swędzenia powiek, jakby właśnie za chwilę miał się rozpląkać. Ale zanim Furan skończył mówić, nadszedł porucznik Kolski. Maczega go nie widział, stwierdził tylko jego obecność. Kolski spojrzał na Michała.

– Puść go – rzekł cicho – niech idzie na obiad. Żołnierzom wydawano właśnie po sto gramów z okazji uroczystości przysięgi.

– Pij, Maczega! – Kaleta nie wspomniał o defiladzie. Chłopcy zrobili Michałowi miejsce na ławce, usiadł między nimi i poczuł się lepiej. Podniósł ostrożnie oczy, spojrzał naokoło, ale nikt jakoś nie zwracał na niego uwagi.

– U nas – mówił młody Gral – samogon był lepszy. Takiego samogonu już nigdy w życiu nie będę pił.

– Bo diabli wiedzą, co to za wódka, ta fasowana. Chyba, że rosyjska.

– E, ponemieckie zapasy.

– No, Maczega, na tamtym świecie będziesz się martwił.

Michał wypił, ogarnęło go przyjemne ciepło. Pełnym głosem, razem z innymi zaśpiewał: *Spoza gór i rzek...* Zupełnie niedaleko zobaczył znowu generała. Obok dowódcy dywizji stali gruby pułkownik Krycki i major Świętowiec.

### 3

Było już późne popołudnie, gdy wezwał Maczęgę oficer służbowy batalionu. – Ktoś w odwiedziny – uśmiechnął się. Michał powędrował w kierunku bramy wyjściowej, szedł tak, jakby mu do nóg przywiązano worki z piaskiem. Wiedział przecie, kto czeka na niego przy wartowni, ale wydawało mu się, że śni, tylko bardzo wyraźnie, jak to bywało niekiedy, choćby podczas podróży do wojska. Z daleka już zobaczył Marię, stała na drodze, trzymała koszyk i patrzyła w kierunku zupełnie niewłaściwym, jakby Michał miał przyjść od wsi.

Usiedli pod drzewem, które osłaniało ich nieco od ciekawych spojrzeń wartownika.

Michał podnosił ukradkiem wzrok i spoglądał na kobietę, która zachowywała się tak zwyczajnie, jakby spotkanie w Czeremnikach było między nimi od dawna postanowione. Mówiła szybko, dużo miała zresztą do powiedzenia, więc on przerywał jej rzadko, tylko zdziwienie ogarniało go coraz potężniej, że nie zapomniała, przyszła, a traktuje Maczęgę jak swojego, wszystko mu zawierza, a nawet prosi o radę. Chustkę zrzuciła z głowy, włosy gładko uczesane, z tyłu spięty szpilkami węzeł. Nagle – jakimś ruchem, jakimś spojrzeniem przypomniała Michałowi matkę, więc znowu poczuł swędzenie pod powiekami, przetarł pięścią oczy i zobaczył świat niby przez szklaną szybę, po której niedawno spłynęły krople deszczu. Znalazła go zwyczajnie, zresztą ludzie zawsze powiedzą, jeśli ktoś pyta. Oficer, który stał przed bramą, wiedział, jaki to żołnierz wyratował dziecko z płomieni. Grzecznie się nawet obszedł, czekała niedługo, przyjemnie tu zresztą czekać, wesoło, w lesie śpiewają. Chciała mu podziękować, bo wtedy taki strach ją uchwycił, że nie mogła wstać z ziemi, nawet krzyczeć lub modlić się. Cóż kobieta ma prócz dziecka, jeśli chłopca zabili.

Wyciągnęła z koszyka osełkę masła, słoninę stopioną w garnuszku, chleb w płótno

owinięty, biały ser, butelkę wódki – postawiła wszystko przed Michałem.

– Nie wzbraniajcie się – tłumaczyła – co mam, przyniosłam, od tego nie zbiednieję, a wam przecie matka nie przyśle, bo daleko.

Zjedli trochę razem, wypili oszczędnie po łyku wódki. Maria wytarła usta i dopiero wtedy przystąpiła do najważniejszego. Folwarczni dostali już ziemię, niewiele, ale trzy hektary z kawałkiem wypadły na Marię, wsiowi prześmiewają, że niby jak te przybłądy będą gospodarzyć. Bo naprawdę. Ziemia jest, ale przecie nic więcej: ani domu, ani narzędzi, ani ziarna. Już o ozimych mówić nie warto – późno będzie, ale co robić wiosną! Zimą może jakoś przeżyją w pałacu, a dalej? Jest jedna krowa – całe gospodarstwo. Podniosła oczy, spojrzała na Michała, oczekując, że on teraz powie, co trzeba. Ale czy naprawdę spodziewała się rady? Co może pomóc żołnierz, który jutro pójdzie w świat i nie wiadomo, czy wróci?

Maczęga milczał. Nie układało mu się w słowa to, co chciał powiedzieć Marii, spojrzał na swoje dłonie, duże, gruzłowate, niezgrabnie leżące na kolanach.

– Ot, rzekł wreszcie – zacząłbym robić i koniec. Ja tam roboty się nie boję, każdy może poświadczyć.

– Wszystko będzie – uśmiechnęła się Maria – wszystko może być.

Poszli razem drogą, wartownik przy bramie długo za nimi spoglądał. Michał szedł niezgrabnie, dużymi krokami, ona dreptała nieco z tyłu, niosąc swój koszyk, do którego włożyła chustkę.

– Może was puszcza – powiedziała nagle – może was puszcza chociaż na jeden dzień.

– Przystanęli w miejscu, gdzie droga na Gniazdowo skręcała w lewo, w las. Michał zobaczył twarz Marii blisko swojej i wydało mu się, że zna tę kobietę od niepamiętnych czasów.

## 4

Weklar spieszył się, wciągając płaszcz słuchał Kryckiego który po obiedzie zaprawionym solidnie wódką gadał szybko i beładnie, jakby chciał nowemu dowódcy powiedzieć od razu wszystko.

– Nie, pułkowniku, poczekajcie, każdą rzecz zbadamy po kolei. – Generał nie lubił pospiesznych wizyt, chętnie by tu jeszcze został, ale wieczorem miał być u dowódcy armii. Wiedział już, że pułkowi trzeba się będzie dokładnie przyjrzeć, zaglądać częściej, znaleźć czas na gadanie z ludźmi. Choćby ze Świętowcem... Zamienił z nim parę słów podczas

obiadu, major był blady i zgarbiony, mówił niechętnie, jakby coś ukrywał. Może wezwać do dywizji? Wyniki ma zresztą nie najlepsze i dezercja w batalionie... Generał myślał z niepokojem, że czasu zostało bardzo niewiele, dywizja musi być gotowa, bo przecież... Zapinał guziki patrząc w okno, za którym wiejska droga wtapiała się w las. Czeremniki... Bywał tu, oczywiście, nawet miał znajomych, ale gdzie ich teraz szukać i po co?

Wtedy właśnie padło nazwisko: Olewicz.

– Olewicz – powtórzył Krycki z akcentem na ostatniej sylabie – tak nazywał się oficer, którego aresztowali u Świętowca.

Weklar, już w furazerce, odszedł od okna i opadł ciężko na krzesło, które stało przed biurkiem pułkownika. Jakby opanowała go nagle przemożna chęć odpoczynku, przymknął oczy, głęboko wciągnął powietrze, ręce zanurzył w kieszeni płaszcza. Milczał. Krycki przerwał nie wiedząc, czy Weklar słucha, może naprawdę zasnął albo poczuł się źle po wódce... Ale ile oni wypili?

– Dajcie mi jego akta – powiedział nagle generał nie otwierając oczu. – I oficera informacji.

Krycki nie zrozumiał. – Czyje akta?

– No, Olewicza – to nazwisko Weklar wyszeptał z trudem – i gdzie on jest?

Cieniutki major – szef sztabu, meldował się wrzaskliwie, jakby wydawał komendę. Położył przed generałem zielonkawą teczkę, wygładził ją delikatnie i odstaąpił parę kroków czekając w pozycji zasadniczej na dalsze rozkazy. Teraz dopiero Weklar otworzył oczy: ciągle jeszcze nie tracił nadziei, przecież Olewicz to nazwisko dość częste, wyciągnął rękę po teczkę, wahał się chwilę, a gdy ją już podnosił, na biurko wypadła fotografia. Złe zdjęcie legitymacyjne, twarz chłopca w mundurze na szarym pokropkowanym tle, twarz nieco pucołowata, dziecinna, zupełnie zresztą nieznaną. Ale to tylko pierwsze wrażenie, wystarczy spojrzeć uważnie, aby go poznać natychmiast. Nieco skośne oczy Marty, zarys warg też jej, przed dziesięcioma laty mówili, że podobny do ojca, nieprawda, portret matki – nawet zbyt dokładny. Podobieństwo tak ostro wynikające z fotografii od razu wykluczyło obojętność w stosunku do losów tego chłopca, Weklar musiał teraz przeczytać ankietę i życiorys, musiał choć wolałby zabrać te papiery, odłożyć lekturę na później, nie czuć na sobie spojrzeń oficerów. Nie podnosił głowy, literki skakały przed oczyma, ankietowe pytania wydawały się nagle niesłychanie naiwne. Imię ojca – Roman, więc nic poza tym o nim nie wiedział, nie znał nawet nazwiska, oczywiście – tak należało, ale nigdy przedtem nie sprawiało bólu. Imię matki – Marta, czy posiadali majątek – nie wiem, zawód – nie wiem, adres – nie wiem. Armia Krajowa – ile miał lat, gdy wstępował do AK, piętnaście, szesnaście? Meldował się oficer

informacji. Weklar podniósł nareszcie wzrok, kazał oficerom usiąść. Nieznacznie, tak żeby nie spostrzegli, schował do kieszeni fotografię Stefana.

Porucznik Leoniak mówił o tej sprawie – dość przecie zwyczajnej – bezbarwnie, bez cienia zakłopotania lub nieśmiałości. Weklarowi wydał się wyjątkowo niesympatyczny, niski, niezgrabny, twarz sucha, pozbawiona uśmiechu, jakby raz na zawsze zastygła w jednym wyrazie.

– Co wyście robili podczas okupacji? – przerwał nagle i już po chwili zawstydziła go zbyteczność tego pytania.

Leoniak zdziwił się. – Partyzant, potem zrzutek spadochronowy – powiedział.

– Pytam – rzekł generał – bo chcę wiedzieć, czy rozumiecie sytuację w kraju, czyście ją odczuli na własnej skórze.

– Chyba rozumiem, obywatelu generale. – I powrócił do sprawy Olewicza. – Podejrzany o przygotowanie do dezercji, o namawianie do zdrady – wyjaśnił.

– Jego rola podczas napadu na Gniazdowo również była niejasna.

– Dowody?

Leoniak wzruszył ramionami.

– Dowody? Obywatel generał poleci niewątpliwie, jeśli go ta sprawa interesuje, zwierzchnikom Leoniaka przedstawić odpowiednie materiały. Olewicz został odesłany do dywizji, dywizja przekazała go armii. Jest zeznanie.

– Przesłuchiwaliście go?

– Przesłuchiwałem.

– I co?

– To wróg, obywatelu generale, nic nie chciał mówić. A ja miałem mało czasu.

Weklar umilkł. Znowu wydawało się, że odpoczywa albo też, że ta sprawa przestała go nagle interesować. Oficerowie czekali, Leoniak wyciągnął papierosa, ale przypomniał sobie, że nie należy palić bez zezwolenia, a nie mógł się zdecydować na zapytanie. Wreszcie Weklar wstał i skończył zapinanie płaszcza.

– Dziękuję wam, zobaczymy się niedługo. – Z trudem wciągnął rękawiczki, dłonie miał wilgotne.

# OBOJĘTNOŚĆ

Duża lampa naftowa stoi na biurku. W pokoju panuje półmrok, tylko twarz dowódcy jest oświetlona, generał mruży oczy, wydaje się zmęczony, ale nie przerywa Weklarowi. Weklar umie odczytać każdy gest dowódcy armii, znają się przecie od wielu lat, teraz podnosi rękę, przesuwa dłonią po czole, opuszcza powieki – nieomylny znak niezadowolenia, nie chce się zdradzić, pochyla głowę jeszcze niżej nad biurkiem, widać tylko jego nagą czaszkę. Za chwilę spojrzy prosto w oczy, gwałtownie przerwie, aby potem natychmiast usunąć napięcie tak łagodnie i zręcznie, jakby nigdy nie było powodów do gniewu. Weklarowi trudno mówić, należało krótko, a on wyciska jak cytrynę każde następne zdanie, zamiast wyjaśniać, gmatwa sprawę. Mówi właściwie o wątpliwościach, w zamierzeniu pragnął dowódcy wyznaczyć wszystko, tak zresztą bywało na ogół, że spowiadał się, choć nie cierpiał spowiedzi, ten zwyczaj wywalania na wierzch wnętrza uważał zawsze za okropny. Ale dowódca umiał słuchać i świadomość, że jest rozumiany, wyzwalała w Weklarze chęć mówienia. Widocznie nie zdążył jednak uporządkować siebie, przemyśleć, chwycił tylko strzepy i wikłał się coraz bardziej.

Pograżyła go ostatecznie kwestia odpowiedzialności, jakby była akurat najważniejsza, rozpędził się, już wykladał przedstawiając racje polityczne i dopiero po wielu minutach dostrzegł, że są teraz nieistotne.

– Rozumiesz – tłumaczył zwracając się do dowódcy po imieniu, choć na ogół, może nawet zbyt sztywno przestrzegał dystansu – trzeba świadomie ponieść współodpowiedzialność. O tym właśnie myślałem, żeby to, co dla mnie szczególnie bolesne, jakoś pojąć.

Mój syn, jego los nie tylko nie jest mi obojętny, ale ja zań w jakiś sposób ponoszę odpowiedzialność i gdy my bierzemy władzę w kraju, bierzemy też niejako na swoje barki, chcąc nie chcąc, wszystko, co się z nimi stało. – Teraz ta myśl wydała mu się nowa, schemat polityczny, sztywne kryteria ocen – niemal śmieszne, gdy należało je odnieść do własnego syna, który zapewne nic nie rozumiał i wyczyniał głupstwa, głowę by zresztą dał za to, że nic poważanego. – Nie pamiętaliśmy o tym – powiedział. Myślał, że nie pamiętał o Stefanie i nigdy nie umiał wyobrazić sobie jego odrębnego życia, z którym przecież był związany.

Dowódca armii podniósł wzrok, ale jeszcze milczał, w spojrzeniu czaił się już uśmiech, może gniew minął albo po prostu Weklar źle odczytał gesty generała.

– Przeleźliśmy przez szkołę trudności – ciągnął. Nic to zdanie nie znaczyło, ale było

jakoś potrzebne.

– Rezygnacja z więzów czy obowiązków rodzinnych była koniecznością, nie mogliśmy zresztą przywiązywać do nich większej wagi. Dopiero teraz powracają, gdy jesteśmy już w ojczyźnie, to rozumią. Ale już w sytuacji odmiennej. Oni przecież przebyli piekło, któremu nie mogliśmy zapobiec, na ich kształtowanie nie mieliśmy wpływu; jeśli zaczynają strzelać, otwieramy ogień, dialogu nie ma, nikt nie słucha argumentów. – Przerwał, dopiero, po chwili dotarła do niego cisza, dowódca czekał, światło objęło całą twarz generała, wyluskując zmęczenie z głębokich bruzd pod oczyma.

A czy istnieje jeszcze możliwość rozmowy ze Stefanem? Wprowadzą go do Weklara, obcy człowiek siądzie naprzeciwko biurka, nic ich nie łączy – nawet wspomnienia z dzieciństwa, ten chłopiec nie ma wspomnień z dzieciństwa, zna tylko imię ojca, a twarz? Chyba nie pamięta twarzy.

Jak postąpiłaby Marta? Czy należy ją zawiadomić natychmiast? Wydało się Weklarowi, że odnalezienie Stefana niweczy ostatnią więź między nimi. Przypomniał sobie fotografię, wydobył ją z kieszeni, po, kazał dowódcy.

Generał oglądał długo, potem położył ostrożnie na biurku poza zasięgiem światła lampy.

– Nie wiesz jeszcze – powiedział Weklar – że rozstałem się z żoną. W dniu, w którym ją odnalazłem. Nie rozumiem – rozłożył ręce – może rzeczywiście szcerstwiałem, jak ona powiada. Dlaczego tak się stało?

– Skończyłeś? – zapytał wreszcie dowódca.

– Chyba tak. O czym jeszcze gadać?

Generał wyciągnął z biurka flaszkę i szklanki. – Ty rzeczywiście szcerstwiałeś, Weklar – powiedział nalewając wódkę. Zamyślił się – Nie, to złe słowo. Ja mówiłem już o tej chorobie. Człowiek, dobry, porządny człowiek obojętnieje. I na innych, i na siebie samego.

Urwał, a potem zaczął już innym tonem, z gniewem, oczy mu błyszczały, odsunął lampę, jakby przeszkadzała na biurku.

– Bo jak to ty, Weklar, przychodzisz do przyjaciela, do dowódcy, spotkało cię szczęście, po dziesięciu latach odnalazłeś syna, zważyło się nieszczęście, bo syn siedzi, a ty uogólniasz, politykujesz, karmisz mnie filozofią. Nie umiesz czuć jak człowiek! Nie wolno tobie, komuniście, dowódcy, myśleć zwyczajnie, po ludzku? Chowasz własne cierpienie, wstydzisz się samego siebie, jakbyś w sercu pod spodem zobaczył obcą twarz.

– A cóż ty chciałeś – wybuchnął Weklar – powiedziałem ci, co czuję naprawdę!

Dowódca machnął ręką. – Naprawdę? Nie wiesz, co czujesz, albo udajesz.

Powiedziałbyś zwyczajnie: „masz, ze względu na mnie, wydać polecenie, żeby sprawę mojego syna rozpatrzono natychmiast i żeby wzięto wszystko pod uwagę”. A ty nawet nie jesteś pewien, czy należy go się wyrzec, czy należy go bronić. Zawiadomiłeś matkę? Nie. Przecież przyjechałaby tutaj, znam ją z Lublina, to bojowa kobieta, wydarłaby go nawet pułkowi informacji, gdyby odważył się przeszkodzić. Ona bez przerwy płonie. A ty co? Weklar milczał. Uderzała go trafność tego „sam jeszcze nie wiesz”, poczuł się zubożony, jakby go pozbawiono ważnej wewnętrznej treści.

– No, wybacz – złagodniał dowódca – może gadałem niepotrzebnie. Ja też jestem szczerstwiały. My wszyscy...

Podobnie mówił Hipolit, dlaczego przypomniał się teraz Weklarowi Hipolit? Rok może 30 czy 31, mały pokój na Solcu, Hipolit przemierzał go tam i z powrotem niby celę więzienną. „Zachować świeżość reakcji, zachować ludzkość reakcji. Czy tak można powiedzieć, czy to oddaje istotę rzeczy?” W roku 1937 Hipolit okazał się zdrajcą... Czy wówczas?

– Trzeba – mówił tymczasem dowódca – zabrać się teraz do rzeczy. Zaraz ustalimy, co jest z tym Stefanem. – Uniósł słuchawkę telefonu. – Już od dwudziestu minut – dodał z wyrzutem – mogłeś wiedzieć...

Szef informacji, tęgi pułkownik o pucółowatej, dobroduszej twarzy, usiadł ostrożnie na brzeжку krzesła, zerkając co chwila w stronę Weklara.

– Przyniosłeś akta Olewicza?

– Tak toczno, towarzysz generał.

– Mówiłem ci: naucz się po polsku, weź nauczyciela. No, melduj.

Relacja pułkownika była krótka i nieco nerwowa; szef informacji mieszał się i jękał, co na ogół rzadko mu się zdarzało. Raz tylko zdążono – dowódca spojrział ze zdumieniem – przesłuchać tego Olewicza. No tak, było zeznanie konfidenta, że on brał udział w przygotowaniu manifestacji przeciwko przysiędze. Ale Olewicz się nie przyznał.

– Na jakiej podstawie aresztowano?

– Właśnie zeznanie konfidenta.

– Nic więcej? Ty powiedz wszystko, nie chowaj mi żadnych akt pod kocem.

– Nic więcej – rzekł pułkownik. – Może byśmy go nawet puścili, tak mi meldowano, ale teraz sytuacja się zmieniła.

– A to dlaczego?



– Bo, towarzyszu generał – szef informacji uniósł swą ciężką postać z krzesła – ten Olewicz mi uciekł...

– Co takiego? Uciekł wam aresztowany... – Twarz dowódcy poczerwieniała, na czole ukazały się grube pręgi żył.

– Idzie śledztwo. Prowadzono go akurat na przesłuchanie, żołnierz go prowadził i ciężarówka wjechała na furmankę, krzyk, tłum się zebrał, a ten skoczył w pole. Pościg poszedł... i wrócił... Chyba miał coś więcej na sumieniu ten Olewicz, boby nie uciekał.

Generał zerwał się z krzesła.

– Ach, wy – rzekł stojąc przed pułkownikiem wyprężonym w postawie zasadniczej – tego, kogo trzeba, pilnować nie umiecie. – Żuł w ustach przekleństwa. – Żeby mi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, czterdziestu ośmiu godzin, Olewicz był tu, cały, w moim gabinecie.

Weklar oparł się mocno o poręcz krzesła i przymknął oczy. Znowu wypoczywał, opanowało go uczucie niepojętej ulgi.

# CELNY STRZAŁ

## 1

Ćwiczebny marsz ubezpieczony kończył się w Łęcku, drogę powrotną wyznaczył Kolski przez Borowicę. Gdy dotarli do Łęcka, zarządził półgodzinną przerwę, ludzie byli zmęczeni, leżeli na polu, w którym buty grzęzły do kostek, zostawił kompanię pod dowództwem Furana, a sam ruszył naprzód kamienistą szosą pnącą się na wzgórze, skąd widać już było dachy miasteczka.

– Poczekasz na nas w Borowicy? – spytał Leksz z wyraźną urazą w głosie. Zamierzał jakoś wykorzystać wypoczynek, przygotował gawędę z żołnierzami i chciał, żeby posłuchał dowódca kompanii. Chodziło mu głównie o żale na temat butów, ludzie będą gadać, bo połowa chodzi bez zelówek, a marsz solidnie daje się we znaki. Kolski machnął ręką. Cóż można na to poradzić, meldował tysiąc razy, kwatermistrzostwo nie ma żadnych zapasów, a planu zajęć nie będą z tego powodu zmieniać. Pójdą na front – to buty się znajdują.

Mało miał czasu, szedł szybko, nie czuł zresztą zmęczenia, zimny wiatr uderzał po twarzy, przenikał przez płaszcz i mundur, ze wzgórza zobaczył Borowicę i od razu pomyślał o Ewie. Dręczyła go tęsknota, nie widzieli się od tamtej nocy, gdy zostawił ją płaczącą. Pogrzeb Kotwy, dezercja, przysięga, nie starczyło czasu na wycieczkę do miasteczka. Czas trzeba było kraść, a może już za parę dni będą go dzieliły od niej setki kilometrów. Ile miesięcy potrwa jeszcze wojna, co będzie POTEEM?

Długo stukał do Kraczyńskich. Wyjrzała wreszcie matka, w szlafroku, głowa przewiązana ręcznikiem, na widok Kolskiego usiłowała się uśmiechnąć.

– Nie ma Ewy, ale może Edward wejdzie, poczeka, wypije herbaty. – Nie bardzo wiedziała, czy należy mówić mu po imieniu. – Ewa jest u Adama, co ma dziewczyna robić, chodzi do znajomych, zbiorą się, pogadają, czasem potańczą, przecie nie grzech. Powinna się uczyć, taka zdolna, ale co można poradzić? Kolski z przerażeniem spojrział na zegarek i pobiegł do Adama.

Znał ten dom, przychodził tu niegdyś często, nieomal codziennie, mała jednopiętrowa kamieniczka cofnięta nieco od ulicy, podwórko, drewniana stróżówka przylepiona do murowanego garażu, który' wystawił właściciel apteki, dalej ogród graniczący już z polami –

znakomity teren zabaw. Wzdłuż drewnianego płotu krzaki białego bzu, matka Adama, jeśli była w dobrym humorze, zezwalała na zerwanie paru gałązek. Ewa kładła je potem do wazonika, który stał na biurczku w jej pokoju pomiędzy zeszytami i dużym pudełkiem w zakopiańskim stylu zamykanym na klucz. Kolski wiedział, że chowała w nim fotografie, wiersze, tudzież listy miłosne, zapewne także te, które on pisywał. Nigdy nie zajrzał do pudełeczka, a przecież ogromnie męczyła go ciekawość...

Rodzice Adama mieszkali na parterze, z ciemnej sionki wchodziło się przez kuchnię do dwóch niewielkich pokoiów oddzielonych szklanymi drzwiami. Mieściło się tu niegdyś jakieś biuro, bo drugi pokój, graniczący już z mieszkaniem aptekarza, miał na oknie solidną żelazną kratę. Drzwi prowadzące do pana magistra zastawiono drewnianą szafą, kiedyś udało się chłopcom odsunąć ten mebel. Przez dziurkę od klucza zobaczyli sypialnię: aptekarzowa przed lustrem, ' dużym ołówkiem robiła sobie brwi. Ach jak pięknie wyglądał potem Adam z brwiami wymalowanymi czerwonym atramentem!

Zapukał. Drzwi od sionki były uchylone, wszedł w ciemność, dobiegły go strzępy rozmowy, Ewa opowiadała z ożywieniem, ktoś jej przerwał, ktoś się roześmiał. Kolski zapukał raz jeszcze do kuchni, nacisnął klamkę, drzwi nie były zamknięte na klucz, gdy mrużąc oczy, stanął na progu, zobaczył najpierw Ewę, siedziała na kanapce pod oknem paląc papierosa. Zauważyła go pierwsza... nie! Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, klapnęły szklane drzwi. Człowieka, który zatrzasnął je za sobą, Kolski widział przez ułamek sekundy, zdążył dojrzeć tylko twarz, twarz wykrzywioną przerażeniem i ogoloną czaszkę. Nie mógł się mylić! To był dezterter Benda!

Wstali wszyscy, Edward słyszał tylko własne kroki, potem zagłuszył je turkot furmanią.

Ewa, Adam, Andrzej, Stanisław, jakaś dziewczyna w czarnej sukience, której nigdy nie widział, szedł prosto do szklanych drzwi niby przez pusty pokój. Pięć kroków, automatycznie przerzucił kaburę na brzuch, myślał tylko: czy zdążę odbezpieczyć? Benda mógł mieć broń, jest gotowy, nie może umknąć, pamiętał o zakratowanym oknie.

Ale Adam był szybszy, siedział zresztą najbliżej szklanych drzwi, zasłonił je sobą, wparł się w nie mocno, ręce – w kieszeniach spodni. Kolski zawahał się, wahał się sekundę, ale to wystarczyło. Twarz Adama napięta, zmieniła się nagle, jakby zdarto z niej maskę, po chwili była zwyczajna, nawet przyjazna, tylko zdziwiona.

– Miło, że przyszedłeś. Proszę, usiądź. – Był wyższy od Edwarda, całą postacią pochylał się nad nim nie wyjmując rąk z kieszeni. Za drzwiami stał zapewne tamten, Kolski sięgnął po pistolet, opanowała go wściekłość tak ostra, że nie panował nad ruchami. Wtedy

tuż obok siebie zobaczył Ewę – jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej obecności. Nigdy nie brała udziału w ich zabawach, nie lubiła chłopięcego krzyku i blaszanych pukawek.

A tamci dwaj stali już też za nim, słyszał szybkie oddechy Andrzeja i Stanisława.

– Po co ci ta pukawka – powiedział Stanisław – nie znasz nas?

Nie znał ich. Zdał sobie z tego sprawę i poczuł mocne uderzenie strachu. Trzech obcych ludzi, ich twarze widziane niby pierwszy raz w życiu, wystarczy jeden ruch, żeby rzucili się na niego, sam był zresztą winien, należało od razu wyciągnąć broń.

– Tam nikogo nie ma – powiedział spokojnie Adam.

– Zdawało ci się. Tam nikogo nie ma, koniec, finis, zapomnieliśmy. Jesteś u przyjaciół.

Andrzej położył mu rękę na ramieniu. – Przykro by nam było, bracie, gdyby z tobą jak z żandarmem... Ewo, powiedz mu.

Wargi drżały jej lekko, na policzkach osiadły łzy, których nie starała się ukrywać. – Edwardzie, kochany, uwierz nam, tam nikogo nie ma...

– A jeśli nawet – krzyknął nagle Adam – jeśli nawet! To co, chcesz nas... Ewę, mnie, człowieku! – Prężył się jak do skoku, był znowu inny, uśmiechnięta maska spłynęła z twarzy. Kolski patrzył na Ewę, nie na nich, na Ewę stojącą z rękami opuszczonymi wzdłuż sukni jak dziewczynka schwyta na kłamstwie. Był osaczony, ale nie zamierzał się poddawać. Szybciej, niż pomyślał, pchnął Andrzeja, skoczył do okna, nareszcie wyszarpnął pistolet. Odbezpieczyć! Teraz im pokaże! Adam runął na niego, szamotali się chwilę w milczeniu, dopóki nie podbiegli tamci:

– Nie chcę! – krzyczała Ewa. – Nie chcę! Zostawcie go!

Nagle zastygli, stali obok Edwarda dysząc ciężko. Z ulicy buchnęła piosenka, tupot nóg zdawał się rozsadzać pokój.

*Za górami, za lasami...*

Przez Borowicę wracała kompania Kolskiego, Edward uderzył kolbą w okno i zobaczył idącego chodnikiem Furana...

Rozkazy wykonano sprawnie, jeden pluton zamykał ulicę, dwa otaczały dom, Kolski, Leksz, Sęk z dwoma ludźmi dokonywali rewizji.

– Nikomu nie wolno opuszczać mieszkania – powiedział Kolski obojętnie. Za nim stali uzbrojeni ludzie. Wszedł pierwszy do pokoju za szklanymi drzwiami, trzymając odbezpieczony pistolet. Okno zakratowane jak dawniej, pokój pusty, nic nie wskazywało na obecność Bendy. Drzwi od aptekarzystwa, nie zasłonięte już szafą, zamknięte na klucz... Zastukał mocno, żadnej odpowiedzi.

– Z drugiej strony – polecił Sękowi. Wrócili do kuchni.

– Słuchaj – szepnął Leksz – a czy ty jesteś pewien? To straszna granda.

Nie odpowiedział, zapadał już mrok, w kuchni było niemal ciemno. Na składanym łóżku siedziała matka Adama, jeszcze w płaszczu. Kolski widział ją po raz pierwszy od tamtych czasów. Włosy miała zupełnie białe, twarz pomarszczoną i suchą, tylko niebieskie oczy pozostały młode.

– Co ty robisz Edwardzie? – powiedziała. – Co ty robisz, na miłość boską?

Zawahał się jak mały chłopiec schwytyany na gorącym uczynku łobuzerki. Gorycz popłynęła do gardła. Tłumaczyć? Co właściwie tłumaczyć, jeśli wszystko aż nazbyt oczywiste.

Sęk zrewidował mieszkanie aptekarzystwa, nic nie znalazł, magister, który również wrócił dopiero z miasta, wyraził gniew i oburzenie, protestował, oświadczył, że będzie protestować u władz. Na pierwszym piętrze mieszkało małżeństwo: emerytowani nauczyciele. Byli przerażeni, pani otwierała szafy, a gdy wyciągała spod tapczana walizy wypełnione starymi zeszytami szkolnymi, Sęk uciekł. W mieszkaniu, oprócz nich, nikogo nie było.

Pozostał jeszcze strych. Ale jakim cudem Benda mógłby dostać się na strych? Jeśli przeszedł przez pokoje aptekarzystwa, to zdążył zwać z domu, zmowa musiałaby obejmować wszystkich lokatorów... Widocznie wszystkich. Kolski pomyślał o nich z nienawiścią.

Przypomniał sobie o garażu, był to kiedyś teren zakazany, aptekarski steyer, model z lat dwudziestych, ledwo w nim się mieścił. Adam dopasował klucz do kłódki, włączyli tam po kryjomu, by posiedzieć na miękkich poduszkach i potrzymać kierownicę. Postanowił pójść do garażu, na strych posłał Sęka.

Była już noc, duży sierp księżycy oświetlał podwórko migotliwym blaskiem. Furan i Kazak stali obok furtki prowadzącej do ogrodu.

– Nie ma skurwysyna – powiedział Kazak. Automat trzymał w ręku, obserwując uważnie wyjścia z domu. – Szkoda, że pan porucznik nie zdążył, pewno już zwał. Rozumiem – pokiwał głową, zawahał się chwileczkę – zawsze to znajomi.

Furan milczał, na jego twarzy – ani śladu napięcia, otworzył papierośnicę i podsunął nadchodzącemu dowódcy kompanii. Kolski z przyjemnością wciągnął dym, zobojętniał nagle, nawet nie myślał o Ewie, czuł się tylko piesko zmęczony. Spojrzał w okna, płonęły lampy naftowe, na piętrze spuszczone zasłony, z ulicy dochodziły, głosy żołnierzy.

Nagle zeszywniał, sięgnął po broń, Kazak był jednak szybszy, już biegł, ogromnymi susami przecinał podwórze.

– Stać! – wrzeszczał. – Stać! Strzelam!

Zobaczyli tamtego w ostatniej chwili, ześliznął się zapewne z okna na parterze, dobiegał do garażu, niski płotek oddzielał w tym miejscu podwórze od ogrodu. Chciał skoczyć, ale zahaczył marynarką, stracił parę sekund, gdy dotarli do płotu, przemykał się już wśród klombów w kierunku krzaków. Dzieliło ich chyba dwadzieścia pięć kroków.

Kazak strzelił pierwszy, Kolski nie celując pociągnął za cyngiel tetenki, byli we dwóch, Furan znikł, po chwili – wracał już z paroma żołnierzami. Podwórze napełniło się gwarem, zabłysły latarki elektryczne. Pobiegli do ogrodu.

Leżał twarzą na ziemi, gdy Kazak go odwrócił, żył jeszcze, w szeroko otwartych oczach nie było ani strachu, ani nienawiści, tylko zdziwienie niemal dziecięce.

– Kto to jest? – zapytał Kazak. Przed chwilą głowę by dał, że strzelał do Bendy.

Edward nie odpowiedział. Przymknął oczy, nie mógł patrzeć na twarz Adama, on i Kotwa jakoś byli do siebie podobni, pocił się, koszula i mundur przywarły do ciała.

– Kto to jest? – zapytał Furan.

Otoczyli ich żołnierze, nad Adamem, który już nie widział, pochylali się ludzie, oglądali jego twarz, ktoś rozerwał koszulę i poszukał serca.

. – Chyba nie żyje...

– Może dezterter z innego pułku?

– Dlaczego uciekał? – krzyczał Kazak potrząsając automatem. – Dlaczego uciekał? – I dodał: – Musiał mieć, widać, coś na sumieniu. Nie może być inaczej.

Kolski schował pistolet do kabury. Dwa razy strzeliłem, myślał. Dwa razy. Dwadzieścia metrów, przecież nie celowałem. Bez znaczenia.

Księżyc wylazł już wysoko, wszystko widać było dokładnie, i dom, i park, i drzewa pozbawione liści, i ciało Adama skurczone pośrodku klombu niedaleko krzaków, za którymi byłby już bezpieczny. Jeszcze parę kroków...

– Widzisz, Kazak – powiedział ktoś z tyłu – zaczęła się twoja wojna. Celny strzał jak na początek...

## 2

Ciało Adama wnieśli do pokoju i położyli na kanapie. Matka klęczała przy nim, twarz ukryła w dłoniach. Kolski widział tylko plecy i białe włosy, które odgarnęła z czoła. Tamci stali obok: Andrzej, Stanisław, Ewa, nieruchomi, obcy, jakby w tym, co się zdarzyło, nie brali

żadnego udziału. Mogli teraz okazywać pogardę, okazywali pogardę, ale Edward zobojętniał, myślał tylko o matce Adama, która wstanie z klęczek i zobaczy Edwarda w drzwiach. Mógłby odejść, ale nie odchodził, żołnierze wchodzili do kuchni, słyszał ich głosy, należało zebrać kompanię, akcja była skończona, żadnych rezultatów nie osiągnięto. Tak będzie w meldunku. Szamotał się ze sobą, chciał przecież rzucić im w twarz, tym, którzy ukrywali dezertera i pozwolili Adamowi uciekać, słowa, jakie należało powiedzieć, aby życie odzyskało sens. Ale milczał, poczuł się nagle zagubiony jak bez kompasu podczas marszu.

– Czy ktoś poszedł po lekarza?

– Poszli po lekarza.

Ludzie strzelają bez uprzedzenia. Strzelają bez uprzedzenia, bo jest wojna, tysiące giną z rąk wroga, setki od kul polskich na ziemi już wyzwolonej. Tak jak Kotwa.

Matka wstała z klęczek. Szła niezdarnie ku drzwiom dotykając rękoma ściany, jakby straciła wzrok. Kolski cofnął się, ale ona go odnalazła, milczała, patrzyła tylko, oczy odzyskały zdolność widzenia, wargi drgały, dłonią przesunęła po czole, jakby chciała coś sobie przypomnieć.

– On go zabił z zazdrości! – krzyknął nagle Andrzej i cisza prysła, matka wybuchnęła płaczem, a wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Kolski poczuł, jak znowu wzbiera w nim nienawiść.

– Odprowadzić do tamtego pokoju – polecił Furanowi wskazując Ewę, Andrzeja, Stanisława. Poszli bez oporu.

Nareszcie zjawił się lekarz, a z nim szef miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa, wysoki mężczyzna w skórzanym płaszczu przerobionym z niemieckiego. Kolskiemu był potrzebny, oczywiście sprawę przejmie informacja, ale na miejscu, zaraz konieczne jest przeprowadzenie śledztwa.

– Informacja – powiedział szef przeciągając sylaby.

– Wy dowodzicie?

– Ja.

Wtrącił się Leksz. Milczący dotychczas, odzyskał wreszcie zdolność mówienia. Edward wdzięczny mu był za to zastępstwo. Wyjaśniał krótko: w tym domu ukrywano dezertera, rewizja nie dała rezultatów, człowiek zastrzelony uciekał, nie odpowiadał na wezwania, widocznie obawiał się odpowiedzialności.

– Tak, tak – mruzczał szef. – Ukrywano dezertera u mnie pod bokiem, paręset metrów od Urzędu, u ludzi sprawdzonych, stryj tego chłopca pracuje z nami, dziwne rzeczy... – A u was nie od dziś rozmaite dziwne rzeczy dzieją się dwa kroki od Urzędu.

Patrzył na nich nieufnie, przeszedł po pokoju, pochylił się nad Adamem.

– Dwie kule w okolicy serca – oświadczył lekarz. – Śmierć niemal natychmiastowa.

– Będzie śledztwo – powiedział wreszcie szef. – Ci tutaj zostaną zatrzymani. Do wyjaśnienia.

### 3

Jak szybko rozchodzą się wieści po miasteczku, wystarczyło zamknąć oczy, by zobaczyć twarze. Kolski sądził, że nie zapomni ich do końca życia. Wyłączyły z ciemności, osaczały plutony, szli niby wzdłuż szpaleru, milczącego i nieruchomego, ulica żyła, choć wszystkie okna były czarne, a domy wydawały się puste.

Twarz Ewy, gdy wychodził, była chłodna i obca, w kuchni siedziały nieznajome baby, polecił nikogo nie puszczać do domu, ale zdołały się przedrzeć. Szły za nim ich spojrzenia. Gdy był w sionce, usłyszał czyjś stłumiony szept: „Wojsko Polskie... „ Tymi słowami witano jeszcze niedawno żołnierzy w Lublinie. Teraz dławiała go ich gorycz, ich złość, nie powinien był wracać do Borowicy, nie chciał.

Przed paroma tygodniami kilkaset metrów od tego domu zginął Brzecki. Gdyby kompania Kolskiego przyszła parę minut później... No cóż, zwyczajna sprawa, nikogo nie oburza poległy żołnierz.

Adam nie miał broni, przynajmniej nie znaleziono jej przy nim, ale wiedział przecież, czym ryzykuje skacząc z okna...

Nie rozmawiali podczas marszu, nawet Kazak nie odezwał się ani razu. Może także zwątpił w obecność dezertera w domu, może w głębi serca uważa, że Kolski powinien był milczeć.

Nie, nie należało milczeć. A później należało im wszystko wygarnąć, nie zważając na śmierć Adama. On zaś sterczał potulnie przy drzwiach, jakby rzeczywiście był winien. Pokornie przyjmował pogardliwe spojrzenia, znosił dramatyczne gesty, nikogo nie umiał osadzić! Miamla!

Popatrzył w ciemność, noce są ciemne, a świeca właśnie zgasła, nawet okna nie widać. Trzeba pójść spać, łóżko Kotwy jest puste, gdyby żył Olek, może by umiał wytłumaczyć. Kolski potarł zapałkę, oświetliła pustą izbę, powiedział głośno: nie rozumiem. Skąd to uczucie bezbronności wobec ludzi, którzy siedzą spokojnie w domach, nie idą na



front, ukrywają dezertków? Wyjaśnić! Dobrze sobie. Cóż wyjaśnić, kiedy wszystko jest oczywiste.

Widziałem Bendę. Nie ulega wątpliwości, że widziałem Bendę. Należało zostawić go spokojnie za szklanymi drzwiami i usiąść na kanapie przy Ewie? Czy cena, którą zapłaciłem, była zbyt wysoka?

Noc trwała długo. Rano Kolski nie musi wstawać, by iść do kompanii, ma po raz pierwszy od wielu miesięcy wolny czas, mnóstwo wolnego czasu. Major Świętowiec po wysłuchaniu meldunku zareagował zupełnie niespodziewanie, zawiesił go w czynnościach, aż do zakończenia śledztwa.

– Czy jesteście zupełnie pewni, żeście widzieli Bendę?

– Przyszliście do tego mieszkania, aby odwiedzić narzeczoną. Zabity był waszym znajomym i znajomym narzeczonej? Nawet przyjacielem? Jakie były wasze wzajemne stosunki?

Major, zgarbiony, oczy czerwone od niewyspania, notował sobie coś na kartce.

– Czy, gdy zaczynaliście akcję, byliście przekonani, że Benda jest jeszcze w domu?

– Działaliście w miejscowości, w której jest Komenda miasta, RKU, milicja, czy zdawaliście sobie z tego sprawę? Benda i tak miał dość czasu, aby uciec, dlaczego nie zawiadomiliście władz, a rewizję rozpoczęliście na własną rękę?

– Czy wzięliście pod uwagę polityczne skutki waszego postępowania? W trudnej sytuacji, w małym miasteczku, w którym władza ludowa zaczęła się wczoraj, w którym umiar i takt są konieczne. Ciągłe, do diabła, histeria, ciągle ta histeria, nie chcecie patrzeć dalej własnego nosa, utrudniacie robotę młodej władzy, pochodzicie stąd, a nie wiecie, co myślą ludzie.

– A co myślą ludzie, obywatelu majorze?

– Bez ironii, poruczniku Kolski. Długo byliście poza krajem, jesteście młodzi, trzeba się uczyć i osobiste antypatie...

– Nie było żadnych osobistych antypatii...

– Ja was nie oskarżam. Ja chcę wam wierzyć, ale skutki waszych decyzji są złe, bardzo złe. Informowano mnie.

– A co miałem robić? Puścić dezertera, wyjść sobie grzecznie z domu i udać się na posterunek, a może wyjaśnić i przekonywać? Co miałem robić, obywatelu majorze?

– Nie wiem. Wiem, że dezertera nie złapaliście, zabiliście człowieka i roztrzęśliście miasteczko.

– A jak mordowali Brzeckiego, to nie roztrzęśli miasteczka?

Major milczał notując w notesie. – Będę was musiał zawiesić – powiedział. – Uzyskałem już zgodę dowódcy, rzecz wyjaśni śledztwo.

– Mnie tam wszystko jedno, obywatelu majorze. Chciałbym na front, wiem jak to ze śledztwem, będzie trwać tygodniami.

Ale śledztwo prowadzono energicznie.

– Chcę – oświadczył pułkownik Krycki – żeby to szybko załatwić. Leoniak ma osobiście przesłuchiwać tych ludzi. Ja tam wierzę mojemu oficerowi.

To samo powtórzył w obecności Świętowca. W gabinecie pułkownika siedział jeszcze Goldweld, ale i on nie ruszył w sukurs dowódcy batalionu.

– Pogadajmy – rzekł Krycki i majora zaniepokoił poważny, nawet surowy ton pułkownika. – Broniliście Olewicza i jaki macie rezultat: dezercja tych właśnie żołnierzy, z którymi tamten rozmawiał. Tak czy nie?

– Tak?

– A teraz oświadczacie, że Kolski jest winien. Tamtego traktowaliście pobłaźliwie, a tego z całą surowością.

– Bo od Kolskiego można wymagać politycznego rozeznania, a zachował się jak histeryczka.

– Fakty o tym nie świadczą. Gdyby złapał dezertera, pochwała w rozkazie. Otoczył dom, wydał polecenia, chłopak gorący, prędko, co niby miał robić?

Co niby miał robić? Jeśli, oczywiście, widział Bendę... Ale dlaczego właśnie on, Świętowiec, ma wątpliwość w prawdomówność porucznika? Major poczuł dotkliwe szarpnięcie w okolicach serca. Powraca, trzeba mieć się na baczności. Bzdura!

„Ufaliście Olewiczowi!” Jak im wytłumaczyć, że teraz chodzi przecież o coś innego. Kolski zasłużył na zaufanie, nikt mu tego nie odbiera. Ale on, Świętowiec, chciał ich nauczyć, tych młodych chłopaków z batalionu, aby nie działali pochopnie, aby myśleli o rezultatach, o ludziach, którzy patrzą na nich niepewni ciągle i wewnętrznie skłóceni. Nie nauczył. A może nie miał racji? A może naprawdę wyrządza krzywdę Kolskiemu? Uczciwy chłopak... i szarpie się gryzie, ale powinien przecież zrozumieć. Co zrozumieć? Że w tym przedziwnym roku czterdziestym czwartym bywają sytuacje...

Jak to wytłumaczyć dowódcy?

– Pomyślcie o skutkach – mówił. – Najpierw o tych z Borowicy, a później w pułku. Miasteczko się trzęsie, ludzie są oburzeni. Złaknieni sprawiedliwości z trudem nabierają zaufania do nowego czasu, a my nie chcemy rozpalać nienawiści. Postępowanie Kolskiego było w gruncie rzeczy samowolą, histerią...

Założmy, że wszyscy mieszkańcy domu kłamią, że istniał zorganizowany spisek. Kolski dokonał rewizji, nic nie odkrył, w tym momencie powinien przerwać akcję. Jeśli nie znalazł dezertera w sąsiednim pokoju, to znaczy, że dezertera nie było już w kamienicy. Kolski był osobiście wplątany, rozumiecie, a to pogarsza jego sytuację i naszą.

Pułkownik westchnął i zapalił papierosa. Spojrzał z niepokojem na Goldwelda, który nie zabierał dotąd głosu. – Przecież to wy, Świętowiec – powiedział – a nie ja, znacie swoich ludzi. Ja jestem radzieckim oficerem, gadam, co myślę, ale rozumieć to wy powinni lepiej...

– Majorze – wtrącił się wreszcie kapitan – ja dodam, że wasza postawa jest przynajmniej dziwna. Założmy, że Kolski postąpił zbyt pochopnie, ale jakże można mu zarzucać, że działał, a nie rezygnował! Olewiczowi wybaczyliście niemal wszystko, a od Kolskiego wymagacie diabli wiedzą czego! Z jakiej racji? Że przyszedł z armią? Przecież on wszystkiego piętnaście miesięcy w wojsku! Też trzeba go wychowywać. A czy wyście go wychowywali?

Człowieku, chciał powiedzieć Świętowiec, ja na niego nie napadam, ja go nie zdołałem nauczyć. Ale milczał.

– Trudno – dorzucił Goldweld – tak już na tym święcie jest: robotę ocenia się według rezultatów. Pomyślcie, czy nie mam racji.

– Śledztwo wyjaśni – zakończył pułkownik. Zamyślił się. – A co, ten zabity odbierał mu dziewczynę?

– Tak mówią.

– Przecież nie wiedział, do kogo strzela...

Śledztwo, mimo wysiłków Leoniaka, nie dawało jednak rezultatów. Oficer informacji twierdził, że winien jest szef UB, któremu jakoby nie zależy na wydobywaniu prawdy z tamtych ludzi. Leoniak postanowił przesłuchać osobiście. Ewa, Andrzej i Stanisław siedzieli w borowickim areszcie, porucznik pojechał do miasteczka i pracował całą noc. Był przekonany, że kłamią.

– Słuchaj – tłumaczył każdemu po kolei – wypuścimy cię, wrócisz do matki, ale powiedz prawdę. Jeden z nich, Stanisław, wysoki chłopak o spojrzeniu, które wydawało się Leoniakowi szczególnie bezczelne, wybuchnął podczas przesłuchania śmiechem.

– Czy pan myśli, że gdyby Adam ukrywał dezertera, to dezertier siedziałby w pokoju, którego okno wychodzi na ulicę? Myśmy podczas wojny ukrywali Żydów... Czy pan myśli, że ryzykowałby ucieczkę, gdyby nie wiedział, że złość Kolskiego wymierzona jest przeciwko

niemu? Myśmy zostali, bo naiwnie wierzymy w waszą sprawiedliwość.

Leoniak tracił cierpliwość, był wściekły, nie rozporządzał żadnymi środkami przymusu, a szef UB śledzia! w sąsiednim pokoju i nie zamierzał mu pomagać.

Niczego już nie mógł od chłopaka wydobyć. – Nic nie będzie, tego dezertera panu nie wymyślę. A w ogóle: więcej nic nie powiem.

– Nie potrzeba – burknął Leoniak – twój koleżka już się przyznał.

– To nie dla mnie takie kawały, panie poruczniku... Matka Adama odpowiadała płacząc. – On tak ze złości, panie poruczniku, z nienawiści. Że Adaś miał się do Ewy, my jesteśmy zwyczajni ludzie, nikogo nie ukrywamy... Co mnie tam – dodała po chwili susząc oczy – co mnie tam! Gdyby było, to bym powiedziała, nic mi już chłopca nie wróci.

– Gdzie jest Benda? – zapytał Leoniak Ewę.

– Jaki Benda?

– Nie udawaj. Wszystko mi powiedzieli. Dokąd go posłaliście?

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Oczy miała czerwone, ale siedziała spokojnie, bardzo obojętna i pewna siebie. Leoniaka dusiła wściekłość, był bezsilny. Ze też taka pannica, zajadły wróg, to przecież zaraz widać, opętała porządnego chłopca.

– Gdy wszedł Kolski – mówił – Benda był jeszcze w pokoju. Co stało się z nim później?

– W pokoju byłem ja, Adam, Andrzej, Stanisław i Krystyna, którą puściliście do domu.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli nie powiesz prawdy, to możesz stąd nie wyjść?

– Mogę stąd nie wyjść.

– Zastanów się, czy warto?

– Ja nie wiem.

Po godzinie.

– Dokąd posłaliście Bendę? Gadaj natychmiast. – Zaczynało już świtać, przez okratowane okno widać było dachy sąsiednich domów.

– Wstań, usiądź tu bliżej, naprzeciwko mnie. Palisz?

– Palę. – Ostrożnie brała papierosa.

– Więc powiedz mi: dlaczego Kolski wymyślił tę historię z Bendą?

– Ja nie wiem.

– Ty nic nie wiesz. Więc mów wszystko od początku.

– Ja już przecież opowiadałam. – Dopiero teraz Leoniak zauważył, jak bardzo była zmęczona. Kazał jej zgasić papierosa i wstać.

– Oni pokłócili się z Adamem. – Słowa z trudem przechodziły przez gardło.

– O co?

– Pytam: o co?

– O ciebie?

Kiwnęła głową.

– Co mówił Kolski?

– Że, że...

– Nie umiesz kłamać. Szybciej!

– Że nie życzy sobie towarzystwa Adama dla mnie.

– A potem?

– Zawołał żołnierzy...

Leoniak trzasnął pięścią w stół. – Jak długo będziesz opowiadała bajki?

– Nie będę...

– Czego nie będziesz?

– Mówić.

Skoczył z krzesła, tracił panowanie nad sobą. – A ja ci radzę mówić, pamiętaj, radzę mówić. Gdzie jest Benda?

– Gdzie jest Benda?

– Gdzie jest Benda?

– No cóż, towarzyszu – mówił szef UB – tych ludzi trzeba będzie puścić.

– Jak to: puścić? Przecież to zorganizowana akowska banda.

– Nie ma dowodów. Tych dwóch zwolniono z wojska, zgłaszali się w RKU. Jeden chory, drugi ze względu na matkę, którą trzeba się opiekować. Obaj mają . dobrą opinię, fakt tylko, że byli w AK.

– Macie zeznanie Kolskiego, to wystarczy.

– Wybaczcie, towarzyszu, ja też nie bardzo wierzę w tego dezertera kilkudziesięciu metrów od posterunku. Mogę ich potrzymać, jak wam zależy, ale jaki z tego pożytek? Chodzą, pytają...

– Zwróć się do swoich władz – oświadczył Leoniak. – A wam się dziwię. Brzeckiego zakatrupili też parę kroków od posterunku, głowę bym zresztą dał, że to ta sama banda.

– Głowy wam dawać nie radzę. Tu grasuje Sęp, mam z nim dosyć kłopotów, to jego sprawa.

– No, zobaczymy.

– Zobaczymy.

W pułku Leoniak przesłuchiwał żołnierzy z kompanii Kolskiego – Widzieliśmy porucznika, jak wychylał się z okna i krzyczał – opowiadali. – Potem otoczyliśmy dom, staliśmy półtorej godziny, nikogo nie znaleziono.

– Wystarczyło na niego spojrzeć – twierdził Leksz. Był przekonany, że dezterter ukrywa się w tamtym pokoju. Przybyliśmy dosłownie w ostatniej chwili. Przebieg wydarzeń relacjonowali wszyscy podobnie.

– Nie macie pojęcia, poruczniku – oświadczył Kutryna, który od czasu przyszycia biało-czerwonych sznurków znacznie zyskał na pewności siebie – jak bardzo żołnierze chcieli złować tego Bendę. Dosłownie wszyscy. Nigdy nie podejrzewałem, że w tej kompanii panować może taka jednomyślność.

– To sobie wydrukujecie w gazetce ściennej – mruknął Leoniak i ze złością odtrzącił kartkę wypełnioną czytelnym pismem Bolka. Kutryna nie spełniał jego nadziei, informacje, które przynosił, były blade, a odkąd został drużynowym, stracił kontakt z żołnierzami. Porucznik podejrzewał, że Benda i Więcek mieli w plutonie współników, domagał się materiałów, które by potwierdziły jego przypuszczenia.

Wątpliwości co do postępowania Kolskiego wyjawiał właściwie tylko Furan. – Nic nie widziałem, nic nie wiem, wykonywałem rozkazy. Niedawno służę w ludowym wojsku – zakończył – ale dezterterzy są wszędzie chyba tacy sami. Najczęściej wracają do matki albo idą do lasu, ale żeby siedzieli w miasteczku położonym o sześć kilometrów od jednostki wojskowej... tego jeszcze nie było.

Leoniak powinien już był złożyć raport dowódcy pułku, ale ciągle nie zamykał śledztwa, oczekując, że jednak coś się wyklaruje. Wezwał do siebie Kolskiego, opowiedział mu dokładnie o wynikach, ten chłopak, który od samego początku zajął słuszne stanowisko w sprawie Olewicza, budził jego ostrożne zaufanie.

– Nie potrzebujecie mnie przekonywać – mówił – ja wiem, że to wrogowie. Ale szef Urzędu – machnął ręką – gotów wypuścić bandę, bo to nie on ich złowił. – Przestraszył się, że powiedział zbyt dużo, i natychmiast dodał: – Widzicie, brak nam dowodów. Jesteśmy bardzo skrupulatni, oni na naszym miejscu nie tęskniliby tak za dowodami, bądźcie spokojni, kulka w łeb i koniec. A nam każą się cackać. – Przerwał, poczęstował Kolskiego papierosem.

– Chodzi o to, żebyście pomogli w śledztwie. Edward milczał.

– Oczywiście, pomożecie. Ja wiem, że to nieprzyjemne, ale nie ma innej rady: trzeba gości przyprzeć do muru. Zjecie trochę makaronu?

Napełnił szklaneczki wódką, makaron był dobry, suto omaszczony słoniną.

– Więc – tłumaczył – urządzimy konfrontację. Chłopców nie warto ruszać, natomiast skonfrontowanie was z tą dziewczyną da znakomity rezultat. Żeby była z kamienia, musi się załamać. Niech się odważy powiedzieć nam w oczy, że w tym pokoju nikogo nie było, ja już znam się na ludziach.

Pomyślał, że powinien był wpaść na ten pomysł wcześniej.

– Ona siedzi? – zapytał Edward.

– A co wyście myśleli? Że tylko chłopcy? Siedzi, i moja głowa, iż prędko stamtąd nie wyjdzie.

– Przesłuchiwaliście ją osobiście?

– Tak. I to nieraz. Sprzeczności w zeznaniach wyraźne, sami zresztą zobaczycie, nie umie opisać wydarzeń, ale twardo trzyma się kłamstwa... – Spojrzał na Kolskiego i zamilkł. Porucznik siedział wyprostowany, w dłoni trzymał pustą szklanę, jakby chciał sprawdzić jej wytrzymałość.

– Nie.

– Jak to: nie? Sądzicie, że konfrontacja nie pomoże?

– Nie. Nie będzie konfrontacji.

– Co to znaczy? – Leoniak wstał z krzesła. – Co to znaczy? – powtórzył. – Nie chcecie nam pomóc? Boicie się?

– Wybaczone – powiedział sucho Kolski, w ustach miał gorycz, podniósł do oczu szklanę, była pusta – wybaczone – powtórzył – w żadnej konfrontacji nie wezmę udziału. Nie chcę. Mam dosyć.

Nastąpiła cisza. Leoniak chodził po pokoju, ręce wpakował do kieszeni. – Więc to tak – szydził. – Porucznik pewno z delikatności. Puścimy wrogów, bo Kolski jest delikatny, nie chce urazić dziewczyny, która... Zresztą, co tu gadać, do cholery... A może – podszedł do Edwarda i pochylił się nad nim – a może sami nie jesteście pewni, czy tam był dezertor. Was, poruczniku Kolski, mogą spotkać przykrości. I to grube...

– Wy mi nie groźcie, ja się nie boję. Nie chcecie wierzyć, nie wierzcie, mnie tam wszystko jedno. Niech posła nareszcie na front, najlepsze wyjście.

– To wy taki... Ja wyłażę ze skóry, żeby dowieść waszej racji. Świętowiec by was dawno oddał pod sąd, a wy co...

– Wybaczone, poruczniku Leoniak, ja nie mogę. Czy wy nie jesteście w stanie zrozumieć, że ja nie mogę?

– Nie, jeśli strzelaliście, to nie mogę zrozumieć? A gdyby ona uciekała, to co? W

ciemności, jak twierdzą, nic nie było widać.

W południe następnego dnia Leoniak szedł do pułku, by przedstawić dowódcy wyniki śledztwa. Wyniki były żadne. Gdy podchodził do sztabu, zobaczył przed domem samochód, którym zwykle przyjeżdżał generał Weklar.



# MATKA

Do Międzyrzecza dotarł wieczorem, oprzytomniał, gdy zobaczył pierwsze domy miasteczka, wszedł na szosę, skrawkiem starej gazety usiłował zetrzeć błoto oblepiające buty. Bezskutecznie! Sprawdził, czy wszystkie guziki płaszcza są zapięte, dłonią przejechał po czole, poprawił furażerkę. Byle nie zwracać na siebie uwagi, myślał, nie spieszyć się, nie gorączkować. Ludzie patrzą.

Ludzi było jednak niewiele, w zapadającym mroku mijali go obojętnie, niedaleko rynku zobaczył patrol: dwóch żołnierzy, podoficer, obrzucili go uważnym spojrzeniem, oddali honory. Olewicz niedbale przyłożył palce do czapki, pot spływał po szyi, chciałby zerwać kołnierzyk, dusił się.

Z rynku skręcił w lewo, pamiętał, gdzie mieścił się punkt kontrolny, był zdecydowany na ryzyko, nie miał zresztą wyboru. Jeszcze tego samego wieczoru powinien znaleźć się w Białej, zrzucić mundur i zniknąć, inaczej wszystko przepadnie. W Międzyrzeczu, bez przyjaciół, w odległości kilkunastu kilometrów od Kąkolewnicy, złapią go w ciągu paru godzin.

Czy regulirowszczyca zapyta o dokumenty? Na KP na ogół sprawdzają, może lepiej zatrzymać maszynę na szosie? Ryzyko jeszcze większe. Minął zakręt, zobaczył wypalony dom, czarne figurki ludzkie, ciężarówkę. Na niebo wjechał księżyc, uczyniło się zbyt jasno, samochód wypełniony żołnierzami sterczał pośrodku szosy, żółty blask wydobywał z ciemności nawet twarze.

Regulirowszczyca była młoda, furażerka zawadiacko odrzucona na tył głowy, twarz pucołowata, okrągła, nieco dziecinna. Rozmawiała z kierowcą-krasnoarmiejcem, który wychylał się z szoferki i gadał nie wyjmując z gęby papierosa.

Olewicz podszedł, myślał, że brak mu połówki, przynajmniej zwykłej torby polowej, żeby nie budzić podejrzeń. I pistoletu, a pas? Już chciał cofnąć się w ciemność, lęk smagnął go po twarzy, jak mógł zapomnieć o pasie? Ale go dostrzegła... Popatrzyła uważnie, zasalutowała.

– A wam kuda, grażdanin porucznik?

– Biała Podlaska! – wyszeptał. I w tej chwili odzyskał spokój, pot spłynął z twarzy, uśmiechnął się.

– Miejsce dla sojusznika znajdziecie?

– Dawajcie, dawajcie! Tylko prędko!

Skoczył na platformę, żołnierze radzieccy siedzieli na tego wypchanych workach, zwyczajni sobie chłopcy z jakichś tam odległych rosyjskich krajów. Któryś z nich zrobił mu miejsce obok siebie, nareszcie mógł odpocząć, wciągnął w płuca zapach machorki, a gdy ciężarówka warcząc i sapiąc ruszyła po szosie, pomyślał, że wystarczyłby jeden haust dymu...

– Popróbujcie mojej – oświadczył sąsiad wyciągając pękaty woreczek. – Krutit’ umiejetie?

Umiał. Jechali przez lasy, które ciągną się niemal całą drogę od Międzyrzeca do Białej.

– A nie znajecie, pan, kak daleko budiet Brest? – zapytał sąsiad.

– Chyba z osiemdziesiąt kilometrów.

– Wosiemdziesiąt? Eto że czepucha!

Żołnierze palili, gadali niewiele, patrząc tylko na drogę, długą białą linię uciekającą w noc. Wreszcie któryś z nich zaśpiewał:

*Na zakatie chod. it pareń wozie doma mojego, pomargajet mnie głazami i nie skażet niczego A kto jego znajet, zaczem on morgajet* – podjęli inni.

Olewicz słuchał, poczuł się nagle śmieszny, żalony i śmieszny w tej swojej samotności, której przecież nie zawinił.

Biała Podlaska, podobnie jak Międzyrzec, pogrążona była w ciemnościach. Ciężarówka przystanęła niedaleko koszar i Olewicz natychmiast wyskoczył. Ludzi na ulicy Warszawskiej było sporo, wszyscy spieszyli do miasta, szedł w tłumie, który rozpraszał się powoli w okolicach placu Wolności. Z gimnazjum – obdrapanego piętrowego budynku – wysypywała się młodzież, chłopcy w długich butach, z papierosami w zębach, przystawali na chodnikach i rajcowali głośno. Miasteczko już żyło, ciemne, pozbawione latarni, ulice nie były ani puste, ani martwe. Olewicz powłócząc z trudem nogami minął komendanturę mieszczącą się na ulicy Piłsudskiego i przystanął przed białą willą ogrodzoną wysokimi sztachetami. Spod zamkniętych okiennic wydobywała się wąska smużka światła. Olewicz popatrzył chwilę, rozejrzał się wokoło, tak czynił zawsze, ilekroć przebywał tu podczas okupacji, i powoli wszedł na schody. Ulica była pusta i czarna, nawet księżyc schronił się za chmurami...

„Mecenas” nie był zdziwiony, ten starszy pan w eleganckiej bonzurce nie okazywał zresztą nigdy zdziwienia, jakby wszystko, co przynosiła rzeczywistość, dawno był przewidział i rozważył. W hallu uważnie obejrzał Stefana i, gestem od dawna znajomym, wskazał otwarte drzwi pokoju. Na biurku stała nie dopita szklanka herbaty, leżały czyste maleńkie karty do pasjansa.

– Jesteś zapewne głodny, zjesz kolację.

Przyniósł z kuchni chleb, masło, ser, solidny kawał pieczonego mięsa. Nalał wódki do kryształowych kieliszków, które ustawił starannie na serwetce. Umoczył tylko wargi, a potem wrócił do pasjansa i swojej herbaty, pozostawiając Olewiczowi całkowitą swobodę jedzenia. Dopiero gdy mięso znikło ze stołu, a porucznik począł rozglądać się za papierosami, które leżały tu zwykle w drewnianym pudełeczku, uznał, że nadszedł czas właściwy dla rozmowy. Olewicz relacjonował więc swe przeżycia zwięźle, usiłując utrzymać się w tonie beznamietnym i rzeczowym, albowiem Mecenas nie cierpiał patosu i przerywał natychmiast, gdy rzecz wykraczała poza fakty. „Fakty – powtarzał podczas okupacji – o nie tylko chodzi. Nie opowiadajcie mi banialuk, wnioski będę wysnuwał sam”. Nic się pod tym względem nie zmienił.

– Zrozumiałem cię – oświadczył, gdy Stefan skończył. – Jesteś chłopcem impulsywnym, niezbyt jeszcze dojrzałym, podobnie zresztą – machnął ręką – jak wy wszyscy. Chciałeś iść do ich wojska, wrosnąć, walczyć z Niemcami, nie wyszło. Oczywiście, nie zdawałeś sobie sprawy, że aby to osiągnąć, trzeba zdobyć zaufanie, trzeba zapłacić. Nie chciałeś płacić żadnej ceny, pragnąłeś natomiast pozostać uczciwy, a oni cię zamknęli. I należy przyznać im rację. Cóż to bowiem za pożytek z oficera, na którego nie można liczyć w każdej sytuacji. Rozumiesz: każdej. Sam bym tak postąpił.

Nalał znowu Olewiczowi wódki, kropla upadła na stół, starannie wytarł serwetką, aby nie niszczyć błyszczącego blatu. Stefana ogarniała senność, było mu spokojnie i ciepło, chciał rozpiąć mundur, ale przeszkadzał stary nawyk, w obecności Mecenasa nie mógł sobie na to pozwolić.

– Możesz zdjąć ten frak. Oczywiście, miałeś obowiązek zameldować o rozmowie z tymi żołnierzami, logicznie rzecz biorąc powinieneś nawet podać znane ci kontakty i adresy, łącznie z moim nazwiskiem. Albo, albo. Wiem, wiem, nie zrobiłeś tego, oczywiście, wszyscy jesteście naiwni i dlatego właśnie znajdujesz się teraz u mnie. – Roześmiał się sucho, miał równe białe zęby, połyskujące, jakby posmarowano je lakierem.

– Ale ja – powiedział Stefan – chciałem po prostu walczyć z Niemcami. Nie mam – odważył się – żadnego stosunku do reform politycznych. Chodzi o wolną Polskę i nic więcej.

– Święta naiwności! Nikt przecie w to nie wątpi, ani ja, ani oni. Jesteś, wybaczone, młodym durniem, tak cię wychowano, twoje pokolenie jest bardziej niż jakiegokolwiek w naszych dziejach pozbawione umiejętności myślenia. Mam syna w twoim wieku, mogę to mówić z pełnym przekonaniem. Ale dość, wystarczy. Czy zdajesz sobie przynajmniej sprawę, po co tu przyszedłeś? – Nie czekał na odpowiedź. – Oczywiście dlatego, ponieważ nie miałeś innego wyjścia. My albo oni. Po tych pięciu latach nie umiesz już siedzieć beczynnie, jesteś

skłonny wierzyć, że bez ciebie historia potoczy się w niewłaściwym kierunku. – Roześmiał się znowu. – Przyjmuję, rzecz jasna, że wszystko, co mówisz, jest prawdą. Dziewięćdziesiąt dziewięć na sto. Mało prawdopodobne, że pełnisz funkcję agenta, zresztą znam cię znakomicie, jesteś przyjacielem mojego syna, wierzę ci. Możesz się jeszcze napić.

Szukasz, oczywiście, odpowiedzi: co dalej? Otrzymasz inną u mnie i inną u nich. Straciłeś jednak możliwość wyboru, musisz przyjąć moją, wiesz dobrze, że tak jest. Służbowo rzecz biorąc powinienem odesłać cię do diabła, ale spotkanie jest, w pewnym sensie, prywatne. Przede wszystkim więc postaraj się wyzbyć złudzeń.

Posłuchaj uważnie, dobrze ci radzę, nie chciałbym, żebyś zmarnował się całkowicie. Ci na górze, wiesz, o kim mówię, mają takie złudzenia, trochę na swój własny użytek, ale przede wszystkim na użytek podkomendnych, my w terenie możemy śmiało obywać się bez tego rodzaju pociechy. Nie zmniejsza to nasilenia roboty, daje natomiast hart i perspektywę. Nie pal tak dużo, te papierosy mają zresztą podobno jakąś domieszkę opium.

O czym to ja mówiłem? Aha. Ponieważ jesteś w sytuacji beznadziejnej, powinieneś zdać sobie sprawę, że my, to znaczy – zastanowił się – ci, z którymi razem walczyłeś, twoje kierownictwo, posiadamy bardzo niewiele szans. Bardzo niewiele – powtórzył.

– Wiara w to, że oni wypuszczą Polskę z rąk bez wojny, jest nonsensem. Mogą tu zostać na bardzo długo.

– To znaczy – wyszeptał Olewicz – do nich należy przyszłość. To straszne – powiedział głośniejszym – jak się jest z nimi, w ich wojsku, tysiąc rzeczy oburza, gniewa do... bólu, ale nie przestaje się myśleć: w zasadniczym oni mają rację. To też Polska.

– Szczeniackie rozumowanie. Istnieje Polska pomyślana jako samodzielny organizm polityczny, Polska, do której przywykliśmy, a wszystko się na nią składa: i tradycja zbrojna, i ziemia na wschodzie, i kultura, i właściwości ustrojowe, i antyrosyjskość stanowiąca kamień węgielny naszego narodowego istnienia, i wreszcie wasza pięcioletnia walka i ów szczególny polski klimat trudno wyrażalny, ale absolutnie niezrozumiały dla tych panów z Lublina i Moskwy.

– Trudno przecież wyobrazić sobie, abyśmy walczyli inaczej przeciwko Niemcom, jak tylko wspólnie z Sowietami.

– To jedna z możliwych kombinacji politycznych, mój chłopcze, ale nie wyznanie wiary. Dla nas wyznaniem wiary jest wyłącznie wielkość i niepodległość Rzeczypospolitej. Dla nich...

– Oni też mówią o Polsce, która sięgać będzie do Odry, o szlaku Krzywoustego.

– Jest to jednak Krzywousty pod obcą komendą.

– Nie wiem, ja już naprawdę nie wiem. Trzeba przecież pokonać Hitlera.

– To słuchaj, nie będę zresztą z tobą dyskutował. Pokonanie Hitlera jest już faktem dokonanym, dla decyzji politycznych długość oporu niemieckiego nie ma większego znaczenia. A dla nas upadek Niemiec wcale nie oznacza zwycięstwa.

Jesteśmy wykrwawieni. Najlepsze siły zginęły w zdradzonym powstaniu warszawskim, nikt się za nami nie ujął i naiwnością była wiara, że komukolwiek na nas zależy. Najprawdopodobniej powojenna konfiguracja w Europie umożliwi panom z Lublina utrzymanie rządów w swoich rękach. Nie znaczy to jednak, że mamy pogрузić się w bezczynności, przeciwnie, pozostała nam do spełnienia misja o wadze niezmiernej: zmanifestować musimy wolę oporu naszego narodu, wolę utrzymania niezawisłości i... hm... polskich tradycji, polskich zwyczajów politycznych...

Starszy pan wyprostował się na krześle, mówił podobnie jak ksiądz prefekt w gimnazjum, gdy kończył się już wykład, a do dzwonka pozostało jeszcze sporo czasu. Stefan pomyślał, że nieobcy jest jednak Mecenasowi patos.

– Nie mamy wyboru – ciągnął – tworzymy dokument, który zostanie w historii, płacimy za każde słowo tego dokumentu najwyższą cenę.

– Więc co to znaczy?

– Czy słyszałeś kiedy taki rozkaz: posyłam cię, żołnierzu, na posterunek stracony, na posterunek, na którym wytrwać musisz do końca. W dziejach naszej ojczyzny nieraz się zdarzało, że dowódca taki właśnie rozkaz musiał wydać.

Stefan przypomniał sobie nagle Kotwę leżącego na skraju lasu pod niebem czerwonym od łuny, potem przechodzili tędy ci z czworaków. Mordercy Kotwy mogli ich nawet widzieć, jeśli pozostali jeszcze w krzakach. Byli całkowicie bezpieczni na tym posterunku.

– A gdzie jest Janek? – zapytał nie słuchając już Mecenasa.

Starszy pan zmarszczył się i zachmurzył jakby wspomnienie syna sprawiło mu ból. Machinalnie sięgnął po papierosa. – Zapomniałbym, że przestałem palić... Nie będę przed tobą ukrywał. Udało mi się wyreklamować go z wojska i posłać do Lublina. Tam najszybciej otworzą jakąś uczelnię.

Ach tak! Olewicz pochylił się na krześle, z trudem otwierał oczy, zdawało mu się, że już zasypia. Głos Mecenasa dochodził do niego jakby ze znacznej odległości, starszy pan porzucił już tematy ogólne, mówił o sprawach jak najbardziej konkretnych. Olewicz dostanie, mianowicie, ubranie cywilne i zgłosi się w Łukowie pod adresem, który, oczywiście, musi zapamiętać, zapisywać nie wolno. Stamtąd odeślą go do oddziału, dowódcę zresztą zna, to

kapitan Sep. Oto otrzymuje dowód niezwykłego zaufania, powinien je ocenić, bo rzadko się zdarza, żeby Mecenas tak komuś bez zastrzeżeń uwierzył...

Mecenasowi jest bardzo przykro, może mu dać jeszcze pieniądze, ale na noc zatrzymać go nie będzie. Bywają rewizje, a on nie ma prawa się narażać. Jedyne wyjście to iść na dworzec, na dworcu mnóstwo ludzi oczekuje pociągów, które chodzą zresztą bardzo nieregularnie... Jeśli trafi na pociąg, to będzie jutro w Łukowie.

Stefan z trudem wstał z krzesła, pokój wirował w oczach. Gdy zdejmował mundur i bieliznę, zdawało mu się, że zdziera z siebie kawałki skóry. W hallu Mecenas mocno uściśnął mu rękę. – Trzymaj się, bracie, to podstawowa cecha żołnierza.

Wyszedł na schodki, zatoczył się, oparł o płot, pomyślał, że chyba tu zostanie, ale usłyszał stłumione szcęknięcie okiennicy. W pokoju zgaszono światło, Mecenas patrzył na niego. Ciemną ulicą powlókł się w kierunku dworca.

Dziewczyna była ładna. Bardzo młoda, może siedemnastoletnia, uśmiechała się dyskretnie, a szeptała tak cicho, że głos ginął w gwarze knajpy. Olewicz dostrzegł ją naprawdę dopiero później, gdy już za pieniądze Mecenas pochłonął kotlet wieprzowy i dopijał drugą szklankę herbaty. Pomyślał, że wygląda zapewne okropnie. Noc spędził na dworcu w Białej, a właściwie w spalonym pałacyku znajdującym się nie opodal budynku stacji. Torami biegły transporty wojskowe, długie szeregi bydłowych wagonów znikwały w ciemności. Ludzie leżeli na ziemi, a co parę minut podrywał ich gwizdek parowozu. Pociąg, do którego można było wsiąść, nadszedł rano, stawał później z niewiadomych przyczyn w polu, włókł się noga za nogą, do Łukowa dotarł ostatnim wysiłkiem dopiero na południe. Olewicz przesunął dłonią po policzkach, zarost był twardy, powinien był ogolić się u Mecenas, koszula Janka zbyt uciskała szyję, piekły nogi, bo butów nie ściągał już od dwóch dni, marzył oczywiście o łóżku, choćby nawet o deskach, na których można by się wyciągnąć. Sen ogarniał go nieodparcie, wystarczyło przymknąć oczy, by polecieć w głąb, po wyslizganej pochylni na dno miękkie i ciemne.

Knajpa była nieduża, obskurna, choć w samym centrum Łukowa, niedaleko magistratu. Mężczyźni w płaszczach, nie zdejmując czapek, pili wódkę, cisnąc się przy małych stolikach. Skąd tu taka dziewczyna?

– Pan będzie jeszcze jadł?

– Nie, dziękuję, już nic.

– Pan nie pije wódki?

– Sam? Zwala z nóg, jeśli człowiek zmęczony. Uśmiech. Stoi przy stoliku, ręce w kieszeniach fartuszka, nie odchodzi, czeka.

– Pan nietutejszy?

– Nie, nietutejszy.

– Ja to zaraz widzę, wystarczy popatrzeć.

Olewicz myśli: Jeśli nie pójde tam dzisiaj, to mogę się z nią umówić. Zaraz zapytam, ale jestem piesko zmęczony, nic nie chcę, nic nie chcę.

– Może jeszcze szklankę herbaty albo piwa. Przyniosę panu piwa, jest doskonałe, to teraz rzadkość. Ściany w knajpie brudne, na ścianach stare afisze mobilizacyjne, tylko nad kontuarem nowa płachta papieru, koślawe litery wyciągnięte czerwonym atramentem. Olewicz czyta, bezmyślnie powtarza półgłosem, a dopiero po chwili, gdy dociera doń treść, zrywa się z krzesła, stoi, oparty mocno o stół, przeciera oczy, sylabizuje raz jeszcze.

DZIS O GODZINIE 17-tej TOW. MARTA OLEWICZ Z LUBLINA WYGŁOSI W SALI REMIZY STRAŻACKIEJ...

– Co się panu stało?

– Nic, nic, ile płacę?

– Jak to, już pan odchodzi? Przyniosłam piwo. No, niech pan się nie spieszy.

– Nie, proszę rachunek.

– Służę panu, takich też znamy.

W bocznej kieszeni ma pieniądze, które dostał od Mecenas, rzuca je na stół, dziewczyna patrzy ze zdziwieniem, wybiera parę papierków, resztę wciska mu w rękę.

– Wystarczy, proszę wziąć...

– Nie, nie trzeba.

## EWA I GENERAL

Dlaczego Weklara zainteresowała Ewa Kraczyńska? Uznał, że sprawa Kolskiego wymaga jego ingerencji – pojmowali to wszyscy, pułkownik Krycki wyraził nawet zadowolenie, przecież należało wyplątać się z kabały, którą od kilku dni żył cały pułk.

Czy Kolski naprawdę widział dezertera? Kadra, podzielona na dwa obozy, bez przerwy dyskutowała tę kwestię. Śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów. Leoniak zrezygnował z dalszych przesłuchań, pozostawało tylko: uwierzyć porucznikowi i umorzyć sprawę albo też, jak domagał się major Świętowiec, oddać Kolskiego pod sąd za nadużycie władzy. Czy Świętowiec w ten sposób formułował swoje żądania? Pułkownik Krycki nie był pewien, bo od paru dni nie rozmawiał z dowódcą batalionu. Nie rozumiał, jak to się stało, że Świętowiec, który tak energicznie bronił Olewicza, wykazywał ni stąd ni zowąd niezwykłą twardość w sprawie Kolskiego? *Ze* od oficera 1 armii należy wymagać szczególnego rozsądku i rozeznania politycznego, że najgorszym niebezpieczeństwem jest histeria... Tak to zapewne tłumaczył, przynajmniej w ten sposób referował jego argumenty kapitan Goldweld. Zastępca dowódcy pułku uważał zresztą, że nie chodzi już w ogóle o Kolskiego, ale o zasadniczy dylemat polityczny. Jego zdaniem Świętowiec pragnie, by sprawę porucznika potraktowano jako jaskrawy przykład działalności wynikającej z niezrozumienia sytuacji i nastrojów w kraju. Strzelanie – to ostateczność. Ludzie muszą zrozumieć, że w kraju strzelamy dopiero wówczas, gdy nie ma innego wyjścia. I gdy jesteśmy pewni. A linie podziału są bardzo skomplikowane.

Ale tymczasem w batalionie Świętowca, który przeszedł już przez akcje na wsi, dezercję i śmierć dowódcy plutonu, panuje na ogół – właśnie wśród żołnierzy – zgodna opinia, że Kolski miał rację. Podoficerowie pochodzący z AK odwiedzają bez przerwy zawieszoną dowódcę kompanii, a wyniki szkoleniowe plutonów wyraźnie się poprawiły. I bądź tu mądry!

Pułkownik Krycki cały ten galimatias przedstawił uczciwie dowódcy dywizji. Żałował teraz, że sprawy nie zdusił w zarodku, mógł to zrobić, zmyć po prostu głowę Kolskiemu, nie dać wolnej ręki Świętowcowi i nie zwracać uwagi na gadanie w Borowicy. Wszystko by ucichło, a solidne doświadczenie wojskowe uczyło, że nie zawsze opłaca się wszczynać szum. Stało się jednak! Pij teraz piwo, jeśliś je nawarzył.

A dowódca dywizji wziął sobie sprawę bardzo do serca. Przystudiował akta, zażądał protokołów dochodzeniowych, wreszcie wykazał zainteresowanie szczególnie osobą Ewy



Kraczyńskiej. Tego już pułkownik Krycki nie mógł pojąć. Weklar miał wolne ręce, mógł po prostu zadecydować umorzenie śledztwa, Krycki zwrócił uwagę generałowi, że utrudnia pracę w pułku nieustająca atmosfera podniecenia.

– Chyba macie rację – powiedział Weklar – chyba każe umorzyć. – I grzebał się dalej.

Samochód dowódcy dywizji stał przed sztabem, deszcz spływał po szybach, środkiem błotnistej ulicy szedł powoli major Świętowiec wezwany przez generała. No, na miejscu Weklara wiedziałbym, jak z nim rozmawiać, pomyślał pułkownik.

A tymczasem dowódca batalionu wykladał wszystko od początku.

– Jestem przekonany – mówił – o niewinności Olewicza. Zrozumcie mnie dobrze, generale, nie kieruje mną żaden liberalizm i wcale nie twierdzę, że ten młody oficer był zwolennikiem ludowej władzy. Po prostu: nie popełnił żadnego przestępstwa, owszem, wiedział zapewne o wątpliwościach, które gnębią żołnierzy, ale nie traktował ich zbyt poważnie. Takie jest moje wewnętrzne przekonanie. Czy powinien zameldować? Oczywiście, tak. Ale przecież musiało go wiele kosztować podjęcie decyzji... Krycki twierdzi, że się myliłem. Nie mogę się z nim zgodzić. Odstraszamy od siebie ludzi, wszystko się logicznie wiąże, gdyby Kolski nie był tak przekonany o wrogości tamtych, nie wiem, czy zobaczyłby dezertera.

– Wasze rozumowanie jest nie do przyjęcia – przerwał sucho generał. – Jesteście gotowi wierzyć Olewiczowi, a nie wierzyć Kolskiemu. Nie pojmuję już, o co wam chodzi.

– Dowodzę po prostu batalionem, który składa się z rozmaitych ludzi. Chcę z nich uczynić kolektyw bojowy i nie mogę dopuścić, żeby zapanowała atmosfera podejrzeń i strachu. Są ludzie szczególnie skłonni do hysterii. Do takich należy Kolski. Po aresztowaniu Olewicza nie chciał się zgodzić, by wyznaczono na dowódcę plutonu podoficera z AK. Wołał gorszego, ale bez przeszłości. Przekonany był o winie Olewicza, chociaż, prawdą a Bogiem, nie miał ku temu żadnych przesłanek.

– Kolski to uczciwy chłopak.

– Tak. Zapewne. Ale nie rozumie sytuacji.

– Więc to macie w zanadru. Przyszedł z armią, więc nic nie rozumie?

– Jestem daleki od uogólniania. Chodzi o to, żebyśmy nie ułatwiali roboty wrogowi – Dezerterów należy łąpać i rozstrzeliwać, ale czy ich podatność na obcą agitację nie wynika niekiedy z naszej sztywności?

Weklar słuchał wywodów Świętowca z rosnącym zniecierpliwieniem. Nie dostrzegał w nich nic nowego.

– Mówicie – przerwał – jak historyk, który w przyszłości będzie roztrząsał, kiedyśmy

przejęli pałę, a kiedy mieliśmy świętą rację. Zastanówcie się Świętowiec! Oskarżacie o schematyzm, a cóż może być bardziej schematycznego niż wasz wykład! Pewno, że nie należy zamykać niewinnych i zrażać sobie ludzi ustawicznymi podejrzeniami. Ale tworzymy wojsko z niczego, mordują nam najlepszych ludzi, strzelają do oficerów idących ochotniczo do RKU. Historia powie, że popełnialiśmy błędy? Trudno, taka nasza dola. Zamykamy niewinnych? Nie przeczę, bywają i takie wypadki. Ale trzeba, do diabła, zdać sobie sprawę, że to nieuniknione. Ja rozumiem Kolskiego. Czy wy nie zdajecie sobie sprawy, ile rozczarowania, ile bólu musiał przeżyć, gdy spotkał ludzi z Borowicy? Olewicz... – zawahał się. Zdał sobie sprawę, że po to przecież tu przyjechał, aby jak najwięcej dowiedzieć się o Stefanie. Niechby Świętowiec mówił o nim znowu. Sprawiało ból, ale Weklar pożył szczegółów. Major jednak milczał, stracił widać ochotę na przekonywanie Weklara, czekał na wyraźne pytanie. A może powiedzieć Świętowcowi prawdę? Oczywiście – nie. Zapewne by pojął, docenił, dostarczył pełnej informacji... i triumfował. On przecież jedyny bronił Stefana, należy mu się przynajmniej zwykle: dziękuję.

– Jakie było właściwie pochodzenie tego... Olewicza?

– Dość niejasne – odparł major. – Z rodziny związanej na pewno z ruchem robotniczym. Ojca nie pamiętał, podobno był w Hiszpanii, tylko imię matki. Wciąż – rzekł Świętowiec – odnosiłem wrażenie, że to nazwisko i to imię nie są mi obce. A wy nie przypominacie sobie, generale?

– Co wiedział o ojcu?

– Nie pytałem aż tak szczegółowo. Właściwie tylko jedna rozmowa, chłopak był zresztą zamknięty w sobie, nieufny.

– No cóż – rzekł generał – podejmę wkrótce decyzję w sprawie Kolskiego. Możecie odejść, majorze. To wszystko. Nie można przecie pytać, jak wyglądał, jak mówił, jakim tonem opowiadał o rodzicach. Są to pytania niedozwolone, rozmowa straciłaby natychmiast charakter, który jej generał nadał – a zysk minimalny, bo przecież dla Świętowca Stefan był tylko jednym z wielu, dobrym pretekstem toczenia boju o swoiście pojmowane prawdy. Podobnie zresztą jak Kolski.

Świętowiec wyszedł z gabinetu rozczarowany, nie uszło to uwagi generała, liczył przecież na jego poparcie i nic nie uzyskał. Jeśli sprawa Kolskiego dojdzie do Lublina, mogą tym razem przyznać rację majorowi.

Pamiętał dobrze Kolskiego, jeden z tych chłopców, których uważano za przyszłość armii. Świętowiec powiada: „Zakochał się w dziewczynie, nie wiadomo, jaką rolę odegrały sprawy osobiste”. Mało prawdopodobne!

- Obywatelu generale, ja o niczym innym nie marzę, chcę iść na front.
- No cóż, pójdiesz. Nie umiałeś znaleźć wspólnego języka z tą dziewczyną?

Chłopiec sporo chyba wycierpiał. Pod Lenino wyglądał jak dzieciak, teraz to już dorosły człowiek. Zestarzał się w kraju.

- A byłeś, człowieku, pewny, jak żeś zaczynał tę awanturę, że tam jest dezterter?
- Byłem pewny, obywatelu generale.
- A dziewczyna zaprzecza?
- Zaprzecza.

Weklar kiwa głową. Rozumie tego chłopca, jest łatwy do odszyfrowania. A tamten?

- Olewicz był w waszej kompanii?
- Tak jest, obywatelu generale.
- Jak go ocenialiście?
- Chłopak prezentował się bojowo, z plutonem radził sobie nieźle. Ale wróg.
- To nie ulegało wątpliwości?

– Nie, obywatelu generale. Ciągłe coś w sobie tłamsił, nigdy nie był z nami szczery, a podczas akcji przeszedł przez park, w którym dziesięć minut potem zginął Kotwa.

- Próbowaliście z nim rozmawiać?
- Początkowo tak. Był nieufny i skryty, niedobrze się czuł w naszym towarzystwie.
- Wystarczy. Ta dziewczyna to dla was historia przelotna, czy coś poważnego?
- Bardzo poważne, obywatelu generale.
- Hm, hm, dziękuję wam.
- Obywatelu generale, czy wolno zapytać?
- Pytajcie.
- Czy obywatel generał też mi nie wierzy?
- W wojsku takich pytań się nie zadaje. Możecie odejść.

– Chcecie przesłuchać ją osobiście, obywatelu generale? – dziwił się Leoniak. – Jeśli szef UB jeszcze i ich nie wypuścił...

Szef UB powitał Weklara bez entuzjazmu. Z Leoniakiem mieli wyraźnie na pieńku, nie podali sobie ręki.

– Mam decyzję zwolnienia – oświadczył. – Choćbym stanął na głowie, nie znajdę żadnych dowodów.

– Jesteście teraz wyjątkowo skrupulatni – roześmiał się zgryźliwie oficer informacji. –

Mogę zaręczyć, że jak ich wypuścicie, po godzinie znikną z Borowicy. I nie znajdziecie już morderców Brzeckiego.

– Mają się meldować.

– Aha. Tylko na to czekają.

– Dobrze – przerwał Weklar. – Przyprowadźcie tę dziewczynę.

Był ciekawy. Niechętnie to stwierdzał, ale ciekawość powodowała nim przede wszystkim. Nie tylko dlatego, że pamiętał starego Kraczyńskiego, który był porządnym człowiekiem, a nawet przez pewien czas – sympatykiem. Przecież wśród podobnych dziewcząt i chłopców obracał się Stefan.

Dziewczyna była ładna, bardzo zmęczona, patrzyła na generała bez zainteresowania. Usiadła na krzeselku i wyciągnęła nogi w brudnych półbucikach.

– Ja już byłam przesłuchiwana. Ja już wszystko powiedziałam.

– Nie chcę was przesłuchiwać – odburknął generał. – Kazałem was wezwać tylko po to, żeby wam się przyjrzeć.

Podniosła na niego zdziwiony wzrok.

– Tylko. Pochodzę z Borowicy i znałem waszego ojca. Jestem też przełożonym porucznika Kolskiego, który niedługo stanie przed sądem wojskowym za nadużycie władzy.

– Jak to? – Nagle wybuchnęła płaczem, rękawem sukienki wycierała łzy. – Ja już nie mogę, proszę mnie nie dręczyć!

– W imię czego? – zapytał generał. – Dla obrony jakich pozycji młoda dziewczyna wyrzeka się bliskiego człowieka, mało, skazuje na najcięższe, co mogło go spotkać w tej wojnie. Wierności? Komu?

– Ja go nie skazuję – mówiła przez łzy. – Ja nie mogę inaczej.

– Nie możecie inaczej – pokiwał głową. – Nie możecie inaczej – powtórzył. Ciągłe w nim to tkwiło, nieustannie myślał o Stefanie.

– Jaki stopień mieliście w organizacji?

– Kaprała. – Łzy już nie płynęły, patrzyła na generała przerażonymi oczyma. – A co jemu grozi?

Jacy to głupcy, myślał Weklar, ci od prowadzenia śledztwa.

– Komu?

– No, Kolskiemu?

– To zależy. Może więzienie, może karna kompania... Wiecie, co to jest karna kompania, stamtąd wraca się rzadko.

– Ja... – chciała mówić, Weklar widział jej rozpacz, jej wahanie, każdy gest był

oczywisty, natychmiast podlegający rozszyfrowaniu. Tych dwóch, myślał o Leoniaku i szefie, ja bym jednak przeniósł do linii.

– Ja...

Weklar machnął ręką. „Ach ty, dziewczyno, no i co tu począć z takimi?”

– Nie przyjechałem tu po to, żeby was przesłuchiwać. Nie miałem takich zamiarów. To, co przeżywacie, nie jest potrzebne ani Polsce, ani waszym mocodawcom. Nikomu niepotrzebne. Teraz wychodźcie na wolność. Ale zastanówcie się, dokąd pójdziecie. Dobrze się zastanówcie, co powinniście zrobić...

Leoniak i szef UB czekali w sąsiednim pokoju. Weklar pożegnał ich w milczeniu i ruszył do samochodu.

– Aha – stanął na progu, jakby sobie coś nagle przypomniał – powiedzcie, Leoniak, Kryckiemu, że jutro, najdalej pojutrze otrzyma moją decyzję w tej sprawie...

# STARUSZEK ZE SKRZYPCAMI

## 1

Kobieta w prostej spódnicy i bluzie półwojskowego kroju jest moją matką. Jakże jeszcze młoda! Taką ją pamiętam, nie przypuszczałem, że pamiętam tak dokładnie, zresztą wystarczyło zamknąć oczy – śmieszny dziecięcy nawyk pozostał we mnie na zawsze – żeby zobaczyć jej twarz. Zjawiała się niespodziewanie, matka na przychodnie, która ma tysiące spraw ważniejszych i już po chwili, zanim zdąży ucałować, myśli nie o mnie, zapomina, ucieka, gładzi po twarzy wolno, wolniutko, jakby nie pamiętała nawet, że jestem obok niej. Mamo, ty dzisiaj nigdzie nie pójdziesz! Oczywiście – pójdzie, nocuje rzadko, gdy leży obok mnie, nie śpię, bo noc jest krótka, mocuję się ze snem, aby być z nią razem, a gdy wreszcie zamykam oczy, wiem, że już jej nie zobaczę, zniknie, zanim wstanę, zostawi tylko wgłębienie w poduszce, w które można wtulić głowę.

Będziemy mieli dom. Jaki dom? Czy taki ogromny, kamienicę warszawską, czy mały z ogródkiem, w którym między dwoma drzewami ojciec zawiesi huśtawkę. Kiedy? Czy długo trzeba czekać, czy już nic nie masz dla mnie oprócz czekania? A może pójdziemy do ZOO? Byłaś nad Wisłą? Nie masz pojęcia, ile żaglówek! Chodź, zobaczymy żaglówki, ktoś nas zabierze i pojedziemy na wyspę, gdzie można cały dzień leżeć na piasku. Albo zbudować dom! Ja wiem, że nie masz czasu. Ale następnym razem – na pewno, sama mi obiecałaś, a ciocia Anna mówi, że możesz, tylko nie chcesz.

Dlaczego masz takie oczy? Skośne. Czy ja też będę miał takie oczy? A tatuś ma zwyczajne, proste, szkoda, że go nie zabrałaś, on umie kierować żaglówką. Marta stoi na scenie, której przedtem nawet nie posprzątało. Resztki dekoracji, drzewo z papieru, wiejska chałupa, pośrodku stół nakryty czerwonym sukniem. Pochylona nieco, czeka, obserwuje salę, można poszukać jej wzroku, jest obojętny, spływa po twarzach, coś jakby cień uśmiechu, może niepokój w oczach, poznaje? Nie. W głębi sala jest ciemna, tam zgromadziło się najwięcej ludzi, gadają, palą papierosy, mężczyzna w wojskowej kurtce na próżno uderza ołówkiem o blat stołu, gwar nie cichnie, nawet jeśli zacznie mówić... Czeka, nie okazuje zniecierpliwienia, jak znakomicie panuje nad sobą.

Ty płakałaś? Powiedz! Ja też czasem płaczę, ale bardzo rzadko, bo to nieładnie.

Trzeba nacisnąć palcem powieki, wtedy przechodzi. Ciocia Anna mówi, że takie dzieci, które nie mieszkają z rodzicami, nie powinny w ogóle płakać.

Żarówka jest kiepska. Oświetla tylko scenę, Martę, pierwsze rzędy ławek. Niełatwo mówić – widząc tylko część sali.

– Towarzysze...

Jakaż ona młoda! I zmusiła salę do milczenia, ludzie słuchają, patrzą na nią i słuchają, przecież nie można jej nie wierzyć, wiadomo, że mówi prawdę. Olewicz poczuł ból, paznokciami rozdrapywał niewielką ranę na dłoni, sięgnął do kieszeni, wy dostał mecenasową chusteczkę. Przed nim kilka rzędów ławek, plecy w marynarkach, kurtkach, wojskowych płaszczach. Marta zniknęła nagle z pola widzenia, mówiąc spacerowała po scenie, podeszła do rampy, ludzie wodzili za nią oczyma.

Nie rozumiał sensu zdań, wychwytywał słowa, słuchał jej głosu, śledził ruchy rąk, a gdy przerywała na chwilę, gdy przestawała mówić, ogarniał go lęk, że może straciła wątek, zostanie na scenie milcząca, wydana na pastwę sali.

– Towarzysze!

Mówiła o reformie rolnej, to wiedział, potem usłyszał: „zdrajcy”, słowo było twarde, czekała chwilę, aż sala je przełknie, rzucała wyzwanie – nikt go nie podejmował, więc powtórzyła raz jeszcze i nagle ściszyła głos, jakby zaczynała opowieść o sprawach bardzo osobistych, o własnych przeżyciach, które zawiera się komuś bliskiemu. Opowiadała o powstaniu, teraz Olewicz słuchał, widział Martę przedzierającą się z Żoliborza, ogarnął go niepokój, zamknął oczy. Ale to nie trwało długo, znowu oskarżała, mówiła gwałtowniej, szybciej, słowo „zdrada”, powtarzane wielokrotnie, straciło już ostrość, ale poczuł ból, chciał krzyknąć, prosić, by wreszcie przestała... Odnalazł jej wzrok, zwracała się teraz wprost do niego, wykladała swoją rację, swoją nienawiść, okrutna obca kobieta, na którą przed łukowską remizą strażacką czeka wojskowy gazik z obstawą.

– Wbrew zdrajcom z AK zbudowaliśmy silne Ludowe Wojsko, wyzwolimy Warszawę, dojdziemy do Odry i Nysy. A ci, którzy stają na drodze...

Nagle z końca sali rozległo się tupanie, potem ucichło, i wybuchło znowu, już głośniejsze...

– Spokój tam...

Ktoś przepchnął się między ławkami, otwarto drzwi, mężczyzna w wojskowej kurtce bębnił pięścią po stole. Było tak, jakby sala pogrążona dotąd w bezwładzie czy zdziwieniu ocknęła się, twarze wypryskiwały z ciemności, szeroka smuga światła idącego od otwartych drzwi oświetlała je niby reflektor. Głos Marty przedierał się jeszcze przez wrzawę, stała

nieruchomo na scenie, tocząc swoją samotną walkę i nie można jej było pomóc nawet gestem lub spojrzeniem.

Obok Olewicza siedział młody chłopak ubrany podobnie jak Stefan, w długich butach i cywilnej marynarczynie, włosy odgarniał z czoła, twarz miał puciołowatą, dziecięcą, ale bez uśmiechu.

Gdy wrzawa na chwilę opadła, wsadził dwa palce do ust, ale nie zdążył zagwizdać, Stefan chwycił go za ramię, palce wbiły się w ciało tamtego. – Spróbuj! Chłopak wyrwał rękę i po chwili przedzierał się już środkiem sali w kierunku wyjścia. Ale gwizd dochodził już z ciemnych kątów, docierał do sceny, wybuchał i zanikał, ktoś parsknął śmiechem, Marta przestała mówić, podeszła do stołu. Wtedy rozległ się śpiew. Ci z pierwszych rzędów wstali z ławek, pieśń zdusiła wrzawę, nie było już nic poza nią, na scenie – Marta i mężczyzna w wojskowej kurtce stali na baczność.

*Wyklęty powstań ludu ziemi, Powstańcie, których dręczy głód...*

Olewicz podniósł się także. Nie śpiewał, myślał o pieśni, powtarzał jej słowa. Był to hymn obcy, bolesny. Stefan czuł, jak każda zwrotka, wybuchająca coraz głośniejsze, oddziela go od matki, uniemożliwia powrót.

*Bój to będzie ostatni...*

Ludzie opuszczali salę. Tłum gęstniał w drzwiach, słyszeć było tylko tupot nóg, nie rozmawiano, wiać kończył się ciszą. Stefan podchodził do sceny, solidnie pracując łokciami minął pierwszy rząd ławek, stanął tak blisko, że zobaczył zmarszczki na twarzy Marty. Nie była jednak tak młoda. We włosach siwe kosmyki, pod oczami głębokie bruzdy... Skóra zwiotczała, pożółkła. Pałac papierosa rozmawiała z mężczyzną w wojskowej kurtce i oficerem, który trzymał ją poufale za ramię. Olewicz patrzył, jakby chciał nasycić się jej widokiem, zapamiętać gesty, sposób strząsania popiołu, mrużenia oczu, gdy mówiła, lub też niecierpliwym ruchem ręki. Miał przecież zamiar podejść i był wewnętrznie gotów, nawet zdecydowany, ale teraz, gdy dzieliło go od Marty zaledwie parę kroków, poczuł, że mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa. Sala była już niemal pusta, trwał samotnie przed pierwszym rzędem ławek, muszą go za chwilę dostrzec, właściwie nie miał już wyboru, ale lęku, który ogarniał go coraz mocniej, pokonać nie umiał.

Co powiem jej potem – wracało natrętnie, nic, nic, nic – wystukiwało w mózgu, jakby ktoś jednym palcem naciskał klawisze maszyny. Do wszystkich diabłów z taką zabawą.

– Wy, towarzyszu, do nas? – zapytał przerywając rozmowę mężczyzna w wojskowej kurtce. Spojrzeli na Olewicza wszyscy, poczuł wzrok Marty, obojętny, nieuważny. Pochylił nisko głowę, stał zresztą w cieniu, nikt nie mógł zobaczyć jego twarzy.



– Nie, ja nie. Ja tylko tak. – Odwrócił się i, zgarbiony, szybkim, coraz szybszym krokiem opuszczał salę. Nie zatrzymywali go.

Potem objęła Olewicza szarość, zbliżał się bowiem wieczór. Maszerował łukowską ulicą, zupełnie nie wiedząc dokąd, mijał domki, w których zapalano właśnie światła, obojętnie, nie czując lęku, przeszedł obok wojskowego patrolu, wreszcie stanął w przestrzeni już niemal pustej, usłyszał odległy gwizd parowozu, który drażył ciszę jak sygnał alarmowy.

– Dokąd teraz? – zapytał. – Dokąd teraz? – powtórzył głośniej.

Adres pamiętał, ale nawet nie pomyślał o nim. Chciało mu się po prostu spać, okrutnie pragnął ciemności, która przychodzi po zamknięciu oczu, studni pochłaniającej świadomość, gdy opada się w głąb jak na linie ostrożnie rozwijanej. Rozejrzał się wokoło. Mrok obejmował pola, za nim sterczała samotna kamienica, przed nim – droga do stacji kolejowej.

W poczekalni dworcowej było czarno i tłoczno. Olewicz odnalazł miejsce na ławce, skurczył się na nim, jak umiał, ale sen nie przychodził. Dokąd teraz? – powtarzał w kółko, tępe narzędzie rozdrapywało ranę, ból powracał mu przytomność, otwierał oczy, smuga światła padała na podłogę, skurczony kształt ludzki podnosił łeb z posadzki i podejrzliwie rozglądał się wokoło.

Przeszło dwa miesiące trwało powstanie warszawskie. Marta przechodziła przez Wisłę, gdy miasto już płonęło, a na prawym brzegu stały wojska radzieckie. Chłopcy umierali w walce, nie było już miasta. Czego właściwie chcieli, po co umierali na Starówce, na Woli? Dlaczego tak było? Zanim zdążyłeś zdradzić, oddano cię pod sąd, pozbawiono prawa apelacji, nikt nie uwierzył w twoją obronę. Czego chciałeś naprawdę? Czego, do diabła, chciałeś naprawdę, włócząc się w partyzanckim oddziale i strzelając do wroga. Żeby zginął porucznik Kotwa? Co ma do tego porucznik Kotwa? Ktoś dobrze ukryty za krzakiem wygarnął serię z automatu. To ty? Zabrakło czasu na szukanie winnych. „Kogo namawiałeś do dezercji?” „Dokąd uciekli?” „Twój punkt kontaktowy?” „Od kogo otrzymywałeś polecenia? Gadaj. Powiedz prawdę, to... „ To co, proszę panów? Rzadko oplaca się mówić prawdę. Trzeba ją jeszcze znać. „Wbrew zdrajcom spod znaku AK?” Wbrew, matko? Czemu to przeciwstawiałem się z takim zapałem, przeciwko czemu walczyłem, czy w ogóle należy odpowiadać na pytanie, którego nikt nie stawiał, bo odpowiedź była zbyt oczywista.

Ból ściska krtań, oto Łuków, dalej lasy, które oznaczał na mapie dowódca oddziału, któż nie znał ich na pamięć, były własne, rodzone, wzięte w partyzanckie posiadanie. „Jaki jest twój punkt kontaktowy?” Nie mam proszę pana, czy proszę towarzysza, punktów kontaktowych, spaliły się niby po krótkim spięciu. A jeśli by nawet mój notes pęczniał od adresów – nie pójdę. Pan mi nie wierzy? Prawdy nie oplaca się wyznawać, jest nikła, żadna,

nijaka. „Wy chcecie wmówić we mnie, że jesteście czysti i naiwni jak nowo narodzone dziecko, wy, Olewicz, oficer AK, człowiek, który przed tygodniem namawiał do dezercji, a przed dwoma dniami przeszedł nietknięty drogą, na której zginął porucznik Kotwa?” Nie, nie oświetlono mnie reflektorem, nie mam żadnych znaków wypisanych na twarzy i mój kolega czekający z automatem mógł spokojnie strzelać nie narażając się na wyrzuty sumienia. Co za idiotyczna zabawa?

„Przyszedł czas decyzji, od was zależy decyzja!” Niby jaką to decyzję ma podjąć porucznik Olewicz. Kpiny ze zdrowego rozsądku, dowódca rozważa pro i contra, zna siły przeciwnika oraz własne możliwości. Kolorowym ołówkiem wyznacza na mapie kierunki uderzeń. Żołnierz idzie na śmierć, chłopak odbezpiecza granat, decyduj! A porucznik Olewicz powinien zdecydować, kto ma rację? Co będzie lepsze dla tego kraju?

Po dziesięciu latach matka go nie poznała. Powiadają: intuicja, instynkt, przecucie. Gównno. Stała na scenie, gdyby wyciągnął rękę, mógłby dotknąć jej spódnicy. No i co... Decyzja została podjęta bez rozważań, powstała sama z siebie, konieczna i oczywista. Inaczej nie bywa. Człowiek idzie drogą, a droga prowadzi dokąd chce, niebo rozpięte nad nią zniża się linią horyzontu pod nogi.

Gdyby matka czytała jego wiersze... Każdy smarkacz pisze wiersze, o niczym to nie świadczy. W ogóle nie warto pamiętać. Pamiętać. Pamiętać. Dziewczyna nazywała się Zosia. Trzeba było poszukać jej śladów w Białej Podlaskiej, ale ona przecież nie jest z Białej Podlaskiej.

## 2

Niczego się właściwie nie zdążyło w życiu na dobre spróbować. Miłości też. Trudno nawet zapamiętać twarz dziewczyny, jeśli były dwie noce, a człowiek nie bardzo wiedział, czy to rzeczywistość, czy gorączkowe majaczenie. Jak szybko następowało to po sobie, nie można uszeregować wydarzeń, już się mieszają, światła i cienie, kolorowe smugi pocisków, wybuchy i cisze, ból i spokój, który trwał tak krótko, tak krótko...

– Chłopcze, skrzypce są twarde, podnieś głowę, na skrzypcach nie można spać.

Staruszek był niski, pokurczony, tkwił na ławce pomiędzy nim a grubą jejmością, a zajmował tak mało miejsca, jak tylko może zajmować człowiek bardzo złakniony odpoczynku. Skrzypce, na których właśnie oparł głowę Olewicz, czule obejmował, stanowiły

zapewne cały jego ruchomy i nieruchomy majątek. Stefan oprzytomniał, poczuł się nawet nieco wypoczęty, oblizał wargi, były bardzo suche.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. Jak człowiek zmęczony, to do deski się przytula, ja przecież najlepiej rozumiem – staruszek paplał szybko. – Ty, chłopcze, pewno nie przywykłeś, na dworcach trzeba umieć spać, to też sztuka, ja umiem, dobrze mi, jak wolne miejsce na ławce znajdę, nie muszę rozkładać barłogu na posadzce, szczególnie jesienią, bo bywa zimno...

– Bywa zimno...

– I gęby nie ma do kogo otworzyć. Tylko do człowieka, obok którego śpisz w nocy. A czasem ci coś odburknie albo roześmieje się w nos, albo też mówisz, opowiadasz niby komuś, a on chrapie i nie od razu wiesz, że śpi, bo twarzy nie widać. Twoją twarz zobaczyłem, bo przeszedł jeden z latarką bardzo blisko i myślę sobie: młody, dzieciak prawie, wybaczone, ale mnie już dawno sześćdziesiątka stuknęła, więc wolno staremu, pewno, myślę, do rodziców jedzie. Może też pracy szukać w Lublinie... A mówiłeś przez sen.

– Co mówiłem przez sen?

– Nie bój się. Tu ludzie swoich twarzy nie widzą, a jak zobaczą, natychmiast zapomną, nic złego zresztą nie mówiłeś, imię tylko kobiecie powtarzałeś w kółko, raz nawet z krzykiem, właśnie dlatego ci skrzypce odsunąłem spod głowy.

– Jakie imię?

– Marta. Bardzo często, pewno twoja dziewczyna tak się nazywa.

– Moja dziewczyna.

– No widzisz. Może do niej jedziesz? Teraz ludzie pogubili się po świecie, mówią, że wojnie niedługo koniec, więc trzeba znowu być razem. Jeden znajomy kolejarz powiedział mi wieczorem, że nad ranem nadejdzie towarowy do Lublina, na który da się włądować pasażerów. A do Brześcia także powinien nadejść, nawet wojskowym transportem, jak Bóg pozwoli, można pojechać, ja, choć stary, na parowozie już jechałem, tylko strach mnie ogarniał, że skrzypce z rąk wypuszczę. Jedną ręką trzymaj się za balustradę, a drugą skrzypce.

– Nigdzie nie jadę.

– Nigdzie? – Staruszek milczał chwilę, trawiając odpowiedź. – A papierosa albo tytoń masz?

– Mam.

Wziął ostrożnie, powąchał, a gdy zapalał, Olewicz zobaczył jego twarz pomarszczoną i suchą, wargi miał wąskie, cienkie, narysowane jakby jednym niedbałym pociągnięciem

ołówka. Zmarkotniał.

– No dobrze. Prawie tak jak ja. Ja ciągle jeżdżę, ale właściwie nigdzie nie jadę.

– Dlaczego?

– Bo gram. Gram, a nawet śpiewam, ludzie przywykli już do takich, płacą. Więc mi wszystko jedno dokąd – znowu się rozgadał – wyłażę z pociągu, miasteczko, stoję na ulicy i wyciągam skrzypce. Tylko nie wiem, co będzie w zimie, boję się okropnie, teraz nocleg znaleźć trudno, może gdzie na wsi, ale ja przywykłem do miasta.

– To pan samotny?

– Młody człowieku! Z niejednego pieca chleb jadłem i wielu miałem bliskich. Ale teraz już nic, postanowiłem, że będę sam, zupełnie bez nikogo na tej polskiej ziemi. Chcesz, to opowiem ci historię, nie tobie pierwszemu, ale właśnie tobie, bo jakoś mi się podobasz i ten krzyk przez sen dobrze o tobie świadczy. Wiesz, gdzie miasteczko Borowica?

– Wiem – odpowiedział Olewicz.

– No widzisz. Ja tam mieszkam, rozmaicie żyłem, ale ostatnio bardzo źle. Żebyś wszystko wiedział: mam tam córkę, ona mnie, co tu gadać, karmiła, ale dławiło człowieka to żarcie, bez przerwy wymówki, że nie pracuję, nie zarabiam, nie umiem jak inni nał wet zebrać. A ja, rzeczywiście, nie umiałem, przed wojną także, nawet w więzieniu mnie zamknęli za takie rzeczy, za które dzisiaj order dają. Nie o to jednak chodzi. Borowica jest miasteczkiem niewielkim, ludzie jak wszędzie znają się oczywiście nawzajem, wystarczy głowę na ulicę wychylić, a pokazują palcami. Ja nie miałem przyjaciół, tych dawnych musiałbym zapewne szukać gdzie indziej, może w partyzantce, może w Lublinie, a nowi się nie trafili. Więc sam jak palec i do tego chory, bo trzeba ci wiedzieć, że miałem, właśnie miałem wrzód żołądka, czułem się niepotrzebny i już chciałem wyjechać do Lublina, dawny kolega, to inna historia, obiecywał mnie urządzić, gdy poznałem Ją. Mówić o kobiecie na progu sześćdziesiątki to głupio, ale mogę, ponieważ ona była jeszcze starsza i jeszcze bardziej samotna. Wdowa, zajmowała się krawiectwem, syn-komunista wyjechał do Hiszpanii i nie dał znaku życia, synowa, widziałem ją zresztą raz tylko jeden, przepadła gdzieś w Polsce, a wnuka oddali rodzice na wychowanie komuś w Warszawie i nawet sposobu nie było, żeby do chłopaka dotrzeć. Myślała o tych swoich nieustannie, choć przecie bolało ją, że własny syn nie zaufał matce żony i dziecka, tęskniła, jak tylko matka umie, taką tęsknotą, od której płacze w człowieku serce. Miała własny domek, chałupę właściwie, zajmowała w niej jedną izbę, a resztę odnajęła pewnej handlarce, która prowadziła sklep spożywczy. Handlarka dawała na kredyt, wdowa, co mogła, to spłacała z krawiectwa, ale potem zachorowała ciężko i już nie pracowała. Wtedy właściwie ja jej tylko zostałem, ja jeden, też do niczego, ale mnie trzymała,

że mogę na coś się przydać. Przychodziłem codziennie, a właściwie to wychodziłem stamtąd rzadko, choć handlarza patrzyła krzywym okiem, a córka krzyczała. Jedzenie przynosiłem w menażce, co dali w domu, ja z talerza do menażki, tłumacząc, że ja jeść lubię w samotności... Sprzedałem, co mogłem, ale w końcu tośmy już głodowali...

Jak by ci tu powiedzieć. Siedziałem u niej w pokoiku, leżała na łóżku, chuda, kaszłała coraz bardziej, a ja patrzyłem na nią i myślałem. Jak to jest? Dlaczego ta kobieta wydaje mi się taka bliska? Ani żona, ani jakaś inna, ale bliższa od córki i od synowej. Chciałbym jej pomóc, a przecież nie mogę, na pewno umrze, a ja zostanę wtedy sam i cały świat przestanie mnie obchodzić. Chyba tak samo myślisz o swojej dziewczynie, jak o niej myślałem. Więc rozmawialiśmy bardzo dużo, ona mi opowiadała swoje życie, nic niezwykłego, wszystkie tak żyją, a mnie żalność ścisłała za gardło i nie umiałem słowa z siebie wydusić. Chciała zobaczyć jeszcze syna, dlatego pragnęła żyć, więc postanowiłem zdobyć pieniądze na lekarza. Prosiłem handlarkę, nie dała, nawet mebli, które stały jeszcze w pokoju staruszki, nie chciała kupić, oświadczyła, że i tak to wszystko jej, bo tyle wdowa nabrała w sklepiku. Więc zwróciłem się do córki. Miała jeszcze parę złotych, które chroniła jak oka w głowie na tak zwaną czarną godzinę. Odmówiła. Więc nocą wyciągnąłem sam te pieniądze spod bielizny w szafie, ale, głupiec, poszedłem spać, a ona je rano znalazła u mnie w kieszeni. Narobiła rwetesu, jakby dom się palił. A ojciec taki, a owaki, a złodziej, a pijaczyna. Wszystko nieprawda, kieliszka wódki, choć lubią, w gębie nie miałem. Uciekłem z domu. Nie miałem wyjścia. Słuchaj pani, mówię do handlarce, jak wdowa zemrze bez lekarza, sam pójdę na żandarmerię i powiem, żeś ją głodem zamorzyła. Niewiele ci zrobią, ale przykrość.

Przestraszyła się. Lekarz przyszedł, ale było już za późno, powiedział, że księdza należy wołać, bo kobieta niedługo zemrze i nic na to nie można poradzić. Nic nie można poradzić. Siedziałem u niej przez ostatnią noc, żeby choć szklanek wody podać. Całkowicie była przytomna, okna kazała na oścież otworzyć i w moją rękę paznokciami się wbiła, bo ją bolało.

„Nie odejdziesz – mówiła. – Nie odejdziesz, bo się okropnie boję, raz tylko w życiu tak się bałam. Siedziałam na dachu, a wokoło woda, zupełnie czarna i taka nieruchoma, jakby ze szkła. Myślałam, że to strasznie boli połykanie takiej twardej wody, kiedy wchodzi do ust i do oczu”.

Potem kazała mi spod poduszki wyjąć papierek, na którym napisane było, że dom i wszystkie rzeczy mnie zostawia jako jedynemu spadkobiercy.

„Jak mój syn wróci – powiedziała – jak wróci, to do ciebie niby do ojca...”

Umarła.

Nic nie dostałem, bo wszystko zagarnęła handlarka, prawa na nią nie było.

Ale syn wdowy wrócił.

– Wrócił – powtórzył Olewicz – wrócił, i pan co? Czemu pan nie mówi, sam pan przecież zaczął opowiadać.

– Bo już nie ma co, bo ja do niego nie poszedłem.

– Dlaczego?

– Jak by ci tu powiedzieć? Widziałem go raz. Panie generale, mówię, pana matka umarła, a chodzi o dom...

– Jest generałem?

– Tak. Właśnie generałem, prosty chłopak z tego miasteczka.

– I co?

– Kazał mi przyjść do siebie następnego dnia. Zwyczajnie, niby interesantowi.

– Jak to?

– Bo pewno myślał, że naprawdę chodzi o dom. Więc nie poszedłem. Pomyślałem sobie, że nic mu nie mam do powiedzenia. Chodzę sobie i gram.

Olewicz milczał. Przez brudne okna dworcowe sączył się powoli świt, ludzie wstawali z podłogi, z daleka dobiegł gwizd parowozu.

– Pewno lubelski – powiedział starszek – jedziesz?

– Dokąd?

– Do Lublina. Może pod Lublin.

– Nigdzie nie jadę.

– Chodź ze mną. Będziemy śpiewać piosenki, na życie się zarobi, jeden młody, drugi stary, może milicja nas nie ruszy.

– Nie.

– Jak chcesz. Ale następnej nocy nie spędzaj na dworcu, tu mogą być tacy, którzy pamiętają twarz.

### 3

Poznał ją wówczas, gdy stanęła na placyku przed dworcem i spojrzała bezradnie w kierunku odległego miasteczka, mgła uniosła się właśnie nieco w górę, deszcz, ukośne tasiemki wody, uderzał po twarzy, nacisnęła mocniej beret, ale nie ruszyła z miejsca. Wargi

jej drżały leciutko, gdy podawała mu rękę. Olewicz chciał ją pocałować, dotknął ustami skóry policzka, była wilgotna i mokra. Wyglądała chyba inaczej niż wówczas w Białej, szczuplejsza, rysy miała twardsze, jakby zdarto z jej twarzy dziecinną świeżość, oczy pozostały tylko te same, pamiętał je zresztą najlepiej, nawet w nocy, w ciemności, gdy nachylała się nad nim, oczy miała otwarte i mógł je widzieć. Teraz nad wszystkim górowało zaskoczenie, nie wierzył jeszcze, że to ona naprawdę, sądził, że to się nie mogło zdarzyć, więc chciał Zosi wytłumaczyć jakoś swój stan, wyrazić niejasność tego, co odczuwał, ale milczał, ona też milczała, placyk przed dworcem już opustoszał, deszcz padał coraz większy, a mgła pochłonęła znowu miasteczko.

Mogło się przecież okazać, że są zupełnie obcy, nie chciał pytać, czekał, wziął plecak, który dźwigała na ramieniu i poszli drogą do pierwszych kamienic, które sterczały samotne w polu.

Milczenie jej ciążyło, gdy szła obok niego, lekka, bo wyzwolona od plecaka, zaczęła mówić, najpierw powoli i nieśmiało, jak do człowieka bardziej nieznanego niż ktoś obcy spotkany przypadkowo, później – szybko, aby wiedział wszystko od razu, uchwycił ważność spraw i powagę przeżyć. Przecież nie znał nawet jej nazwiska, wówczas nie mieli nazwisk, zupełnie inni niż teraz, bez bagażu, który przytłacza i unieszczęśliwia, bez przyszłości, a jeśli były jakieś rojenia, to znikwały, ktoś miał ochotę i czas do mierzenia głębokości uczuć czy żalu po utracie miłości. Oczywiście, nie jest wcale pewna, czy wówczas nie cierpiało się i nie kochało równie mocno jak dzisiaj, ale przecież inaczej, jeśli – zarumieniła się – kochanek, to nie na wieczność, nie na zawsze, ale na dziś, na jutro, bo dalej nikt nie sięgał. Trudno jej wyrazić to, co chce powiedzieć... Było widocznie lepiej, umieli żyć, wiedzieli, czego się trzymać, teraz grzęzną, marsz przez bagno, kiedyś przeprawiali się przez bagno, nie można wyciągnąć nóg, człowiek traci kierunek, każdy jest dobry i jednocześnie zły, wybierasz, ale nie idziesz, sterczysz na kępie jako tako bezpiecznej. Nie, nie to chciała powiedzieć. Zabili jej ojca, nazywał się Brzecki, adwokat, teraz już mówi się nazwiska, był szyszką podczas okupacji, ale uznali, że zdradził, bo chciał iść do tego wojska, więc posiekali kulami, nawet twarz, nie chciała go już oglądać, podobno twarz... nie warto o tym mówić... Czy znaleźli morderców? Jak można w ogóle o to pytać, szukali, przesłuchiwali ją jeszcze przed pogrzebem, tłumaczyli jak dziecku, że powinna mówić, bo śmierć ojca musi zostać pomszczona, tamci nie mieli względów ani litości, więc dlaczego ona, kierując się solidarnością, która nie istnieje lub jest tylko zbrodniczą – nie chce pomóc władzom, nie chce odważnie pójść drogą, na której ojciec zginął... Co powinna zrobić?

Olewicz zauważył, że łzy jej płyną po policzkach, otarła je dłonią, jakby wstydząc się,

i znowu mocniej nacisnęła beret, zbyt gwałtownie, ruchem niemal męskim. Więc czy mogła zostać w Borowicy? W pustym mieszkaniu, bez ojca, z pogardą dla siebie i pogardzona przez jednych i drugich? Na pogrzeb nikt, niemal nie przyszedł, to znaczy nikt ze znajomych, z bliskich, obcy ludzie, twarze, których nie znała, robotnicy, żołnierze, chudy mężczyzna w mundurze krzychał podnosząc ręce nad głowę, orkiestra grała marsza Chopina. Nie pamięta przemówień, nie mogła ich słuchać, mówili, że ojciec miał rację, o bohaterstwie i że nikt nie zatrzyma historii. Czy naprawdę miał rację? A jeśli nawet tak, czy wolno mu było ją głosić po tym wszystkim, co zrobił podczas okupacji, czym był dla tych chłopców? Nie, nie mogła zostać w Borowicy. Ponieważ pod Łukowem, niedaleko, siedem kilometrów, mieszka w leśniczówce ciotka, postanowiła do niej jechać, to jedyny bliski człowiek, u którego można się zatrzymać. Ciotka jest samotna, wuj zginął podczas okupacji, niedawno zresztą, jest zwariowana, dzika, ale dobra, a przede wszystkim cicha, nie chce nic wiedzieć, bo myśli i mówi tylko o zmarłym mężu. Olewicz milczał. Teraz była jego kolej, ale czekał jeszcze, jakby chciał usłyszeć coś najważniejszego. Minęli rynek, poszli długą ulicą obok parterowych domków, które wydawały się puste i nie zamieszkane. Brnęli z trudem błotnistą ścieżką. Stefan przerzucił plecak na lewe ramię, spojrzął na dziewczynę, która teraz milczała, jakby zapomniawszy o jego obecności. Zobaczył granatową ścianę lasu, pomyślał, że tam będzie cieplej, drzewa ochronią od wiatru, który ostro smagał po twarzy.

– Słuchaj – powiedział – nie mam dokąd iść, jestem zupełnie sam, czy weźmiesz mnie ze sobą?

Milczała, dopiero gdy dotarli do pierwszych drzew i objął ich półmrok, usłyszał:

– Znam tylko twoje imię. Powiem ciotce, że jesteś moim mężem.

Olewicz rozpoczął spowiedź.



# LEŚNICZÓWKA

Była to spowiedź nieskończona, rozmowa z samym sobą, do której wciąż wracał, we dnie, gdy czas wydłużał się niepomiaralnie, w nocy, gdy usiłował zasnąć patrząc na ledwo widoczną w mroku twarz dziewczyny.

Leśniczówka wydała się istotnie bezpiecznym schronieniem. Wiodła do niej droga przez las, wąska, z trudem mieszcząca jedną furmankę, za piaszczystym wzgórzem otwierał się nagle widok na polanę, w środku sterczał domek, właściwie wiejska chałupa z gankiem obrośniętym dzikim winem, koślawy płotek odgradzał podwórko, po którym spacerowały kury. Do najbliższej ludzkiej osady było stąd pięć kilometrów, a rzadko kto do wdowy zaglądał, w lecie tylko baby zbierające jagody albo gajowcy, aby wspomnieć pana leśniczego, który zginął za Polskę.

– Więc nie żyje twój ojciec – powiedziała ciotka.

– Dobry był zawsze chłopak, choć nieco pomyłony. Maleńka, szczupła, gdyby nie gęsta sieć zmarszczek, niemal dziewczęca, krążyła po pokoju, ciągle coś przestawiając albo ścierając kurze. Służąca (okalało się, że ciotka nie mieszka samotnie), potężna wiejska baba, dobrze już chyba po pięćdziesiątce, tkwiła na krześle, sztywna, wyprostowana jak podczas pierwszej wizyty.

– Więc masz męża. Teraz ludzie pobierają się tak wcześnie, może to i dobrze, trzeba mieć czas. Jak ci na imię, mój chłopcze? Stefan... mów mi: ciociu, oczywiście, ładne imię, mieliśmy w rodzinie już dwóch, jeden inżynier, umarł na suchoty, w którym to było: chyba w trzydziestym czwartym, drugi, zupełnie nieudany, pisał wiersze i pił wódkę. Mam nadzieję, że nie piszesz wierszy? Mój mąż też nie brał pióra do ręki, a pił niewiele. Zosia pamięta przecież wuja. Cóż to za wspaniały człowiek, rzadko teraz tacy bywają, wysoki, silny, umiłował swoją pracę, a znał las jak nikt na świecie. Wyszedł rano, ucałował mnie w czoło, bardzo żeśmy się kochali, i mówi: wrócę za dwie godziny. Mija trzecia, czwarta, obiad już wystygł, a taki dobry był tego dnia obiad, tylko ja czekam, nie odchodzę od okna, widać stąd drogę, gdy wchodził na polanę, zawsze mnie dostrzegał: twarz przylepiona do szyby, moja ukochana żona znowu na mnie czeka. Gwiazdy, patrzę, jakie niebo rozgwieżdżone, i serce mi pęka z niepokoju, już z rozpacz, bo wiem, że coś się stało... Wreszcie patrzę: furmanka, wyjeżdża powoli z lasu, dwóch mężczyzn obok konia, wyskoczyłam na polanę, biegnę, krzyczę... „Widzisz – mówi – widzisz, jak ludzie żyją, a nam tutaj dobrze. Mamy kawałek własnego domu i ciszę, szkoda tylko, że dzieci brak, zawsze myślałam o synu, ale widocznie Pan Bóg nie

chciał?”. Dlatego Zosię bardzo lubił, często ciebie, Zosiu, wspominał, dziewczynkę z warkoczykami, która bawiła się tutaj latem, a u nas przecież miejsca dużo i las, jak to powinno być dla dzieci.

Więc mieszkajcie sobie, ile chcecie, rozumiem, że powinnaś odpocząć po śmierci ojca. Nie, ja się nie boję, mnie wszystko jedno, o nic nie pytam, gdyby wuj żył, postępowałby tak samo, bo zginął przecie nie po to, żeby oni panowali w kraju. Jedzenia tymczasem starczy, co mogę sprzedać, a własnego też trochę jest, nie schowam, ani sama z Janką nie zeżrę.

Wstawili łóżka do pokoju, który był dawniej czymś w rodzaju gabinetu leśniczego. Duże biurko pod oknem, czyste i puste, tylko fotografia mężczyzny w długich butach sterczała pośrodku, w miejscu, które przeznacza się zwykle na kałamarz. W oszklonej szafie parą książek, album z rodzinnymi zdjęciami, listy powiązane niebieską wstążką. Dwa proste krzesła, które ciotka postawiła troskliwie przy łóżku, lampa naftowa ze szkłem starannie wyczyszczonym, no i kreton w kwiaty na oknach, przetarty już gdzieśgdzie, ale świeżo wyprany.

Był to ich pokój. Zostali sami, ciotka chodziła jeszcze szybkimi kroczkami po kuchni, potem wszystko ucichło. Olewicz podszedł do okna i odgarnął zasłonę. Las sterczał nieruchomo, bliżej niż przypuszczał, czarna ściana chroniąca od zasadzek tego świata. Po niebie przesunęła się nagle gwiazda, jasny przecinek na granatowej powierzchni.

– Odejdź od okna – powiedziała Zosia.

Była ładna, niezwykle ładna, gdy zrzuciła wytarte pensjonarskie paletko i została w prostej niebieskiej sukni zapinanej wysoko pod szyję. Na nogach miała pantofle z pomponikami, które przyniosła jej ciotka, chodziła po pokoju lekko, niemal tanecznie, zajrzała do szafy, przesunęła fotografię wujka, a potem zabrała się do swego plecaka, rozpakowała go, starannie układała rzeczy na półce.

Stefan śledził każdy jej ruch, milczał, przeklinał własną niezręczność, do której powinien już przywyknąć. Myślał, że jest tak, jakby widział ją po raz pierwszy, niedawno szli lasem, opowiadał, a ona słuchała w milczeniu. Gdy zrelacjonował ucieczkę i dobrnął właśnie do spotkania z matką, gdy począł jej wyjaśniać, dlaczego nie wie, jak postępować dalej, przerwała nagle, bardzo zniecierpliwiona, gwałtownym ruchem ręki.

– Nie mówmy więcej o tym. – A potem już łagodniej. – Ja wiem przecież wszystko, nie gniewaj się, nie mogę już słuchać, może kiedyś później.

Od leśniczówki dzieliła ich jeszcze droga przez las, Zosia знаła tu każdy zakątek, pokazywała miejsca zabaw, polankę, gdzie postawili niegdyś szałas, stok wzgórze przypominającego kopułę, podobno mieścił się tu pogański cmentarz.

A Stefan, wbrew jej nastrojowi – domagał się wciąż rozmów poważnych, żeby rozstrzygać, gadać o przyszłości, podejmować decyzje. Zosia protestowała zawzięcie. Wydawała się szczęśliwa, przypominała pensjonarkę przyjeżdżającą na wakacje, a gdy zobaczyli wreszcie domek ciotki, zrzuciła mu plecak z ramienia.

– Pocałuj mnie!

– Pocałuj mnie!

Przyszła sama. Skończyła porządkowanie rzeczy i zwyczajnie usiadła obok niego, kapcie z pomponikami ześlizgnęły się z nóg, zdążyła jeszcze zdmuchnąć płomyk lampy, ogarnęła ich ciemność. Stefan, podobnie jak wówczas w Białej, zobaczył twarz dziewczyny bardzo blisko, zamknął oczy, zapomniał. Zosia wprowadzała go w świat, którego nie znał, sądził teraz, że dni są tylko po to, aby nastąpiła noc, a gdy budził się rano, z trudem odrywając głowę od poduszki, jej nie było już przy nim, słyszał jej głos i ogarniała go natychmiast tęsknota.

– Kocham cię. – O niczym więcej nie chciała mówić.

Od dnia, w którym się spotkali, nie wspomniała ani razu ojca lub Borowicy, znalazła sobie zresztą mnóstwo gospodarskich zajęć, którym oddawała się z niezwykłą pasją. Gotowała obiady, ciotka po paru dniach przystała na „krótkoterminowy urlop”, lubiła też siedzieć w „ich” pokoju, czytać stare listy lub też porządkować zdjęcia, które nie mieściły się w rodzinnym albumie wujostwa.

Służącą wysyłano po prowiant, a Zosia królowała w kuchni. Stefanowi pozwalała jedynie na rąbanie drzewa oraz asystowanie „jej robocie”. Toteż dzień wydłużał się niepomiarowo, najlepsze były wczesne wieczory, gdy siadali w pokoju ciotki, a starsza pani powtarzała w kółko to samo, ponieważ wyczerpał się już jej zasób wspomnień o mężu.

Olewicz nie słuchał, zamykał oczy i pogrążał się w półśnie. Wiedział, że przez cały czas Zosia obserwuje go bacznie.

– Znowu myślałeś – mówiła, gdy wchodzili do pokoju. Zapalała lampę, wątle najpierw światelko wydobywało z mroku pustą powierzchnię biurka i fotografię leśniczego.

– Kiedy byłam mała – opowiadała – nie dziecko, ale uczennica gimnazjum, marzyłam o bezludnej wyspie. Że będę sama albo z kimś, przyznam ci się, że nawet z kimś, tylko zawsze z innym. No i cóż to straszego: bezludna wyspa! Szczególnie teraz. Urocze schronienie. Tysiące ludzi nie marzyło o niczym innym w ciągu pięciu lat tej wojny. A Żydzi? Ukrywali się przez wiele lat w piwnicach, strychach, komóreczkach, aby tylko przeżyć. Czy sądzisz, że z nami jest gorzej? Rozchmurz się... Nie możemy wracać, więc siedzimy tutaj jak u Pana Boga za piecem. Co będzie, to będzie...

Kiedyś, gdy przyłapała go znowu „na myśleniu”, przeszła do frontalnego ataku: – A jaka jest właściwie ta twoja matka? Jaka? Może to o niej dumasz bez przerwy?

Nie umiał opisać Marty, młoda, zupełnie nie wygląda na swoje lata i ma skośne oczy.

– Widzisz! Sam o niej nic nie wiesz! Kochasz ją? Nie odpowiedział.

– Kochasz ją mocniej niż mnie?

A któż by tam mierzył rozmiary miłości! Tylko kobiety umieją zadawać takie pytania.

– Mnie przecież kochasz?

– Tak, oczywiście.

Usiadła przy biurku pochylona nad książką, udając, że czyta. – Idź spać, daj mi spokój, nie podchodź do mnie.

Sterczał bezradnie na środku pokoju.

– Już wszystko rozumiem – gadała. – Tęsknisz do swojej matki i jeszcze tam do czegoś. Ja się przypadkowo napatoczyłam, nie ja, znalazłbyś 'inną. Przecież wszystko widzę, nie śpisz, myślisz, chciałbyś już odejść, źle ci tu ze mną niby w więzieniu.

– Nieprawda.

– Nieprawda? A kto to chodzi mrukliwy i smutny, kto duma całymi dniami, kto patrzy na drogę przez las jak na drogę do wolności?

– Nie patrzę.

– Ja mam więcej powodów do rozpaczki, mnie jest trudniej, a czy nie jestem wesoła, szczęśliwa, zakochana...

Ostrożnie otwierał oczy, gdy nie był pewien, czy Zosia śpi. Noce były teraz księżycowe. Olewicz dokładnie widział twarzy dziewczyny, ale nie myślał o niej. Przetrawiał w sobie wszystko od początku i wciąż podejmował nowe postanowienia. CO POWINIEN ROBIĆ? A może należało podejść wówczas do matki, zwalić jej na głowę ten kłopot, niechby między jednym a drugim przemówieniem zajęła się losem syna. Cóż za znakomite przedstawienie, choćby dlatego należało je rozegrać do końca. I natychmiast buntował się przeciwko „takiemu myśleniu”. Sam musi decydować, ale co może postanowić?

Po toś, człowieku, włóczył się w partyzantce, po toś głowę nadstawiał... żeby cię teraz pozbawili nawet prawa pójścia na front...

Rano służąca Janka przyglądała się Stefanowi rąbiącemu drzewo. Sterczała na ganku, ręce ukryte pod fartuchem, i uważnie, bez aprobaty, śledziła jego ruchy. Dzień był pogodny, nocą chwycił przymrozek, ściana lasu wyglądała tak, jakby ją pociągnięto białą farbą.

– Silny to pan jesteś – powiedziała Janka – tylko że nie wprawiony. Byłby mój Wacek... Sam pan leśniczy lubił popatrzeć na jego robotę.

Stefan odrzucił siekiere. Czuł się znakomicie, mięśnie pracowały sprawnie, całym ciałem wchłaniał chłodne powietrze.

– To pani ma syna?

Na twarz kobiety spłynął uśmiech.

– Mam – stwierdziła – w pana wieku. Dwadzieścia lat.

– A gdzie on teraz?

– Jak to? Na froncie. Listy dostaję od niego, pisze, że niedługo wojna się skończy, a on wróci jako oficer. – Nagle zachłysnęła się tym słowem, powtórzyła je raz jeszcze, patrząc przed siebie zadziwionymi oczyma. – Oficer! Słyszane rzeczy! Słyszane rzeczy, pan leśniczy był porucznik.

Z okna uśmiechała się Zosia. Miała na sobie przyduży nieco fartuszek, rękawy bluzki zakasane po łokcie.

– A gdzie jest poczta? – zapytał Olewicz.

– Jak to: gdzie? – zdziwiła się Janka. – Wiadomo, w Poćwiardówce, bo do Łukowa za daleko. Podczas obiadu Stefan zakomunikował swoje postanowienie.

– Wiesz – oświadczył – wybieram się dzisiaj na pocztę.

Zosia odsunęła gwałtownie talerz.

– Po co?

– Żeby dostać jaką gazetę. Ostatecznie toczy się wojna, a my nic nie wiemy.

– Nigdzie nie pójdziesz...

– Ale...

– Tak, jak ci mówię. Możesz wytrzymać bez wiadomości. A jeśli już tak koniecznie chcesz, to ja ci przyniosę. Mój drogi – dodała łagodniej – jeśli nastąpi pokój, na pewno się dowiesz. A na nic innego nie czekamy.

– Mój mąż – powiedziała ciotka – też zawsze chodził po gazety albo w jakichś swoich sprawach. „Nie umiem żyć inaczej” – mówił. Widocznie tak było trzeba, odprowadzałam go do lasu, a latem siedziałam na skraju polany, żeby popatrzeć, jak idzie drogą. Nie chodził ani za wolno, ani za szybko, wszystko czynił z umiarem, ja byłam nerwowa, a on opanowany i chłodny. Gdy powiedział: „wrócę za dwie godziny”, można było nastawiać według niego zegarek. Gotowałam kartofle, mył ręce, siadał przy stole, a ja natychmiast wносиłam obiad. Dzisiaj już nie ma takich ludzi, prawda, Janko?

– Prawda, proszę pani!

– Raz tylko nie wrócił na czas. A ja już po dwóch godzinach wiedziałam, że coś się stało. Gdy zobaczyłam wyjeżdżającą z lasu furmankę i dwóch chłopów...

– Ciocia już opowiadała...

– Na pewno, Zosiu – powiedziała potulnie starsza pani – bo ja nigdy nie wiem, czy sobie przypominam, czy komuś. Nie gniewaj się na mnie, ja rozumiem, że nie trzeba, ale ciągle tkwi w głowie ten wieczór, nawet pamiętam, że wiatr był od strony lasu, gdy wybiegłam na polanę, w rękę trzymałam fartuszek, ten, który Zosia teraz nałożyła. I krzyczałam...

– Az tobą tak nie będzie – mówiła Zosia leżąc na łóżku z dłońmi wsuniętymi pod głowę – nie, mój drogi, nie sądz, że jesteś wolny. Nawet nie wyobrażaj sobie. Uratowałam cię i muszę pilnować. Dziękuj Bogu, że o naszej leśniczówce nikt nie pamięta, minie zawierucha, przecież jeszcze nie wiadomo, jak będzie, a wtedy pójdziesz sobie, dokąd zechcesz. Ze mną... albo beze mnie. A teraz nie.

Wynajdź sobie jakieś zajęcie, przyznawałeś się kiedyś, że lubisz pisać. U Adama podczas okupacji ukrywał się Żyd, który wycinał serwetki z papieru. Ja ci przecież nie przeszkadzam, masz tyle wolnego czasu, co nigdy w życiu. A ciotka jest taka dobra! Stefan nie był jednak zdolny ani do pisania, ani do jakiegokolwiek innej roboty. Wieczorem nawet spróbować. Zosia już spała, albo udawała, że śpi, lampa naftowa oświetlała tylko biurko, Stefan wziął do ręki ołówek i mazał coś na papierze. O czym właściwie miał pisać? Nie przychodziły mu do głowy żadne myśli, w których tkwiłoby źdźbło sensu. Przed paroma dniami układał sobie list do matki. Jakże taka epistoła, której nigdy nie wyśle, powinna wyglądać?

„Moja droga! Nie widzieliśmy się dziesięć lat, ogromny to kawał czasu – i nic o sobie nawzajem nie wiemy. Nie widzieliśmy się – złe to zresztą słowo, bo ja widziałem Ciebie na wiecu w Łukowie, wygłaszałaś przemówienie, którym sprawiłaś mi wiele bólu. Z jakimż okrucieństwem, z jakąż bezwzględnością mówiłaś o ludziach, którzy przeżyli taki los, jak ja. Ale nie będę przecież dyskutować z Tobą zagadnień politycznych, całe życie poświęciłaś polityce i jakże mnie równać się z Tobą, z Twoim doświadczeniem.

Ale chcę powiedzieć coś stokroć ważniejszego, nikt prócz Ciebie mi nie uwierzy, nikogo nie przekonam. Uciekłem z wojska, a właściwie z więzienia, ale mimo wszystko i wbrew wszystkiemu nie pałam nienawiścią do tych, którzy wsadzili mnie za kraty. Nie poszedłem do oddziału partyzanckiego, choć dano mi kontakt, ale nie jestem, jak Ty, wrogiem chłopców, którzy dzisiaj ukrywają się w lesie. Pojmujesz? Czy wolno człowiekowi po prostu: NIE WIEDZIEĆ?

Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo trudno jest wybrnąć. Nie wiem, czy Ty masz racją, czy racją mają ci inni, ale uświadamiam sobie własną całkowitą niezdolność

rozstrzygania. Dlaczegoż mam być przeciwko Tobie? Dlaczegoż mam być przeciwko ludziom, z którymi przed paroma jeszcze miesiącami kolegowałem w jednej kompanii?

Rozumiem: trzeba kończyć wojnę z Niemcami. Ale przecież od początku, od chwili, gdy zobaczyłem ich na ulicach Warszawy, o niczym innym nie myślałem. Nie chciałem być bezczynny wówczas, a jestem bezczynny teraz. Wytłumacz mi dokładnie: dlaczego tak się stało? Dlaczego ode mnie wymaga się dzisiaj, żebym wyznawał na przykład, co myślą o reformie rolnej? Ja ci szczerze napiszę, moja droga: nic nie myślę... Byliśmy na akcji, jeszcze w wojsku. Chłopi rozgrabili pałac obszarniczy i dzielili ziemię, wodząc się przy tym za łby. Jacyś wariaci strzelali, jak to się teraz mówi: zza węgła. Zatłukli bardzo przyzwoitego oficera, bojowego chłopaka, który powinien pójść na front. A dowódca batalionu przypomniał mi «Przedwiośnie», nie bardzo nawet rozumiałem, o co mu chodzi, i wyjaśniał, że właśnie tak trzeba. No, dobra. Nigdy nie widziałem z bliska żadnego obszarnika, nie mieliśmy takich w rodzinie ani w partyzantce, a major był przekonany, że ja jestem przeciw chłopom, bo to wynika z mojej akowskiej przeszłości. Co za bzdura! Podczas okupacji nikt mnie nie pytał, co sądzę o reformach w kraju, gdyby zapytał, odrzekłbym, że jestem żołnierzem, żołnierzem, a Sejm ma dużą głowę – niech się martwi. A przecież byłem dzieckiem bezdomnym i nie żyłem zbyt różowo, Ty sama wiesz najlepiej, więc nie mogłem pałać szczególną miłością do tych, którzy rządili przed wojną. Pamiętam jeszcze policjantów rewidujących mieszkanie, ostatecznie oni zabrali mi Ciebie i ojca. Ale jest wojna i sądziłem, że nie należy podnosić tych spraw. Wszystko musi rozstrzygnąć się potem.

Ludzie składali przysięgę Polsce, w Polsce może być rozmaicie, ale Polska jest jedna. Podczas okupacji bezlitośnie niszczyliśmy zdrajców, a teraz mnie oskarżono o zdradę i nikt, nikt dosłownie na świecie – prócz Ciebie – nie uwierzy... Prócz Ciebie?... „Odłożył ołówek.

– Przeczytaj! – powiedziała Zosia. Jednak nie spała, nawet jej głęboki oddech był udany.

– Nie, nie, muszę najpierw dokończyć. Jutro dokończę i przeczytam ci całość.

Nie mógł później zasnąć. Myślał, że trzeba mieć się na baczności, bo choć kartkę schował do kieszeni marynarki, Zosia ją odnajdzie, zanim on się obudzi, i przeczyta sama. Trzeba tę pisaninę ukryć gdzieś w szafie. Ale czy już teraz? Może ona ciągle udaje, czeka...

Deszcz padał, osaczał go monotonnym pluskiem wody, ale Stefan usłyszał szmer, jakby odgłos kroków, ktoś chodził pod oknem, może zaglądał przez szybę, uniósł się nieco na posłaniu, nic nie dostrzegł prócz nieco jaśniejszej plamy okna. Minęło parę minut. Deszcz bił mocniej, ale Stefan znowu usłyszał kroki, teraz już nie mógł się mylić. Przytomny zupełnie siadł na łóżku, naciągnął spodnie. Przez okno nic nie zobaczył. Polana tonęła we mgle i

ciemności, poprzez plusk deszczu dobiegał go tylko szum wiatru. Złudzenie? Nie, nie złudzenie. Pierwsze uderzenie w drzwi było słabe, drugie i trzecie – gwałtowne. Ktoś walnął zapewne kolbą karabinu, zapłonęła latarka, na ganku rozległ się stanowczy męski głos:

– Otworzyć!

Dom już nie spał. Zosia wyskoczyła z łóżka, półprzytomna jeszcze przywarła do Stefana. – Ty nie pójdziesz, nie pójdziesz!

Z pokoju ciotki dobiegło szuranie, starsza pani była już gotowa, ale nie podchodziła też do drzwi, czekała.

– Otworzyć!

– Ja pójdę...

– Nie, nie...

– I tak się nie ukryję, za późno.

– Wejść do szafy!

– Zwariowałaś? Może mnie schowasz na półce?

– Otworzyć!

Usłyszeli spokojny, nieco jeszcze zaspany głos Janki:

– A kto tam, po nocy?

– Żołnierze polscy.

Szczęknął zamek, byli już w sieni. Stefan z trudem wyrwał się z objęć Zosi i posadził dziewczynę na łóżku.

– Uspokój się!

– A cóż to, komunistów albo zdrajców chowacie, że was taki strach obleciał?

Starsza pani zapaliła lampę naftową, smuga światła przesączyła się przez drzwi i osiadła na podłodze.

– Dom jest polski i chrześcijański, panie oficerze. Mój mąż, leśniczy, zginął w czasie okupacji, był porucznikiem.

– Zaraz się przekonamy. Kto jest jeszcze w domu?

– Moja siostrzenica z mężem.

– Niech wychodzą. Cóż tego męża taki strach obleciał? A może on z „naszych”?

Olewicz otworzył drzwi, zmrużył oczy, bo tamten oświetlił go latarką. Dopiero po chwili zobaczył młodego chłopca w mundurze kapitana.

– Sęp!

– Ryś!

– Co ty tu, do cholery, robisz? – Sęp ochłonął ze zdziwienia. – Mecenas bał się, że już



siedzisz. Czekam na ciebie od dwóch tygodni. – Przypatrywał się Stefanowi podejrzliwie, nie wypuszczając z ręki pistoletu, dopiero gdy w drzwiach ukazała się Zosia, jeszcze zapłakana, roześmiał się: – No, tak bywa. Ale to świństwo, do diabła!

W pokoju było ich trzech, oprócz Sępa podporucznik i sierżant. Stefan przywitał się z nimi wymieniając, jak podczas okupacji, pseudonim.

– No cóż – rzekł Sęp – pogadamy. – Janka postawiła na stół półlitrową butelkę, chleb, kiełbasę. Zdjęli czapki i zabrali się do jedzenia.

Po kolacji Sęp, nieco już wstawiony, zaciągnął Olewicza do „ich” pokoju, nie zapalając lampy naftowej siedli na łóżku, tylko płomyki papierosów wydobywały z ciemności twarze.

– Powiedz no, Ryś – Sęp mówił cicho, niemal szeptem – chciałeś zadekować się tu na dłużej czy po prostu urlopik z babą?

Olewicz milczał.

– Nie gadasz? Liczysz na starą przyjaźń i masz mnie gdzieś. Chyba się mylisz. Zawsze wyczuwałem w tobie opór, nie byłeś żołnierzem z krwi i kości, choć nie tchórzylesz. Ale to żadna sztuka strzelać do Niemców. Przed dwoma dniami zlikwidowałem dwóch z partii, jechali na reformę rolną. W ostatniej chwili chciałem darować im życie, ale spojrzałem na młodszego, miał zaciśnięte usta i nienawidził nas. Trzeba było strzelać. Więc zaciskam zęby i strzelam, choć, jak wiesz, nie zajmowałem się dawniej likwidowaniem szpicli. Robię, co muszę. Człowiek łązi po lesie czwarty rok, chce mu się wyć, jak wpadnie do takiego domu jak ten i zobaczy babę w szlafroku, to mu oczy wyłażą z orbit. Ale nie, jeszcze nie teraz.

Zdezerterowałeś od nich! I co? Może ci przyszło do głupiej głowy, że resztę tej parszywej wojny przesiedzisz tutaj? Przyznaj się! Niemcy stoją na Wiśle i bolszewicy stoją na Wiśle, czy mam ci tłumaczyć, gdzie jest nasze miejsce?

– No, gadaj coś – głos Sępa złagodniał. – Rozważasz swoje i myślisz, jak mnie znowu ocyganić! A pal cię diabli, właściwie trzy lata byliśmy razem, cygań, ile wlezie. Chcę ci jednak coś niecoś wytłumaczyć, ostatecznie, z kim mam pogadać, w oddziale same cepy, nie to, co dawniej, mój drogi.

Bo jesteś, człowieku, ze mną na każdy los, nie masz już wyboru jak przed paroma miesiącami. Chodzi nie tylko o przysięgę i żołnierski obowiązek, nie tylko nawet o niepodległość i inne wielkie słowa. Okradziono nas, rozumiesz, okradziono brutalnie i podle, jak chyba nigdy w historii. O czym to marzyliśmy w lesie? Ze przyjdzie zwycięstwo, że się, do diabła, liczą te lata, najcenniejsze w życiu, że się liczy ryzyko i strach, że warto być takimi jak my. Warto! Rozumiesz? Z tego nas okradziono... Może chcesz, żebyśmy położył na stół

oficerską legitymację i poprosił grzecznie, aby uznano, wybaczone i pozwolono... Wyrzec się wszystkiego za zaszczyt noszenia orła bez korony? Pluję na koronę. Panom z Londynu nie udało się dogadać z panami z Lublina, pluję na jednych i na drugich. Nie wiem już, po co potrzebna była Polsce moja partyzantka, miałem dziewczynę w Lublinie, mogłem się ożenić i zabrać do handlu, zawsze mnie namawiała. Ale wlałem w ten piekielny wir i teraz robię to, co każdy człowiek, którego okradli: poluję na złodzieja.

– Ale jaki ma sens to twoje polowanie?

– Sens? W czterdziestym trzecim nie pytałeś się o sens, gdy szliśmy na akcję pod Łukowem. Niemcy stali o tysiąc kilometrów stąd, był styczeń, jeszcze nie słyszeliśmy o Stalingradzie, lazałeś po śniegu z dwoma granatami w kieszeni przeciwko najlepszej armii w Europie. Gdybyś się wtedy nie pchał z tym swoim szczeniackim męstwem, Amerykanie i tak wylądowaliby we Francji, a Rosjanie nad Wisłą. Oplaciło się? Nie. I teraz też się pewnie nie oplaci. Nawet jeśli Amerykanie przyjdą nas wyzwalać. Ale musisz, człowieku, to twój żołnierski obowiązek i twoja jedyna szansa.

Czekał chwilę, sądząc widocznie, że Olewicz się odezwie, ale on milczał. Wstał z łóżka i już nieco innym tonem rzekł sucho: – Poruczniku Ryś!

– Słucham.

– Wstań, do cholery. Teraz jestem twoim dowódcą. Zbieraj manatki i marsz ze mną.

– Proszę o dwadzieścia cztery godziny na sprawy prywatne.

– A nie zamierzasz aby nawiać? Dobrze, dostaniesz dwadzieścia cztery godziny. Jutro wieczorem zameldujesz się... Wiesz, gdzie jest Poćwiardówka?

Starsza pani suchymi oczyma patrzyła na ludzi wynoszących z piwnicy jej zapasy. Ładowali do worków, które kazali przynieść Jance: mąkę, kaszę, słoninę...

– Jeśli ty nie możesz zostać, ja nie zostanę również – powiedziała Zosia.

– A dokąd pójdziesz?

– Nie wiem. Nie wiem jeszcze, dokąd PÓJDZIEMY. Zdecydujemy po drodze.

Ciotka zegnała ich obojętnie, spakowali plecak i wyruszyli wczesnym rankiem.

Z lasu wyszli na skrzyżowanie.

– Do Łukowa... – przeczytał Stefan. – Do Siedlec... – Rzucił plecak i usiadł na kopcu.

– Chcę ci powiedzieć – rzekł – co będzie ze mną...

– Co będzie z tobą? – powtórzyła ze strachem. – Co będzie z nami?

– Nie. Ze mną. Bo ja wracam do wojska.

– Do wojska? – Patrzyła na niego nieprzytomnie, z trudem powstrzymując łzy. – Jak możesz mówić takie rzeczy. Przecież wsadzą cię do więzienia.

Wzruszył ramionami.

– Tak albo nie. Będę usiłował jakoś się wykręcić. Pójdę do Siedlec, podam w RKU, że uciekłem z Warszawy i nie mam dokumentów. Zapiszę się pod innym nazwiskiem, jeśli nie spotkam znajomych, jeśli trafię do innej dywizji, obleci. – Widać było, że rzecz całą zdążył już przemyśleć.

– Na miłość boską, Stefek, po co ci to potrzebne! Pojedziemy do Lublina, spróbujemy się urządzać, nie znajdzie cię ani Sęp, ani oni. Stefan, pomyśl o mnie.

– Myślę bez przerwy, ale coś niecoś zrozumiałem. Nie mogę inaczej. Nikt nie wie, co będzie potem, ale teraz muszę iść na front.

– Chcesz iść do wojska, w którym potraktowano cię jak wroga, uznano za zdrajcę, wsadzono do więzienia...

– Tak. Do tego wojska.

– Więc dobrze, idź! – krzyknęła nagle. – Nie będę cię prosić, ojca prosiłam, ciebie już nie będę. Błagaj ich o przebaczenie, o łaskę, żeby cię przyjęli znowu, pozwolili zginąć, żebyś miał nareszcie czyste sumienie, żebyś się już nie męczył, nie przeżywał katuszy, że może uda ci się przetrwać. Boże, jaki ty jesteś głupi, jaki jesteś głupi...

W siedleckim RKU starszy sierżant obojętnie zapisywał dane personalne.

– Dlaczego nie zgłosiliście się na Pradze?

Przyjechałem do Siedlec, do krewnych. Ale krewnych nie ma, zginęli podczas okupacji. Więc nie będę chyba wracał już do Warszawy.

– No dobra, mnie tam wszystko jedno. Stopnia wojskowego nie macie?

– Nie. Szeregowiec.

– Mówi się strzelec, nauczą was zresztą. No, strzelec Kłosowski, odmaszerujcie teraz i poczekajcie tam, pod drzwiami.

W styczniu, gdy mróz ściął już solidnie ziemię, a oficerowie polityczni w kompaniach ogłaszali każdego ranka komunikaty, w których padały nazwy polskich miast, 2 armia szła na zachód.

Szedł strzelec Michał Maczuga myśląc o Marii, czekającej jego powrotu w obszarniczym pałacu, szedł porucznik Edward Kolski, szedł major Świątowiec zdumiewając

podwładnych wytrwałością marszową, szły tysiące ludzi, których na ten szlak wprowadził rozmaity los.

Głównym traktem i bocznymi drogami przedzierali się ku Wiśle, a potem dalej na Poznań, nocami, podczas postojów, na przypadkowych kwaterach suszyli onuce, przebijali pęcherze na nogach i pisali listy do rodzin.

Któregoś wieczoru w podpoznańskiej wiosce strzelec Michał Maczuga stał pod rozgwieżdżonym niebem i dumiał o odległościach, które już przebył.

– Co, tęskno, Michał – powiedział Kaleta – daleko żeśmy zaszli.

– Daleko – powtórzył – a ile jeszcze nas czeka?

Wtedy z zachodu dobiegł ich odległy pomruk dział niby nadciągającej burzy.

– Przemówiły...

*Warszawa 1958 – 1960*

## Część II

### **Potem nastąpi cisza**

# PONIEDZIAŁEK DZIEŃ PIERWSZY

## 1

Potem wszystko wygląda inaczej, czas się wydłuża gdy pluton dochodzi do miasta, dzieli je od niego tylko łąka, łąka jest po obu stronach szosy, tyraliera przyparta do ziemi posuwa się wolno, każdy skok trwa, minie nieskończoność, zanim się podniosą, i kiedy nastąpi cisza, zapomną od razu i tamto odzyska swój właściwy wymiar, nie zdziwią się nawet, spojrzawszy na zegarki, bo przecież przywykli, mają za sobą pięć dni dzielących ich od rzeki, o której mogą już nie pamiętać.

Tyraliera zbliża się do miasta. Szosa jest pusta, biała prosta tasiemka, tylko w jednym miejscu przecięta wrakiem czołgu. Za chwilę dojdą do pierwszych zabudowań, choć nikt z nich nie wie, co stanie się przedtem, nawet o tym nie myślą, pochłonęci całkowicie sprawą najbliższego skoku. Wiedzą, że najlepiej byłoby zostać, każdy z nich znalazł właśnie miejsce najlepsze, wręcz znakomite, na tej łące, odsłoniętej, oświetlonej słońcem, przeciętej seriami broni maszynowej. Czekają, są już doświadczeni, mają przecież czas, ogromnie dużo czasu, któryś z nich zębami wyrwał zeschnięte źdźbło trawy, żuje, pracowicie rusza szczęką, choć to jest ostre i bez smaku. Za chwilę splunie przed siebie i zobaczy parę metrów trawy, a gdy tamci z lewej przyduszą ogień nieprzyjaciela, tak to się ładnie mówi: „przyduszą ogień”, skoczy naprzód, otwierając szeroko usta, żeby łapać powietrze. Gdy dotrą do zabudowań, będzie już po wszystkim albo prawie po wszystkim, ten jednak, który żuł trawę, zostanie na łące i nie zobaczy miasta, jednego z wielu miast, leżącego na drodze wyznaczonej im przez kogoś, kto wie, dlaczego właśnie tędy, obok tych czterech domków zbudowanych w ładnym miejscu: powietrze, zieleń i niedaleko do śródmieścia.

W śródmieściu będą białe prześcieradła, spływające z domów płaskich i martwych, o oknach szczelnie zamkniętych, a gdy osiągną główną ulicę, przyciśnięci do murów, ciągle nieufni, zadziwieni ciszą, pomyślą, że jest tu tak jak wszędzie, jak bywało dotąd we wszystkich miastach po drodze, ponieważ zwyciężają nie od dzisiaj, ale od pięciu dni, i mają doświadczenie zdobywców.

To miasto będą jednak pamiętać dłużej, chociaż nie zdarzyło się w nim nic, co warto byłoby zapamiętać. Jeśli w dniach, które mają nadejść, pomyślą: kiedy po raz pierwszy,

odpowiedzą sobie: właśnie tam, gdzie była ta łąka leżąca po obu stronach szosy. Nie, nic określonego, nic, co dałoby się zanotować lub ująć w rozkazie dziennym. Ktoś, patrząc na wschód, wymówił pierwszy to słowo. A może nawet nie: ktoś przyniósł je z pułku czy batalionu, rzucił na oślep, szepnął przyjacielowi. Nie uwierzyli, nie mogli jeszcze uwierzyć, ponieważ ziemia przebyta była ich własnością, tak jak miniony czas, i ponieważ stamtąd nie spodziewali się żadnego niebezpieczeństwa. Ale powtarzali, czyniąc to raczej bezmyślnie i bez zbytniego niepokoju: słowo nic nie znaczyło i nie zawierało dla nich żadnych treści. Wiedzieli natomiast z całą pewnością, że wzdłuż szosy idącej na Drezno spływają z kamienic białe prześcieradła. Więc jak można wtłoczyć w ostatni rozdział wojny słowo tak wyraźnie zalatujące przeszłością, wzięte z dawno minionego czasu „okrażenie”.

A właśnie tego dnia nacierające z południa dywizje feldmarszałka Schornera dotarły do miasteczka Dauban i weszły na drogę, którą oni już przebyli. O tym jednak nie wiedział nikt w plutonie, kompanii, batalionie, nawet pułku. Może dopiero za parę godzin dowódca dywizji każe sobie przynieść niedawno odłożony arkusz mapy.

Tymczasem jednak wchodzili do śródmieścia. Strzelec Michał Maczędze z plutonu porucznika Furana szedł chodnikiem, pochylony nieco, trzymając się blisko murów kamienic. Myślał o czołgach; mówili, że miały być, chłopcy czekali oglądając się za siebie na pustą taśmę szosy. Ale czołgi nie przyszły. Zostali sami na tej łące i pewno dlatego zginął stary Grał. Dostał w brzuch, przecięło go na pół. Michał nie oglądał później twarzy Grała, nie lubił oglądać twarzy zabitych. Mijał ich, szedł dalej i nigdy dotąd nie pytał: czy musieli zginąć? Dopiero teraz...

Mogli przecież jeszcze poczekać, ale ktoś nie chciał, spieszyło im się widać do tych czterech chałup wzdłuż szosy. Chodziło właściwie o jedną, najbliższą, odsuniętą nieco od drogi, samotnie sterczące, półwypalone, kamienne straszidło. Niemcy umilkli, oni jeszcze strzelali, nigdy zresztą nie było wiadomo, kiedy tamci milkli. Po Schwarzer Schops, gdy dotarli do lasu i poszli ciemnym korytarzem, który Maczędze wydawał się zawsze bezpieczniejszy, zapytał Grała: „A dlaczego oni nawiali?” Grał zapalił niemieckiego papierosa i roześmiał się: „A boś przecie ich wykurzył”. Michał pozostał poważny, pokiwał tylko głową, choć odpowiedź starego nic nie wyjaśniała. Strzelali i szli naprzód, leżeli na łąkach i szli naprzód, ktoś poza nim, Michałem Maczędzē, którego nauczono posługiwać się karabinem i granatem, nawet zdobyczym panzerfaustem, decydował o tym, jak ma być. A Grał pozostał, przecięty na pół, i porucznik Furan nawet się nie obejrzał, choć powinien. Idzie

teraz spokojnym krokiem, wyprostowany, mocno ściśnięty w pasie, a miał przecież szczęście, że tam nie został, chyba myśli o tym, nie spojrział nikomu w oczy, gdy to minęło, ale na pewno wie, co ludzie myślą.

... Czekali dobrą chwilę, tamci nie strzelali i wówczas Furan wziął dziesięciu ludzi, co mu pod rękę podpadli, i wyszedł z nimi w drogę. Maczega widział ich z łąki, trzymał na muszce tamten dom, żołądek podjeżdżał mu do gardła, ale rad był, że tu pozostał, miał jeszcze czas, a to umiał sobie cenić. A tamci pobiegli wyprostowani, wystawieni na pokaz, zupełnie samotni między łąką a domem. Przeskoczyli rów, byli już na szosie, gdy zagrał kaem. Michałowi zdawało się, że widzi proste linie, przecinające powietrze, zamknął oczy, musiał zamknąć oczy, a potem nacisnął spust. Oni zniknęli już z drogi jak zdmuchnięci, szczołgali się do rowu po tamtej stronie. Na szosie leżało trzech, nie wiedział jeszcze wówczas o Gralu. Z lewej strony nacierał pluton Sęka, otworzyli ogień i wkrótce było po wszystkim. Przy karabinie maszynowym pozostał zabity Niemiec, a Furan zapalał papierosa. Michał widział jego rękę, długie, wąskie palce trzymały zdobyczną zapalniczkę; porucznik odwrócił się od wiatru i pochylił nieco ku ziemi.

Czy myślał o śmierci Grala? Nie można nikogo zmuszać do myślenia o śmierci; Furan się spieszył i nie pamiętał ani o swojej, ani o cudzych. Mogli wejść wyprostowani na drogę, ale mogli także czołgać się łąką dalej i przeskoczyć białą taśmę, zanim tamci by się spostrzegli... Czy wówczas też zginąłby Gral? Maczega ścisnął mocniej broń, znowu ogarnął go lęk. Było to uczucie zupełnie bezpodstawne, słońce bowiem oświetlało pustą ulicę, a z okien coraz gęściej spływały prześcieradła. Zwolnił jednak kroku, uważniej rozejrzał się wokoło; droga skręcała tu nieco na prawo, rozszerzała się, w obie strony odchodziły wąskie odgałęzienia. I wówczas zobaczył. W bramie kamienicy, wciśnięty we wnękę muru, stał człowiek. Dostrzegli się niemal jednocześnie, tamten, skulony, chciał zniknąć w bramie, ale Maczega był szybszy; gdy dobiegł, człowiek podnosił już ręce do góry. Był niski, nieco bezkształtny, na chwiejących się nogach, cywilna marynarczyna wisiała na nim jak na strachu na wróble. Po coś tu wlaź, człowieku? pomyślał Maczega. Ale za Michałem stał już Furan z pistoletem w dłoni. Ostрым głosem rzucił parę słów po niemiecku, tamten coś odpowiedział i wskazał ręką główną ulicę, kierunek, w którym mieli iść.

– Gada, że tu pracuje, u kowala – powiedział Furan – ale buja jak najęty. Zresztą sprawdzimy. – Wskazał Niemcowi pistoletem kierunek, ten założył ręce na tył głowy i poszedł przed siebie, ostrożnie stąpając na szeroko rozstawionych nogach. Reszta odbyła się tak szybko, że Maczega nie zdążył nawet podnieść broni. Gdy dochodzili do skrzyżowania, wąska, kręta uliczka odbiegała stąd w bok, Niemiec skulił się cały i skoczył. Nie dobiegł



jednak do bramy, jeśli chciał dobiec do bramy; Furan trafił w tył głowy, człowiek zawahał się, potem opadał powoli, kurcząc nogi, jakby chciał przykłęknąć.

– Przeszukajcie – powiedział Furan. Maczuga pochylił się nad trupem i nie patrząc na głowę zabitego, rozerwał marynarkę. W kieszeniach nie było portfela, nie było w ogóle nic, trochę tylko tytoniowego miału i zmięty banknot, który Michał rzucił na bruk. Wyprostowany, spojrzął na Furana; porucznik zapalał papierosa i zdawał się nie dostrzegać Maczugi. Gestem tym samym, co po śmierci Grala, odwrócił się od wiatru i wykrzesał płomyk z zapalniczki. Gdzieś za skrzyżowaniem, w odległości kilkudziesięciu metrów, krótkimi seriami strzelał pistolet maszynowy. Umilkł po chwili albo jego terkot pochłonęło narastające dudnienie. Teraz szły czołgi.

Potem nastąpiła cisza. Wsłuchiwali się w nią z niepokojem, nieufni i podejrzliwi przystawali przed domami, na placykach i skrzyżowaniach ulic. Ale cisza trwała. Więc uwierzyli, że miasto należy do nich. Wchodzili do kamienic i parterowych willi, na progach wciągali w nozdrza zatęchły zapach opuszczonych mieszkań, siadali na miękkich meblach i przymykali oczy. Szybko zapadał zmierzch. Jaśniejsze pasmo płonęło jeszcze na zachodzie, ale wąskie uliczki pogrążały się już w mroku. Nie widzieli murów kamienic, tylko zwisające gdzieniegdzie z okien prześcieradła – białe plamy na jednostajnym szarym tle.

Dziewczyna w mundurze kaprała szła szybko wąską uliczką, wznosząc się nieco ku górze. Powiedziano jej, że majora Świętowca znajdzie na zachodnim skraju miasta. Spieszyła się. Noc zapadała szybko, nie wróci już przed nocą do kompanii sanitarnej, a ponieważ ciągle nie opuszczała jej nadzieja, chciała być „u siebie”, „na miejscu”... Może jednak zechce przyjść...

Minął ją patrol. Chłopcy obejrzeni się za dziewczyną, w mroku widzieli tylko smukłą sylwetkę w dobrze skrojonym płaszczu wojskowym. Czowała na sobie ich spojrzenia, ani ją to nie dziwiło, ani nie sprawiało radości... Myślała o nim, ciągle myślała o nim i właściwie niewiele dostrzegała poza tym. Nie zapamiętała nawet nazwy miasta, które zajęli tego dnia, a przecież nazwę powtarzano w kompanii sanitarnej aż do znudzenia. Jakby nie dotyczyła jej wojna i nie dotyczył trwający od pięciu dni marsz... Powtarzała: dlaczego tak się stało? Nie wystarczyło, że dotarła tutaj, że znalazła go mimo wszystko i wbrew wszystkiemu. Co może jeszcze uczynić? Czego się wyrzec, co odcierpieć?

... Tu gdzieś, na tej ulicy, znajduje się gospodarstwo majora Świętowca.

Na tej kwaterze major nie czuł się dobrze; przywykł już do niemieckich mieszkań, nie zwracał na nie uwagi, dostrzegał niewiele poza łóżkiem i stołem, ale tutaj było zbyt domowo, zbyt przytulnie, zdawało się, że za chwilę otworzą się drzwi i wejdzie gospodyni z filiżanką kawy. Uciekali widocznie w pośpiechu, rzeczy zostały na swoim miejscu: barwna kapa na łóżku, flakoniki na toalecie pod oknem, nawet pantofle nocne stały na dywaniku. Duży portret na ścianie: mężczyzna w czarnym ubraniu spoglądał na Świętowca wylupiastymi oczyma. Nękał go ten wzrok; doznał czegoś w rodzaju wstydu, gdy podszedł do szafy i otworzył połyskujące drzwi. Mimo woli spoglądał na własne dłonie, sprawdzając, czy są dość czyste, by grzebać wśród świeżo wypranej bielizny, ułożonej porządnie w szufladach, wśród jedwabnych chusteczek, serwet, obrusów i wszelakiego bogactwa ludzi, którzy uciekli przed paroma godzinami. W kredensie piętrzyły się stopy talerzy, stał nawet serwis najwyraźniej nigdy nie używany – na półmiskach pozostały jeszcze papierowe marki fabryczne. Świętowiec nie zamykał szuflad, to, co obejrzał, wyrzucał na brudną podłogę, myśląc, że dla tych, którzy przyjdą po nich, mieszkanie będzie już zwyczajne i swojskie: wygniecione łóżka, stopy bezużytecznych przedmiotów i jego brudna bielizna, bo jutro włoży nową, przyniesioną przez Wojtka. Koszula i kałesony – podstawowa wojenna zdobycz.

Na niskiej półeczce stały książki. Major wziął gruby tom, oprawny w karton, otworzył, powąchał. Była to książka niemal nowa, pachnąca jeszcze farbą drukarską, właściciel mieszkania kupował ją może wczoraj. Zapach zatruwał, przypominał, Świętowiec rzucił tom na podłogę, nieco pomogło, odwrócił się i spojrzał na łóżko. Różnicki chrapał rozgłośnie; należał mu się wypoczynek, był dzisiaj cały czas na przedzie, razem z kompanią Kolskiego. Potem wypili trochę koniaku, Wojtek znalazł niezły zapasik, do tego pieczony schab, nie żalowali sobie. Świętowiec jeszcze przed godziną wierzył, że noc będzie spokojna, ale teraz już wiedział, że nie będzie, zbyt dobrze znał dowódcę pułku, choć Krycki był tym razem wyjątkowo oszczędny w słowach. Ile godzin potrwa sen batalionu? Po raz pierwszy od pięciu dni ludzie dorwali się do mieszkań, zwalili na łóżka i na podłogi, okręcili kocami, wdychają własne ciepło. Potem półprzytomni wyjdą na ulicę, odnajdą rzeczywistość, do której nie zdążyli jeszcze przywyknąć, i pójdą za miasto, na wzgórze tak niepokojące pułkownika. „Nie dawać Niemcom czasu, nie pozwolić im się oderwać”. Ile jeszcze dni potrwa wojna?

Świętowiec podszedł do stołu, nalał ćwierć szklanki koniaku. Potem usiadł ciężko na

krześle, wyciągnął przed siebie nogi, obejrzał skarpetki: były nowe, dobre, całkiem niezły gatunek. Nie chciał jeszcze spać, pomyślał, że można by pójść do kompanii Kolskiego, ale brakowało sił, najchętniej pogadałby sobie z kimś spokojnie, przy koniaku, nie, nie o wojnie, ale na przykład choćby o astronomii. Jak się nazywała mu/za astronomii, jak się, cholera, nazywała? Zdaje się „Urania”, ale wcale nie był pewien.

Zaskrzybiało, w drzwiach stanął Wojtek, potężne chłopisko lat około dwudziestu. Twarz miał puciołowatą, oczy niebieskie, ciągle zdziwione i to nieustanne zdziwienie bawiło czy może zawstydzalo Świętowca.

– Jakaś baba do pana majora – oświadczył – sama tu przyszła.

– Co za baba? Wyrażaj się dokładniej.

– Kaprał, panie majorze, pewno sanitarna. Czy koniaku przynieść?

– Kaprała wpuść, koniaku nie przynos – powiedział Świętowiec. – Ale poczekaj, nałożę buty. – Westchnął, podciągnął skarpetki i z trudem wepchnął nogi w przyciasne cholewy. Buty sprokurował Wojtek, były wysokie, błyszczące, z dobrej skóry, należały pewno do jakiegoś oficera. – No, teraz niech wejdzie.

Dziewczyna zameldowała się przepisowo.

– Obywatelu majorze, kaprał Kraczyńska...

Nazwisko wydało się Świętowcowi znajome, ale twarzy nie pamiętał. Dziewczyna była młoda, ładna, miała na sobie dobrze skrojony płaszcz, co było rzadkością nawet w służbie sanitarnej.

– No, no – powiedział – zostaw te ćwiczenia. Kraczyńska? Ja was skądś znam. – Nawet się uśmiechnął.

– Pan major mnie nie zna. Ja pana majora znam, ale tylko ze słyszenia. Z Borowicy.

– Z Borowicy – ucieszył się prawie Świętowiec.

– Pamiętam to miasteczko; znakomita knajpa na rynku, gdzie dawali kotlety schabowe. I to całkiem solidne, z autentyczną kapustą. Obsługiwała taka gruba jejmość. Jak ona też się zwała? Pani Genia, prawda?

– Tak – potwierdziła bezbarwnie dziewczyna. – Pani Genowefa.

– No widzisz. Przyjeżdżaliśmy do Borowicy dość często, bo staliśmy w Czeremnikach. Znasz Czeremniki?

– Znam, panie majorze.

– No to proszę, usiądźcie. Dziewczyna z Borowicy! Swoją drogą po wojnie trzeba będzie odwiedzić to miasteczko.

Ale Kraczyńska stała ciągle na progu, sztywna i wyprostowana.

– Proszę – powtórzył major i wskazał ręką krzesło.

Zawahała się.

– Ja – powiedziała cicho – chciałam złożyć meldunek.

Świętowiec spojrział na nią ze zdziwieniem. Była teraz bardzo poważna i surowa.

– Meldunek? – powtórzył. – No to składajcie.

– Chciałam się przyznać... – mówiła powoli. – Ja, obywatelu majorze, ukrywałam dezertera. – Spojrzała na niego i opuściła powieki.

– Że co? Że co, do diabła! Ukrywałaś dezertera? Czy ukrywasz dezertera?

– Nie, to było dawno, obywatelu majorze. W październiku czterdziestego czwartego roku ukrywałam dezertera w Borowicy.

Powiedziała to spokojnie, głosem monotonnym, jak wyuczoną lekcję. Świętowiec przetarł oczy wierzchem dłoni, potem wziął szklanekę z resztką koniaku i postawił ją ostrożnie na brzegu stołu.

– W październiku... Przed siedmioma miesiącami. To może poczekałabyś do jutra?

– Ja proszę pana majora o przyjęcie meldunku.

– A cóż to znowu? – zdenerwował się nareszcie. – Dlaczego do mnie z tym przysłała?

– Bo pan major jest przełożonym porucznika Kolskiego.

– Czyste szaleństwo! A cóż ma z tym wspólnego porucznik Kolski?

Dziewczyna była bliska płaczu, dopiero teraz to spostrzegł; usta miała półrozchylone, pierś poruszała się bardzo szybko.

– Pan major nie pamięta? Jestem przecież tą dziewczyną – zawahała się – tą dziewczyną, której Kolski poszukiwał wówczas w Borowicy w domu swego przyjaciela Adama. Gdy wszedł do mieszkania Adama, zobaczył dezertera. Ale dezertier zdążył uciec...

Major pamiętał, ale nie przerywał.

– Więc myśmy wszyscy twierdzili potem, że dezertera nigdy nie było, że Kolski go sobie wymyślił, żeby... żeby zemścić się na Adamie. Ale dezertier był i Kolski miał rację, gdy kazał rewidować dom. Adam wiedział, dlaczego musi uciekać, więc my, a nie Kolski, ponosimy odpowiedzialność za śmierć Adama.

– Dobrze – powiedział Świętowiec odzyskując powoli pewność siebie. – Taki był przebieg wydarzeń. I ty dzisiaj, nagle, po siedmiu miesiącach i jakimś tam czasie służby w wojsku, postanowiłaś się przyznać? Dawno jesteś w pułku?

– Jestem w pułku od Schwarzer Schops. Po tej sprawie – mówiła cicho – siedziałam parę tygodni w areszcie. Przesłuchiowano mnie. I przysięgałam, że nie było dezertera, że Kolski sam go wymyślił, że strzelał do Adama z zazdrości... o mnie. Nic więcej nie

powiedziałam. A gdy wyszłam na wolność, zgłosiłam się na ochotnika do wojska...

– Po tym wszystkim na ochotnika do wojska?

– Tak, panie majorze. Najpierw nie bardzo chcieli mnie przyjąć, potem przyjęli i przydzielili do pułku zapasowego.

– I przez cały czas to, że ukrywałaś dezertera, nic a nic ci nie przeszkadzało?

– A dlaczego miało przeszkadzać, panie majorze? – Podniosła na niego oczy, były zdziwione.

– Siadaj – powiedział major – i zdejm furazerkę. Ja już nic nie rozumiem...

– Więc – ciągnęła – chciałam się dostać do tej dywizji. Wcale nie było łatwo – westchnęła – ale znałam oficera w sztabie i jakoś się udało.

Major podniósł do ust szklanek koniaku; poczuł się nagle bezradny i zmęczony. Ile jeszcze zostało? Trzy, cztery godziny?

– Chciałaś dostać się do tej dywizji? – zapytał. – A niby dlaczego?

Pochyliła głowę. Widocznie zdała sobie sprawę, że powiedziała za dużo.

– Mój Boże, jakież jestem niedomyślny! Więc po tym wszystkim postanowiłaś jednak spotkać się z Kolskim? Więc to tak...

Milczenie.

– I nagle przychodzisz do mnie, dowódcy batalionu, po paru godzinach ciężkiej walki, żeby wyjawić swój stary grzech. A powiedz przynajmniej, jakiej kary oczekujesz? Chcesz dostać się do więzienia, żeby cię odesłali na tyły i oddali pod sąd?

– Nie chcę na tyły!

– Ach tak. Jednak się odzywasz. Nie marzysz o tyłach. To może oczekujesz, że ci po prostu darujemy winy?

– Nie chcę żadnego darowania. Chcę zostać ukarana...

– Rozumiem. A właściwie nie rozumiem. Tak bardzo ci na tym zależy? Więc może tęsknisz do kompanii karnej? Tam też potrzebni sanitariusze.

Pomyślała.

– Niech będzie, panie majorze, kompania karna.

– I po to przybiegłaś nocą, żeby mnie koniecznie dzisiaj o tym zawiadomić? Nie poszłaś do prokuratora dywizji ani do oficera informacji, ale właśnie do mnie, ponieważ jestem dowódcą Kolskiego...

– Jak trzeba będzie – powiedziała – pójdę wszędzie.

– Taka jesteś na siebie zawzięta? – Podniósł znowu do ust szklanek koniaku. – Ale ja nic nie mogę zrobić – rzekł. – Przychodzisz do mnie nocą i składasz meldunek. Nie wiem, czy

prawdziwy, a jeśli nawet, to co się stało, że ci nagle tak spieszo? Zastanów się: jaki żołnierz na pierwszej linii wyciąga ni stąd, ni zowąd swoje stare grzechy? Nie, to jakaś piramidalna bzdura. Mogę, jeśli chcesz, wezwać Kolskiego, kwateruje niedaleko. To wszystko.

– Nie! – krzyknęła Kraczyńska. – Proszę mnie już nie męczyć, proszę ze mnie nie kpić, ja musiałam tu przyjść. Wówczas Leoniak mnie przesłuchiwał i nic nie wydobył, teraz mówię sama, a pan major śmieje się ze mnie. Czy to już nieważne, że w Borowicy ukrywałam dezertera? Tylko dlatego nieważne, że teraz strzelają? Wtedy też strzelali! – Przez twarz dziewczyny przebiegł skurcz, przyknęła oczy, jeszcze chciała panować nad sobą, i wybuchnęła płaczem. Siedziała ciągle wyprostowana, po policzkach płynęły łzy.

– No uspokój się, uspokój. – Jak tu pocieszać kaprała w spódnicy?

Świętowiec nalał koniaku, podsunął dziewczynie szklankę i podszedł do okna. Trwała cisza, od paru godzin trwała cisza i to niepokoiło Świętowca.

– Ja już pójdę, panie majorze – usłyszał.

– Zostań, wypij jeszcze, pogadamy poważnie, nie myśl, że bagatelizuję twój meldunek. Jeśli już do mnie przyszłaś, rozpatrzmy, co i jak. Rozumiem: wstąpiłaś do wojska i wiesz już, że postępowałaś nieuczciwie, że służyłaś złej sprawie, że krzywdziłaś Kolskiego. Chcesz, aby została ci wymierzona sprawiedliwość. – Zabrzmiało to patetycznie, wbrew Świętowcowi.

Sprawiedliwość, pomyślał. Dziewczyna z torbą sanitarną będzie jutro czołgać się za tyralierą. Rachunek zostanie wyrównany. Zresztą major sądził, że wojna, a przynajmniej ta największa w tej wojnie przygoda Polaków, posiada szczególną właściwość wyrównywania polskich rachunków. Co dźwigają na sobie ludzie, z którymi od pięciu dni idzie przez Niemcy? Co dźwigają? Czy to ma zresztą jakiegokolwiek znaczenie?...

– Więc mówmy o sprawiedliwości – powtórzył.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, oczy miała czyste, wymyte przez łzy.

– Pan major mnie źle zrozumiał – powiedziała. – Nie chodzi mi o sprawiedliwość, chcę zostać ukarana.

– Jak to? Chcesz zostać ukarana, bo popełniłaś przestępstwo. Proste. To jest właśnie sprawiedliwość.

– Nie popełniłam przestępstwa, panie majorze, jestem w porządku.

– Ty chyba oszalałaś, dziewczyno. A o czym mówimy od godziny?

– Mnie tam wszystko jedno. Niech będzie, że popełniłam przestępstwo. Jak pan major sobie życzy.

– Nie, moja droga. Więc uważasz, że wówczas byłaś w porządku? To bardzo dziwna

moralność.

– Tak, nie mogłam inaczej. Teraz chcę zapłacić za to, że wówczas nie mogłam inaczej. Nie rozumiałam, że trzeba pokrywać koszty. Teraz już wiem i wszystko mi jedno, gdzie jestem.

– Co ty wygadujesz! Więc kto miał rację, oni czy my? Był dezterter czy nie było deztertera?

– Był dezterter i ja go ukrywałam. I nie mogłam powiedzieć, że był, bo spełniałam obowiązek. Nie mogłam, chociaż chodziło o Edwarda... o Kolskiego... Teraz mogę...

– Więc ciągle uważasz, że tamci mieli słusność? Jesteś z nimi, nie z nami.

– To nieprawda, panie majorze. Nigdy już nie będę z nimi, odeszłam na zawsze i gdybym dzisiaj ukrywała deztertera, popełniłabym przestępstwo. Wiem o tym.

Major podniósł szklankę pod światło, długo oglądał ciemnożółty płyn.

– Jestem starszym człowiekiem – powiedział – i nie lubię być okłamywany. To wszystko poezja, moje dziecko.

– Ja inaczej nie mogę mówić, panie majorze. To wszystko prawda. Ale jeżeli pan major woli, mogę przyznać, że popełniłam przestępstwo. Mnie naprawdę wszystko jedno.

– Nic nie wolę, nie zwracaj mi głowy. Nie zwracaj mi głowy – powtórzył i przypomniał sobie tamten październik, wiejską chałupę w Czeremnikach, zobaczył siebie siedzącego przy stole i Kolskiego zgarbionego na ławce.

„Czy jesteście pewni, żeście widzieli deztertera?” „A gdy zaczynaliście akcję, byliście przekonani, że w domu był dezterter?” A potem: „Będę musiał was zawiesić, uzyskałem już zgodę dowódcy”. I oczy Kolskiego, gdy odpowiadał: „Mnie tam wszystko jedno, obywatelu majorze”.

On musiał otoczyć dom, ona musiała zaprzeczać... On był w porządku i ona była w porządku. On mówił prawdę, ona kłamała... Jak to pięknie mówi Krycki: „A nu was k czortu”.

Podniósł oczy, dziewczyna czekała, opierając podbródek o blat stołu.

– Nie pozwolę – powiedział wreszcie Świętowiec – nie pozwolę, żeby mi na froncie rozpoczynać wszystko od początku. Nie przyjmuję waszego meldunku. – Brał tę decyzję na siebie, był gotów jej bronić.

– To ja już pójdę, panie majorze. – Podniosła się z krzesła i włożyła na głowę furażerkę.

Świętowiec spojrział w kierunku łóżka. Różnicki odwrócił się na wznak i spał z szeroko otwartymi ustami.

– Odprowadzę cię.

Uśmiech. Jej twarz złagodniała.

– Po cóż pan major ma się trudzić?

– Dobra, dobra. Ale nie będziemy już gadać o dezercerze.

Otworzył drzwi. Telefonistka i Wojtek zerwali się z foteli, które przysunęli do okrągłego stołu. Wojtek chwycił automat.

– Zostań – powiedział major. – Gdyby dzwonił, jestem w kompaniach.

Wartownik chodził przed domem. Zanurzyli się w ciemną ulicę, widział tylko profil dziewczyny, szła obok niego wyprostowana, milcząca.

– Inaczej sobie wyobrażałam pana majora – powiedziała.

– Rozczarowałam cię?

– Nie, wprost przeciwnie. Myślałam, że pan major jest bardziej surowy.

– Jestem bardziej...

Gdzieś z daleka dobiegało głucho dudnienie. Przystanęli.

– Artyleria – powiedziała dziewczyna. – Ale to przecież gdzieś na wschodzie.

Prawda?

### 3

Kompania odpoczywa. Kolski, ma czas, mnóstwo niepotrzebnego czasu, niezliczone godziny nocy, jeśli przerwa potrwa całą noc; może je przeskoczyć, wystarczy zacisnąć powieki, by zapomnieć, ale on chciałby rozciągnąć trwanie ciszy, zmieścić w niej więcej niż sen, choć nie bardzo wie, co mógłby jeszcze przeżyć w tym mieście. Niebo jest czarne, wiszą na nim gwiazdy; gdy był chłopcem, marzył o podróżach do gwiazd, czytał „Na srebrnym globie” i wyobrażał sobie pociski artyleryjskie przecinające przestrzeń kosmiczną. Prosta linia zanurza się w niebo z szybkością setek metrów na sekundę, osiąga stratosferę i potem błyszczy nieruchomo jak nowa gwiazda albo jak rakietka opada powoli na ziemię. Odległość do księżyca: trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów. To chyba niezbyt dużo, jeśli zważyć... Co zważyć? Pociski, jak wiadomo, służą innym celom niż wyprawy kosmiczne, a porucznicy piechoty nie powinni zajmować się marzeniami. Jeśli sprawdziłeś rozlokowanie plutonów, jeśli nie masz ochoty na wódę czy na dziewczynę – idź spać.

W tym mieście, po raz pierwszy od pięciu dni, kwateruje razem cały pułk, więc



zapewne i kompania sanitarna. Parę ulic stąd, wystarczy przejść obok budynku, gdzie rozlokowano sztab, i jest się na miejscu. Dawno, bardzo dawno, byłoby to możliwe i konieczne. W jednym mieście, w jednym pułku, mój Boże, czy mógłby pragnąć więcej? Nie, już nie pragnie... Śmieszne, nie przypuszczał, ile go to będzie kosztowało wysiłku: nie pragnąć.

Ale dobrze przejść taką kurację, to solidna kuracja, z człowieka opada czułość, człowiek staje się wolny i zdrowy, idzie sobie przez wojnę bez domowo-pokojowych ciągów. Jeszcze rok? Proszę bardzo, ja jestem przygotowany. Żadnego oglądania się za siebie, kilka prostych stwierdzeń, niewątpliwych prawd: „Moja droga, w życiu za wszystko trzeba płacić, miłość ma także swoją cenę, cena była dla ciebie zbyt wysoka, sama podjęłaś decyzję... Ja zapłaciłem wszystko, uściłem co do grosza, aż mnie wyrzuciło na nice, jakbym wywracał kieszenie; nie, nie chodzi już o żadne polityki, dziecinady i inne wspaniałe głupstwa. Rzecz jest jednoznaczna: cena. Mną już nie można za wszystko płacić, sobą żywię tylko wojnę, wojnę – bez reszty i wątpliwości. Że nosisz piastowski orzełek? Nie, moja droga; nie teraz, gdy jesteśmy między Nysą a Drezniem... „

Czy tak jej powiedział? Oczywiście, powiedział inaczej, ale to już nie ma żadnego znaczenia, należy do przeszłości. Można co najwyżej myśleć o sobie z tamtych czasów jak o niewypierzonym dzieciuchu; takim wracał do Polski w mundurze, który im wydawał się teatralnym kostiumem. Żadnych maskarad, moi panowie! Jesteśmy jak najbardziej autentyczni i mamy swoją cenę, my, tutaj, pchający się na Drezno, siodłający szosy, płacący krwią, a nie czerwoną sceniczną szminką. Teraz wy jesteście przyszywani, wy jesteście „przebierańce”: Polityka? Demagogia? Nic podobnego. Po prostu dojrzałość.

Kolski spogląda w górę, właśnie powoli wjeżdża księżyc, i wraca na kwaterę. Ordynans Stelmaczonek pierze onuce w obszernej kuchni. Puszki konserw między butelkami koniaku i wina. Szef kompanii, przezywany Kazakiem, śpi na łóżku wciśnięty między szafę a kredens. Duża makata z gotyckimi literami: pewno jakieś *Kuche, Kinder und Kirche* czy coś w tym guście. W pokoju za kuchnią, pięknym obszernym pokoju, obstawionym mieszczkańskimi gratami, siedzi samotnie Leksz. W koszuli, rozparty na kanapie, pistolet położył na krześle obok butelki i kieliszków. Leksz przegląda książkę; zabawny to nawet widok, małeńki chorąży w okularach, duże oczy przysłonięte szklami, wpatrzone w kartki, które palce przewracają ostrożnie i z niewątpliwą wprawą.

– Podoba ci się taka wojna?

Leksz podnosi na niego oczy.

– Taka wojna – mówi poważnie – też mi się nie podoba.

Kolski macha ręką.

– Jesteś niepoprawny. Z ciebie oficer jak... – Ściąga mundur, siada obok niego.

Dzieło jest istotnie interesujące. Co prawda, obaj znają słabo niemiecki i z gotykiem mają trudności, ale tu chodzi o ilustracje. Na każdej niemal stronie: akt kobiecy. Pulchne ciała rozpostarte na kanapach i łózkach, kształtne piersi, szerokie i wąskie biodra, naga dziewczyna przytulona do kolorowej gitary, gest przerażenia, krzyk, ostatnia próba ucieczki...

– Fajna zabawa – mówi Kolski. A może byś wolał coś z mięsem i kośćmi?

Leksz gwałtownie zamyka książkę. Rumieni się, rumieni się w ogóle zbyt często, wie o tym, traci wówczas panowanie nad sobą, przeklina i wzbudza śmiech.

– Czemu zamykasz? – śmieje się Kolski. – Pooglądaj sobie, może ci się własna dziewczyna przypomni. Chociaż nasze nie bywają takie pulchne.

– Nie myślę o dziewczynie. Chcę z tobą pogadać – Trudno, wola boska i skrzypce. Bylebyś mnie nie brał politycznie pod włos, bo tego nie cierpię.

– Nie kpij, wodzu, sprawa jest dostatecznie poważna.

– Wszystkie sprawy na wojnie są śmiertelnie poważne. Gdybym o tym nie wiedział, dawno bym gnił w ziemi.

– Dobra. Tym razem chodzi o Furana.

– Domyślałem się – mówi Kolski i nalewa sobie do kieliszka koniaku.

– Może. Wracam z jego plutonu. Rozmawiałem z zastępcą, to fajny chłopak, a potem z Kutryną i Maczęgą.

– Zawsze ta para mi gdzieś wylezie. Czego chcą?

– Kutryna nic nie chce, a reszta tak jest zażarta na Furana, że utopiliby go w beczce.

Przedstawiłeś Furana do odznaczenia?

– Przedstawiłem. A o co w końcu chodzi?

– O ten dom na łące. Niepotrzebnie namarnował ludzi...

– Wiem. Widziałem. No i co?

– Jak to? – wybuchnął Leksz. – Po cholere ta poza. Trzeba wojować, a nie odgrywać teatr. Leżą jak na strzelnicy. Ułani, szpicrutka i „mnie kula się nie ima”...

– Zdobył dom?

– Zdobył, ale jakim kosztem...

– A ty niby wiesz, ile miał kosztować ten dom? Obliczenia statystyczne, zasady, wypchaj się z tym... Posłuchaj zresztą, zastępca, co ci powiem: jesteśmy na froncie pięć dni, żołnierz ledwo ostrzelany, sam wiesz jak trudno go ruszyć, gdy wczepi się w ziemię... Furan to dzielny chłopak, bywa, że przesadzi, ale jedno rozumie: czasami nie wolno oszczędzać ani

siebie, ani innych. Trudno. Taka sytuacja. I jeszcze ci powiem: żebyś mi nie bajtlował z żołnierzami na ten temat; w dupie mam taką robotę polityczną. Muszą mieć zaufanie, do cholery, inaczej diabli nas wezmą. Co trzeba, a co nie, ja wiem, i koniec...

– Nie bądź taki zasadniczy.

– Będę zasadniczy. I ty powinienes. To nie garnizon, to wojna. A ty jesteś mięczak, wojny nie rozumiesz, gadasz, pojękujesz, a ludzi masz jakich: prosto od mamy...

– Bredzisz. – Leksz się zaperza, okulary zjeżdżają mu niemal na nos, na twarzy już nie rumieniec, ale czerwień, jakby kto pędzlem pomalował skórę. – Pięć dni! Teoryjka dla dzieci. Bywali tacy, którzy szli na wojnę z domu. Mieli wspomnienia: ostatni dzień pokoju, dziewczyna, plany na przyszłość, ładne, barwne, jak na pocztówce, i nagle: wojna! A oni? Zapytaj, który z nich pamięta ostatni dzień pokoju i co wówczas myślał? Amerykanie przyjeżdżali na front prosto ze spokojnego miasteczka; wsiadali do pociągu, na dworcu dziewczyna podawała kwiaty. A myśmy przyszli na wojnę z wojny: nie zieloni rekruci, ale stare okupacyjne wygi, których wojenny los nie zaczął się pod Dreznem. Przeżywamy epilog, rozumiesz? Nasz bohaterski ostatni rozdział: solidnie żeśmy na niego zapracowali.

– Skończyłeś?

– Nie wiem. – Leksz mięknie, siada na kanapie i wypija parę łyków koniaku. – W Polsce najmłodszy rocznik, niewypierzeni smarkacze, ma już za sobą kawał własnej wojny.

– Dobra, dobra – mówi Kolski i powraca do oglądania kobiecych aktów. – Bardzo gustowna filozofia, ale żołnierz całkiem zwyczajnie musi się ostrzelać i zwyknąć z frontem. Żeby był nie wiem jaką okupacyjną wygą.

– Żołnierza trzeba oszczędzać.

– Przestań mi wiercić dziurę w brzuchu bzdurami dla niemowląt. Sam dobrze wiesz, że piechur rzadko chodzi do ataku więcej niż trzy razy. Milkną, w kuchni jest również cisza, cisza jest za oknem, na łóżku miękkie kołdry, czysta biel prześcieradeł, już dawno nie spało się w takich łóżkach. Ile zostało godzin? Kolski spogląda na zegarek, zapina mundur, kaburę pistoletu przesuwają na brzuch.

– Wychodzisz?

– Wychodzę.

– Dokąd?

– Do kina.

– Pytam poważnie.

– Nie twoja sprawa. Może poszukać dziewczynek, o których opowiadał Kazak. Jeśli chłopcy ich nie porozciągali.

– Nikt z kompanii nie lata za niemieckimi babami.

– Oczywiście, wszyscy są święci, stare wiarusy, których zdążyłeś wychować przywracając im dziewictwo.

– Nie zdążyłem. Na ciebie także nie starczyło mi czasu. – I po chwili: – A może poszukasz nareszcie kompanii sanitarnej?

Kolski kończy właśnie zapinać guziki, naciąga furażerkę; gotowy do wyjścia, przystaje na środku pokoju. Jego wąskie oczy zwięzają się jeszcze bardziej. – Co chciałeś powiedzieć?

Leksz podnosi się z kanapy, jest znowu czerwony, ale zupełnie spokojny, jak zwykle, gdy dochodzi do starć z dowódcą kompanii. – To, co powiedziałem – mówi. – Powinieneś pójść do sanitarnej. Jutro możesz nie zdążyć, a pojutrze może być za późno.

– Bez tajemnic, gadaj po ludzku. Przychodziła do ciebie?

– Powiedzmy, że ją widziałem.

– Żadne „powiedzmy” i żadnych tajemnic! Pytam: czy przychodziła do ciebie?

– Rozmawiałem z nią. Jestem ostatecznie twoim najbliższym kolegą.

– Jesteś... zresztą nieważne. Czego chciała?

– Nie powiem ci, czego chciała, bo dałem słowo; natomiast ty powinieneś mi powiedzieć, dlaczego z nią tak postąpiłeś...

– Dowiesz się na tamym świecie.

– Posłuchaj! Rozumiem, co czujesz, wiem i sam pamiętam, jak się zachowała. Ale... jest tutaj.

– Gówno rozumiesz. Nic nie czuję, nic mnie to nie obchodzi. A ty!... Nie leż mi w duszę i nie strugaj z siebie przyjaciela. Anioł się znalazł! Litościwy swat. Co? Swatostwo polityczne, narodowe pojednanie w łóżku, a tu naokoło strzelają. Fajerwerk jak na prawdziwym weselu! Mordę w kubel i płąć. Na drugi raz, pamiętaj: odpieprz się, zanim zaczniesz.

Leksz zdejmuje okulary, pochylony nad stołem wyciera szkła brudną szmatką.

– Przepraszam – mówi.

Kolski idzie do drzwi, otwiera je gwałtownie i przystaje na progu. Odwraca się.

– Słuchaj, nie chciałem cię urazić, sam jesteś winien. – Wychodzi.

Ogarnia go noc, takich nocy nie było jednak w Borowicy, nawet niebo jest inne, a ostra linia dachów, rysująca się w głębi, przypomina dekorację teatralną. Ile jeszcze zostało godzin? Są niepotrzebne, bezużyteczne, należy je skrócić... Człowieku, idź spać, przecież ledwo stoisz na nogach... Szkoda, że nie ma Kotwy. To też był filozof, ale rozumiał.

Tłumaczyć Lekszowi? Po co? Kotwa szedł alejką, strzelono z krzaków, nie było rakiet, tyraliery, szturmu... Nawet nie zauważył, kiedy skończyła się jego wojna; pozostał pozycją w rachunku, rachunek zostanie wyrównany, ale nikt nie podsumuje go tutaj, pod Dreznem. Poczekamy. Poczekamy – powtarza.

Na dalekich wzgórzach za miastem odezwał się kaem, seria, znowu seria. Wystrzeliła rakietą i rozsypała się nad horyzontem. Kolski stoi na środku jezdni, słucha i gdy tak trwa zapatrzony na zachód, dochodzi doń odległa artyleryjska palba.

Przecina ulicę na ukos, podchodzi szybkim krokiem do dwóch domków odsuniętych nieco od chodnika. Oba wydają się puste i martwe; w pierwszym – wybite szyby, ciemno za oknami. Odpina kaburę, zagląda do środka: widzi niewyraźne zarysy przedmiotów, duża szafa, stół, chyba przewrócony. Kopie drzwi, są otwarte; korytarz – zupełna studnia, błysk latarki elektrycznej wydobywa” z ciemności krzesło, leży na podłodze, jakby ktoś porzucił je uciekając. Kolski podnosi krzesło, siada. Drzwi frontowe są zamknięte, panuje tu doskonała cisza; noc, prawie przestrzeń kosmiczna. Zamyka oczy – zawrót głowy, wrażenie upadku w próżnię, zupełnej nieważkości. Pod przymkniętymi powiekami nie ma nic, nawet świecących punktów, ukośnych linii... Nagle wstrząs.

Gdzieś niedaleko, tuż za nim, skrzypnęła podłoga; Kolski wstaje, cicho, na palcach idzie w kierunku szmerów. Latarka elektryczna, drzwi, gasi latarkę, jest już w pokoju. Pokój wydaje się teraz niemal jasny; przy ścianie, obok maleńkiego stołeczka, stoi dziewczyna, ręce zwisają wzdłuż bioder; gdy podchodzi do niej, ona chce się cofnąć, ale nie ma dokąd, pozostaje tylko gest, jakby spłaszczenie ciała. Kolski z bliska ogląda ją uważnie; dziewczyna ma duże oczy, twarz podłużną, ładną, oddycha szybko, widać, jak oddycha. Jest potrzebna, teraz, zaraz, natychmiast. Oparta o ścianę jest tylko kształtem, przedmiotem, nie ma w niej nic ludzkiego i nic ludzkiego nie będzie w tym, co się stanie. Kolski milczy, boi się własnego głosu, słowo zawiera treść działającą jak zaklęcie. Jest sam w tym pokoju, on i przedmiot, nic więcej. I gdy tak stoi zupełnie samotny, zdany w tej grze tylko na siebie, słyszy jej głos; bardzo spokojny, zwyczajny, ludzki. Dziewczyna wymawia niemieckie słowa powoli, aby mógł zrozumieć:

– Soli ich mitkommen?

Wszystko. Kolski zaciska zęby i odwraca się. Potrząsa głową. Boli go każdy mięsień, z trudem wykonuje pierwszy krok, piersi i brzuch ogarnia gorąca, wilgotna fala. Teraz jest ich już dwoje w tym pokoju, dwoje ludzi, a to zupełnie inna sprawa i należałoby zacząć od początku.

Otwiera drzwi, korytarz, wychodzi na ulicę i dopiero gdy staje na jezdni, dostrzega, że

ona idzie za nim. Nie słycać jej kroków, ale jest bardzo blisko, tuż za jego plecami, i zatrzymuje się natychmiast wraz z nim, zupełnie jak wierny pies, którego się już nie pozbędzie.

## 4

Samochody stanęły na rynku. Wysiadł gruby kapitan, zdjął furażerkę i przetarł rękawem czoło.

– To – rzekł zwracając się do kierowcy pierwszej ciężarówki – zwa według mapy Bóslitz. Zostało nam kilkanaście kilometrów, będziemy za godzinę na miejscu.

Szofer nie odpowiedział, podnosi właśnie maskę motoru. Siedzący na górze między beczkami, które trzeba było podierać podczas jazdy, usłyszeli głucho uderzenie.

– Awaria – stwierdził ktoś wychylony za drewnianą burtę. – Wyłaż, Kłosowski, rozprostuj nogi, „kupiec” zapala papierosa. – „Kupiec” dotyczyło oczywiście kapitana, tak bowiem nazywano w pułku zapasowym tych, którzy przyjeżdżali po uzupełnienia. Olewicz ruszył się nie od razu. Chociaż minęło parę miesięcy, nie zdołał przywyknąć do swego nowego nazwiska. Okupacyjny pseudonim „Rys” przyłgnął w tamtych czasach jakoś bez trudu, a to najzwyczajniejsze „Kłosowski” przypominało niezdarne przebranie. Oczekiwał ciągle, że ktoś podejdzie i stwierdzi: „Jaki tam Kłosowski, znamy takich Kłosowskich”. Ale nikt nie stwierdzał, życie miało powoli w pułku zapasowym, posuwali się wiele kilometrów za frontem, szli nocami przez puste miasteczka i osiedla, a strzelec Kłosowski z przedostatniej czwórki w plutonie zasypiał podczas marszu, budzili go, otwierał usta i ryczał jak inni na całe gardło: „Białe orły przyszywać”. Wojna zbliżała się wyraźnie ku końcowi, na front nikt ich nie wysyłał, a Olewicza nurtował niepokój coraz głębszy. Otóż, myślał, wróć do domu w charakterze bohatera tyłów. I co dalej? Zdawało mu się, że odpowiedź na to pytanie byłaby łatwiejsza, gdyby trafił do jednostki walczącej. Czy chodzi o rehabilitację? medytował. Nie, bo wewnętrznie jestem w porządku. Czy chciałbym zginąć? Nie, nie chciałbym... Więc może sądzę, że front posiada właściwości wyzwalające, że zmienia stosunek do człowieka? A może oczekuję od siebie bohaterskich wyczynów. Jak w wiejskiej powieści: zobaczą i przeproszą...

Nie chciał się oszukiwać, istotnie, oczekiwał od siebie czegoś w tym rodzaju. Inni chłopcy z plutonu zachowywali się spokojnie i nie wykazywali zniecierpliwienia; nikt z nich nie pchał się Bóg wie dokąd, każdy i tak rozumiał, że los niczego nikomu nie oszczędza. Byli

doświadczeni, zwyknieci z wojną. Choć nie z wojskiem, wiedzieli, że nawet w ostatnim miesiącu wiele trzeba szczęścia, żeby przetrwać do końca. Tylko on, Olewicz-Kłosowski, nie miał czasu, słuchał komunikatów z frontu i obliczał na mapie odległość do Berlina, a każdy dzień w zapasowym przeżywał jak klęskę. Więc po to to zrobiłem, powtarzał. A po co to właściwie zrobiłem? Przeszli przez pontonowy most na Nysie pod Rothenburgiem, a następnego dnia zjawili się w pułku kupcy. Wybierali starannie, ze znanstwem. Olewicza wyłowił od razu gruby kapitan. Czasu na spakowanie manatków pozostało niewiele, ciężarówki stały już przygotowane, butelki, które zapobiegliwie zachowali na tę okazję, krążyły z rąk do rąk. Ci, co zostali w zapasowym, tłoczyli się na skraju szosy, nie bardzo wiedząc, czy okazywać radość czy rozczarowanie.

– Jazda! – krzyknął kupiec siadając do szoferki. Wtedy ktoś wystrzelił; chłopcy na samochodach ładowali broń, kanonada trwała jeszcze, gdy ciężarówki skręcały na autostradę.

Tak wyglądało pożegnanie z „zapasowym”.

Pojechali prosto na zachód szosą wykreśloną wśród bladozielonych wzgórz i ciemniejących lasów. Nie wiedzieli dokąd i nie pytali. Wiadomo: na front. Dopiero teraz, gdy stanęli w Boslitz, Olewicz pomyślał: która dywizja? A jeśli ta sama, ten sam pułk? Nie, los nie płata takich figłów, trzeba mieć nieco zaufania do losu.

Wyskoczył z ciężarówki; miasteczko było martwe, ciche, takie jak wszystkie miasteczka zajęte niedawno przez nasze wojska. Kamieniczki wokół rynku rysowały się jeszcze wyraźnie na tle wieczornego nieba, okna ziały pustką, oni zresztą nie spodziewali się tu ludzi, przyzwyczajeni do opuszczonych domów, do kraju pustynnego, z wywalonymi na wierzch bebechami. Wskakiwali z ciężarówek, zapalali papierosy, łazili po rynku zaglądając do bram, znajdowali tam połamane meble, rozdarte walizy, stosy rupieci zawałających przejścia, pokrytych pierzem czepiającym się mundurów. Wieczór był ciemnozielony, nierealny, jak w bajce albo na scenie; nawet księżyc przypominał kiepską dwuwymiarową dekorację.

Od rynku na wszystkie strony rozbiegały się uliczki, niektóre krótkie, zaledwie parę domków, inne wielkie – czarne korytarze, zabudowane dwupiętrowymi brzydkimi kamieniczkami. Jedna z ulic prowadziła niewątpliwie na szosę idącą w kierunku frontu, ale nie wiedzieli która.

– Pewno już niedaleko – powiedział ktoś obok Olewicza. – Chociaż nic nie słyhać.

– Doczekasz się, aż ci uszy zwiędną...

Szofer majstrował jeszcze w motorze, a ludzie wracali z wędrowni po rynku, przystawali obok kupca, który spokojnie wydmuchiwał dym z papierosa.

– Dokąd jedziemy, panie kapitanie? – zapytał ktoś odważniejszy.

– Zaraz przyjedziesz – roześmiał się kupiec. – Zobaczysz gospodarstwo Weklara.

Weklara? To nazwisko nic Olewiczowi nie mówiło. Wsłuchiwał się w ciszę, a gdy przymknął oczy, dobiegł go z daleka odległy pomruk czy dudnienie, może warkot motorów, jakby gdzieś szły czołgi.

– Kończyć palenie! – krzyknął gruby kapitan. – Do samochodów!

Szofer zatrzasnął maskę samochodu i nagle znieruchomiał, ciało, sprężone najpierw jak do skoku, kurczyło się powoli, potem opadło gwałtownie w dół, a głowa uderzyła o ścianę szoferki. Olewiczowi zdawało się, że zobaczył to, zobaczył upadek szofera, zanim usłyszał serię kaemu, że chwilę jeszcze, chwilę potem, trwała cisza, a dopiero gdy tamten leżał już obok samochodu, wbijając ręce w bruk, okrył ich szczelnie jazgot maszynek i wrzask ludzki, wrzask zaskoczonych na zielonym rynku, tych, którzy nie posiadli jeszcze najprostszego nawyku wojny: na ziemię!

Gruby kapitan upadł niedaleko szofera, dostał w głowę. Olewicz zobaczył tylko czerwoną plamę, nie chciał patrzeć, trzymał już karabin, szukał celu, przez tyle miesięcy myślał, że będzie szukać celu na froncie, ale kaem bił z niewidocznej pozycji, przyciskał do ziemi, chciałoby się wdrzeć w bruk, wyrwać paznokciami kamienie, zbudować daszek, najędźniejszy daszek dla osłony.

Chciał krzyknąć: „Na ziemię, w tył, do ciężarówek!” ale głos nie przechodził mu przez gardło, nie umiał wydusić z siebie głosu i ogarnęło go przerażenie, że taki jest niezdolny do walki, obezwładniony już w pierwszym spotkaniu.

– Jezus, Maria! – wył jakiś chłopak. – Jezus, Maria! Boli – łkał przekrzykując terkot.

Większość leżała już na bruku, niektórych dosięgły pierwsze serie, inni nie padli na ziemię, rzucili się do ucieczki, na oślep, przed siebie; nie myśląc o walce biegli przez rynek w kierunku kamienic, które sterczały nieruchomo, obiecując ratunek. Ale okna nie były już martwe, strzelano z okien, padali więc na środku rynku, klękali na bruku, walili głowami o kamienie, chowali się za trupami kolegów. Kilku peźło w kierunku trzeciej ciężarówki, jechała nią osłona kupca – pięciu chłopców z kaemem. Kaem został w pudle samochodu, oni leżeli przyduszeni do ziemi, ściskając automaty. Skąd bili Niemcy? Czy otoczyli cały rynek?

Olewicz, na dnie piekła, czołgał się również powoli w kierunku ciężarówki; płonęło zielone powietrze, świst i klekot rozdierały uszy, białe linie migotały przed oczyma. Jeszcze nie, myślał, jeszcze nie teraz, jeszcze chwila. Ręce miał pokrwawione, kolana zdarte o kamienie, ale nie wiedział o tym, rozumiał tylko, że potrzebna mu ciemność, głęboka i bezpieczna jak studnia, nienawidził białości rynku i księżycowego światła. Czy dojdę?



Jeszcze chwila, jeszcze nie teraz, dojdę. Zobaczył go obok siebie... Zabity czy ranny? Leży skurczony na kamieniach, oczy otwarte, dłonie wbite w bruk... który to? Twarz znajoma, wszyscy byli znajomi... Bije kaem; nagle trysnęła fontanna ognia, zapalili pierwszą ciężarówkę. Rynek z tyłu, za Olewiczem, jest teraz oświetlony, wszystko widać, tych, którzy jeszcze ruszają się na ziemi, grubego kapitana, chłopca krzyczącego „Jezus, Maria!” Czy mnie widać? Nagle ogarnęła go wściekłość, uderzyła do głowy, poczuł, jak prężą się mięśnie. Do trzeciego samochodu pozostało kilkanaście metrów zielonej przestrzeni. Gównno, niech będzie, co chce. Skoczył. Jak długo to trwało? Opadł w cieniu za kołem, kaem się rozwrzeszczał, stukało o ściany pudła. Za ciężarówką jeszcze dwóch, nie – trzech; to ci z osłony, bo trzymają automaty.

– Gównno – wyszeptał ktoś obok – nawet nie da rady nawiać. Koniec. Popatrz. – Istotnie, kilkadziesiąt metrów od nich, na rogu uliczki, pojawiają się już czarne postacie. Są jeszcze ostrożni, nie przerywają ognia.

Olewicz nie widzi twarzy żołnierza, ale ten głos dodaje mu pewności siebie. Teraz nareszcie odzyskuje spokój, mruży oczy, wypatruje, skąd bije kaem.

– Gdzie wasza maszynka?

– Odczep się od maszynki. W pudle.

Olewicz ukląkł i spojrzał w górę; kłapa zamknięta, trzeba przeskoczyć przez burtę. Szansa? Była szansa... No, strzelec Kłosowski, zginiesz jako strzelec Kłosowski. Podciągnął się na rękach, mocne odbicie, był już w środku. Znalazł. Chwycił maszynkę, przekoziółkował z powrotem.

– I tak zginiesz.

– Zginę – powtórzył jak echo, odrzucił karabin. To już była jednak gra. Nie po raz pierwszy, do diabła! Ale nigdy nie miało się takiej pewności, że to koniec; ci trzej chyba nie wiedzą. Ile minut nam zostało: pięć, dziesięć?

– Daj maszynkę. – Ten obok niego był młodym chłopcem, głos jak przed mutacją.

– Odczep się. A teraz uwaga. – Obejmował komendę i nie spodziewał się protestu. – Czekać, aż wyskoczą na róg. Ja zaczynam.

Czekał. Ogień niemiecki cichł, czarne figurki pojawiły się znowu u wylotu ulicy; dobiegł chrapliwy niemiecki wrzask. Olewicz celował spokojnie, chroniło go nieco koło, koło dodawało pewności: śmieszne. Nacisnął spust, bił krótkimi seriami, tamci zniknęli natychmiast. Pociski zastukały o blachy, któryś z nich wyciągnął rękę i wypuścił automat, a Olewicz jeszcze strzelał, celował w wylot ulicy, stamtąd walił kaem. Jeszcze chwila, jeszcze seria... i koniec. Odrzucił niepotrzebną broń, chwycił znowu karabin.

I wówczas, poprzez jazgot i świst, przedarł się wyraźnie warkot motoru; nie mogło być wątpliwości: szedł czołg.

Teraz pozostał już tylko strach; nigdy nie miał do czynienia z czołgami, był bezbronny i samotny, wiedział, że za chwilę zapalą ciężarówkę, nie chciał spłonąć, bał się ognia; miał skórę, kości, wzrok, słuch, węch, istniał – i to było najważniejsze. Spojrzał za siebie; kilkadziesiąt metrów dzieliło ich od najbliższych kamieniczek. Czy ze wszystkich okien strzelano?

Pod ciężarówką pozostał zabity; Olewicz i ci dwaj czołgali się przyklejeni do bruku, nie widząc już nic poza białymi pasmami kamieni. Za sobą słyszeli warkot motoru. Myśleli: podchodzą, są już nad nami, czy strzelą w tył głowy, czy każą wstawać? Jest jednak ciemno, zaszedł księżyc, może nie zauważą?... Tak ginąć jak uciekające szczury?

Nie było daleko. Kamieniczka wyrosła przed nimi nagle, zobaczyli przed sobą wejście do bramy, w bramie rupiecie wyrzucone z mieszkań, ciemno. Otwarte drzwi na pustą klatkę schodową. Tamci dwaj siedli na ziemi i oddychali; żołnierz o chłopięcym głosie pochylił się i wymiotował prosto na spodnie.

Olewicz pozostał przy furtce. Ukryty w ciemności, widział stąd cały rynek; płonęła już trzecia ciężarówka, a u wylotu przeciwległej ulicy stał czołg. Niemcy podchodzili do samochodów, słyszał już pojedyncze słowa, potem ktoś, chyba oficer, wykrzyczał pełne zdanie. Wtedy się zaczęło. Olewicz leżał na ziemi, patrzył i ścisnął karabin. Nie wystrzelił. Zapamięta: nie mógł wystrzelić! Oto czarna postać Niemca pochyła się nad brukiem, tam leży człowiek, ranny; rannego nie widać, widać tylko Niemca. Zamachnął się, uderza. Czym bije, czym, na miłość boską, zabija? To nie automat, to toporek saperski. Stąd, gdzie leży Olewicz, wygląda to tak, jakby walił o kamienie; nie słyhać krzyku, nic. Toporem saperskim... Jeden, drugi, trzeci... Olewicz patrzy, musi patrzeć i będzie widział tę scenę, ilekroć zamknie oczy. Człowieku, będzie powtarzał, ile zostało ci naboji? Człowieku, dlaczego nie wystrzeliłeś? Czy masz odwagę się przyznać, przynajmniej odwagę przyznać, że tak bardzo chciałeś żyć, tchórze?

## 5

*Notatnik porucznika Janosza, adiutanta dowódcy dywizji*

Godzina 16. Zwiad doniósł, że czołgi niemieckie pojawiły się w rejonie Bóslitz. Spojrzałem na mapę: miasteczko leży osiemnaście kilometrów na wschód od naszego m. p. Ładna historia! Oczywiście zwiad nic więcej nie wie, przyłapałem kapitana Roszko w sieni, wychodził od szefa sztabu. – Odczep się – warknął – nie mam czasu. – Wyszedłem przed domek, cisza, aż miło, słońce świeci, zjawił się Witek, ten drań ma już pełny plecak, ale tak się prześliznął, że nie zdołałem go chwycić.

Generał śpi. Rzadko sypia po obiedzie, dzisiaj zwałił się na łóżko i rozkazał, żeby go nie budzić. Wszyscy czekają; szef sztabu ruga łączność i zwiad, ale jeszcze nie poszedł do Weklara. Przedziwny facet, ten nasz generał! Zawsze, gdy się coś zdarza, on reaguje inaczej niż wszyscy. Roszko twierdzi, że generalska mądrość różni się znacznie od mądrości zwykłych ludzi; może ma rację. Ja też czasem myślę, że Weklar rozumie i więcej, i mniej niż każdy z nas. Nawet mu to kiedyś powiedziałem, oczywiście innymi słowami. Roześmiał się. „Każdy ma swoją wojnę”, oświadczył. Potem spoważniał. „Rzeczywiście – rzekł – pogadam z tobą któregoś dnia”. Poczekamy.

Jak zwykle to ja musiałem budzić generała. Szef sztabu poci się jak Roszko i zaczyna nawet ze zdenerwowania lepiej mówić po polsku: „Melduj sytuacji”, wrzeszczy w słuchawkę. Dawniej Weklar dusił go o tę polszczyznę, teraz dał spokój. „Bzdura – powiedział – gadaj po rosyjsku, jesteś specjalista od wojowania, a nie od języka”. Grubas aż zapiszczał z radości i rozgadał się jak katarzynka. Nic nie mogłem zrozumieć.

Idę więc budzić generała; ledwo jednak spojrzałem, widzę, że stary udaje; ma co prawda zamknięte oczy, ale już nie śpi. Nie mnie brać na takie kawały! Poczekaj, myślę, zaraz cię urządzę. Podchodzę więc na palcach, a przed samym łóżem jak nie stuknę obcasami. Wódz otworzył oczy i powiada: – Bez kawałów, Kazik, budzicie mnie od pół godziny, aż cały dom się trzęsie. – I zaczął się czochrać, koszula na piersiach rozpięta, ciało kosmate jak u niedźwiedzia. Ziewnął, naciągnął buty i zamiast od razu wezwać szefa sztabu, wyszedł na dwór; popatrzył sobie na słońeczko, pozwolił, żeby na niego, dowódcę dywizji w koszuli, spojrzeli z różnych zakamarków łącznościowo-gońcowych, i wrócił do domu. Grubas już na Weklara czekał, pokazał mu na mapie co i jak. – Rzeczywiście – rzekł generał. – Boslitz? No to co? – Pomyślał, zapalił papierosa, a potem zadał mi mnóstwo roboty zupełnie nie związanej z Boslitz, przynajmniej pozornie. Zaczęła się mianowicie niesamowita kołomyjka z kwatermistrzostwem i tyłami; wszystko od razu chciał wiedzieć, ale ciągle udawał, że mu „nie spieszno”.

– Ty spokojnie, spokojnie, Kazik, czemu się tak wydzierasz przez telefon – powiedział stając nagle w drzwiach pokoju. A ja właśnie nie mogłem się dogadać z naszym „borsukiem”,

czyli kwatermistrzem; coś tkwiło na linii, jakaś trzeszcząca cholera, i ani rusz...

Nosem czuję, że zaczyna być niewesoło. Do wieczora generał gnał pułki naprzód, a teraz dwa zawracają. Kabel z armią nie działa, przyszedł szyfrogram, jeszcze nie wiem co, ale pewno jakaś kołomyjka. Weklar włożył mundur, spochmurniał, nie patrzy na mapę, tylko stoi przy oknie i milczy. Jak by powiedział Witek: „Strategia mu się psuje”. Roszko twierdzi, że Niemcy przedarli się z południa, ale sam dokładnie nie wie, co i jak. Takich mamy zwiadowców; dobry chłop ten Roszko, ale okrutna ciamajda. Pewno, że musieli się przedrzeć, jeśli dobrnęli aż do Boslitz; choć z drugiej strony – może tylko rozproszone grupy...

Bardzo chciałbym wiedzieć, co naprawdę myśli Weklar. Gdy ze mną rozmawia, czuję się zawsze tak, jakbym dotykał pancerza. Sam kiedyś powiedział: „Spróbujmy się porozumieć”. Niby jak? I niby po co? On i ja... Chłopak prosto z Armii Krajowej, którego wziął na adiutanta chyba dla jakiegoś kaprysu, i on – generał z Hiszpanii i 1 armii...

Czasami wydaje mi się, że może to zresztą tylko złudzenie, że między nami trwa autentyczny mecz, chociaż nie bardzo wiem, o co chodzi i jaką bramkę chce zdobyć generał. Odnoszę wrażenie, jakby Weklar mnie dosięgał... tak to nazwę. Podziw nie jest słowem właściwym, jego generalska poza bywa często zbyt łatwa, nie jestem przecież, pierwszym naiwnym... „Boslitz, no to co?” Włodek, gdy pisywaliśmy razem, lubił głądzić o sztuce dowodzenia i pograniczu wielkości. „Dowódca musi umieć narzucić własny ład – nie tylko w sensie organizacyjnym; stwarza wydarzenia i stwarza reakcje ludzkie”. „Nie ma dowódców bez wyobraźni”. Bo istotnie: co my na przykład wiemy o znaczeniu pojawienia się grup pancernych npla w rejonie Boslitz? Dopiero on tworzy to wydarzenie i narzuca nam swoją reakcję. Podniósł się z łóżka i od razu wiedział, że trzeba wyjść w koszuli przed dom i postać nieco na słończku, chociaż szef sztabu czeka z meldunkiem. Zrobił to dla mnie...

A jeśli zrobił to po prostu tak sobie, ponieważ chciał całkiem zwyczajnie łyknąć świeżego powietrza?

Od dwóch godzin nie ma łączności z pułkiem Adamczuka. Łącznościowcy sprawdzają linię, a w radiostacji pewno im wysiadły akumulatory; głowę bym dał za to! Akumulatory wysiadają zawsze wówczas, kiedy są najbardziej potrzebne.

Szef sztabu staje na głowie, generał wyjeżdżał dokądś willysem, wziął Roszka, mnie kazał zostać, teraz wrócił i siedzi u siebie w pokoju.

Powinienem napisać list do Anny. Zapewne nie zdążę, nie wiem zresztą, co bym jej

mógł napisać. Tamte czasy wydają mi się teraz tak odległe, jakby minęło wiele lat. Ktoś tak ładnie powiedział: „Wróćę nieznany do ciebie – nieznaney”. Bo rzeczywiście; jacy będziemy potem?

„Nie poznamy świata i on nie pozna nas”. Annie mogę donieść co najwyżej, że żyję, i dodać parę słów, których treść wydaje mi się albo żadna, albo wąpliwa.

No cóż, stary mnie wzywa, zapadła już noc, nieco zielona i niespokojna jest ta noc, wcale się nie dziwię, że szef sztabu śpi w mundurze. Daje dobry przykład.

Generał nie miał oczywiście ochoty spać. Kazał przynieść szachy, wygrałem z nim bez trudu, zresztą nigdy z nikim nie starałem się przegrać, jestem z tego dumny. Ale tym razem nie wiem nawet, czy zauważył, że dostał mata. Pomruczał, pochodził po pokoju, nalał sobie i mnie po pół szklanki koniaku. Pije ostatnio dużo, czasem nawet podczas śniadania, Witek na głowie staje, żeby mu nie brakowało alkoholu. Ciekaw jestem, co go gryzie, o czym sobie prywatnie myśli taki facet, który ma za sobą życie jakby specjalnie zamówione do broszury propagandowej Zarządu Polityczno-Wychowawczego. Ale przecież nic nie powie, to ja jestem etatowo do zwierzeń, on sprawdza sobie coś na mnie, czuję to wyraźnie. I jeszcze dziwi go moja obronna postawa, moja niechęć do gadania. Nie można się przecież przyjaźnić z generałem ani też traktować go, choćby przy wódce, jak równego sobie; jest w tym coś głęboko nienaturalnego, sprzecznego nie tylko z porządkiem wojskowym, ale i z ogólnym ładem. Gdyby generał był w cywilu, powiedziałbym zwyczajnie i serdecznie: „Staruszk, co ci dolega?”. Chociaż nie, Weklarowi nawet wówczas bym tak nie powiedział.

Milczymy więc. Nie wiem, czy mam wstać i odmeldować się; dochodzę jednak do wniosku, że ostatecznie, jak zechce, to mnie wyrzuci. Siedzę więc spokojnie, sączę koniak i myślę o draniu Witku, który mnie takiej butelki nie przyniósł.

– Dobry koniak? – pyta generał. Boże, jak ja lubię takie ojcowskie pytania; nic, tylko wstać, stuknąć obcasami i ryknąć, żeby się Witek w sąsiednim pokoju obudził: „Tak jest, panie generale”.

– Znakomity – potwierdzam.

I nagle Weklar zaczyna prosto z mostu, jak to on, bez żadnych wstępów. – Czemuś tak raptownie zamknął zeszyt i poczerwieniał, jak burak, gdy cię zawołałem? List do dziewczyny?

Waham się. – Nie, nie list, panie generale – mówię wreszcie. – Tak sobie piszę. – I wiem, że oddaję mu się w ten sposób na łaskę i niełaskę, będzie ciągnął, albowiem Weklar nie

zna delikatności. Ale mnie też, nie wiem dlaczego, pasjonuje ten mecz.

– Kronika dywizyjna?

– Nie, panie generale, raczej kronika własna.

– Wolałbym dywizyjną – stwierdza Weklar. – Nie mamy dotąd kronikarza, to bardzo źle. A ty wiesz prawie wszystko, moglibyśmy mieć historię.

– Pan generał już teraz myśli o historii. Ja tak daleko nie sięgam. Pisanie kroniki przekracza moje siły.

– Lubisz się wyłgiwać? Takie już pokolenie. Nikt z nas, albo prawie nikt, nie pisał pamiętników, nie do tego nam było. A wy uważacie się za wyjątkowych. Możesz wypić jeszcze koniaku.

Podejmuję wyzwanie. Może to koniak mnie dzisiaj podnieca?

– To nie pamiętniki, panie generale. Po prostu coś sobie notuję. A wyjątkowość? Nie każde pokolenie miało takie psie szczęście jak my, sam pan generał przyzna.

– Przyzna, przyzna... A mnie byś przeczytał swoje notatki?

– Nie, panie generale – odpowiadam bez wahania.

– Dlaczego?

– Są zbyt osobiste.

– A ojcu byś przeczytał?

– Też nie, panie generale. Proszę pozwolić sobie powiedzieć, że pan generał wymierza uderzenia nie pozwalając na obronę.

– Pozwalam na obronę.

– Człowiek nie może dać się rznąć żywcem. Każdy ma swoje najbardziej osobiste sprawy, ważne tylko dla niego.

– Jakie ma sprawy osobiste na wojnie? – przerywa.

– Choćby dziewczyna...

– E, dziewczyna, to wiadomo... a co jeszcze...

– Źle powiedziałem, panie generale, „choćby dziewczyna”, bo właśnie ta sprawa nadaje się najczęściej do zwierzeń. Ale zwierzenia są z reguły niepełne. Bowiem w każdym, dosłownie w każdym przeżyciu wojennym, również i może nawet szczególnie, istnieją te osobiste – nie umiem znaleźć słowa – własne momenty, które należą wyłącznie do każdego z nas.

– Nigdy nie odczuwałem potrzeby tego rodzaju osobistych zwierzeń na piśmie.

– Sądzę poza tym, że dla pana generała moje wrażenia byłyby po prostu nieinteresujące. Co ciekawego może myśleć jakiś tam porucznik?!

– Sprytny jesteś. Ale powiem ci wprost: interesuje mnie to, co myślisz. Długo nie byłem w kraju i nie znam młodzieży, która walczyła podczas okupacji w partyzantce. – Zamyśla się. – Po prostu nie znam, obawiam się nieufności, bo wy jesteście nieufni, nie przerywaj, nieufni i podejrzliwi, ciągle węszyć, jakbyście się czuli oszukani czy zawiedzeni... Może zresztą nie mam racji. Ty biłeś się w partyzantce i znalazłeś się w naszej armii, dlatego z tobą o tym rozmawiam.

– Pan generał uderza frontalnie i przypisuje takim jak ja cechy, których nie posiadamy. Wstąpiłem do wojska, dostałem nowy mundur i byłem rad, bo chodziłem w partyzanckim łąchu. Przyszyłem sobie nową gwiazdkę, napisałem list do dziewczyny, zameldowałem się u dowódcy pułku i ucieszyłem się, że pójdę na front. O niczym więcej nie myślałem i nie przeżyłem żadnych wstrząsów.

– Wszyscy macie odpowiedzi przygotowane dla generałów – mówi Weklar. – Niewielki to materiał dla pamiętnika. – Przejechał dłonią po czole. O co mu, do diabła, chodzi? Co chciałby ode mnie usłyszeć? Siedzę skulony nad swoim koniakiem i patrzę na niego: potężny chłop, bryła, twarz prawie kwadratowa. Dywizja na głowie, tysiąc zmartwień, pod Boslitz podchodzą Niemcy. A on gra w szachy i czegoś ode mnie oczekuje.

– Twój oddział działał na Lubelszczyźnie?

– Tak, panie generale.

– Przez cały czas?

– Dwa lata. Północna część województwa.

– Znałeś pewno sporo ludzi...

Nie wiem, czy to pytanie, czy stwierdzenie. – Oczywiście – odpowiadam – chłopców z mojej kompanii i z innych też trochę.

– A takiego nazwiska: Olewicz, nie słyszałeś? Natężam pamięć. – Nie, chyba nie. Czy pan generał pamięta pseudonim? W tamtych czasach rzadko znaliśmy nazwiska.

– Nie pamiętam – warczy.

Składam powoli szachy do pudełka, on nalewa sobie koniaku.

– No i co, no i co stało się z chłopcami z twojej kompanii? Poszli do wojska?

– Część, panie generale. Resztę straciłem z oczu. – Nie będę mu przecież wywlekać starych żalów. Po co?

– Nagadali wam pewno w partyzantce diabli wiedzą czego o naszym wojsku?

– Trochę gadali – mówię niechętnie. Sam przecież pamięta, jak było, po co mnie ciągnie za język? A jednak czegoś ode mnie chce; odnoszę wrażenie, że kluczy wokoło, nie zadaje najważniejszego pytania, albo inaczej: gdy zadaje jakiegokolwiek pytanie, już wie, że

moja odpowiedź będzie pusta i że nie może być inna. Jesteśmy obydwaj jak ludzie operujący z konieczności bardzo nieznaczną liczbą słów i dlatego – bez szans na porozumienie. Gdy patrzę z bliska na niego, wiem, że lubię mojego generała, ale nawet gdybym mu opowiedział, jak było z nami naprawdę, nie ze mną, z takimi jak ja, nawet gdybym mu wyłożył wszystkie racje, które powtarzaliśmy do znudzenia, to co? Albo je zna, albo ich nie zechce zrozumieć.

– A powiedz mi, Kazik – mówi tymczasem generał – czy przeżyłeś kiedy w wojsku, na początku, gdy byłeś świeży, taki moment, że było ci źle, obco, że chciałeś...

– Zdezerterować? – przerywam. – Pan generał nie ma do mnie zaufania.

Uderza pięścią w stół. – Mam zaufanie, nie bierz mnie pod włos, chcę po prostu wiedzieć, jak tacy jak ty czuli się w naszej armii. Co ich bolało, raziło...

Uśmiecham się. – Pan generał myśli zapewne o sprawach politycznych? Przed wyruszeniem na front często zadawano mi podobne pytania, teraz już nie. A ja mało myślałem o polityce, jestem zwykłym partyzantem...

– Ale przecież zastanawialiście się w partyzantce nad przyszłością. No, choćby nad tym, jak będzie wyglądała Polska?

– Bardzo niewiele, panie generale. Myśleliśmy raczej po prostu o Polsce.

– Tak. I ufałeś bez zastrzeżeń swoim dowódcom?

– Jakby to panu generałowi powiedzieć? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Może ci, którzy mieli do czynienia ze sztabami... Ale my cóż... Chodziliśmy z karabinem po Polsce tam, dokąd kazali...

Weklar spojrzał na zegarek, wydawał się zrezygnowany. Westchnął.

– Tam, dokąd kazali – powtórzył. – Widzisz, Kazik – dodał nadspodziewanie miękko – nie dziw się, że powracam do tych spraw. Nie po to, żeby wymuszać zwierzenia, i tak powiesz mi tylko to, co zechcesz. Ludzie, którzy nie byli w kraju, jak ja, widzą często wiele rzeczy w sposób uproszczony, na ogół słuszny, ale właśnie uproszczony. A jednocześnie... zresztą nie o to chodzi... Interesuje mnie, widzisz, nie tyle problematyka polityczna, ale przeżycia, chciałbym zrozumieć wasz los...

– Tego się nie da opowiedzieć, panie generale.

– Wiem o tym. Możesz odejść, Kazik.

Poszedłem. Noc nie była już zielona, ale bardzo czarna. I cicha. Niepokoi mnie ta cisza, ale chyba dzisiaj nic się już nie stanie. Jeszcze godzina poniedziałku.



Kończy się poniedziałek, minęła godzina jedenasta, przed chwilą na zachodzie wyskoczyły w górę rakiety, a zwiad, który dotarł do wzgórz za miastem, przywarł do ziemi i czeka. Przed nim rysuje się niewyraźna linia lasu, a kopiaiste wierzchołki, nagle oświetlone, przypominają żółtawy krajobraz księżycowy. Miasto leży nieco w dole, osłania je noc i cisza. Żołnierzom, zakopanym w ciepłej pościeli, nikt nie powiedział, kiedy wyruszą, ale nawet śpiąc wiedzą, że sen nie może trwać długo, nęka ich chłodne powietrze przedświt i czują na wargach gorzki posmak ziemi.

W kompanii sanitarnej – kompania mieści się w szkole, długim jednopiętrowym budynku, przypominającym klasztor – kapral Ewa Kraczyńska siedzi sama w ogromnym pokoju; na środku stoi duże drewniane łóżko, a wzdłuż ścian stoły porysowane scyzorykami i powalane atramentem. Czekają. Czekanie wypełnia noc, chociaż już wiadomo, że utraciło sens. Bo jeśliby chciał przyjść, powinien być już od godziny... Policzmy: z batalionu Świętowca szła dwadzieścia minut, nie dłużej... Powiedzmy, że jego kompania znajduje się nieco dalej niż sztab batalionu, więc jeszcze piętnaście minut. Sprawdzenie rozlokowania, kolacja – wszystko razem nie mogło mu zabrać więcej niż, no powiedzmy, półtorej godziny. Powinien więc być już od dawna; nie, mógłby już nawet wrócić do batalionu...

Wiadomo: nie przyjdzie.

Za oknem jest noc, noc była zielona, teraz jest czarna, a na dnie ciemności – Ewa, zupełnie samotna, wśród ludzi, którzy toczą swoją wojnę, kończą swoją wojnę, giną, i idą naprzód.

Jak to było? Nie zapamiętała rozmowy, słowa się poplątały i nie umie już powtórzyć. Powiedz, czego ode mnie chcesz? „Powiedziałem już dość wyraźnie”. Ale ja chyba nie rozumiem, nie mogłam dobrze zrozumieć, czy widzi, jak się ciebie czepiam, od miesiący idę za tobą przez wszystkie RKO i dowództwa, węchem i sprytem dobrnęłam tutaj, nigdy nie wiedziałam, że istnieje taka rzeka: Schwarzer Schops, a jednak jestem, zobaczyłam ciebie z daleka, poznałam od razu bez sekundy wahania, wyłowiłam z tłumu, biegłam, a serce waliło mi jak oszalałe. Czego chcesz? Co się zmieniło? Ja przecież nie mogłam wówczas inaczej, ty powinienesz to zrozumieć, również nie mogłeś inaczej.

Mnie już nie obchodzi ta wojna, rozumiesz, nie obchodzi. Nie mam już wobec niej żadnych zobowiązań, nie patrz tak na mnie, mogę jak automat przewiązywać, przewiązywać, wyciągać z błota, taszczyć po trawie, ale mnie to nie obchodzi. Jestem tutaj, bo ty jesteś.

Płacić? Czy naprawdę powiedziałeś to słowo? Za co mi wystawiasz rachunek? Za moje milczenie czy za Adama? Zresztą, mój drogi, każdy rachunek mogę pokryć, powiedz mi tylko wyraźnie, czego żądasz.

Ty jesteś w porządku, oczywiście. Przyszedłeś z armią i ani na chwilę nie przestałeś być uczciwy. Strasznie mnie tą swoją uczciwością dopiekasz. Chciałbyś jednak wiedzieć, czy naprawdę byłam kochanką Adama? Nie, tego się nie dowiesz... A dlaczego ci na tym zależy? Dręczy cię trochę sumienie czy po prostu chodzi ci o mnie? Wszyscy jesteście tacy sami, nie, ty jesteś inny... Przychodziłam wieczorami, było lato, Adam oczekiwał mnie w umówionym miejscu, szliśmy wąską dróżką, potem skręcaliśmy w bok, słońce zachodziło, w lesie szybko zapada noc, człowiek jest wtedy na dnie, głębiej już nie można... Wystarczy, czy jeszcze jakieś szczegóły?

A wiesz, o czym mi mówił Adam? O czystości... „Przejdźmy przez to czyści”. Czy ty aby nie żądasz tego samego? Tak bardzo jesteście z jednej gliny, tak bardzo do siebie podobni, tacy sami, ty i Adam.

To nieporozumienie, że ty do niego strzelałeś, to nieporozumienie, że nie byliście razem...

No dobrze: płacić. A jeśli się przekonasz, że umiem, czy potem wrócisz?

Ewa spojrzała na zegarek; minęło wpół do dwunastej, minął ostatni termin. Więc spać! Jutro zacznie się od nowa: „Kapral Kraczyńska prosi o przyjęcie meldunku...” Szaleństwo? Oczywiście szaleństwo, ale nie od dzisiaj, od początku, od pierwszego dnia... Usiadła na łóżku; gdy zaczęła zdejmować buty, gdy rozpięła mundur, wybuchnęła płaczem. Wtuliła głowę w poduszkę, płacz przynosił ulgę, łzy obmywały twarz, myślała już tylko o sobie, samotnej w dużej szkolnej izbie...

Skrzypnęły drzwi, ktoś stanął na progu, a może stał już chwilę, a ona nic nie słyszała... Zerwała się z łóżka, przycisnęła dłonie do oczu. Kapitan lekarz Piotrowski musiał być nieco pijany, bo jego potężna postać chwiała się to w jedną, to w drugą stronę, nogi stawał szeroko, a gdy dotarł do środka pokoju, oparł się natychmiast rękoma o stół.

: – Panie kapitanie...

– Nic, nic, dziecko, czego płaczesz, otrzyj, u licha, oczy i nie urządźaj koncertów. – Kapitan lekarz odzyskiwał powoli pewność ruchów, podszedł do łóżka i nawet przysunął sobie krzesło.

– No gadaj, doktorowi Piotrowskiemu możesz. Zawsze miałem zaufanie u pacjentek. Skrzywdził cię kto czy co? Powiedz, a ja go już załatwię. Dałbym ci kieliszek czego mocniejszego, ale nie wiem, gdzie mi to bydlę, Staszek, schowało...

Ewa milczała. Lubiła doktora Piotrowskiego; wszyscy w pułku wiedzieli, że „brodac”, bo doktor wywodzący się z wileńskiej AK nosił starannie wyhodowaną bródkę, jest „pocziwy” i – jak mawiał Krycki – „serdeczny”, ale teraz wydał się jej po prostu

zabawny...

– No – zachęcał – może ci walerianki albo bromu zaordynować? Z braku alkoholu to dobrze robi. Jutro będzie ciężki dzień, trzeba wysuszyć nerwy.

– Nie, nic mi nie jest, panie doktorze, po prostu taki nastrój.

– Nastrój? Odzwyczaj się, dziecko. To dobre w domu. Na wojnie ładne dziewczęta nie mają prawa do takich rzeczy. Pełnicie funkcje samarytańskie w stosunku do chorych i pomagacie zdrowym. Co byśmy bez was robili na tym spalonym pustkowiu? – Wstał z krzesła, odepchnął je nogą i opadł ciężko na łóżko. Pogładził Ewę po włosach, potem dotknął ostrożnie palcami oczu.

– Panie doktorze!

– Nic, nic – mruzczał – już wyszło. Nie gniewaj się na mnie starego. Oczy masz pewno nieco zaczerwienione, ale to nie szkodzi. Piękna z ciebie dziewczyna, Ewo, i ciągle taka samotna. Ja też jestem samotny. No nie broń się, dziecko, bardzo cię lubię, od dawna o tobie myślę, ciągle, ciągle... Naprawdę nie chcesz? Przeszkadzam ci? Tak źle, Ewo, tak bardzo źle... No dobrze, dobrze, nie uciekaj, jakie szorstkie są nasze mundury... Tak, zaraz odejdę, za chwilę odejdę. Co za przekłete krzesło.

Godzina dwunasta.

# WTOREK DZIEŃ DRUGI

## 1

Przedświt. Mgła. Ludzie zanurzeni we mgle, w ciemności, turkot kół po bruku, na zachodzie cisza, w nocy wzgórza za miastem oświetlały rakiety, teraz nie istnieje nic poza wąską ulicą, plutony, w ciasnych gromadach, człowiek przy człowieku, stają przed domami. Tak jest zresztą cieplej. Noc pozbawiła ich odporności, sądzą, że brakuje im godziny snu, ta godzina byłaby najważniejsza, teraz prędko jej nie odzyskają. Zaciśnięte zęby, mocno dociągnięte pasy, obojętnie słuchają krzyku oficerów formujących kolumny marszowe. Dokąd pójść? Co ich dzisiaj czeka? Nie myślą o tym, nie widzą już miasta zdobywanego wczoraj, zanurzeni we mgle i w ciemności usiłują bezskutecznie odzyskać ciepło, podnosząc kołnierze płaszczów, zasłaniając usta dłońmi. Ręce pakują głęboko w kieszenie, chronią je od zimna, a także sprawdzają, czy nie zostawili na kwaterach rzeczy cennych: pudełka z tytoniem, niemieckich papierosów, tabliczki czekolady, ołówka, zapalniczki, papieru, na którym jutro napiszą list.

Do plecaków wepchnęli komplet bielizny znalezionej w niemieckim domu; ci, którzy przyjdą potem, zajmą się zdobyczą wojenną. Dla nich przedmioty mają wyłącznie wartość sprawdzalną teraz. Nie, nie tylko użytkową; mocne pudełko od papierosów jest oczywiście trwałe, chroni tytoń przed wilgocią, a także przed zbytnim wysuszeniem. Na pokrywie ma zręcznie wykonany rysunek: wieża ratusza, maleńkie figurki ludzkie. Nawet jeśli się nie pali, można wyjąć pudełko, popatrzeć sobie na nie, pogłodzić rozwartą dłońią i schować z powrotem do kieszeni. Posiadacz pudełka jest bezpieczniejszy, albowiem nie po to zdobyło się takie cacko, żeby zafasować kulę.

Powoli wypływają z mgły kontury domów i zarysy dachów; ulica jest jeszcze jak ciemny korytarz, ale już z perspektywą, wiadomo, że dalej są pola, łąki i wzgórza. Wzgórza mają numerację na mapie, oficerowie będą wpisywać cyfry do bloku, dla oficerów przestrzeń jest rozleglejsza, mówią o „terenach”, „kierunkach” i „zadaniach”. Oni zobaczą przed sobą łąki i las, gdy oczyści się wreszcie niebo i powietrze odzyska przezroczystość, a każdy następny krok będzie zawsze krokiem do rozgrywki o najwyższą stawkę. Ale mogą o tym nie myśleć, konieczność nie wzbudza w nich protestu, ponieważ zżyli się już z koniecznością, i gdy

formują kolumny marszowe, ściskają swoje pudełka od papierosów, nie pamiętając już o tych, którzy zginęli wczoraj, i nie troszcząc się zbytnio o tych, których czeka to dzisiaj. Za miastem mgła ślizga się jeszcze po łące, ale dostrzegają już swoje twarze, szare i brudne, doskonale jednakowe i ta jednakowość może ich uspokajać, chociaż także przeraża, pozbawia bowiem odrębności, niezbędnej wiary w wyjątkowość własnego losu. Michał Maczuga, jeden z nich, a nigdy tak bardzo nie czuł się jednym z nich jak od sześciu dni, obejrzał się raz i drugi, poszukując twarzy Grała, zanim sobie przypomniał, że Grał nie żyje. Nie odczuł już bólu, chłop przecie był stary i życia sobie zbytnio nie cenił, myślał więc nie o nim, lecz przeżuwał swoją wczorajszą złość na Furana. Wszyscy byli jednakowi, ci, którzy szli, a Furan inny; pewno, że oficerowie bywają inni, Kolski na przykład, ale Kolski zna się na wojnie, widać to od razu, i wie, że ludzie giną, dostają w brzuch albo w głowę, flaki wyłazą na wierzch, ciągną się po trawie jak gąsienice, kurcząc się i rozwijając, w ogóle nie sposób o tym zapomnieć. Gdy się zaczyna, wszyscy pamiętają, Kolski też pamięta, a Furan – nie. Mówią: „odwaga”. Cóż to takiego? Nikt nie powiedział, że Maczuga jest odważny; po prostu taki jak wszyscy, palcem go nie wytykają, od dawna, wie, że jak trzeba, to trzeba, ale przecież pamięta. Od tego ranka, kiedy zobaczył po raz pierwszy... Dym, Maczuga biegnie jak inni, pada na ziemię jak inni, niby nawet łatwiej niż na ćwiczeniach i chyba niegroźnie; szczekają maszynki, warkot, huk wybuchów, jazgot, świst zlewają się w jeden ciągły huk, nad głową ryczą tony żelastwa, ale Michała Maczugi to ciągle jakby nie dotyczy. Nagle, tuż obok niego, ktoś wali się na ziemię, wyje wysoką, przeciągłą nutą. Michał podbiega, widzi: odłamek rozorał brzuch. Patrzy i też zaczyna krzyczeć, a głos ma słaby i piskliwy, jakby trochę kobiecy. „Ludzie – wrzeszczy – ludzie... „ Tak właśnie baby krzyczały na wsi podczas pożaru. I ogarnia go strach, pot zalewa oczy, biegnie na oślep, nic nie widzi, nie słyszy, a potem potyka się, wali na ziemię i dłońmi wymacuje własny brzuch, łapie oddech, ostre śmierdzące powietrze, mgła, jak teraz, liże łąki i wąską krętą rzeczułkę, której nazwę powtarzał nieustannie Leksz, żeby wszystkim dobrze zapadła w pamięć...

A Furan zapala papierosa. „Nieźle się spisaliście, chłopcy”. Po co to gadanie? A dlaczego niby miałby nie gadać? Co on, Michał Maczuga, może wiedzieć o tym, co powinien, a czego nie powinien dowódca plutonu...

Kolski milczał. Poczęstował tytoniem, popatrzył i nie powiedział ani słowa.

A jednak szkoda Grała, chociaż był stary, znacznie starszy od Maczugi, „jeszcze z carskiej armii”. Jego baba, jeśli jej rzekną nazwę miasta, wybałuszy tylko oczy. „Boże mój, Boże, tyle świata”. Pewno jej będzie żal trochę męża, chociaż życie już z nim przeżyła i niczego nie mogła się spodziewać prócz niedołęstwa. Umarłby sobie Grał w łóżku, spokojnie,

jak człowiek, nie gwizdałoby nad nim żelastwo, nie drapałby ziemi... Baba by sobie nad nim popłakiwała powolutku... Babskie zawodzenie, właśnie o nim teraz pomyślał, gdy mgła odsłoniła na dobre łąki i rozległość sięgającą wzgórz na horyzoncie. Maria płakała, gdy się żegnali. „A wrócisz ty, a zobaczę cię jeszcze?” Jakże to się stało, że tak przyłgnęła do niego, chociaż widzieli się może ze trzy razy? Dziwnie Michałowi Maczędze, gdy o tym pomyśli, bo nawet matka zwykła mówić: „Niepozorny jakiś jesteś i baby na ciebie nie lecą”. A Maria przyszła sama, skręcili potem w las, jesień już była, ale ciepło jeszcze i ziemia pachniała. Maria usiadła na trawie, wyciągnęła do niego ręce, a gdy ją obejmował niezdarnie, bo mało miał z kobietami do czynienia, sama odrzuciła spódnicę i taka była, jakby żyli ze sobą od początku świata. „Naciesz się, Michał – mówiła, – i ja się muszę nacieszyć, bo długo ciebie nie będzie”. A Maria to przecież nie zwariowana Hanka ze wsi, która dla wszystkich była dobra.

Maria... żeby wrócić do niej, trzeba mieć cały brzuch, zdrowe ręce i nogi, bo przecie chleba nikt człowiekowi nie da darmo, a ziemia wymaga roboty, o tym Michał wie najlepiej i wcale się nie lęka, ciągnie go do roboty jak do zabawy. Ot, zaczęliby teraz z Marią gospodarke... Zaczną.

Przystanęli. Pluton rozsiadł się po obu stronach drogi, zapalili. Słońce wyjechało na niebo, łąki mokre były od rosy i błyszczące. Michał dobrze znał takie poranki. Niczym nie różniły się ojczyste od tych w obcym kraju.

Podszedł Kaleta, poczęstował niemieckim papierosem, smakującym jak trociny. – Juno sind rund – przeczytał na pudełku. – Co to, do cholery, może znaczyć? A wiesz ty, Maczega – powiedział – że my idziemy z powrotem. Nawet tą samą drogą...

– A co mnie tam – mruknął Maczega. – Dokądś nas zaprowadzą, przecież wiedzą.

Z zachodu, zza miasta, które opuścili rankiem, dobiegło dudnienie artylerii.

## 2

– Z tego widać – stwierdził Kaleta – że germaniec jest i tam, i tu. Jak to, cholera, co się stało? – I spojrzął w górę, na wierzchołki sosen tkwiące w błękitnym niebie.

Pluton ostrożnie skradał się między drzewami, okrążając miasteczko Boslitz. Na skraju lasu, tam gdzie zaczynały się łąki biegnące aż do zabudowań, został batalion. W ostrym świetle słonecznym widzieli wieże kościołów i dachy kamieniczek; pamiętali je.

Przechodzili tędy przed trzema dniami; na ulicach było pusto, a z okien powiewały białe flagi. Mogłoby się więc wydawać, że nic im stamtąd nie grozi, ale Świętowiec zatrzymał batalion i wysłał pluton Furana na rozpoznanie.

Prowadził Kolski.

Szli na wzgórze obrosnięte rzadkim lasem; skąd rozpościerać się musiał widok na miasteczko; pod nogami chrzęściły zeschnięte gałązki, Michał schylił się, podniósł jedną, była sztywna i łamliwa, ścisnął ją w dłoni, rzucił na ziemię. Zdawało mu się, że są na ćwiczeniach, tak ładnie świeciło słońce; dotrą do wzgórza, siądą na trawie, a Furan rozpocznie omówienie: „Maczuga lepiej, choć jeszcze tkwi w nim oferma”. Potem zapalą papierosy i popatrzą sobie na niebo.

– Nie palić – powiedział Kolski.

Gdy znaleźli się na zboczu, zobaczyli miasteczko; leżało tuż przed nimi, rozpostarte na łąkach, a wąska wstążeczka drogi ginęła między drzewami na skraju lasu, tam gdzie został batalion. Michał obejrzał drogę, potem dopiero zobaczył barykadę, za nią rynek, kamieniczki, szyldy nad sklepami, błyszczące, jakby pozłacane. Na rynku stały samochody, a obok nich kręcili się żołnierze. Ładowali coś na ciężarówki, łazili zwyczajnie tam i z powrotem, siedzieli na ławeczkach przed domami. Michał patrzył i dopiero po chwili, gdy Kolski już wskazywał, gdzie ustawić erkaem, zrozumiał: to byli Niemcy! Dowódca kompanii ukląkł obok maszynki, porucznik Furan stał za drzewem. Michał widział jego twarz bardzo blisko, suchą, nieco podłużną, usta wykrzywione, jakby się uśmiechał. Furan podniósł do oczu lornetkę, a Kolski wydawał rozkazy. Zaskoczą Niemców nagłym ogniem, zmuszą do odpowiedzi, a potem wrócą do batalionu. To przecież ogromna frajda mieć wroga jak na strzelnicy; celować spokojnie, nie spieszyć się, niech sobie każdy wybierze fryca, trzeba pamiętać, że po rozpoczęciu będą już mieli bardzo niewiele czasu.

Michał wybrał sobie stanowisko i ułożył się wygodnie. Mniej więcej na środku rynku zobaczył wysokiego mężczyznę z fajką w zębach, wziął go na muszkę. Z tej odległości widział bardzo dokładnie:

Niemiec stał sobie niedbale i patrzył w jego kierunku. To ogromna frajda, pomyślał, mieć wroga jak na strzelnicy. Ale nie czuł żadnej satysfakcji.

Facet z fajką nie przypominał figurek skaczących po polu; zdjął zwyczajnie czapkę, był zupełnie łysy, głowa błyszczała w słońcu. – Cholera! – zaklął Michał i wówczas Kolski dał sygnał.

Zaterkotało, erkaem szczekał jak oszalały, Niemcy padali na ziemię, a tamten stał, ciągle z czapką w ręku, jakby go wbito w bruk i pozbawiono zdolności poruszania się. Michał

trzymał go na muszce, nie wiedział, jak długo to trwa, a trwało sekundy, przyduślił spust do oporu, czekał. Przeszkadzała mu głowa, zwyczajnie błyszcząca w słońcu. Po chwili i zobaczył drugiego, który właśnie wychylał się zza ciężarówki, od razu go schwycił i bez namysłu pociągnął spust. Niemca zdmuchnęło, a łysy został, pokołysał się na nogach i po chwili zniknął za samochodem.

Rynek opustoszał, potem odezwały się niemieckie kaemy, wymacywały ich na wzgórzu, pluton czekał jeszcze, świsnęła mina z mózdzierza, diabli wiedzą skąd, widać tamci zdążyli ochłonąć. A łysiego nie zastrzeliłem, myślał Maczega. Dlaczego właściwie nie zastrzeliłem?

Cofali się w stronę lasu, do batalionu.

### 3

– No więc co o nich wiemy? Nic – powiedział Świętowiec. – Nic i mamy cholernie mało czasu.

– Siedział pod drzewem, parę kroków od niego ustawili radiostację, na skraju lasu okopywała się kompania Kolskiego. – W ogóle nie powinno ich tu być – dodał. – Do Bretwelde nie powinno ich być, ale skoro już są, coś się widocznie pokiełbało, taki nasz los.

Wyciągnął z kieszonki duży zegarek i spojrzał uważnie na Kolskiego. – Trzeba ich pomacać, nie ma innej rady, potem będę meldował. Zacznie ostrożnie, żeby bez szaleństw, sam się nie bardzo pchaj, niech pokażą, co mają. Czterdziestki strzelają tylko do czołgów, w ogóle z amunicją jest krucho, pomogę mózdzierzami. Musimy mieć dzisiaj to zasrane Boslitz; bardzo stare miasteczko, pamiętasz kamieniczki na rynku?

Popatrzył na Kolskiego, umilkł, od wczoraj trudno mu było gadać z dowódcą kompanii, zupełnie jakby stracił do niego klucz. Sztywny jest, pomyślał, cholernie sztywny. Czy tak zawsze było? Poszukał we wspomnieniach, nic nie odnalazł, może tylko niezbyt uchwytnie wrażenie obcości, coś niezbyt zrozumiałego w twarzy, w geście. Odgradza się, doszedł do wniosku, trochę zubożniały, ale świetny, świetny ( w tym swoim oddaniu wojnie. Żadnych wątpliwości. – Żadnych wątpliwości? – zapytał.

Kolski wyprostował się. – Mogę odejść, obywatelu majorze? – powiedział oficjalnie.

– Idź i trzymaj łączność.

Różnicki, który siedział w pobliżu i palił papierosa, wstał również. – Pójdę z nim. –



Strzepnął mundur i zdeptał niedopałek.

Major został na miejscu, czekał. Czuł się zawsze starszy, gdy czekał; popatrzył na korony drzew, potem przed siebie, na łąkę odgradzającą ich od miasteczka. Zobaczył wąską szpilkę dzwonnicy kościelnej, zapamiętał ją sobie, piękny, czysty gotyk – rzadkość w tych stronach. Bzdura! Któż teraz myśli o gotyku?

Przed chwilą rozmawiał z dowódcą pułku. „Gdzie jesteś?” – zapytał Krycki. Głos Kryckiego był głębszy niż zwykle. Świętowiec zameldował. „Czasu nie mam – powiedział Krycki. – Nic poważnego tam nie siedzi. Spiesz się, melduj wykonanie”. „Tak jest” – rzekł Świętowiec i pomyślał: nic nie rozumiem.

Właściwie nie rozumiał już od wczoraj. Nie przekazano im żadnych informacji, ani o przeciwniku, ani o zamiarach dowódcy dywizji i dowódcy pułku. „Czołgi przedarły się na tyły” – i bądź tu mądry. „Do Bretwelde nie napotkasz oporu”. A co siedzi przed nim? Dlaczego przerwano marsz na zachód, jeśli to tylko czołgi?

Trzeba było zażądać od razu wsparcia, myśli Świętowiec. Zresztą po co? Wiadomo: nie dadzą. „Jesteście zbyt ostrożni” – powie dowódca pułku. Pewno, że jestem ostrożny, potwierdza major. Sam sobie stawia diagnozę: przerost wyobraźni. Nigdy dawniej nie podejrzewał się o to, ani w partyzantce, ani przed wojną. Nie myślał o niepotrzebnych śmierciach, teraz go dręczą, jakby istniała jakaś granica albo jakieś śmierci, których można było uniknąć. Chyba bliski koniec wojny tak działa na człowieka. Gdy rozmawiał z Weklarem, generał nie podjął nawet tematu, nie wysłuchał do końca. „Trzeba dobrze wojować – powiedział – to znaczy współcześnie. Śmierć na wojnie wynika z rachunku matematycznego, jest kwestią statystyki”.

Statystyki... Świętowiec wyszedł na skraj lasu, widoczność była doskonała, miał przed sobą łąki wznoszące się łagodnie ku Boslitz, dostrzegał fałdy terenu, szosę po prawej stronie, i znowu zapatrzył się w wysmukłą igłę dzwonnicy kościelnej.

– Pan major pozuje im jak do fotografii – usłyszał głos adiutanta batalionu. Machnął ręką. Moździerze ostrzeliwały już skraj miasteczka, obserwator idący z kompanią podawał pierwsze cele, zaterkotały kaemy, a Świętowiec obserwował swoją dzwonnice, by dopiero później, znacznie później, spojrzeć na łąkę, po której Kolski pchał plutony. Może należało jeszcze poczekać? Ciągłe go to męczyło, przymknął oczy, widział, jak czołga się po omacku polem, nie wie nic, zna tylko kierunek, dalej jest czarna linia przekreślająca widoczność. Rozpocząć natarcie po drugiej stronie szosy? Próbować oskrzydlić Boslitz? Nie, teraz na pewno będzie czekał; trzeba było powiedzieć Kryckiemu: „Bez czołgów i wsparcia”... A może Krycki miał rację, może nic poważnego... Tamci milczeli, kompania przebyła już chyba

połowę drogi do Boslitz, szła jak na ćwiczeniach. W powietrzu, które wydawało się majorowi rzadkie i przezroczyste, widział figurki niknące za fałdami terenu, skaczące laleczki sprężynowe, podniósł lornetkę do oczu, obraz się przybliżał, ale nie zobaczył nic więcej.

Wojna toczy się cholernie powoli, pomyślał. Szybkość działania, wrzask rozkazów, skrzek telefonicznych rozmów – pewno że tak, ale tutaj przede wszystkim trzeba czekać...

Czterdziestkiąpiątki strzelają tylko do czołgów, pomyślał jeszcze. Ile pocisków na działo? I wówczas się zaczęło... Kompania Kolskiego, przytulona do łąki, sprawdzała na sobie siłę obrony tamtych. Świętowiec stał z lornetką przy oczach i zdawało się, że nie słyszy gwizdów, które zbliżały się i oddalały, przechodziły nad nim i obok niego.

Łąkę ryło żelastwo, gwizd niemieckich spandauów mieszał się z terkotem maksymów, wybuchy min pokrywały pole nisko snującym się dymem. Kompania zapadła w ziemię, nie było już widać sprężynowych laleczek, Świętowiec wyobrażał sobie ludzi szukających ochrony za wybrzuszeniami terenu, wciskających głowy w trawiaste kopce, przykrytych nawałą żelastwa niby grubym dywanem. Za chwilę będzie meldował: „Czołowa kompania podeszła pod zabudowania i zaległa zatrzymana silnym ogniem”. Język meldunków jest prosty i ścisły, nic się w nich nie mieści, żadna prawda o nich i żadna prawda o nim – dowódcy batalionu. „Starali tam się likwidować punkty ogniowe wroga”. Oczywiście, warczą kaemy, oczywiście, mam także moździerze, ale czterdziestkiąpiątki strzelają tylko do czołgów. Co mi, do diabła, te czterdziestkiąpiątki zacięły się w mózgu? Czy ruszyć drugą kompanię? Boslitz jest znakomitym miejscem dla obrony okrężnej, tamci mieli czas, niezbyt dużo, ale mieli. Co siedzi w tym miasteczku? Żeby wiedzieć...

Krycki składałby gratulacje: „Dobrześ się spisał, bardzo mi było potrzebne to Boslitz”. Dlaczego pomyślał o gratulacjach Kryckiego? Kolski nie podniesie kompanii, nie powinien, nie warto płacić ceny... Świętowiec przesunął kaburę na brzuch i nieco pochylony poszedł łąką. Szum narastał w uszach, chociaż przywykł już był do wszelkiego rodzaju jazgotu, przez chwilę poczuł się bardzo samotny między lasem a miasteczkiem, na polu znakomicie oświetlonym słońcem. Potem przystanął i podjął decyzję: „Wycofywać kompanię z łąki, poczekamy”.

Wycofywać kompanię! Łatwo powiedzieć! Kilkanaście metrów w tył, kilkanaście metrów w tył, a jak daleko mamy do zabudowań? Widać je jak na dłoni; Węgierek rozbił dom panzerfaustem, z lewej pożar, maksym umilkł, dlaczego milczy, do diabła! Człowiek przysypany ziemią z trudem podnosi głowę, nagle ktoś wyskoczył do góry, jakby zawisł nad

trawą, garbi się, biegnie w dym, potem znowu opada, kurczy się, wali w dół. Ludzie sklecili szanćczyki, niech za nimi zostaną, ogień tamtych nieco osłabł, a może to tylko zubożnienie? Tak blisko do zabudowań! Kolski przeciera dłońmi oczy, w oczach dym, w ustach piasek, powoli czołga się w kierunku milczącego kaemu. Strzelę w łeb, powtarza, strzelę w łeb.

Maczęga przywarł do ziemi. Gdy wtula twarz w trawę, zdaje mu się, że wokoło jest cisza. Przymyka oczy i zapomina, przez chwilę trwa w ciemności, wie tylko o sobie, przykleja mocniej brzuch do ziemi, lewą ręką wymacuje biodra. Czuje klekotanie serca. Potem nagle ciemność wybucha światłem, wali się na niego przeraźliwy jazgot, opasuje go dym, widzi jak na skaczącym ekranie zabudowania miasteczka, słyszy wrzask tuż, tuż obok. Nie patrzy w tym kierunku, chciałby zapaść głębiej, zniknąć, nie być tutaj zupełnie samotny, jak zwierzyna, na którą polują. Dlaczego tu jestem, po co tu jestem, dlaczego właśnie ja?

W ciszy biegli łąką, potem się zaczęło. Kolski pchał naprzód, podnosił z ziemi, Kutryna skoczył i upadł, dwóch po lewej wzywało pomocy... Zostali. Są teraz tam, na przodzie, między nimi a miasteczkiem. Mógłby ich jeszcze zobaczyć, gdyby dobrze unióśł głowę, milczą – albo nie słyszą ich wrzasku... A jego, Maczęgę, ominęło. On jeszcze jest i nie chce, żeby mu rozpruli brzuch, rozwalili czaszkę, naćkali żelastwem; podobno nie boli, człowiek nic nie czuje. Nie, na pewno boli... Skoczyć w tył? Jak trzeba skoczyć, żeby być bezpiecznym? Niech będzie co1 chce, i tak człowiek nie wylezie żywy z piekła.

Nic już nie widać poza łąką, łąka unosi się nieco w górę, jak długa, ruchoma płaszczyzna podnoszona przez potężne dźwigi. Wystarczy więc ułożyć się wygodnie, żeby się poturłać w kierunku lasu, las już pachnie, dym dociera tylko do drzew, czarna granica dymu, a dalej jest gęstwina, cisza, spokój... Dlaczego nie zastrzeliłem tysego? myśli Maczęga. – Nie zastrzeliłem – powtarza głośno. Ostrożnie podnosi głowę ponad swój szanćczyk; ogień niemiecki jakby przycichł, dym snuje się nisko po ziemi, Maczęga patrzy na ruchomą, ciągle zakrzywioną w górę łąkę i słyszy nowy dźwięk. Zza zabudowań dobiega warkot motorów.

Michał spogląda w lewo, w prawo, widzi tyralierę, słyszy głos Furana, potem wyteżają oczy, patrzy już tylko tam, w kierunku miasteczka. Widzi kurz i dym, a potem przez ciemny obłok pełźnie czołg; wydaje się cały żółty. Łoskot. Za Maczęgą wybucha fontanna ziemi, jedna, druga, Michał kurczy się na trawie, bolą mięśnie, wargi zagryzione. Uciekać... nic do stracenia... Rozjedzie, rozjedzie, gra mu w mózgu. Drugi pełźnie wprost na Michała, żółta wieżyczka, widzi już tylko żółtą wieżyczkę, jakby mu rozdzierała oczy, a niech rozdziera, niech go tu żywcem zagniecie, niech przetoczy się przez brzuch... Michał wie, że za chwilę wstanie i pójdzie tam, prosto na czołg, ruchomą łąką, wysoki i doskonale widoczny, niech sobie patrzają ci z wieży... Unosi się nieco na rękach, usta ma szeroko otwarte, krew na

wargach, zapomina, zapomina o wszystkim, co myślał i czuł, pamięta tylko, że wstanie i będzie szedł... Za czołgami – helmy piechoty, widać już wyraźnie figurki na łące. Ożył kaem, człowiek leży przy kaemie, kilkanaście metrów od niego, człowiek leży z rusznicą; zachować spokój, a wycie motorów rośnie, gdzie, do cholery, czterdziestkpiątki... Wskoczył ktoś znowu, jak odbity od trampoliny, tuż obok Kolskiego. Porucznik zamachnął się pistoletem, kolbą trafił w brzuch, tamten upadł na ziemię i jęczy... Biją czterdziestkpiątki... Ludzie podnieśli głowy, terkot wzdłuż całej linii. – Spokojnie – mówi Kolski – krótkimi seriami.

Czołg idzie prosto na Maczęgę. Michał czeka, nie wie, po co czeka, widzi już, że maszyna jest naprawdę żółta, toczy się, spływa z łąki jak z przechylnego pomostu, jest coraz bliżej... Michał podnosi się, odsłonięty niemal do pasa, rękawem przeciera – milczy, płakał, łzy jeszcze nie przeszły na policzkach. A niech tam...

Potem wszystko dzieje się już poza nim. Wybuch, silny podmuch przechodzi przez Maczęgę, czołg stoi, Michał widzi żółty płomyk, wyraźnie żółty płomyk, a potem są już oni, wyskakują czarni, trzy czarne postacie i padają na ziemię. Maczęga odbezpiecza granat, rzuca nie myśląc, jest ciągle odsłonięty do piersi, spokojnie czeka, aż opadnie dym, tamci się nie ruszają, zaczyna pełzać w ich kierunku. Łąka jest znowu nieruchoma, szara, w głębi pożary, po lewej stronie szczekają kaemy, płonie czołg, drugi chyba zawraca... A Maczęga dopełznął do „swoich” Niemców; pierwszy twarz wpakował w piasek, następny oczy wybałusza w niebo, trzeci jeszcze żyje... Michał zbliża się ostrożnie, nic nie istnieje poza tym Niemcem wpatrzonym w Maczęgę. Dostał w brzuch, widać to od razu, kombinezon ma w strzępach, ale ręką porusza, ręka pełźnie ostrożnie, palce wymacały już kolbę automatu leżącego obok czołgisty. Niemiec nie ma żadnych szans, nie zdąży... Maczęga, pochylony nad nim, uderza bagnetem, ostrze lekko wchodzi w ciało, coś niby cichy skrzek wydobywa się z ust czołgisty... A łysego nie zastrzeliłem, myśli Maczęga. Potem czuje, jak żołądek podjeżdża mu do gardła, ogarnia go wstręt, lepki, ohydny wstręt, wymiotuje leżąc na spalonej trawie.

Za chwilę major Świątowiec złoży meldunek: „Kontratak npla odparty, proszę o wsparcie”. A niedaleko Maczęgi pełźnie chorąży Leksz, który wszystko widział. Gdy układa sobie w głowie tekst do ulotki pułkowej: „Strzelec Maczęga zlikwidował trzech hitlerowskich czołgistów”, czuje uderzenie w lewe ramię, lekkie plaśnięcie, jakby ktoś rzucił grochem.

– To wszystko – powiedział lekarz. – Mielicie szczęście; centymetr wyżej i trzeba by było maszerować do szpitala.

Leksz uśmiechnął się. Kolskiemu, gdy odsyłał go do punktu opatrunkowego, oświadczył: „Zaraz wrócę”. w „Nie bądź taki bohater – mruknął dowódca kompanii – załadują cię do łóżka i spokój”.

– Tak – ciągnął lekarz – jutro zmienimy opatrunek, chyba zatrzymam was jednak do jutra, jeszcze to sobie obejrzę.

– Ja muszę wracać, doktorze! – krzyknął Leksz.

– Bez was nie odniosą zwycięstwa, co? A idźcie zresztą na złamanie karku, wszyscy jesteście tacy sami... u lekarzy.

Leksz nie odpowiedział.

– Jakoś wam nie bardzo poszło pod Boslitz – szeptał lekarz krząc gazę. – Naprodukowaliście pacjentów, jakbyście co najmniej Berlin zdobywali. No dobra, dobra, nie denerwujcie się, chorąży, tak sobie gadam, sam bym wolał być z wami, niż babrać się w mięsie.

Lekarz miał starannie wyhodowaną bródkę i czerwone usta. Uśmiechał się całą twarzą, odsłaniając białe zęby.

– No idźcie już, idźcie, do widzenia albo lepiej nie zjawiajcie się tu więcej.

Gdy wychodził z domu, podbiegła do niego Ewa Kraczyńska.

– Proszę, niech pan poczeka chwilkę, poruczniku, zaraz przyjdę, parę słów.

Leksz siadł na ławeczce. Budynek stał na skraju małej wioski, widać stąd było las, bardzo zielony i tak spokojny, jakby nie było za nim ani Boslitz, ani łąki, ani spalonych niemieckich czołgów.

Zaraz napiszę meldunek o Maczędze, myślał Leksz.

Jak to swoją drogą dobrze, że nie walnęło w prawą rękę. Był zmęczony, słowa układały mu się w głowie leniwie, rana dokuczwała jednak, zdawało się chorążemu, że idzie od niej ciepło obejmujące całe ciało. Należy, rozumował mozolnie, powiedzieć tej Kraczyńskiej, ładna zresztą dziewczyna, o co właściwie chodzi. O najprostsze rzeczy; jak w matematyce: dobre są rozwiązania najprostsze. Obowiązuje ład. Dlaczegoż to nie przestrzegać ład u wojnie?

Oni... myślą, że otrzymali specjalne zezwolenie. Piękna to rzecz, a jaka wygodna: Furanowi wolno pchać ludzi prosto na niemiecki kaem, a Kolski go nawet nie rugnie. Kolskiemu wolno szukać w nocy Niemki, zamiast iść do swojej dziewczyny, która tu specjalnie za nim się przywlokła, a jej – bezkarnie opowiadać, że ukrywała dezertera. Cóż to,

stwierdził ze zdziwieniem, dlaczego to tak?

Słońce zajrzało mu prosto w oczy, nie spostrzegł nawet, gdy usiadła obok niego Ewa.

– Jak pan się czuje? Może chce pan zapalić? A może coś do jedzenia. – Przyjął papierosa.

– Czy tam już teraz spokojniej? – zapytała.

– Spokojniej – powiedział. – Kolski czuje się dobrze – dodał po chwili.

– Ach, przecież nie o niego pytałam. Wiem, że było ciężko. My zawsze tutaj dużo wiemy, na punkcie. Pan widzi, jak nacierają, ja czasami widzę jak płaczą. Nie, nie wzruszam się łatwo, rozumie pan, jest ich po prostu zbyt dużo...

– Rozumiem. Pchaliśmy się na Boslitz, ale nic z tego nie wyszło. Będziemy jeszcze próbować. To

I obrzydliwe miejsce, wszystkie miejsca są zresztą obrzydliwe, gdy trzeba nacierać.

– Jeszcze dzisiaj?

– Chyba tak. – Spojrzał na zegarek.

– Dlaczego pan się tak spieszy i nie chce tu zostać? Proszę mi powiedzieć: czy wszyscy jesteście tacy? Nie, ja oczywiście rozumiem, ale czy pan nie pomyślał: beze mnie się obejdzie?

– Nie wiem – mruknął Leksz – nie zastanawiałem się nad tym.

Spojrzał uważnie na dziewczynę; widział ją z profilu: miękkie, regularne rysy, włosy opadające nieco na czoło. Dostrzegł w jej twarzy coś znajomego; chyba czarne włosy, takie jak Stelli. Nie, nie należy myśleć o Stelli...

– Czemu pan tak na mnie patrzy i nie odpowiada? Czy dlatego, że od wczoraj wszystko pan o mnie wie? Czuję się jak wystawiona na pokaz, obiekt godny szczególnego zainteresowania, co?

– Nie, ta ironia jest zbędna. Pani jest po prostu bardzo ładna. – Leksz poczuł, że się czerwieni, nie umiał tego uniknąć, zdjął okulary, pochylił się i starannie przecierał szkła miękką szmatką.

– Dobrze, dobrze. Dziękuję za komplementy. Tego mi nie brak. Proszę się zresztą na mnie nie gniewać. Pan wzbudza zaufanie; chyba dlatego wszystko panu powiedziałam. – Uśmiechnęła się. – Nigdy nie przypuszczałam, że pierwszym człowiekiem w pułku wzbudzającym zaufanie będzie oficer polityczny.

– Tak bywa – oświadczył sucho Leksz. Czuł, jak ogarnia go złość na tę dziewczynę. Czym dla niej jest: przedmiotem wzbudzającym zaufanie! Może powinien wyrazić radość? Ma słuchać, potakiwać, pełnić rolę powiernika w nieszczęściu. – Myślałem – rzekł – że

zwróciła się pani do mnie właśnie jako do oficera politycznego i przyjaciela Kolskiego.

– To też, oczywiście, ale przecież powiedziałam więcej, niż zamierzałam. – Wydawała się nieco spłoszona. – Wczoraj byłam u Świętowca – dodała po chwili. – Macie bardzo sympatycznego dowódcę batalionu.

– I co mówił major Świętowiec?

Wzruszyła ramionami. – Nic nie powiedział. Traktował mnie jak wariatkę. Poczęstował koniakiem i żartował. Czy to jednak nie zabawne? Rozumie pan, nikt tutaj nie chce brać poważnie tego, co było śmiertelnie poważne jeszcze przed paroma miesiącami. Teraz ludzie czują się zwolnieni od rozstrzygania tego typu kwestii. I bardzo im z tym dobrze. Patrzą na mnie, jakbym była nie z tego świata. Przesłuchiwać? Karać? Czego, do diabła, chcesz, dziewczyno, poczekaj, wracaj na swoje miejsce. – Spojrzała uważnie na Leksza. Chorąży znowu przecierał okulary, nie podniósł oczu. – Może powinnam zapomnieć? Wiem, że powinnam, ale nie mogę, pan jest jedynym człowiekiem, z którym o tym w ten sposób rozmawiam. Niech Edward dowie się – dodała ze złością – że rachunek został wyrównany. Nie odwoła się już do niczego z przeszłości... Sądziłam, że gdy pójdę do wojska... nie, zresztą nie będę o tym mówić.

Leksz schował okulary do futerału i spojrzał wreszcie na nią wypukłymi oczami krótkowidza.

– Pani powinna być ukarana – powiedział. – Wojna i sytuacja frontowa nie mają tu nic do rzeczy. Ludziom istotnie zdaje się czasem, że mogą pozwolić sobie, no, na umarzenie.. ! Ale to niesłuszne...

– Tak, pan rozumie, o co mi chodzi, i przyznaje mi rację.

– Rację? E, droga koleżanko... – Leksz zaczerwienił się, chciał wydostać papierosa z kieszeni, poruszył lewą ręką i syknął z bólu...

– Ostrożnie! Zaraz panu podam. I ogień też.

– Nie chodzi mi – ciągnął – o pani rację czy o pani szczerłość. Proszę mnie zrozumieć, powinienem to już powiedzieć wczoraj, nie zajmuję się motywami. Ja zawsze byłem taki. Interesują mnie fakty. Pani i Kolski to jedna sprawa. Nie sądzę, żeby Edward był w porządku. Przeciwnie, uważam, że postąpił z panią... no, nieładnie. Usiłowałem mu to wytłumaczyć.

– Pan rozmawiał z nim o mnie?!

– Tak, rozmawiałem. Uważałem to za swój obowiązek.

– Nie prosiłam o to.

– Wiem. – Jakże ta dziewczyna ma oczy! Patrzy teraz na niego niemal z nienawiścią. Dobrze. Powie jej wszystko. – Więc ta druga sprawa. Szczerze: to dla mnie w ogóle strasznie

skomplikowane, może jestem prostak, proszę mi wybaczyć. Było przestępstwo, powinna być kara; żadnych umorzeń.

– Ja przecież chcę być ukarana – powiedziała cicho i jakoś bez przekonania.

– Ci, od których to zależy, wezmą pod uwagę pani przyznanie się do winy. I motyw.

A ja... Zaczerwienił się znowu, ucichł na chwilę, a potem dodał:

– Gdybym dowiedział się nie od pani, ale od kogo innego, też żądałbym ukarania.

– To znaczy – spojrzała na niego – doniósłby pan na mnie, gdybym nic nie mówiła.

– Tak – potwierdził – można to tak nazwać. Nareszcie osiągnął nad nią przewagę!

Włożył okulary i zobaczył twarz Ewy bardzo blisko. Miała podkrążone oczy, kąciki ust lekko drgały. >

– Nie spodziewałam się tego po panu – rzekła smutnie. – Myślałam, że pan jest zwykłym i dobrym chłopcem z Lublina.

„Dobrym chłopcem”. Leksz wie, że tak go nazywają w kompanii. Jest niezręczny, boi się o swoje okulary, na nikogo nie krzyczy i nie umie pić. W szkole oficerskiej dowódca kompanii mawiał: „Człowieku, ale przecież z ciebie zwyczajna oferma. No nie martw się, nie martw, jesteś jednak fajny chłopak”.

– Omyliła się pani – powiedział.

– Dziękuję za lekcję, poruczniku. Zapamiętam. Czy mogę się odmeldować?

Nie wrócił od razu do kompanii, poszedł jeszcze poszukać kapitana Goldwelda. Z Różnickim nie chciał gadać, to chłopiec-roztropiec, który z każdą sprawą biegnie do Świętowca. A zastępca dowódcy pułku lubił decydować sam. Główna kolumna zatrzymała się właśnie na wschodnim skraju wsi; kapitan siedział na ganku ładnego domku, wszystkie domki były tu zresztą ładne, kryte porządną czerwoną dachówką, i jadł chleb z pieczonym mięsem. Czapkę położył na stole, mundur rozpiął, a gdy zobaczył Leksza, skinął mu głową tak bardzo po cywilnemu, że chorąży z trudem wykrztusił z siebie prawidłowy meldunek.

– No, Leksz, siadaj, co słychać? Gdzie ciebie ranili? Pod Boslitz? Krycki mówi, żeście poszkapili, że tam Niemców ledwo na lekarstwo, no, pewno, trochę przesadza, jak to dowódca pułku. Chciałem do was przyjechać, ale nie zdążyłem, bo utknąłem u Tyszki jak w bigosie. Wleźli na zasadzkę pancerną... Trzeba ulotki w sprawie czołgów pod tytułem „Czołg nie straszny”. Nasi chłopcy okropnie nie przywykli. Ale spokojna głowa, zdążą. No, melduj. – Zapiął mundur i odłożył nie dojezdzony kawałek chleba. – Jak nastroje?

– Dobre – oświadczył Leksz.



– Oj, jakie piękne słowo. Wy zawsze dla zastępcy dowódcy pułku macie takie coś, że aż ślinka cieknie.

– Ale naprawdę dobre, obywatelu kapitanie. Żołnierze trochę gadają, że nie wiadomo, po co wracamy, że Niemcy z tyłu i z przodu...

– Gadają, i będą gadać. Teraz dla ciebie zaczyna się robota, że palce lizać. Żołnierz powinien mieć dobry humor, rozumiesz Leksz. U nas są tacy, że zanudziliby żołnierza na śmierć polityką... a on i tak wie, kogo bije. ... Masz jaki materiał do biuletynu?

Leksz zameldował o Maczędze.

– Maczęga? – Goldweld się zmarszczył. – Coś pamiętam, aha, folwark w Gniazdowie. Widzisz, Leksz, nigdy nie wiadomo, co z człowieka wyjdzie. Ja sobie myślę: najlepszy żołnierz to taki, po którym nie widać zbyt wielkiej odwagi. – Włożył czapkę. – No co jeszcze, Leksz?

Choraży patrzył na wiejską ulicę: przejechała właśnie ciężarówka, potem dwa działa pułkowe, telefoniści ciągnęli kabel, żołnierz przygarbiony pod ciężarem bębna był wysoki; gdy spojrział w ich kierunku, Leksz zobaczył starą pooraną twarz.

– Jest – powiedział cicho – jeszcze jedno, ale nie dotyczy już naszego batalionu. Czy obywatel kapitan przypomina sobie sprawę Kolskiego w Borowicy? Ucieczka dezertera...

– A przypominam sobie, przypominam – mruknął Goldweld. – Narobili bigosu...

– Chciałem zameldować – ciągnął choraży – że dziewczyna, która uczestniczyła wówczas w ukrywaniu dezertera, służy w naszym pułku. Kapral Ewa Kraczyńska z kompanii sanitarnej.

– Co wy powiecie? – zdziwił się Goldweld. – To chyba ta narieczona Kolskiego?

– Tak jest.

– No to dziewczyna zuch, przyleciała do naszego wojska za swoim chłopcem. Zawsze sobie myślę: co to miłość robi z ludźmi!

– Obywatelu kapitanie! Ona wówczas naprawdę ukrywała dezertera. Powinna być ukarana. To ciężkie przestępstwo. Nie ma żadnych wątpliwości, bo sama się przyznała.

– To znaczy opowiedziała wam, jak to było. Zwierzyła się...

– Tak jest.

Goldweld wstał, wyciągnął z kieszeni pudełko z tytoniem i zaczął nabijać fajkę. Bardzo go to zajęcie pasjonowało; tytoń ubijał mocno, starannie, potem podniósł fajkę do nosa i powąchał.

– Żadnego aromatu – powiedział. – Dawniej to był aromat... ale dzisiaj? Skąd taki tytoń? Wicie, co wam powiem: niemiecki to zupełnie gówno, nawet jak dodasz trochę miodu.

Rosjanie mają dobry tytoń, paliłem w Moskwie, jak on się, cholera, nazywał, widzicie, pamięć tracę...

– Więc w sprawie tego meldunku, obywatelu kapitanie...

– Co wy się tak martwicie, Leksz? Zameldowaliście przełożonemu i spokój. Znacie rosyjskie przysłowie: naczalstwo łuczsze znajet...

– Tak jest. – Chorąży się zaczerwienił i zdjął okulary. – Bo są tacy, co myślą, że wojna oznacza... umorzenie. Że na wojnie nie obowiązuje ład. Że jest inaczej na tyłach i tutaj.

~ Jak się tak dobrze przyjrzeć, chorąży, to jest trochę inaczej. Wy jesteście student, prawda? Wy jesteście teoretyk... Nie daj nam Boże teoretyków... Co wy myślicie, Leksz – podniósł nagle głos – że ja się będę tym teraz zajmował? Oj, Leksz, Leksz, co wy macie za miłość do kartotek personalnych...

– Mnie nie chodzi o kartoteki, tylko o ukaranie przestępstwa.

– Przeszłości karzemy surowo: dezercję, tchórzostwo, niewykonanie rozkazu... A ludzi mamy rozmaitych i z rozmaity przeszłością... Nie o to zresztą idzie. Nic nie rozumiecie, Leksz, możecie odmaszerować. Aha... gdybyście gdzie zobaczyli dobry tytoń do fajki, to pamiętajcie o mnie. Do widzenia, panie chorąży.

## 5

Oficer zwiadu dywizji jest wysoki, łysy, twarz ma pociągłą, przednie zęby wysunięte naprzód. Uśmiecha się albo Olewiczowi wydaje się, że to uśmiech, gdy otwiera usta i zadaje pytania, starannie modulując głos.

– Siadajcie, strzelec. Jeść wam zwiadowcy dali?

– Tak jest, obywatelu kapitanie.

– Dobra. Wygląd macie nietęgi – uśmiech – ale trudno wam się dziwić. Więc jak się nazywacie?

Olewicz jest przygotowany na to pytanie, ale waha się chwilę. Spogląda przez okno na obszerne podwórko, właściwie dziedziniec, dalej jest wiejska droga, pod drzewami stoją ciężarówki, gruby sierżant w połówce na bakier pali papierosa.

– Strzelec Kłosowski, obywatelu kapitanie.

– Już myślałem, że ze strachu zapomnieliście. No to gadajcie, jak było.

– Więc jak przyjechaliśmy do Boslitz – zaczyna Olewicz – kapitan zatrzymał

kolumnę, bo pierwsza ciężarówka miała jakiś defekt w motorze...

– To już wiem. Słuchajcie, Kłosowski, natęźcie tę swoją pamięć i postarajcie się przypomnieć sobie wszystko o tamtych. Te wasze kumple są tak zastrachane, że nic sensownego nie umieją powiedzieć. Jakimi siłami was zaatakowano? No w przybliżeniu...

– Chyba nie więcej niż kompania – mówi ostrożnie Olewicz. – Właściwie wyglądało to początkowo na mocny zwiad. Tak przynajmniej myślałem, jeśli w ogóle cokolwiek wówczas myślałem...

Kapitan spojrzął na niego uważnie. – Na czym opieracie swoje przypuszczenia?

– Prowadziły ogień dwa kaemy, tak sędzę. Dopiero potem nadszedł czołg...

– Z jakiego kierunku?

– Nie wiem.

– Jesteście w każdym razie pewni, że były czołgi.

– Jestem pewien. Jeden widziałem będąc jeszcze na rynku, a drugi, gdy leżeliśmy już w bramie. I z całą pewnością w napadzie brała udział ludność cywilna, strzelali z okien, obywatelu kapitanie, zauważyłem też kilku w marynarkach. To była makabra. – Ożywia się, nie patrzy na oficera zwiadu. – Zupełnie spokojny rynek, noc, cisza i nagle strzelanina ze wszystkich stron.

Kapitan milczy chwilę; spogląda na Olewicza, uważnie lustruje go wzrokiem.

– Kiedy wstąpiliście do armii, Kłosowski?

Olewicz czuje, jak wzrasta w nim napięcie; jest już ostrożny, powoli cedzi słowa.

– W końcu listopada, obywatelu kapitanie.

– Nie posłali was do szkoły oficerskiej?

– Nie.

– Braлиście udział w walkach partyzanckich?

– Nie.

– Dobra. Wróćmy do naszych spraw. – Uśmiech. – Więc zostaliście zaskoczeni na tym spokojnym rynku. I potem wyrznęli was jak barany. Nie było żadnej zorganizowanej obrony?

– Nie, obywatelu kapitanie. Dowódca zginął od pierwszej serii. A reszta: to przecież ludzie z pułku zapasowego, przeważnie pierwszy raz pod ogniem...

– Wy też byliście pierwszy raz w ogniu – mówi z naciskiem kapitan. – Więc nikt nie objął po nim komendy, nikt nawet nie próbował.

– Nikt nie objął – powtarza cicho Olewicz. Pamięta... Dlaczego nie mogłem krzyknąć? Teraz wydaje mu się to nieprawdopodobne i niezrozumiałe. Pierwszy raz pod ogniem...

można oszaleć!

– Wyglądacie, Kłosowski, na sensownego chłopca. Wasi kumple powiadają, że ściągnęliście kaem z ciężarówki. Na przyszłość pamiętajcie: w takiej sytuacji każdy może objąć komendę, również wy...

– Tak jest, obywatelu kapitanie.

– No, już dobrze. Co widzieliście jeszcze, leżąc w bramie?

Olewicz milczy. Teraz należałoby powiedzieć: „Oni dobijali rannych saperskimi toporami. A ja to widziałem, obywatelu kapitanie, i nie strzeliłem. Tak, leżałem w bramie z nabitym karabinem, patrzyłem, nie mogłem oczu oderwać. Myślałem: czy przynajmniej starczy mi odwagi... Na nic mi nie starczyło odwagi... „

– Dlaczego nie odpowiadacie?

– Bo już niewiele widzieliśmy później. Wycofaliśmy się w głąb podwórza.

– Wycofaliście się!

– A co mieliśmy robić – mówi nagle Olewicz. – Chyba tylko zginąć...

Kapitan udaje, że nie słyszy.

– Przed chwilą twierdziliście – ciągnie – że z bramy zauważyliście czołg. Człowieku – dodaje – przecież to dla mnie ważne, a was trzeba ciągnąć za język. Od wczoraj nie złapaliśmy żadnego jeńca.

– Tak, w pierwszej chwili spojrzeliśmy jeszcze na rynek, ale to niestety wszystko, co wiem.

– A potem?

– Znaleźliśmy z podwórka wyjście na tyły zabudowań. Noc była ciemna, księżyc zaszedł, tylko gwiazdy... Okrążyliśmy to przekłete miasteczko, ale bardzo powoli, bo jeden z nas, najmłodszy, zwichnął sobie nogę w kostce. Chciałem odejść jak najdalej od Boslitz, ale musiałem najpierw znaleźć kierunek...

– Co widzieliście po drodze?

– Gdy zbliżaliśmy się do szosy, mieliśmy ją po lewej ręce, słyszałem wyraźnie motory; z daleka niewiele było widać, ale chyba transportery.

– Dużo?

– Raczej tak. W nocy trudno się zorientować.

– Ale trzeba mieć głowę na karku! Gdybyście podpełzli bliżej, moglibyście coś zobaczyć. Teraz biją się o Boslitz...

Tak... podpełznąć bliżej. Weszli na łąkę, ten najmłodszy, Wacek mu na imię, nie mógł iść dalej. Płakał. Usiadł na trawie i płakał, rozcierając sobie tę nieszczęsną kostkę. Drugi bał

się, Olewicz widział, jak drgają mu ramiona, jak podnosi kołnierz płaszcza i otula sobie twarz. „Dokąd pójdziemy?” – zapytał. „Na zachód” – odpowiedział Olewicz.

„Zwariowałeś! Trzeba iść z powrotem, na zachodzie są Niemcy”.

„Nie gadaj głupstw. Sam mówiłeś, że dywizja osiągnęła Kamenz. Nie mogła się wycofać; Niemcy są na tyłach dywizji”.

„Ja nigdzie nie pójdę – powiedział Wacek. – Nie mogę już iść”.

„Pójdiesz”.

„Nie pójdę”.

„To zostawię cię tutaj. I ciebie też zostawię – zwrócił się do drugiego – jeśli będziesz mi zawracał głowę”.

Wziął plecak i automat Wacka, poszedł przed siebie, nie zwracając na nich uwagi. Gonili go; Wacek powoli człapał po trawie.

– Ale daleko żeście nie zaszli – stwierdził kapitan.

– Nie, obywatelu kapitanie, wszystkiego jakieś pięć kilometrów.

– W jaki sposób ustaliliście kierunek?

– Według gwiazd.

– Znacie się na tym?

– Tak jest.

– I w tym domku przesiedzieliście do rana? Już nikogo nie widzieliście?

– Nie. Byliśmy zresztą bardzo zmęczeni.

Domek zauważyli, gdy dochodzili do lasu. Olewicz obszedł go naokoło, panowała zupełna cisza, zza wysokiego ogrodzenia nie dochodził żaden odgłos. Poczul się tak jak w partyzantce; nic nie było nowego w tej nocy, nic, co mogłoby go zaskoczyć. Kolbą uderzył w drzwi, raz, drugi... Otworzyła przerażona baba w szlafroku, odsunął ją na bok i wszedł do środka. Kuchnia, sypialnia... rozbebeszona pościel, ciepło miękkich posłań. W domku było tylko ich dwoje: kobieta i wysoki staruszek. Polecił im przejść do kuchni, nie szukał słów niemieckich, mówił po polsku, ale oni i tak rozumieli. Obu żołnierzom kazał położyć się do łóżek; wleźli do ciepłej pościeli nie ściągając nawet bluz. „Za dwie godziny cię obudzę” – powiedział starszemu.

Siadł na fotelu, który ustawił tak, żeby widzieć kuchnię i drzwi wejściowe, położył automat na kolanach. Zasympiał, otwierał oczy i zasypiał. Zjawiała się wówczas Zosia, był znowu w leśniczówce i widział Zosię rozbierającą się w „ich” pokoju. „Nie otwieraj drzwi, po co masz otwierać drzwi, no nie rób tego, po co?” „On wracał zawsze punktualnie do domu, tylko tego dnia, gdy nastawiałam kartofle...” – mówiła ciotka.. Nie obudził starszego,

przesiedział całą noc na fotelu, a rano kazał babie przygotować śniadanie. Starzec siedział w kuchni i patrzył na nich, gdy jedli. „Won – powiedział Olewicz. – Won, idź, weg. Nie chcę cię tu widzieć”. Starzec poszedł.

– No, a rano? – zapytał kapitan.

– Znaleźliśmy ten wykop, biegł prosto na zachód. Przeszliśmy parę kilometrów i spotkaliśmy zwiadowców. To chyba wszystko.

– Dobra, Kłosowski, to wszystko.

Gdy szli ze zwiadowcami do sztabu, wiedział już, że to ta sama dywizja. Pułki Kryckiego, Adamczuka, Oski. Nawet go to nie bardzo obeszło; należało przewidzieć i taką możliwość, a jak się ma parszywe szczęście... Więc co z nim zrobią? Chciał iść na front i wówczas sam decydował o swoim losie. Teraz decyzja należała do nich, on już nie miał nic do powiedzenia, wszystko się stało. Oczywiście, istniała jeszcze jakaś szansa; może poślą do innego pułku, może nie spotka nikogo z dawnych kolegów. Ale Olewicz już nie wiedział, czy naprawdę mu na tym zależy. Po co chciał iść na front? Dlaczego sądził, że wszystko rozwiąże się na froncie? Więc co go czeka? Chyba znowu Leoniak i przesłuchania, a potem, w najlepszym wypadku, karna kompania. Niech będzie, byle szybciej... Zwyczajnie: należało powiedzieć kapitanowi ze zwiadu własne nazwisko i czekać. „Byłem oficerem w pułku Kryckiego, popełniłem przestępstwo”. Jakie? „To chyba wszystko jedno”. Motywy? „Nie, o motywach nic nie mogę powiedzieć, zapomniałem”. Zapytał: – Obywatelu kapitanie, a co będzie ze mną?

– Tymczasem zostaniecie w kompanii zwiadu. Zameldujcie się u szefa, dostaniecie kolację. A potem zobaczymy...

Gdy kapitan mówił, Olewicz spojrział znowu na dziedziniec. Wjechał właśnie willys i zatrzymał się przed willą naprzeciwko. Z samochodu wysiadł generał, wysoki mężczyzna wcale pokaźnej tuszy. Pewno dowódca dywizji, pomyślał Olewicz. Generał stał chwilę na dziedzińcu rozmawiając z oficerem, który przyjechał wraz z nim willysem. Stefan zobaczył twarz Weklara, grubo ciosaną, prawie kwadratową, i ta obca twarz wydała mu się nagle niezwykle znajoma.

## 6

O godzinie piętnastej bateria pułkowych siedemdziesiątekszóstek rozpoczęła

ostrzeliwanie umocnień niemieckich na skraju Boslitz. Krycki, choć niezbyt chętnie, wzmocnił batalion Świątowca. Łąką ruszyły do szturm kompania Reklewicza i pierwsza fizylierów; obserwator artyleryjski szedł w tyralierze. Znalazł na łące wygodne wzniesienie, obrośnięte krzakami jałowca, widział stąd dokładnie zabudowania miasteczka i sylwetki piechurów podrywające się nagle z ziemi. Na lewym skrzydle zagadał kaem, potem umilkł, kompanie dobiegały już do pierwszych domów, wybuchły granaty, a Niemcy milczeli. Czyste szaleństwo, pomyślał obserwator, zęby sobie połamali na tym miasteczku, a szwabów nie ma. Niemców w Boslitz istotnie już nie było. Żołnierze szli pustą ulicą, wyglądającą dokładnie tak samo jak przed dwoma dniami. W oknach pojawiły się znowu białe prześcieradła, na chodnikach leżały zdarte hitlerowskie plakaty, przed pierwszym skrzyżowaniem stał wrak niemieckiego czołgu. Szli ostrożnie, z bronią gotową do strzału, skradając się pod ścianami zabudowań. Ci, którzy pierwsi dotarli na rynek, duży plac otoczony dwupiętrowymi kamieniczkami, zobaczyli najpierw spalone ciężarówki, a potem, gdy przekonali się, że rynek jest równie pusty jak reszta miasteczka, i chcieli już iść dalej, znaleźli ciała zabitych...

Major Świątowiec przyszedł na rynek kilkanaście minut później. Nie zatrzymał się już przed gotyckim kościołem, spokój i potulność tego miasteczka, które teraz wydawało się tak łatwo osiągalne i tak chętnie przyjmujące zwycięzców białymi flagami, wzbudzały w nim nienawiść. Gdy zameldował Kryckiemu o zajęciu Boslitz, usłyszał suchy głos pułkownika: „A co, nie mówiłem? Tam nic wielkiego nie siedzi”. Świątowiec miał już na języku ostre słowa, ale milczał. Co miał powiedzieć Kryckiemu? Wtedy, gdy myśmy sądzili, że natarcie się załamało, Niemcy opuszczali Boslitz. Straciliśmy kilkunastu ludzi w nieudanym szturmie, a potem zajęliśmy miasto bez strat... Tak bywa: bitwa trwa i dopiero potem wiadomo, jaki jest naprawdę wynik.

– Widzicie, Hencel, już zdążyli wywiesić prześcieradła – powiedział zwracając się do adiutanta batalionu. – Jak my wyjdziemy, to prześcieradła znikną, bo esesmani strzelają do tych zbyt tchórzliwych. Na rynku był ruch. Niedaleko kamieniczki zburzonej pociskiem artyleryjskim gromadziły się grupki żołnierzy. Usłyszeli strzał karabinowy, jeden, drugi...

– Co tam się znowu dzieje?

Podbiegł porucznik Reklewicz. – Obywatelu majorze, znaleziono naszych żołnierzy pomordowanych toporami saperskimi. Tam, w tych ruinach – wskazał ręką. – Kapitan Łoginowicz z naszej dywizji. Rozwalili głowy... Aż dziw, że cywile nie sprzątnęli trupów, może nie zdążyli... – Reklewicz, młody, wysoki chłopak o twarzy tak podłużnej, że niemal

śmiesznej, był bez czapki. Ocierał pot rękawem. – To straszny widok, obywatelu majorze, żołnierze są wzburzeni.

Znowu strzał karabinowy, potem seria z peemu.

– Sprawdźcie, co się dzieje – powiedział sucho Świętowiec. – Przerwać strzelaninę.

– Tak jest, obywatelu majorze. – Reklewicz nie poruszył się i nie włożył czapki.

– Wykonujcie rozkaz. – I major wolnym krokiem poszedł w kierunku zburzonej kamieniczki.

– Cywile – mówił Reklewicz, ciągle obok Świętowca – brali w tym udział, obywatelu majorze, jak dwa razy dwa. Już słyszałem o takich wypadkach, to nie pierwszy raz.

Znowu seria z peemu.

– Reklewicz – powiedział cicho Świętowiec – czy muszę wam jeszcze raz powtarzać...

Na chodniku obok zburzonej kamieniczki stało już kilku oficerów batalionu: Różnicki, Kolski, Leksz. Rozstąpili się, gdy zobaczyli Świętowca.

– Tam leżą – powiedział Kolski. Leżeli wśród cegieł i pogiętego żelastwa, rzuceni byle jak, w pośpiechu. Świętowiec spojrział, zobaczył otwarte oczy, odwrócił głowę.

– Saperskimi toporami – usłyszał za sobą. – Mordercy.

– Spalić miasto – krzyknął nagle młody podoficer.

– Kamienia na kamieniu...

– Hencel, zaprowadźcie porządek. Kompanie wychodzą z Boslitz. Potem wydam rozkazy dotyczące tych... Zameldujcie sztabowi pułku.

– Ta zbrodnia – powiedział cicho Różnicki – powinna być jednak ukarana, majorze. Nie wolno nam jej tak zostawić.

Świętowiec spojrział na swoich oficerów. Stali obok niego, patrzyli ciągle tam, w dół, gdzie leżeli pomordowani żołnierze. Leksz z ręką na temblaku przecierał niezdarnie okulary, Kolski zapalał papierosa...

– Potem – ciągnął Różnicki – zapomną; ot, jeszcze jedna zbrodnia...

– Po to prowadzimy tę wojnę, żeby karać morderców – powiedział cicho Świętowiec i sam się zawstydził. Słowa były wytarte i nic nie znaczyły.

– To ogólnie, obywatelu majorze – rzekł Leksz. – Ogólnie. Konkretna zbrodnia wymaga konkretnej sprawiedliwości. Musi być ukarana.

Świętowiec pomyślał o mieszkańcach Boslitz; wodził wzrokiem po kamieniczkach, po wybitych oknach. Ci, którzy zostali, siedzą teraz w piwnicach, pochowali się w głębi domów, nie mają złudzeń, są przygotowani, ale jeszcze nie tracą nadziei...

– Więc co proponujecie? – zapytał.



Milczeli.

– Proszę o propozycje.

– Przykładne ukaranie Boslitz – powiedział wreszcie cicho Leksz. – Żeby wiedzieli: wymierzono sprawiedliwość...

– Co przez to rozumiecie?

– No, można by – wtrącił Różnicki – rozstrzelać choćby burmistrza i paru znaczniejszych obywateli. Burmistrza to ja pamiętam; gdy przechodziliśmy tędy, prowadził nas do piekarni. Taki łysy, maleńki człowieczek, nawet, me bardzo podobny do hitlerowca.

– Szukaj go teraz – powiedział Kolski. – Jeśli karać – dodał – to wszystkich. Ostrzelać miasteczko z siedemdziesiątekszóstek i moździerzy...

– Chcecie karać morderców czy brać odwet? – zapytał Świętowiec. – Dać nauczkę czy wymierzać sprawiedliwość?

– Wszyscy są mordercami.

– Nie, poruczniku Kolski, zapewne nie wszyscy.

– Zbrodnia musi być ukarana – powtórzył znowu Leksz.

– Bardzo słuszna zasada. Ale jak chcielibyście ukarać tę zbrodnię, zupełnie konkretną, sprzeczną z wszelkimi prawami wojny? Moglibyście przecież mieszkańców Boslitz uczynić odpowiedzialnymi za każdą zbrodnię popełnioną przez Niemców gdziekolwiek... Mnie też diabli biorą...

– Więc co? – krzyknął Różnicki. – Mamy tak sobie zwyczajnie odejść, zawinąć ogon pod siebie i pójść na wschód? Im wszystko wolno, a my... dobrze wychowane dzieci.

Milczeli; dławiła ich bezsilność.

Nie ma winnych, myślał Kolski. Są tylko ludzie zamordowani, ludzie pamiętający i ci, których spotykamy co dzień: przerażeni, bezbronni, o niczym nie wiedzący. Wróg jest przede mną w okopach, wróg broni miasta, a kiedy stanę na rynku, widzę tylko białe flagi.

Przypomniał sobie Niesky. Zdobywali je z marszu, kompania dotarła do fabryki; gdy Kolski z kilkoma żołnierzami wszedł przez otwartą bramę, zobaczył, że fabryka pracuje. Stanęli na progu hali; robotnicy odchodzili od obrabiarek i w zupełnej ciszy patrzyli na nich; kobiety i mężczyźni, zwyczajni ludzie z dobrze wyrobionymi muskularni. Mordercy?

– Czy macie inne propozycje? – zapytał sucho Świętowiec.

Milczeli. Jakie jeszcze propozycje? W gniewie można rozwalić miasto, ale nie będą przecież wyrzynać tych ludzi na zimno, tu potrzebny jest inny gatunek karzących i widocznie inny gatunek morderców.

– Szkoda pocisków – mruknął Różnicki. – Cholera wie, co będzie w nocy.

– Więc nie ma propozycji? – Major spojrział na zegarek i poczekał jeszcze chwilę. – Dobrze. Kolski na czoło jako kierunkowa kompania. Marszrutę znasz, nic więcej ci nie powiem. Jak nawiądziesz kontakt z nplem, natychmiast melduj. A w ogóle... nie zwracajcie mi głowy...

W oknie sąsiedniej kamienicy zobaczyli białe prześcieradło. Nie zauważyli nawet, kiedy mieszkańcy zdążyli je wywiesić.

Przed wymarszem Kolski udzielił pochwały strzelcowi Maczędze. Lubił tego starszego mężczyznę, który zdołał wykaraskać się z ofermowatości, nie było w nim nic obcego, nic niezrozumiałego, twarz, jakich znał tysiące, chłopska, zwykła, nieco kanciasta. Mówiono, że tacy jak on uciekają do lasu, gdy zobaczą czołgi. Otóż nieprawda; chłopu trzeba powiedzieć, że to niestraszne, a jak się wkopie w ziemię, będzie siedział. Zresztą to fakt, że chłopci mniej sobie cenią życie niż ludzie z miasta. Tak przynajmniej myślał Kolski i pamiętał o tym, rozmawiając z Michałem Maczęgą.

– No cóż, Maczęga – powiedział. – Staliście się żołnierzem z prawdziwego zdarzenia. Wystąpię do dowództwa, żeby wam dali belkę, będziecie mieli co nosić na ramieniu oprócz karabinu.

Strzelec Maczęga milczał.

Porucznik siadł na trawie przy drodze i wyjął papierosy.

– Macie, zapalcie, te niemieckie są słabe, ale dają się ciągnąć.

– Dziękuję, panie poruczniku.

Kolski zakrztusił się haustem dymu, zakaszłał. – Jestem z was zadowolony – powtórzył. – Chorąży Leksz mi meldował, jak fajnie wykończyliście tych szkopów.

Maczęga poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie umiał znaleźć słów. Wszyscy w kompanii wiedzieli zresztą, że z mówieniem szło mu zawsze ciężko.

– No gadajcie, Maczęga, co tam macie na sercu...

– A bo, panie poruczniku – jąkał się trochę – ja bardzo dziękuję za pochwałę, ale żeby tak uczciwie powiedzieć, to nie zasłużyłem. Wtedy, w Gniazdowie, co innego, skoczyłem w ogień z własnej woli i zupełnie bez strachu. A teraz się bałem, myślałem, że śmierć moja nadeszła. Śmierć – powtórzył ze zdziwieniem – i zupełnie nie wiem, jak rzuciłem ten granat. Więc uczciwie muszę powiedzieć, że lepiej by kiedy indziej tę pochwałę dostać...

– Co wy za głupstwa gadacie, Maczęga! Baliście się trochę... Bywa, z każdym tak bywa. A ważny jest wynik, rozumiecie? I żeby nie stracić głowy, zachować zimną krew...

– Tak jest, panie poruczniku.

Co za ludzie, pomyślał Kolski.

Słońce spływało powoli na zachód; Świętowiec pokazywał na mapie: Bretwelde, spora miejscowość parę kilometrów od Boslitz. Kolski ją pamiętał: dużo wzgórz, bardzo kolorowo. Wymieniali wówczas jednym tchem te dwie miejscowości: Boslitz – Bretwelde.

## 7

### *Notatnik porucznika Janosza, adiutanta dowódcy dywizji*

Więc znowu przenosiny. Nic już nie rozumiem z tej wojny, ale niech Weklar się martwi, ostatecznie adiutanci generałów nie mają żadnych obowiązków strategicznych. Taki starszy fajfus; podobno istnieje specjalny gatunek ludzi, którym to bardzo odpowiada: przynieść, odnieść, zawołać, pamiętać, a na innych możesz patrzeć z góry, bo i mundur lepszy, i dobrze wyczyszczony, i fajne żarcie. Powiedziałbym, że sobie tego nie cenię, ale o zmianę przydziału nie proszę. Zawsze jednak ciekawiej. Wojnę ogląda się trochę jakby z góry, a nie z rowu strzeleckiego. Wtedy wojna staje się trochę widowiskiem, a trochę przygodą. A jaka to przygoda dla piechura? Widzisz skrawek ziemi przed sobą...

Nic mi jednak nie pomaga to spoglądanie z góry, bo i tak nie rozumiem. Sztab przenosi się na wschód, do jakiejś wiochy na północ od miasteczka Bretwelde. Krycki ma zająć obronę w Bretwelde. Osko między Bretwelde a Boslitz, Adamczuk ubezpiecza nas od zachodu. Zrozumiałe nawet dla szeregowca bez cenzusu. Ale proszę mi powiedzieć: co się stało? Była szyfrówka z armii, a dzisiaj nie ma łączności z armią. Więc chyba jesteśmy odcięci. Roszko twierdzi, że nawet na pewno, ale przy generale nie wolno wymieniać żadnego z tych słów: „... odcięci, okrążeni”. Słyszałem, jak rugał szefa łączności. Najpierw cichutko, spokojnie, a potem dwa ostatnie zdania pełnym głosem. „Żadnej paniki, żadnego okrążenia”. Mogę więc powtarzać za moim generałem taki mądry banał o wojnie manewrowej i udawać, że coś wiem. Ale nawet nie muszę udawać: wiem, że jest niedobrze z amunicją, że nie możemy pomóc pułkom, że konny zwiad szukał sąsiada na wschodzie i południu, a potem zameldował: nie ma.

Mieliśmy dziś świetne picie: francuski koniak. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Jak Witek otworzył butelkę, myślałem, że mi oczy na wierzch wyleżą: taki aromat. Śmieszne,

jak na człowieka działa alkohol: myśli szybciej i dokładniej, zdania układają się bez trudu. Mógłbym nawet napisać do Anny; piękny list, taki jak ona lubi. Bardzo dużo patosu, że ciągle o niej pamiętam, ciągle ją widzę, nawet w nocy, gdy świetlne pociski drażą niebo; Boże, cóż za piękne słowo: „drażą”. Dużo innych pięknych słów mógłbym jeszcze wymyślić, ale nie chcę, nie będzie listu, nie wiem, jak opisać strzelaninę w nocy i ludzi wracających z przedniego skraju, i rannych na punktach opatrunkowych, i tych, którzy podrywają się do szturm.

Czasami myślę, że Weklar nie ma racji, nie będziemy pamiętać wojny, nie zechcemy do niej wracać i jeśli rzeczywiście kiedykolwiek jeszcze spotkam Annę, będę z nią mówił o czymś innym. Ale o czym? Muszę zanotować rozmowę, którą przed chwilą podsłuchałem. W marszu, gdy często zmieniamy kwatery, podsłuchuję rozmowy Weklara. Czasem odnoszę wrażenie, że generał wie o tym, że patrzy w kierunku nie domkniętych drzwi, a nawet od czasu do czasu powie coś dla mnie. Zmienia wtedy natężenie głosu, chyba też intonację, a ja się rumienię, jak zielony szczeniak. Nie wiem, czy choć raz udało mi się podsłuchać coś bez jego wiedzy; ale niech i tak będzie, może on naprawdę myśli, że zostanę kronikarzem dywizji, że napiszę, jak należy, piękną historię, którą można będzie oprawić w ramkę. Nie, żadnych ramek! Lepiej niech o nas nic nie wiedzą. Byli tacy, którzy po sforsowaniu Nysy zapędzili się pod Drezno. I to wszystko. Ogłaszam swoją obojętność dla historii.

Ale muszę zanotować rozmowę. Nie wiem, czy generał wezwał Zonika, czy zastępca dowódcy dywizji do spraw politycznych sam się zameldował. Ich stosunki nie są zresztą najlepsze. To bardzo proste: generał jest, jak powiada, działaczem politycznym i uważa, że powinien uczyć Zonika. A Zonik chce być samodzielny; ma zresztą własne zdanie i wie, czego chce. Weklar to ceni, choć nie daje po sobie poznać. Zonik jest krępy, niewysoki, zawsze w coś zapatrzoney. Zupełne przeciwieństwo generała! Nie lubię tego Zonikowego zapatrzenia; gdy z nim rozmawiam, nigdy nie wiem, czy mnie słucha, czy w ogóle wie, o co chodzi. I nagle wystarczy jedno słowo, żeby zastępca się obudził i zauważył rozmówcę. On sam wie tylko, co jest ważne. Najczęściej zresztą zupełnie coś innego niż dla faceta, z którym gada.

Siedzą więc u generała, na niemieckich fotelach', Weklar nappełnił kieliszki, rozmawiają, a ja podsłuchuję. Zonik zaczyna...

Muszę jednak najpierw zanotować dwa zdania, które Weklar powtarzał nieraz i z naciskiem: „Nie jesteśmy w okrążeniu” i: „Na wojnie bywasz często w takiej sytuacji, w jakiej uważasz, że jesteś”.

Major Zonik, pochylając się ku generałowi, opowiadał o nastrojach w pułkach. Można

mu wierzyć: ciągle siedzi na pierwszej linii, gada z żołnierzami i często wygłasza przemówienia. Bardzo to zresztą lubi; przemawia bez karteczek i konspektów, a to wyróżnia go spośród oficerów politycznych, tamci ciągle odczytują konspekty.

– U Kryckiego – stwierdza Zonik – ludzie mówią o okrążeniu. Nie, nie twierdzą, że powstała psychoza okrążenia czy nawet poważniejsze zaniepokojenie. Ale po dzisiejszych południowych walkach: zdumienie, niepewność. To dotyczy również oficerów. Zonik ma pretensję do generała. Mówi sucho, jest bardziej sztywny niż zwykle, pije koniak małymi łyżkami i kieliszek natychmiast odsuwa od siebie. Zabawne.

– Nic nie powiedzieliśmy dowódcom – ciśnie Weklar. – Nawet dowódcy pułków nie wiedzą, że są już trudności z amunicją i zaopatrzeniem. Oni by solidnie oszczędzali, generale, gdyby im wyjaśnić, że sytuacja dywizji jest trudna. To znaczy powiedzieć prawdę, jak ludziom powie się prawdę, to zawsze wynikną z tego dobre rzeczy...

Nie widzę, ale wiem, że Weklar jest niezadowolony.

– Jaką prawdę? – pyta. Słyszę kroki, Weklar chodzi po pokoju. – Jaką prawdę? – powtarza. – Zapamiętaj sobie: nie jesteśmy w żadnym okrążeniu i nie będziemy. Czy mówili ci kiedyś o wojnie manewrowej?

Dociał Zonikowi do żywego; nie można majorowi sprawić większej przykrości. Bardzo nie lubi, gdy mu przypominają, że nie ma wykształcenia wojskowego.

– Zupełnie zielony nie jestem, obywatelu generale.

– Nie jesteś, nie jesteś, nie indycz się.

– Przecież od wczorajszego szyfrogramu nie ma łączności z armią. Próbowaliśmy rezerwowych terminów...

– No to co?

– Jesteśmy w tej chwili najbardziej wysunięci do przodu; chyba kilkadziesiąt kilometrów przed głównymi siłami.

– Zgadza się. Około czterdziestu.

– Właśnie – mówi Zonik i milknie. Słyszę tylko ciężkie kroki Weklara. Podejdzie pewno za chwilę do drzwi i zamknie je szczelnie. Nie podchodzi.

– A czy wiemy, obywatelu generale, dokładniej, gdzie są Niemcy? I jakimi siłami rozporządzają?

– Co wiemy, to wiemy – odpowiada Weklar. – Są mniej więcej na linii Lohsa – Grossdubrau, to znaczy mamy ich na wschodzie i na południu. Głównie na południu.

– Więc jednak.

– Zonik, wpadasz w panikę.

– Nie. Po prostu chcę znać sytuację.

– Więc popatrz sobie na nią spokojnie. Ogarnia was psychoza okrążenia, bo nie znaleźliśmy sąsiadów, bo nie wiemy dokładnie, gdzie znajdują się jednostki naszej armii. A cóż to znaczy? Wróg natarł od południa i przedziera się na północ. Po co? Dziecko by zgadło... Jeśli Niemcy rozporządzają dostatecznie poważnymi siłami, a chyba rozporządzają, to usiłują uderzać w kierunku Berlina... To ich ostatnia szaleńcza próba przyjścia na pomoc stolicy. A my? A my? – powtórzył. – Najbardziej wysunięta na zachód jednostka? Musimy wziąć udział w bitwie, którą toczy armia, i zrobić to jedno, co może pomóc armii... Prowadzić działania zaczepne, poszukując skrzydła włamujących się ugrupowań wroga. Gdzie, w jakim kierunku? Oczywiście na południowy wschód... Rozumiesz zamiar? Dlatego dywizja skoncentruje się w rejonie Boslitz – Bretwelde i stamtąd będzie nacierać.

– Nacierać nic nie wiedząc – mruczy Zonik. – No dobrze, a co powinniśmy mówić ludziom?

– Mniej więcej to, co usłyszałeś ode mnie. Trudna sytuacja, nie dramatyczna, wróg usiłuje się przebić, bo wróg jest w dramatycznej sytuacji. Oszczędzać amunicji, walczyć spokojnie, pamiętać, że zwycięstwo jest bliskie. Dywizja znajduje się w natarciu... Tak, to najważniejsze.

Umilkły kroki Weklara. Wsluchuję się teraz w ciszę, bo Zonik milczy, odkładam ołówek i przysuwam sobie butelkę. „Na wojnie jesteś w takiej sytuacji... „Napijmy się.

A jednak Zonik nie ustępuje. – A co wy naprawdę myślicie, generale?

No, teraz oberwie, Weklar nie cierpi takich pytań. Omyliłem się, burza nie nadeszła. Chętnie bym napisał: Weklar się uśmiechnął, ale nie jestem pewny.

– Po tym wszystkim, co wam powiedziałem? Bardzo z was młody pracownik polityczny, Zonik, ale się jeszcze nauczycie. Kto wam pozwolił zadawać takie pytania? No, ale mniejsza z tym... Rozumiem: chcecie koniecznie firemki, żeby wam nazwać sytuację; wtedy odzyskacie spokój i zabierzecie się do działania. Nazwę wtedy, gdy będę chciał, rozumiecie... albo zrobią to za mnie inni, kiedyś potem... – I znowu to zdanie: – Na wojnie bywasz najczęściej w takiej sytuacji, w jakiej uważasz, że jesteś. Że mogę się mylić? Co do określenia celów przeciwnika? Co do oceny sytuacji?... No to co? Nie biorę takiej ewentualności pod uwagę. Nie myślę się w zasadniczym... Pamiętaj zresztą, Zonik, wróg musi też uwierzyć, że moja ocena jest słuszna.

– To bardzo dziwne, obywatelu generale; istnieje przecież obiektywna sytuacja frontowa.

– A ten mnie alfabetem w głowę! (Skąd Weklar, na miłość boską, wytrzasnął takie

zwroty!) Istnieje, istnieje ... obliczasz, kalkulujesz, badasz możliwości, podejmujesz decyzję. Generalny wynik możesz przewidzieć opierając się na statystyce. Wynik. Ale wydarzeniom bojowym, z których chcesz zlepić całość, wydarzeniom bezkształtnym, pojmujesz, musisz narzucić własną koncepcję. (Nie wiem, czy dobrze zanotowałem).

– A dowodzenie w takiej sytuacji?

– Upór, Zonik, przede wszystkim upór i wiara we własną koncepcję. Jeśli mówimy, że prowadzimy boje osłonowe, to znaczy, że tak jest i że będziemy atakowali? Dlaczegoż to ja mam być w okrążeniu? – zdziwił się nagle. – Niemcy, wdzierając się klinem z południa, są w okrążeniu... I my ich o tym przekonamy.

– To bardzo dziwne, towarzyszu generale. Myślałem, że zmobilizujemy żołnierzy i oficerów do wielkiego wysiłku, jeśli powiemy im prawdę...

– A ten apiat' swoje. Nic nie zrozumiałeś. Powiem prościej: jesteśmy w tej chwili w takich warunkach, że musimy sami tworzyć sytuację. Bywa tak i w życiu pokojowym, nawet bardzo często. Byłeś działaczem politycznym, wiesz o tym. Gdy sprawuje się władzę, stwarza się sytuację, stwarza się postawy ludzi. Inaczej nie wy leziesz z chaosu. My nie przebijamy się, żadnych głupstw. My prowadzimy walkę o rozbicie osłabionego przeciwnika, my atakujemy skrzydło nacierającego na północ wroga, który trzyma się ostatkiem sił. A teraz uważaj (to już były polecenia), od twoich chłopaków mnóstwo zależy; żołnierz jest nie doszkolony, boi się broni pancernej, musi zdobywać doświadczenie w walce. Trzeba pamiętać o każdym żołnierzu. Więc: inicjatywa, upór, przede wszystkim upór, stać nas na to.

Kroki Weklara. Generał zamknął drzwi i więcej już nic nie słyszałem.

Niby nic się jeszcze nie stało, dywizja nie poniosła poważniejszych strat, tyle że odeszliśmy od Kamenz. Krycki prowadził walki pod Boslitz, Adamczuk miał trochę kłopotów na zachodzie. Niemcy są więc z pewnością i z przodu, i z tyłu, ale jak powiada nasz generał „w okrążeniu nie jesteśmy”. Niech i tak będzie; jestem strategiem na własny użytek, w partyzantce nie uczyli dowodzenia dywizją. Podobno jednak na świecie działo się wiele rzeczy niezależnie od woli generałów. W granicach „statystycznych możliwości” albo poza ich granicami... Tymczasem sztab przygotowuje rozkaz o natarciu. Pytałem Roszki, jakich im danych do tego wypracowania dostarczył, machnął tylko ręką. Poproszę generała, żeby mnie przydzielił do zwiadu, Roszko jest belfrem pozbawionym węchu... Może się nareszcie mój nos partyzancki do czegoś przyda.

Generał zabrał mnie ze sobą do Kryckiego. Ciepło, kolorowo, bardzo ładne są te wzgórza przecinane zielonymi pasmami lasów, domki na zboczach kryte czerwoną dachówką; jedziesz i myślisz: jaki spokojny i ładny kraj. I pamiętasz: jesteś przecież w

Niemczech, bierzesz odwet, powinno ci to sprawiać satysfakcję. Może tak. Patrzą na ludzi wywieszających białe flagi: oni też wiedzą, że wojna się kończy. Więc po co? To pytanie nie daje mi jednak spokoju. Znamy wynik z matematyczną dokładnością i musimy go wywalczyć.

Krycki będzie nacierał z Bretwelde w kierunku południowo-wschodnim. Generał rozmawiał z nim kilkanaście minut, a mnie wzięli w obroty znajomi chłopcy ze sztabu. Szef łączności pułku, porucznik z Warszawy, mieszkał na ulicy Wilczej, przypiął się do mnie na dobre. – Gadaj, co wiesz, jaka jest sytuacja, u nas mówią, że łączność z armią przerwana, będziemy się chyba przebijać?

Strzeliłem argumentami Weklara, spojrzął na mnie, wytrzeszczył oczy i powiada: – Wariata strugasz!

– Nie, nie strugam – mówię. – Ty się zachowujesz jak stara baba. A my po prostu manewrujemy, rozumiesz?

Machnął ręką i poszedł, wyraźnie obrażony. Gdybym mu powiedział, że jesteśmy okrążeni, natychmiast by się uspokoił. Ma zaprawę z powstania, był zawsze świetny w trudnych sytuacjach. Tacy już jesteśmy. Jak to powiedział generał: „Musimy każdą rzecz nazwać”. Widocznie po to, żeby mieć prawo do bohaterstwa. Odciecie, tragiczna sytuacja, konieczność wielkiego wysiłku – to do nas przemawia. A cóż to za bohaterstwo gonić uciekających szwabów? Nawet śmierć wydaje się bezużyteczna; ludzie giną, a zwycięstwo zostało już odniesione.

Dowiedziałem się, że w Boslitz wymordowano uzupełnienie z pułku zapasowego. Opowiadał mi Roszko, a potem Krycki zameldował, że rannych wykończono saperskimi toporami. Mój Boże, ileż ja bzdur dzisiaj napisałem! Jestem tak krótko na froncie, a zdążyłem już zapomnieć, przeciwko komu walczymy! Mówi się „nieprzyjaciół”, w meldunkach pisze się „pozycje npla”, jakbyśmy stawiali znak równania „my i oni”, w jednakowych wnękach strzeleckich, tak samo wkopani w ziemię i podobnie bojący się śmierci. Nieprawda. Oni się nie zmienili, to tylko my jesteśmy w innej sytuacji. Poproszę jednak generała, żeby mnie odesłał do pułku. Niech to diabli wezmą, nie będę teraz fajfusował.

Gdybym był na miejscu Zonika, poleciłbym o morderstwie w Boslitz opowiedzieć wszystkim żołnierzom dywizji.

Generał kazał mi się wypchać, nawet nie zdążyłem umotywować raportu. Powiedział, że on też jest uparty; zobaczymy!



Zwiad Oski schwytał paru jeńców w rejonie Elstra. Są z 10 dyw. panc. SS. Teraz sztab ma się nad czym głowić! Skąd nagle tutaj ta dywizja. Roszko twierdzi, że uderzenie niemieckie poszło na północ, a myśmy nie powinni spotkać się z poważniejszymi siłami. Powiedziałem mu więc dokładnie, co o nim myślę, ale się nie obraził. Przyniósł nawet jakiś solidny alkohol, wypijemy jeszcze przed wyjazdem.

Wieczór jest piękny, podobnie jak wczoraj, w ogóle ten kwiecień nam się udał. Powietrze czyste, niebo błękitne, co prawda nic mnie to nie obchodzi, ale zawsze przyjemnie tak napisać. Może jakiś historyk powoła się na mnie, jeśli zechce opowiedzieć o pogodzie w czasie naszej ofensywy. Znalazłem w domu gramofon i płyty, spróbowałem puścić maszynę w ruch; aż mnie zatkała ta „Liii Marlen” – niech ich diabli wezmą! A swoją drogą tęskno do dziewczyny. Napisałem: do dziewczyny, a nie do Anny, i nie zamierzam skreślić. Może być jakakolwiek, zastanawiać się będę później.

## 8

### *Nie wysłany list generała Weklara do jego żony Marty Olewicz*

Dawno powinienem do Ciebie napisać, jestem nie w porządku, ale będę szczery: było mi zbyt trudno, aby myśleć o listach. Odeszłaś ode mnie tak nagle, że nie zdołałem zdać sobie sprawy z tego, co się stało; nie, nie mam zamiaru czynić Ci wyrzutów, to nie w moim stylu, chcę Ci tylko przedstawić mój stan, może zechcesz go uznać za okoliczność łagodzącą. Czuję się już stary, ogarnia mnie zmęczenie, ostatnie dziesięć lat zrobiło jednak swoje, nie jestem już taki jak dawniej: Weklar, który umiał przez tydzień nie spać, pracować po piętnaście godzin na dobę i był bardziej wytrzymały od każdego oficera w brygadzie.

Potrzeba pisania jest też zapewne oznaką starości; wiesz dobrze, że dawniej nigdy nie byłem skłonny do zwierzeń, uważano mnie raczej za człowieka zamkniętego w sobie i trudno dostępnego nawet dla przyjaciół. Nie sądzę, by to zmieniło się na zewnątrz, ale gdy zostaję sam, chwytam mnie, dosłownie chwytam mnie za gardło, pragnienie powiedzenia czegoś o sobie, nazwania siebie, pogrzebania w myślach, które są do tego stopnia moją wyłączną własnością, że nie odważyłbym się przekazać ich nikomu. Chyba tylko Tobie... Nigdy bardziej niż teraz nie czułem się człowiekiem określanym z zewnątrz, nie wiem, czy rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, to znaczy określanym przez losy mojej dywizji, przez moje rozkazy bojowe,

moją przeszłość polityczną i opinię w kierownictwie. Odczuwam to jak ciężar, którego ani na chwilę nie wolno mi zrzucić; sam siebie mogę sprawdzić tylko w rezultatach podejmowanych decyzji, reszta jest nieważna. Muszę zawsze jednoznacznie wierzyć w słuszność tego, co robię, inaczej jestem zgubiony.

Wojna wyjaskrawia. Mechanika wojny, organizacja, dowodzenie – to w jakimś sensie karykatura zorganizowanego wysiłku w ogóle. Obowiązuje koncentracja niemożliwa w jakichkolwiek innych warunkach, więc w ogóle karykatura koncentracji, obowiązuje dyscyplina zakładająca całkowite podporządkowanie, więc niemal – karykatura dyscypliny. Nic bardziej obiektywnego niż „dzianie się” na wojnie, a jednocześnie nigdzie bardziej nie „grają” wszystkie czynniki subiektywne – więc karykatura obiektywizmu. Współczesna wojna byłaby absolutnie niemożliwa, gdyby nie to, że ta jest absolutnie konieczna.

Żeby wygrać, trzeba wziąć pod uwagę wiele elementów, wypadkową dziesiątków epizodów, które, oceniane oddzielnie, nie dają żadnego pojęcia o całości, trzeba wykonać skomplikowane obliczenia i zająć się statystyką, ale trzeba też generalnie na coś postawić, stworzyć koncepcję i zmusić każdego żołnierza we własnej dywizji i każdego żołnierza w dywizji wroga, by w nią uwierzył. I wówczas, gdy to czynię, jednocześnie określam siebie jako dowódcę i na nic innego nie ma już we mnie miejsca.

Nie wiem, po co ci o tym piszę, muszę po prostu komuś to powiedzieć, jakbym chciał, żeby coś po mnie zostało. Jestem w trudnej sytuacji i postanowiłem stawiać na upór, na mój własny upór i na czerstwość i upór moich żołnierzy. Na męstwo, bohaterstwo, świadomość. Na twardość.

Ludzi nie można oceniać jednoznacznie, są różni i różnie myślą, a ja dopiero teraz zrozumiałem, że owa różnorodność, że wszelkie bagaże pogładowe czy przeszłościowe mają dla mnie, jako dla dowódcy, znaczenie drugorzędne. Ludziom trzeba powiedzieć, jacy są – i tacy będą w boju. Na to stawiam. Właściwie zrozumiałem to dopiero po ostatniej rozmowie z dowódcą armii. Odbyła się niedawno, przedtem gadałem z nim w cztery oczy jeszcze w Polsce. Powiedział wówczas: „sincerstwieś”. O Tobie mówił: „ta kobieta płonie”.

Staliśmy naprzeciwko Rothenburga, wszystko było już gotowe, zapięte na ostatni guzik, następnego dnia mieliśmy forsować Nysę. Długo oglądaliśmy ze wzgórza niemieckie pozycje i płaską łąkę między rzeką a Rothenburgiem. Gadaliśmy o tym i o owym, potem nagle spojrział na mnie uważnie i stał się oficjalny.

„Czy wiesz, na co masz stawiać?” – zapytał. „Wiem”.

„Czy aby na pewno wiesz? Bo ciągle słyszę – mówił – wszyscy powtarzają: żołnierzy mamy nie doszkolonych, bez doświadczenia, prosto ze wsi. To prawda: najwięcej chłopskich

twarzy i chłopskich nazwisk. Bardzo rozmaici ludzie; z różną przeszłością. Teraz uważaj: oni jeszcze nie wiedzą, jacy są i co są warci. Rozumiesz?”

„Rozumiem”.

Machnął ręką. „Ty powinieneś rozumieć, widziałeś w Hiszpanii. Świadomość? Wycieramy sobie gębę tym słówkiem i sami nie wiemy, co oznacza. Sprawdź się w walce i tym im powiesz, jacy są; na to masz stawiać”.

A ja sam? Sprawa bez znaczenia. Jestem tym, który dowodzi: już nawet dla siebie. Nie mogę wyzwolić się z tej roli. Ilekroć powierzano mi jakąś robotę – zawsze to była moja robota, ale nigdy, nawet w Hiszpanii, nie utożsamiałem się z nią tak bez reszty. Mam adiutanta, młodego chłopca, w wieku naszego syna. Nie uwierzyłyby, gdybym mu powiedział, że poza dowodzeniem jeszcze o czymś myślę.

W wieku naszego syna... Przecież właśnie po to piszę do Ciebie i odkładam nieustannie powiedzenie Ci najważniejszego. Miałem obowiązek zawiadomić Cię przed paroma miesiącami; chciałem Ci zaoszczędzić bólu. Teraz wiem, że postąpiłem niesłusznie. Nie, nie widziałem Stefana, nie zdążyłem go zobaczyć, chociaż przed pół rokiem był w mojej dywizji...

## 9

Wieczór. Można rozprostować plecy i spojrzeć nareszcie wokoło, na krajobraz, który dopiero teraz dociera do patrzących. Michał Maczuga wie, że miejscowość nazywa się Bretwelde, wygląda na miasteczko, choć w tym kraju we wsiach też stoją masywne domy, kryte czerwoną dachówką. Domy zaczynają się zaraz za stanowiskami kompanii, są kolorowe w zachodzącym słońcu; widać wyloty ulic, płyty chodnika, nawet zarysy kamieniczek na rynku. Bardzo tu wszystko jednakowe: Elstra, Kamenz, Boslitz, Bretwelde... Kto by spamiętał te nazwy i odróżnił miasteczko od miasteczka?

Na horyzoncie łagodne wzgórza gdzieniegdzie porośnięte lasem, przed nimi pofałdowana łąka, pola, ziemia bardzo miękka, a to dobrze, bo łopata wchodzi w nią bez trudu...

Można więc rozprostować plecy i spojrzeć wokoło. Widoczność jest dobra, ale widzi się niewiele i wie tylko to, co się widzi. Więc: jesteśmy na skraju Bretwelde, tu kazano nam przyjść, choć już raz tu byliśmy; dowódcy wiedzą zapewne, gdzie nieprzyjaciół i jakie

oddziały są po prawej i lewej ręce, my widzimy tylko zygzak pozycji kompanii, niezbyt głębokie okopy z mizernym przedpiersiem. Michałowi Maczędze powinno to, jak zwykle, wystarczyć. Kompania zajmuje z kilometr, poza tym kilometrem nic nie wiadomo. To znaczy wiadomo jeszcze, gdzie stoją cekaemy, że dali batalionowe, bo kompania tyłu nie ma, że za nimi są stanowiska moździerzy i czterdziestekpiątek. Jeśli się pójdzie w tył, można zobaczyć gałęzie, zielone plandeki, pogadać z artylerzystami, którzy zawsze zadzierają trochę nosa, pewno dlatego, że mają lżejszą służbę.

Gdy kopali, pojawiły się dwa niemieckie samoloty; zaszczekały pelotki. Maczega patrzył w niebo, potem usłyszał wybuch i zobaczył niedaleko fontannę ziemi, ale nie odczuwał strachu. Mógłby powiedzieć o sobie: „Strach zostawiłem pod Boslitz”. Nic jednak takiego nie powiedział. Myślał o toporach saperskich. Sam widział: „zabijali toporami saperskimi”. A oni wyszli spokojnie z miasteczka, popatrzyli za siebie odchodząc, domy stały wesołe i kolorowe, zostali w nich ludzie, którzy wszystko widzieli z okien kamienic na rynku.

– Jesteśmy łagodni jak te baranki – powiedział młody Gral. – To widać według chrześcijańskiego prawa: jak cię rzną, nie wyjmuj noża z kieszeni. No, ale jak ja którego dostanę w swoje ręce...

– To co? – zapytał Kutryna.

Młody Gral nie odpowiedział. Po śmierci ojca w ogóle mówił niewiele. Szedł przez cały dzień milcząc i tylko s pluwał, gdy ktoś się do niego odezwał. Zygzak ciągnie się wzdłuż zabudowań. Jak daleko idą takie zygzaki i przedpiersia? Narysowano na mapie czarną krechę wokół miejscowości Bretwelde, kompania Kolskiego jest tylko maleńkim znaczkiem, a oni, Maczega, Gral, Kaleta, nie odnaleźliby siebie na tej mapie nawet przez powiększające szkło.

Gdy zaszło słońce, podpełzły kuchnie batalionowe, mało kto jednak korzystał z zupy z makaronem. Penetrowali zabudowania, te bliższe i te nieco dalsze. Gdy ściemni się, wrócą do rowów strzeleckich, bo póki jest trochę czasu, trzeba chwycić okazję, nie wiadomo, kiedy powtórzy się znowu.

Maczega, Kutryna, Kaleta, młody Gral weszli do parterowego domku, schludnego jak inne i jak inne pokrytego czerwoną dachówką. W kuchni stały już spakowane walizy, a przy stole siedziała baba, gruba, oczy wąziutkie, czarne, w okrągłej twarzy. Z pokoju wyszedł niski Niemiec, drżącymi rękoma zapalał fajkę.

Byli gościnni i serdeczni, właśnie tacy jak gospodarze przyjmujący gości. Maczega nie mógł się nadziwić: przecie to Niemcy, a jacy układni i uśmiechają się zwyczajnie, tylko im usta trochę drżą, jeśli się dobrze przyjrzeć. Nie musieli nawet szukać jedzenia; baba nakryła do stołu, postawiła konserwy, boczek, a Kaleta, który poszedł jednak do piwnicy,

znalazł butelkę likieru. Był to niesmaczny likier, pachnący miętą, jednak na pewno alkohol, więc dawał się pić.

– Świństwo – powiedział Kaleta, wychylając kieliszek. – Żeby tak kapkę samogonu... Widziałeś kiedy, Kutryna, jak się robi samogon? Jak kapie pomaleńku kropla za kroplą, a jeśli dobrze pędzony, bywa wcale nie gorszy niż z gorzelnii. A jaki krepki. U nas mieliśmy specjalistów od tej roboty. Za samogon wszystko można było kupić.

– Niemcy tego nie umieją – stwierdził Gral. – Co najwyżej pędzą z cukru, a i to po miastach.

– W Niesky – ciągnął Kaleta – spotkałem takiego gościa, który był na robotach; opowiadał, że pili denaturę. Czasami przepuszczali przez watę; miał jeszcze zapas, chciał mnie poczęstować, ale go wyśmiałem. Pracował w fabryce czołgów.

– Przestańcie nareszcie o wódzie. – Kutryna odsunął talerz. – Rzygać mi się chce od tego niemieckiego jedzenia. Wolałbym, żebyśmy wzięli, co tu jest, i poszli z powrotem. A jak pijecie likier, nie gadajcie o samogonie.

– A o czym? Sam chłasz, panie drużynowy, jak smok. Ja mam gorsze zmartwienie. – Kaleta podniósł w górę nogę. – Podeszwa mi się odkleiła, muszę jakich butów poszukać.

– No to poszukaj, tu na pewno mają, może nawet oficerskie.

– Kiedy cholernie nie lubię żywym ludziom zabierać, szczególnie cywilom. Patrzą na człowieka.

– Cóżes się taki wrażliwy zrobił; niby nie wiem, co nosisz w plecaku.

– Co noszę, to noszę, ale żywym nie lubię zabierać, taką mam zasadę. Musi być jakiś porządek. W Kamenz zabraliśmy buty z magazynu, jak należy, ale nie chciałem wziąć dla siebie, bo myślałem, że te starczą...

– Nie wygłupiaj się. – Kutryna napelniał sobie kieliszek. – Zapominasz, człowieku, gdzie jesteś... baranek się znalazł.

– Ja się zgadzam – rzekł nagle milczący dotychczas Maczuga, odsuwając talerz. – Zgadzam się. Znajdź buty, a jak nie chcesz sam, ja ci pomogę... Nie tutaj, to obok. Jak to się nazywa, gdy żołnierz zabiera...

– Nazywa się rekwizycja – powiedział Kutryna.

Dowódca batalionu otrzymuje zadanie; wyznacza punkty na mapie, bada ukształtowanie terenu, podejmuje decyzję, czyli sam z kolei przydziela zadania. Dowódca pułku: „Posyłam cię na najbardziej zagrożony odcinek”. Dowódca batalionu będzie teraz powtarzał swoim oficerom: „Posyłam cię na najbardziej zagrożony odcinek”. Wszystkie odcinki, które dotąd otrzymywał, były najbardziej zagrożone, nie ma żadnych powodów do zdziwienia lub niepokoju. Wyznacza więc bez pośpiechu punkt obserwacyjny i wybiera sobie stanowisko dowodzenia. Domy na skraju Bretwelde są jednakowe, złości już trochę ta jednakowość niemiecka, przekłeta architektoniczna szampa, ale oto jeden dom jest nieco inny, bo rośnie przed nim wysokie rozłożyste drzewo. Niech będzie! Tylko po co drzewo?

Jeszcze stanowisko zapasowe – taka jest zasada – w piwnicy sąsiedniego budynku. To wszystko: można zacząć gospodarować i rozmieszczać batalion. Stół, mapa, krzesło. „Czy podciągnęli linię? Pilnujcie mi łączności, do diabła ciężkiego, bo inaczej zginę tu marnie”.

Na mapie Bretwelde przypomina wydłużone półkole z wybrzuszeniem na południu. Przez środek miasteczka przechodzi szosa z Kamenz na wschód. Z rynku odnoga na południe. Dwie siedemdziesiątkiszóstki przyczyły się u wylotu tej drogi. Na północy są wzgórza, stoją na nich pułkowe móździerze i przydzielona artyleria.

Dowódca powiedział: „Czego się dowiecie o wrogu, to wasze. Ja wiem tyle co nic”.

Pięknie, nie pierwszyzna, pomagamy. Można więc wezwać dowódców kompanii. Ci młodzi chłopcy zdobyli już rutynę, nie dziwi ich sytuacja, w ogóle nie okazują zdziwienia. Może to trochę poza?

– Więc, poruczniku Kolski, obejrzyj sobie to cudo, południowe wybrzuszenie należy właśnie do naszego gospodarstwa. Twoja kompania idzie na prawoskrzydłową, wysuniesz się nieco do przodu, wzmacniam cię plutonem cekaemów i plutonem osiemdziesiątekdwojek. Zajmij obronę, nawiąż kontakt z prawym sąsiadem, to batalion Tyszki z naszego pułku. Uważaj, nic więcej nie wiem. – I sakramentalne: – Posyłam cię na najbardziej zagrożony odcinek.

– Poruczniku Reklewicz, wy na lewym skrzydle tego cholernego Bretwelde. Wasz zygzak skręca wzdłuż zabudowań ku wschodowi, dalej powinna być pułkowa kompania fizylierów, ale trzeba sprawdzić, czy na pewno jest, mamy doświadczenie, wiemy, że czasami sąsiedzi bywają tylko na mapie. Pamiętajcie oszczędzać amunicji, czterdziestkipiątki strzelają tylko do czołgów. No, możecie już iść, bierzcie się do roboty, krzyżyk na drogę.

Dowódca batalionu rozmieszcza móździerze i cekaemy, ogląda swoje pozycje, mizerniutkie okopy i stanowiska dział, spojrzy raz i drugi na przedpole otulone łagodną mgiełką. Nic nie widać, nic nie wiadomo, można posłać zwiadowców i czekać. „Moi drodzy,

myślcie o żarciu dla ludzi i pamiętajcie, że wojna to przynajmniej w połowie – czekanie”.

Zapada wieczór, najpierw słońce oświetlało czerwone dachówki w Bretwelde, teraz przychodzi szarość, powoli zacierają się kontury pagórków. Niemcy milczą. Oni też przecież nic nie wiedzą. Też grają po omacku. Tak przynajmniej należy sądzić.

Dzwoni Krycki: – Stanowisko dowodzenia pułku na północnym skraju Bretwelde.

Świętowiec melduje o zajęciu obrony, słucha uwag pułkownika, głos dowódcy jest ochrypliwy, w telefonie trzaski, niektóre słowa powtarza dwukrotnie i co chwila: – Świętowiec, słyszysz mnie, pamiętaj o folwarku Redlitz na styku z batalionem Tyszki. o czym jeszcze pamiętać ma dowódca batalionu? Gdzie jest, do diabła, ten folwark?

– Poruczniku Hencel, mapa, znajdźcie mi go zaraz, aha, tutaj, no to w porządku, niech się tamten martwi...

Nareszcie trochę spokoju. Można zdjąć buty i wymoczyć nogi, ostatecznie dzień był taki, że człowiekowi należy się odpoczynek. W pokoju stoi tapczan, wygodny, w miarę nowoczesny, pokryty barwną narzutą. Dotąd, od początku ofensywy, spał na łóżkach i nie wiadomo dlaczego marzył o tapczanie. No więc jest, znajdzie się też pewno jakaś pościel, należy wierzyć, że noc będzie cicha.

Na kolację major zaprosił Różnickiego i Kolskiego; Wojtek przyrządził autentyczną gęś, ten chłopak o twarzy dziecka odznacza się fantastycznymi zdolnościami kulinarnymi. I skąd wytrzasnął gęś? Wojna trwa, front skręca się konwulsyjnie, a jeśli dobrze poszukać, zawsze można znaleźć coś do żarcia. Siedzą więc przy stole przykrytym białą serwetą, talerze są z niebieską obwódką, małe kieliszki, już dawno nie pili z takich kieliszków, wypełnione mętnawym płynem.

– Ten likier miętowy jest obrzydliwy – stwierdza Różnicki – ale gęś... palce lizać.

Różnicki je bardzo szybko, rozrywa mięso palcami, gdy bierze do ręki butelkę, na etykietce pozostają tłuste plamy.

Kolski milczy, właściwie od początku kolacji, siedzi jak na oficjalnym przyjęciu. Dlaczego ten chłopak jest taki sztywny? myśli major. Zamierza pogadać z Kolskim, uważa to niemal za swój obowiązek, ale nie chce w obecności Różnickiego, może potem, gdy porucznik jednak trochę się rozkrochali.

– No, smakuje wam ta gęś?

– Gęś jest znakomita, obywatelu majorze, zupełnie jak polska.

– Sądzę, że nasi chłopcy też sobie krzywdy nie dadzą zrobić?

– Nie dadzą – mówi Kolski. – Ludzie są źli – dodaje. – Po Boslitz byli zaniepokojeni, teraz są źli; trzeba by im powiedzieć, co to wszystko znaczy. – I patrzy na Świętowca. Obaj,

on i Różnicki, czekają, aby im wytłumaczyć sytuację. Co może im powiedzieć? Parę wytartych słów, które usłyszał od Kryckiego?

– Na wojnie, jak na wojnie, moi drodzy. Poczekamy i wszystko się wyjaśni. Tymczasem pijmy likier miętowy, już ciemno, zobaczymy, czy noc będzie taka jasna jak wczoraj i czy coś się zdarzy. Ludziom potrzeba paru godzin snu, ale pamiętajcie: nic bardziej zdradliwego niż cisza.

Telefon z pułku: „Jedzie do was generał”.

No to, człowieku, nie licz na odpoczynek, wciągaj buty. Czy zostało jeszcze trochę tej gęsi? Można by poczęstować Weklara...

Major miał sporo do powiedzenia dowódcy dywizji, ale od razu odniósł wrażenie, że dystans między nimi jest większy niż kiedykolwiek. Dawniej, w Lublinie, gadało się swobodnie, teraz Weklar jakby nie dostrzegał Świątowca, nie wychodzili poza oficjalną gadaninę. „Tak jest, obywatelu generale, zrozumiałem”.

Weklar chciał, oczywiście, zobaczyć z bliska pozycje, stanął na skraju Bretwelde, popatrzył na zabudowania i okopy, podszedł do stanowisk najbliższej kompanii, wyciągnął papierosy. Chłopcy otoczyli generała, wyglądało to trochę jak na obrazku albo na rysunku w gazecie... Wysoki, kanciasty, w nieco przekrzywionej furażerce, patrzył Weklar na otaczających go ludzi. Mówił powoli, starannie dobierając słowa i układając zdania, żeby mogli je zapamiętać. Jak hasła. Z zachodu dobiegało dudnienie artylerii, gdzieś bardzo daleko skoczyła na niebo rakietka.

Pewno, że to się liczy, myśli Świątowiec. Każdy z nich będzie pamiętał, że gadał z Weklarem, ale rozmowy generałów z szeregowcami są zawsze takie same. Myślałem, że on umie inaczej, ale czy w ogóle można inaczej?

„Tak jest, obywatelu generale, pokażemy im, gdzie raki zimują!” „Tak jest, popędzimy szkopa”. Oni też wiedzą, jak gadać z generałem, mają gotowe frazesy, wystawioną na pokaz żołnierską krzepę. A czego oczekują naprawdę, co chcieliby usłyszeć?

Co powiedzieć człowiekowi siedzącemu w płytkiej wnęcie strzeleckiej? myśli Świątowiec. Człowiek wlepią wzrok w odległe wzgórza, z których może nadejść nieprzyjaciel. Wie, że całą noc przeleży tutaj okryty cienkim płaszczem, że rano albo on pójdzie przez łąkę, albo tamci przyjdą łąką... Co można mu powiedzieć? Najwyżej dać papierosa.

Potem generał wstąpił na kwaterę Świątowca, wypił kieliszek miętowego likieru, zjadł



kawałek gęsi, pochwalił. Zapytał: – Jak wam się tu żyje? – Nie czekał na odpowiedź. Popatrzył na Świętowca i jego oficerów, a majorowi ciągle się zdawało, że Weklar widzi ich niezupełnie dokładnie, że nie myśli o nich, tylko wkalkulowuje ich spojrzenie i twarze w swój rachunek. Gdy nastąpiło milczenie, generał powiedział: – Trzeba, aby ludzie rozumieli, że jesteśmy w natarciu, że dobijamy wroga. Sytuacja na wojnie się zmienia, warunki, w których walczą pododdziały, bywają rozmaite, niekiedy jest się w obronie, niekiedy wykonuje się trudny manewr. Ale generalnie: nacieramy. Z Bretwelde będziemy ich cisnąć na południowy wschód. No, wypijmy.

– Kolski – zwrócił się do porucznika – pamiętam was. Jak się żyje?

– Znakomicie, obywatelu generale.

– Dobra, dobra. To wszystko, dziękuję, majorze. Dopiero gdy miał wsiadać do samochodu, zatrzymał się chwilę i spojrzał na Świętowca uważniej, jakby go wreszcie dostrzegł. Major czuł, że Weklar chce coś powiedzieć, szuka potrzebnych słów, i wiedział, że ich nie znajdzie. – No co, Świętowiec – rzekł wreszcie – miałem rację w Lublinie, gdy zgodziłem się na wasze odejście do linii. Jesteście jednym z najlepszych dowódców batalionów w dywizji.

– Dziękuję, obywatelu generale.

Machnął ręką. – Nie, nie o to mi chodzi. Wy jesteście w stanie zrozumieć, że teraz, gdy kończy się wojna, jednego nam nie wolno utracić: świadomości, że zwyciężamy. Nawet za wysoką cenę. Wiecie co... – Nie dokończył, podał Świętowcowi rękę i poszedł do willysa. Major pomyślał, że Weklar tego najważniejszego, tego, co chciał, jednak nie powiedział. I że on też nie zdążył powiedzieć generałowi: „Wynik wojny jest przesądzony, a czy my zdajemy sobie sprawę, jaką wartość będą mieli ci ludzie jutro?”

Gdy odjechał samochód, Kolski, ciągle w postawie zasadniczej spytał:

– Czy mogę się odmeldować, obywatelu majorze?

– Nie, zostańcie...

Stali u wylotu uliczki, ciemno już było, tylko gdzieś w głębi Bretwelde migotały żółte światełka. Major wyłuskiwał z mroku twarz porucznika, była równie chłodna i spokojna jak zazwyczaj.

– Słuchajcie, Kolski – powiedział – była u mnie Ewa Kraczyńska. Czy wiecie, że jest w pułku? – Przeszedł na oficjalne „wy” i poczuł, że dodaje mu to pewności. – Uważałem za swój obowiązek powiedzieć wam o tym.

Chwila namysłu. – Wiem, obywatelu majorze.

– Nie dziwcie się, że z wami na ten temat rozmawiam. Chodzi o wasze sprawy

prywatne, ale jestem starszy i doświadczony, mógłbym wam pomóc. Kraczyńska powiedziała mi, że przyznaje się do winy, że brała wówczas udział w ukrywaniu dezertera. Tak... okazuje się, że mieliście rację, to znaczy, że widzieliście dezertera naprawdę. Nie sądzę jednak, byście obecnie przypisywali jakieś znaczenie temu stwierdzeniu...

– Czy wolno zapalić?

– Palcie.

Kolski długo szukał papierosów.

– Przyznaje się do winy – powtórzył. – Teraz... Po co?

– Więc nic o tym nie wiecie? Ewa... Kraczyńska – poprawił się – chce być ukarana.

– Ukarana? – powtórzył znowu Kolski.

– Wydaje się wam to dziwne? Tak, wybrała sobie czas i miejsce najmniej odpowiednie. Będę z wami szczerzy. – Świętowiec popatrzył na Kolskiego. – Nie wiem, jak bym postąpił przed kilkoma miesiącami i powiedzmy dzisiaj, gdybym był w kraju. Ale tutaj... albo inaczej, stąd, z Bretwelde, stara borowicka historia wygląda niemal śmiesznie, jest jakby nierealna, wymyślona. Dotyczy tylko dziewczyny i was.

– Obywatelu majorze, ja nie mam żadnego stosunku do tej sprawy. Ona mnie już nie dotyczy – powiedział Kolski z trudem.

– Nie obchodzi was? Kolski, nie rozmawiam z tobą jak przełożony; zastanów się, dziewczyna przecież dla ciebie przyszła do wojska i dla ciebie chce zerwać z przeszłością. Tak to rozumiem. Może już nawet zerwała. Zbyt wiele nas wszystkich wiąże, abyśmy mogli pamiętać... Wybaczenie – powiedział – czy tak trudno wam wybaczyć? – Poczul się nagle śmieszny w tej roli; dowódca batalionu zajmujący się godzeniem kochanków.

– Wszystko to rozumiem, obywatelu majorze, ale mnie teraz nic nie łączy z Ewą Kraczyńską. Dziwię się jej tylko... – A potem dodał ciszej: – Dla mnie w tej sprawie nic nie można zrobić. Ta dziewczyna była mi kiedyś bardzo bliska, obywatelu majorze, a potem... – Machnął ręką. – Nie, wybaczyć można wszystko, ale czy wojna przekreśla?

– Więc może – powiedział sucho Świętowiec – uważacie, że należy teraz wznowić śledztwo? Przekazać sprawę prokuraturze i informacji?

– Nie, wcale tak nie uważam.

– Niby dlaczego? Możemy poczekać parę dni, póki się sytuacja na froncie nie wyjaśni, a potem kapral Ewę Kraczyńską oddać pod sąd.

– Nie! – zawołał Kolski. – Wcale tego nie chcę!

– Dlaczego? Wy złożycie oczywiście zeznanie jako główny świadek i pokrzywdzony.

– Nie złożę żadnych zeznań, obywatelu majorze.

– Dlaczego, poruczniku Kolski?

– Nie wiem – powiedział. – Proszę mnie nie męczyć.

Świętowiec umilkł. Uśmiechnął się leciutko, ale tak leciutko, że Kolski tego nie dostrzegł.

Co można mu jeszcze powiedzieć? Że jesteś szczeniak, Kolski, i nie rozumiesz najprostszycch rzeczy.

– No cóż – rzekł – to wszystko, poruczniku.

– Odmeldowuję się.

Kończy się wtorek. Na niebie, z prawej strony, rozsypują się rakiety, gdzieś w okolicach Boslitz wybuchają pociski artyleryjskie. Na horyzoncie, a raczej równolegle do horyzontu, długie pasma ognia.

W okopach pod Bretwelde śpią; śpią we wnękach strzeleckich owinięci płaszczem, pod plandekami na stanowiskach ogniowych, w domach pokrytych czerwoną dachówką. Na skwerku, niedaleko rynku, śpią żołnierze z taborów pułkowych, kilkaset metrów na północ od miasteczka patrzy w noc dyżurująca dzisiaj na punkcie opatrunkowym Ewa Kraczyńska. Powiedziano im, że jutro pójda do natarcia, chcieliby przespać tę noc, bardzo chłodną, choć zbliża się już koniec kwietnia.

Ale ani oni, ani dowódcy plutonów, batalionów i pułków nie wiedzą jeszcze, że uderzające z południa zgrupowania niemieckie zmieniły kierunek natarcia. Dywizje pancerne, odepchnięte znad Sprewy, nacierają teraz na północny zachód.

Mineła godzina dwunasta.

# ŚRODA DZIEŃ TRZECI

## 1

Spali jeszcze pół godziny. Potem nikt z nich nie pamiętał, jak się zaczęło; noc była ciemna, wieczorem gwiazdy wisiały na pogodnym niebie, później silny wiatr zachodni przygnał chmury i jaśniejsze pasemko pozostało tylko na południu. Budynek Bretwelde, gdy długo patrzyło się w ich stronę, wzrok wydobywał z nocy jak plamy bardziej nasyczone czernią niż niebo.

Wartownik alarmowy stał przed domem, był zmęczony i śpiący, przecierał oczy, bolały go nogi, myślał więc o przepraniu onuc, ale wiedział, że gdy go zmienią, będzie miał siły tylko na spanie. Spoglądał na południe, w kierunku stanowisk kompanii, a potem patrzył w czarny wylot uliczki. Po obu jej stronach stały domy, których nie widział, domy otoczone ogródkami, spokojnie zanurzone w ciemnościach, jak zwykle na wsi lub w małym miasteczku.

Nic w tym widoku nie było niesamowitego lub budzącego grozę.

Wartownik mógł mieć więc zaufanie do nocy i obliczał właśnie, ile czasu zostawią mu na odpoczynek, gdy nagle Bretwelde wyskoczyło z ciemności, dosłownie: wyskoczyło, rakietą powoli opadała, a domy i ogrody stanęły w żółtym świetle. I niemal jednocześnie w środku miasteczka zagadały kaemy, wartownik alarmowy dostrzegł znowu wylot uliczki, a z domu po lewej stronie wykwitły błyski ognia. Nic więcej już nie zdążył zobaczyć, usłyszał jeszcze wybuch granatu, a nad miastem podniósł się wrzask, tylko z tyłu, tam gdzie były stanowiska kompanii, panowała cisza, obserwatorzy na wysuniętych posterunkach nie widzieli nic poza linią wzgórz, wypryskujących z ciemności, gdy chmury odsłaniały jaśniejszy kawałek nieba...

Potem nikt nie pamiętał, jak się zaczęło; walczyli po omacku, nie wiedząc, gdzie nieprzyjaciel. Pojawiał się nagle w środku miasteczka, w wąskich uliczkach, na tynku, w ogrodach otoczonych wysokimi płotami. Nie atakował stanowisk batalionów, był na tyłach, obsadzał skrzyżowania, pchał się na północny skraj miasta, gdzie pułkownik Krycki ulokował sztab pułku. Walka trwała w ciemnościach, a w ciemnościach przedmioty zmieniają kształty, widzi się przed sobą bryły, czarne albo nagle oświetlone, człowiek działa po omacku, strzela

na ślepo, zanurzony w lepkiej mazi, z której nie może wysunąć głowy.

Żołnierze plutonów gospodarczych, zaskoczeni na skwerku, w środku śpiącego miasteczka, bronili się zza furmanek, bijąc w kamienice, w których dostrzegali błyski ognia. Gdy zaterkotały kaemy, krętymi uliczkami biegli na północ, nie wiedząc, kto strzela, gdzie jest wróg, nie widząc nic prócz zabudowań, tuląc się do płotów i ogrodzeń dających jakieś takie schronienie. Kucharze, łącznicy, sanitariusze wybiegali z domów i walili na ślepo w wyloty ulic. W tej kotłowaniu kierunki ucieczki i natarcia straciły sens, ludzie kręcili się w zamkniętym półkolu zabudowań, szukając celu albo szukając schronienia. Tylko na stanowiskach kompanii trwała cisza.

W sztabie batalionu usiłowano bezskutecznie uzyskać połączenie z pułkiem.

– Połączenia z pułkiem nie ma – zameldował telefonista.

– Pewno, że nie ma – mruknął Świętowiec – jak kabel idzie przez Bretwelde. Co się w tym cholernym miasteczku dzieje?

Narzucił płaszcz na ramiona i wybiegł na ulicę. Niedaleko skrzyżowania zobaczył czerwony błysk, w nocy granat moździerzowy poznaje się po czerwonym błysku. Dowódca kompanii moździerzy, porucznik Janiczek, obsadzał już wylot uliczki. Co on mógł wskrobać z tej kompanii? pomyślał Świętowiec. Ale nie miał wyboru; postanowił osłonić się od miasteczka, ściągając możliwie jak najmniej z przedniego skraju. Nic nie wiedział: walka w Bretwelde mogła być tylko wstępem do uderzenia z południa.

Znowu czerwony błysk, moździerzyci Janiczka strzelają chyba na odległość stu metrów, wałą prosto w domy za skrzyżowaniem.

– Nie będziemy się tam pchać – powiedział Świętowiec, gdy zobaczył obok siebie porucznika Hencla.

– Weźcie jeden pluton od Reklewicza, obsadźcie skrzyżowanie, i koniec. – Adiutant batalionu zniknął w ciemności, major pozostał znowu sam. Na północy terkotały karabiny maszynowe, wybuchały granaty.

– Co za obrzydliwa kasza – odezwał się tuż przy nim głos Różnickiego. – Którędy oni, do diabła, puścili Niemców?

– A czy ja jestem duchem świętym? – burknął Świętowiec. – Może tylko cywilne bandy, a może gdzieś przespali. Niech się Krycki martwi... – Świętowiec źle widział w nocy, miał kurzą ślepotę, czuł się tak, jakby rękoma rozgarniał ciemności.

– Pójdę na skrzyżowanie – oświadczył Różnicki.

– A idź, jak chcesz, tylko uważaj, żeby ci kto zębów nie wybił.

Żołnierze Reklewicza i Janiczka zajęli stanowiska przed skrzyżowaniem, za domami. Ogródki przetrząśnięto, domy miały porozbijane drzwi, wybite okna. Różnicki szedł chodnikiem prosto, na pasma ognia, które przecinały się, wydłużały i opadały długim łukiem na miasto.

– Nie łaź ulicą – usłyszał. – Wałą z tamtej kamienicy. – Cofnął się za zabudowanie. – Przepraszam, panie kapitanie – powiedział żołnierz leżący przy erkaemie. – Nie zauważyłem.

– Dobra, dobra. – Różnicki przyklęknął i popatrzył w kierunku rynku. Kilkanaście metrów za skrzyżowaniem zobaczył kamienicę wyglądającą, wśród domów otoczonych ogrodami, jak biała plama.

– To ta cholera – potwierdził strzelec.

W oknach kamienicy dostrzegł białe błyski ognia, stamtąd gwałtownie szczekał niemiecki kaem. Od strony rynku, niewidocznego, objętego ciemnością, ukazały się czarne sylwetki. Strzelec przy erkaemie nacisnął spust; przed kamieniczką wybuchł granat moździerzowy, ale Niemiec nie przerwał ognia. Gdzieś w środku Bretwelde strzeliła w górę rakietą i zobaczyli nagle wszystko bardzo dokładnie: biały budynek i wylot ulicy. Potem znowu wróciła ciemność przecinana pasmami światła.

Żołnierze patrzyli w mrok, zaciskali mocno usta, widzieli czarne bryły, czerwone i żółte wybuchy; w nocy wściekłość i nienawiść są zawsze większe. Istoty, które pojawiały się i znikwały u wylotu ulicy, nie miały w sobie nic ludzkiego, nie wzbudzały strachu, stanowiły wyłącznie cel, który należało niszczyć. Niszczono też sprawnie, a potem na chwilę przerywano ogień i czekano, aż pojawią się znowu. Pojawiały się podłużne cienkie nitki, skaczące manekiny; osłaniał je niemiecki kaem bijący ciągle z białego budynku. No cóż, pomyślał Różnicki, trzeba fryca stamtąd wyskrobać.

Wziął dwóch żołnierzy z plutonu Reklewicza i okrążając skrzyżowanie, przedzierał się przez ogrody, aby dobrnąć do owej dwupiętrowej fortecy od tyłu. Wojna, gdy szli w ciemnościach, uważni i czujni, gotowi do napadu i zabijania, zaczynała być przygodą, a kapitan Różnicki czuł się dobrze właśnie dopiero wówczas, gdy węszył przygodę. Zawsze tak z nim było, od początku partyzanckiej kariery. Nie lubił i nie umiał gadać z ludźmi, nie cierpiał pogadank i konspektów Zarządu Polityczno-Wychowawczego, szedł na przedni skraj, był z żołnierzami, resztę zostawiając zastępcom dowódców kompanii. Wojna była dla niego wyłącznie działaniem, nie rozważał, nie miał własnych pomysłów strategicznych, nie zastanawiał się skąd się wzięli Niemcy na tyłach dywizji, wiedział tylko, że trzeba ich zniszczyć. Duży, toporny, szedł teraz pochylony nieco, nie patrząc nawet na żołnierzy,

których miał obok siebie. Nie widział ich twarzy, nie interesowały go ich twarze, i nie dlatego, żeby obojętni mu byli ludzie, ale po prostu dlatego, że był jednym z nich.

Kamieniczka wyrosła przed nimi nagle, przypominała płaskie prostokątne pudełko.

– Do okien! – krzyknął Różnicki. Ostatnie parę metrów przebyli biegiem, potem wykonywali już czynności automatycznie, nie myśląc, nie czując, działając precyzyjnie i nieomylnie. Kapitan pierwszy rzucił granat i przez niski parapet wskoczył do środka. Seria z automatu; prawie się jej nie słyszy, jakby słuch został wyłączony. Dwóch Niemców leżało na podłodze, jeden, cywil, żył jeszcze. Różnicki poczuł na sobie jego wzrok, zanim strzelił. Potem nie spojrział już w tym kierunku.

Żołnierze podbiegli do drzwi, otwierali je, gdy na klatce schodowej wybuchł granat. Odłamki zagwizdały nad głową. Różnickiemu zdawało się przez chwilę, że za drzwiami jest przepaść, ale musiał wbiec na schody. Seria z automatu, potem cisza, skoczył... Duża czarna postać, błysk ognia, tamten człowiek nie trafił. Różnicki widział go teraz przed sobą, nie twarz, ale ruchomą bryłę, trwało to parę sekund, uderzył z całej siły kolbą tetetki, żołnierz poprawił z automatu. Gdy wbiegli do pokoju na pierwszym piętrze, zobaczyli przez okno ulicę i skrzyżowanie, które zajęli już żołnierze Reklewicza.

## 2

Na skwerku, między krzakami bzu a kamienną figurą jeźdźca, przedstawiającą zapewne jakąś postać historyczną, leżał starszy człowiek, woźnica z kompanii transportowej. Starszy człowiek otrzymał postrzał w brzuch, potem kula strzaskała mu kolano; nie czuł już bólu, ból minął razem z pragnieniem, oblizywał tylko spękane wargi, gdy wracała świadomość. Nie mógł się poruszać, nie mógł nawet sięgnąć kolby karabinu leżącego obok, przymykał oczy i czekał spokojnie na swój los. Nie myślał także o śmierci, rejestrował tylko obrazy i słowa.

Wokoło słyszał głosy Niemców; znał je dobrze, pochodził przecież z Warszawy, mieszkał na placu Szembeka, a całą okupację był dorożkarzem. Jego ojciec był również dorożkarzem. Zastępował ojca od szesnastego roku życia, woził ludzi tamtej Warszawy i tej okupacyjnej, wszystko sobie teraz doskonale przypominał: ulicę, zapachy, kolory, przede wszystkim zaś – ludzi i twarze. A za Niemca zawsze wiedziałem, od kogo nie brać pieniędzy, myślał. Miałem już taki nos do ludzi: spojrzę raz... i wystarczy. Potem zobaczył twarz żony i

usłyszał jej głos, nieco chropowaty i zadziwiony:

.. Po co idziesz do tego wojska?"

„Zastanów się, kobieto, co miałem robić, jak mi chabeta padła?"

Na rynku zaterkotał znowu kaem, wybuchały miny, a tuż. tuż obok, może na sąsiedniej alejce, starszy człowiek usłyszał niemiecki wrzask.

Zawsze miałem taki nos do ludzi, powtarza. Wiedziałem, od kogo nie brać pieniędzy. E, co tam, panie, czy ja nie człowiek, czy ja nie Polak?

Poczuł znowu ból, ból przychodził gdzieś od wewnątrz, nie od brzucha czy od kolana, ale od płuc i serca, jakby tam w środku rwały się srebrne cieniutkie niteczki, na których wisi serce... Zamknął oczy, a gdy je otworzył znowu, zobaczył, że kamienna figura jeźdźca porusza się na cokole.

Dobrze odrobiony ten koń, myślał. Chociaż, gdzie im tam szwabom do polskich koni. Weźmy taką zwykłą dorożkarską chabetę, ile ona może wytrzymać, na przykład choćby moja. Na wspomnienie konia, którego zabił niemiecki pocisk we wrześniu 44 roku, oczy mu zwilgotniały. Nie, wówczas nie płakał, żona płakała siedząc na ławeczce przed domem. No bo rzeczywiście, przywykli do konia jak do człowieka. „Nie płacz, głupia – powiedział – wszystko będzie dobrze”. Tak mu się rzekło, ale sam w to nie wierzył, czuł, że przychodzi koniec jego dorożkarstwa. Ulicami Pragi chodzili polscy żołnierze. Byli tacy, co mówili, że to przebrani Rosjanie, ale nosili nasze mundury i białe orzełki. Poszedł na ochotnika. Niemiecki wrzask rozległ się bliżej. Starszy człowiek dźwignął się nieco na rękach i zobaczył dwóch w sąsiedniej alejce. Jeden był po cywilnemu, w kapeluszu z piórkiem, takim właśnie, jakie nosili Niemcy w Warszawie. Drugi w czarnym mundurze SS. Podeszli bliżej, spostrzegli go.

– Ten żyje jeszcze – powiedział cywil.

– No to go wykończ – oświadczył esesowiec. Starszy człowiek, zanim ogarnęła go ciemność, zrozumiał, co mówili tamci, bo się w Warszawie osłuchał był nieco z niemieckim.

### 3

Kontratakowali, fizylierzy. Na placyku przed sztabem pułku wybuchały granaty, klekotały szybkie serie peemów. Żołnierze z plutonu ochrony, łącznościowcy, gońcy pobiegli naprzód razem z fizylierami. Dom naprzeciwko płonął, ulica była znakomicie oświetlona.

Pułkownik Krycki otrzepał mundur i schował pistolet do kabury.



– Nu – rzekł – wszystko. – I z niejaką czułością spojrzął na wysoki murek okalający dom – jego stanowisko dowodzenia. Znakomita rzecz taki murek, pomyślał. Cieniutki major, szef sztabu, z automatem w ręku podszedł do dowódcy.

– Łączność?

– Poka niet.

– A może już wiecie – powiedział Krycki ze złością – któredy przeszli?

– Drobne grupy Niemców – odparł major – narobiły zamieszania.

– Ale kto ich puścił? Oddam pod sąd – wołał pułkownik. Napięcie ostatnich godzin dopiero teraz wyładowywało się w krzyku.

Na południowym skraju rozrywały się pociski mózdzierzowe, potężniała strzelanina.

– Od południa. To Świątowiec – powiedział major.

– Nawiązać łączność z batalionami! Nie będę czekał!

– Tak jest. Proponuję przenieść stanowiska dowodzenia na północ. Do wsi Klei Bretwelde.

– Żadnych przenosin, zostanę tutaj. O godzinie piątej nacieramy na miasteczko; ja już zrobię porządek!

Krycki odwrócił się i poszedł do domu. Najmocniej bolała go bezradność. O wszystkim pamiętał: o batalionach, o artylerii na północnych wzgórzach, o pułkowych kompaniach fizylierów. Wszystko istniało, siedziało na swoich miejscach, a gdy rozpoczęła się nocna strzelanina, niczego nie mógł uruchomić. I niemal nic nie wiedział. Niemcy zajęli centrum Bretwelde i przecięli połączenia z batalionami. Sztab pułku znalazł się nagle na przednim skraju, tkwił jak w pułapce kilkaset metrów od nie biorących udziału w boju batalionów... Dobrze przynajmniej, że był murek!

A generał Weklar zamierzał rano rozpocząć natarcie! Ładna historia! Pewno wszystko było gotowe, w sztabie dywizji opracowywano rozkaz, wystarczył sygnał. I nagle całość przestała istnieć, rozprzęgła się, rozleciała w ciemności. Dowódca dywizji zapytał: „Co się stało w Bretwelde?”

Odpowiem, myślał Krycki, odpowiem... A, do diabła ciężkiego, zamelduję, że nie wiem.

Powoli zaczynało świtać. Gdy podszedł do okna, zobaczył wyraźnie zarysy domów i wzgórz.

O godzinie piątej fizylierzy z kompanii pułkowej dotarli do rynku. Niemcy bronili się jeszcze w oddzielnych domach, miasteczko, gdy zaczęło szarzeć, stało się znowu takie jak poprzedniego dnia: domy w ogrodach, kamieniczki, porządnie utrzymany skwerek. Z północy

oczyszczali je fizylierzy, z południowego wschodu – kompania batalionu Tyszki. Rozwalali drzwi uderzeniami kolb i łomów, ciskali granaty do okien, w których błyski ognia zdradzały nieprzyjaciela, przestrzeliwali place seriami kaemów. Miny moździerzowe nie wybuchały już z czerwonym błyskiem, było jasno i przezroczyście, wiatr ucichł, niskie chmury odpływały na zachód.

Fizylierzy i żołnierze od Tyszki wykonali solidną wojenną robotę; byli dokładni i uważni, nie brali jeńców, oszczędzali amunicji. Gdy przybył na samochodach batalion szkolny wysłany przez generała Weklara, w miasteczku panowała już cisza, oddziałów nieprzyjaciela nie było w Bretwelde.

Na ulicach pozostały tylko trupy Niemców: byli to żołnierze w mundurach SS i Wehrmachtu, ale przede wszystkim cywile, starsi ludzie z solidnymi brzuskami, w ciemnych marynarczynach, którym wczoraj kazano strzelać i którzy wykonali rozkaz, wychodząc ze swych domków otoczonych porządnymi ogrodami.

## 4

O godzinie 5. 00 pułkownik Krycki wydał rozkaz wysiedlenia na północ całej niemieckiej ludności Bretwelde. O godzinie 5. 30 pierwsze pociski artyleryjskie wybuchły przed pogiętym zygzakiem batalionu Świętowca. Noc była zapewne tylko marniutkim prologiem, pomyślał major.

Żołnierze, ukryci we wnękach strzeleckich, nie widzieli wysiedlania. Fizylierzy, którzy wykonywali rozkaz, spieszyli się, bo kazano im się spieszyć. Byli nieco bezradni i speszeni. Gdy w miasteczku przestano strzelać, mieli znowu do czynienia z przestraszonymi istotami, które wczoraj wywieszały białe flagi, same przynosiły likier miętowy, były gościnne i nawet zbyt grzeczne. Teraz mieszkańcy zachowywali się tak, jakby spotykała ich niezasłużona kara: milczeli i wykonywali polecenie.

Major Świętowiec stał u wylotu ulicy i patrzył. Rodziny niemieckie z sąsiednich domów ładowały swój majątek na wózki i taczki, do wózków zaprzęgali się mężczyźni, przeważnie starsi, młodzieży prawie nie było, kobiety zamykały drzwi mieszkań i furtki ogródków. Dom nie opodal opuszczała duża rodzina: wysoka, chuda kobieta o długiej, końskiej twarzy, troje dzieci i siwy mężczyzna, przygarbiony pod ciężarem plecaka. Przystanęli na chodniku i o czymś szeptali cicho, patrząc na dom; nie mogli zdecydować się

na odejście, jakby czekali ulaskawienia. Major Świętowiec nie czuł litości; ci wygnani z domów ludzie nie zasługiwali na litość, a na pewno nie zasługiwali na nią teraz. Nikt im nie pomoże i nikt nie daruje im win, ponieważ ich wina jest równie wielka, jak nieokreślona, i nie podlega prawu łaski. Kobieta pochyliła się wreszcie nad wózkiem, mieli także taki miniaturowy wóz drabiniasty, posadziła na stercie byle jak rzuconych gratów najmłodsze dziecko i rodzina ruszyła w stronę rynku. Ujechali jednak tylko parę kroków, bo podeszło do nich dwóch fizylierów; jeden bezceremonialnie postawił dziecko na ziemi i zaczął grzebać w wózku. Na chodnik posypały się domowe drobiazgi, jakieś drewniane pudełka, bielizna, z brzękiem upadł blaszany garnek. Mężczyzna, garbiąc się ciągle pod ciężarem plecaka, stał i patrzył.

– Dosyc – powiedział Świętowiec podchodząc. – Puśćcie ich.

W tej chwili fizylier wyciągnął z samego dna wózka zawinięty byle jak w koszulę niemiecki automat. Mężczyzna skurczył się, zbladł, duże krople potu osiadły mu na czole i na skroniach. Kobieta płakała bezgłośnie, pochylając się nad wózkiem.

– Rozstrzelać mężczyznę – powiedział Świętowiec.

## 5

O godzinie 6. 00 po przygotowaniu artyleryjskim rozpoczęło się pierwsze uderzenie Niemców na batalion Świętowca. Pierwsze uderzenie... Potem będą je liczyć, ci we wnękach strzeleckich i ci w sztabach. Zameldują: batalion wytrzymał trzy ataki... cztery ataki... pięć ataków... Wojna lubi ścisłość; w kalkulacjach sztabowych oblicza się zwykle dokładnie, jakie siły są potrzebne dla przełamania frontu: tyle a tyle dział, samolotów, piechoty... Obliczenia okazują się potem ścisłe albo błędne. Zdarza się, że przesłanki są słuszne, kalkulacja trafna, a rezultat żaden. Bowiem najtrudniej przewidzieć wytrzymałość batalionu piechoty.

Żołnierze majora Świętowca patrzą przed siebie, na pole wznoszące się nieco ku bardzo wyraźnej teraz linii łagodnych, spłaszczonych wzgórz. Bliżej są kępy drzew, rosnące tu i ówdzie krzaki jałowca i ledwo widoczne, ukryte w głębokiej kotlinie, budynki wsi. Z tamtej strony nacierają Niemcy.

Na wprost Maczęgi, w kępie jałowca, rozerwał się granat moździerzowy. Michał leży w swojej niszy, ściska karabin i czeka. Artyleria niemiecka bije już po skraju miasteczka, nie widać czarnego dymu, snującego się za okopami, terkoczą kaemy, wystarczy chyba podnieść

głowę, aby znaleźć się na linii pocisków. Gdzieś z tyłu nieśmiało odpowiadają polskie mózdzierze.

Maczęgę oblewa gorąca fala, prąd elektryczny przebiega przez całe ciało. Widzi ich: idą, biegną, strzelają w biegu. Jest tak, jakby nagle wyprysnęli z ziemi, pojawili się od razu blisko, tuż przed Michałem.

Po prawej stronie ukazują się dwa czołgi; nie, nie pełzną w kierunku Maczęgi, ich żółte sylwetki skręcają jeszcze bardziej na prawo, tam jest już pewno inna kompania, może inny batalion, zresztą nie wiadomo, co tam jest...

Michał nie patrzy na czołgi, patrzy na nich: jak szybko idą. Widać bardzo wyraźnie: wyrastają na tle szarego nieba, giną w dymie mózdzierzowych wybuchów, pojawiają się znowu, coraz bliżej. Michał zaciska zęby, nie myśli o niczym, tylko widzi swój skrawek łąki, ogarnia go strach, że sam też jest widoczny, ale natychmiast przypomina sobie o przedpiersiu i okopie, mizerna to obrona, zawsze jednak człowiek czuje się pewniejszy.

Odległość? Sto pięćdziesiąt metrów, może już sto metrów... jeszcze mniej. Nagle do Maczęgi dociera wrzask: „hura!” Sylwetki biegnących są już ogromne; Michał dostrzega twarze, rozdziawione usta, widzi zamach człowieka rzucającego granat. Zdaje mu się, że sam krzyczy, że krzyk rozrywa piersi. Unosi się nieco, słyszy, jak ktoś, a może on sam, powtarza: uciekać! uciekać! i pociąga za spust. Raz, drugi... Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, tamci ciągle biegną, są bardzo blisko, ale nie docierają do okopu...

Niedaleko Maczęgi cekaemista sprawdza celownik, odbezpiecza, naciska płytkę spustu. Za chwilę wymaca go niemiecki pocisk, ale przedtem zobaczy, jak załamuje się atakująca tyraliera, rzadnie linia biegnących, a czarne istoty w hełmach znikają z pola widzenia. Nie krzyczą już „hura” i chociaż ciągle rozrywają się pociski, Michał przysiągłby, że zapadła cisza. Dopiero teraz dostrzega, że z prawej strony płonie czołg, z tyłu trzaskają czterdziestkapiątki, nad polem krzyżują się serie kaemów, a jednak trwa cisza.

– Nie ma ich, nie ma ich – powtarza Michał i czuje ogromną ulgę, łagodne ciepło obejmuje ciało, chciałby teraz spać, jeść, ale przede wszystkim pragnie zapalić papierosa.

Major Świętowiec zapala papierosa i zaciąga się mocno dymem. Z punktu obserwacyjnego na skraju Bretwelde widział załamanie się niemieckiego natarcia; nie, nie ma powodów do radości. Wie już, że tamci próbują po raz drugi, i wie już od paru minut, że na pułk nie ma co liczyć. Artyleria na północnych wzgórzach milczy, pułkowe stowudziestki milczą. Co, do cholery, robi obserwator, co mnie obchodzi, że u Tyszki sytuacja jest cięższa?

Ja również mam ciężką sytuację. Wszystkie rozmowy telefoniczne są do siebie podobne; na końcu kabła siedzi szef sztabu pułku i udaje, że nie rozumie. Odpowiada słodko, cichutko, a Świętowiec wrzeszczy do słuchawki, nie liczy się ze słowami, nie używa kryptonimów. „Dajcie, do diabła, wsparcie. Skraj wsi przed nami... Szkic sytuacyjny? Po cholere wam teraz szkic sytuacyjny, co robi wasza artyleria?”

Odpowiedź: „Oszczędzać nabojów, czterdziestkapiątki strzelają tylko do czołgów”. Zwariować można od takiej gadaniny. „Więc nie utrzymam się, nie przetrwam następnego szturm, czy wy zdajecie sobie sprawę, jaką mam sytuację?”

Odpowiedź: „Nie wolno odstąpić ani na milimetr, nie mamy dokąd się cofać, tak powiedziec żołnierzom, skraj Bretwelde musi być utrzymany”.

Pięknie: utrzymać wątłe pozycje, bo przecież nie było czasu na budowę solidnych umocnień, bez wsparcia artyleryjskiego, mając tylko parę batalionowych moździerzy i dwie siedemdziesiątkiszóstki przy drodze na południe.

Powiedzieli: „Taka jest sytuacja”. Na prawo batalion Tyszki odpiera niemieckie czołgi; z kierunku Boslitz dochodzi ciągle, gdy dobrze się wsłuchać, głuche dudnienie artylerii. Major patrzy na przedpole, znowu zapala papierosa, pochyla się nad mapą, ale nie widzi nic pocieszającego i nic nowego nie przychodzi mu do głowy. Będę tu tkwił, myśli, aż mnie wygryzą, a że wygryzą, to pewne.

Łączy się z kompanią Kolskiego. Kolski z prawego skrzydła melduje: „Niemieckie działa czołgowe wykryły stanowiska rusznic ppanc, dowódca plutonu zabity. Zginął również podporucznik Bielski. Czołgi ukazują się ciągle na przedpolu”.

Głos dowódcy kompanii jest suchy, nie ma w nim ani niepokoju, ani trwogi. Raportuje jak na ćwiczeniach. Świętowiec rozkazuje: „Czołgi na prawym skrzydle. Zmienić pozycję czterdziestekpiątek. Co?... Niech piechota ciągnie, na rękach przenieść... do cholery jasnej!”

Potem myśli o dowódcy plutonu rusznic; jak się nazywał ten młody Rosjanin, którego przed paroma dniami przeniesiono do batalionu? Nie może sobie przypomnieć. Taszczenko czy Tareszczenko. Takie młode chłopię, włosy lniane, buzia pucółowata. Przyszedł, zameldował się i pełen poczucia winy oświadczył: „Ja wied’ nie ponimaju po polski”.

Kapitan Różnicki wrócił z kompanii Kolskiego. Świeżo ogolony, nawet mundur zdołał wyczyścić po nocnych wyczynach. Popatrzył uważnie na Świętowca i oświadczył: – Usiądźcie, majorze, mam coś dla was.

– Co macie?

Różnicki wyciągnął butelkę koniaku i podał ją dowódcy.

– No dobra, dobra, napijemy się.

– Co mówią w pułku? – zapytał Różnicki.

– Nic nie mówią. Ani milimetra w tył.

– Bez wsparcia?

– Bez.

– No cóż – rzekł kapitan. – Będziemy gryźć te milimetry. U Kolskiego już przywykli bez artylerii – dodał. – Aż podziw człowieka ogarnia, że ludzie tak się przyzwyczajają.

Zamilkli. Wsłuchiwali się w nieustanne dudnienie artylerii i odległe gdakanie kaemów. Gdyby tak trochę ciszy, pomyślał Świętowiec. Trochę zwykłej, dobrej ciszy, no, mógłby być, powiedzmy, zgrzyt tramwaju po szynach.

Przymknął na chwilę oczy i nie dostrzegł młodego oficera, który stanął na progu, schylając nieco głowę w niskim wejściu. – Obywatelu majorze – usłyszał.

– Proszę o pozwolenie zwrócenia się do kapitana.

– O co chodzi? – Spojrzał na oficera. Był w porządnym mundurze, na naramiennikach błyszczały dwie gwiazdki.

– Jestem z Wydziału Polityczno-Wychowawczego dywizji – zameldował porucznik. – Przyjechałem do Was po listę aktywistów. – Rozejrzał się dokładnie po pomieszczeniu, posłuchał łoskotu dochodzącego z zewnątrz i dodał: – Specjalnie tu przybyłem.

– Co?! – krzyknął Różnicki.

Porucznik trochę się przestraszył. Miał niewiele więcej niż dwadzieścia lat i duże, ciemne, bardzo zdziwione oczy.

– Po aktywistów – powtórzył. – Z polecenia szefa wydziału.

Twarz Różnickiego stała się czerwona, nabrzmiały mu żyły na skroniach: – Tu przyjechaliście po aktywistów?

– Tak jest, obywatelu kapitanie.

– Powiedźcie szefowi wydziału – zaryczał Różnicki – powiedźcie mu, że mam cały batalion aktywistów! Niech sobie weźmie listę... Tak, cały batalion albo to, co z niego zostanie.

## 6

Wczesnym rankiem Olewicz opuścił pomieszczenie, które zajmował zwiad dywizji. Dzień był chłodny, nieco mglisty. Olewicz stanął przed domem, głęboko zaciągnął się

powietrzem i popatrzył na blednące na wschodzie niebo. Skądś z daleka dochodził głuchy łoskot. Tam jest mój pułk, pomyślał Olewicz. Pierwszy raz tak pomyślał „mój pułk”.

Parę kroków od niego żołnierze ładowali skrzynie rozklekotaną ciężarówkę. Podszedł młody sierżant w furazerce zawadiacko przekrzywionej, otworzył drzwi szoferki, potem spojrzał na Olewicza. – Może ty też z gospodarstwa Kryckiego? – zapytał. Olewicz milczał.

– Do ciebie mowa – rzekł sierżant. – Pytam, skąd jesteś?

– Tak – odpowiedział Olewicz – jestem z gospodarstwa Kryckiego.

– No to skacz na ciężarówkę, bo tam jedziemy. Ale przedtem pomóż ładować skrzynie.

Po paru minutach Olewicz siedział w pudle ciężarówki.

Stało się, pomyślał. Stało się i nie ma powrotu. Wszystko było już poza nim: Czeremniki, ucieczka z aresztu, Biała Podlaska, leśniczówka. Wracał do punktu wyjściowego, jechał do „swojego” pułku, zdawał się na łaskę i niełaskę. Czego chciałem idąc na front? myślał. Przecież ostatecznie właśnie tego, żeby wrócić. Nic innego nie mogło się zdarzyć. Wszystko uznał teraz za pomyłkę: i ucieczkę z aresztu, i „przebranie się” w nazwisko „Kłowski”. Nie można, rozważał, kluczyć i udawać przed sobą i przed nimi. Myślał ciągle „oni”. Byłem jak błędny rycerz... właśnie błędny rycerz. Co za zarozumiałość.

Sam sobie wydał się śmieszny. Ale nareszcie był spokojny, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Nic nie zależało już od niego, odrzucił przebranie, które nazywał teraz dziecinadą, głupstwem, pozorem. Miałem tylko dwie drogi, stwierdził, mogłem iść do Sępa lub wrócić. Wróciłem, teraz wy róbcie ze mną, co chcecie: wasza kolej...

Dwóch żołnierzy, dwóch starszych ludzi, pewno z kwatermistrzostwa, siedziało również w pudle ciężarówki. Milczeli. Skręcili papierosa i jeden z nich poczęstował go tytoniem. Olewicz zaciągnął się ostrym dymem, przypomniał sobie, że tak samo częstowano go tytoniem, gdy uciekał do Białej, i spojrzał wokoło. Jechali szosą wijącą się pomiędzy wzgórzami: gdzieś na lesistych zboczach pagórków przykucnęły domy i wille, krajobraz był piękny, kolorowy, przypominał Olewiczowi barwne widokówki. Minęli las i gdy wydostali się na otwartą przestrzeń, wzgórza odeszły od drogi i płynęły po obu jej stronach równą, łagodną linią. Dudnienie artylerii stawało się z każdą chwilą wyraźniejsze, a gdy zobaczyli z daleka czerwone dachówki, pobłyskujące już w słońcu, usłyszeli gwałtowne gdakanie kaemów.

– Cholerne Bretwede – powiedział jeden z żołnierzy. – A tam na prawo Boslitz.

Cała podróż, która wydawała się Olewiczowi tak długa, trwała zaledwie parę minut.

Patrzył na miasto osłonięte od północy wzgórzami, wiedział, że za chwilę już tam

będą, i jeszcze raz ogarnął go lęk, tak gwałtowny, że chciał wyskoczyć z ciężarówki i znowu zacząć wszystko od początku. Trzeba było zostać u zwiadowców – co za cholerny ze – mnie idiota, może by nie poznali. Roześmiał się. Po co? Po co miałem zostać?

Ciężarówka zatrzymała się na skraju miasta przed mocno pokiereszowanym budynkiem. Okna były wybite, ściany podziurawiły kule karabinowe i odłamki granatów.

Olewicz wyskoczył z pudła samochodu. Nie chciał zaczynać od sztabu pułku, chciał przede wszystkim wrócić do batalionu. Nie miało to oczywiście żadnego znaczenia, ale jemu wydawało się ważne. Czekał; przed domem stanął oficer, ale on wolał nie podchodzić do oficerów, mogli go pamiętać. Zapalił papierosa, tamci dwaj też wysiedli z ciężarówki i czekali, nikt nie wyładowywał skrzyń. Wreszcie na drodze pojawił się kapral z automatem przewieszonym przez ramię. Olewicz podszedł do niego.

– Batalion Świętowca? – zdziwił się kapral. – Pójdiesz prosto, przez całe Bretwelde, aż na południowy skraj. Tylko uważaj, pospiesz się. A do sztabu pułku nie zdążysz już wrócić, bo się wynosi.

Olewicz pomaszerował tak, jak mu kazano. Mijał obojętnie miasteczko pełne śladów niedawnej walki, podziurawione domy, spalone samochody, trupy na ulicach. W ogrodach kwitły już jabłonie i ogrody wydawały się białe, a ta białość, nie wiadomo czemu, gniewała Olewicza, obrażała go, jakby była czymś oburzająco niewłaściwym.

Z południa i ze wschodu dobiegało klekotanie broni ręcznej i wybuchy granatów. Olewicz pomyślał, że dopiero teraz jest naprawdę na froncie, nie w partyzantce czy zasadzce w Boslitz, ale na froncie, tak jak chciał, ma jednak niewielkie szanse, by tu zostać, zapewne za parę minut wróci tą samą drogą pod strażą żołnierza z automatem. Szedł jednak coraz szybciej, spieszył się, jakby oczekiwano go w „jego” batalionie lub też jakby miał do wykonania poważne zadanie bojowe...

Major Świętowiec wrócił właśnie z punktu obserwacyjnego i stał przed „swoim” domem oparty o pień drzewa. Porucznik Hencel referował sytuację u Reklewicza, gdy major dostrzegł z daleka żołnierza, którego sylwetka wydała mu się znajoma. Żołnierz szedł szybko i nieostrożnie, środkiem drogi, prosto przed siebie, w kierunku przedniego skraju. Gdy zrównał się z domem, dostrzegł majora, a Świętowiec też zobaczył jego twarz. Przestał słuchać Hencla, wyciągnął z kieszeni papierosa, ale nie zapalił, czekał.

Po chwili Olewicz stał już przed nim. Był w niezgrabnym mundurze, zbyt długi płaszcz o niebieskawym odcieniu opadał niemal do kostek; twarz miał bardzo bladą, oczy podkrążone, wydawał się znacznie starszy niż wówczas w Czeremnikach.

– Olewicz – rzekł Świętowiec.



– Obywatelu majorze – wypowiedział bardzo cicho regulaminową formułkę – podporucznik Olewicz melduje swoje przybycie. – Po raz pierwszy od wielu miesięcy „podporucznik Olewicz”. Niedaleko od nich, po drugiej stronie ulicy, wybuchł artyleryjski pocisk. Strzeliły w górę odłamki, kurz i piasek wdarły się do oczu, przez chwilę nie widzieli nic prócz jednostajnej szarości. Następny rozerwał się nieco, dalej, czarny dym opadał powoli, a wzdłuż zabudowań wyskakiwały fontanny ziemi i żelaza, huk potężniał i malał, na przednim skraju zanosły się kaemy nierównym ujadaniem.

– Chodźcie ze mną – rzekł Świętowiec. Prowizoryczny schron mieścił się w piwnicy sąsiedniego domu. Major szedł pierwszy, nie oglądając się, i ruchem ręki wskazał Olewiczowi miejsce na ławce. Podporucznik siadł niezdarnie, zdjął furazerkę i wytarł czoło rękawem.

– Więc? – zapytał major.

– Gdy zostałem aresztowany w Czeremnikach... – zaczął Olewicz.

Świętowiec przerwał.

– Mam bardzo niewiele czasu – powiedział – to jest front. Gadajcie tak, żeby było jasno i krótko. Słowa były szorstkie, ale głos majora wydał się Olewiczowi ciepły i zachęcający. Opowiadał. Urywanymi zdaniami, żeby wyznać wszystko i jak najprędzej: tylko fakty, na nic poza nimi nie było czasu. Przesłuchiwanie, ucieczka, Międzyrzec, Biała Podlaska, RKU, Boslitz...

– Więc byłeś wówczas w Boslitz? – zapytał major.

– Byłem.

– Widziałeś?

Olewicz zawahał się: jak wszystko, to wszystko. Należy powiedzieć. Nie mógł. – Czy co widziałem, obywatelu majorze?

Świętowiec machnął ręką: – Zabijali toporami saperskimi.

Podporucznik pochylił głowę, minął nastrój, w którym szedł do batalionu, teraz mu było znowu wszystko jedno i czuł się tak, jakby ukrywał nadal swoje prawdziwe nazwisko.

Nigdy się z tego nie wykaraskam, pomyślał.

– Więc, gdy przyszedłeś do dywizji, zrozumiałeś, że nie ma co siedzieć w cudzej skórze?

– Tak jest, obywatelu majorze. – Chciałem jeszcze dodać: robiłem to nie ze strachu przed ryzykiem, bo przecież ryzykuję od wielu miesięcy. Po prostu wiedziałem już, że inaczej nie można: tamto przestało być ważne.

– Tamto przestało być ważne – powtórzył major, jakby czytając w jego myślach – I

czego oczekujesz ode mnie? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze Olewicz. – Przyszedłem, bo nie mogłem nie przyjść. – Wzruszył ramionami. – Widocznie nie ma dla mnie miejsca, a nie chcę być błędnym rycerzem. Zmieniłem nazwisko, żeby pójść na front. Teraz już nic nie mogę zmienić. Obywatel major uczyni ze mną, co zechce.

– Jednym słowem postanowiłeś zwalić Świętowcowi kłopot na głowę? Późno doszedłeś do tego wniosku.

Olewicz spojrzał uważnie na Świętowca.

– Panie majorze, można to również tak nazwać. Zrozumiałem – dodał ciszej – że inaczej nie można. Muszę otrzymać wyrok; nie wiem, na jakiej podstawie, ale wyrok musi zapaść. Jakikolwiek.

– Bzdury – powiedział Świętowiec i słuchał przez chwilę trzeszczenia kaemów, które były teraz bliższe. – Bzdury – powtórzył. – W Czeremnikach miałem czas, dzisiaj nie mam czasu ani na psychologię, ani na politykę. Sami rozumiecie, że nie ja będę o was decydował. Powiem swoje zdanie – złagodził. – I nie teraz, bo teraz, gdyby przyszło nawet stu Olewiczów, nikt się nimi nie zajmie. Potem złożę meldunek dowódcy pułku.

– Ale tymczasem, tymczasem – powiedział Olewicz – pan major może mnie posłać tam.

Świętowiec zamyślił się. Brać na siebie odpowiedzialność? Zadał sobie to pytanie i jednocześnie ogarnęła go złość. Poczul się śmieszny, idiotycznie śmieszny.

– Oczywiście, że cię pošlę – powiedział ze złością. – A ty może myślisz, że każę ci siedzieć w schronie i dam żołnierza do pilnowania? Pójdziesz, przyjacielu – dodał – na przedni skraj, tam ci wywietrzeje wszystko z głowy.

– Tak jest, obywatelu majorze.

– Obejmiesz pluton u Kolskiego, jeśli Kolski się zgodzi. A później: może cię zamkną, może cię ułaskawią i pogładzą po głowie, już nie wiem. Powiem prosto: kryć cię nie będę, a swoje dodam, jeśli spiszesz się dobrze. Teraz potrzebni mi są dowódcy plutonów, a jak skończy się ta kasza, przekażę cię, gdzie trzeba.

– Tak jest – powiedział po raz drugi Olewicz.

Świętowcowi zrobiło się nagle żal tego chłopca; osądził, że potraktował go zbyt ostro. Trzeba by coś dodać, coś miękkiego. Ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wstał z ławki i połączył się z Kolskim. Czekał dość długo, dopiero po chwili usłyszał w słuchawce głos porucznika.

– Kolski – powiedział – przesyłam ci dowódcę plutonu.

- Dziękuję. Też dobre, ale wolałbym wsparcie ogniowe.
- Wsparcia nie dam. A oficer nazywa się Olewicz.
- Powtórzył: – Olewicz.
- Ten sam?
- Tak, ten sam. I nielegalnie. Rozumiesz. Posyłam ci go nielegalnie.

Chwila milczenia.

– A mnie teraz wszystko jedno – usłyszał w słuchawce. – Ludzie są mi potrzebni „do zarezu”. Nie nie pamiętam. Odmeldowuję.

Świętowiec trzymał chwilę słuchawkę w rękę, uśmiechnął się i położył ją na widelkach.

- No – rzekł – wal do swojej kompanii. A śniadanie jadłeś? – zapytał miękko.
- Nie jadłem, obywatelu majorze.
- No to idź, Hencel ci powie, gdzie jest Kolski.

## 7

Chwila przerwy. Jest to dosłownie chwila przerwy, gdy dowódca batalionu wydaje się, że wszystko zostało wykonane i nic więcej nie można zrobić. Należy czekać rezultatów, potem znowu od początku... i czekać rezultatów, a lepiej wówczas nie myśleć, nie pamiętać, nie rozwałkować podjętych decyzji i nie zadawać pytań w rodzaju: „Od czego zależy wynik?” Nowicjusze, ludzie bez rutyny, oficerowie przysłani ze sztabów do jednostek liniowych nie rozumieją prawd prostych, dla nich wojna jest ciągle grą na mapie, wszystko się motywuje, ma swój ład i sens. Potem rezygnują, są zniechęceni lub zaczynają wiedzieć; podczas walki podejmują decyzje, o wyniku walki mówią potem.

Major Świętowiec nie jest nowicjuszem, a jednak... Postępowałem, myśli, zgodnie z regulaminem i wbrew regulaminowi. Batalion odparł pięć ataków, na zdrowy rozsądek musiały pozostać z niego wióry, Niemcy powinni być dawno w Bretwelde. A przecież siedzi, wkopał się w ziemię i trwa, bez artyleryjskiego wsparcia, bez solidnych umocnień, pod ciągłym ogniem nieprzyjaciela... Na mapie, w kalkulacji dawno by mnie nie było, a jestem... Z kompanii Reklewicza dwa plutony wyrzucili już z okopów, przyparli do zabudowań, piekło, kasza, koniec świata, a jednak kompania kontratakowała, wróciła na swoje miejsce...

Dlaczego tak się stało? Że wsparłem ich ogniem moździerzy i rusznic? Bzdura: to tyle

teraz znaczy, co dziecinny straszak...

Dlaczego załamało się natarcie niemieckie? Ludzie walili do czołgów i nie schodzili z miejsc, zginęła obsługa cekaemu, zginęła obsługa czterdziestkiątki... Na zdrowy rozsądek byliśmy bezbronni. Ale tamci nie przeszli. Upór? Twardość? Doświadczenie? Może szczególnie stan psychiczny, powstający po wielogodzinnej walce, kiedy już nie można myśleć, czuć, rozumieć, a pozostaje tylko: ani milimetra w tył. Nie wolno odejść, wolno zginąć. Pocisk nieprzyjaciela rozerwał się obok działka 45-milimetrowego. Celowniczy zabity, podbiega szef baterii i prowadzi ogień, prowadzi do końca. Jak się nazywał szef baterii? Oczywiście nie pamiętam, nie pamiętam nawet twarzy. Albo plutonowy Stępień, który poderwał pluton do kontrataku. Zdaje się, że był bardzo wysoki i zaciągał nieco z wileńska. Zerwał się z ziemi i wrzasnął: „Za mną!”... potem jeszcze coś absolutnie nieregulaminowego. Przeszyło go na wylot. A żołnierze poszli. Mordowano ich ogniem kaemów, rozstrzeliwano pociskami czołgowymi, a oni szli... Zastępca Reklewicza na lewym skrzydle podbiegł do czołgu z granatem w rękę... Pocisk ferdynanda urwał mu głowę. Tego pamiętam: był podobny do Olewicza. Taka sama dziecinna buzia: ile tu dzieci, do diabła!

Czy Weklar wziął ich pod uwagę. Czy wkalkulował w swoje obliczenia? Chyba nie... Generał, który tak kalkuluje, jest nieuczciwy. Nie wolno tak kalkulować. Dlaczego? Jaka jest przeciętna wytrzymałość batalionu piechoty? A jednak powinienem Weklarowi powiedzieć: „Generale, trzeba zachować dywizję, chociaż zachowywanie dywizji nie należy do obowiązku generałów”.

A jeśli tamci uderzą po raz szósty? Myślę: tamci, myślę: nieprzyjaciel, inaczej niż w czasie okupacji, niż choćby podczas akcji w mieście. Jakbyśmy, oni i my, byli wplątani w ten sam nonsens. Nieprawda: oni są wplątani w nonsens, my nie.

Porucznik Kolski melduje, że stracił łączność z prawym sąsiadem. Po kilkunastu minutach już wiadomo: batalion Tyszki nie wytrzymał. Świętowiec wyobraża to sobie dokładnie: pofałdowana łąka na południowy zachód od Bretwelde, zygzak obrony łamie się i pęka, niemieccy grenadierzy są już w polskich okopach. Przed nimi Bretwelde, na północnych wzgórzach stoi milcząca artyleria pułkowa. Major odczuwa niemal fizycznie wyrwę na prawym skrzydle, ogarnia go strach. Jeśli tamci posuną się dalej, mogą wyjść na tyły batalionu... A wtedy... Nic nie wiadomo...

Co się stało z pułkiem Oski? Był dalej na zachód w kierunku Boslitz. Ktoś musi przecież załatać wyrwę, a on, Świętowiec, nie ma na to siły. Boli go ta samotność i

bezradność.

Telefonista wywołuje sztab pułku. Od paru minut monotonicznie powtarza kryptonim.

– Nie ma łączności ze sztabem pułku – melduje. – Sztab pułku zmienił chyba stanowisko.

– Poruczniku Hencel – woła Świętowiec – za wszelką cenę nawiązać łączność! – Tak się, oczywiście, mówi, ale co może zrobić starszy adiutant batalionu?

Znowu melduje Kolski: „Siedemset metrów od moich linii niemieckie transportery. Zniszczyłem jeden ogniem działka 45. Nieprzyjaciel zajął folwark Redlitz na moim prawym skrzydle. Osłaniam się od zachodu”. Folwark Redlitz! Świętowiec pamięta: mówił o nim Krycki. „Uważaj na folwark Redlitz!”. Tak, uważam, właśnie się nim zajmuję, oznaczyłem go na mapie i co mogę uczynić jeszcze?

Milczy radiostacja, ponieważ wysiadły akumulatory.

Przed godziną, gdy jeszcze działała, jakimś cudem radiotelegrafista nawiązał łączność ze sztabem dywizji. Pułku nie mógł schwytać. Ale w dywizji ich nie słyszano. Do Świętowca dochodził tylko głos szefa sztabu, grubego pułkownika. „Krycki, dołóż sytuację” – wołał pułkownik. I znowu po chwili: „Krycki, dokładaj sytuację”. Widocznie oni także poszukiwali łączności z Kryckim.

A jaka jest sytuacja? Co zamierzają w dywizji i pułku? Zostawili batalion na pożarcie czy jak? Reklewicz melduje, że na północy nie ma już kompanii fizylierów.

Jestem więc wysepką, myśli Świętowiec, wysepką przed Bretwelde. Gnębi go poczucie samotności. To moja obsesja, stwierdza, jestem stary partyzant, nie przywykłem do wojska; w partyzantce działało się zwykle na własną rękę, oczywiście planowało się akcje, ale w toku akcji nie oczekiwało się już na decyzje; konieczność i zdrowy rozsądek – tym człowiek się kierował. A teraz, gdy tracisz łączność, jesteś zagubiony. Zostajesz z ostatnim słowem przełożonego dotyczącym sytuacji, której już nie ma.

Ze stanowiska Kolskiego widać pogiętą obronę kompanii, łąkę zrytą pociskami i w głębi zajęty przez wroga folwark Redlitz. Niedawno folwarku bronił batalion Tyszki, teraz niemieccy grenadierzy siedzą w rozbitych budynkach, za murkiem okalającym zabudowania.

Świętowiec przez lornetkę bada uważnie przedpole. Punkt obserwacyjny Kolskiego mieści się w ruinach spalonej willi, na samym skraju Bretwelde; resztki ścian dają niezłe schronienie, a widoczność stąd znakomita. Kolski umiał, jak zwykle, wybrać punkt obserwacyjny, należy mu się pochwała, ale pochwały nie mają teraz sensu.

Świętowiec, ciągle z lornetką przy oczach, nie patrzy już, zyskuje tylko czas, aby dokonać raz jeszcze przeglądu sytuacji. Przed godziną uzyskano jednak połączenie z pułkiem;

to zasługa Hencla. Nawiązał łączność drogą okreśną przez obserwatora artyleryjskiego. Świątowiec zameldował: „Wróg atakuje od strony południowej i zachodniej. Grozi odcięcie, jeśli

Niemcy wedrą się do Bretwelde przez wyrwę między nami i Oską. Brak amunicji, duże straty własne. Proponuję wycofanie na północ od Bretwelde”. Odpowiedź: „Zabraniam. Utrzymać zajmowane pozycje .

Było to przed godziną. Teraz wiadomo już, że Niemcy wdzierają się w wyrwę. Sztabu pułku nie ma w Bretwelde i nie ma połączenia z nim żadną drogą. Czy istnieją szanse utrzymania się do nocy? myśli Świątowiec.

Powtarza:

– Czy istnieją szanse utrzymania się do nocy?

– Nie ma szans – stwierdza Hencel. Wysoki, szczupły, poprawia nieustannie okulary na nosie. Przed wojną był nauczycielem matematyki. Głos ma suchy, mówi krótkimi zdaniami, a najchętniej odpowiada „tak” lub „nie”. – Jeśli nie odejdziemy na północne wzgórze – dodaje – zostaniemy odcięci. – Zabrzmiało to jak wyrok.

Świątowiec milczy. Przypomniał sobie generała Weklara i dyskusję, której nie zdążył podjąć. „Twardość, upór” – powtarzał Weklar. „Kończy się wojna, myślimy o ludziach” – nacierał Świątowiec. Nic Weklarowi nie powiedział, nie zdążył. Teraz nie miał wątpliwości: suchy Hencel ma oczywiście rację. Batalion powinien bez paniki oderwać się od nieprzyjaciela i wycofać się na wzgórze. Byłaby to decyzja zgodna ze zdrowym rozsądkiem: nie można długo siedzieć na wyspie. Ale Świątowiec wie, że nie podejmie takiej decyzji.

– Mam rozkaz utrzymania pozycji – oświadczył – będę ją utrzymywał.

Poczuł na sobie wzrok Hencla, nieco ironiczne spojrzenie przymrużonych oczu. Tak właśnie ja patrzyłem na Weklara, pomyślał.

– Ten rozkaz nas już nie obowiązuje – nacierał Hencel. – Pułk odszedł, nie ma batalionu Tyszki, utrzymać Bretwelde w tej sytuacji, bez wsparcia, nie jesteśmy w stanie. Tak się wojowało we wrześniu.

We wrześniu? Nie traktujmy tego jak złośliwość. Nie wiem, jaki sens ma dla sztabu pułku utrzymywanie południowego skraju, nie mogę wiedzieć, myśli Świątowiec. Muszę wykonywać rozkaz i kropka. A Hencel ma rację.

– Przecież to oczywiste – ciągnie porucznik głosem nauczyciela wyjaśniającego łatwe zadanie upartemu uczniowi. – Pułk nie ma już z nami łączności i nie może nakazać odwrotu. Będzie się koncentrował na północ od Bretwelde, dam głowę, że tam ściągają już ludzie Tyszki. – Przerywa, patrzy znowu na Świątowca i zdejmuje okulary. – Ja rozumiem,

obywatelu majorze, że rozkaz trzeba wykonywać. Tym razem jednak chodzi także o zachowanie batalionu. Przecież nie przeznaczyli nas tu na mięso! – Porucznik Hencel po raz pierwszy podniósł głos.

Kolski, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, podszedł do Świątowca. Mówił głosem ostrym, nieco chrapliwym. – Jeśli mamy utrzymać się do nocy – stwierdził – musimy odbić Redlitz. W przeciwnym wypadku wykurzą nas stąd bez trudu.

– Odbić Redlitz? – roześmiał się sucho Hencel. – Jaką ty chcesz prowadzić wojnę, Kolski? Nie utrzymasz się w Redlitz nawet pół godziny. To szaleństwo.

– Utrzymam Redlitz – odparł Kolski. – Nie wiem, jaką wojnę prowadzę, i nic mnie to nie obchodzi. Wykonuję rozkaz.

Hencela opuścił jednak profesorski spokój. – Panowie! – krzyknął. – Dla złamania oporu potrzebna jest siła ogniowa. Przed chwilą mówiliśmy o wycofaniu, a wy teraz zaczynacie o kontrataku. Czym chcecie walczyć? Bagnetami?

– Nie przesadzajmy. Tamci też nie są z żelaza. Mamy utrzymać pozycje i dlatego musimy mieć Redlitz. Koniec. – Kolski zapalił papierosa i mocno zaciągnął się dymem.

– Ale jakim kosztem? – słodziutko zapytał sztywny Hencel. – Ilu tam położysz?

– Nie wiem.

Hencel ma tym razem też rację, myśli Świątowiec. Nie uprawiamy nierozumnego bohaterstwa. Ale musimy się utrzymać, ponieważ mamy taki rozkaz. Ludzie od świtu toczą walkę, nocą spali zaledwie parę godzin we wnękach strzeleckich. Czy są jeszcze zdolni do kontrataku? Są zdolni.

Gdy zaczął mówić, zdawało mu się, że to nie on podejmuje decyzję, że to nie jego, Świątowca, słowa, ale że po prostu powtarza słowa Weklara, spychając z siebie odpowiedzialność. Jakby generał stał za nim i podpowiadał.

Pchał więc kompanię na Redlitz wbrew samemu sobie, wbrew, jak sądził zdrowemu rozsądkowi, pchał, ponieważ nie mógł postąpić inaczej. Czuł spojrzenie Hencela, zimne i nieco drwiące, nie patrzył na porucznika, nie prowadził z nim dyskusji, wszystko odbywało się już poza dyskusją, w innym wymiarze.

– Więc nacierać na Redlitz dwoma plutonami... Wsparcie... Wyznacz Furana... i niech pójdzie Olewicz. Słyszysz? Niech koniecznie tam idzie. Niemcy też będą zaskoczeni – dodał ciszej. – Nie spodziewają się, to twoja szansa. Nie wiedzą, z kim mają do czynienia. Pchają się tędy na północ, ale nic nie wiedzą...

– Żadnej szansy... – zaczął Hencel.

– Nie pytałem was, poruczniku – uciął Świątowiec. I znowu zwrócił się do Kolskiego.

– Daj mi też jednego sprytnego chłopca, pójdzie poszukać sztabu pułku.

– Wyznaczę Kutrynę – odpowiedział dowódca kompanii.

## 8

Więc będą nacierali na Redlitz. Od świtu tkwią na tej łące, są oteźiali i ogłuchli, widzą już tylko szarość, żadnych kolorów – tylko szarość, szare sylwetki niemieckich grenadierów, czołgi i transportery, długie lufy rusznic, wychylające się nagle ze stanowisk. Zaszły im gardła, mięśnie bolą, wargi są spękane i twarde jak grudki ziemi. Z trudem odróżniają zarysy drzew od zarysów budynków, widzą właściwie tylko kształty przedmiotów, nie nazywając ich i nie starając się nazywać. Co chwila badają zapas granatów i amunicji, ponieważ na nic już nie liczą, tylko na siebie. O nic też nie pytają, nic nie chcą wiedzieć, patrzą na łąkę, na której stoi wrak czołgu; bardzo blisko dotarł do nich ten czołg, spłonął potem, widzieli, jak wybuchął, i celnym strzałem zabili człowieka, któremu udało się wyskoczyć.

Czekają. Są czujni, napięci, gdyby kazano im zamknąć oczy, natychmiast straciliby świadomość, ale nie zamkną oczu, widzą wszystko, są doświadczeni, niebezpieczni dla wroga, gotowi do zabijania...

– Uwaga wzdłuż tyraliery!...

– Słuchaj, Furan – szeptem Kolski matowym, suchym głosem – to cholerna robota, ale inaczej nie można. Zaskoczenie: jedyna szansa. Żebyś był w Redlitz, zanim cię zmiotą z ziemi. Pomogę, czym zdołam... Masz coś, żeby wypić, no to pij... i bywaj, chłopie.

Odezwały się batalionowe moździerze, osiemdziesiątkidwójki, dobre tylko na piechotę... Tuż przed polską linią rozrywają się niemieckie pociski, z Redlitz gra kaem. Trzeba zniszczyć ten kaem. Ci dwaj chłopcy z obsługi moździerza już nie wrócą, ale kaem zamilknie, zobaczą słup dymu, cały folwark jest spowity dymem jak tarczą.

– No, Furan, podnoś pluton, podnoś, do diabła! Szarą przestrzeń pomiędzy nimi a Redlitz widać teraz jak na dłoni. Budynki Redlitz, a na prawo samotne drzewo. Olewicz patrzy właśnie na drzewo, zupełnie nieważne i nikomu tutaj niepotrzebne; dostrzega, że jest zielone. Naprawdę: jest zielone. Więc nareszcie front, myśli, jesteś, chłopcze, tu, gdzie chciałeś być, w „twoim” batalionie, a przed tobą „odwieczny wróg”. Dlaczego się nie podnosisz? Dlaczego nie porywasz za sobą plutonu, przecież sam chciałeś? Nie stać cię na to?

– Uwaga wzdłuż tyraliery!...



Nie podniesie, myśli Kolski, nie podniesie. Sam pójdę, do diabła!

Ale Furan podniósł. Pojawił się nagle nad ziemią, zgrabna sylwetka dobrze ściągnięta pasem. Jest z gołą głową, w ręku trzyma pistolet.

– Za mną!

– Za mną!

– Kurwa ich mać! – krzyczy młody Grał zrywając się. Biegną. To oni biegną, ci sami, którzy przed minutą przywarli do ziemi, ale nie ma w nich nic, co istniało wówczas. Tamci widzą zapewne skaczące po trawie figurki, zielone istoty prące uparcie naprzód. Nie figurki – automaty pochłaniające przestrzeń. Terkoczą oszalałe kaemy, dziurawią ludzkie mięso, przebijają mięśnie i łamią kości. Wszyscy zobaczyli, jak padał Furan, przecięty na pół zniknął z pola widzenia i został natychmiast zapomniany. Tylko Maczuga zdążył pomyśleć: Furan zginął!

Komendę obejmuje Olewicz i z każdą sekundą są bliżej, coraz bliżej. Strzelają w biegu, a teraz przypominają sobie o granatach. Obok Maczugi padł ktoś na ziemię i ryczy: „Jezu!”

– Jezu! – przekrzykuje szczekanie broni. Czy dojdą? Czy nie, zatrzymają ich grenadierzy ukryci za murem folwarku? Czy nie wytepią ich serie kaemów i wybuchy granatów? Dojdą.

Folwark Redlitz nie jest na końcu świata, ale blisko, właściwie tuż, tuż, pod nosem. Gdy cisnęli granaty, zobaczyli sylwetki Niemców odskakujących od muru. Olewicz pierwszy przeskoczył kamienne ogrodzenie. Dym snuł się wzdłuż zabudowań, na ziemi leżał jęczący człowiek.

– Uwaga, chłopcy, jesteśmy w Redlitz, teraz trzeba tu jeszcze pozostać.

Robią to, co naprawdę ważne. Strzelają, zapalili niemiecki czołg, dostrzegli karabin maszynowy w zagajniku i udało im się go zniszczyć. Przeciagnęli łąką działko 45-milimetrowe. Są to rzeczy autentyczne i nietrudno pojąć, że mają niewątpliwy sens. Ich rezultat jest widoczny i również autentyczny: zabijani Niemcy. Wszystko poza tym nie ma sensu. Zostało wydumane poza folwarkiem Redlitz, jest niepotrzebne i śmieszne. Natomiast bardzo dotkliwie daje się odczuć brak tytoniu; Olewicz nie ma już co palić. Zostało ich w Redlitz zaledwie kilkunastu. Mają dwie rusznice, parę panzerfaustów, przenieśli, dosłownie: przenieśli działko 45-milimetrowe. Ale działko się już nie liczy, bo zostało tylko sześć pocisków. Nie przejmują się, Kolski powiedział: „utrzymać Redlitz”, więc utrzymają. Nikt z nich, tych, co zostali przy życiu, nie zastanawia się: po co? Takie pytania nie mają sensu.

Olewicz leży przy rusznicy, za niewysokim murkiem i gdy jest chwila przerwy, ma

sposobność oglądania twarzy ludzi, którymi teraz dowodzi... Dowódca plutonu powinien znać swoich żołnierzy, ale on nie pamięta ich z Czeremnik. Są to zresztą twarze nie rzucające się w oczy, rzadko spotykane w wielkich miastach: przeważnie chłopskie. Nazwiska również chłopskie: Maczuga, Gral, Kaleta, Grzęda. Olewicz myśli o nich z czułością, wydają mu się bardzo bliscy. Już dawno nie myślał tak o ludziach, chyba w partyzantce. Niedawno dwa ferdynandy podpełzły z lewej strony, a za nimi pojawili się grenadierzy. Zginął wówczas młody Gral, rozerwało go niedaleko Olewicza. Podporucznik zobaczył twarz Grala tuż przed śmiercią, dosłownie na ułamek sekundy. Trudno będzie zapomnieć.

Najgorszy jest ostrzał z moździerzy. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, ale wybuchy min przygważdżają do ziemi, trudno złapać oddech, czekasz, wiesz, że się stanie, na chwilę zamykasz oczy i już – przedtem – jesteś w ciemności.

Zapewne trzeba tu będzie zginąć, stwierdza Olewicz. Myśli o tym obojętnie, już bez lęku. Tylko jedno: powinienem był przedtem napisać do matki, mogłem już napisać do matki.

Słyszysz głos Maczugi: – Zapali pan porucznik? Znowu: porucznik. Nikt z kompanii nie okazał zdziwienia, przyjęli go, jakby powrócił z urlopu. Czy naprawdę tak mało ich obchodzi, co działo się przez ten czas z Olewiczem.

Kłopot z głowy, myśli, nie będą mnie musieli nigdzie odstawiać, dowódcę plutonu na jeden dzień.

Bierze skrętek, pochyla się nisko ku ziemi, zapala. Twarz Maczugi jest bardzo zmęczona, ale spokojna. Pamięta go: to przecież dawna kompanijna ofierma, bohater gazetek ściennych i wieczny temat dowcipów.

Milczą. Leżą obok siebie i milczą. Właściwie nie mają sobie nic do powiedzenia. Odparli parę ataków niemieckich i nie wiedzą, czy tamci pójdą znów do szturm. Może pójdą... Redlitz ich zbratało, są sobie bardzo bliscy i bardzo od siebie odlegli. Może kiedyś odnajdą coś, co ich połączy poza tym folwarkiem.

– Zjadłoby się coś, Maczuga – szepcze wreszcie Olewicz.

– Zjadłoby się, panie poruczniku. Było żarcie w tym domu, który spłonął, ale nie zdążyliśmy załapać. Cholernie tłuką.

## 9

*Notatnik porucznika Janosza, adiutanta dowódcy dywizji*

Kasza. Takiego dnia jeszcze nie przeżyłem. W głowie mam zamęt, kropnąłem sobie trochę koniaku, nie pomogło. Wygląda na to, że wszystkie pomysły mojego generała można natychmiast oddać do archiwum. Ciekawe zresztą, czy po wojnie stworzą takie archiwum: nie wykonanych decyzji i pogruchootanych koncepcji. Jeśli stworzą, proszę nie zapominać o mnie, mam prawa autorskie.

Wiadomo, że jestem taktycznie nie doksztalony i wojny nie rozumiem, ale żeby tak nie rozumieć, o co chodzi Weklarowi, to już chyba koniec świata. Ja widzę, że jesteśmy okrążeni, on – nie. Ja widzę, że ani nie manewrujemy, ani nie nacieramy, tylko będziemy się przebijać, a on – nie.

Przed dwoma godzinami mieliśmy na karku czołgi niemieckie. Sześćset metrów od sztabu dywizji. Ale o tym za chwilę, teraz zbliża się wieczór, ładujemy znowu gospodarstwo na ciężarówkę i jedziemy dalej, czyli w tył. Kierunek – Bretwelde, jakaś wiościzna na północ od tego miasta. A przecież generał wie, że tam kasza, cały garnek z kaszą. Rano Krycki meldował o nocnych walkach w Bretwelde. Generał powiedział: „Utrzymać za wszelką cenę”. Potem do Kryckiego pojechał Zonik, wrócił niedawno, zaraz zanotuję ich rozmowę, mam jeszcze parę minut czasu. Ciężarówka są już przygotowane, piękny wieczór, gorąco, nikt nie chodzi w płaszczu. Ja oczywiście nie mam żadnych rzeczy i o nic się nie martwię, a ten diabeł Roszko ciągnie takie bagaże, że aż ludziom na wierzch oczy wyłażą. Gdzie on to zgromadził? Już ja mu powiem parę słów prawdy.

Jestem więc nie doksztalony, ale chciałbym rozumieć. Bicie Niemców ma, że tak powiem, sens samo przez się, ale powinno się także odbywać w sensowny sposób. A u nas tak: w nocy pracował sztab nad rozkazem o natarciu na południe. A potem...

Jeszcze zanim zaczęło się w Bretwelde, przyjechał do Weklara Osko. Był ostatnim dowódcą pułku, który zameldował się w sztabie dywizji. Oczywiście podsłuchiwałem troszeczkę, bo byłem bardzo ciekawy. Warto zresztą... Osko jest Rosjaninem, człowiekiem doświadczonym i mądrym. Ale tym razem milczał. Dosłownie: nic nie powiedział. Gadał tylko Weklar, a Osko kiwał głową. Zgadzał się widocznie we wszystkim z generałem albo z przyzwyczajenia mówił „tak jest”. A Weklar, jak Weklar. „Nie dopuście do paniki, żadnych bajd o okrążeniu, popatrzcie sobie na mapę... Prawda, nie mamy sąsiadów, Niemcy uderzyli od południa i armia znalazła się w trudnej sytuacji. Jak możemy jej pomóc? Nacierając na skrzydła przeciwnika”.

„Nie damy się wymanewrować. Niewiele wiemy o Niemcu, ale on też niewiele wie o nas. Gra jest po ciemku: rozumiecie?” I jego ulubiony frazes: „Na wojnie bywasz w takiej sytuacji, w jakiej uważasz, że jesteś”. Dodał: „Szczególnie na ziemi niemieckiej”.

A w nocy w Bretwelde ugotowała się kasza i na parę godzin straciliśmy połączenie z Kryckim. Generał był wściekły.

„Uprowadzili mnie – mówił. – Nacierają na moje skrzydło”. Odwołał natarcie. „Poczekamy” – oświadczył.

Mądrość generalska różni się, jak pisałem, od mądrości zwykłych ludzi. Ja sędzę nadal, że na wojnie jest się po prostu w takiej sytuacji, w jakiej się jest, ale podziwiam upór mojego generała. Powiedziałbym, że zмага się nie tylko z wrogiem. Zмага się także z rzeczywistością.

Jest spokojny, chodzi nieco przygarbiony. Zwykle już podczas śniadania pił, dzisiaj nie tknął wódki, jest cholernie trzeźwy i czujny jakiś. Diabelnie trzeba się pilnować, żeby nie powiedzieć czegoś, co mogłoby go dotknąć. Dostrzega natychmiast. Mówi cicho, tak cicho chwilami, że trzeba słuchać z napięciem, aby zrozumieć o co mu idzie. Odnoszę wrażenie, że to dobry system. Ludzie słuchają go jeszcze uważniej niż zazwyczaj.

A sytuacja pogarsza się z każdą minutą. Po południu pękło na zachód od Bretwelde: między tym cholernym miasteczkiem a Boslitz. Nie wiem dokładnie, co się stało z pułkiem Oski, ale wiem, że nie wytrzymał. Zresztą nietrudno było zgadnąć: zobaczyłem na własne oczy.

Nasza chałupa, czyli tak pięknie zwane „stanowisko dowodzenia”, mieściła się na południowym skraju długiej wioski, jak by nie było, dobre parę kilometrów w tyle. I nagle znaleźliśmy się na pierwszej linii: podobno na wojnie tak bywa, chociaż nie powinno...

Zobaczyłem naszą piechotę, w tych cholernych niebieskawych mundurach, wyskoczyłem z domu, a łoskot artylerii już potężniał. Po chwili usłyszałem serie broni maszynowej... Krewa, myślę.

A żołnierze rwą do tyłu: najpierw pojedynczo, przebiegnie jeden, drugi, jak to się mówi: krótkimi skokami, kryjąc się przy płocie, potem większa paczka, wreszcie cała tyraliera...

Stoję ogłupiały i nie wiem, co robić.

Generał wyszedł z domu, ubrany tym razem na medal i w rogatywce; w rękę trzymał pokaźny patyk, którym obijał cholewy butów. Za nim gruby szef sztabu, Roszko, jeszcze paru oficerów. Weklar, nie patrząc na nich, wszedł na środek drogi i maszeruje prosto w kierunku przedniego skraju. Odwrócił się tylko do szefa sztabu i powiada: – Wszystkich, kto tam został, do pododdziałów. – Nic więcej. Widzę go jeszcze na tej drodze: idzie samotny, nieco przygarbiony, wystawiony na pokaz i trzeba przyznać: świetny w każdym calu. Aż podziw mnie ogarnął: gdzie on się tych generalskich manier wyuczył? Dziwne rzeczy dzieją się

jednak z ludźmi! Wystarczyło, że jeden z drugim zerknął na Weklara, natychmiast zawracał i biegł z powrotem, tam, skąd coraz głośniejsz jazgotały kaemy. Generał nie zatrzymywał nikogo, z nikim nie rozmawiał. Szedł po prostu środkiem drogi w kierunku przedniego skraju. Oto mechanika generalskiego oddziaływania na wojnie. Ale czy zawsze skuteczna?

Raz tylko przystanął. Napatoczył się podporucznik biegnący z tamtej strony. Miał nie więcej chyba niż lat osiemnaście, bardzo dziecinna buzia, taki facecik prosto ze szkoły oficerskiej. Generał go zatrzymał. Chłopak drżał, nie umiał ukryć drżenia rąk, powiekami mrugał bez przerwy; nie wiem, może cierpiał na nerwowy tik. I nie wiem, czy bardziej bał się generała, czy tego, co było tam, skąd uciekał.

– Oddać pod sąd – rozkazał sucho Weklar i poszedł dalej.

Osko i reszta odwodu dywizji zatrzymali jednak Niemców, ale nie zatkali przełamania. Szwaby pchają się na północny zachód (tylko Bretwelde Krycki ciągle trzyma), z Adamczukiem nie ma łączności i to chyba najbardziej gnębi mojego generała. Na Adamczuka liczył, miał go niejako w zanadru. Bez przerwy dusi więc łączność, ale nic się nie udaje.

Żał mi Weklara. Pamiętam, jaki był przed paroma dniami. „Mam już Drezno” – mówił. Między nami a Dreznem istotnie nie było żadnych poważniejszych sił niemieckich, tak się przynajmniej wydawało. Szef sztabu potakiwał: „Drezno – mrucał – wielkie miasto. Wzmianka w rozkazie Naczelnego Dowództwa: wojska generała Weklara zajęły...”

Nie będzie o nas w rozkazie, Weklar nie wkroczy do Drezna. Nie wspomina już nawet nazwy tego miasta. Ale nieustannie powtarza: „Nacieramy”, „Uderzamy na skrzydła przebijającego się na północ zgrupowania niemieckiego”.

A sytuacja pod Boslitz? A ciężkie walki obronne Kryckiego pod Bretwelde? Wydaje mi się niekiedy, że generał nie chce przyjmować do wiadomości meldunków. „Nie możemy mieć tutaj do czynienia z poważnymi siłami niemieckimi – powiedział szefowi sztabu. – Trzeba twardo trzymać zajmowane pozycje”.

Słyszę to ciągle, każda rozmowa z Weklarem tak wygląda. Szef sztabu jest chyba innego zdania, ale milczy... Generał wziął na siebie całkowitą odpowiedzialność za ocenę sytuacji. Z nikim jej nie dzieli, z nikim jej nie chce dzielić. A ze sztabem armii nadal, mimo wszelkich wysiłków, nie ma połączenia. Dowódca batalionu od Oski, którego kompanie puściły Niemców między Boslitz a Bretwelde, pójdzie pod sąd (dowódca batalionu od Kryckiego, Tyszko, nie pójdzie, bo zginął). Takie jest polecenie generała. Znam tego oficera;

stary partyzant, bardzo dzielny facet. Pijak. Był podobno zupełnie pijany po walce. Nie chcę o nim pamiętać. W żadnej kronice nie wspomnę jego nazwiska. A jeśli ja będę pisał kronikę dywizji – wspomnę.

Nie będę pisał...

Zanotowałem już, że major Zonik wrócił od Kryckiego. Natychmiast zameldował się u generała. Widziałem go, gdy wchodził i zapalał papierosa. Ręka Zonika trzymającego zapalną drżała. Miał mocno zaciśnięte wargi. Tak na mnie spojrzał, że stanąłem na baczność.

– Ludzie nie rozumieli sytuacji, obywatelu generale. Nie oszczędzali amunicji, teraz krzyczą o amunicję, a my im nic nie możemy dać. Wołają o wsparcie artyleryjskie. Odparli pięć ataków przeważających sił nieprzyjaciela. Pytają: „Co się stało, gdzieście nas wepchnęli?” A przecież nigdy nasi żołnierze nie walczyli tak dobrze, nikt się w ogóle nie spodziewał, że mogą tak walczyć. Chciałem wam zameldować, generale, że nasze pozycje pod Bretwelde są, moim zdaniem, nie do utrzymania.

Weklar długo milczał. Widzę go jeszcze przez uchylone drzwi. Twardy, kanciasty mężczyzna o nieprzyjemnym wzroku.

– Nie histeryzuj, Zonik – powiedział wreszcie.

– Nie histeryzuję. Jakie są zamiary obywatela generała?

– Nie zmieniam tak łatwo zamiarów – mówił powoli. – Przynajmniej mój zastępca powinien o tym wiedzieć. Zostałem zaatakowany... Wcześniej niż przypuszczałem. Nieprzyjaciel uderzył na Bretwelde i nie osiągnął sukcesu. Spróbował między Bretwelde i Boslitz. Cóż to oznacza? Nieprzyjaciel rozszerza włamanie, działa po omacku. A ja? A ja? – Powtórzył chyba po to, aby wiadomo było, że mówi o całej dywizji. – Nie zmieniłem zamiaru. Będę nadal poszukiwał skrzydła nacierających ugrupowań niemieckich. Będę nadal aktywnie działał i odciążał armię.

– Z którą nie mamy łączności!

– Będziemy mieli.

– Ale przecież chodzi o to, żeby zachować dywizję – powiedział Zonik – żeby się wykaraskać z trudnego położenia.

– Zachować dywizję! – powtórzył Weklar. – Ależ oczywiście, dywizję można zachować. Istnieje znakomity sposób oszczędzania ludzi.

– Jaki, obywatelu generale?

– Wycofać się z bitwy – podniósł głos. – Tak, zaniechać natarcia, wycofać się z bitwy...

– Ależ...

– Przecież do tego mnie namawiacie! Przecież po to skamlacie o okrążeniu... Zwycięstwo? Każde dziecko wam powie, że Niemcy są pobici, że to kwestia dni, a może godzin. Więc o co chodzi? – Po raz pierwszy słyszałem Weklara krzyczącego na Zonika.

– Więc o co właściwie chodzi, dlaczego pcham dywizję na południe, dlaczego nacieram? Wy myślicie: generalskie widzimi się, kaprys! Że nie umiem się wykaraskać, że włożę z głupoty albo uporu diabłu w gębę, że przerost ambicji, że uwierzyłem, iż ode mnie zależy zwycięstwo. A może lubię bohaterstwo dla bohaterstwa... No, tak myślicie, Zonik?

Major nie wytrzymał natarcia. – Tak nie myślałem, obywatelu generale – powiedział.

– Nie macie odwagi przyznać? Pal was zresztą diabli! Powtarzacie w kółko: „odcięto nas, musimy się wydostać”. Ja wam powiem, Zonik, coś, czego wy nie wiecie: nic łatwiejszego. Rozumiesz: nic łatwiejszego, a ja nie podejmę takiej decyzji. We wrześniu każdy bój przedłużał opór, który musiał skończyć się klęską. A jednak opór był potrzebny. A teraz każde nasze aktywne działanie skraca wojnę. O jeden dzień, o jedną godzinę przybliża pokój. Obecność naszej dywizji w Niemczech to nie manifestacja: że niby my, Polacy, też tu jesteśmy... Nie od nas zależy zwycięstwo, ale dzięki nam zwycięstwo będzie szybciej! Dlatego pcham się na Bretwelde, dlatego kazałem nacierać.

– Ale jakim kosztem, obywatelu generale? – odważył się Zonik.

– Wytarty argument. Ja też wiem, że każdy z tych, którzy giną pod Bretwelde, będzie jutro na wagę złota, dla kraju... No to co? A czy wiecie, Zonik ile kosztuje przedłużenie wojny? I życia ludzkiego, i nie tylko życia ludzkiego. I wszystko, co się w tym mieści... Nie my będziemy obliczać koszty. – Urwał. – Potem zważą historycy – dodał cicho. – I niech to sobie jakoś rozplątują. A ja wiem swoje...

Sporą chwilę trwało milczenie.

– No cóż, obywatelu generale – rzekł wreszcie Zonik – ja rozumiem, o co wam chodzi, teraz rozumiem. Ale widzę przecież to, co bliskie. Historyczne racje? Nie myślę o historycznych racjach. Konkrety: odcięto nas, trzeba się wydostać z worka; to przecież zwykła rzecz na wojnie. I jak uzupełnimy brak amunicji? Widziałem Bretwelde, tam się przecież nie można utrzymać.

Generał nie odpowiedział, może nawet nie słuchał. Odwrócił się od Zonika, podszedł do mapy i długo nad nią ślęczał, trzymając w ręku zgaszony papieros. Potem zawołał szefa sztabu. – Po nawiązaniu łączności z Kryckim – rzekł – rozkażcie mu zająć obronę na północ od Bretwelde. Oddać miasto.

Więc jednak...

Jak długo to może trwać? Sądzę, że niedługo, bo ostatecznie Niemcy są pobici. Wygrzebiemy się z kaszy i rozpoczniemy znowu nasz zwycięski marsz.

## 10

Kutryna biegł przez puste Bretwelde. Po lewej stronie i z tyłu dudniła artyleria. Miasteczko zanurzone w przezroczystym i łagodnym powietrzu, oświetlone ukośnymi promieniami zachodzącego słońca, było puste i martwe. Przed domami leżały trupy, na chodnikach sterty gratów, otwarte walizy, nawet książki i papiery – ślady pospiesznej ewakuacji. Wiatr roznosił pierze. Kutryna wiedział, że cywilów nie ma w Bretwelde, ale ciągle mu się zdawało, że zza każdego rogu, z każdego okna śledzą go czyjeś oczy. Świętowiec powiedział: „Musicie znaleźć sztab pułku i wrócić”.

„Tak jest, obywatelu majorze”.

Ale gdzie szukać tego cholernego sztabu?

Skreślił w ulicę idącą na zachód, biegł wzdłuż ocalałych domów, posiekanych tylko odłamkami i seriami broni maszynowej. Bretwelde było zapewne niegdyś pięknym miasteczkiem: ogrody i zieleń, wszędzie soczysta kwietniowa zieleń, przecież niedługo będzie maj!

„Maj to najpiękniejszy miesiąc w roku – mawiała matka. – Idź, Bolek, do ogrodu, narwij bzu, zanim zeschnie”.

Rozejrzał się po ulicy jakby w poszukiwaniu krzaków: bez nie zakwitł jeszcze.

Mijał wille otoczone ogrodami i wreszcie stanął u wylotu krętej ulicy, na prawo zobaczył wzgórze porośnięte w głębi lasem, przed sobą łąki ciągnące się na zachód; szeroki szmat ostrej, świeżej zieleni. Na łące wybuchały co chwila artyleryjskie pociski, czarne pasy dymu snuły się po trawie. Po cholere ostrzeliwują łąkę, myślał. Zagadał niedaleko karabin maszynowy, Kutryna wsłuchał się w jego klekotanie i określał kierunek, gdy zobaczył człowieka, który, zdawało się, wyskoczył z łąki. Nosił odznaki plutonowego. Podeszedł bliżej i Kutryna ujrzał twarz ociekającą potem, otwarte usta z trudem łapiące oddech.

– Nie wiesz, gdzie sztab Kryckiego? – zapytał Bolek.

Plutonowy stał przez chwilę w milczeniu, wciągając powietrze do płuc. – Stamtąd lece – odpowiedział wreszcie. – Widzisz tę wiochę?

Istotnie, za łąką, jakby nieco poniżej zielonej płaszczyzny, majaczyło parę



czerwonych dachówek.

– Widzę.

– Nazywa się Klein Bretwelde. Tam siedzą. Ale nie wiadomo, czy zastaniesz ich jeszcze, bo Niemcy cholernie naciskają.

– Idę od Świętowca – powiedział Bolek.

– A ja do Świętowca. Od pułkownika.

Popatrzyli na siebie.

Może nie iść, pomyślał Kutryna, plutonowy niesie rozkaz. Nie, muszę iść, zdecydował.

– Cholerna łąka – rzekł plutonowy. – Przed godziną w ogóle nie można było marzyć o przejściu. Potem fizylierzy trochę ich załatwili, ale kto się połapie w tym bajzlu. Będziesz próbował?

– Będę – odpowiedział Kutryna.

Będę, pomyślał, a chyba mógłbym pomaszerować z powrotem, bo Świętowiec dostanie to, o co mu chodziło.

Machnął plutonowemu ręką i pobiegł. Łąka jest długa, bardzo długa i płaska, a człowiek na niej samotny i doskonale widoczny. Potężna kula słońca wchodzi w oczy, trzeba zasłaniać je dłonią; budynki wioski rosną powoli, tylko na nie, na czerwone dachówki warto patrzeć, a nie na lewo, skąd biją Niemcy. Jak daleko mogą być? Wdzierają się w głąb przez tę nieszczęsną dziurę po batalionie Tyszki. Kutryna czuje, że pot coraz gęściej osiada mu na czole. Nie zwalniam tempa, myślę, bacznie obserwuję, wyzyskuję nierówności terenu i przerwy w ogniu. Czekaj, nie denerwuj się, a potem szybko naprzód. Przejdę – cholera mnie nie weźmie, przejdę, byłoby diabelnie niesprawiedliwie, gdyby właśnie teraz...

Miny „ryczącej krowy” rozerwały się obok niego. Stąpił przez chwilę w ciemnościach, nic nie widząc i nic nie czując, a potem łąka przestała istnieć...

Gdy się ocknął, istniała znowu. Gdzieniedzie, ale już rzadziej, wybuchały fontanny dymu, daleko, na zachodzie, widział dachy wioski Klein Bretwelde, szare, już mocno zarysowane na tle blednącego nieba. Nie odczuwał bólu; dopiero gdy próbował się poruszyć, krzyknął. Następnym razem był już ostrożniejszy. Prawą dłoń oparł o ziemię i uniósł nieco plecy. Niewiele pomogło; wnętrzościami targnął natychmiast ostry ból. Ale zobaczył... Opadł na trawę i przytknął oczy. Zobaczył swoją lewą rękę. – To nieprawda – wyszeptał. – To nieprawda.

Nie miał lewej dłoni, widział bezkształtną miazgę, z której jak z odkręconego kranu waliła krew. Długo leżał z przytkniętymi oczyma, coraz głębiej opadając w ciemność.

Wreszcie ocknął się znowu i z trudem operując prawą ręką wydobyl bandaż, a potem usiłował obwiązać sobie kikut, okręcał miazgę białą materia, natychmiast przesiąkającą czerwienią.

Coraz gorzej widział: ostra jasność, jakby spojrział prosto w słońce, potem ciemność, a potem znowu pasy ciemne i złote. Dostrzegał już tylko skrawek łąki przed sobą, jedyne dostępne dlań jeszcze miejsce na ziemi.

Przypomniał sobie o meldunku. „Dostarczyć za wszelką cenę” – powiedział Świątowiec. Jaka to cena? Czy bardzo wysoka? Przecież mu wyjaśniano – jaka. I pamiętał. Wyraźnie zobaczył skrawek gazety, czarne literki: „Ranny bohater resztkami sił dowlókl się do sztabu i przyniósł meldunek”. Ranny bohater! Więc ma nareszcie taką szansę, zawsze o niej marzył: i w partyzantce, i później, gdy nie chcieli go posłać do szkoły oficerskiej. Szukając swojej szansy meldował o Olewiczu, ale nie zmieniło się nic, Olewicz jest znowu w batalionie, a on niesie meldunek. Tym razem jednak szansa jest zupełnie pewna; dotrze do sztabu pułku bez lewej dłoni. Czy to nie wystarczy? Po co mu lewa dłoń zresztą, doskonale się bez niej obejdzie, sprawi sobie po prostu rękawiczkę. O takich czynach, jak ten, którego dokona, opowiadają dowódcy dywizji, a może nawet dowódcy armii. Oto Kutryna stoi, salutuje, a na lewej dłoni ma rękawiczkę. Pokażna, czarna rękawiczka z dobrej skóry, od razu widać, że jest się kimś, gdy dłoń w takiej rękawiczce – kto wie, że nie ma dłoni – zakładasz za oficerską koalicyjkę.

No więc naprzód! Zdobywać będziemy łąkę krok za krokiem, jak podczas trudnego natarcia. Co za cholerny ból! Każdy ruch boli. Trzeba powoli, najpierw prawa ręka, przecież zupełnie zdrowa, należy oprzeć się na niej mocno, jeszcze bardziej wysunąć ją do przodu i dopiero teraz przeciągnąć całe ciało. Nie, nic z tego. No, raz jeszcze, udałoby się na pewno, gdyby mieć odrobinę wody, dosłownie parę kropel na koniec języka. Ale wody nie ma. Więc prawą rękę mocno wbić w ziemię, powtórzyć wysiłek, Nareszcie. Ale czy posuwam się w dobrym kierunku? pomyślał i ogarnął go lęk taki, jakiego nigdy dotąd nie zaznał. Bał się, że wraca do Bretwelde.

Trzeba sprawdzić kierunek, ale jak to zrobić? Kutryna dźwignął się znowu, przesunął o kilkanaście centymetrów i zastygł. Nie, kierunek jest na pewno dobry, trzeba mieć tylko upór. I twardość. Ale już nie spróbował. Ogromną czarną rękawiczkę położono mu na oczach. Była ciężka. Nie ze skóry. Z żelaza. Została.

Boże, pomyślała, jaka ja jestem śmieszna. Osiągnęła już pewność: była po prostu śmieszna. Rannych łądowano na ciężarówce, a Ewa spoglądała na nich obojętnie, była już zbyt zmęczona, aby cokolwiek z siebie wykrzesać, nawet żeby dostrzec. Przychodzili od rana. Najpierw z przedniego skraju ściągali ich sanitariusze, potem odsyłano ich bez opieki na tyły; kto mógł, włókł się jakoś przez puste Bretwelde.

A w kompanii sanitarnej pracowano bez przerwy, bez jedzenia, potem już bez mycia rąk. Stali się automatami wykonującymi na ludziach funkcje naprawcze czy po prostu podtrzymujące działanie organizmu: jeszcze na godzinę, na dwie...

Ewa widziała najpierw twarze, rozróżniała je, potem przestała dostrzegać, były jednakowe, ot, szare gliniane maski zastygłe w jakimś skurczu albo też dobrze wypalone, pociągnięte czarną polewą. Zadziwiła ją tylko różnorodność ran: można by na podstawie materiału z takiego dnia sporządzić wcale niezłą statystykę. Pierwszeństwo uzyskiwały zapewne brzuch, a na drugim miejscu – nogi i biodra. Nieco rzadziej: głowa, zresztą trzeba by jeszcze zbadać poległych. Rany głowy i klatki piersiowej bywają najczęściej śmiertelne.

Czy doktor Piotrowski myślał też o statystyce? Pracował jak wszyscy, jak automat. Pochylony nad stołem, ciął skórę cienkim lancetem, Ewa widziała ciągle jego dużą, owłosioną rękę z zawiniętym wysoko rękawem białej koszuli.

Gdzieś po południu doktor rzucił lancet na ziemię, wyprostował się i oświadczył: „Nie mogę, kurwa ich mać”.

Potem pracował dalej.

Pod wieczór wzmożła się działalność artylerii; z Bretwelde leżącego kilkaset metrów na południe dobiegała gwałtowna pukanina broni maszynowej. Słuchała obojętnie, zresztą odgłosy walki dochodziły do niej tylko wówczas, gdy przerywała pracę.

Nocą nie spała, bo w miasteczku toczył się bój. Myślała o Kolskim, ale myślała jakoś inaczej niż dawniej. Świdrował ją po prostu zwyczajny, kobiecy niepokój o chłopca tkwiącego w środku piekła. Chciałaby pójść, przeskoczyć kilkaset metrów łąki i zostać obok niego. W dzień zobojętniała. Zbyt dużo ich było – młodych chłopców przychodzących stamtąd, a wszyscy wydawali się jednakowi. Wiedziała, skąd wracają, umiała wyobrazić sobie, co przeżyli. Wypluwało ich prawdziwe, przez nikogo nie wymyślone piekło. Ewa, patrząc na nich, doznawała czegoś w rodzaju wstydu; ona nie tkwiła w okopach. Zrozumiała, że poza okopami nic ważnego nie dzieje się na świecie.

Młody chłopak z odznakami kaprała dostał w brzuch. Gdy doktor Piotrowski pochylał się nad nim, a ona ściągała mundur, krzychał: „Dokąd nas zaprowadzili... dokąd nas...”

Podporucznik od rusznic miał zamknięte oczy. Odłamek urwał mu nogę. Szeptął, Ewa

słyszała jego szept: „W prawo, w prawo, uwaga”. I potem znowu... Ciągłe byli jeszcze tam, wracali tam natychmiast, gdy tracili przytomność, w ich wzroku, słuchu, dotyku pozostało tamto, a widzenie i odczuwanie skończyło się w momencie, gdy padli na trawę. Przeżywali, przeżywali bez przerwy ostatnią chwilę swojego boju.

Nadchodził wieczór. Ostatnie promienie słońca ślizgały się po dachach Bretwelde. Ewa usiadła na kamiennych stopniach domu, aby chwilę odpocząć. Ładowali rannych na ciężarówkę, już załadowali, Ewa przymykała oczy, ale gdy tylko zdążyły opaść powieki, pochłaniała ją ciemność.

Trzeba by powieki podeprzeć patyczkami, pomyślała. Serie broni maszynowej były znowu bliższe i wyraźniejsze; zachodziło słońce, a ludzie umierali ciągle na skraju Bretwelde. Tylko ona siedziała spokojnie na kamiennych schodkach, a nawet wolno jej było, jeśliby tylko zechciała, zająć się własnymi kłopotami i wbrew wszystkiemu uznać ich ważność.

Znowu seria broni maszynowej, bliski, bardzo bliski wybuch miny. Usłyszała swój głos: „Proszę przyjąć moje oświadczenie, chcę zostać ukarana”. I znowu: „Chcę zostać ukarana, wyrównać rachunek”. Stała na borowickiej ulicy, dał silny wiatr, wszystko kołysało się wokoło: dachy, drzewa, powietrze. Ewa szła w kierunku rynku, a przed sobą widziała sylwetkę Edwarda, goniła go. Dziwna to była jednak pogoń: niby zbliżała się do Kolskiego, a dzieliła ich ciągle ta sama odległość. Jego plecy, nieco zgarbione plecy... Nie wiedziała już, czy to Borowica, czy Bretwelde, stuką broń maszynowa, biegła tyraliera, była to jednak tyraliera złożona wyłącznie z rannych. Kanni trzymali broń w obandażowanych dłoniach, mieli poprzesztelane brzuchy, pokrwawione mundury, ale szli, szli... Otworzyła oczy. Ciężarówka stała na dziedzińcu, gotowe do odjazdu.

Boże, pomyślała, jaka ja jestem śmieszna.

– Wymyśliłam sobie – powiedziała głośno. – Wymyśliłam i uwierzyłam.

Znowu zamknęła oczy i zobaczyła twarz Edwarda. Widziała ją dokładnie, jak wówczas, w jej pokoju w Borowicy, czoło nieco wypukłe, nos, trochę zadarty. Ewa położyła dłoń na jego oczach, twarz oddaliła się nieco, była już mniejsza, jakby rozmazana, ale ona nie odczuła bólu. Nic – tylko obojętność.

Miał przecież czas. On miał czas i on decydował. Mógł ją wziąć ze sobą, aby była taka, jak ci chłopcy z okopów pod miastem. Mógł ją zwyczajnie wziąć, zanim zaczęło się pod Bretwelde.

Proste: dziewczynę się bierze albo nie, zostaje się na łące pod Bretwelde albo żyje, aby iść dalej. Teraz Ewa wie już, że tak jest, nie chce być ani śmieszna, ani czysta.

Mogłeś mnie wziąć, myślisz, mogłeś choćby dowiedzieć się o mnie. Nie chciałeś... to

wszystko. Ja też już nie pragnę. I potem: nie wtrąciłeś mnie do piekła. Zrobiłam to sama, jestem już w piekle.

Podszedł doktor Piotrowski, był gotowy do drogi.

– Jazda, Ewo!

Wstała słaniając się nieco na nogach.

– Jedziemy do Horen – powiedział kapitan. – Tam koncentruje się dywizyjny sanbat.

Nie wiem, dlaczego sztab każe nam jechać. Wolałbym zostać z pułkiem.

– Ano jedziemy...

– A tutaj – dodał – zrobią chyba porządek. Skończyła się ta kasza.

– Chyba – powiedziała obojętnie. A gdy zobaczyła twarz doktora na wysokości swojej twarzy, szepnęła jeszcze: – Przepraszam, doktorze.

– Za co? – Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Za tamten wieczór – powiedziała powoli. – Zachowałam się jak podłotek. Teraz żałuję.

Myślała o tym przez cały czas, gdy jechali ciężarówką. Po co spędziła wówczas samotnie noc, płacząc i nie śpiąc?

## 12

Meldunek Kolskiego brzmiał optymistycznie: „Nacisk Niemców osłabł. Nie wyrzucą nas z Redlitz”. Ale utrzymywanie folwarku stało się już niepotrzebne. Rozkaz, który dostarczył plutonowy ze sztabu pułku, był zupełnie wyraźny: oderwać się od nieprzyjaciela. Wycofać się z Bretwelde. Zająć obronę na północ od miasta.

Przed trzema godzinami zdobyliśmy Redlitz, myśli Świętowiec. Ile nas kosztowały te trzy godziny? Trzy godziny – powtarza. Są rozciągliwe jak guma, major jest pewien, że czuje ich ciężar; najchętniej przestałby wiedzieć, odszedłby sam, w jakimkolwiek kierunku, byle dalej od batalionu, dalej od ludzi, którym już nic nie ma do powiedzenia.

Zapalił papierosa i spojrzał na porucznika Hencla; twarzy adiutanta batalionu nie widział. Hencel milczał, nie komentował rozkazu; żadnego gestu ani słowa więcej niż trzeba. Świętowiec był mu wdzięczny. Spojrzał na zegarek.

– Za godzinę będzie zupełnie ciemno – powiedział Hencel.

– Dobrze – odparł major. – Za godzinę. A potem zapytał, jakby nie pamiętał: – Ile

ataków odparto?

– Sześć, obywatelu majorze – rzekł obojętnie Hencel. – Nie licząc Redlitz.

– A straty własne? – Machnął ręką. Któż by tam dokładnie wiedział, jakie są straty własne...

Dotrzeć do wzgórz na północ od Bretwelde, zanim Niemcy się spostrzegą! Ludzie opuszczają okopy w milczeniu, czujki patrzą w noc, bacznie obserwując pozycje nieprzyjacielskie. Słyszą tylko szcęk broni i kaszel. Ludzie dopiero teraz poznali ciężar karabinów maszynowych i rusznic; taszczą je na własnych barkach, uginają się pod nimi, każdy krok jest bolesny, mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Jak daleko mamy do wzgórz?

Noc jest czarna, puste miasteczko przypomina cmentarz, cmentarz rozkopany i zbezczeszczony. Idą wąskimi ulicami, wchodzą na rynek, znowu idą ulicami, sceneria jest ciągle jednakowa, jakby chodzili tam i z powrotem wzdłuż tej samej dekoracji. W Bretwelde nikt nie grzebał trupów, nikt nie pozamykał drzwi wiodących do domów; asa chwilę miasteczko będzie ziemią niczyją, pustynią, raz jeszcze przestrzeliwaną. Potem zobaczą je Niemcy.

– Po cholere było nam Redlitz? – słyszy Kolski szept z boku.

– Nie gadaj – odpowiada ktoś. – Skąd możesz wiedzieć?

Kolski oblicza: zostało czterdziestu ludzi z kompanii czy nie? Chyba nie... A może jednak... I coś pewno jeszcze dołączy.

– Piekielne miasteczko – słyszy znowu stłumiony głos. – Czy ty rozumiesz coś z tego bajzlu?

Nie, Kolski też nie rozumie. Z tyłu wybucha pukanina, świetlne pociski przeszywają powietrze, na skraju Bretwelde rozrywa się z czerwonym błyskiem mina moździerzowa. Czyżby Niemcy już spostrzegli? Kolski ogląda się w tył, tam, za nimi, powinien być osłaniający pluton od Reklewicza. Nic nie widać: ciemno, zarys domów Bretwelde i tylko migotliwe trasy pocisków.

Jak daleko są wzgórza? Kolski nie orientuje się dokładnie, trudno obliczyć odległość, uliczka jest zresztą kręta, niepokojąco kręta. No, nareszcie. Droga wyskakuje prostą linią, a przed nimi na horyzoncie strzępi się jaśniejsze pasmo nieba.

Porucznik przyspiesza kroku, widzi obok siebie ciemną postać, przez chwilę nie poznaje, a gdy dostrzega okulary, już wie: Leksz. Miał szczęście. Podczas szturm na Redlitz pocisk artyleryjski wybuchł niedaleko niego. Chorążego tylko ogłuszyło i przysypało trochę ziemią. Przez chwilę idą w milczeniu. Wreszcie Leksz podchodzi jeszcze bliżej, nachyla się ku niemu i szepcze:

– Olewicz dostał pluton? Postawiłeś go na miejscu Furana?

Kolski przez chwilę nie rozumie, o co tamtemu chodzi.

– No tak – mówi – oczywiście. Przecież wiesz...

– Czy to w porządku? – szepcze Leksz oddychając szybko. – Przecież to anarchia...

Kolski próbuje wyłuskać twarz chorążego z ciemności. Ogłuszyło go, myśli, nie przyszedł jeszcze do siebie...

– Czyś ty zwariował? – mówi.

– Zastanów się. Co powiedzą żołnierze?...

– Nic nie powiedzą. A w sztabie mogą mnie w dupę pocałować. Później... po Redlitz, Bretwelde i tym, co jeszcze będzie, niech go powieszają... Nie, to bzdura!

– Jaka tam bzdura! – naciera Leksz. – Odpowiadasz za to, żeby Olewicz ci nie uciekł.

– Co? – Kolski znowu przyspiesza kroku, Leksz zostaje w tyle. Bretwelde kończy się tu nagle, mijają wille otoczone ogrodami i oto są już wzgórza, nad nimi widać niebo nieco jaśniejsze, długą smugę światła, postrzępioną i nierówną.

Na wzgórzach znajdują się nadal stanowiska milczącej artylerii pułkowej i przydzielonej dywizyjnej. Milczącej, bo milczącej, a jednak podnosi nieco na« duchu widok luf skierowanych na Bretwelde. W ciemności, na jednej linii z działami, żołnierze majora Świątowca kopią byle jakie wnęki strzeleckie. Kopią zamykając oczy. Łopatki lekko wchodzą w ziemię, ziemię odrzuca się na przedpiersie, też byle jak, nikt przecież nie wierzy, że tu zostaną. Ale zagrzebani w ziemię czują się jednak lepiej, zapadają szybko w sen, obejmując ich od razu ciemność, nie czują chłodu nocy i nie niepokoi ich jutrzejszy dzień. Tylko ubezpieczenia wyteżają wzrok w ciemność. Nad Bretwelde wyskakują rakiety, jedna, druga, potem niespokojnie, nerwowo warkocze kaem. Ci, którzy nie śpią, słuchają obojętnie tego odległego ujadania, zapalają ostrożnie papierosy. Ktoś podchodzi do stanowiska artyleryjskiego.

– Ale żeście się nawojowali!

– A ty wojowałeś i co z tego? – odcina się artylerzysta.

Kolski leży obok Leksa. Okręcił się płaszczem, pali. Jest zmęczony, ale sen nie przychodzi, nie myśli nawet o śnie. Patrzy w dół, na Bretwelde. Leksz też nie śpi. Zdjął okulary, z bliska widać jego wylupiaste oczy.

– Słuchaj – mówi nagle Kolski – ona u ciebie była?

Chorąży jest zdziwiony. Po rozmowie o Olewiczu porucznik udawał, że go nie dostrzega. A teraz...

– Przypomniałeś sobie? Wiesz przecież, że rozmawiałem z nią...

Kolski milczy, jakby nie słyszał odpowiedzi. Czy on też jest winien? Ciągłe go to dręczy: czy też jest winien? Chyba winnych nie ma, postępowali po prostu, jak musieli. Wszyscy. I Krycki, gdy nie pozwolił odejść od Bretwelde, i Świętowiec, gdy wykonywał rozkaz, i on, gdy wysyłał Furana do szturm na folwark Redlitz. Furana przecięło serią. Grał o jeden dzień przeżył ojca. Nikt temu nie zawinił, żołnierze są po to, by ginąć, jest tak, jak jest... A może jednak zawinił?

– A czego ona od ciebie chciała? – zwraca się znowu do Leksza. – Czy nie mógłbyś mi jednak powiedzieć teraz, o co jej chodziło? – Akcent na słowo: „Teraz”. – No, jak mówiła, jak wyglądała?

Leksz długo milczy; Kolski wie, że rozważa, czy powiedzieć. I co powiedzieć?

– Chciała – szepcze wreszcie – jak by ci tu wytłumaczyć, żeby wznowili śledztwo w tamtej sprawie. Chciała być ukarana czy odpokutować. Zresztą – macha ręką – nie wiem. Może tylko... – Urywa i patrzy na rakiętę opadającą znowu nad Bretwelde. – Wiesz przecież, jak ją potraktowałeś. Nie byłeś w porządku. – Oczekuje ostrej odpowiedzi, ale Kolski zaciąga się tylko dymem. – Ostatecznie jaka jest, taka jest, ale przyszła do wojska i należało wziąć to pod uwagę.

– Co za idiotyzm – wybucha nagle Kolski. – Chciała odpokutować! Co za dziecinada!

– Jak to idiotyzm? – oburza się teraz Leksz. – A ukrywanie dezertera już się nie liczy?

– Nic nie rozumiesz – mówi porucznik – i nic nie chcesz rozumieć. Ale nie gniewaj się. Ja też... Nie ma zresztą o czym gadać. Wina, kara, przeszłość? A dajcie mi święty spokój! – Gdy byłem małym chłopcem – opowiada – miałem przyjaciela, Adama. Bawiliśmy się w taką zabawę: on na przykład udawał policjanta, a ja bandytę. I odwrotnie. Strzelaliśmy do siebie z korkowców. Potem strzeliłem do niego z tetenki.

– Co ma wspólnego jedno z drugim?

– Nie wiem. Gdy odchodziliśmy z Redlitz, przyszło mi do głowy, że najważniejsze dla nas: nic nie wydumywać. Po co nam rozważać, o ile godzin wcześniej powinniśmy byli wycofać się na wzgórze? Może cofnęliśmy się w sam raz, może za późno, a może za wcześnie? Teraz jesteśmy na wzgórzach: koniec. Gadałeś o Olewiczu? Powiedz sam, co nas obchodzi teraz, co było z Olewiczem? Widzałeś, jak trzymał się w Redlitz? No powiedz, widziałeś?

– Widziałem, i co z tego? Nie poznaję cię, Kolski. Mówisz o zupełnie różnych sprawach. Jesteś po prostu zmęczony i rozgoryczony. Dobrze się trzymał? Weźmiemy pod uwagę... Dezercja jest dezercją, wina winą... Wszystko na swoim miejscu. Czy ty naprawdę myślisz, że pod Bretwelde świat się zmienił?



– Boże, jaki ty jesteś idiota, Leksz. Przepraszam cię... Świat się nie zmienił, ale inaczej wygląda. Czy tego nie dostrzegasz? – Umilkł. – Bo widzisz, zdecydowałem „nie”, jakbym wymyślił taką zabawę. A teraz jestem śmieszny... Po wszystkim, co się stało... po prostu śmieszny.

– Kolski – rzekł sucho Leksz – nie wariuj. Zachowujesz się jak szczeniak. Przypomnij sobie, co sam mówiłeś, i przypomnij sobie wreszcie, że groziła ci karna kompania. Tak było...

Porucznik nie odpowiedział; przymknął oczy, a po chwili odwrócił się od Leksza. Nie wyzna mu przecież najważniejszego, jeśli odważy się nawet wyznać samemu sobie: chciałby zobaczyć Ewę.

Po raz pierwszy od wielu dni doznał pragnienia tak ostrego, że nie umiał już z nim walczyć. A sądził, że nigdy nie wróci, że zdobył wyzwolenie, że to, co powiedział jej wtedy, to już było wszystko, co miał Ewie w ogóle do powiedzenia. Własne słowa, gdy je teraz powtórzył, wydały mu się żalosne i teatralne. Przebrałem się w ten kostium, włożyłem cudzą skórę, pomyślał, przebieraniec. Bolało. To słowo zabolalo bardziej niż przed dwoma miesiącami.

„Nie odchodź jeszcze” – prosiła Ewa, gdy całował ją na pożegnanie.

Miała łzy w oczach, na jego wargach pozostał gorzki smak. Zerwał potem zasłonę z okna i okazało się wówczas, że przestali być samotni, że patrzą na nich... Mógł wziąć Ewę przed dwoma dniami, mógł ją wziąć wczoraj, nie, dzisiaj już jej nie mógł zobaczyć... Podszedł Kaleta z manierką w ręku.

– Jeszcze nam trochę zostało, panie poruczniku. Niech pan się napije.

Kolski podziękował i pociągnął solidny łyk. Potem popatrzył na twarz Kajety. Była to dobroduszna chłopska twarz ze śladami zmęczenia, jak zwykle po ciężkiej robocie...

Nad Bretwelde pojawiła się znowu rakietą, a potem nastąpiła cisza. Umilkły kaemy, tylko skądś, z bardzo daleka, dobiegało łomotanie artylerii.

Kolski wsłuchiwał się w chrapanie żołnierzy, patrzył na ledwo zarysowane w ciemności kontury dział, a potem spojrział na fosforyzującą tarczę zegarka. Zbliżała się godzina dwunasta.

Zamknął oczy, żeby zobaczyć twarz Ewy z Borowicy.

– Przepraszam, Ewo – wyszeptał zasypiając.

# CZWARTEK DZIEŃ CZWARTY

## 1

Łomot. Potem jakby grad walił w ściany. Znowu łomot. Strugi deszczu spływały na Ewę, czuła krople ściekające po twarzy, krople uderzające o powieki, stała jak pod prysznicem, ale nie był to przyjemnie chłodzący prysznic, lecz zimny, nękający łoskot ulewy. Obudziła się i natychmiast zeskoczyła z posłania. Uderzył w oczy czerwony blask padający z okna, gdzieś blisko wybuchł granat, zaterkotał kaem i urwał, potem usłyszała pojedyncze strzały, tuż, tuż, jakby w sąsiednim pokoju.

Pchnęła drzwi i znalazła się na długim korytarzu. Przyjechali tu wieczorem, batalion sanitarny dywizji rozmieścił się w ponurym gmachu zbudowanym z czerwonej cegły, zapewne szkole. Rannych układano jak popadło w wielkiej sali na parterze, o oknach wąskich i wysokich, przypominającej nieco refektarz klasztorny.

Ewa nie pamiętała, jak wyglądało miasteczko, obudziła się dopiero na dziedzińcu, gdy ciężarówka stanęła przed gmachem.

Wrzask dochodził z parteru. Pobiegła korytarzem jasnym od czerwonego migotliwego światła; słyszała gardłowy niemiecki krzyk, potem ktoś zawołał: „Ognia!” Ognia!” – powtórzył, przez chwilę trwała cisza i znowu rozpętał się łoskot, dobiegł ją ludzki skowyt, już nie wrzask, ale skowyt, potem tuż, tuż, chyba na parterze, rozerwał się granat. Ewa dobiegała do szerokich schodów wiodących w dół, gdy obok otwartego okna zobaczyła doktora Piotrowskiego. Leżał na podłodze na wznak, lewą ręką ściskając jeszcze pepeszę. Pochyliła się nad nim, ustami niemal dotknęła jego twarzy, poszukała serca. Nie żył. Klęczała chwilę, nie mogąc odejść, nie wiedząc dokąd odejść, aż wreszcie podniosła pepeszę, bardzo powoli wstała i zaczęła schodzić w dół.

Szarzało już, szary blask darty czerwonymi pasmami wdzierał się przez okna. Ewa widziała przed sobą szeroko otwarte drzwi wielkiej sali. Ludzie leżeli na podłodze, niektórzy czołgali się korytarzem w kierunku schodów. Wyglądali jak bezkształtne białe plamy, jak ogromne owady poszukujące schronienia. Krzyczeli. Zobaczyła chłopca z obwiązaną głową, klęczącego nie opodal; nad głowami ludzi walił z karabinu w kierunku okien. Widziała, jak pociągnął za spust, raz, drugi, potem rzucił broń na podłogę i znieruchomiał. Czekał.

Niemcy wdzierali się już przez okna, pękły główne drzwi, ludzie jakby ucichli, otępieli, zastygli tam, dokąd zdążyli się doczołgać. Ewa, ciągle na schodach, ujrzała Niemców wskakujących z automatami w rękach, w szarym świetle wydawali się zupełnie czarni.

Nagle, jakby spod ziemi, wyrosła na środku sali kobieta w białym kitlu, brunetka w okularach, kapitan lekarz. Była bezbronna. Wszyscy tu byli bezbronni, ci, którzy czołgali się po podłodze, i ci, którzy zostali na ławach i łózkach.

Lekarka szła środkiem sali jak podczas obchodu, równym męskim krokiem, omijając uważnie ludzi leżących na ziemi. Podskoczył ku niej czarny człowiek, Ewa zobaczyła go wyraźnie na tle okna, i pchnął lekarkę bagnetem w szyję. Nie usłyszała nawet jęku, utonął w ogólnym wrzasku, który podniósł się znowu nad klębowiskiem ciał. Lekarka osunęła się na ziemię, a Ewa przykucnęła na schodach i starannie mierząc nacisnęła spust automatu. Czarny człowiek ukląkł obok lekarki, potem jego głowa stuknęła o podłogę, Ewa mocno ścisnęła automat, maleńki ruch palcem i znowu, któryś z nich zwałił się na ziemię.

Kule gwizdały nad nią, poszły w ścianę, posypał się tynk, jeszcze strzelała, a potem poczuła mocne uderzenie w piersi, drugie w brzuch, wypuściła z ręki broń, bardzo chciała ją utrzymać, ale dłoń rozwarła się sama, jakby ktoś odginał palce, i Ewa opadła na podłogę.

Nie, nic nie bolało, była zupełnie przytomna, tylko wszystko naokoło tonęło w lepkiej, obrzydliwej mgłę, z trudem wdzierającej się do płuc. Obok siebie czy nad sobą, jak na przekrzywionej płaszczyźnie, zobaczyła wysokie czarne buty, ale nie zajęczała, gdy kopniakiem zrzucano ją z paru stopni na dół. Słyszała strzały i krzyk, już jej jednak nie dotyczyły. Tak się umiera, pomyślała.

Nie czuła lęku, tylko ogromne zdziwienie, że tym razem umiera ona, Ewa, a nie ktoś inny. Zatrzaszczyła się o swoją twarz. Jak ja wyglądam? Stała przed lustrem, ale nie mogła nic dojrzeć, bo lustro było prostokątne, jasno oświetloną płaszczyzną. Wiedziała tylko, że ktoś stoi za nią i bacznie się jej przygląda. Chciała zobaczyć, sprawdzić: kto to jest? Nie mogła. Bardzo ją to męczyło, bo sądziła, że to ważne, może nawet najważniejsze. Tak, za nią stał ktoś, o kogo chodziło, ktoś, kto powinien ją widzieć. Ale nie pamiętała już ani imienia, ani nazwiska, ani twarzy.

## 2

Z łak schodziła powoli mgła. Dzień wstawał jasny, ciepły, niebo było bezchmurne.

Żołnierze rolowali płaszcze, zapalali papierosy.

Zabłyły w słońcu czerwone dachówki Bretwelde; pozycji niemieckich, odległych chyba o trzy kilometry, nie było jeszcze widać, panowała cisza.

O godzinie siódmej na punkcie obserwacyjnym majora Świętowca zjawił się kapitan Goldweld. Willys dobrnął polną drogą z północy i teraz stał w polu z włączonym motorem.

– No, znalazłem was jednak – powiedział cicho Goldweld. Twarz miał szarą, zmiętą, mundur brudny. Uścisnął dłoń Świętowca, potem wyjął z kieszeni fajkę i wsadził ją do ust. – Nie mam tytoniu – rzekł smutno. Przetarł palcami czerwone oczy.

– Przywieźliście rozkazy? – zapytał Świętowiec. Goldweld pokiwał głową. – Diabli mnie biorą – wybuchnął – tak niepotrzebnie zginął...

– Kto?

– Dowódca, Krycki. Poczekaście, major, zaraz opowiem. – Ssał fajkę grubymi wargami.

– Więc wczoraj po południu – zaczął – pułkownik przerzucił stanowisko dowodzenia do Klein Bretwelde. I po co? Sam chciał zostać w mieście, a ja mówiłem: walmy na północny wschód. Ale przyjął propozycję szefa sztabu. Gdy rozjechali batalion Tyszki i lewe skrzydło Oski, dwa transportery i ferdynandy przerwały się do Klein Bretwelde. Krycki zmobilizował, co tam miał, sklecił barykadę, poszli wszyscy oficerowie sztabu i sam dowódca pułku. Wiecie, Świętowiec, jak to bywa z ludźmi: starszy ocieżyła człowiek, niezbyt zdrowy, bierze automat. No, nerwy miał jak postronki, nawet nikt nie zauważył, kiedy go po raz pierwszy ranili. A taki był załamany, gdy rozjechali Tyszkę. Chciał was wycofać z Bretwelde, ale nie odważył się wziąć na siebie decyzji. Człowiek miota się, wie, co powinien, a nie może. Chciał mieć zgodę Weklara, a nie było połączenia z dywizją. Ja mu powiedziałem: „Pułkowniku, każcie Świętowcowi zająć to północne wzgórze, ja biorę na siebie odpowiedzialność, niech mnie potem powiesz”.

Skoczył na mnie. „Wy jesteście cywil, Goldweld, cywil, a nie wojskowy. Nic nie rozumiecie”. A potem poszedł z automatem.

No więc odparliśmy szturm, spaliliśmy jednego ferdynanda, a on w tym Klein Bretwelde zginął. Szef sztabu ranny, a mnie nic – powiedział ze zdziwieniem. – Nic. Chyba kule się nie imają. Może dlatego, że naprawdę jestem cywil. Macie papierosa, Świętowiec? Rozkruszę sobie do fajki.

Świętowiec wyciągnął z kieszeni papierosy, a potem rozłożył mapę. – No więc, gdzie teraz jesteście? Goldweld pokazał palcem.

– Wszystkiego jakie dwa i pół kilometra na północ. Wioska Brehmen. Sztab dywizji

też tam siedzi: na samym skraju. W ogóle – machnął ręką – płatanina, jakiej świat nie widział. Tabory, ambulanse, ludzie z rozbitych jednostek. Zbieramy, co zostało. Paszkow był w odwodzie dywizji, zginął wyciągając działko, czterdziestkępiątkę, które utknęło na przedpolu. Fizylierzy solidnie pogruchołani. Wasz batalion to właściwie w tej chwili jedyna jednostka w pełni zdolna do boju.

– Mój batalion? – powiedział ze zdziwieniem Świętowiec. – Kpicie chyba ze mnie?

– Nie, ani mi to w głowie. Sami zresztą wiecie... Milczeli chwilę.

– A wy, Goldweld, powiedzcie szczerze, co myślicie o sytuacji?

– Ja? – zapytał kapitan. – Ja jestem cywil i myślę tak bardziej ogólnie, a wam – spojrzał na Świętowca – całkiem włosy zbieleły. Co można sądzić o takiej sytuacji – zapytał – kiedy nasi dojdą do Berlina? No powiedzcie, co można sądzić? Dowódca dywizji – dodał – rozkazał ściągnąć was do Brehmen. Wszystko, co żyje. Mamy nacierać wzdłuż drogi, w kierunku wschodnim.

– Nacierać czy przebijać się – mruknął Świętowiec.

– Dowódca dywizji rozkazał: nacierać – powiedział poważnie Goldweld. – Nasz pułk będzie strażą przednią. – Posłał znowu fajkę. – Dajcie jeszcze jednego papierosa, rozkruszę...

### 3

Parterowe domki lub jednopiętrowe wille stoją po obu stronach brukowanej ulicy; czysto i schludnie, dużo zieleni – zwykła łużycka wioska. Każdy skrawek drogi, każde podwórze zapchane wojskiem. Oficerów wychodzących ze sztabu ogarnia lęk: co będzie, jeśli pojawi się lotnik? Wystarczy nieco wyobraźni: tabory, konie, furmanki, ambulanse, ciężarówki dywizyjne, stłoczone na niewielkiej przestrzeni, bez troski o maskowanie, oczekujące wymarszu, na środku drogi albo na podwórkach domów. Niebo jest czyste, widoczność znakomita, ale samolotów niemieckich na szczęście ani śladu.

Ci, którzy zgubili swoje formacje pod Boslitz lub Bretwede, wałęsają się od chałupy do chałupy i poszukują oficerów rozbitych jednostek. Wczoraj czołgi niemieckie wdarły się w ich pozycje, odskakiwali w tył, zostawiając na przedpolu rannych, liczyli amunicję, rzucili ostatni granat i poczuli się nagle bezbronni i samotni na otwartej płaszczyźnie. Dzisiaj czekają; wiedzą, że wezmą odwet, są niecierpliwi i pełni nienawiści; są też zmęczeni, głodni i spragnieni snu. Nie wierzą już, że zwycięstwo będzie łatwe, chociaż jest na pewno bliskie; z

lękiem patrzą na tabory i ambulanse, słuchają powtarzanych szeptem pogłosek. Chcą iść na przedni skraj. Czują węchem wyjadaczy frontowych, że tam bezpieczniej niż w tłoku furmanek, ale pamiętają wczorajszy dzień: żółte sylwetki czołgów, hełmy grenadierów i klekotanie własnego serca. Pójdą jednak; przeżyli pięć lat okupacji i wojny, długo czekali na te dni, które teraz nadeszły, i pojmują, że nic nie może ich pozbawić zwycięstwa.

W pobliżu sztabu pułku młody oficer w okularach zbiera już ludzi z rozbitego batalionu Tyszki. Wokół kompanii majora Świątowca gromadzą się żołnierze różnych formacji, chcą dołączyć do jednostek gotowych do boju.

Na skraju wsi, tam gdzie stoi dywizjon artylerii szturmowej, mieści się też sztab generała Weklara.

Major Świątowiec uważnie przygląda się Weklarowi; z tej twarzy, bardzo skupionej i czujnej, nic nie można wyczytać. Generał siedzi przy dużym, okrągłym stole i ściska w dłoni pustą szklanę. Nie spogląda na mapę, nie patrzy również na Świątowca. Gdy major zaczął składać meldunek, przerwał mu po paru zdaniach i potem nie dopuścił już do głosu. Jakby się obawiał, że Świątowiec powie coś, czego on, Weklar, słuchałby niechętnie. Mówi więc sam, a gdy milknie na chwilę i major zdąży zadać pytanie, Weklar nie odpowiada długo, jakby słowa oficera docierały do niego nie od razu.

Generał mówi:

– Obejmiecie dowództwo pułku, Krycki zginął, o tym już wiecie. Dywizja nadal naciera w kierunku południowo-wschodnim, wzdłuż drogi na wschód, o tej, popatrzcie na mapę, niżej, bardziej na prawo, macie Budziszyn. Wasz pułk stanowi straż przednią, za wami posuwa się główna kolumna, od zachodu i północy osłania Osko. Czy rozumiecie sytuację?

– ...

– Nie przerywajcie. Oczywiście, że sytuacja jest trudna. Wasze zadanie polega na tym, by jeszcze dzisiaj, zanim zapadnie zmrok, dotrzeć do miasteczka Pulwitz. Zaznaczcie sobie na mapie, powtarzam: Pulwitz. Musicie pojąć sens rozkazu. Co to znaczy: dotrzeć do Pulwitz? Że określam wam kierunek wyjścia z okrążenia? Nie, majorze Świątowiec, nie tylko. Wiem, co mówią niektórzy moi oficerowie i co myślą. Dlaczego stary nie odchodzi na północ? Odejść na północ, to znaczy wycofać się z bitwy, a ja z tej bitwy się nie wycofam. Nadal, po wszystkim, po Bretwelde i po Boslitz, chodzi nam o to, by zadać największe straty pchającym się na północ Niemcom, by zdeorganizować ich natarcie. W czterdziestym pierwszym myślałbym zapewne inaczej, a teraz jest inna sytuacja. Nie przerywajcie... Powinniście

rozumieć: decyzja marszu na Pulwitz jest w gruncie rzeczy tą samą decyzją co poprzednio. Po połączeniu z głównymi siłami armii stworzymy ciągły front. Być może nastąpi to już po dotarciu do Pulwitz. Prowadzimy bój manewrowy.

– ...

– Tak, macie rację, powinien to zrozumieć każdy żołnierz dywizji. Zlikwidujemy objawy rozprężenia, nie chcę o nich słyszeć.

– Brak amunicji? Osłabienie pododdziałów? Wiem o tym. Trzeba oszczędzać amunicji. Niemcy są bardziej wycieńczeni niż my, walczą ostatkiem sił, ich próba uderzenia na północ natrafiła na nasz zdecydowany opór.

– ...

– Nowe dywizje niemieckie? Nie mamy danych o nieprzyjacielu, możecie o tym nie przypominać. Ze zwiad źle pracuje? Trudno, ludzie nie zdobyli jeszcze doświadczenia, trzeba się z tym pogodzić. Niemcy też niewiele o nas wiedzą, też mogą myśleć, że są w kotle. Na wojnie tak bywa...

– ...

– Obiektywna sytuacja? Że oddaliśmy Bretwelde i mamy nieprzyjaciela na zachodzie, południu, wschodzie... Bzdura. Pod Bretwelde zatrzymaliśmy ich uderzenie, co nam umożliwia dzisiejszy manewr.

– ...

– Napijcie się, majorze, tak, rąbnijcie sobie. Mam poważne kłopoty, brak łączności z pułkiem Adamczuka, a nie mogę już czekać. Czekałem cały dzień. Adamczuk dostał marszrutę i musi wykonać rozkaz. W przeciwnym wypadku pójdzie pod sąd. Zawinił wczoraj batalion Tyszki i ten batalion od Oski, że puścili Niemców. Czy zastanawialiście się, dlaczego tak bywa: wyście wytrzymali, a oni nie. Twardość, Świętowiec, twardość i upór, na tym mi zależy. Żołnierza trzeba cenić, ale żołnierz musi również ginąć, pamiętajcie o tym. – Weklar spojrzął po raz pierwszy uważniej na majora. – Zastanówcie się – powtórzył. – Tak, dziękuję wam, to wszystko.

Świętowiec wyszedł. Nie podjął dyskusji z Weklarem, rozumiał zresztą, że byłaby to próba bezowocna. Zapomniał także zameldować generałowi o Olewiczu. Uznał, że sprawa jest marginesowa. Weklar i tak odłożyłby ją na później. Świętowiec weźmie teraz grzech na siebie, a jeśli wyjdą z kaszy, będzie się tłumaczył...

Wrócił do sztabu pułku, wezwał Kolskiego. Pokój, który zajmował, był bliźniaczko podobny do pokoju generała. Taki sam okrągły stół obok okna, na stole szklanki i mapa. Gdy porucznik wszedł, Świętowiec zaczął od razu mówić nie czekając, aż tamten złoży meldunek.

– Jesteś gotów do wymarszu? Dobrze. Obejmiesz batalion, wiesz już o śmierci Kryckiego? Tak... Spójrz na mapę; widzisz tę drogę, prowadzi na wschód, będziesz nią szedł aż do miasteczka Pulwitz. Zaznacz sobie.

– ...

– Nie przerywaj. Nic nie wiem o nieprzyjacielu, idziemy po omacku, możemy natrafić na poważniejszy opór.

– ...

– W Pulwitz są prawdopodobnie nasze oddziały. Jesteś strażą przednią pułku, przydzielam ci wzmocnienie: baterię stowudziestek i baterię siedemdziesiątekszóstek... Czy rozumiesz sytuację?

– ...

– Okrażenie? – Długa chwila milczenia. Świętowiec wstał z krzesła i podszedł do okna. Słońce było już dość wysoko, nad drogą wzbijały się tumany kurzu.

– Rozkaz jest wyraźny, poruczniku Kolski – powiedział. – Przebić się przez pierścień obrony niemieckiej do Pulwitz. Przebić się – powtórzył – i za wszelką cenę jeszcze dzisiaj dotrzeć do tego miasteczka.

– ...

– Tak, pogadajcie z ludźmi, wytłumaczcie im sytuację. Nie ma mowy o przerwaniu marszu albo cofaniu się. Nie ma dokąd się cofać. Potrzebny nam jest upór. Twardość i upór. Dziękuję, możecie iść!

– ...

– Aha, kto obejmie waszą kompanię? Poza Olewiczem nie macie już żadnego oficera?... Zapomniałem zameldować generałowi o Olewiczu. Nie sądzę zresztą, aby chciał teraz decydować. Leksz? Nie, Leksz nie nadaje się. Dobrze, niech Olewicz tymczasem obejmie kompanię. Biorę to znowu na siebie. Po przebiciu się złożymy o nim meldunek. Wy albo ja... Sądzę, że dadzą nas do drugiego rzutu przynajmniej na parę dni i znajdziemy trochę czasu, aby zająć się sprawą tego chłopca. Wszystko, Kolski.

Major spojrzał na porucznika, który stał teraz w postawie zasadniczej, ale nie odchodził.

– Macie jeszcze jakieś pytania?

– Nie, obywatelu majorze – powiedział Kolski – a właściwie pytanie raczej prywatne. Czy obywatel major nie wie, co się stało z naszą kompanią sanitarną?

– Kompania sanitarna? Ach... tak. Chcielibyście ją zobaczyć? Nie, nie meldowali... Poczekajcie, nie odchodźcie, może jednak dowiemy się czegoś w tym bajzlu.



– Nieważne... szkoda czasu.

– Ważne, nieważne, dowiemy się...

Major wyszedł z pokoju, wrócił dopiero po paru minutach.

– Znalazłem Goldwelda – oświadczył. – Wie, że ranni zostali odstawieni do Horen.

Diabli wiedzą, dlaczego właśnie tam.

– Do Horen? – powtórzył Kolski.

– Tak, ale nie niepokóście się, ma ich ewakuować pułk Adamczuka. Doktor Piotrowski i kapral Ewa Kraczyńska pojechali razem z eskortą.

– Dziękuję, obywatelu majorze.

– Poczekajcie jeszcze, Kolski. – Świętowiec rozlał z butelki resztę koniaku do szklanek. – Poczekajcie jeszcze – powtórzył. – Więc zmieniliście zdanie?

Porucznik milczał.

– Nie nalegam oczywiście, ale chciałbym wiedzieć.

– Tak, zmieniłem zdanie.

## 4

Z podwórza willi stojącej na samym skraju Brehmen widać drogę pnącą się nieco ku górze. Po lewej 1 stronie jest las, a po prawej łąki i pola spływające aż do Bretwelde. Więc to ta droga! Prowadzi do Pulwitz, ale nie wiadomo, co nas czeka, zanim tam dotrzemy. Nie myślmymy zresztą o tym. Czy będziemy iść wzdłuż niemieckich pozycji? Trochę tak, ale zapewne mamy je także przed sobą. Nic nam nie zostanie oszczędzone, przeżyjemy jednak ten dzień i potem wiele innych, przynajmniej powinniśmy wierzyć, że przeżyjemy, zanim pójda naprzód szperacze i ruszy szpica, zanim opadnie w dół słońce i okryje nas ciemność. Ci, którzy wyznaczyli tę trasę, wiedzą chyba, co nas na niej spotka, a przynajmniej przewidują, my nic nie wiemy, każdy krok naprzód jest niespodzianką i mógłby być też przygodą, gdybyśmy mieli co palić, gdyby buty nie wżerały się w nogi i gdyby szosa do Pulwitz wiodła na zachód.

Ale pójdziemy przecież przez kraj wroga, płonące wioski są jego wioskami, opuszczone miasta jego miastami rodzinnymi. Jesteśmy twardzi i nieczuli, chłodni i obojętni.

Porucznik Kolski oglądał drogę z dziedzińca willi. Stał przy kamiennym stole

ogrodowym, przy którym zgromadzili się oficerowie batalionu: Różnicki, Hencel, Olewicz, Lekszycki, Reklewicz, Rosół, Puskariow od rusznic i młody chłopak, który dowodził baterią przydzielonych stowudziestek po śmierci kapitana Chitkowa. Jego nazwiska Kolski nie znał. Mówił, tamci nie przerywali.

– Trzeba dotrzeć do Pulwitz – ogłaszał. – W Pulwitz są nasze oddziały. – Czy tak Świętowiec powiedział? Nie był pewny. – Przebijamy się. Wytłumaczcie żołnierzom... Zdecydowałem... – Przerywa i zwraca się do dowódcy stowudziestek: – Ile macie min?

Chłopak waha się chwilę. – W ogóle nie mam amunicji, obywatelu poruczniku! – wybuchają wreszcie. – Ciągnę moździerz. – Nerwowo zapina guzik przy kołnierzyku, guzik odpada.

Kolski milczy, wszyscy milczą. Stowudziestki, cholera! Ani jednej miny!

– No to zameldujcie się z powrotem u majora Świętowca – rozkazuje dowódca batalionu. – Jesteście mi niepotrzebni na przedzie.

– Tak jest – mówi tamten. Jego powieki mrugają nerwowo. Nie rozplącze się przecież, nie rozplącze, do cholery!...

– Puskariow – ciągnie Kolski – będzie dowódcą szpicy.

Puskariow trzyma dłoń przy daszku dłużej, niżby należało. Ma pociągłą twarz, bardzo duże owłosione ręce. Uczył się polskiego, ale umie powtórzyć zaledwie parę słów. Chodzi w radzieckim mundurze.

– Na przodzie – mówi dalej Kolski – pluton czterdziestekpiątek, pluton cekaemów, rusznic... z pierwszej i drugiej kompanii. W siłach głównych... – Kończy wyliczenie, czeka. Wie, że coś należałoby jeszcze dodać, parę słów od siebie, ale jest pusty, nie umie skleić żadnego solidnego zdania, nie widzi twarzy oficerów, tylko drogę pnącą się ku górze i znikającą potem w błękitnym niebie. Jakby ją pochłaniała przestrzeń.

– Różnicki, może wy?

Kapitan rozkłada ręce. – Nic nie mam do dodania. A co mam, to w kompaniach...

– Więc powiedzcie żołnierzom... – Kolski poszukuje znowu słów, które by coś znaczyły – powiedzcie im, do diabła, o sytuacji i że dojdziemy do tego przeklętego Pulwitz. Nie ma drogi z powrotem. Za tchórzostwo: kula w łeb. A teraz zapalmy.

– I napijmy się – dodaje Różnicki wyciągając butelkę.

Wszyscy piją i milczą. Po co jeszcze gadać? Komu ułatwi cośkolwiek nawet najbardziej podniosła gadanina?

– Ja chciałem jeszcze zameldować – przerywa ciszę Hencel – że do batalionu dołączyło około stu żołnierzy z innych jednostek. Wszyscy walą do przodu. Pewno dlatego,

że na przodzie bezpieczniej, a może nie tylko dlatego. Ludzie od Tyszki i diabli wiedzą z jakich tam jeszcze pododdziałów.

– Dobra – kwituje meldunek Kolski. Butelka jest pusta, Różnicki rozbija ją o kamienne schodki prowadzące do willi, szkło rozpryskuje się na ścieżce. – Dobra – powtarza porucznik – wracajcie do kompanii, ruszamy. Olewicz, zostańcie jeszcze. Podporucznik Olewicz jest w mundurze szeregowca, ma pas bez koalicijki, na nogach – kamasze i owijacze. Twarz blada, wąska, jakby ścięta. Kolski ogląda go uważnie i bez aprobaty.

– Obejmujecie kompanię, Olewicz. W Pulwitz oddamy was do dyspozycji prokuratury, chyba że dowódca dywizji zarządzi inaczej. Wierzymy, że zarządzi inaczej.

– Tak jest, obywatelu poruczniku.

– A teraz skombinujcie sobie buty i przyszyjcie gwiazdki.

Olewicz rozkłada ręce.

– Co? Tylko bez takich gestów. W Redlitz uwierzyłem, że jesteś morowy chłopak. Obejmujesz kompanię: niech Kazak na głowie stanie i w ciągu pięciu minut znajdzie ci wszystko prosto od krawca i szewca. Niech przewróci cały swój magazyn i połowę Brehmen. Ale on już ma: nie bój się!

– Czy to teraz ważne, obywatelu poruczniku?

– Czy ważne? Wykonujcie.

– Tak jest. – Olewicz zasalutował i zrobił w tył zwrot.

– Wróć, Olewicz. Powtórzcie rozkaz.

– Tak jest. Mam przyczepić gwiazdki i znaleźć przyzwoite buty.

## 5

Przed wymarszem, wśród wozów taborowych stłoczonych we wsi, wśród ambulansów i ciężarówek, Leksz odnalazł oficera informacji, porucznika Leoniaka. Poszukiwał właściwie kompanii sanitarnej, o co, zanim jeszcze przybyli do Brehmen, prosił go Kolski, ale zadanie wydawało się teraz niewykonalne. Do tyłów pułku dołączyły tyły dywizji, wszystko było w ruchu, w oczekiwaniu, formowało się i rozpraszało na drodze, na placykach przed domami, na łąkach otaczających wieś. Leksza przerażała ta nieporządna kotłowanina, oburzali brudni i zarośnięci żołnierze na furmankach, leżący pod misternie skonstruowanymi daszkami albo przykryci plandeką. Cierpiał. Zdawało mu się, że on też zawinił, czuł się bezsilny i bezbronny

wobec ludzkiego tłumu pozbawionego cechy, która zdaniem Leksza najdoskonalej charakteryzowała wojnę: ładu i ścisłości.

Porucznika Leoniaka dostrzegł w szoferce ciężarówki. Oficer informacji, również nie ogolony i brudny, dopiero wówczas go poznał, gdy chorąży stanął obok samochodu.

– To wy, Leksz – powiedział obojętnie. – Gdzie wasz batalion?

– Batalion pójdzie w straży przedniej. A ja – dodał Leksz – was właściwie szukałem. – Nie szukał go oczywiście, ale przyszło mu teraz na myśl, że powinien mimo wszystko i wbrew wszystkiemu zameldować Leoniakowi o Ewie i Olewiczu. W ten jedynie dostępny dlań sposób brał udział w utrzymywaniu ładu.

Leoniak wylazł z szoferki.

– Naprawdę macie do mnie jakąś sprawę? – zapytał bez zainteresowania. – No cóż, gadajcie. Prosiłem co prawda o przydział liniowy na ten czas, dowódca pułku obiecał i czekam. Możecie mi wierzyć, znam się na robocie lepiej niż niejeden z waszych oficerów. Byłem zrzutkiem spadochronowym i diabli mnie nie wzięli. Żeby przynajmniej pluton dali – westchnął. – No, ale gadajcie.

– Czy wiecie – zaczął – że Olewicz jest w pułku?

– Olewicz? – zdziwił się Leoniak. – Przecież uciekł wówczas z aresztu.

– Uciekł, ale teraz sam się zgłosił. Pod zmienionym nazwiskiem wstąpił znowu do armii.

– I co? – roześmiał się oficer informacji. – Miał pecha, bo przydzielili go do tego samego batalionu?

– Nie. Przydzielił się sam. Przyszedł wczoraj do Świętowca i major dał mu pluton. Dzisiaj dowodzi już kompanią.

– A w kompanii zostali jeszcze oficerowie?

– Oprócz mnie nikt.

Leoniak milczał. Zapalił papierosa, zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

– Rzeczywiście – mruknął. – Kto by się spodziewał? Całkiem nieprzewidziana okoliczność. To wszystko? – zapytał.

Obojętny ton oficera speszył trochę Leksza.

– Nie – rzekł z wahaniem – nie wszystko. – I opowiedział o Ewie Kraczyńskiej. – Wy rozumiecie, poruczniku – podkreślił – w tym bajzlu, w tym bałaganie, trzeba zachować jaki taki porządek. Nie wolno dopuszczać, żeby cokolwiek...

– Więc ona sama się przyznała? – przerwał Leoniak. – Zwierzyła się wam prywatnie?

– Powiedzmy półprywatnie, chce zostać ukarana.

– Chce zostać ukarana? Czy wyście przypadkiem nie zwariowali, Leksz. Jeden przydziela się sam do batalionu, a druga znowu naprasza z wyznaniem... Cuda.

– Mówię wam, jak jest.

– A Kolski z nią rozmawiał?

Leksz wahał się chwilę.

– Nie bardzo chciał, rozumiecie...

Na drodze zaczynał się ruch, oficerowie formowali kolumnę główką. Leoniak dojrzał z daleka kapitana, który pełnił obecnie funkcje szefa sztabu pułku.

– Obywatelu kapitanie! – krzyknął i pobiegł w jego kierunku.

Leksz szedł za nim krok w krok.

– Was też szukałem – powiedział kapitan, gdy zobaczył Leoniaka. – Dowódca pułku przydzielił wam zadanie. Trzeba zrobić porządek z taborami.

– Tak jest! – krzyknął Leoniak.

Wrócił do ciężarówki, torbę połową zarzucił na ramię i poszedł w kierunku sztabu pułku. Chorąży go nie odstępował. W milczeniu mijali furmanki i grupy żołnierzy siedzących na trawie wzdłuż drogi.

– Co będzie z moim meldunkiem? – zapytał wreszcie Leksz.

– Tak, tak – powiedział Leoniak – oczywiście, co będzie z waszym meldunkiem? – Urwał i przyspieszył kroku. – Przyjąłem meldunek! – zawołał nagle, jakby uradowany, że znalazł rozwiązanie. – Możecie spokojnie wracać do baonu, ale nic tymczasem nie piszcie, jak będę w sztabie, to sobie zanotuję... No do widzenia, Leksz. Zaraz weźmiemy się do roboty – ciągnął. – Major Świętowiec wydał rozkaz. Trzeba zlikwidować wszelką zdobycz wojenną nieprzydatną w walce. Już ja oczyszczę te furmanki, och oczyszczę. Wiozą diabli wiedzą co, a amunicji nie ma.

## 6

Rozkaz jest wyraźny: dotrzeć do Pulwitz. Nie wolno zatrzymać się, nie wolno organizować obrony. Straż przednia jest po to, aby iść naprzód. Więc straż przednia idzie naprzód.

Droga wije się po zboczu wzgórz, szperacze schodzą w dolinę, idą łąką, mijają domy budowane w kotlinach, ogrody i sady owocowe, przystają, badają każdy skrawek terenu, są

dokładni, czujni i gotowi do walki. Rozkazów powtarzać nie trzeba, wiadomo, że gra idzie o najwyższą stawkę.

Ci, którzy maszerują drogą, czują pod nogami twardy żwir, skóra butów przyschła do ciała, marzą o postoju, żeby przewinać onuce i przeciąć pęcherze, ale nawet podczas postoju czasu wystarczy tylko na zapalenie papierosa. Diabelnie chce mi się kurzyć... Gdzie jest nieprzyjaciel?

Z zabudowań przecinających drogę trzaskają kaemy, piechota rozbiega się po łące zygzakowatą tyralierą. Teraz nikt nie myśli o wykorzystaniu terenu lub przygotowaniu natarcia. „Uwaga: artyleria do przodu!”

Nauczy U się ich cenić, chłopców z artylerii bezpośredniego wsparcia. Koła armat grzęzną na podmokłej łące, kanonierzy wyciągają działa rękoma pod ogniem nieprzyjacielskim.

„Ile macie pocisków? Do cholery, oszczędzać naboju! Czterdziestki strzelają tylko do czołgów”. Słyszą to samo od trzech dni, przywykli. Przeciwno czołgom mają jeszcze granaty, rusznice i panzerfausty. Długie lufy rusznic wyskakują nad drogę, ferdynand zawraca, ginie za zabudowaniem. Można by tu poczekać spokojnie, znakomite miejsce do obrony, łopatki lekko wejdą w ziemię. Nie, trzeba iść naprzód, te domy to jeszcze nie Pulwitz.

Choraży Leksz przeciera okulary i co chwila powtarza: „Chłopcy, w Pulwitz są nasze wojska”.

Wierzą mu. Zastępca dowódcy do spraw politycznych powinien wiedzieć.

Straż przednia idzie więc, przebijając się przez niemieckie zasadzki, łamiąc opór wroga, który chyba nie bardzo ich się tutaj spodziewał. Idzie licząc przebyte kilometry, a potem zatracając się w marszu i walce. Nic nie istnieje już dla nich poza tym: tylko Pulwitz, miasteczko o czerwonych dachówkach, takie jak Bretwelde, które prędzej czy później zobaczą przecież na horyzoncie.

Droga znowu zakręca, napina się jak łuk, widać z daleka wąską białą nitkę na zielonych wzgórzach. Przerywa ją czarna fontanna dymu, potem znowu fontanna dymu. Nieprzyjaciel jest we wsi leżącej w kotlinie. Szosa wpada między zabudowania, ginie wśród nich, by znowu wyprysnąć na odległym wzniesieniu. Powtarzamy więc te same czynności, wojna jest nieustannym powtarzaniem, a dla człowieka z karabinem, czołgającego się po ziemi, znajduje niewiele dodatkowych rozrywek. Słownik wojny jest ubożuchny. Na drodze do Pulwitz, podobnie jak pod Boslitz i Bretwelde, usłyszą: „Uwaga, podaj po linii”. I potem każdy z nich może dodać: „Przygotować granaty”. I każdy z nich poznał obrzydliwie nieznośną chwilę, gdy trzeba wyskoczyć nad ziemię. Nie sposób tego uczynić, dopóki nie

zamilknie kaem, a niemal zawsze warczy jakiś kaem. Naprzeciwko, w pozycjach odległych o sto czy sto pięćdziesiąt metrów, też tkwią ludzie! Marzymy więc, aby zmiotły ich z ziemi nasze pociski, rozerwały wybuchy granatów, wymordowały miny. Aby nie zobaczyli już nas, gdy podniesiemy się do skoku, i nie odnaleźli naszego ciała w szczybinie celownika. Na drodze do Pulwitz z rzadka odzywają się polskie działa. Wroga trzeba niszczyć serią z automatu, pociskiem karabinowym, granatem albo bagnetem. Trzeba podejść blisko, tak blisko, że dostrzec można zmęczone twarze ludzi młodych i starych, którzy już czekają, napięci, gotowi do mordowania...

Czołowa kompania osiąga domy, z których przed chwilą jeszcze prali Niemcy. Sekunda wahania, spoglądają na siebie, ktoś pomyślał: jakie my wszyscy mamy twarze, czy moja twarz też jest taka? Pociski stukają o ściany, ktoś wypuścił karabin z ręki... „Ranni do tyłu!”

Co oni tam, w tyle, robią z rannymi?

Muszą wiedzieć.

Świat jest szary, wioska śmierdzi padliną, słońca nie widać. Milkną karabiny, granaty już nie wybuchają, na ulicę wychodzi człowiek z rękoma podniesionymi do góry. Nie, Kamerad, my tym razem nie bierzemy jeńców. Strzał, człowiek wali się na ziemię, a każdy z nich myśli: może to ja strzeliłem.

Potem zapominają. Szpica jest już za wsią, droga znowu pnie się do góry, gwałtownie skręca w prawo, a potem wpada w kotlinkę, w tej kotlinie jest także wieś.

„Uwaga, artyleria do przodu”.

Karabiny maszynowe są ciężkie, ale zwykły karabin również jest ciężki. Ramiona bołą, a człowiek czuje swoje ciało: tu jest żołądek, tu serce, tu wątroba... Skręcimy papierosa, niech to diabli wezmą, pomaga jedynie dobry haust dymu. Pulwitz nam nie ucieknie... Świat trochę kołuje, droga i drzewa rozmazują się przed oczyma, jakby były za szybą podczas ulewy. Potem linie napinają się, kontury są wyraźniejsze.

– Panie poruczniku, jak daleko do Pulwitz?

– A już tylko dwa kroki, chyba z pięć kilometrów. Batalion pełźnie. Jak tępą igłą z trudem wrzyna się w ciało wroga. Niby sprężyna odskakuje od zasadzek, skręca się i rozwija, jest długim zygzakiem tyraliery i kolumną marszową z wysuniętymi mackami ubezpieczeń. Jest całością, sprawnym instrumentem do przebijania, dopóki się nie rozprysnie na drobne cząstki, na kompanie, plutony i drużyny, wreszcie na pojedynczych ludzi, którzy mogą istnieć tylko razem i tylko dlatego, że są razem, idą naprzód. Pełznący batalion wygląda z daleka jak zielona taśma.

Człowiek biegnący po polu ma otwarte usta. Nie wie, czy krzyczy, czy ma po prostu otwarte usta, chwyta nimi powietrze, zaciąga się powietrzem. Nie należy tak mocno zaciągać się powietrzem podczas natarcia...

## 7

... Rozwinęli się w tyralierę. Tymczasem jednak nic nie widać, przynajmniej na prawym skrzydle, gdzie idzie pluton Sęka. Sierżant, Sęk niedawno otrzymał sierżanta, przestaje na chwilę obserwować przedpole: gdzieś z lewej strony trwa pukanina, niech sobie trwa, może tym razem inni będą mieli kłopot.

Czuje się zmęczony, ma spuchnięte powieki i tak ciężkie, że opadają natychmiast, gdy przestaje o nich myśleć.

Pulwitz jest chyba na końcu świata, stwierdza. Próbuje obliczać: jak długo już idziemy, ile czasu... Słyszy:

„Czy pan ma jeszcze trochę czasu? No, niewiele, powiedzmy godzinkę. Przecież godzinka zawsze się znajdzie... Dostanie pan dobrej, mocnej kawy. Właśnie kawy, zdobyliśmy niedawno solidny zapas, a ja umiem parzyć. Sam pan się przekona. Stoimy tutaj, zupełnie niedaleko. No, bardzo proszę... „

Batalion wychodził właśnie z Riesen; Sęk nie miał czasu.

Jak ona wyglądała? Bardzo czarna, czarne włosy i duże smutne oczy. Sanitariuszka z jednym paskiem na naramienniku. Byli ze sobą od dwóch godzin i właściwie zmarnowali dwie godziny. Na wojnie trzeba umieć cenić czas.

„Nie mogę – powiedział Sęk. – Bardzo bym chciał, ale nic się nie da zrobić. Batalion już wychodzi”.

„A czy pan wie, że może nigdy się nie zobaczymy”. „Zapiszemy sobie nasze nazwiska i numery poczty polowej”.

„Po co? – powiedziała z rezygnacją. – Mam tego na kopy i mendle. Przestałam zapisywać. Do widzenia”.

Od wioski zaterkotał kaem. Bił krótkimi, nerwowymi seriami.

– Sęk, nie zatrzymuj się – usłyszał głos Olewicza.

– Sęk, wal naprzód.

No więc raz jeszcze trzeba podnieść pluton. Gdzie, do diabła, siedzi ten kaem.



– Uwaga... wzdłuż tyraliery.

Co ona wówczas śpiewała, pomyślał. Nie, nic znanego, piosenkę, którą słyszał chyba po raz pierwszy. Bardzo tęskną, rosyjską, a sierżant Sęk nie znał rosyjskich piosenek.

*Do ciebia mnie dojtí nielekkó A do śmierti czetyrie szaga*

Na wschodzie – szaro, łąka jest obrzydliwie równa, nawet krzaka jałowca, nawet drobnego wzniesienia. Mogłem przecież zostać, pomyślał Sęk, dogoniłbym batalion. Dręczyła go teraz pewność, że zmarnował coś bardzo ważnego, czego już nigdy nie zdoła odzyskać. Miasteczko zanurzone było w ostrym świetle południa, widział wyraźnie oczy dziewczyny, zapamiętał jej oczy i ogarnęła go teraz żal, że zaprzepścił, że zaniedbał... Zawsze tak z nim było: wszystko wypuszczał z rąk.

– Naprzód!

Pękło coś w nim, rozprysło się na drobne cząsteczki, ale w zupełnej ciszy, tak doskonale, jak rzadko bywa na froncie.

## 8

Dobra robota. Maczuga po raz pierwszy tak pomyślał: „dobra robota”, jakby rzecz dotyczyła nie wojny, ale solidnej wiejskiej harówki.

Było tak: wychodzili z wioski, gdy niemiecki kaem ostrzelał ich' z prawej strony. Leżeli więc wzdłuż drogi, czekając diabli wiedzą na co. Młody chłopak, plutonowy Początek, który po śmierci Sęka dowodził plutonem, podnosił co chwila głowę i spoglądał na nich z rezygnacją. – No co, chłopaki? No, chłopaki...

– Nikt się nie kwapił, ponieważ nikt nie miał ochoty połknąć serii na parę kilometrów przed Pulwitz, gdzie oczekiwały ich wypoczynek i żarcie. Poleżymy, myśleli, poczekamy, może później coś da się zrobić. I wtedy zobaczyli tych trzech chłopaków z moździerzem. Taszczyli swoją pukawkę w stronę piechoty, skrzętnie wykorzystując niewielki wykop, który ich trochę od Niemca osłaniał. Ale morowcy, pomyślał z podziwem Michał. A moździerzysci dotarli do samotnie stojącej na skraju wsi stodoły i stamtąd wygarnęli ze swojej lufy. Maczuga zobaczył, jak rozrywały się miny, kaem terkotał gwałtownie, potem nagle zamilkł i nastąpiła cisza.

– No, chłopaki, no! – podniósł głos.

Początek. Teraz nie trzeba ich było namawiać.

Michał podczas całego marszu uparcie trzymał się Kaleta. Kaleta był najskrzętniejszym chłopakiem w plutonie i zostały mu jeszcze papierosy. Gdy za wsią stanęli przy rozwidleniu dróg, Maczega otrzymał jeszcze jednego zdobycznego juno.

– Tylko byś kurzył – oświadczył z wyrzutem Kaleta. – Więcej nie dam.

– Co będziesz oszczędzał? – Michał machnął ręką.

– W Pulwitz ci dadzą.

– Dadzą nie dadzą, a zawsze warto mieć. Pulwitz – powiedział ładnie – to jakby senne marzenie.

– Jakoś dojdziemy. – Maczega zaciągnął się dymem, zgasił połówkę i schował do kieszeni.

– Dojdziemy, dojdziemy. A nogi już mnie nie niosą. Jakbym je za każdym razem wyciągał z błota. Przecież żołnierz też człowiek. W końcu upadnie i żaden generał go nie podniesie.

Maczega dobrą chwilę milczał. Niezbyt tego wyglądał, nie ogolony, twarz nie blada, ale szara, pod oczyma czarne plamy.

– No, czego milczysz – napierał Kaleta.

– Idzie się – powiedział Michał. – 'Jak mus, to mus.

– Takiś twardy?

Twardy? Co to znaczy? – Nie, nie jestem – rzekł Michał. – Dlaczego mam być?

Tak się widać Kalecie tylko powiedziało. On przecież najlepiej powinien wiedzieć, że Maczega był zawsze miękki i chorowity. Od początku, odkąd siebie pamiętał, ludzie uśmiechali się na jego widok. „Oferma”. A przecież nie on zawinił. Chociaż może i zawinił. Nie ma co grzechu tać. Nikt inny, tylko on sam, Michał Maczega nie umiał sobie poradzić z życiem. Zawsze czegoś zaniedbał albo nie wykorzystał, gdy samo pchało się w ręce. Inni każdą okazję chwyтали, a on przechodził obok i wtulał głowę w ramiona. Tak było. Ogarnął Michała bolesny wstyd, że właśnie taki był, nieudany i niezręczny, na pośmiewisko ludziom. Bo choćby Maria... Przypomniął ją sobie znowu – dotknął jej twarzy i piersi, poczuł, jak rośnie w nim pragnienie. Żeby ją mieć teraz przy sobie... choćby na jedną godzinę... Raz tylko przygarnął Marię, raz tylko jeden, gdy sama przyszła, bo zabrakło przecież odwagi, żeby wyciągnąć ręce. A mógł poprosić dowódcę plutonu albo i dowódcę kompanii, żeby puścili go na jeden dzień do Gniazdowa. Daliby zgodę. Myślał o tym, a jakże, nawet sobie obiecał, że zamelduje się do raportu, ale odkładał z dnia na dzień, aż w końcu spadł śnieg i opuścili Czeremniki.

Gdyby stanął wówczas do raportu, byłby z Marią jeden dzień. A może pozwoliliby

także zostać na noc w Gniazdowie. Na całą noc. Nawet ciała Marii nie zdążył przecież obejrzeć.

Kto więc zawinił? On sam, Michał Maczuga, „nieudany”, jak mawiała matka, nie umiejący zakosztować życia.

I list tylko jeden do Marii wysłał, drugiego nie skończył. „Kochana Mario. Donoszę Ci, że przeszliśmy wielką rzekę w Niemczech, która ma być polską granicą, i idziemy dalej, ale dokąd, nie mogę napisać, bo to tajemnica wojskowa... Dobrze mi się żyje, jak wszystkim tutaj... „

A jeśli Maria nie czeka już na list? Młoda, ładna kobieta znalazła sobie chłopca, bo przecież nie ma żadnej pewności, że Michał Maczuga wróci z wojny. Zapatrzył się na drogę, nic nie było widać oprócz drogi biegnącej wzdłuż zbocza porośniętego lasem. Może jak miną las, zobaczą nareszcie Pulwitz i Michał wyśle list do Marii.

## 9

Domy Pulwitz są porządnie ułożone na płaskich wzgórzach wokół dzwonnicy kościelnej, pokryte czerwoną dachówką, oświetlone słońcem siadającym już na horyzoncie. Czy to na pewno Pulwitz? Czy nie pomylili się ci, którzy patrzą na mapę? Przecież wszystkie miasteczka niemieckie są podobne i z daleka nie odróżnisz: Pulwitz, Bretwelde, Grosswelka, Kuckau... W Pulwitz miały być polskie oddziały, miał się skończyć marsz. Ale przecież to nie nasze kaemy jazgoczą z dobrze ukrytych na wzgórzach pozycji i nie nasze ekrazytówki rozrywają się na przedpolu. Ludzie patrzą na miasto i nie wierzą, ściskają mocno karabiny i automaty, aż bieleją im palce, i powtarzają: „Pulwitz”. Pulwitz – jak zakłęcie. Nie pójda już dalej, nie mogą, siły obliczyli dokładnie do tego miasta, ani kroku naprzód, bo zwałą się na ziemię... Wydawało się przed godziną, że mają już miasteczko. Czołowa grupa Puszkariowa docierała do pierwszych zabudowań, na prawym skrzydle szturmował ' Olewicz, Kolski widział, jak pchał kompanię i jak zalegli jego żołnierze przyciśnięci do ziemi przez Niemców piorących ze wzgórz z broni maszynowej i moździerzy. Ogień polski słabł. Kolski patrzył na błyszczące, czerwone Pulwitz i widział: już się nie podniosą. Wrócą na skraj kotliny, dobrze jeszcze, jeśli rannych nie zostawią na przedpolu.

Kotlina leżąca za nimi była obszerna, płaska, z dwóch stron ograniczona lasem. Artyleria niemiecka ostrzeliwała skraj lasu, fontanny ziemi wypryskiwały tu i tam,

wyskakiwały w górę odłamki pocisków.

Kolski wybrał sobie stanowisko dowodzenia tak, aby widzieć i las, i łąkę, i wzgórza przed Pulwitz. Jak nacierać? Jak pchać batalion przeciwko pozycjom nieprzyjacielskim, o których wiadomo tylko tyle, że są? Czy Świątowiec mówił, że w Pulwitz zastaniemy na pewno oddziały polskie, czy że „prawdopodobnie”? Kolski już nie pamiętał. Do dowódcy pułku, który był w kolumnie głównej, wysłał adiutanta batalionu, porucznika Hencla, z meldunkiem. Meldunek lakonicznie oznajmiał, że straż przednia bez wsparcia i uzupełnienia amunicji nie jest w stanie prowadzić nadal natarcia we wskazanym kierunku. Kolski nie miał złudzeń co do odpowiedzi. Świątowiec nic nie da i każe nacierać; był przekonany, że taki właśnie rozkaz otrzymał, i zdawało mu się, że przekroczy jakąś granicę, gdy zawezwie dowódców kompanii i przekaze im polecenie. Granicę, za którą był już mrok, takie określenie wydawało się najwłaściwsze, a wszystko, co wiedział o wojnie, traciło znaczenie.

Wrócił porucznik Hencel.

– Co odpowiedział?

– Zameldowałem – rzekł Hencel – majorowi...

– Wiem. Co odpowiedział?

– Nie zatrzymywać straży przedniej, nacierać nadal w tym samym kierunku.

– Czy major Świątowiec zdaje sobie sprawę z naszej sytuacji?

Hencel długo milczał.

– Major Świątowiec – powiedział wreszcie – zdaje sobie zwykle sprawę z sytuacji.

Otrzymał wyraźny rozkaz od generała i wykonuje go: dywizja musi przebić się przez Pulwitz.

– Po chwili dodał: – Zameldowałem, że to niemożliwe. Świątowiec odparł: „Wykonujcie rozkaz”.

– Rozumiem.

– Kolumna główna – ciągnął dalej Hencel – znajduje się jakieś półtora kilometra stąd. Niedługo spłynie do kotliny. Po opuszczeniu Brehmen była atakowana przez czołgi niemieckie z rejonu Bretwelde; tamci zorientowali się w naszych zamiarach i wskoczyli z doliny na drogę. Jedenaście ciężarówek zostało zniszczonych, spłonęły akta dywizji. – Machnął ręką. – Ale Świątowiec zorganizował obronę, a potem czołgi nacięły się na pluton czterdziestekpiątek od Oski. Teraz Niemcy naciskają z zachodu. Nie rozumiem...

– Czego jeszcze nie rozumiesz, Hencel?

– Dlaczego generał nie próbuje przebić się w kierunku północnym. Wali w ten południowy wschód jak w ścianę i nie odskakuje.

– Dobra, nie nasza sprawa. Ściągnij dowódców kompanii, pododdziałów i oficerów

politycznych.

– Tak jest. Jakie są twoje zamiary, Kolski? Porucznik milczał.

Pogięta linia batalionu zastygła na skraju kotliny, Pulwitz wisiało nad nią jak złożony obrazek. Czarne cienie kładły się już na dachy domów.

Ci, którzy zostali, usiedli na trawie obok Kolskiego.

Olewicz w poplamionym mundurze, Rosół z obwiązaną głową, sierżant Sobol zamiast Puskariowa, Różnicki, Leksz.

– Zapalcie – powiedział Kolski. Miał jeszcze paczkę niemieckich junoszek, podzielił ją sprawiedliwie i sam zaciągnął się niedobrym, słabym papierosem.

– W Pulwitz miały być nasze oddziały – odezwał się Leksz. Jego głos brzmiał żałośnie, jak głos zawiedzionego dziecka.

– Nie ma ich – uciął Kolski.

– Nie ma! – wybuchnął Leksz. – To przecież niemożliwe! Ja całą drogę obiecywałem żołnierzom Pulwitz, przysięgałem, że tylko do tego miasteczka... Czy wiesz, co teraz mówią: że jak w trzydziestym dziewiątym, że mają dość, że pchamy ich z gołymi pięściami na czołgi. Gdzie nasze czołgi? Gdzie nasza artyleria? Są wymęczeni, głodni, zasypiają, ledwo siadają na ziemi. To niemożliwe. To niedopuszczalne. Ktoś się omylił, ktoś źle obliczył, a my mamy odpowiadać?! Na wojnie musi być ład; nasz batalion powinien odejść na odpoczynek. Pulwitz. Od rana powtarzam: Pulwitz. Jeszcze kilometr, jeszcze dwa kilometry... A teraz? – Jego głos załamywał się na coraz wyższych nutach. – Co ja im teraz powiem. Ja...

– Dostyc, Leksz. Milczeć!

Leksz wytrzeszczył oczy na Kolskiego i umilkł. Nikt się nie odezwał, Różnicki opuścił głowę i grzebał patykami w ziemi.

– Musimy – rzekł bardzo cicho Kolski – przygotować się do natarcia na Pulwitz. To zafajdana historia. Nie będziemy się bawić. – Wyjął zegarek.

– Siedemdziesiątkiszóstki nie mają już amunicji!

– Brak min do moździerzy!

– Kompania granatników pójdzie bez moździerzy – powiedział Kolski. – Zaczyna Olewicz na prawym skrzydle. – Znowu spojrzał na zegarek.

– Nie mamy żadnych szans – głos Reklewicza brzmiał spokojnie. Jego długa twarz wyglądała jak maska. Głowę obwiązaną miał bandażem. – Już próbowaliśmy. Oni mają silną obronę i działa pancerne. Żadnej szansy – powtórzył. – Czy można tak pchać ludzi naprzód?

– Szaleństwo! – krzyknął Leksz zrywając się z ziemi. – Wojna nie może być szaleństwem. Wojna to technika i obliczenie. Trzeba natychmiast zameldować dowódcy

dywizji, że nie będziemy nacierać bez wsparcia!

– Leksz – powiedział cicho Kolski – odmaszerujcie do kompanii.

– Co?

– Powtórzyć rozkaz. Wykonać.

– Mam odmaszerować do kompanii. – Leksz wstał i odszedł chwiejąc się lekko na nogach.

– Co macie do powiedzenia, Różnicki?

– Nic – rzekł porucznik. – Będę z kompanią Olewicza.

– A wy, Olewicz?

– Nic nie mam do powiedzenia, obywatelu poruczniku. Rozumiem rozkaz.

A on, Kolski? – Ja będę z Reklewiczem – rzekł. – No, chłopcy – dodał, ciągle szukając słów. – Na wojnie nie ma sytuacji beznadziejnych. Cóż my ostatecznie wiemy o sytuacji... A oni, ci w Pulwitz? Ledwo się na nogach trzymają! – krzyknął. – Są w pułapce...

Żaden z jego oficerów nie podniósł głowy.

– Możecie już iść – zakończył dowódca batalionu. Gdy odeszli, wstał, przeciągnął kaburę na brzuch.

– Leksz histeryzuje – powiedział Hencel – ale ma rację. To szaleństwo... Ale cóż, musimy się przebić, nic nie poradzimy. Sądziłbym jednak, że należy szukać innego kierunku. Nie rozumiem...

– Nic nie rozumiesz – przerwał Kolski. – Szaleństwo? Powinien, nie powinien? Bzdura. A to, że oni trzymają Pulwitz, nie szaleństwo? Hencel – krzyknął – przecież my jesteśmy pod Dreznem! Zapomniałeś?!

## 10

– Panie chorąży – szepcze Kaleta – tak nam pan chorąży politycznie obiecywał to Pulwitz. I co? Gruszki na wierzbie. Siedzą niby u Pana Boga za piecem i jedzą nas jak z talerza. A może za Pulwitz są nasi? A czy daleko? – W głosie Kalety nie ma złości, jest tylko zmęczenie i rozczarowanie. Leksz milczy. Powinien obsztorcować żołnierza, ale milczy, nie ma nic do powiedzenia.

Nie opodal młody chłopak przewiązuje sobie dłoń bandażem; lżej ranni już od paru godzin nie odchodzą w tył, zostają w linii, choć nikt nie wydał takiego rozkazu.

Leksz patrzy na przedpole: wyżej, przed miasteczkiem, są niemieckie pozycje. Łąka jest nierówna, sfalowana, usiana wątlami krzakami jałowca. Leksz jest pewien, że widział już tę łąkę. A może po prostu wszystkie były takie same: pod Bretwelde, pod Boslitz, pod Kamenz? Z lewej strony, trochę na ukos biegnie głęboki rów... Chłopcy cisną się do tego rowu, choć na dnie jest woda, buty i onuce przemakają. Po co szliśmy do Pulwitz, myśli Leksz. Przecież tego nie wymyśliłem; wszyscy mówili: dotrzeć do Pulwitz. Czuje się złośliwie i podstępnie oszukany przez tych na górze. Na wojnie, podobnie jak w życiu potrzebny jest ład i porządek. Pułki i bataliony poruszają się po obliczonych w sztabie marszrutach, dowódcy sprawdzają zegarki: godzina „zero” – godzina siódma, nie wolno się spóźnić, nie wolno się omylić. Następnie akcja toczy się według uznanego i sprawdzonego schematu. Wyskakujemy z okopów, nasza artyleria miażdży umocnienia wroga. Leksz zapisuje: „... strzelec... porwał za sobą drużynę... „ Jutro wydamy ulotkę i jeszcze ciepłą, prosto z drukarni polowej, doręczymy żołnierzom przed nowym natarciem, aby wyskakiwali chętniej z okopów. „Bądźcie pierwsi: wyskakujcie!” Ludzie giną, są zmęczeni, brak im żarcia, ale w rozsądnych granicach, a nie w chaosie, bałaganie, w mroku, w studni, z której nic nie widać. Nie wolno przekraczać rozsądnych granic. Leksz widzi swój notes z torby polowej, a potem tamten większy, o porządnie ponumerowanych kartkach, w których zapisywał wykłady.

„Równania całkowite, gdzie niewiadoma funkcja  $y$

$f(x)$  występuje pod znakiem... Znak nieskończoności? Jak się pisze?

Trzeba zanotować:  $y$

$f(x)$ . Nie znamy żadnej niewiadomej, ale chodzi przecież tylko o teoretyczną postać równania. Kolego Leksz, czy możecie nam wyjaśnić?”

Leksz był zawsze najlepszy. Przecierał okulary i stawał przy tablicy. Koledzy z okupacyjnego kompletu patrzyli, jak powoli rysuje znaki, bardzo powoli... Nie należy bowiem się mylić, należy natomiast myśleć ściśle, bez majaczeń, żadnych odskoków w bok, rozumowanie biegnie wzdłuż napiętej prostej. „Więc, proszę kolegów, iloczyn pochodnej funkcji przez przyrost argumentu... „

Co za bzdura! Jaka tam bzdura, moi drodzy. „Pamiętaj – mówił ojciec – nie zaniedbuj matematyki, masz szansę”.

Ojciec też nosił okulary, był urzędnikiem pocztowym w Lublinie i sprzedawał

znaczkę. „Ty nie będziesz już sprzedawał znaczków – mówił – wyharowałem dla ciebie przyszłość”. Istotnie, harował od rana do wieczora, miał taką wąską, cienką twarz. Jak pyszczek. Ktoś powiedział: „szczurek”. Naprawdę: szczurek...

Leksz znowu notuje równanie: zaraz znajdziemy te niewiadome. Więc: Ewa... Skąd znowu przyszła mu na myśl ta Kraczyńska? Jej sprawa jest załatwiona. Dzięki niemu. Kolski przyznał mu rację i szuka Ewy, Ewa zostanie ukarana. Nie, to nie Kraczyńska – to Stella.

Mój Boże, po co przypomniał sobie teraz Stellę? A postanawiał: nie pamiętać. I nie pamiętał.

Z kompletów wracało się wieczorem przez puste już zazwyczaj ulice Lublina. Leksz skręcił w Narutowicza, spojrzął przed siebie w ciemny, opadający nieco w dół wawóz i zobaczył dziewczynę, która bardzo powoli szła brzegiem chodnika. Poznał ją od razu, przecież tak często chodził za nią krok w krok jeszcze za sztubackich czasów. Stella – jego gimnazjalna miłość.

Dogonił ją. Przerazenie zmieniło jej twarz, dopiero wówczas stała się podobna do Żydówki. Blondynka, wysoka, tylko te wilgotne oczy... Wilgotne oczy ją zdradzały. Długo przyglądała się Lekszowi, zanim zaczęła mówić. Potem trajkotała bardzo szybko, jakby chciała się wygadać za jednym zamachem, uzyskać rekompensatę długiego milczenia.

Tak, mieszka tu obok, pokój z osobnym wejściem, chciała nawet porozumieć się z nim, ale boi się narzucać, odwiedzać znajomych. Teraz już nie jest bezpieczna, gospodarze albo wiedzą, albo przypuszczają... ale nie ma żadnych szans, żadnych możliwości otrzymania innego mieszkania, bo zabrakło już pieniędzy. Gnębi ją strach. Czy on, Leksz, może sobie wyobrazić, jaki to strach? Wychodzi na ulicę tylko wieczorem i każdy przechodzień... Tak, boi się ludzi... odwykła od widoku ludzi... Zżera ją samotność. Wreszcie: „Słuchaj, wstąp do mnie”.

„Ależ, Stello!”

„Bardzo cię proszę. Myśl sobie o mnie, co chcesz, ale chodź. Jesteś mi potrzebny, przecież znamy się tyle lat, jesteś mi potrzebny, żywy, bliski człowiek w moim mieszkaniu... Na dwie godzinki, no, na jedną... Do policyjnej... Chcę mieć kogoś dla siebie przez jeden wieczór. Nie mogę już wytrzymać, przekroczyłam granicę”.

Ona też przekroczyła granicę.

Chciał powiedzieć: „dobrze”, ale zaraz sobie przypomniał: rodzice czekają, a synowi sąsiadów ma udzielić jeszcze korepetycji. Sąsiad jest właścicielem masarni, nie wolno z nim zadzierać. Zostało mu jeszcze jakieś piętnaście minut, według najbardziej optymistycznych obliczeń mógłby z nią spędzić piętnaście minut.



„Nie mogę, Stello”.

„Nie możesz – powtórzyła z rezygnacją. – Tak myślałam”.

„Przyjdę jutro, podaj mi adres”.

Zatrzepotała rzęsami. „Adres? Nie, ja nikomu nie daję adresu, nie mogę, rozumiesz”.

„Ale mnie dasz”.

„Nie, tobie też nie. Możemy spotkać się jutro, tutaj, o tej samej porze”.

Następnego dnia również nie miał czasu, czas był przecież dokładnie obliczony i nie miał prawa nim rozporządzać. Potem przechodził często ulicą Narutowicza i czekał w tym miejscu, na rogu Lipowej, ale nigdy już nie spotkał Stelli. ;

Dlaczego z nią wówczas nie poszedł? Nie przewidział, że tego się już nie odrobi. A teraz bardzo mu była Stella potrzebna, choćby wspomnienie o niej. Mógł z nią wówczas spędzić noc, mógł z nią zostać, pamiętałby, że przeżył taką noc...

Jak można z okopów pod Pulwitz przeskoczyć na ulicę Narutowicza w Lublinie? Nie można. Na zawsze więc tak zostanie: że odszedłem.

– Uwaga, podaj po linii...

Trzy dywizyjne siedemdziesiątkiszóstki wałą w skraj Pulwitz; ładna nawała ogniowa...

– Uwaga. Przygotować się do szturm, przygotować granaty!

Zagrzechotały niemieckie kaemy, na przedpolu wyskoczyły wysokie fontanny dymu. Maksym nerwowo chodzi w rękach.

– Co, nie możesz utrzymać? – krzyczy Olewicz. – Daj mnie! – Równe, długie serie.

Znowu: – Uwaga!

Nikt nie skoczył, nikt nie uniosł nawet głowy, nie wychylił się z rowu. Co, do diabła, robi Olewicz? myśli Leksz. Kompania jest jak pluton, nie większa, nie ma co liczyć na dowódców plutonów, trzeba ją podnieść samemu. Na wojnie musi być porządek! Każda sytuacja została przewidziana, należy postępować w myśl regulaminów i instrukcji. Dowódca wydaje rozkaz, zastępca dowódcy idzie pierwszy do natarcia. Zastępca dowódcy podrywa żołnierzy, to jego rola.

Więc ja pójdę, mówi sobie Leksz i czuje, jak napina się jego ciało. Wyciąga pistolet.

– Chłopcy! – Nie wydarł więcej z gardła, odbił się od ziemi jak od trampoliny, poczuł, że jest długi, i wysoki, zobaczył siebie – nic więcej, siebie jak cień uniesiony nad łąką.

Nie spojrzął w tył, ale był już pewien, że poszli, że ich porwał, że biegną za nim, waląc z automatów. Upadł na krzak jałowca i gdy padał, poczuł zapach tak mocny, jakiego nie ma żaden krzak na ziemi.

Kompania przeszła jeszcze pięćdziesiąt metrów. Wrócili potem do rowu, na którego dnie zbierała się woda. Leksz został między nimi a Pulwitz.

## 11

Kotlina liczy kilka hektarów łąki i ugoru; jest burozielona, a pod lasem ciemnieje jak przykryta czarną taśmą. Przez las biegnie droga, która potem omija kotlinę zataczając łuk w kierunku Pulwitz. Droga jest biała, pnie się bezkarnie na wzgórze otaczające miasto. Jest pusta, przeraźliwie pusta i wystawiona na pokaz, poruszać się po niej nie sposób. Furmanki, ciężarówki, willysy sztabowe zjeżdżają więc z szosy i tłoczą się w lasku i kotlinie. Szukają schronienia pod drzewami, pakują się w głąb zagajnika, ale i tak stanowią cel znakomity, może ich wymacać niemiecka artyleria albo zobaczyć z góry lotnik. Tyły głównej kolumny płyną jeszcze szosą, nikt nie umie ściśle określić, gdzie są pozycje Oski, osłaniającego od zachodu i północy, ale za to dokładnie wiadomo, że na wschodnim skraju kotliny, na łące, która wznosi się już w górę, do Pulwitz, jest tylko cienka nitka batalionu Kolskiego. Kręta, zygzakowata linijka, przemykająca rowami, wślizgująca się za drobniutkie fałdy terenu, napięta ostatnim wysiłkiem mięśni. Ranni poszukujący ambulansów i punktów opatrunkowych wśród furmanek i samochodów przeżywają jeszcze walkę. Są ciągle z batalionem. Nad główną kolumną wznosi się wrzawa ludzkich głosów, ale gdy na chwilę następuje cisza, jakby niewidzialny dyrygent przeciął batutą powietrze, słyszą serie kaemów, pistoletów maszynowych i rzadkie wybuchy granatów. Potem znowu podnosi się zgiełk ludzki, jakby wszyscy zaczęli krzyczeć jednocześnie i znowu zapada cisza.

W miejscu gdzie szosa skręca w kierunku kotliny, jest to miejsce dobre, bo chronione od wschodu wysokim wałem, zatrzymały się dwie ciężarówki dywizyjne i samochód generała Weklara. Generał stojąc słuchał meldunku szefa sztabu. Pułkownik referował powoli, spokojnym, nawet zbyt spokojnym głosem, a dowódca dywizji ani mu nie przerywał, ani nie zadawał pytań. Obojętny i milczący patrzył przed siebie, w kierunku niewidocznego stąd Pulwitz, a gdy szef skończył, nie zmienił pozycji i nawet gestem nie dał do zrozumienia, że przyjął do wiadomości to, co zostało powiedziane.

Zapadła cisza, którą zresztą natychmiast, nie licząc się z zadumą generała, przerwał major Zonik.

– Natarcie na Pulwitz – powiedział zwracając się do szefa sztabu – ugrzęzło po raz

drugi. Nic zresztą dziwnego, straż przednia goni resztkami sił, byłem i widziałem...

Szef sztabu czekał chwilę, sądząc, że generał się odezwie, ale ponieważ dowódca milczał, rzekł ostrożnie: – Nu, ja nie wiem. Na zachodzie nacisk jest silny, ale na północy jakby słabszy. Chyba słabszy.

– No to może by próbować... – gorączkował się Zonik. – Po cholere nam to przekłete Pulwitz! Pułkownik teraz już ze strachem spojrział na generała.

– Ja nie wiem – powtórzył. – Można by spróbować w północnym. Jak dowódca rozkaże.

– Najgorsza ta kupa taborów – złościł się nadal major. – Szlag człowieka może trafić. Nie tylko nasza dywizja, ale jakaś zbieranina z tyłów armii.

– A co z nimi zrobisz?

Zonik nie odpowiedział. Przystąpił znowu do wyłuszczenia swoich koncepcji strategicznych.

– Ja bym – mówił – wycofał Świętowca. Uderzenie na Pulwitz jest beznadziejne. Trzeba pchać się na północ.

Generał ciągle milczał.

– Z Pulwitz – rzekł cicho pułkownik – Niemcy jeszcze nie kontratakowali.

– Dosyć – powiedział Weklar. – Świętowca – rozkazał.

Porucznik Janosz zbiegł z drogi i zniknął po chwili za wałem. Na zachodzie słońce opadło za wzgórze i twarze oficerów stały się łagodniejsze w niezbyt ostrym świetle. Generał włożył do ust papierosa, czekał chwilę, jakby sądząc, że pobiegnie ktoś z ogniem, potem wyjął zapalniczkę, odwrócił się od wiatru i z trudem wykrzesał płomyk.

– Mapę – powiedział w przestrzeń.

Wziął ją do ręki, nie patrząc na szefa sztabu, i pochylił się nad maską samochodu. Pułkownik, zerkając mu przez ramię, podążał za wzrokiem generała i dostrzegł, że dowódca dywizji studiuje wyłącznie okolicę Pulwitz. Jakby nie interesowało go nic poza tym przeklętym miasteczkiem!

– Wydałem rozkaz, żeby taborów nie pchać tak blisko straży przedniej. Cofnąć z kotliny.

Szef sztabu milczy. Za nimi jest droga ślizgająca się po zboczach wzgórz, dalej resztki batalionów Oski. Dokąd ma pchać tabory? Mówi: – Dokąd pchać tabory?

Weklar nie odpowiada, jakby zapomniał o wydanym rozkazie, a szef sztabu z przerażeniem myśli o masie ludzi, koni i samochodów, które powinien umieścić diabli wiedzą gdzie.

Gdy postanawia jeszcze raz zwrócić się do generała, zjawia się major Świętowiec. Mundur ma brudny, płaszcz rozdarty jeszcze podczas ataku czołgów. Melduje się regulaminowo, nawet zbyt regulaminowo, i patrzy generałowi prosto w oczy.

– Świętowiec – mówi Weklar – trzeba nacierać nadal na południowy wschód, na Pulwitz. Na tym kierunku nie wypuścimy inicjatywy z rąk.

– Pozwólcie, obywatelu generale – wtrąca się major Zonik – że zamelduję wam stan pułku Świętowca. Pułk składa się w praktyce z jednego poharatanego batalionu. Dwukrotnie usiłowali bezskutecznie przebić się przez Pulwitz. Na tym kierunku nie mamy żadnych szans. Czy należy ryzykować zdolne do boju siły dywizji? Proponowałbym...

– Nie obchodzą mnie wasze propozycje – przerywa Weklar. – To nie wiec. Ja wiem, w jakim kierunku należy nacierać. Ja wiem, że mógłbym iść na północ. – Przez twarz generała przebiega skurcz. – Żadnej paniki! – wybucha. – Dywizja przejdzie przez Pulwitz. Każdy żołnierz... – Urywa, spogląda na twarze oficerów, jest znowu bardzo spokojny. – Wykonujcie rozkaz.

Świętowiec milczy. Weklar czeka chwilę, jakby spodziewał się protestu, a potem szybko wydaje polecenia szefowi sztabu. – Żołnierze oddziałów specjalnych i artylerii... sformować grupy uderzeniowe... siedemdziesiątkiszóstki, te z amunicją. – Uderza pięścią w mapę. – Wykorzystać moment zaskoczenia... nie czekać, aż zapadnie noc. Wy jesteście za to odpowiedzialni.

– A sztab dywizji?

– Sztab dywizji – stwierdza Weklar – nie jest mi w tej chwili potrzebny. Wszyscy oficerowie do pododdziałów.

Świętowiec jeszcze nie odchodzi, waha się, chciałby jednak coś powiedzieć. Słowa grzęzną mu w ustach, jakby były lepkie i bezkształtne.

– Na co jeszcze czekacie, majorze Świętowiec? – mówi generał bezbarwnym głosem. Świętowiec podnosi dwa palce do daszka, wie już, że jakakolwiek dyskusja nie ma sensu.

Generał zostaje sam. Tylko na trawie, obok samochodu, siedzi porucznik Janosz i scyzorykiem w ładnej oprawie struga ołówek.

– Co, chcesz jeszcze pisać, Kazik? – pyta Weklar.

– Teraz już nie, obywatelu generale. – Janosz zrywa się z ziemi i czeka. Ale generał nie mówi już nic więcej, jakby o nim zapomniał.

Szuka czegoś uporczywie w pamięci, chce się dogrzebać wspomnienia, które jest wciąż zbyt nikłe, aby nadać mu kształt. Tak, chyba jeszcze w Hiszpanii... Ktoś mu opowiadał albo on sam opowiadał... Jak to było?... No nareszcie: słyszy głos. Czyj? Nie może sobie

przypomnieć.

„Wiesz Weklar, on wspaniale rozegrał tę bitwę, wręcz pokazowo. Tylko... tej bitwy, którą rozgrywał, w ogóle nie było. Toczyła się inna, rzeczywista, której nawet nie zauważył”.

„No i co?”

„No i nic. Wygrał bitwę”.

„Jak to?”

„Wygrał tę toczącą się w rzeczywistości, ale wcale o tym nie wiedział, bo był pochłonięty swoją. Na tym polega cały dowcip”.

## 12

Ludzie gromadzili się na prawym skraju kotlinki. Z dala od furmanek i samochodów, wydobyli ze zgiełku taborowego, wyciągnięci z chaosu kolumny głównej. wydali się Świętowcowi surowsi i zdolni do bojowego wysiłku. Szare, jednakowe twarze, karabiny i automaty przewieszane przez ramię, niektórzy granaty powsadzali za pas. Ilu ich zebrano? Dwustu pięćdziesięciu, trzystu?

Powstanie kilka grup szturmowych – tak zostaną nazwane – potem pchnie się je na Pulwitz, na prawym skrzydle batalionu Kolskiego, jak rozkazał generał.

Świętowiec nie myślał już o szansach natarcia; był zmęczony, zubożniał, automatycznie wykonywał rozkazy, planował przygotowanie ogniowe z tego, co jeszcze zostało, nie próbując przewidywać rezultatów. Nikt go zresztą o szanse nie pytał: pytano tylko o amunicję i wsparcie. Oficerowie od Tyszki, z artylerii, ze sztabu i oddziałów specjalnych formowali owe grupy uderzeniowe.

– Jakiś ty tam ranny! – krzyczał obok Świętowca gruby chorąży z moździerzy pułkowych. – Nie żaden ranny, a lekko kontuzjowany, rozumiesz? Tak to się wabi: kontuzjowany. Powtórz.

– Kontuzjowany.

– No właśnie. Bierz karabin i do trzeciej grupy.

– Skąd jesteś? Z siedemdziesiątekszóstek?

– *Ze* zgubiłeś?

– Mnie tam wszystko jedno. Stawaj tutaj, Boże, co za oferma...

Świętowiec przeciął teren formowania na ukos i poszedł w głąb kotliny. Obok

samochodu sztabowego zobaczył Goldwelda. Kapitan, z nieodłączną fajką w zębach, wyglądał dobrze i świeżo. Jeszcze przed paroma godzinami był zmęczony i zmięty, a teraz promieniował pewnością siebie i dobrym samopoczuciem.

– Cóż wy, Goldweld, wyglądacie jak przed weselem?

Goldweld wyjął fajkę z ust. – Bo ja sobie tak myślę, majorze – powiedział – jak w pułku wszystko gra i dobra dyscyplina, to zastępca dowódcy może sobie pozwolić na nie zapięty guzik i inne cywilne nieformalności. A w takiej sytuacji: kto ma być przykład? No sami przyznajcie: kto ma być przykład? Świętowiec roześmiał się mimo woli. – Sytuacja jest rzeczywiście parszywa, nie ma co gadać.

– Tytoniu jak nie było, tak nie ma – odrzekł z namysłem Goldweld – ale myślę sobie, że sytuacja jest całkiem niezła.

– Czy wyście zwariowali?

Teraz roześmiał się kapitan. Rozchylił grube wargi i pokazał czarne popsute zęby.

– Wcale nie zwariowałem. Jak żołnierz podczas zwycięskiego natarcia dostaje pociskiem w brzuch, to sytuacja jest dla niego dobra czy zła? Chyba: zła, ale w ogóle dobra. No sami pomyślcie. Wyobraźcie sobie, majorze, mapę dowódcy frontu. Czym my na niej jesteśmy? Epizod, fragment, no, może ważny... ale...

– Niby tak – powiedział Świętowiec – ale jeśli tak, czy dla epizodu, fragmentu warto było...

Goldweld posłał fajkę.

– Dajcie jeszcze papierosa, rozkruszę. A może wy byście chcieli zwyciężać bez epizodów?

Świętowiec machnął ręką. Ze stanowisk pod Pulwitz zagrała niemiecka artyleria. Pociski kładły się za pozycjami Kolskiego, jakby odgradzając cienką linię batalionu od kotliny. Niedaleko od nich strzeliła w górę fontanna ziemi, rozległ się przeraźliwy koński kwik, potem wrzask ludzi. Trafili w furmankę.

– Macają nas – powiedział Goldweld. – Tylko patrzeć, jak zaczną nacierać.

Polskie siedemdziesiątkiszóstki odpowiadały słabo ze stanowisk na drodze. Gdzieś zagrał kaem, potem umilkł.

– Sam się dziwię – rzekł Świętowiec – że jeszcze nie nacierają. Nie spieszą się. Próbują. – Spojrzał raz jeszcze na grupy bojowe odchodzące już na pozycje i ruszył powoli w kierunku stanowisk batalionu.

Wybuch, znowu wybuch: jaka różnorodność dźwięków. Kłapnięcie, stuk, długi przeciągły gwizd, mlaskanie, jazgot, głuche stuknięcie, jakby ktoś rozbijał suche drzewo.

Czasami następuje przerwa, chwila ciszy, potem słycać oddzielne dźwięki, można je odróżniać, rejestrować, aż wreszcie zwala się na człowieka kakofoniczne rozbestwienie, ohydny zgrzyt i wtedy chciałby zasypać uszy ziemią, żeby już nic nie docierało, żeby osiągnąć wyzwolenie przynajmniej na chwilę...

Niebo jest już zupełnie szare, wzgórze szare, a miasteczko Pulwitz prawie niewidoczne, tylko dachy pokrywa jeszcze leciutka czerwień.

Kolski powinien już pchnąć batalion, myśli Świątowiec. Na co czekać? Ludzie muszą pójść. Człowiek skoczy przed siebie, powie: niech się stanie! Albo nawet nic, w takim momencie żadnych patetycznych gestów. Jest to przecież zwykłe natarcie, jedno z tysięcy prowadzonych podczas tej wojny, więc szablon, banał, codzienność. Śmierć jest tak banalna, że aż przykro pomyśleć.

## 13

Batalion nie ruszył do natarcia.

Na skraj kotliny podjechał willys, generał wysiadł i poszedł przed siebie łąką w kierunku przedniego skraju. Przedni skraj był zresztą tuż, tuż, starszy pan nie musiał daleko iść, aby tam dotrzeć, kroczył więc powoli, nogi podnosił wysoko, jakby z trudem je wyciągając z podmokłej łąki.

Dlaczego batalion nie wykonał jeszcze rozkazu? Generał nie oglądał się za siebie, jakby nie interesowało go, czy oficerowie za nim idą, czy zostali w tyle. Postanowił: do tego szturmego pójda wszyscy, dowództwo dywizji, sztab. Przebiją się przez Pulwitz. Szli za nim, ale on był sam na tej łące, na której co chwila wybuchały pociski, którą krajały serie kaemów. Zobaczył nareszcie swoje Pulwitz, małe miasteczko siedzące na wzniesieniu, z wielu przyczyn uznał je rankiem za punkt o znaczeniu kluczowym. Teraz, po raz pierwszy, wahał się przez chwilę: czy miał słusność? Tak, na pewno miał słusność.

Z prawej strony gwałtownie jazgotały kaemy. Zgodnie z jego rozkazem grupy szturmowe poderwały się do natarcia. Spojrzał, popatrzył, odwrócił się niechętnie. Widoczność jeszcze doskonała na tej łące, od razu wiadomo: już zalegli.

Obok niego był Kolski, chciał meldować, generał machnął ręką i nie zwołał kroku. Z lewej doskakiwali Zonik i Janosz. No więc jest chłopak, nie został. Generał pomyślał o nim ciepło, nie chciał teraz myśleć o tamtym. Wybuchł pocisk, uderzył w nich podmuch. Generał

otrząsał mundur. Znowu!

– Na ziemię! – ryknął Zonik i chwycił za poję płaszcza.

– Zostaw – wyszeptał Weklar – sam poprowadzę natarcie. – Otrząsał się jak od muchy.

– Generale, wam nie wolno!

– Teraz? Twoje miejsce jest na prawym skrzydle, jak rozkazałem! – wrzasnął. A potem dodał ciszej: – Nie tylko wolno, ale trzeba. Tak bywa. Zonik umilkł.

Docierali do płytkiego rowu, przecinającego łąkę na ukos. Tu utkwili kompanie Kolskiego i tu gromadzili się ludzie ze sztabu i oddziałów specjalnych. Generał wszedł do rowu i stał odsłonięty do pasa, żeby go widzieli. Pamiętał, że patrzą na niego, że muszą go dostrzegać nawet z odległych stanowisk. Tak traktował teraz swoje zadanie: być widzianym. Jest to, pomyślał, ostatnie zwykłe zadanie dowódcy dywizji. Ale natychmiast sobie przypomniał, że już tak bywało: i w Hiszpanii, i na froncie radzieckim. Zawsze wiedziałem, dlaczego to robię. A teraz? Znowu przyszła mu na myśl owa hiszpańska anegdota, na dobre osiadła w mózgu.

Spoglądał na twarze ludzkie, wszystkie były szare, czujne, wpatrzone w niezbyt odległe pozycje niemieckie. Ale gdy tylko się odwracał, czuł na sobie wzrok żołnierzy, co chwila czuł czyjś wzrok, bardzo uważny i ciekawy.

Z drogi za kotlinką odezwały się polskie siedemdziesiątkiszóstki. Ostatnie pociski, pomyślał generał. – Zaczynać! – rozkazał.

Rzucali komendy jak na ćwiczeniach. Młody silny głos podawał cyfry, zaśpiewał krótkimi seriami maksym, a generał wsłuchał się w głos dowodzącego chłopca, którego nie widział, jakby odnalazł w tym głosie coś niezwykle znajomego. Na łące pachniały krzaki jałowca, niebo zstąpiło niżej, zdawało się, że cała łąka pokryta jest bladym wieczornym błękitem.

No więc: naprzód! Trudno im jednak podnieść ludzi. Generał miał obok siebie tych, którzy pójdą na pewno; wyszarpnął pistolet z kabury i poczuł natychmiast, że ktoś znowu chwycił go za poję płaszcza.

– Naprzód! – wrzasnął. – Za mną! – Każde słowo rozrywało mu piersi.

Lewą ręką chwycił się za krawędź rowu i skoczył. Omiótł go wiatr, poczuł zapach świeżej ziemi, nogi grzęzły w niej; jednak nie obejrzał się, patrzył tylko przed siebie, wiedział, że pójdą, że za nim muszą pójść. I wówczas właśnie, w momencie gdy zagadał niewidoczny niemiecki kaem, gdy łąka poczerniała od wybuchów pocisków – usłyszał tuż za sobą głos, chyba Kolskiego, nie był pewien: „Pchaj, Olewicz, nie zostawaj w tyle!”



Stanął, odwrócił się. Zobaczył ludzi biegnących i padających na trawę, zobaczył wykrzywione twarze, otwarte usta. Po raz pierwszy ogarnęło go przerażenie, zwykły, jadowity strach, że tu zostanie, że nie zdąży go zobaczyć. Chciał wstrzymać natarcie. Nie mógł wydać rozkazu wstrzymania natarcia.

Na skraju Pulwitz ukazały się niemieckie działa pancerne. Dym przesłonił horyzont, nie widzieli nic i biegli naprzód w dymie. Generał Weklar szukał wśród twarzy, jednakowych zupełnie, tej jednej, którą ponad wszystko na świecie chciał teraz zobaczyć. Zapomniał o Pulwitz i o swojej bitwie, zapomniał o natarciu, o czterech dniach natarcia. Chciał na pewno wiedzieć, przekonać się ponad wszelką wątpliwość.

Twarze ludzkie znikwały i pojawiały się znowu, były jak białe plamy w dymie pełznącym po trawie.

Weklar zrozumiał, że nie dano mu najdrobniejszej szansy. Tuż obok niego, o parę kroków, może nieco dalej, rozerwał się artyleryjski pocisk. Generał poczuł mocne uderzenie, przyjął je jeszcze świadomie, zarejestrował i pomyślał: stało się. Drugie – było już leciutkim, nieznacznym muśnięciem.

Leżał na ziemi i przez chwilę widział jeszcze szary dym, który rozpełzał się po łące.

## 14

Gdy Zonik i Janosz przenosili ciało generała do willysa, polskie uderzenie załamywało się na przedpolach miasta. Niemcy kontratakowali. W mroku, który szybko pokrywał łąkę i kotlinę, żołnierze widzieli sylwetki ferdynandów wyłaniających się raz po raz z dymu. Cienki zygzak obrony łamał się i kruszył, ale był, wytrzymywał, ział ogniem karabinów i erkaemów, odpowiadał ostatnimi pociskami rusznic przeciwpancernych. Grenadierzy dochodzili do połowy łąki i wsiąkali w ziemię, podnosili się znowu i znowu obalał ich polski ogień. Jak długo jeszcze?

Łącznik zaprowadził porucznika Kolskiego w głąb kotliny; w namiocie major Świętowiec, Goldweld i zastępca dowódcy dywizji, którego porucznik znał tylko z widzenia, gwałtownie dyskutowali pochyleni nad mapą.

– Krotten – powiedział Świętowiec, gdy zameldował się Kolski. – Więc wieś nazywa się Krotten. Jeden z batalionów Oski wyrąbał przejście w niemieckim pierścieniu. Dokładnie na północ.

– Mówiłem, że trzeba było na północ – mruknął Zonik.

Świętowiec nie podniósł wzroku znad mapy.

– To nie ma znaczenia – powiedział niegrzecznie. Potem znowu zwrócił się do Kolskiego: – Powtarzam: dokładnie na północ. Niemcy nie zorientowali się jeszcze w naszych zamiarach. Musimy utrzymać przejście i jak najszybciej przepchnąć cały bałagan. Rzucamy tam wszystkie zdrowe siły dywizji. Was też. Trzeba to wykonać tak, żeby szkopy się nie spostrzegły.

Kolski milczał. Na skraju kotliny ogień niemiecki to wzmagał się, to słabł. Kolski pamiętał każdy punkt obrony batalionu, wiedział wszystko. Teraz mógł zapomnieć.

– Rozumiecie, poruczniku?

– A gdzie generał? – zapytał.

– Generał nie żyje – rzekł Zonik, – Trzeba podać oficerom punkty koncentracji...

– Pamiętam – rzucił niechętnie Świętowiec. – Więc co, Kolski? Jakies pytania?

– Dlaczego pchaliśmy się na Pulwitz? – powiedział porucznik.

– Jak to dlaczego? – zdziwił się major i powtórzył słowa Weklara: – Dywizja nacierała na południowy wschód.

– Nie mogłem wziąć Pulwitz.

– Nie rozklejacie się, Kolski. Mogłem, nie mogłem, teraz to nie ma znaczenia. Najgorzej z taborami – zwrócił się do Zonika. – Ubezpieczenie... No, kogo zostawimy w tyle?

– Ja zostanę. – Goldweld wyjął z ust fajkę. – Dlaczego mam nie zostać?

– A niby czemu wy?

Goldweld uśmiechnął się. Był to uśmiech oburzająco niewłaściwy. Jakby kapitan przestał rozumieć sytuację.

– Dajcie rozkaz, major – powiedział. – Poradzę sobie z tyłami pułku. Mam jeszcze Leoniaka do pomocy.

– Dobra – zgodził się po chwili Świętowiec i znowu popatrzył na mapę. – Ubezpieczenia... Trzeba to zrobić tak, żeby się nie spostrzegli... Ile mamy czasu? Powiedzmy...

Wyjął z kieszeni spodni spory zegarek i popatrzył na fosforyzującą tarczę...

Zostało ich zaledwie kilkunastu. Szli polem na północny zachód, szerokim łukiem omijając Krotten. Gdy oddziały dywizji przechodziły przez wioskę, Niemcy ruszyli do natarcia. Tabory przeskakiwały przez płonące osiedle, a na łąkę za zabudowaniami wylaziły już ferdynandy. Słyszeli gardłowy niemiecki wrzask, gwałtownie jazgotały kaemy, szosę przecinały pasma świetlnych pocisków. Odbiegli w tył, zostawiając furmanki na drodze. Nad niedalekim Pulwitz wisiały znowu rakiety, na północy dogasał bój. Tylko na zachodzie trwała cisza.

– No, żyjemy – powiedział Goldweld. – Szkoda, cholera, że wszystkiego nie udało się przepchać.

– A nie udało – mruknął Leoniak. – Myślę, że w Krotten trochę taboru wpadło w ich ręce. Mieliśmy diabelne szczęście, że nie leżymy teraz z rozprutymi gardłami.

– Może – zgodził się Goldweld. Nie czynił wrażenia zbyt zmęczonego. Szedł długim krokiem, kołysząc się nieco.

Pole oświetlone gwiazdzistą poświatą ciągnęło się przed nimi jak okiem sięgnąć, gdzieś bardzo daleko majaczyły kontury drzew czy zabudowań. Szperacze wypchnięci naprzód szli ostrożnie, wyluskując z mroku fałdy terenu, sterty kamieni, krzaki.

– Wykaraskamy się – myślał głośno Leoniak – czy leżymy Niemcom prosto w gardło? W tej cholernej kaszy każdy kierunek może być do niczego. Goldweld wzruszył ramionami. – Wy jesteście spadochroniarz, nie ja. Nie zastawiali na nas sieci, gdzieś się przebijemy.

– Z furmanami – mruknął pogardliwie oficer informacji. – Popatrzcie sobie na nich.

Ludzie istotnie wyglądali nietęgo. Goldweld widział pochylone sylwetki, z trudem powłóczące nogami. Byli to przeważnie mężczyźni dobrze po trzydziestce, mało obyci z frontem.

– W dzień musimy zapaść gdzieś w lesie – ciągnął Leoniak – bo inaczej wylapią nas co do jednego. A zresztą diabli wiedzą, czy nie napatoczymy się na nich za chwilę.

Od drogi, która została z tyłu, dobiegł przygłuszony warkot motorów. Błyskały tu i tam świetlne punkciki.

– Wałą szosą!

– A niech sobie spacerują na zdrowie – powiedział Goldweld. – Cóż wy, Leoniak, taki pesymista? – Wsadził do ust pustą fajkę i ssał pracowicie mięsistymi wargami.

– Pesymista? Gdybym miał dobry pluton... Ale z takimi bohaterami? Aż strach pomyśleć...

– Och, Leoniak, Leoniak – szept Goldwelda był nieco chropawy i jakby przyduszony

– wy w każdym razie nie powinniście tak mówić. Znalazł się ten od szukania bohaterów! Bzdura. Gdzie oni są? Kto z nas bohater? Kto nie chce żyć? Czy o to chodzi? Mamy taką robotę: pieską, brudną, niebezpieczną. Skakać po trawie, nastawiać celownik, korzystać z techniki, a głównie mordować ludzi. Czy to jakaś przyjemność? Ale robotę trzeba wykonać, bo nie ma innej rady. Jest konieczna. Więc jeden pracuje trochę lepiej, drugi trochę gorzej, tak zawsze bywa na świecie. No i wszystko!

Leoniak machnął ręką. – Kapitanie, żeby tak gadał zastępca dowódcy pułku? A dlaczego samiście prosili, żeby was zostawić w straży tylnej? No dlaczego? Bo widzicie, wojna to... – zawahał się.

– Niby co? – burknął Goldweld. – Popatrz sobie. To jest właśnie ona. Na tym obrzydliwym polu, już na tyłach przeciwnika, albo i nie na tyłach, zimno jak cholera, bołą nogi, żołądek skręca się z głodu, spać chcesz jak nie przymierzając suseł. A leżać trzeba...

Leoniak nie odpowiedział.

Szli w milczeniu, mijając z daleka ciemne kontury zabudowań, skradając się ostrożnie, gdy zabłysły przed nimi wąskie taśmy polnych dróg, odpoczywając krótko i czujnie w zagajnikach lub kotlinkach. Nie rachowali czasu ani odległości. Z prawej strony dobiegało dudnienie dział, skręcili na prawo, aż wreszcie równą linię pola przecięły fałdy pagórków. Do Goldwelda przyskoczył pochylony żołnierz.

– Kapitanie – zaszeptał – szperacze leżą tam na łączce. Stanowiska jakieś widać czy co?

Goldweld i Leoniak poszli naprzód.

Przebiegli pochyleni kilkadziesiąt metrów i gdy docierali już do szperaczy, wyprysła ponad wzgórze rakietą. Goldweld rzucił się na ziemię i począł pełzać powoli w kierunku krzaczków, które zobaczył nagle przed sobą. Pole wydawało mu się niezmiernie jasne od gwiazd, ziemia mocno pachniała, a był to zapach dobry, kapitan wciągał go w płuca jak dym fajkowy. Coś zamajaczyło niedaleko. Goldweld uniósł się nieco na rękach i mrużąc oczy obserwował przedpole. Nie miał zbytnej wprawy, nie chadzał nigdy na nocny zwiad, toteż nie widział zbyt wiele. Bał się nawet nieco, głównie bał się żywcem wpaść w ich ręce i dręczył go ten strach, ciągle o nim pamiętał. Odbezpieczył pistolet, posunął się ostrożnie jeszcze parę metrów. Najchętniej spojrzalby w tył, aby sprawdzić, gdzie jest Leoniak i gdzie są szperacze, sądził, że dowódca, był przecież teraz dowódcą po raz pierwszy w życiu, powinien osobiście rzecz zbadać. I gdy tak patrzył, wydało mu się, że dojrzał niewielką wnękę na polu i kształty kaemu. Ale czy można dojrzeć kaem? pomyślał. Nie był pewien.

W każdym razie to chyba te pozycje, o których mówili szperacze, stwierdził.

Co powinien zdecydować? Nie wiedział. Leoniak był mu jednak koniecznie potrzebny, bo na tej robocie, jak na każdej innej, trzeba też się znać. Leżał więc, czekał, kalkulował.

Z daleka, od strony owych wnek czy pozycji, wiatr przyniósł szept jakiś, może stłumiony gwar głosów. Oni, pomyślał Goldweld, czując, jak napreża się jego ciało.

I w tej chwili zupełnie wyraźnie, zdawało mu się, że tuż, tuż obok, usłyszał: „Wojtek, daj fajkę”.

Szok. Zapomniał o ostrożności i o prawach przedniego skraju, jeśli w ogóle o nich pamiętał, zerwał się z ziemi i zanim krzyknął: „Nasi!” uczynił jeden krok, jeden jedyny krok w kierunku polskich pozycji. Przewierciła go celna seria erkaemu, upadł na ziemię i nie usłyszał już mocnego głosu Leoniaka: „Swoi. Nie strzelać!”

## 16

Batalion wyszedł na otwarte pole. Objęła go nareszcie cisza, z tyłu umilkł jazgot kaemów, tylko od czasu do czasu, gdzieś na zachodzie, czy północy, odzywało się stęknienie dział. Cholernie gwiazdzista noc. Widać ludzi pochylonych pod ciężarem kaemów, widać zarysy twarzy, widać, jak z trudem wyciągają nogi ze spulchnionej ziemi, jak garbią się, zwalniając tempo.

Ci, co zostali w kotlinie, myśli Kolski, ci, co nie zdążyli się przedrzeć, ci wszyscy...

Gdy przymyka oczy, widzi ciągle czerwone dachówki Pulwitz. Oczy ma spuchnięte, z trudem porusza powiekami, zasypia, budzi się...

– Pulwitz i kotlina – powtarza głośno, żeby usłyszeć swój własny głos.

– Słucham, panie poruczniku.

Kolski rozpoznaje twarze.

– Ach, to ty, Olewicz. Nie mów mi „panie poruczniku”, zostaw to, bracie...

Idą w milczeniu, bardzo wolno, nie wiedzą sami, że z każdą chwilą zmniejsza się tempo.

– Co będzie z tobą? – pyta Kolski, żeby coś powiedzieć, żeby usłyszeć znowu własny głos i potem ten cudzy.

– Ze mną? Oddasz mnie do prokuratury czy informacji, diabli wiedzą.

– Świętowiec obiecał, że cię jakoś wybroni!

– Może i wybroni, może i nie...

– Co za bzdura – stwierdza Kolski. – Czy wiesz, że mnie już teraz nie obchodzi, co było wtedy naprawdę, jakby nie dotyczyło ciebie i mnie.

– Nic nie było – mówi Olewicz. – Teraz mi możesz wierzyć, bo po co miałbym bujać. Chociaż...

– Czyżbyś sam nie był pewien?

– Chyba tak. Chyba sam nie jestem pewien. Ale nie chce mi się już o tym myśleć.

– Jakoś to będzie – mruczy Kolski. – Jakoś cię wyciągniemy. – Spogląda na zegarek.

Dochodzi godzina dwunasta, kończy się czwartek.

Możemy ich już opuścić na podbudziszyńskim polu, brnących na północ. Są pełni nadziei, sądzą bowiem, że najgorsze mają już za sobą. Na wojnie najgorsze ma się zwykle poza sobą i rzadko myśli się o dniu jutrzejszym. Bo po co?

Świt zastanie ich na skraju niedużego lasu. Tych, którzy zdążyli na chwilę zasnąć, zbudzi przeciągłe wycie; określą kierunek, spojrzą na prawo. Maczuga, otulony płaszczem, w czapce nasadzonej na uszy, podniesie głowę, a ponieważ mgła zesła już z łąk i widoczność jest znakomita, zobaczy czarny dym spowijający horyzont. Czarny dym wlecze się nad dalekimi pozycjami niemieckimi.

– To katusze – stwierdzi Kaleta.

– Katusze – powtórzy Michał.

A odgłos wybuchających rakiet nie zmilknie ani na chwilę. Gdy słońce wytoczy się na niebo, długo jeszcze widać będzie czarne dymy wlokące się nad Łużycami...

## 17

*Notatnik porucznika Janosza, adiutanta dowódcy dywizji, pisany w sobotę i niedzielę*

Cisza, spokój. Dziwna jest ta cisza. Wiem, że niedługo znowu ruszymy do natarcia, ale czuję się tak, jakby wszystko było już poza nami.

Minęły dwa dni od śmierci generała Weklara. Jest już nowy dowódca dywizji, są dowódcy pułków i szefowie służb. Ludzie ściągają od' wczoraj, przychodzą wymęczeni i

brudni, w mundurach tak zniszczonych, że trudno ich czasem odróżnić od Niemców. Trochę po partyzancku wygląda teraz ta wiara, ale kwatermistrzostwo pracuje pełną parą i niedługo będziemy znowu prezentowali się tak, jak przed wyruszeniem na front. Ale już będziemy inni. Widziałem, jak witają w kompaniach i plutonach żołnierzy, którzy ściągnęli od Pulwitz czy Bretwelde, docierali do naszych lub radzieckich linii, przebijali się z okrażenia, niszcząc po drodze posterunki niemieckie. Jest coś wzruszającego w tym „domowym” stosunku do własnej kompanii, który powstaje dopiero na froncie. Poważniejszych strat nie poniósł tylko pułk Adamczuka. To jedno z tych zadziwiających Wydarzeń wojennych, których nigdy nie pojme.

Opowiadał mi oficer informacji z pułku Świętowca, Leoniak, który z niewielką grupą żołnierzy dotarł do straży przednich Adamczuka w nocy z czwartku na piątek, że zastał pułk w najlepszej formie i gotowy do boju. Od pocisku naszej czujki zginął tam taki kapitan z fajką, Goldweld. Mało go znałem.

Otóż Adamczuk był dosłownie w odległości nie większej niż kilkanaście kilometrów, gdy myśmy nacierali na Pulwitz. Nawiązał kontakt z dywizją radziecką znajdującą się na północy i w piątek natarli z tej samej kotliny na to samo miasto. Leoniak był na punkcie obserwacyjnym dowódcy pułku i widział, jak brali Pulwitz. Podobno nigdzie nie przywitało ich tyle prześcieradeł; całe miasto było białe.

Rozkaz generała Weklara został wykonany.

Myślę o nim. Widzę go w chwili, gdy stał przed okopem, niemiecki ogień szarpał naszą tyralierę. Wskoczyłem za nim, byłem zdecydowany ściągnąć go do rowu – wszystko jedno jak – gdy zobaczyłem, że się zawahał. Stał i spoglądał wzdłuż tyraliery, jakby czegoś szukał. Było coś tak zadziwiającego, niezwykłego w wahaniu generała, że nie mogłem do niego podejść. Wtedy wybuchł ten przeklęty pocisk, zabrakło mi paru sekund. Tych paru sekund, które uratowały mi życie.

Nie wiem, co myślał generał Weklar, gdy pchał nas na południe, gdy twardo i uparcie szturmował Pulwitz. Nowy dowódca dywizji, pułkownik, wysoki i sztywny, u którego zameldowałem się już z prośbą o przeniesienie do linii, dzisiaj na odprawie omawiał działanie naszych jednostek. Siedzieli oficerowie, którzy stamtąd wrócili, a on suchym, sprawozdawczym tonem ogłaszał, co właściwie zaszło. Nie wiem, pewno tak trzeba i pewno potem tak się będzie ujmować wojnę: ruchy wielkich jednostek na mapie, zygzakowate linie obrony, gra taktyczna... Ja w każdym razie, słuchając naszego nowego dowódcy, przestałem wierzyć, że tam naprawdę byłem... Podobno więc silne zgrupowanie niemieckie z południa, w składzie kilku dywizji pancernych (jakich: jeszcze dokładnie nie wiadomo), uderzyło na

lewym skrzydle naszej nacierającej na Drezno armii. Niemcy chcieli przepchać się na północ, potem zmienili kierunek natarcia na północny zachód. (Kto o tym wiedział?) Nasza dywizja była więc jedną z tych wielkich jednostek, które spotkały się z głównymi siłami nieprzyjaciela. „Byliśmy – powiedział pułkownik («byliśmy»?) – jedną z formacji, które przyjęły na siebie niemieckie uderzenie i werżnęły się w podstawę atakujących ugrupowań. Natarcie na południowy wschód nie dawało dywizji szans przebicia się, ale dezorganizowało, opóźniało, a ostatecznie zatrzymało wroga”.

Potem pułkownik wyjaśnił sucho, że generał Weklar, nie mając pełnych danych o nieprzyjacielu, podjął jednak decyzję, która pomogła armii w zlikwidowaniu niebezpieczeństwa. Nie wiedział oczywiście o zmianie kierunku niemieckiego uderzenia i dlatego nie mógł wiedzieć, że toczy bój z siłami wroga wielokrotnie przewyższającymi siły jego dywizji. Straty poniesione przez dywizję... nie pamiętam już, jakich słów użył: „opłaciły się”, „były usprawiedliwione sytuacją”, „konieczne”... Wszystko jedno.

Na północ mogliśmy się przebić. Nie wiem, nie będę o tym myślał. Słyszę głos Weklara: „Nacieramy na południowy wschód”. Widzę cieniutką linię naszego batalionu atakującego Pulwitz, widzę ludzi, którzy zostali na przedpolu, widzę grenadierów niemieckich, dobijających rannych.

Adiutanci dowódców dywizji nie mają obowiązku znać się na taktyce wielkich jednostek, nie znają też myśli swoich generałów. Wiem, że pod Pulwitz Weklar się zawahał, że zawahał się zbyt późno, gdy nie już nie można było zmienić...

Nic nie zapomnę: ani Boslitz, ani Bretwelde, ani Horen, gdzie wymordowano rannych z naszych pułków. Dywizjon artylerii szturmowej zmiotł Horen z powierzchni ziemi. Nie istnieje to miasto, a gdy powstanie znowu i tak nikt nie będzie pamiętał.

Jutro albo pojutrze nasze wojska wejdą do Berlina. Jutro albo pojutrze rozpoczniemy ofensywę na południe. Znowu na południe. Wiem, że zwycięstwo jest bliskie. Umiem sobie wyobrazić: wrócimy do Polski, pułki przejdą ulicami miast. Dobrze wyrównane czwórki, nowe mundury, łoskot dział, czołgi rozdzierające asfalt, oczywiście: kwiaty. Zadowoleni z siebie, uśmiechnięci żołnierze. Takimi dla nich zostaniemy, ci, którzy wrócą. I niech nikt oprócz nas nie pamięta... Nie będę pisał kroniki, jestem zmęczony i pusty.

Muszę jednak zanotować tę historię. Bardzo dziwna, niewiele z niej rozumiem. Zaintrygowała mnie ze względu na nazwisko: Olewicz. Wymienił je przed paroma dniami generał Weklar. Przed paroma dniami i tak dawno. Zajrzałem do notatek: to było w



poniedziałek.

Usłyszałem je znowu wczoraj rano. U pułkownika zameldował się major Świątowiec, obecnie dowódca pułku. Nie śledziłem całej rozmowy, nie podsłuchuję, moje stosunki z pułkownikiem są zresztą bardzo oficjalne. To znaczy on jest surowy i sztywny, a ja mówię: „Tak jest”.

W domu, który zajmujemy – bardzo przyzwoita willa – drzwi i ścianki są jednak nieprzyzwoicie cienkie. Mógłbym mieć mnóstwo materiałów do notatek, gdyby mi na tym zależało. y, Ale nie zbieram już materiałów, a tym razem zorientowałem się po prostu zbyt późno. Gdybym przypuszczał, że rzecz jest ciekawa, starałbym się usłyszeć wszystko. W rezultacie brak mi początku i środka.

No nic, może dowiem się jakoś.

– ... Olewicz – powiedział major i zacząłem słuchać. Potem zabrał głos pułkownik. Mówił spokojnie i powoli, ale jeszcze dobitniej, niż zazwyczaj.

– ... muszę podkreślić, majorze, że będę tępił wszelki nieporządek i niezdiscyplinowanie. Przyjmuję, że w szczególnej sytuacji byliście zmuszeni mianować czasowo tego Olewicza dowódcą kompanii. Rozumiem: w pewnych okolicznościach możemy albo musimy ufać ludziom, którym byśmy nie ufali w normalnych warunkach. Obecnie mamy normalne warunki frontowe... pozostają fakty: uciekł z aresztu, ukrywał, jak meldowaliście, swoje prawdziwe nazwisko. A czy możecie ręczyć, że nie ma poważniejszych grzechów na sumieniu?

Przez chwilę panowało milczenie. Świątowiec nie odpowiadał. Słyszałem tylko ciężkie kroki pułkownika; chodził po pokoju.

Czekałem. Lubię głos Świątowca. Jest bardzo ciepły, nie ma w nim chropowatości. Gdy mówi, wiem, że major zwraca się na pewno do mnie. To bardzo ważne. Nasz nowy dowódca dywizji wydaje polecenia w przestrzeń.

– Wiem – powiedział wreszcie major – że Olewicz jest dobrym, bojowym oficerem i że należy mu się Virtuti. A grzechy? Nie – on też podniósł głos – mogę ręczyć, wziąć to na siebie... – Nie dosłyszałem, Świątowiec nagle zaczął mówić cicho. – Pewno, że dźwiga jakiś bagaż – ciągnął – ale przebaczenie leży w naszej mocy. Zresztą wojna... widzicie, pułkowniku, pod Bretwelde zrozumiałem pozorność pewnych spraw. Nie, nie uogólniam. Chodzi mi o pozorność wrogości takich ludzi jak Olewicz.

– Nie chciałbym podejrzewać was o naiwność, majorze – stwierdził pułkownik. – Nie znamy się, ale wypiekła nas ta sama patelnia. Rzecz jest przecież prosta: uwzględnimy w pełni zachowanie tego chłopca w linii. Sam będę na to nastawał. Ale jesteście młodym

państwem i młodym wojskiem, musimy być bardziej rygorystyczni, niż pozwolić sobie na to może stary organizm. Nie miejcie złudzeń: oficerowie i żołnierze waszego pułku znają sprawę Olewicza. Pamiętają, jak było. Powinni wiedzieć, że jesteśmy surowi, a jeśli wybaczymy, wybaczymy niełatwo. Nie mogę zatwierdzić waszej decyzji. Sprawie Olewicza należy nadać normalny tok.

– Moi żołnierze tego nie rozumieją. Moi żołnierze są przekonani, że sprawa została załatwiona. I nie może być inaczej.

– Dlaczego? – Głos pułkownika zabrzmiał ostro. Znałem już te nuty. Za chwilę skończy się dyskusja. Świętowiec milczał. Rozumiem go. Nie wiem, o co oskarżony był Olewicz i dlaczego uciekł z aresztu, ale rozumiem majora. Może należałoby teraz wejść i zameldować, że generał Weklar interesował się tym chłopcem, że pamiętał jego nazwisko, że pytał o niego? Nie wejść. Nie chcę usłyszeć: „Podsluchujecie”.

Powiem potem majorowi...

– Bo oni tam byli – stwierdził wreszcie Świętowiec. – Bo oni tam byli – powtórzył – i widzieli Olewicza na folwarku Redlitz. Sprawa sprzed pięciu miesięcy utraciła dla nich sens. Rozumiecie, pułkowniku, utraciła sens. Przed dwoma dniami nikt w całej dywizji nie poświęciłby jej pięciu minut.

– Bardzo źle, majorze. Nie zapominajcie, że do takich spraw, jak Olewicza, będziemy musieli jeszcze powrócić. I to chyba niedługo. Nie należy ulegać frontowym złudzeniom. Przeszłość nie jest zamknięta.

– Chciałbym – powiedział major – chciałbym – powtórzył – żebyśmy nie zapominali...  
– Albo nie dokończył, albo nie dosłyszałem.

– Czy to wszystko? – zapytał dowódca.

– Tak, wszystko. Pozwólcie, obywatelu pułkowniku, że złożę na wasze ręce raport w sprawie Olewicza do dowódcy armii.

– Składajcie.

Myślałem o Olewiczu. Dlaczego Weklara interesował ten chłopak? Szkoda jednak, że major nie zameldował mu wcześniej, choćby nawet pod Pulwitz. Przeszłość? Od razu widać, że nasz pułkownik przyszedł ze sztabu armii. Jakież znaczenie ma dla mnie przeszłość. Lubelszczyzna, wahania po wyzwoleniu – wydają się takie odległe... Chwilami odnoszę wrażenie, że moje życie zaczęło się tutaj, między Kamenz a Budziszynem, w dywizji...

I od tego kwietnia rozpocznę rachubę przyszłości.